

CRAIG THOMAS

ODZYSKAĆ FIREFOXA




AMBER

Porywająca
powieść przygodowa.
Ciąg dalszy głośnego bestsellera „Firefox”



Amerykańsko-
angielski plan porwania
prototypu radzieckiego myśliwca
MiG-31 zwanego „Firefox” z bazy w centrum
Rosji powiódł się, ale w trakcie pościgu „Firefox”
musi lądować na kruchej powierzchni zamrożonego
fińskiego jeziora. Pilot, Mitchell Gant, wpada w ręce KGB.
Nawet narkotyki nie potrafią zmusić go do ujawnienia
miejsca ukrycia samolotu. Wschód i Zachód
podejmują desperackie próby zdobycia
„Firefoxa”. W ich planach Gant ma
jeszcze do odegrania
istotną rolę...

ODZYSKAĆ
FIREFOXA


AMBER

CRAIG THOMAS

ODZYSKAĆ
FIREFOX

Przełożył: ANDRZEJ LESZCZYŃSKI


AMBER

Tytuł oryginału: FIREFOX DOWN

Ilustracja na okładce

CHRIS MOORE

Opracowanie graficzne:

ADAM OLCHOWIK

Redaktor techniczny:

JANUSZ FESTUR

Copyright © 1983 by Craig Thomas

For the Polish edition Copyright

© 1992 by Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

ISBN 83-85423-77-X

Wydawnictwo

Amber Sp, z o.o.

Warszawa 1992.

Wydanie I

Skład:

Zakład „Kolond” w Warszawie

Druk:

Łódzka Drukarnia Dziełowa

*Clintowi Eastwoodowi –
pilotowi Firefoxa*

Podziękowania

Korzystając z tej sposobności, pragnąłbym podziękować mojej żonie, Jill, za dokonanie korekty maszynopisu oraz za nieustanny despotyzm i doping w trakcie tworzenia powieści! Dziękuję także T. R. Jonesowi za rolę doradcy technicznego.

Od autora

Jednym z niebezpieczeństw związanych z dopisywaniem dalszego ciągu – zwłaszcza, gdy chodzi o powieść, którą ukończyłem na początku 1975 roku – jest nieuchronna dezaktualizacja faktów. Niniejsza książka podejmuje historię Mitchella Ganta oraz Miga-31 dokładnie w tym samym punkcie, w którym zakończyła się ona w pierwszej części. Jedną z pierwszoplanowych postaci „Firefoxa” był Jurij Andropow, podówczas szef radzieckiego wywiadu oraz przewodniczący KGB. Wydarzenia prześcignęły mnie, ponieważ polityk ten jest obecnie, po śmierci Leonida Breżniewa, przywódcą Związku Radzieckiego. Z oczywistych powodów zmuszony byłem pozostawić go w powieści na poprzednim stanowisku. Ponadto ja, podobnie jak – bez wątplenia – miliony obywateli radzieckich, zawsze będę myślał o nim, jako o dowodzącym najpotężniejszym i najbardziej represyjnym systemem tajnej policji, jakiego kiedykolwiek doświadczył współczesny świat.

CZEŚĆ PIERWSZA

PILOT

*Myślę, że wiem o nienawiści
Dość, by rzec: równie dobry lód
Jest, aby niszczyć,
I jest go w bród*

Robert Frost „Ogień i lód”
(tłumaczyła Ludmiła Marjańska)

1.

Lądowanie

Nareszcie...

Firefox minął wybrzeże Norwegii na wysokości 24400 metrów ponad Tana fjordem. Komputer pokładowy przesłał autopilotowi instrukcje dotyczące pierwszej zaprogramowanej zmiany kursu. Samolot przechylił się. Mitchell Gant obserwował, jak daleko pod nim horyzont unosi się, po czym wraca do poziomu. W górze pociemniałe niebo stało się niemal czarne. Całkiem puste. Został zupełnie sam.

Nareszcie odprężenie...

Powrócił na moment w jego myślach, jak w migawkowym ujęciu, widok deszczu wirujących, błyszczących, iskrzących się w słońcu metalowych części, wypadających z czarnego kłębowiska, które jeszcze chwilę wcześniej było drugim Firefoxem. Biała kula płomieni, wybuch, kipiący czarny dym, potem opadające spiralami kawałki, wreszcie puste, czyste niebo.

Nudności minęły niemal całkowicie. Jego dłonie, leżące teraz na kolanach, już prawie wcale nie drżały. Nerwowy tik lewego policzka – Gant czekał, odliczając sekundy – znowu.

Udało mu się. Zwyciężył. Ponownie był zdolny do myślenia z chłodną, klarowną, satysfakcjonującą precyzją. Dokonał tego. Zwyciężył. Równocześnie, jakby niezależnym torem, przypląnęła inna myśl – uszedł z życiem.

Firefox przechylił się znowu, wygięty w łuk ziemski horyzont raz jeszcze zakolysał się, po czym wrócił do poziomu. Samolot rozpoczął skomplikowany zygzak ponad Finlandią, mający doprowadzić go do spotkania z lotem rejsowym ze Sztokholmu na Heathrow. Ukryty w podczerwonym cieniu pasażerskiego kolosa powinien być niewidoczny, kiedy będzie przelatywał nad Morzem Północnym, kierując się w stronę lotniska RAF w Scampton, gdzie na

pewno czekali już na niego Aubrey, Anglik, oraz Charlie Buckholz z CIA. Dwaj ludzie, których rozkazy naraziły go na nieustające pasmo niebezpieczeństw w ciągu ostatnich trzech dni. Dwaj ludzie, dzięki którym... Odegnął tę myśl od siebie. Nie był im nic winien. To oni byli jego dłużnikami.

Gratulacje... oczekiwał na nie. Mimowolne uśmiechy, wyrazy uznania, a nawet zaskoczenie i ulga. To wszystko byli mu winni.

Nagle przed jego oczyma pojawiły się inne twarze, jakby specjalnie po to, by zmniejszyć jego sukces, zepsuć tę chwilę triumfu. Baranowicz, Paweł, Siemiełowski, Kreszyn; zmasakrowana twarz Fentona na mokrych kamieniach nabrzeża rzeki Moskwy. Wszyscy zabici. Wszyscy, z wyjątkiem Fentona, zginęli tylko po to, by jego fizyczny kontakt z Firefoxem stał się możliwy. To...

Jego dłonie pieszczotliwie musnęły przyrządy, niczym dłonie człowieka kupującego swój pierwszy w życiu samochód, z nabożeństwem delektującego się poczuciem własności. Dotknął znajdującej się przed nim tablicy przyrządów, spojrzął na wskazania machometru – 0.9 Ma*. Prędkość powinna utrzymywać się poniżej 1 Ma. Nie chciał zdradzać swego położenia nad Finlandią gromem dźwiękowym. Wysokościomierz wskazywał 18300 metrów. Firefox powoli obniżał lot, kierując się na miejsce spotkania poprzez ciemnoniebieskie, puste niebo.

Nie miał ochoty zajmować się dłużej twarzami ludzi, odegnął od siebie wspomnienia. Przeszłość stawała się jakby nierzeczywista. Trudno uwierzyć, że minęły zaledwie trzy dni od czasu, kiedy wylądował na podmoskiewskim lotnisku Szeremietiewo jako Orton, kanadyjski biznesmen, zajmujący się handlem galanterią plastikową. Stopniowo coraz bardziej stawała się ważna jedynie chwila obecna. Był panem tej chwili, tak jak był panem samolotu. Firefox należał do niego. Mniej niż za dwie godziny miał przekazać go innym – ludziom, którzy nigdy nie polecą nim. Zostanie zbadany, przeanalizowany, zdemontowany, rozłożony na części pierwsze, a potem przewieziony w skrzyniach, w czeluściach Herculesa na drugą stronę Atlantyku. Ale teraz to był jego samolot. Za dwie godziny miało się zacząć także jego zniżanie lotu – powrót do anonimowości, do pustki, do tego wszystkiego, czym był, zanim nie wskrzesił go Buckholz.

Chciał głośno protestować przeciwko temu; ze względu na siebie, ze względu na samolot. Lecz zdusił tę myśl w zarodku. Nie teraz, jeszcze nie teraz...

* Ma – liczba macha określająca stosunek prędkości lotu samolotu do prędkości dźwięku.

Spojrzał w lusterko. Niebo za nim miało ciemnogramatową barwę. Warstwa chmur rozciągała się daleko w dole. Krzywizna ziemi opadała łukiem z obu stron samolotu. Zdawał się całkowicie niezależny od leżącego pod nim globu. Strumień błyszczących diamentów ciągnął się za Firefoxem niczym ogon komety, przywodząc na myśl pasmo pozostające za wzbijającym się z powierzchni jeziora łabędziem, któremu przypatrywał się kiedyś wieczorem. Mięgotliwe kropelki wody...

Dziób samolotu zatoczył kilkustopniowy łagodny łuk, Firefox automatycznie korygował kurs. Strumień diamentowych kropelek także ułożył się w łuk. Jak Dzwoneczek – pomyślał, przypomniawszy sobie nagle zaciemnione wnętrza kina w Clarkville i postać opryskliwej wróżki z filmu Disneya, z której skrzydełek osypywał się błyszczący pył. Jego matka, kiedy tylko przypuszczała, że ojciec wróci pijany, wysyłała go do kina, dając pieniądze z trudem zaoszczędzone na skromnie prowadzonym gospodarstwie domowym. Rzadko zostawało mu tyle reszty, by stać go było na prażoną kukurydzę. Podczas gdy on spędzał czas w kinie, ojciec zapadał w pijacki sen i można już było bezpiecznie wrócić do domu.

Nagle zrozumiał. Jego serce i żołądek skurczyły się jak po uderzeniu. Kropelki paliwa, wyciekające w rozrzedzoną, mroźną atmosferę. Rozerwany naszynnik z kropelek paliwa...

Jak oszalały zaczął wciskać przyciski, odczytywać wskazania mierników i przepływomierzy, z rosnącym przerażeniem wykonywać pospieszne obliczenia. Zanim cokolwiek zauważył, zanim zrozumiał co się dzieje, zbiorniki były już niemal puste. Zaciśnął palce na drążku, ale nie przesunął go. Chciał jedynie powstrzymać drżenie dłoni i ramion. Domyślił się, co się stało. Widocznie kadłub i zbiorniki zostały podziurawione w czasie powietrznej walki. Albo pociski z działka drugiego Firefoxa uszkodziły jeden z przewodów paliwowych, albo dokonała tego któraś z oderwanych części eksplodującego samolotu.

Zrozumiał, że nigdy nie wylądaje w Anglii.

Może nawet nie doleci do Norwegii. Bezpieczne lądowanie... Czy miał na to szanse? Obliczenia były przeraźliwie proste. Z obecną prędkością mógł lecieć nie dłużej niż dwadzieścia pięć minut. Nawet krócej, ponieważ bezustannie tracił paliwo. Trudno było ocenić szybkość wypływu. Nie mógł także zatrzymać wycieku. Dwadzieścia pięć minut? A może tylko dziesięć?

Powłoka chmur zdawała się tak daleko pod nim. Gdy Firefox zacznie spadać, przebije ją i zanurzy się w lodowe pustkowie. Na początku delikatne, lekkie chmury będą przesuwane się wzdłuż kabiny jak rozchylane na boki firanki. Potem zrobi się ciemno. Mrok będzie gęstniał aż do chwili, kiedy stanie

się widoczny leżący w dole śnieg. Mając puste zbiorniki, poszybuje lotem ślizgowym ku ciągnącym się w nieskończoność pod brzuchem Firefoxa połaciom lasów. W końcu samolot zacznie tracić oparcie w coraz gęściejszym powietrzu, jak gdyby przybierał na wadze, a drzewa wyrosną zwartą ścianą, pod nim i po obu bokach. Najpierw będą go tylko muskały gałęziami, potem, coraz bardziej rozzuchwalone, jakby nabierając siły, osiągną skrzydeł i ściągną Firefoxa na ziemię.

Wcześniej mógłby się katapultować. Po to, żeby umrzeć z wycieńczenia i odmrożeń? Zamarznąć gdzieś w fińskiej Laponii? Zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę i pomimo kurczowego zaciśnięcia dłoni na drążku jego ramiona dygotały. Ogarnęła go niemoc i poczucie bezsilności. Poza tym coraz bardziej dręczyły wyrzuty sumienia. Powinien był to sprawdzić. Po zakończeniu walki powietrznej powinien był sprawdzić...! Popęłił błąd jak nowicjusz podczas pierwszego samodzielnego lotu.

Ten błąd mógł kosztować go życie. Prawie nie miał już paliwa. Monotonny jak zawsze ryk dwóch olbrzymich, znajdujących się za jego plecami, silników turboodrzutowych Tumańskiego odczuwał teraz jak drwinę; ich huk rozbrzmiewał niczym ostatnia skarga...

15 850 metrów.

Co dalej? Dokąd?

Nigdy, niezależnie od okoliczności, nie mógł lądować Firefoxem w neutralnej Finlandii. To było dla niego oczywiste od samego początku. Z tego samego powodu odpadała Szwecja. Zostawała tylko Norwegia. Ale gdzie? Bardufoss leżało daleko na północnym zachodzie. Znajdował się już na południe od Kirkenes. Z powodu odległości oba te lotniska były nieosiągalne.

Od Oslo nadal dzieliły go setki kilometrów.

Czy miał więcej niż dwadzieścia minut? Wątpliwe.

Dziób Firefoxa zakreślił łuk, w chwili gdy samolot ponownie skorygował kurs, realizując kolejne instrukcje komputera pokładowego. Skaczący jeszcze kurczak z odrąbaną głową.

Co dalej...?

Spojrzał w dół, na rozłożoną na kolanach mapę. Zwolnił uścisk prawej dłoni na drążku sterowniczym, pomagający opanować drżenie ramion, i zaczął szacować odległości. Kirkenes leżało niecałe piętnaście kilometrów od granicy sowiecko-norweskiej. Od Bardufoss dzieliło go jakieś dwieście kilometrów, ale tam znajdowała się baza NATO.

Jak...?

W górę.

W górę – pomyślał. W górę, w górę. Pot ściekał strumykami po jego

ramionach i wzdłuż boków. Głęboko zaczerpnął powietrza, aż całe ciało wygięło się w łuk. Kiedy wreszcie odetchnął z ulgą, para skropliła się na masce tle nowej. Szybkie wznoszenie. Podobnie jak uczynił to poprzednio, zanim odnalazł pole lodowe i amerykańską łódź podwodną z bezcennym ładunkiem paliwa. W górę.

Zawahał się przez krótką chwilę, po czym wyłączył autopilota i wykasował instrukcje komputera pokładowego. Raz jeszcze Gant przejął kontrolę nad Firefoxem. Wysoko ponad Morzem Arktycznym, nieświadom lokalizacji oraz rodzaju awaryjnego lądowiska, musiał przejść do lotu ślizgowego, powolnego opadania ku powierzchni morza, mając cały czas na horyzoncie białą krawędź czapy lodowej Arktyki. Teraz znał już wszystkie odległości, mógł wyliczyć tor ślizgu. Mógł dolecieć.

Pchnął drążek w bok i Firefox przechylił się, wchodząc na kurs w kierunku lotniska w Bardufoss. Wysokość: 15000 metrów. Ściągnął drążek na siebie, popychając jednocześnie dźwignie gazu do przodu. Jego ramiona nadal dygotały. Powtórzył obliczenia. Zostało mu siedemnaście minut lotu. Silniki huczały miarowo. Jeszcze bardziej podniósł dziób maszyny. Niebo przed nim miało barwę tak ciemnego granatu, że niemal wpadającego w czerń. Było puste. Gant poczuł, jak wraca jego opanowanie, niemal pewność siebie. Panika ustępowała. Z każdą minutą coraz szybciej potrafił odegnąć od siebie poczucie bezsilności. Mógł bezpiecznie wylądować...

Samolot zaczął się wznosić. Należało zakładać, że dotrze do Bardufoss z całkowicie pustymi zbiornikami. Musiał osiągnąć wysokość co najmniej czterdziestu tysięcy metrów, by pokonać dzielącą go odległość lotem ślizgowym. Kiedy uzyska wymagany pułap, będzie mógł wykorzystać resztki benzyny do nabrania optymalnej prędkości. Potem zostanie mu już tylko lecieć spokojnie aż do chwili, gdy silniki umilkną z powodu braku paliwa. Bardufoss znajdowało się... Przebiegł palcami po maleńkiej klawiaturze wewnętrznego komputera nawigacyjnego, programując ciągłe wyświetlanie odległości do celu. Niemał natychmiast ciemnozielony ekranik oznajmił jaskrawoczerwonymi cyframi, że od Bardufoss dzieli go 361,5 km. Oszacował, że najkorzystniejszą prędkością będzie 480 kilometrów na godzinę. Jeżeli nawet silniki zamilkną natychmiast po osiągnięciu pułapu 40 000 metrów, ta prędkość powinna wystarczyć na przebycie całego dystansu lotem ślizgowym.

Nerwowo, niczym wygłodniały ptak, wbijał oczy w przesuwającą się powoli wskazówkę wysokościomierza. Piętnaście tysięcy, osiemnaście, dwadzieścia, dwadzieścia dwa tysiące metrów. Niebo pociemniało, stało się ciemnopurpurowo-granatowe. Prawie przestrzeń pozaziemska. Dwadzieścia pięć tysięcy. Wsłuchał się w pracę silników Tumańskiego.

Huczwały miarowo, normalnie. Dwadzieścia sześć tysięcy, dwadzieścia siedem...

No, wyżej, wyżej...

Jego lewa dłoń zaciskała się na dźwigniach i siłą woli musiał się powstrzymać, żeby nie popchnąć ich dalej. To było złudzenie. Miał odpowiednią prędkość, jedyne, czego potrzebował, to właściwa wysokość.

30000 metrów. Purpurowa czerń ponad głową i w przodzie, i po bokach. Nawet w lusterku widać już było zakrzywienie ziemskiego horyzontu. Trzydzieści trzy tysiące...

Monotonny huk silników działał na niego uspokajająco. Paliwo jeszcze dopływało. Trzydzieści siedem tysięcy. Już prawie, prawie...

Cofnął dźwignie gazu, pozostawiając tylko tyle mocy, by zabezpieczyć funkcjonowanie prądnic. Niemalże słyszał, jak rzadka, zewnętrzna atmosfera ześlizguje się po osłonie kabiny. Firefox zadrział lekko, tracąc ciąg i przechodząc do lotu ślizgowego.

Tak. Teraz mógł doprowadzić samolot do lotniska. W Bardufoss będą potrzebowali dodatkowej bariery łapaczy, żeby pomóc mu wyhamować. Kiedy tam dotrze, nie będzie już mógł wykorzystać odwróconego ciągu silników. Resztki paliwa ciągnęły się właśnie za nim cienkim, krystalicznym strumyczkiem.

Ale nie miało to większego znaczenia.

Nagle w słuchawkach hełmu rozległ się urywany sygnał alarmowy. Dostrzegł, że na martwym do tej pory ekranie radaru pojawiły się dwa jaskrawe punkty świetlne. Dwa samoloty podążające szybko jego śladem. Ciepło emitowane przez silniki przy szybkim wznoszeniu musiało zdradzić jego pozycję szperaczom podczerwieni. Dwa odrzutowce, małe i na tyle szybkie, że nie mogły być niczym innym jak myśliwcami przechwytyjącymi wysokiego pułapu. Bliższy znajdował się już na wysokości 29 000 metrów i wznosił się nadal z prędkością przekraczającą 2 Ma.

Foxbaty. To musiały być one. Migi-25. A jeśli były to Foxbaty-F, dysponowały wystarczającym pułapem, by go doścignąć. Dwa samoloty. Zbliżające się.

Teraz mógł je już dostrzec daleko pod sobą. Błyszczały w słońcu.

Ekran komputera sygnalizował kontakt za sześć sekund.

Okienka w kadłubie Tu-144, rosyjskiej wersji Concorde'a, były maleńkie, nie większe od podłużnych szczelin otworów strzelniczych. Mimo to generał Radzieckich Sił Powietrznych, Med Władimirow, był w stanie dostrzec w

czystym, rozjaśnionym popołudniowym słońcem powietrze zgarbioną, emanującą przerażeniem postać pułkownika KGB Kontarskiego, eskortowanego z głównego budynku ochrony w kierunku niewielkiego śmigłowca Mi, który miał go zabrać do Moskwy. W chwili kiedy nastąpiło zniszczenie drugiego prototypowego Firefoxa, przewodniczący KGB, Andropow, przypomniał sobie o podwładnym, który nie wypełnił zadania, i wydał rozkaz przetransportowania go do więzienia na Łubiance. Jego stanowczy głos zabrzmiał niemal tak obojętnie jak brzęczenie kręcącego się koło głowy natrętnego owada. Spoglądając, jak przybity, przestraszony Kontarski znika we wnętrzu zielonego helikoptera, Władimirow pomyślał przez chwilę o swojej własnej przyszłości – ponurej, pełnej poniżenia i zniewag, a poza tym krótkiej.

Z ociąganiem odwrócił się w stronę wypełnionego dymem papierosowym pomieszczenia, stanowiącego Radzieckie Wojenne Centrum Dowodzenia. Stół mapowy był wygaszony i bezpostaciowy. Na gładkiej szarej powierzchni zdążyły się już pojawić jakieś pudełko zapalek, paczka papierosów, pełna popielnica oraz luźny plik kartek z rozszyfrowanymi meldunkami. Personel Centrum Dowodzenia pozostawał na swoich miejscach, przed konsolami, szyfratorami, ekranami radarów i terminalami komputerów. Nikt się nie poruszał. Marszałek lotnictwa Kutuzow siedział z łokciami wspartymi na stole mapowym. Obok niego stał w skupieniu sekretarz generalny radzieckiej partii – złożył silne dłonie za plecami i miał w palcach połę marynarki. Głowę trzymał uniesioną ku niskiemu, łukowatemu sklepieniu i przechyloną nieco na jedno ramię, jak gdyby wsłuchiwał się w muzykę.

Jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu, na tyle głośnym, by zagłuszyć szum radioodbiorników i konsol szyfratorów, był głos Trecowa. Sekretarz generalny rozkazał, by taśmy z zapisem ostatnich chwil Trecowa zostały odtworzone ponownie, jak gdyby pragnął przetworzyć je, zmienić przekazywane przez nie informacje, przekształcić kłeskę w zwycięstwo. Na przekór samemu sobie Władimirow zasłuchał się w odtwarzane raz jeszcze ostatnie meldunki Trecowa. W Centrum Dowodzenia robiło się coraz bardziej gorąco. Dotkliwie odczuwał narastającą duchotę. Z pewnością nie był to tylko efekt przenikających go emocji, rosła temperatura powietrza. Musiała nawalić klimatyzacja. Było mu gorąco.

– Jestem za nim... Siedzę mu na ognie... Ostrożnie, ostrożnie... On nie robi nic, chyba zrezygnował... – W głosie pilota brzmiało podniecenie chłopaczka występującego przed rodzicami w doniosłym szkolnym meczu piłkarskim, w którym udało mu się zdobyć ostatniego, zwycięskiego gola. – Nic... Został

pokonany i wie o tym... – Ostrożnie, ostrożnie, powtórzył w myślach Władimirow. Chciał wykrzyknąć to z całą mocą, kiedy tylko rozpoznał nutę satysfakcji w głosie młodego pilota doświadczonego. Chłopak sądził, że ma tamtego w garści, zaliczył już Ganta w poczet martwych, zaczynał widzieć w myślach powrót bohatera... Ostrożnie! Nawet gdyby wykrzyknął wówczas ostrzeżenie do mikrofonu, i tak byłoby za późno. Trecow musiał umrzeć, zanim by je usłyszał. Ostrożnie!

– Mam już...

I to był koniec. Trzaski elektrostatyczne, a potem cisza. Absolutna, nieskończona, wypływająca z głośnika i niemal równie wyrazista jak słowa. Trecow nie znał Ganta, nie rozumiał go. I Amerykanin go oszukał. Wszystko wskazywało na to, że odpalił tylną zasłonę, a jeden z olbrzymich wlotów powietrza maszyny Trecowa łakomie połknął rozżarzoną kulę.

– Mam już... – powtórzyła taśma. Nie, to jeszcze nie koniec.

Jedynie Władimirow w tej chwili zrozumiał, że to koniec. Wyczuł zmianę głosu pilota w ostatnich słowach. – O Boże!... – zaskrzeczała taśma. Raz jeszcze Władimirowa przeszył dreszcz i bezwiednie skulił się w sobie”. Trzaski elektrostatyczne rozbrzmiały jak denerwujący dźwięk powolnego przeciągania paznokciami po tafli szkła, po czym ponownie w gorące powietrze Centrum Dowodzenia zaczęła się sączyć z głośnika martwa cisza.

O Boże...!

– Wyłączcie to... wyłączcie to! – wyjąkał Władimirow wysokim, napiętym głosem. – Cholera, macie zamiar delektować się nagraniem? Ten chłopak nie żyje!

Sekretarz generalny powoli zwrócił twarz w stronę Władimirowa. Jego szerokie, kwadratowe oblicze zdawało się być ściągnięte do granic możliwości. Szerokie nozdrza aż pobieleły z wściekłości, a oczy spoglądały spod półprzymkniętych, ciężkich powiek.

– Przerwa w łączności – oznajmił. Nawet siedzący obok Andropow sprawiał wrażenie zaskoczonego i zmieszanego.

– Nie – zaprzeczył ociężałe Władimirow, kręcąc głową. – Chłopak nie żyje. Drugi Firefox przestał istnieć.

– Skąd możecie o tym wiedzieć?

Władimirow wyczuwał, jak potężne dłonie sekretarza zaciskają się z wielką siłą za plecami.

– Ponieważ znam Amerykanina. Trecow był... zbyt gorliwy. Gant prawdopodobnie zabił go używając zasłony ogonowej.

– Czego?

– Samolot Trecowa połknął kulę ognia i eksplodował! Czy nie słyszeliście przerażenia w jego głosie? On nic już nie był w stanie zrobić!

Zapadła cisza. Wyraz twarzy Andropowa, a zwłaszcza jego wodniste oczy skryte za szklami w złotych oprawkach doradzały ostrożność, a nawet pokorę. Nie bądź głupcem, nie rozwścieczaj go teraz – ostrzegało spojrzenie przewodniczącego. Władimirow zdawał sobie z tego sprawę, ale jego złość wzięła górę nad świadomością, że człowiek w szarym garniturze stoi ponad wszelkimi tytułami, stanowiskami, stopniami i hierarchiami. Sekretarz generalny, przywódca Związku Radzieckiego, kontrolował całą sytuację. Mimo iż wielokrotnie sprawiał wrażenie zagubionego, władza tego polityka była absolutna, nawet teraz. Ciszę przerwał zimny jak stalowe ostrze głos sekretarza.

– A wy, generale Władimirow? Co wy jesteście w stanie zrobić?

Wygięte ramiona młodego radiooperatora siedzącego za plecami radzieckiego przywódcy znamionowały napięcie. Skóra na jego karku i uszy były silnie zaczerwienione. Z oddali dobiegł odgłos helikoptera wzbijającego się w południowe niebo i odlatującego z Biljarska z aresztowanym Kontarskim na pokładzie. Władimirow był świadom tej budzącej lęk, absolutnej mocy, którą dysponował jeszcze przed kilkoma chwilami, a która zaniknęła wraz z drugim Firefoxem. Podeszedł szybko do martwej powierzchni stołu mapowego, po czym zsunął popielniczkę, zapałki i stosik raportów na podłogę. Niedopałki rozsypały się w pobliżu błyszczących czarnych butów sekretarza generalnego, a popielnica potoczyła się pod krzesło operatora urządzenia szyfrującego, który wzdręgnął się.

– Dajcie mi Przylądek Północny i Norwegię! Szybko! – rzucił.

Operator komputera, zarządzającego stołem mapowym, jak zelektryzowany zaczął błyskawicznie przebierać palcami po klawiaturze. Martwa szarość zniknęła, a na jej miejsce wypłynęły błękit morza, zielone i brązowe plamy lądu – Norwegii. Najpierw wyblakłe, potem coraz jaskrawsze zarysy wyostrzyły się. Operator bez polecenia zaprogramował wyświetlenie bieżących pozycji samolotów, statków oraz łodzi podwodnych. Zarówno sekretarz generalny jak i przewodniczący KGB pozostali w pewnym oddaleniu od mapy.

Władimirow zwrócił uwagę na pozycję krążownika rakietowego „Ryga”, pościgowe łodzie podwodne z Floty Północnej Czerwonego Sztandaru oraz znajdujące się w powietrzu eskadry „Wilczego Stada”. Pozostawały nadal zeskądowane na obszarze na zachód od Przylądka Północnego.

Gdzie? – zadał sobie w duchu pytanie. Gdzie on teraz może być? Jest

zatankowany... Wszystko, czego potrzebuje, to pusta przestrzeń powietrzna.

Długi, wygięty niczym kręgosłup obszar Norwegii ciągnął się od szczytu aż po sam dół mapy, złożony z ciągów poszarpanych pasm górskich. Podobnie jak Ural, pomyślał Władimirow. Pod osłoną Uralu opuścił nasz kraj. Czy ponownie mógł skorzystać z osłony gór? Może...

– Jakies meldunki? – warknął. Nie sposób dłużej pozostawać ślepy, trzeba to jak najszybciej naprawić. – Jakies obserwacje wizualne, w podczerwieni?

– Nie, nic.

– Nic, towarzyszu generale.

– Nic.

Ów chór brzmiał szalenie przygnębiająco. Mimo to, kiedy uniósł wzrok, natopkał, jak mu się zdawało, pełne satysfakcji spojrzenie Andropowa. Klęska KGB podczas ochrony prototypowego Firefoxa należała już do przeszłości; uległa zapomnieniu, unieważnieniu. Władimirow z własnej woli podstawał się jako kolejny kozioł ofiarny.

– Bardzo dobrze. – Stare, wodniste oczy Kutuzowa przesłały mu ostrzegawcze spojrzenie. Było w nich jeszcze coś w rodzaju żalu, a także podziw dla lekkomyślności Władimirowa. Ale on nie potrafił się powstrzymać. Ta walka była dla niego tak realistyczna, tak bezpośrednia, jakby sam leciał trzecim Firefoxem. Nie poddałby się.

Oto otrzymał wyzwanie ze strony prawdopodobnie najlepszego pilota, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia, i musiał potwierdzić swą reputację najbardziej wszechstronnego, nowatorskiego stratega. Gant ustanowił warunki pojedynku, a Władimirow zgodził się na nie.

Miał już na końcu języka propozycję naruszenia norweskiej przestrzeni powietrznej. Zawahał się jednak, a jego dłoń zawisła niepewnie ponad łukowatym zarysem Norwegii, połyskującym pod powierzchnią stołu mapowego. Właśnie ta chwila zawahania ocaliła go, a w każdym razie pozwoliła uratować jego autorytet.

– Jest coś... – mruknął jeden z operatorów, odwracając się na krześle i przyciskając dłonią słuchawkę hełmofonu do ucha. Jego twarz rozblęśta zadowolaniem. Władimirow wyczuł, że gra zaczyna się na nowo.

– Tak, towarzyszu generale. Kontakt wizualny. Kontakt wizualny!

Było to jak nagły, oszałamiający, zapierający dech w piersiach cud. Operator kiwał głową wsłuchując się w słowa meldunku. Jego prawa dłoń z niezwykłą szybkością przesuwiała się nad notatnikiem.

– Głośnik! – warknął Władimirow.

Operator błyskawicznie wduśił przełącznik. Z umieszczonego nad głowami głośnika runęła lawina słów, przypominająca szczebiot podekscytowanego ptaka. Oczy sekretarza generalnego natychmiast zwróciły się w stronę głośnika. Głowy powędrowały ku górze, niczym chór szykujący się do śpiewu. Władimirow pozwolił sobie na szeroki uśmiech wręcz barbarzyńskiego zadowolenia.

Był oczywiście zaskoczony, a jednocześnie wdzięczny losowi. Zawahał się tylko na chwilę, a owa chwila okazała się zbawienna. Celował w Norwegię – zarys tego kraju nadal widniał przed jego oczyma i pod uniesionymi dłońmi jako dowód pomyłki – bo był to oczywisty błąd. Gant znajdował się nad Finlandią, nad neutralną, niewinną Finlandią. Na wysokości 40000 metrów. Dwa Mi-25 Foxbaty, także znajdujące się na wysokim pułapie, złapały kontakt wizualny i ruszyły w pościg. Wspiął się prawie na maksymalną wysokość. Po co aż tak wysoko? Kontakt był sprawą kilku sekund... Potrzebne rozkazy... Władimirow pobłogosławił w duchu operatora, który zdążył już zaprogramować nowe instrukcje. Górzysty, postrzępiony łuk Norwegii zniknął. Zarysy ładu rozplynęły się, zamazały, po czym pojawiły na nowo. Teraz główną część stołu mapowego zajmowały Finlandia, szwedzka Laponia oraz północna Norwegia. A jakie rozkazy?

Jego wzrok napotkał stanowcze, wyczekujące, a nawet rozbawione spojrzenie sekretarza generalnego. Wszyscy tu obecni zdawali sobie sprawę, że zaledwie o włos udało mu się uniknąć katastrofalnej pomyłki. Na wargach Andropowa błędził niewyraźny, drwiący uśmieszek uznania.

- Towarzyszu generale!
- Tak? – odparł zachrypniętym głosem.
- Tupolew AWACS przechwycił zamiar dwóch Foxbatów. Mamy...
- Wyświetlić obecną pozycję. Szybko!

Czekał. Zbliżała się chwila kontaktu, jeszcze tylko ułamki sekund. Gant ciężgle wznosił się, chociaż musiał już dostrzec samoloty... Potrzebne rozkazy... Zniszczyć? Co to było?

– Powtórzyc! – rozkazał sekretarz generalny, zanim Władimirow zdążył wykrzyknąć to samo polecenie. Rozkaz dotarł do odbiorcy i głos pilota Foxbata powtórzył ostatnią informację. Kropelki paliwa... cienki strumyk benzyny! Gant miał poważny wyciek paliwa. Wspiął się na tak wysoki pułap, żeby maksymalnie wykorzystać silniki, a następnie schodzić lotem ślizgowym, kiedy zabraknie paliwa. Podobnie jak już raz uczynił, poszukując łodzi podwodnej i pola lodowego.

– Zniszczyć!

– Nie! – krzyknął Władimirow. Sekretarz generalny popatrzył na niego, krzywiąc się jadowicie. Zrobił jeden krok w kierunku stołu mapowego. Pozycję dwóch Migów-25 wskazywała pojedyncza, jaskrawa, biała gwiazdka błyszcząca ponad fińską Laponią. Złożone dłonie Władimirowa wyciągnęły się w stronę punkciku światła, a następnie przesunęły w stronę Rosji.

– Nie – powtórzył. – Możemy go zawrócić! Możemy go zawrócić! Czy nie widzicie?

– Wyjaśnijcie. Wstrzymać rozkaz. – Dwaj mężczyźni spoglądali na siebie nawzajem ponad powierzchnią stołu mapowego. Kolory wyświetlanej mapy odbijały się na ich postaciach barwnymi plamami błękitów, brązów i zieleni.

– Wyjaśnijcie.

Dłonie Władimirowa przesunęły się i zawisły nad świecącą powierzchnią Laponii. Palec wskazujący prawej dłoni wyciągnął się w kierunku białej gwiazdki, przedstawiającej dwa Mig-25.

– Są o dwie sekundy za nim – powiedział. Uniósł na chwilę wzrok, ale twarz sekretarza generalnego pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Radziecki generał, z pasmem siwych włosów opadającym na wysokie czoło, w skupieniu zmarszczone w głębokie bruzdy, pochylił się znów, jakby zwracał się do stołu mapowego. – Już się zaczęło. Piloci będą umieli przegrupować się i wrócić bez konkretnych rozkazów. To dobrzy piloci. – Muszą być dobrzy, skoro znaleźli się w tamtej eskadrze, pomyślał. Dysponują unowocześnionymi Foxbatami-F, najlepszymi maszynami po samym Firefoksie. – Granica znajduje się tutaj. – Dźgnął kilkakrotnie palcem w powierzchnię stołu, jakby w pogoni za uporczywie umykającą mrówką. – Niewiele więcej niż sto kilometrów. Co najwyżej kilka minut lotu. Mogą zepchnąć go z powrotem! – Jeszcze raz uniósł wzrok znad stołu.

Zakłopotanie. Myśli radzieckiego przywódcy pozostały o całe sekundy w tyle za jego myślami. – Popatrzcie: mogą zrobić z nim tak... – Ponownie jego dłonie, skuliły się ponad mapą, wykonując gest spychania białej gwiazdki w stronę czerwonej linii granicy, dalej od zakropkowanych na niebiesko jezior, w kierunku intensywniejszych błękitnych plam – radzieckich jezior. Na ułamek sekundy Władimirow wspomniawszy przeczytane niegdyś krótkie opowiadanie Sołżenicyna o jeziorze ogrodzonym zasiekami z drutu kolczastego, mającym symbolizować jego kraj. Potrząsnął głową, chcąc uwolnić się od tej wizji. W jego głosie nie dało się jednak wyczuć żadnej zmiany. – Taki manewr wymaga bardzo wysokich umiejętności pilotażu, ale jestem pewien, że oni potrafią

tego dokonać. Kiedy tylko zepchną go na tę stronę granicy, będziemy mogli sprowadzić Firefoxa na ziemię. Prawie nie ma już paliwa, mogą za to ręczyć. Będzie musiał lądować. Możemy zepchnąć go wprost na lotnisko... jedno z naszych.

Uniósł głowę. Sekretarz generalny przez chwilę sprawiał wrażenie olśnionego. Skwapliwie skinął głową. Władimirow wyteżył słuch. Z głośnika płynęły słowa dowódcy dwóch Foxbatów, składającego meldunek o wyjściu z szyku, naruszeniu obcej przestrzeni i konieczności powrotu. Czas kontaktu: cztery sekundy.

– Zepchnąć go! Powtarzam, zepchnąć! – rzucił szybko. Mikrofon był włączony, mogli go słyszeć bezpośrednio. – Znacnie procedurę. Macie do granicy 145 kilometrów, nie więcej. Przyprowadźcie go do domu! – Uśmiechnął się, kiedy po krótkiej chwili wahania starszy z dwóch pilotów, wyraźnie tłumiąc chichot, potwierdził przyjęcie rozkazu. Na moment zapatrzył się na mapę, po czym wydał kolejne polecenie: – Połączcie mnie z wszystkimi dowódcami eskadr pierwszej linii ochrony granicy. Wszystkimi. A także z dowodzącymi eskadrami „Wilczego Stada”, które znajdują się już w powietrzu. Z wszystkimi dowódcami jednostek i eskadr, które dysponują Foxbatami-F. – Popatrzył w górę na radzieckiego przywódcę. Ponad jego ramieniem dostrzegł błysk światła odbitego od okularów Andropowa, ale zignorował wszelkie ostrzeżenia, jakie mógłby odczytać z wyrazu jego twarzy, i uśmiechnął się poufale.

– Wyślemy w powietrze wszystko, czym dysponujemy, co może osiągnąć ten pułap – oznajmił. – Amerykanin poczuje się jak ostatni pozostały przy życiu osadnik wewnątrz kręgu wozów obleganych przez Indian.

Sekretarz generalny przypomniał sobie chyba stare filmy o kowbojach i Indianach, które jako dziecko wybitnego członka partii miał przywilej oglądać, gdyż zaśmiał się.

Dyszący ciężko Władimirow ponownie skierował wzrok w dół na mapę. Musiał utrzymywać stały kontakt z dwoma pilotami, bezpośrednią łączność, jeśli miał nadzorować akcję przechwycenia Miga-31. Musiał wziąć to na siebie. Cała akcja nie powinna trwać dłużej niż osiem do dziesięciu minut, zanim inne Migi nie dościgną Ganta. Dwa Foxbaty będą przez ten czas działać w osamotnieniu, ale dadzą radę – przekonywał sam siebie. Żaden inny samolot nie był w stanie osiągnąć tak wysokiego pułapu z wyjątkiem Foxbatów-F. Na razie w tamtym obszarze znajdowały się jedynie dwie takie maszyny. Mapa, z wyraźnie zaznaczoną granicą i powoli przesuwanym się na południe wzdłuż jej zygzakowatej linii echem samolotu wczesnego ostrzegania Tu-126, zwanego

„Mchem”, wykonującego rutynowy lot, zdawała się potwierdzać jego optymizm.

Na chwilę, kiedy dwa Foxbaty wyskoczyły z szyku, mijając z prędkością 1,5 Ma samotnego Firefoxa, przedstawiająca je pojedyncza plamka świetlna zamieniła się w gwiazdę podwójną. Lecz po chwili iskierki światła ponownie zlały się w jeden biały punkt.

Samoloty wznosiły się w jego kierunku, po czym minęły go i znalazły się ponad nim. Nie zwolnił jednak żadnego z pozostałych pocisków Anab, wisiąły nadal po jednym pod każdym ze skrzydeł; siłą woli powstrzymywał się przed wyraźnym sformułowaniem w myślach rozkazu odpalenia rakiet. Dwa Foxbaty zламаły szyk, wyprysnęły w przeciwnych kierunkach, po czym wyłoniły się z purpurowego błękitu i poleciały w dół ku odległemu globowi niczym dwie zmęczone lotki od badmintonu. W końcu wyrównały lot i zaczęły znów nabierać wysokości niemal dotykając się skrzydłami, jak gdyby trzymały się za ręce. Celowały w niego jak oszczepy. Czas kontaktu: cztery sekundy. Znacznie zredukowały prędkość; wyglądało na to, że doradzono im nadzwyczajną ostrożność. Myśli Ganta ponownie skierowały się ku dwóm pozostałym pociskom typu powietrze-powietrze. Dwa Migi, oba unowocześnione Foxbaty-F. Dwa pociski. Paliwo – stan krytyczny.

W odróżnieniu od tamtych nie miał paliwa ani na to żeby walczyć, ani żeby uciekać. Musiał czekać, podobnie jak dwaj rosyjscy piloci, którzy – domyślał się – oczekiwali na rozkazy.

Samoloty zatańczyły, jeden z jego lewej, drugi z prawej burty, niczym korki na powierzchni niewidzialnej wody, nieco ponad nim, na pułapie 38000 metrów, po czym zastygły, podobnie jak on, niemalże podwieszane pod znajdującą się w górze purpurowo-czarną opoką. Na ekranie stanowiły jeden jaskrawy punkt, podczas gdy w pobliżu jego krawędzi wciąż poruszało się w ślimaczym tempie radarowe echo powolnego samolotu AWACS, patrolującego granicę radziecko-fińską. Odkrył jego obecność już podczas wznoszenia i wówczas uśmiechnął się tylko, uspokojony świadomością, że jest dla tamtego całkowicie niewidoczny. Ale teraz radary mogły widzieć dwa Foxbaty. Jego pozycja była znana. Wszystkim.

Strach minął szybko; zaskoczyło go, a jednocześnie uradowało, że ogarnął go na tak krótko. Pogodził się ze swoją rolą. Musiał czekać, aż tamci zaatakują. 37 200 metrów. Rozpoczął już swój powolny ślizg na północny zachód, ale w

tej sytuacji raczej nie miał szans kontynuować go w spokoju. Zacisnął dłoń na dźwigniach sterowania silnikiem, nie przesunął ich jednak ani w przód, ani w tył. Powoli, jakby bardzo zmęczony, Firefox zniżał lot.

Rozejrzał się na boki. Dwa Foxbaty ostrożnie zbliżały się do niego. Każdy z pilotów widział go dokładnie przez szyby kabiny. Musieli już zauważyć, że dysponuje tylko dwiema raketami. Na pewno wiedzieli także o wycieku paliwa i domyślali się powodów, dla których wspiął się na tak wysoki pułap. Musieli być pewni siebie. Domyślał się, że rozkazy i meldunki krzyżujące się w słuchawkach ich hełmofonów tworzyły nieustanną kakofonię. Już niedługo. Gant uaktywnił system uzbrojenia, włączył obwody sterowania raketami, skalkulował czas, jakim w przybliżeniu dysponował. Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał do końca wykorzystać silniki, zużyć resztki paliwa, jeśli chciał umknąć Foxbatom.

Myśliwiec z prawej, znajdujący się od niego nie dalej jak dwieście metrów, był wyraźnie widoczny w promieniach słońca. Gant czekał, pocąc się coraz obficie, lecz jego myśli pozostały chłodne i klarowne.

Foxbat przechylił się i zaczął powoli zbliżać do niego. Serie z działka przeleciały daleko przed dziobem, a rosyjski pilot położył się na skrzydło i zaczął ześlizgiwać w dół, ginąc poniżej krawędzi burty i znikając z pola widzenia. Szybko pochylił Firefoxa w lewy skręt...

Na końcach skrzydeł pojawiły się płomyki z wylotów luf. Foxbat z profilu, gwałtowny obrót nieba nad głową, uchwycony w mgnieniu oka zarys lecącego z lewej Foxbata, utrzymującego nadal ten sam kurs. Zanurkował pod nim i szybko wyrównywał lot, spoglądając na ekran radaru. Dwa punkciki. Zerknął w lustro, potem na ekran radaru, na niebo ponad głową – lustro, radar, niebo...

Tańczące korki. Kiedy wrócił na kurs, znowu znalazły się po obu jego bokach. Odległa plamka Tupolewa AWACS na krawędzi ekranu, daleko w przodzie.

Spojrzał w lewo, potem w prawo. Dostrzegał sylwetki pilotów. Przyglądał się im, podobnie jak oni jemu. Zrozumiał ich zamiary. Musiał uchylić się przed serią z działka, ale nie zszedł w dół. Udowodnił im, że obawia się opustoszenia zbiorników w każdej chwili. Zrobił to równie dobitnie, jakby powiedział im wprost.

Lewa burta, prawa. Lewa, prawa... Głowa Ganta obracała się to w jedną, to w drugą stronę. Przy każdym zwrocie jego wzrok prześlizgiwał się po tablicy, rejestrując wskazania przyrządów i wygląd ekranów, jakby stanowiły one jakieś maleńkie, precyzyjne czujniki przymocowane do jego skóry czy też opuszków

palców. Czekał na jakikolwiek ruch. Wiedział, że jest bezpieczny między dwoma samolotami – nie mogli użyć swych rakiet typu AA-6. Znajdowali się zbyt blisko jeden drugiego, by mieć pewność, że nie trafią się nawzajem. Mogli je wykorzystać tylko wtedy, gdyby jeden nagle zanurkował, drugi natomiast odpalił rakietę.

Ale obaj piloci utrzymywali stałą wysokość.

Już tylko 30 000 metrów. Wraz z nim ześlizgiwali się powoli w dół, dokładnie równoległe do jego kursu. Mógłby spróbować umknąć im, wspiąć się na niedostępny dla nich pułap. Nie, nie mógł tego zrobić... Obliczył szybko, że nie wystarczy mu na taki manewr paliwa. 29 000 metrów; ciągle schodzili w dół... Wciąż razem – długie, smukłe sylwetki opadające spod ciemniejącego sklepienia nieba. Trzydzieści kilometrów ponad ziemią.

28 500 metrów... trzy pięćdziesiąt... trzy...

Lewy Foxbat-F zbliżał się powoli do niego, niczym ogromne zwierzę szykujące się do napaści. Poszedł skosem w bok i w górę; cień samolotu padł na kabinę Firefoxa, legł w poprzek tablicy przyrządów. Skraj słońca wyzierał spod zbliżającej się maszyny.

Gant ujrzał wyraźnie przeciwśoneczną osłonę hełmu pilota i zrozumiał sens wykonywanych przez niego dłonią znaków. Nakazywali mu zawrócić pod eskortą sowieckich pilotów i lądować w granicach Rosji. Zmień kurs... podążaj za mną... ląduj – głosiła sygnalizacja. Gant popatrzył na zwróconą w jego stronę twarz pilota. Przekazał gestem znak zgody, a równocześnie całe jego ciało naprężyło się. Czy zwłoka nie była zbyt długa? Czy jego znak potwierdzenia wyglądał wiarygodnie?

Czekał.

Wreszcie Foxbat przechylił się w lewo i stopniowo zaczął zniżać lot. Gant zauważył, że powoli przyspiesza. Drugi Foxbat nadal kurczowo trzymał się jego prawej burty, jak gdyby w obawie przed jakąś sztuczką. Pochylił dziób Firefoxa, idąc śladem rosyjskiego samolotu. I wtedy wydał rozkaz. Lewe skrzydło podskoczyło i dostrzegł jedynie ogień z dyszy wylotowej rakiety Anab, która wyrwała do przodu. Pognała z przerażającą szybkością śladem zniżającego lot Foxbata. Ciągnąca się za nią smuga przypominała naprężony ogon psa gończego; zaczęła szukać i szybko znalazła Foxbata, będącego źródłem emisji ciepła, po czym obrała kurs na niego. Gant wykonał gwałtowny skręt, chcąc zejść z ewentualnej linii ognia drugiego Foxbata. Dostrzegł jeszcze, jak z silników schodzącego myśliwca wystrzelił ogień, a samolot skoczył do przodu i w górę, wręcz stając na ognie. Szybkość, z jaką został wykonany ten manewr

taktyczny, zmyliła czujniki pocisku z Firefoxa. Rakieta pomknęła dalej zygzakowatą linią ku ziemi. Jej zapas paliwa powinien się wyczerpać na wiele kilometrów przed osiągnięciem powierzchni.

Gant ściągnął na siebie drążek sterowy, popychając jednocześnie dźwignie gazu do przodu. Znow zaczął się wznosić. Zdradził się ostatecznie. Nie miał teraz najmniejszych szans, aby kontynuować lot w kierunku Norwegii, licząc na szczęśliwe zakończenie. Ale nie miał też zamiaru dać się zagonić z powrotem do Rosji.

Foxbat zbliżał się ponownie, biała plamka powoli sunęła w kierunku środka ekranu. Drugi Foxbat nie podjął wyzwania, trzymał się go kurczowo – wykonał dokładnie taki sam gwałtowny skręt, potem wyrównał, pojawił znow po prawej burcie, a następnie zaczął się wspinać razem z nim. Zachowywał wyjątkową pasywność, jak gdyby jego towarzysz, niczym małe dziecko, oddalił się tylko w zabawie, a teraz powracał ku zadowoleniu rodzica. Z pewnością obaj piloci dostali rozkaz nie podejmować walki, nie niszczyć go – przynajmniej do czasu, dopóki będzie posłuszny ich rozkazom i nie będzie próbował uciec.

Tańczący korek. Drugi Foxbat już zawracał, przybliżał się, ponownie zajmował pozycję na jego lewym skrzydle. 35 000 metrów...

Samolot AWACS znajdował się po radzieckiej stronie granicy, od której dzieliło ich niecałe 27 kilometrów. Gant zrozumiał, co zamierzają zrobić. Leciał między nimi, ostrożnie, nie mając praktycznie żadnego pola manewru – jak owca między dwoma psami. Byli już prawie z powrotem w Związku Radzieckim. Pociągnął do siebie dźwignie gazu, wyrównał lot, po czym delikatnie pchnął drążek do przodu, pochylając dziób Firefoxa. Niczym zwierciadlane odbicia – tyle że srebrzyste, a nie czarne – dwa Foxbaty w zgodnym duecie pochylały dzioby, zaczynając schodzić razem z nim.

24 kilometry... do granicy...

33000 metrów... wysokości...

Foxbaty przypominały smukłe, groźne srebrzyste ryby, opadające równolegle do niego w głębinę. Raz jeszcze wydało mu się, że słyszy szum powietrza omiatającego osłonę kabiny, zupełnie jakby szybował podwieszony pod lotnią. Koniec skrzydła Foxbata z prawej burty drżał z lekka, wzmagając wrażenie kruchości, spowolnienia czasu... bezsilności.

Pchnął Firefoxa w ciasny skręt. Z przyprawiającą o ból gwałtownością niebo i ziemia zamieniły się miejscami. Zmniejszył ciąg. Kiedy horyzont powrócił do normalnego położenia zauważył, że znajduje się zaledwie nieco w tyle i na

prawo od jednego z Foxbatów. Rozejrzał się dookoła...

Myśliwiec z lewej burty wykonał bliźniaczy manewr i także zwolnił. Dostrzegł jego sylwetkę w lusterku wstecznym. Nadal był w potrzasku. Gdy zrozumiał, że wystawił się na cel, znów na chwilę ogarnął go strach. Ale rosyjski samolot zaraz wyrównał do niego, pojawiając się znowu po prawej burcie. Pilot pomachał mu ręką. Zupełnie jakby byli na ćwiczeniach przed pokazami lotniczymi.

Dziewiętnaście kilometrów.

30 000 metrów. Daleko w dole niczym gruby dywan leżała warstwa chmur; powietrze wyraźnie przyjmowało niebieski odcień. Osiemnaście i pół kilometra do celu. Samolot AWACS wciąż niestrudzenie wykonywał swój patrol, a jego echo przesuwano się powoli po ekranie radaru. Nie pojawiło się jednak żadne inne echo, chociaż Gant zdawał sobie sprawę, że wszystkie przygraniczne eskadry czekają tylko na rozkaz, żeby wzbic się w powietrze. W kilka minut po starcie dotarłyby do jego pozycji, a tu już otoczyłyby go niczym rój much, tłocząc się z każdej strony.

Lewy Foxbat pochylił się nieco, zmniejszając dzielący ich dystans, a jego cień ponownie padł na kabinę Firefoxa. Gant spoglądał, jak tamten zajmuje pozycję dokładnie ponad nim, nie wyżej jak trzydzieści metrów nad jego głową. Kiedy zniżył nieco lot, Foxbat jeszcze bardziej zwiększył kąt schodzenia ku ziemi, naciskając na niego tak nachalnie, jakby zamienił się w żelazko do prasowania. Chcąc nie chcąc, Gant także musiał zwiększyć kąt opadania, klnąc z bezsilności.

Wspaniale. Znakomici piloci. Dysponujący ośmioma pociskami typu AA-6.

Czternaście i pół kilometra – 24 000 metrów.

Trzy samoloty ześlizgiwały się ku ziemi... mijały sekundy... 21 500 metrów... mijały sekundy... jedenaście kilometrów...

Wspaniale. Za tą akcją, za padającymi rozkazami musiał kryć się nieprzeciętny intelekt – pomyślał. Cisza panująca w kabinie dodatkowo napierała na niego, podobnie jak czynił to wiszący nad nim rosyjski samolot. UHF...

Włączył odbiornik. Zawahał się jeszcze przez chwilę, wreszcie wduśił przycisk automatycznego wyszukiwania fali. Czerwony ognik zamigotał, zamrugał, by w końcu po odnalezieniu fali nośnej zapłonąć na stałe.

W słuchawce szczechnął jakiś głos mówiący po rosyjsku. Gant włączył automatyczne dostrajanie. Mówił jeden z pilotów Foxbatów, potwierdzając odbiór instrukcji. Gant uśmiechnął się. Porozumiewali się na jednym z najściślej

tajnych taktycznych kanałów łączności o zmiennych częstotliwościach, jakich używała armia radziecka. Czerwony punkcik migotał lekko w rytm zmian częstotliwości fali, jakieś dwa czy trzy razy na sekundę. Ale odbierany przez niego sygnał był stabilny.

– Ściągnijcie go na dół – usłyszał głos człowieka, który z Biljarska kontrolował całą sytuację. – Sprowadźcie go jak najszybciej na ziemię.

Padło potwierdzenie przyjęcia rozkazu. Gant uniósł wzrok na wiszącego ponad nim Foxbata, którego dziób jeszcze bardziej opadł w dół, a pilot precyzyjnie dostosowywał szybkość do prędkości Firefoxa. Bezwolnie zwiększył kąt opadania samolotu, zachowując bezpieczną odległość między dwoma maszynami. Nagle rosyjski myśliwiec zaczął zsuwać się powoli w bok, jak gdyby zdmuchiwany powiewem wiatru, po czym gwałtownie zbliżać ku niemu. W tym samym momencie w jego słuchawkach rozbrzmiały szybkie głosy obu pilotów Foxbatów. Maszyna z prawej strony zaczęła sunąć nieco w górę i skosem w jego stronę, pochylając się lekko. Wreszcie także zaczęła naciskać na niego z góry, jak gdyby rozrzedzone powietrze nie mogło utrzymać jej ciężaru.

Oba rosyjskie myśliwce zbliżały się powoli, nieubłaganie, ku szczytom jego skrzydeł, jakby z zamiarem oderwania mu ich. Pomachał lekko skrzydłami, chcąc w ten sposób odpędzić intruzów, odegnać niczym natrętne muchy. W słuchawkach znowu rozległy się głosy, ale większość wypowiedzianych szybko rosyjskich słów była na tyle zniekształcona, że nie rozumiał ich. Mieli widocznie zamiar wyprowadzić go z równowagi.

Sześć i pół kilometra – 18 500 metrów...

Po chwili na tej samej częstotliwości usłyszał polecenie:

– Rozkazać start wyznaczonych eskadr!

Od zachodnich krańców Półwyspu Kolskiego, gdzie stacjonowały najnowsze przechwytyjące Migi, dzieliło ich zaledwie kilka minut lotu z maksymalną prędkością. A mieli przecież tyle paliwa, że mogli je trwonić do woli, wręcz marnotrawić.

Jego czas dobiegał końca, kurczył się także bezpieczny dystans. Trzy kilometry. Oto znajdował się już niemal wprost nad granicą, w Rosji.

Dwa Foxbaty napierały na niego z góry. Wysokość: 15 000 metrów. Lot wszystkich trzech samolotów można już było śmiało nazwać nurkowym. Dwaj rosyjscy piloci sprowadzali go w dół i spychali na wschód, poprzez gęstniejącą atmosferę, w kierunku leżącej poniżej warstwy chmur.

Nurkować...

Gant odepchnął drążek do przodu i pchnął dźwignie gazu prawie do zapadki przegrzewania. Firefox z rykiem silników Tumańskiego skoczył w stronę warstwy chmur. Dostrzegł, że oba Foxbaty przyspieszają, starając się zmniejszyć powstałą nagle lukę. Wysunął hamulce aerodynamiczne, wprowadzając trzęsący się samolot w ciasną beczkę i gwałtownie zmieniając kierunek lotu. Jednocześnie zszedł z linii ognia siedzących mu na ogonie Foxbatów i powiększył dzielący go od nich dystans. Wychodząc z zawrotu schował hamulce i zmniejszył nieco ciąg. W lusterku wstecznym błysnęły na chwilę i zaraz zniknęły dwie porzucone gwiazdki. Biała plamka na ekranie radaru zaczęła oddalać się od niego. Srebrzysty ogon kropelek rozproszył się za nim w wyraźną mgiełkę. Biała kropka na ekranie zatrzymała się, zmieniła kurs, powtarzając wykonany przez niego manewr, po czym zaczęła pełznąć z powrotem w kierunku środka ekranu. W słuchawkach rozbrzmiał gwar głosów Rosjan, zarówno pilotów, jak i dowódców z Biljarska.

Ponownie wysunął hamulce aerodynamiczne, gwałtownie zmniejszając prędkość, potem znów wszedł w beczkę i wykonał zwrot, schował hamulce i zwiększył ciąg. Raz jeszcze dwa Foxbaty zostały daleko w tyle i z boku za jego ogonem. Czuł, jak skafander opinający całe ciało próbuje niwelować skutki gwałtownych przeciążeń. Leciał teraz prosto na zachód, w poprzek neutralnej Finlandii, w stronę Norwegii. Nie miał pojęcia, jaki dystans mógł jeszcze przebyć z opróżnianymi szybko zbiornikami. Nie wiedział, jak wiele paliwa zostawia za sobą w postaci strumyka połyskujących diamentowo kropelek. Ale każda odległość, na jaką mógł oddalić Firefoxa od granicy rosyjskiej, była dobra, pożądana i niezbędna.

Foxbaty zmieniły kurs i znów zbliżyły się do niego. Hamulce aerodynamiczne, beczka, zawrót, schować hamulce, zwiększyć ciąg. Raz jeszcze zawirował niczym opadający skrzydlaty strączek klonu.

9000 metrów... 7500... 6000... 5500... skala wysokościomierza przesuwawała się szybko. Biała kropka, przedstawiająca sztywną formację dwóch Foxbatów, utrzymywała się niezmiennie w dolnej połowie ekranu. Jakieś półtora kilometra za nim...

4300 metrów. Słońce zniknęło i nagle oślepl, zanurzając się w wielkiej szarej chmurze, którą pęd samolotu rozrywał na strzępy – na tyle jednak grubej, by przesłonić światło. 3000 metrów...

Dwa i pół tysiąca, dwa, tysiąc osiemset...

Wysunął hamulce aerodynamiczne i ściągnął na siebie drążek. Firefox zaczął wyrównywać lot.

Tysiąc dwieście metrów... dziewięćset... osiemset... siedemset pięćdziesiąt. Biała plamka rozdzieliła się na dwa małe punkciki, sunące w kierunku środka ekranu. W słuchawkach krzyżowały się głosy. Z Biljarska padł rozkaz, by wszystkie eskadry przygraniczne z maksymalną prędkością zdążyły do punktu, gdzie po raz ostatni miał miejsce kontakt wizualny, zanim Firefox nie wszedł w chmury.

Chmury, chmury...

Sygnalizator zbliżeniowy znów odezwał się urywanym piskiem, kiedy dwa Foxbaty podeszły bliżej.

450 metrów. Na moment ujrzał ponurą, ośnieżoną krainę, z horyzontem zamkniętym pasmem niewysokich białych wzgórz oraz monotonnym szarym niebem powyżej. Ściągnął drążek do tyłu, z powrotem zanurzając Firefoxa w chmurach. Świat skurczył się nagle, spowijając ciasno kabinę strzępiastymi obłokami. Zwolnił prawie do prędkości przeciągnięcia, czując jak poziom adrenaliny, napięcie nerwów, strach i wydzielanie potu zmieniają się w rytm podejmowanych decyzji. Dyszał ciężko i szybko, aż przysłona hełmu zaczęła okrywać się rosą. Nad brwiami wisiały ciężkie krople potu. Dwa białe punkty przyspieszyły swój marsz w kierunku centrum ekranu. Poruszały się na ślepo, lecz z zadziwiającą pewnością siebie. Musiały go minąć w odległości mniej więcej kilometra, na prawo od jego obecnego kursu. Na krawędzi ekranu pojawiły się inne, nowe punkciki, przypominające kibiców wdzierających się na boisko piłkarskie. Zaprogramował stałe wyświetlanie odległości dzielącej go od zbliżających się eskadr. Po chwili zmienił instrukcje na wyświetlanie czasu kontaktu z celem. Ekranik komputera pokazał dwie minuty i siedem koma cztery sekundy. Odległość między Foxbatami zaczęła się szybko zwiększać i Gant zrozumiał, że jeden z nich wznosił się ponad pułap chmur; obrali taktykę zmierzającą do odnowienia kontaktu wizualnego, gdyby nagle zaczął nabierać wysokości. Wy-skoczyłby z chmur wprost w oślepiające światło słoneczne, wchodząc w zasięg rażenia tamtego. Uśmiechnął się.

Pochylił Firefoxa, kierując go na kurs zbliżeniowy w stronę drugiego Foxbata, kontynuującego poziomy lot w warstwie chmur. Uzbroił swój ostatni pocisk Anab i czekał. Skasował wskazania komputera, wprowadzając stałe wyświetlanie odległości od Foxbata. Dystans do celu – 3600 metrów, 3100, 2700... Sięgnął do konsoli z lewej strony i włączył system sterowania myślowego.

Musiał trafić. Wybrać najdogodniejszy moment. Rakiety Anab, załadowane do pustych wyrzutni przez załogę łodzi podwodnej na polu lodowym, nie były

zaopatrzone w system sterowania połączone z jego układem myślowego kierowania pociskiem. Były to starsze modele, pochodzące z Foxbata przechwyconego w Syrii. Musiał polegać wyłącznie na własnym wyczuciu, na doborze właściwego momentu. Po odpaleniu nie miał już żadnego wpływu na tor rakiety.

1400 metrów... 1300, 1150, 1000, 900... 800, ognia. Precyzyjnie sformułował polecenie myślowe, po rosyjsku, i poczuł, jak Anab oderwał się od skrzydła i runął do przodu. W chmurze zabłysła pomarańczowa luna, lecz zaraz zniknęła. Wpatrywał się w ekran, gdzie jaśniejący w podczerwieni wylot gazów spalinyowych pocisku szybko pokonywał niewielki dystans dzielący go od Foxbata. Rosyjski myśliwiec, ślepy w warstwie chmur, obniżał nadal swój lot niczym białe meteoryt. Ekran jego radaru nie powinien nic pokazywać.

Nagle biała kropka gwałtownie zmieniła kurs. W słuchawkach pilota musiał rozbrzmieć alarm zbliżeniowy. Pomarańczowa plamka również skrzyła, zbliżała się po przekątnej... Biała kropka wyraźnie przyspieszyła, znów zmieniła kurs, zaczęła nurkować zakosami. Pomarańczowy ogień, niczym wierny pies, gonił za nią, przyspieszał, łowiąc fale radaru i inną elektromagnetyczną emisję z Foxbata, z każdą sekundą zbliżając się do niego. Lawirował śladem białej gwiazdki, wciąż bliżej i bliżej...

Na ekranie pojawił się krótki rozbłysk, a po chwili zostały na nim jedynie biała kropka drugiego Foxbata lecącego ponad chmurami, powoli przesuwające się echo samolotu AWACS oraz jeszcze bardziej odległe, na samej krawędzi ekranu, radarowe ślady stada przechwytywaczy. Gant pochylił Firefoxa i zwiększył ciąg, kierując samolot na nowy kurs, wiodący prosto na zachód. Wysokość: 920 metrów. Szybkość: 500 kilometrów na godzinę. Paliwa brak.

Gromada białych punkcików pędziła w stronę środka ekranu radaru, w kierunku zanikającego szybko echa, które jeszcze chwilę wcześniej znaczyło pozycję samolotu oraz żywego człowieka. Chmury przesunęły się dokoła niego, teraz już wyraźnie cieńsze, rozdzielające się na pasma.

Spiął się cały przed pierwszym kontaktem wizualnym po wyjściu z warstwy chmur.

Na północ od Leicester samochód ministerialny skręcił z autostrady M1, by drogą A46, przez Newark i Lincoln, dotrzeć do Scampton w porze lunchu. Przećniął płaski krajobraz pod zaciągniętym ciężkimi chmurami niebem. Minął

trzy miodowej barwy wieże katedry w Lincoln, górujące nad czerwonymi dachami miasta, i wkrótce znalazł się na wąskiej drodze, wiodącej między zbitymi z rozsychających się żerdzi ogrodzeniami, ku bramie wjazdowej do jednostki RAF.

Kenneth Aubrey przez całą drogę wylewał z siebie potok słów, podekscytowany jak dziecko wyjeżdżające na wakacje. Obu Amerykanom, Buckholzowi i Curtinowi, owa niezgłębiona, niewyczerpana radość z sukcesu operacji „Fire-fox” wydawała się nieco męcząca. Wartownicy sprawdzili ich przepustki, po czym skierowali wprost do budynku dowództwa jednostki.

Pułkownik lotnictwa Bradnum już czekał na schodach głównego budynku administracji, dwupiętrowego gmachu z czerwonej cegły, i szybkim krokiem ruszył w kierunku samochodu, nim ten zdążył zatrzymać się na dobre.

Aubrey dosłownie wyskoczył z tylnego siedzenia, żeby uściskać dłoń Bradnuma, a uśmiech na jego twarzy zmienił się w coś graniczącego z wulgarnym wyszczerzeniem zębów. Surowe rysy twarzy Bradnuma rozjaśniły się nieco w odpowiedzi. A więc wszystko było w porządku. Wszystko w porządku.

– No i co, pułkowniku? – filuternie zapytał Aubrey. Buckholz i Curtin wysiadali z samochodu zdecydowanie mniej energicznie i z większym dostojeniem, choć na ich twarzach malowało się nie mniej radosne wyczekiwanie.

– Teraz jest już chyba bezpieczny – odparł Bradnum.

Aubrey popatrzył na zegarek.

– Samolot British Airways startuje ze Sztokholmu za trzydzieści minut. Mam nadzieję, że Gant zjawi się tam o czasie, prawda, Charles? – zwrócił się do Buckholza, który najpierw wzruszył ramionami, ale zaraz przytaknął ruchem głowy. – Och, proszę mi wybaczyć, pułkowniku. To jest Charles Buckholz z CIA oraz kapitan Eugene Curtin z Biura Szefa Sztabu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych... – Wymieniono uściski dłoni. Kiedy formalności dobiegły końca, ponownie odezwał się Aubrey:

– Powiedziałaś, że teraz jest już chyba bezpieczny. Dlaczego: chyba? Czyżby coś się stało?

Twarz Bradnuma sposepniała.

– Nimrod, na wasz rozkaz, śledził wybraną dla Ganta trasę przelotu...

– Tak, tak – rzucił niecierpliwie Aubrey. – I co?

– Jeszcze parę minut temu nie było w tamtym obszarze nic, z wyjątkiem

rosyjskiego samolotu AWACS po sowieckiej stronie granicy z Finlandią.

– A teraz...?

– Teraz pojawiły się dwa przechwytyjące Foxbaty, odebraliśmy mnóstwo zaszyfrowanych informacji przesyłanych drogą radiową, i... – Bradnum wzruszył ramionami. Jego uśmiech, odzwierciedlający wykrzywienie twarzy Aubreya, był zupełnie nieusprawiedliwiony, klócił się z przekazywanymi wiadomościami. – Eastoe z Nimroda utrzymuje, że oba samoloty wznosiły się bardzo szybko, jak gdyby...

– Kursem przechwytyjącym?

– Były na tyle blisko, że mogły dostrzec Firefoxa. Tak twierdzi Eastoe.

– Dlaczego nas nie poinformowano? – wtrącił grobowym głosem Buckholz.

– To wydarzyło się zaledwie kilka minut temu.

– A od tamtej pory?

– Eastoe donosił o częstym manewrowaniu...

Aubrey odwrócił się twarzą na południe, w stronę pokrytych rosą pasów startowych. W odda[^], za hangarami i innymi budynkami, za masztami i szeregami słupków perymetrycznych, zbłąkany promień słońca oświetlił wieże katedry w Lincoln, zbudowane z żółtego wapienia. Po chwili zgasł, kryjąc się za dryfującymi powoli chmurami, a wieże ponownie wtopiły się w mgiełkę na horyzoncie. Obrócił się z powrotem w stronę Bradnuma.

Ryk startującego myśliwca RAF, Vulcana, wdarł się w pełną napięcia ciszę, niczym kpiący z nich, niepotrzebny intruz.

– Znam Eastoego. Jakie są jego przypuszczenia? – zapytał cicho Aubrey. – Powinien zinterpretować te obserwacje i przedstawić wnioski bez dodatkowych poleceń.

Bradnum skinął głową.

– Foxbaty utrzymywały ścisłą formację i bardzo powoli obniżały lot przez jakieś dwie minuty. Sądzi, że Firefox znajduje się z nimi. Cała akcja wygląda na zbyt przemyślaną, by jej powodem mogło być coś innego.

Aubrey strzelił palcami, chcąc w ten nieadekwatny sposób dać upust swej wściekłości i determinacji.

– Musimy porozmawiać z Eastoem – zwrócił się do Buckholza. – Natychmiast. Z waszej Centrali Operacyjnej, pułkowniku. Proszę nas zaprowadzić.

Kątem oka złowił jeszcze kolejny promień słońca, który jakby ostrzegawczo padł na odległe wieże katedry. Aubreya przeszył dreszcz wywołany chłodnym wiatrem.

– Co teraz? Co teraz? – dopytywał się sekretarz generalny. Tu-144 leciał na wysokości 15000 metrów, mając za sobą już ponad 150 kilometrów drogi z Biljarska do Moskwy.

Władimirow opierał się ciężko o krawędź stołu mapowego, utkwivszy wzrok w czarnych włoskach porastających zaciśnięte w pięści dłonie radzieckiego przywódcy, wsparte po przeciwnej stronie stołu. Były wśród nich również siwe włosy.

Raport pilota drugiego Foxbata potwierdzał, że kontakt wizualny z Firefoxem został utracony. Gant ukrywał się gdzieś pośród warstwy chmur o grubości trzech i pół do czterech kilometrów. Leciał na małym ciągu silników, co znacznie utrudniało ustalenie jego kursu za pomocą szperaczy podczerwieni, a niemal całkowicie wykluczało wykrycie i skuteczny atak. A właśnie tylko atak mógł być następnym rozkazem. Władimirow zdawał sobie z tego sprawę. Dla niego gra była już skończona. Zwiedziony wyjątkową pasywnością Amerykanki oraz sukcesem obu pilotów Foxbatów, z fatalnym skutkiem opóźnił rozkaz startu eskadr przygranicznych z Półwyspu Kolskiego. Teraz znowu błędził po omacku, systemy antyradarowe Firefoxa skutecznie ukrywały go przed ich oczyma. Ani drugi Foxbat, ani też Tupolew AWACS „Mech” nie były w stanie określić jego pozycji.

Najbliższa przyszłość Władimirowa zdawała się coraz trudniejsza do przewidzenia. Jego duma została zraniona. Po raz kolejny zgubił Amerykanina i tego właśnie nie mógł sobie darować. Wściekłość pozostałych mężczyzn nie interesowała go ani trochę.

W końcu uniósł wzrok na radzieckiego przywódcę. Twarz tamtego wydawała się aż ciemna od normalnej dla niego wściekłości i charakteryzującej go nieustępliwości. Groźba. Twarz tyrana. A przecież ten głupiec nie miał żadnych własnych pomysłów... nie miał żadnej koncepcji...!

Skupione punkty świetlne, przedstawiające rozrzucone myśliwce przechwytyjące, głównie Migi-25 oraz szturmowce o zmiennej geometrii skrzydeł, Migi-27, przesuwały się gromadnie na tle jaskrawej mapy w kierunku granicy fińskiej. Inna grupa światełek pędziła w kierunku południowo-wschodnim z miejsca koncentracji leżącego na zachód od Przyłądka Północnego. Ale dla nich czas kontaktu nadal przekraczał sześć minut. Tupolew AWACS zmienił kurs i

choć był to jedynie nic nie znaczący manewr, teraz patrolował tylko stukilometrowy odcinek granicy, wewnątrz którego Gant przekroczył – przekroczył, przypomniał sobie dobitnie – granicę rosyjską. Pojedynczy punkcik ostatniego Foxbata kręcił się i wirował, zahaczając na mapie ciasne koła, niczym umierająco owad.

– W przeciągu dwóch minut będziemy dysponowali w tamtym obszarze osiemnastoma, a nawet dwudziestoma czterema samolotami – odezwał się Władimirow ponurym głosem. – Kontakt wizualny zostanie ponownie nawiązany.

Sekretarz generalny parsknął, po czym wyduł wargi i zacisnął mocno szczęki.

– A co zrobicie, kiedy go zobaczą? O ile, rzecz jasna, to nastąpi – odezwał się w końcu.

– Ja... czekam na wasze rozkazy, towarzyszu sekretarzu generalny... – oznajmił poskromiony Władimirow cichym głosem. Za plecami radzieckiego przywódcy marszałek lotnictwa Kutuzow skinął głową, kierowany na równi mądrością i tchórzliwością charakterystycznymi dla jego wieku. Ten dowód uległości sprawił przykreść Władimirowowi. Andropow uśmiechał się krzywo, kiwając nieznacznie głową w kierunku generała, co miało oznaczać uznanie dla niespodziewanego wyczucia sytuacji i właściwej ostrożności – wola przeżycia przede wszystkim. Sekretarz generalny, w pierwszej chwili zaskoczony, szybko złagodniał.

– Bardzo dobrze – rzekł, pochylając się nad stołem mapowym, którego jaszkrawe barwy rzuciły kolorowe odbłaski na jego postać. Wyglądało to na parodiowanie fachowca, małpowanie stratega. Sekretarz generalny był komisarzem politycznym w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Jego życiorys – nawet w tej wygładzonej, obowiązującej obecnie, książkowej wersji – sugerował, że zabił o wiele więcej żołnierzy Armii Czerwonej niż nazistów. Nie, nie – ostrzegł sam siebie Władimirow, siłą opanowując zdradliwe drżenie dłoni. Zaczęłeś to, a więc rozegraj do końca.

– Bardzo dobrze – powtórzył sekretarz generalny. – My... zaczekamy, aż nasze siły dotrą w ten obszar. – Uniósł wzrok na Władimirowa, jakby czekając na aprobatę, i generał skwapliwie skinął głową.

Mistrzowskie – ironicznie stwierdził w duchu Władimirow. – Iście mistrzowskie. Na głos zaś powiedział:

– Czas kontaktu najbliższych eskadr: jedna minuta. Rozkażcie im, żeby skoncentrowali się na szperaczach podczuwieni, żeby przeczesywali cały obszar. Gant jest niemal zupełnie bezbronny i kończy mu się paliwo. – Nawet

jemu samemu ten optymizm wydawał się daremny. Wypadało jednak w jakiś sposób usatysfakcjonować Andropowa i sekretarza generalnego.

Pokój wypełnił się trzaskami i popiskiwaniem towarzyszącymi rozsyłanym rozkazom. Dowódcy eskadr lotniczych z Półwyspu Kolskiego, pilot Foxbata, kapitan samolotu AWACS. Ekscytujący jazgot elektroniczny. Bez trudu ujrzał to wszystko w wyobraźni. Poruszające się punkciki zamieniły się w samoloty i ludzi, mógł wybrać najlepszą taktykę, trasy poszukiwań. Jego palce otoczyły rejon, w którym ostatni pocisk Ganta zniszczył jednego z Foxbatów. Gdzieś tam... Musiał znajdować się gdzieś tam...

Zniecierpliwienie sekretarza generalnego wyraźnie narastało. Bezczyność, konieczność zrezygnowania z demonstracji siły spadły na niego niczym kłątwa. Władimirow domyślał się, że właśnie owa niemoc i bezczynność stanowiły przyczynę wydanego przez radzieckiego przywódcę rozkazu powrotu samolotu do Moskwy. Fizyczne usytuowanie Wojennego Centrum Dowodzenia było dla Władimirowa sprawą bez znaczenia. Sekretarz generalny to studiował mapę, to przerosił wzrok z jednej twarzy na drugą, to znów wsłuchiwał się w napływające meldunki. Spoglądał na czerwoną wskazówkę sekundnika największego spośród wielu zegarów w pomieszczeniu, przesuwaną się niczym pajęczna noga na tle białego cyferblatu. Zdawał się odmierzać czas, jaki upływał od momentu rozpoczęcia poszukiwań Miga-31. Jedna minuta... półtorej... dwie minuty... trzy... Władimirow starał się kontrolować wyraz twarzy, opanować złudzenie rosnącej temperatury ciała.

Gantowi kończyło się paliwo... powinien zniżyć lot ku ziemi... satelita meteorologiczny bez przerwy obserwował tę jedną chmurę, nie mógł przecież bez końca latać w kółko wewnątrz jednej chmury... powinien schodzić ku ziemi, powinien uciekać... kiedyż wreszcie nie wytrzymają nerwy Amerykanina, kiedy wreszcie wyskoczy spod osłony chmur, przemykając ponad Finlandią jak ciśnięty poziomo kamień, zanim jego silniki zakrzuszą się po raz ostatni i poddadzą się?

Cztery minuty... cztery i pół... pięć... sześć...

Nagle:

– Mam go! Wyszedł z chmury! – Operator wzmocnił dźwięk do tego stopnia, że młodzieńczy, dźwięczny głos pilota Foxbata wybił się ponad gwar panujący w Centrum Dowodzenia. – Idzie na wysokości zerowej z szybkością poddźwiękową, jakieś siedemset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, nie więcej. Schodzę w dół! – A po chwili, bardziej formalnym tonem: – Jakie rozkazy, towarzyszu generale?

– Jego dokładna pozycja i kurs! – rzucił Władimirow, po czym zwrócił się

do wszystkich pilotów: – Poszukiwania zgodnie z danymi Miga-25. Powtarzam: jego szybkość i wysokość...

– Wydajcie rozkaz ataku! – huknął sekretarz generalny, spoglądając na Władimirowa. – Żadnych więcej zabaw! Żadnej strategii! Rozkażcie im zniszczyć Miga-31, dopóki go widzą!

Zakłócenia od powierzchni, zakłócenia od powierzchni, zakłócenia, zakłócenia od powierzchni – tylko to jedno tkwiło w jego myślach, kiedy Firefox przemykał ponad ziemią na wysokości mniejszej niż trzydzieści metrów, podczas gdy autopilot oraz radar ukształtowania terenu zabezpieczały samolot przed zakopaniem się w pokrytych śniegiem pagórkach fińskiej Laponii. Niewidzialny, niewidzialny – powtarzał niczym modlitwę. Radarowe echa pożądanego terenu powinny skryć Firefoxa przed jakimikolwiek szukającymi oczyma – z wyjątkiem Miga-25F wciąż siedzącego mu na ogonie, jakieś trzy kilometry za nim.

Dwaj piloci, którym nie pozostało nic innego, jak znaleźć odpowiedni moment do zabójstwa; wybrać, rozpatrzyć, ocenić, zrewidować i ponownie dokonać wyboru właściwego momentu. Dwaj piloci – jeden dysponujący czterema pociskami AA-6, drugi tylko ogniem z działek i pustymi zbiornikami. W zasadzie, on i pilot Foxbata nadal byli sami w przestrzeni ponad fińską Laponią. Eskadry przechwytyjących Migów znajdujące się wysoko nad nimi nie mogły namierzyć żadnego z nich – jego osłaniały systemy antyradarowe, natomiast zakłócenia od powierzchni maskowały pozycję ścigającego Rosjanina. Pilot Foxbata bez przerwy przekazywał swym kolegom przez radio strumień zmieniających się danych dotyczących jego pozycji, ale wszystkie te informacje były nieaktualne, opisywały przeszłość. Firefox skręcał, kluczył i lawirował nad powierzchnią ziemi z szybkością 750 kilometrów na godzinę – jak motyl, który nie godził się skończyć przyszpilony w gablocie.

Dopóki jeszcze definitywnie nie skończyło mu się paliwo...

Groźba ta wisiała nad nim od tak dawna – od dobrych piętnastu minut, jakie minęły od chwili spostrzeżenia wycieku – że zaczął już nie dowierzać wskaźnikom. A te pokazywały, że zostało mu nie więcej niż sześć minut lotu przy obecnej prędkości. Ponadto każdy manewr pochłaniał dodatkowe dawki paliwa, zwiększał także ilość benzyny, jaką zostawiał za sobą w powietrzu. Ciągłe mógł pozbyć się ścigającego Foxbata. Rosjanin trzymał się go kurczowo. W słuchawkach hełmu Gant słyszał nadawane z zapamiętaniem, ale i z pewnością

siebie meldunki. Wciąż się utrzymywał pomiędzy nimi dystans, który tamten musiał pokonać. Odpowiedni moment do zabójstwa jeszcze nie nadszedł, ale bezspornie musiał kiedyś nadejść.

Usłyszał ponownie ów stanowczy głos, który po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do niego po starcie z Biljarska. Radziecki sekretarz generalny. Tym razem były to rzucane w mikrofon rozkazy, adresowane nie do niego, lecz do wszystkich uczestników nagonki. *Zabić, wyeliminować, usunąć. Zniszczyć Miga-31.* Głos sekretarza generalnego wdarł się między słowa stratega, człowieka, który rozważał i kalkulował, planował i przewidywał. Hazardzisty. Człowieka, którego Gant miałby szansę przechytrzyć, któremu mógłby uciec. Tamtym powodowała duma, pewność siebie, wiara w zwycięstwo. W tym właśnie tkwiło potencjalne źródło błędu, możliwość otwarcia niewłaściwych drzwi, choćby tylko na krótko, ale stwarzająca szansę dla Ganta. Przeciwnie, głos radzieckiego przywódcy znamionował wyłącznie potęgę, akceptującą jedynie pewniki. Życzył sobie zakończyć tę grę. Teraz.

Połażdżony krajobraz pędził na niego w szalącym tempie. Wzgórza, pagórki, granie, grzbiety. Jezioro Inari, święte jezioro Lapończyków, ukazało mu się jako migające obrazy spiętrzonych bloków lodu, rozległych pól lodowych, zalesionych i ośnieżonych samotnych wysepek oraz pojawiających się od czasu do czasu i znikających szybko światełek zabudowań. Teren stawał się coraz silniej połażdżony, pocięty, jakby chciał oszukać prowadzący go radar, a jego samego zbić z tropu. Firefox zadarł dziób i skoczył w górę, a następnie zanurkował, przeskakując nad ośnieżonym pasmem wzgórz.

Żołądek podjechał Gantowi do gardła, a nieustanny nacisk elastycznego skafandra ciśnieniowego na jego ciało zelżał na krótko. Za Firefoxem, z koron drzew omiatanych strumieniem gazów wylotowych podnosiły się chmury szybko topniejącego śniegu. W lusterku wstecznym nie widział nic, domyślał się jednak, że myśliwiec wciąż leci jego śladem. Czekał na właściwy moment, by odpalić jeden z czterech pocisków AA-6. Foxbat mógł być uzbrojony w dwie rakiety sterowane czujnikami podczerwieni i dwie naprowadzane radarem. Silniki pocisków potrafiły nadać im szybkość znacznie przekraczającą 3 Ma, a tyle wynosiła maksymalna prędkość Miga-25. Gant był świadom, że z pełnymi zbiornikami mógłby umknąć ścigającym go raketom, ale nie w tej sytuacji. Musiał czekać. Zasięg pocisków był nie większy niż dwadzieścia kilometrów. Natomiast ścigający go Rosjanin, co wyraźnie pokazywał ogonowy czujnik radarowy, znajdował się nie dalej jak trzy kilometry za nim.

Gant leciał na północny zachód, w kierunku najbliższego odcinka granicy norweskiej.

Czekał...

Tylko tyle mógł robić. Silniki Tumańskiego nadal huczały tak samo, ale lecąc na tej wysokości marnotrawił ostatnie krople paliwa...

Czekał...

Dwa wydłużone zamrożone jeziora o gładkiej powierzchni, pas ośnieżonego lasu, wąska dolina skutej lodem rzeki. Po obu stronach samolotu, ze stromych, jakby uciętych nożem zboczy wąwozu wzlatywały w górę i opadały za nim tumany śniegu. Spojrzał na ekran radaru ogonowego. Leciał po linii prostej, nadarzał się moment spokoju pośród gwałtownych zmian kursu, wymuszanych przez ukształtowanie powierzchni.

Właściwy moment...?

Echo ścigającego go Foxbata, który właśnie wskoczył w wąwóz, rozdziwiło się nagle. We wstecznym lusterku nie było nic widać poza wirującymi kłębowcami śniegu. Stamtąd miała wypaść...

Pocisk AA-6 wyrzucił w kierunku środka jego ekranu, tropem gorących gazów spalinowych. Jedna dziesiąta sekundy, jedna piąta, ćwierć... Dłonie Ganta wciąż spoczywały na dźwigniach sterowania silnikami. Prawy kciuk zdążył już aktywować blok zasłony ogonowej. Lewa dłoń szarpnęła dźwignię. Pocisk pędził jak obłąkany, niczym jadowity owad, poruszając się z prędkością przekraczającą chyba 4 Ma. Zawahał się... siedem dziesiątych sekundy... osiem... dziewięć...

Odpalił zasłonę ogonową. Kula ognia zapłonęła niemal natychmiast, zmieniając śnieżne kłębowisko w oślepiąco jaskrawą, porwaną kurtynę. Nagle rozbrzmiała jeszcze intensywniej. Poczuli, jak fala uderzeniowa eksplozji dosięgnęła samolotu, wprawiając w drżenie cały kadłub. Szczękniętymi zębami. Na ekranie radaru znowu widniał jedynie ścigający go Foxbat, który odskoczył nagle w lewo omijając miejsce wybuchu, po czym wrócił na kurs wiodący środkiem wąskiej doliny. Także zaczął przyspieszać. Był już 1400 metrów za nim i wciąż się zbliżał.

Pasma wzgórz zamykające wąwóz. Bez zastanowienia Gant wyłączył autopilota i radar śledzący ukształtowanie terenu. Pochylił Firefoxa w prawo, zmniejszając jednocześnie ciąg. Pościgowy Foxbat skręcił w lewo, sunąc wzdłuż wydłużonego, białego, wypiętrzonego łagodnym łukiem, niczym grzbiet wieloryba, pasma. Gant zrozumiał, że Rosjanin popełnił błąd. Chciał wyskoczyć zza grzbietu tuż za ogonem Firefoxa – odsłoniętym, wystawionym na cel dla ognia z działka lub kolejnego pocisku. Chociaż, gdyby Gant nie zredukował

szybkości... Zyskał chwilę na zebranie myśli, był osłonięty przed Foxbatem. Dostrzegł nagle, że znalazł się u krańca doliny. Musiał przeskoczyć ponad jej krawędzią, wystawiając bok Firefoxa na atak. To on popełnił błąd a nie Rosjanin. Pasma wzgórz oszukało go. Zbocze zamykające dolinę zbliżało się błyskawicznie. Ściągnął na siebie drążek, znów pocąc się obficie ze strachu.

Foxbat wynurzył się znad krawędzi doliny o ułamek sekundy wcześniej. Widocznie tamtego pilota również zaskoczył widok podnoszącego się stoku, a leciał z szybkością o kilkadziesiąt kilometrów na godzinę większą niż Firefox.

I oto miał go przed sobą. Choćby tylko na moment, ale przed sobą...!

Gant gwałtownie przechylił samolot, zwiększył ciąg, po czym nacisnął spust. Foxbat, uchwycony niczym akrobata w trakcie skoku, jak gdyby znieruchomiał, zawisł w powietrzu. Gant, kierując dziób ku srebrzystej sylwetce, ciągle naciskał spust. Pociski z działka trafiły tamtego ukosem przez kabinę i wzdłuż kadłuba, w stronę ogona.

Gant przesliznął się pod nim, a smuga spalin z nabierającego szybko wysokości samolotu omiotła Firefoxa. Wchodząc w ciasny nawrót, żeby ponowić atak, dostrzegł drobną eksplozję – osłona lewego silnika Foxbata rozleciała się na kawałki. Myśliwiec zakołysał się, zachwiał, ale wznosił dalej. Gant poszedł w górę jego śladem i dopędził, kiedy tamten dotarł do wierzchołka łatwego już do przewidzenia, opadającego parabolą toru. Poprzez potrzaskaną i splekaną osłonę kabiny dostrzegł martwego pilota. Samolot zaczął opuszczać dziób, chylić go ku ziemi...

Foxbat osiągnął pułap 1500 metrów i zaczął opadać równie wolno i równie bezsilnie jak uschnięty liść. Gant spojrział na ekran radaru. Białe kropki poszukujących go Migów były rozrzucone jak okruchy na stole po posiłku prostaka. Z lewego silnika Foxbata strzelały jęzory ognia. Za kilka sekund maszyna mogła eksplodować...

A Firefox mógłby eksplodować razem z nią...

Uśmiechnął się. Oto miał szansę zniknąć. Foxbat spadał w kierunku zbocza wzgórza, gdzie niechybnie miał się zagrzebać w głębokim śniegu. Zaczął schodzić w dół jego śladem. Sekunda do upadku. Płonął jak pochodnia. Gant odpalił zasłonę ogonową, a ta rozbłysła, zapalając się jaskrawą plamą na podczerwonym ekranie. Po chwili zajaśniał drugi ogień, oznaczający eksplozję Foxbata u stóp wzgórza w dole, zlewając się z poprzednim.

Dwie ogniste kule w bliskim sąsiedztwie. Dwa trupy.

Ciszę w kabinie zakłócał jedynie gwar rosyjskich głosów rozbrzmiewających

w słuchawkach, które – zarówno z Biljarska, jak i ze strony eskadr poszukiwaczy – próbowały nawiązać kontakt z martwym pilotem Foxbata. Wyłączył odbiornik UHF. Zapanowała kompletna cisza.

Jezu...

Stało się. Nagła świadomość coraz wolniejszego lotu Firefoxa – czego od tak dawna się obawiał. Strzałka obrotomierza gwałtownie opadała. W słuchawkach słyszał trzaski strzelających na próżno autozapalników. Wysokość: 1200 metrów. Paliwa brak...

Spojrzał na ośnieżony krajobraz. Miał nie więcej niż minutę na podjęcie decyzji – katapultować się czy lądować. Silniki ryknęły na moment, kiedy pompy zassały ostatnie krople paliwa ze zbiorników. Pociągnął dźwignę do siebie. Liczył się teraz każdy metr wysokości, jaki zdoła wywalczyć. Po trzech sekundach silniki umilkły ponownie, strzałka obrotomierza znowu zaczęła opadać, przepływomierze pokazywały zero. Silniki milczały uparcie. Raz jeszcze konieczność podjęcia decyzji – katapultować się czy lądować.

Nie, nie wolno mu się katapultować – stwierdził. Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło.

Pochylił Firefoxa w bok. Wśród nieprzyjaznej krainy, monotonnie białej pod ciężkim, szarym niebem, wypatrywał nie istniejącego lądowiska.

– Tupolew AWACS melduje o utracie jakichkolwiek namiarów, towarzyszu generale.

– Nie można nawiązać łączności z pilotem. Nie odpowiada.

– Żadnych śladów na podczerwonych ekranach od czasu tych dwóch wybuchów, towarzyszu generale.

Dwa wybuchy, pomyślał Władimirow. Nagle poczuł się uwięziony w, przypominającym bizantyjski, labiryncie własnych doświadczeń, domysłów i przeczuć. Za każdym razem, ilekroć fakty świadczyły o śmierci Amerykanina i zniszczeniu Firefoxa, ogarniało go to samo wrażenie znalezienia się w pułapce bez wyjścia. Teraz także ogarnęły go wątpliwości, chociaż wszystko wskazywało na to, iż drugi Foxbat, już trafiony, zdołał jakimś sposobem spowodować eksplozję na pokładzie Miga-31. Zawahał się, nie był w stanie unieść wzroku znad stołu mapowego, nie mógł słuchać, jak w szorstkim głosie sekretarza generalnego pojawia się wyraźna ulga.

Ale nie mógł też po raz kolejny wyrazić swoich wątpliwości. Nauczył się już co nieco dyplomacji. Nauczył się milczeć.

– Bardzo dobrze – mruknął w końcu, kiedy umilkł chór głosów składających meldunki, ale wciąż nie podnosił głowy. – Bardzo dobrze. Zarządzam rekonesans w celu odnalezienia szczątków dwóch samolotów... i ewentualnych rozbitków... – Spojrzał wreszcie na twarze sekretarza generalnego i stojącego za radzieckim przywódcą Andropowa. – Trzeba się upewnić – dodał. – Ta rutyna. – Nienawidził tego usprawiedliwiającego tonu własnego głosu. Nowa rola nie odpowiadała mu, ale tylko on podjął się w niej wystąpić. Wreszcie jego przyszłość zaczynała nabierać kształtów. – Nie powinno to zaniepokoić naszych fińskich przyjaciół. O ile w ogóle wykryją nasze samoloty.

Sekretarz uśmiechnął się.

– Chodźcie, Władimirow, zabawa skończona. Bo dla was to była tylko zabawa, prawda? Prowadzona za pomocą bardzo kosztownych zabawek? – Jego dłoń spoczęła na ramieniu generała, a Władimirow siłą woli powstrzymał dreszcz obrzydzenia pod wpływem tego dotknięcia. Kutuzow sprawiał wrażenie zmęczonego i rozluźnionego. Operatorzy także zaczęli się odprężyć. Głośnik został wreszcie wyłączony.

Nic – stwierdził w duchu Władimirow, bez nadziei, jak skazaniec. Nic... Nie zostało nic z wyjątkiem szczątków. Amerykanin nie żyje.

– Towarzyszu Andropow... może jakiś toast, co? – zaproponował radziecki przywódca. Andropow uśmiechnął się i ruszył wydać dyspozycje stewardowi. – Nie, nie. Wyjdźmy z tego zatłoczonego pomieszczenia. Chodźcie, poszukamy wygodnych foteli i dobrych trunków jeszcze przed lądowaniem, zgoda?

– Tak, oczywiście, towarzyszu sekretarzu – mruknął Władimirow, przechodząc za radzieckim przywódcą z Wojennego Centrum Dowodzenia do wąskiego, na pozór obszernego saloniku, zaopatrzonego w wyściełane, głębokie fotele, odbiornik telewizyjny oraz barek. Kieliszki były już napełnione...

Kutuzow zbliżył twarz do jego ramienia i szepnął:

– Przynajmniej na końcu wykazałeś się wyczuciem sytuacji, Med. – Zawsze mówił chrapliwym szeptem. Kilka lat wcześniej przeszedł pomyślnie operację raka krtani. – Już po wszystkim.

– Tak uważacie? – zapytał cicho, lecz natarczywie Władimirow. – Jesteście tego pewni?

Kutuzow wskazał na odwróconych do nich plecami, stojących już przy baraku Andropowa i sekretarza generalnego.

– Byłoby z twojej strony głupotą, piramidalną głupotą, myśleć w tej chwili inaczej – szepnął i zaraz się uśmiechnął. – Chodź, napijemy się z nimi, posłuchamy ich. Pamiętaj tylko, żeby się uśmiechać!

- To był... taki piękny samolot – oznajmił od niechcienia Władimirow. – Amerykanin wykazał nam, jak znakomita była to maszyna.
- Może zbudują dla nas coś jeszcze... ale nie licz specjalnie na to. – Śmiech Kutuzowa rozbrzmiał chrapliwym bulgotem w jego gardle. Sekretarz generalny zaproponował im wódkę.
- Chodźcie – powiedział. – Wzniesiemy toast.

Dwa zamarznięte jeziora... Cisza, przerywana jedynie szczękiem autozapalników, usiłujących daremnie spowodować zapłon. Gant wyłączył je. Cisza. Dwa zamarznięte jeziora, rozciągnięte dokładnie z północy na południe, jedno większe i nieco bardziej wydłużone, oba otoczone brzoza i lasem iglastym. Ośnieżona, izolowana, nie zamieszкана kraina w północnej części fińskiej Laponii.

Zgodnie z mapą rozłożoną na kolanach, od granicy Związku Radzieckiego dzieliło go trochę ponad 65 kilometrów. Ucieczka przed Foxbatem zaprowadziła go o wiele dalej na północ, niż sobie tego życzył, a ponadto przybliżyła do granic Rosji.

Cisza. Wiatr. Definitywny koniec.

Schodził ślizgiem. Ciężka maszyna dygotała i chwiała się na silnym wietrze. Wysokość: 750 metrów. Jeziora odpływały powoli na południe za jego plecami. Skręcił gwałtownie i poszybował z powrotem w ich kierunku.

Nie wolno mu było katapultować się, nie wolno mu... Tyle przecież zdziałał. Samolot nadal był nie uszkodzony.

600 metrów. Większe z dwóch jezior miało ponad półtora kilometra długości – było wystarczająco długie, by wykorzystać je jako lądowisko. Drugie nieco szersze, bardziej okrągłe, musiałby lądować na nim po przekątnej, żeby mieć pewność, że wystarczy mu drogi hamowania. Powierzchnia lodu powinna być pokryta grubą warstwą śniegu, który skutecznie wyhamuje pęd samolotu. Zdecydował się na większe jezioro.

Wyobraź sobie, że to pole lodowe – powtarzał w myślach. Po prostu kolejne pole lodowe. Pod koniec marca lód powinien być jeszcze na tyle gruby, żeby utrzymać ciężar samolotu.

To zresztą bez znaczenia. Nie miał innego wyjścia. Mógł się co najwyżej katapultować, co pociągnęłoby za sobą upadek Firefoxa na ziemię i rozbicie go na kawałki. Nie wolno mu do tego dopuścić. Powinien spróbować wylądować, a potem czekać. Kiedy nabierze pewności, że poszukiwania zostały odwołane, będzie mógł skomunikować się z Bardufoss lub z Kirkenes – Kirkenes

znajdowało się znacznie bliżej – żeby dostarczono mu paliwo. Upewnił się, że hamulce aerodynamiczne są wysunięte, a pompy paliwowe wyłączone. Ustawił wszystkie balasty w położenie neutralne. Dociągnął mocujące go pasy, sprawdzając własne bezpieczeństwo.

Musiał spróbować. Drzewa zbijały się w coraz większą gęstwinę w kierunku południowego krańca wąskiego jeziora, gdzie – widział to teraz wyraźnie – jodły chyliły się jak pijane nad zamarznąłą taflą wody. Gdyby udało mu się dotoczyć aż do samego brzegu, miały tam szansę ukryć samolot przed jakimikolwiek poszukiwaniami wizualnymi z powietrza. Narastało w nim podniecenie. Mógł tego dokonać. Mógł ocalić Firefoxa.

Wysokość: 300 metrów. Miał tylko jedną szansę.

Przesunął delikatnie ster pionowy. Firefox skrzył, rozcinając mroźne szarawe powietrze, lecz jakby leniwie, niechętnie, niczym wielki ptak. Wyrównał lot, wypuścił podwozie i zaczął operować klapami. 120 metrów, wystarczająco wysoko ponad wierzchołkami drzew, które zdawały się sięgać w kierunku brzucha samolotu. Jezioro podskakiwało mu przed oczyma, daleko przed dziobem maszyny. 60 metrów ponad brzegiem lodowej tafli. Firefox, z wysuniętymi do końca klapami, pochylił dziób i zaczął opadać z przerażającą prędkością. Koła raz odbiły się od zaśnieżonej powierzchni, po czym zagrzebały w puchu, z furią rozrzucając tumany śniegu na boki. Z całej siły zaciskał dłonie na drążku, chcąc utrzymać maszynę w poziomie. Przednie koło zetknęło się z ziemią i także zagrzebało, a Gant wpatrywał się, jak ośnieżona płaszczyzna przemyka pod kołami w szalonym tempie, Firefox zaczął zwalniać, jak koń przechodzący w kłus, potem w krok spacerowy...

Toczył się powoli w kierunku południowego krańca jeziora, ku zamarznętemu strumieniowi, który zasiliał albo odprowadzał wody z jeziora w ciągu lata. Prędkość szybko spadała. Może zbyt szybko? Samolot już ledwie sunął w stronę zwisających jak baldachim gałęzi drzew. Czy mu się uda? Pragnął skryć się pod osłoną drzew...

Powinno się udać. Firefox miał jeszcze wystarczającą szybkość, żeby dotoczyć się do krawędzi stromego brzegu jeziora, które zwężało się tu wyraźnie, przechodząc stopniowo w wąski, zamarznęty obecnie strumień. Zatrzymał wreszcie samolot, kiedy zwisające najniżej gałęzie drzew zaczęły zrzucać swój bagaż śniegu na osłonę kabiny i z szumem ocierać się o blachy kadłuba. Przednie koło stanęło tuż przy kamienistym brzegu jeziora.

Udało się. Firefox był ukryty. Nie uszkodzony, w bezpiecznym schronieniu.

Wciągnął głęboko powietrze, po czym odsunął osłonę kabiny. Do wewnątrz wdarło się mroźne powietrze, przenikając go do szpiku kości. Szczekał zębami, nie mogąc opanować dreszczy. Uśmiechnął się tylko na myśl o szoku termicznym, jakiego musiał doznać jego organizm. Odłączył od hełmu doprowadzenie tlenu, połączenia radiowe i przewody czujników sterowania myślowego; odpiął mocowania na udach i pasy, którymi był przytwierdzony do fotela. Zdjął hełm, stanął w otwartej kabinie i zaczął się śmiać.

Tak, drzewa skryły go niemal bez reszty. Spod ich osłony wystawały jedynie czubek jednego skrzydła i blok zasłony ogonowej, ale cały kadłub samolotu, ukryty pod naturalnym maskowaniem, nie mógł być dostrzeżony z powietrza. Ciężkie chmury zapowiadały śnieżycę. Świeży śnieg powinien zakryć ślady lądowania. Wszystko układało się pomyślnie.

Nagle Firefox pochylił się gwałtownie, jakby prawe koło wpadło pod lód. Gant złapał się kurczowo krawędzi burty, żeby utrzymać równowagę. Do jego uszu dotarł przerażający, mrozący krew w żyłach trzask. Rzucił hełm, który do tej pory trzymał w dłoni.

Czarna, zygzakowata linia pęknięcia błyskawicznie pomknęła po lodzie, natychmiast rozgałęziając się na boki. Firefox osunął się po raz drugi, tym razem z lewej strony, po czym zakołysał niepewnie. Wszędzie dokoła mnożyły się na powierzchni czarne szczeliny pęknięć.

Przerażonym wzrokiem omiół cały kadłub. Pod prawym skrzydłem pojawiła się woda. Była też pod lewym skrzydłem i przed dziobem. Po chwili wypłynęła również pod ogonem. Wielkie nieregularne płyty kry zaczęły podskakiwać na wodzie, ze zgrzytem ocierając się o siebie i o blachy Firefoxa, który pływał już teraz na brzuchu, utrzymywany chwilowo na powierzchni tylko dzięki pustym zbiornikom paliwa w skrzydłach i kadłubie. Gant zdawał sobie sprawę, że gdy woda dostanie się do wlotów powietrza silników i dyszy wylotowych, samolot powoli zacznie tonąć w jeziorze.

2.

Głębia

Ogon Firefoxa zanurzał się coraz głębiej pod powierzchnię jeziora, w miarę jak dysze wylotowe i wloty powietrza nabierały wody, a koła podwozia nie znajdowały oparcia na żwirowatym podłożu dna, opadającego dość stromo już przy brzegu. Dziób samolotu sterczał wysoko, sięgając najniższych gałęzi rosnącej na brzegu jodły, ale on także powoli zanurzał się. Gant nie potrafił tego zrozumieć. Łód okazał się bardzo cienki i kruchy tuż przy brzegu, chociaż strumień, stanowiący odpływ wody z jeziora, był skutą lodem do samego dna. Wszystko było zamrożone – a jednak Firefox tonął.

Zaczęła oparzać go panika, narastająca stopniowo jak słupek rtęci ogrzewanego termometru. Nie był w stanie jej przewyciężyć. Wszystkie rezerwy energii i samokontroli zużył na sprowadzenie nie uszkodzonego, pozbawionego paliwa samolotu na ziemię, a ponadto katastrofa w powietrzu nastąpiła właśnie w chwili spokoju, w momencie całkowitego odprężenia. Panika nadpływała falami. Kurczowo, z całej siły, zaciskał palce na krawędzi burty kabiny; onie miały, oszalały ze strachu, bezradny kapitan tonącego okrętu.

Dno jeziora... Przepływ wody spowodował nagromadzenie pod zamarzającą powierzchnią większej ilości powietrza, przez co powstała bardzo cienka pokrywa lodowa... Ciężar silników musiał ściągnąć maszynę dalej od brzegu, w głąb jeziora... Zatonie, zatonie...

Poszarpane płyty kry ścierały się ze sobą, kruszyły, odpływały na boki. Gant bez trudu mógł dostać się na brzeg, mimo iż gałęzie drzewa znajdowały się poza jego zasięgiem. Ale chodziło mu o samolot, o Firefoxa.

Nie był w stanie nic zrobić. Dygotał cały, zarówno z napięcia jak i bezsilności. Był zmęczony, ramiona ciążyły mu niepomiernie. To koniec. Woda

przelewała się przez kadłub i powoli podpełzała w górę – gałęzie, które początkowo zwieszały się nad kabiną, teraz znajdowały się nad czubkiem dzioba. Olbrzymia masa silników i szkieletu kadłuba systematycznie ściągała Firefoxa coraz dalej od brzegu, w głąb jeziora. Wydłużona sekcja dziobowa przypominała wychylający się z wody pysk zdumionego stworzenia, pod którym załamał się kruchy lód.

Trzaski ustały. Pęknięcia były widoczne daleko za ogonem, jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt metrów od brzegu. Pokruszone płyty lodu odpływały na boki, gromadząc się jak bezsensowny tłum w pobliżu krawędzi stosunkowo mocniejszego lodu. Ośnieżony, stromy brzeg jeziora po jego lewej ręce wciąż jeszcze znajdował się w zasięgu skoku. Gant wdrapał się na burtę kabiny, z trudem utrzymując równowagę; kurczowo zaciskał dłonie na jej krawędzi. Obejrzał się przez ramię na ciągle oświetloną tablicę przyrządów, na porzucony hełm, fotel pilota... Firefox osuwał się w tył, wychylał spod osłony drzew; woda chlupotała o kadłub. Jej poziom sięgał już zaledwie pół metra poniżej burty kabiny; jedno silniejsze osunięcie i pierwsze lodowate fale zaleją wnętrze – paląc bezpieczniki, powodując zwarcia, niszcząc wszystko. Przerazenie ścisnęło mu żołądek i piersi. Tu nie groziły mu koszmary z Wietnamu, nie na tym mrozie, w otoczeniu szaroczarnej linii brzegowej jeziora i wszechobecnego śniegu. Nie została mu jednak żadna nadzieja, co w zasadzie równało się kolejnemu atakowi paraliżu. Samolot wreszcie przestał się osuwać, tkwił ukosem na opadającym stromo dnie jeziora. Gdyby choć sekundę dłużej... Poziom wody sięgał zaledwie dwadzieścia centymetrów poniżej krawędzi kabiny... Ster pionowy był zanurzony do połowy, olbrzymie silniki znajdowały się całkowicie pod wodą...

Kucając jak mała na gałęzi, zsunął nogi i zeskoczył z powrotem do kabiny. Próbował zdrętwiałymi, zeszywniałymi palcami przerzucać niewielkie, delikatne przełączniki i wciskać przyciski. Sterowanie myślowe – wyłączyć... no, dalej... układy uzbrojenia – wyłączyć... radio, radar, autopilot, systemy antyradarowe – wyłączyć... Jego dłonie rozgrzały się nieco, coraz mniej przypominały ciastowate, nienaturalne kikuty i zaczynały poruszać się z wyuczoną, automatyczną precyzją i szybkością. W ciągu kilku sekund odłączył wszystkie mechanizmy – zabił samolot, zamienił go w martwe żelastwo. W końcu wspiął się ponownie na krawędź burty. Wciąż miał na sobie spadochron. Do pasa skafandra przymocowany był nadmuchiwany ponton ratunkowy oraz pakiet osobisty. Jego pięta zetknęła się z lodowatą wodą i szybko podkurczył nogę. Niezgrabnie przesunął się ponad otworem kabiny, usiłując czubkami palców znaleźć pewne

oparcie dla stóp. Zachwiał się, ale szybko odzyskał równowagę, otworzył schopek pod krawędzią burty i wysunął dźwignię ręcznego opuszczania osłony. Kręcił korbką, dopóki osłona nie przywarła ściśle do burt, po czym zatrzasnął zewnętrzne zamki kabiny.

Jeszcze przez chwilę walczył z poczuciem rezygnacji, wreszcie wyprostował się i skoczył. Wylądował w sypkim śniegu, boleśnie uderzając ręką o niewidoczny korzeń drzewa i potoczył w dół, usiłując chwycić dłońmi ukrytą pod śniegiem zamrożoną trawę i oblodzone kamienie. Pakiet osobisty i ponton ratunkowy znalazły się pod nim. Śnieg wypełnił jego usta, oczy, a nawet uszy, lecz mimo to dotarł do niego przerażający zgrzyt, mogący oznaczać tylko jedno – Firefox osuwał się jeszcze dalej od brzegu, w głąb jeziora.

Błyskawicznie spojrzął za siebie. Tak. Woda sięgała już kabiny – dzięki Bogu zdążył opuścić osłonę i zamknąć ją szczelnie – natomiast dziób mierzył w szare niebo pod jeszcze większym niż poprzednio kątem. Podciągnął kolana do piersi i pochylił głowę – chłód bijący od śniegu przenikał skafander ciśnieniowy i cienką warstwę bielizny. Nie mógł się poruszyć. Miał wrażenie, że czuwa przy łożu śmierci, choć w niczym nie przypominało to niecierpliwego oczekiwania na śmierć ojca, które zakończyło się nagłym odpływem nienawiści i ulgą, jakby nieoczekiwanie znalazł wyjście z tunelu.

Nie powinno to trwać dłużej jak minutę.

Zaczął się śmiać; piskliwie, histerycznie, a jego głos rozbrzmiał w ciężkim mroźnym powietrzu niczym krakanie gawrona. Nie mógł się opanować; przeżył, a zarazem został pokonany. Pusty śmiech. Teraz już na pewno ukrył Firefoxa, ukrył go bardzo dobrze...

Nie mógł powstrzymać śmiechu. Łzy toczyły się po zbiegających, zamrożonych policzkach, wzdłuż bruzd wykrzywionej bólem twarzy. Chichotał niczym obłąkany. Rzeczywiście znalazł idealną kryjówkę.

Kolejny zgrzyt i gwałtowne osunięcie – jakąś część jego umysłu ogarnęło zdumienie, że podwozie jeszcze wytrzymałe wzrastający nacisk. Uniósł głowę i ujrzał, że pół kabiny znalazło się pod wodą, a fale omywają już dziób Firefoxa.

Śmiech urwał się.

Zamknięty i wyłączony samolot był nie dalej jak dwadzieścia metrów od niego. Czarny dziób sterczał w górę, kabina tylko do połowy wychylała się z wody. Wszystkie urządzenia, każdy przyrząd elektroniczny, który można by wykorzystać do nawiązania łączności – wszystko zostało pod osłoną, uwięzione we wnętrzu kadłuba. Radio, radio, radio...

Przełknął ślinę i oblizał wyschnięte wargi. Samolot chyba stał już pewnie. Widocznie jedno z kół zatrzymało się na większym kamieniu albo zagrzebało w mule. Chwiejna równowaga...

Nie było nic...

– Nic, do cholery! – wybuchnął, uderzając zaciśniętymi pięściami w uda. W odpowiedzi rozległ się głos jakiegoś ptaka ukrytego wśród drzew, jak gdyby naśladujący jego chrapliwy głos. „Nic...!” Co miał zrobić? Nie mógł siedzieć w Firefoksie i czekać, aż nadejdzie pomoc. Nie mógł wymontować radia, by ochronić je przed zatonięciem. Nie mógł... nie mógł...

Odniosł wrażenie, że jakimś dziwnym sposobem dociera do niego głos Aubreya – miękki, jakby usprawiedliwiający się, a jednocześnie podpowiadający mu w takiej chwili. Ostatnia odprawa. Kierunkowy odbiornik udający radio tranzystorowe, który już raz ocalił mu życie, naprowadzając na sygnały „Matki Jeden”, okrętu podwodnego wypełnionego paliwem dla Firefoxa. Zostało tam, przymocowane paskiem taśmy samoprzylepnej w rogu tablicy przyrządów.

Czy był to tylko odbiornik...?

Także nadajnik... Aubrey niechętnie do tego nawiązywał, krążył jak wybredny kocur wokół miski z żarciem. *W przypadku jakiegoś... ostatecznego zagrożenia, mój drogi przyjacielu... choć to, oczywiście, mało prawdopodobne... w każdym razie urządzenie posiada możliwość wysyłania sygnału naprowadzającego, gdybyś... musiał... rozumiesz?*

Gant zerwał się na nogi, kiwając głową w odpowiedzi – tak samo potakiwał, kiedy słyszał te słowa. Aubrey nie chciał nazywać po imieniu rozbicia, zranienia czy śmierci, ale Gant rozumiał, o co mu chodzi.

A teraz zostawił radio w kabinie!

Zsunął się niezdarnie po stromym brzegu. Odpiął pakiet osobisty, uprząż spadochronu, ponton... Ponton...! Lód załamał się pod jego ciężarem i wylądował w lodowatej wodzie. Mimowolnie krzyknął. Zetknięcie z nią było szokiem. Zrobił krok do tyłu – musiał bardzo ostrożnie stawiać nogi, ponieważ dno usłane było żwirem i większymi kamieniami. Wreszcie wyszedł z wody. Rzucił przed siebie ponton, który natychmiast zaczął się nadymać. Z szumem rozkładał się i powiększał, podskakując na powierzchni wody. Gant szczekał zębami, całe ciało przenikały dreszcze. Ptak odezwał się ponownie, jakby drwiąc z niego. Zadarty nos Firefoxa sterczał ukosem w górę, nic nie robiąc sobie z wysiłków człowieka. Wdrapał się do środka pontonu i powiosłował energicznie w stronę samolotu. Przy każdym pociągnięciu wiosłem unosił w górę głowę, żeby

popatrzeć na ciągle nieruchomy dziób maszyny. Było mu coraz zimniej. Serce waliło, wzmagając napięcie, nasilając wrażenie bezpowrotnie straconego czasu, tocząc walkę o utrzymanie ciepłoty i krążenia krwi.

Dotknął dłonią kadłuba, lecz cofnął ją szybko jak oparzony, z obawy, iż naskik jego palców może spowodować dalsze osunięcie samolotu w głąb jeziora. Obrócił ponton i zaczął ostrożnie płynąć wzdłuż Firefoxa, aż dotarł do kabiny częściowo wystającej nad powierzchnię wody. Zaczął delikatnie obmacywać kadłub samymi opuszkami, sprawdzając jego stabilność.

Jakby szukał czegoś po omacku... Wreszcie uchwycił się dłońmi, spróbował raz i drugi, czy zamarznięte ręce zdołają utrzymać jego ciężar, po czym podciągnął w górę usztywnione ciało – z największą ostrożnością, bez gwałtownych ruchów, starając się nie ocierać o kadłub – aż znalazł jakieś oparcie dla nóg. Zawisł tak na chwilę, próbując wyczuć najmniejsze drżenie samolotu. Ale ten stał pewnie. W końcu począł się wspinać, niezwykle powoli, starannie wybierając miejsca uchwytu, a i tak kilkakrotnie stopy ześlizgiwały się po gładkim kadłubie.

Burta kabiny. Gładka powierzchnia osłony...

Zastygł w bezruchu, pełen obaw, że jego ciężar naruszy chwiejną równowagę. Oczekiwał na jakikolwiek ruch, ale samolot nie drgnął nawet. Woda omywała tylną część osłony kabiny – na pewno dostanie się do wewnątrz, kiedy zacznie ją unosić. Lecz na razie nie miało to większego znaczenia.

Lewa strona tablicy przyrządów. Otworzył zamki osłony, po czym zaczął ją powoli odchylać. Woda z bulgotem wdarła się do środka, przelewając przez pulpity i gromadząc w kałużę za fotelem pilota. Uniósł osłonę tylko na tyle, by móc wsunąć pod nią rękę, po czym pochylił się do przodu i dłonią w grubej rękawicy zaczął macać na ślepo po tablicy przyrządów. Wyczuwał mierniki, zegary, wyświetlacze, przełączniki i przyciski, wreszcie trafił na krawędź urządzenia naprowadzającego. Prawie jak czarna papierośnica, nieco większe, tak samo podłużne...

Zacisnął palce na radiu. Taśma samoprzylepna trzymała mocno. Sięgnął drugą ręką, pociągnął z całej siły i oderwał nadajnik od tablicy. Zmarznięty, przemoczony i dygoczący, triumfalnie przycisnął je do swego boku i przytulił do siebie niczym najcenniejszą zdobycz. Samolot nadal stał nieruchomo, dobrze zakotwiczony. Raz jeszcze zaczął powoli opuszczać osłonę kabiny.

Nagle Firefox zatrzęsł się i cała jego sylwetka poczęła nikać pod wodą. Olbrzymie stery kierunku zanurzyły się aż po czubki. Osuwał się dalej w głąb

jeziora. Gant, pragnący ocalić na równi siebie jak i samolot, z furią zakręcił korbką; instynktownie wyciągnął w jej kierunku drugą rękę. Przeszył go dreszcz, kiedy nadajnik wysunął mu się spod pachy, brzęknął o kadłub i z charakterystycznym stukotem plastikowej obudowy spadł na lód. Kręcił jednak dalej, opuszczając osłonę kabiny. Wreszcie wyszarpnął korbkę i zacisnął dłoń na uchwycie w kadłubie, żeby mieć lepszy punkt podparcia. Domyślał się, że tym razem Firefox całkowicie zniknie pod wodą.

Miał jeszcze czas, żeby odpłynąć. Rozejrzał się w panice za urządzeniem naprowadzającym i pontonem, który tańczył na wodzie jakieś dziesięć metrów dalej. Był pewien, że słyszał, jak radio stuknęło o lód, a nie plusnęło wpadając do jeziora – nie mógł go jednak nigdzie dojrzeć. Woda zalewała osłonę kabiny, sięgała już prawie jego nóg. Samolot staczał się powoli do tyłu. Miał stanąć dopiero wtedy, kiedy trafi na bardziej płaski fragment dna. Od powierzchni wody dzieliły go już zaledwie centymetry. Musiał uciekać.

Rozluźnił kurczowy uścisk prawej dłoni i podciągnął rękę w górę. Rozprostował palce lewej dłoni, zacisnięte na uchwycie kadłuba. Woda sięgała mu czubków butów i omywała kolana. Osłona kabiny niemal w całości znajdowała się już pod powierzchnią, pogrążał się także dziób. Końce sterów kierunku wciąż jeszcze były widoczne, a krawędzie czołowe skrzydeł przeświecały przez ciemną wodę. Nie był w stanie ruszyć lewą ręką.

Musiał przytrzasnąć brzeg rękawicy skafandra próżniowego opuszczaną w pośpiechu osłoną. Bez korbki mechanizmu ręcznego nie mógł otworzyć jej ponownie. Woda sięgała mu bioder. W panice szarpnął z całej siły, próbując rozerwać tkaninę skafandra.

Przyciśnięty do osłony kabiny Firefoxa osuwał się razem z samolotem w głąb jeziora. Woda sięgała mu do pasa, piersi, szyi, ust... Nie mógł wyszarpnąć rękawicy...

Poprzez głośne dudnienie krwi w skroniach i chrapliwy oddech raz jeszcze dobiegło go ironiczne krakanie ptaka, po czym woda zamknęła się nad nim.

– Czy były dwie eksplozje, dwie rozróżnialne eksplozje...? Jesteś tego pewien?

Aubrey czekał. Z całego podziemnego Centrum Operacyjnego RAF w Scampton istniał dla niego jedynie mikrofon, dwie obracające się szpule z taśmami, konsola oraz siedzący przy niej operator, obsługujący krótkofalowe szyfrowane połączenie z dowódcą samolotu AWACS Nimrod, krążącego

ponad norweską Laponią. Przez szybę kabiny łączności widział główne pomieszczenie Centrum, gdzie przy wielkim stole operacyjnym stali Buckholz i Curtin, wpatrując się w model obrazujący na mapie pozycję Nimroda. Krótkie siwe włosy Buckholza przygniatał pałąk słuchawek, a jego zgarbione ramiona odzwierciedlały napięcie, z jakim śledził rozmowę Aubreya.

Szpule obracały się szybko, wreszcie stanęły, zawirowały z powrotem i w końcu Aubrey usłyszał mechaniczne i odległe, ale wyraźne brzmienie głosu majora lotnictwa Eastoea.

– Były dwie eksplozje, niemal w tym samym punkcie, ale w pełni rozróżnialne. Oddzielone także w czasie. Dokładnie... – krótka pauza, kiedy Eastoe sprawdzał dane – sześćdziesiąt dziewięć czterdzieści szerokości północnej, dwadzieścia siedem pięćdziesiąt długości wschodniej. Nie dalej jak dwadzieścia dwie mile morskie od najbliższego punktu granicy sowieckiej. Mniej więcej tyle samo od strony norweskiej.

Wydawało się, że Eastoe nie skończył wypowiedzi, lecz tylko zamilkł na chwilę. Aubrey spuścił głowę. Ktoś przesunął na stole futurystyczny model samolociku na podaną pozycję Firefoxa. Stół mapowy był już przeżytkiem, jedną ze ścian Centrum Operacyjnego zajmował wielki, ciekłokrystaliczny, komputerowo sterowany ekran mapowy, na którym pozycje samolotów, statków i rakiet wyświetlane były w postaci ruchomych światełek. Chociaż wytarty, przestarzały, pamiętający czasy wojny, to jednak tradycyjny stół operacyjny był dla Aubreya czymś bliskim. Teraz spostrzegł, że według danych Eastoea Gant poniósł śmierć na terenie wąskiego skrawka Finlandii, wciśniętego między Związek Radziecki i Norwegię. Model Firefoxa na stole przypominał nagrobny posążek. Curtin i Buckholz wbijali wzrok w stół – jeśli nie liczyć przelotnego uniesienia oczu starszego oficera CIA. Jego twarz była spięta. Aubrey, jak gdyby zawstydzony, szybko pochylił się nad szpulami z taśmą i mikrofonem. Eastoe nie odzywał się.

– Sugerujesz, że jednemu z Migów-25 powiódł się atak? – wyrzucił z siebie. Szpule zawirowały i zamarły. Po chwili zaczęły obracać się ponownie, potem przewinięły się i odtworzyły odpowiedź.

– Tak – odparł Eastoe. Aubrey zauważył, że ramiona Buckholza zgarbiły się jeszcze bardziej i zadrżały. Oblicze Curtina było nieprzeniknione. Oficer marynarki wydawał się być zafascynowany małym czarnym modelem Firefoxa. Stojący obok nakreślacze wyglądali jak służący w pełnych uniżoności pozach albo jak policjanci przynoszący informację o wypadku drogowym. – Próbowali go zepchnąć z powrotem, ale wymknął się, zniszczył jeden z samolotów, drugi

natomiast musiał ruszyć w pościg tuż nad ziemią. Trafili się nawzajem. Nie mogliśmy, oczywiście, widzieć Miga-31, nie wiemy, czy nie został zniszczony wcześniej. Ale od czasu eksplozji nie dzieje się nic. Cała przestrzeń aż roi się od innych Migów, lecz ich manewry sugerują, że oni także nie mogą niczego namierzyć. – Eastoe ponownie zawiesił na chwilę głos. – Co mamy teraz zrobić, Mr Aubrey?

Gwałtownie potarł brodę dłonią, jakby błagając niebiosa o odpowiedź. Szpuły z taśmami czekały. Dokoła personel Centrum tkwił nieruchomo przy swoich pulpitych, nadajnikach, radarach i ekranach. Nakreślacze przestępowali z nogi na nogę. Na wielkiej ściennej mapie błyszczały przesuwające się światełka. Pozostałe ściany pokoju także zawieszono były mapami z powpinanymi kolorowymi znaczkami, z opisanymi naklejkami i barwnymi tasiemkami. Na tablicach wisiały zgromadzone informacje o gotowości samolotów. Wielkie mapy meteorologiczne pokryte gęstymi siatkami linii obwieszono były wkłó zdjęciami satelitarnymi. Z boku mieścił się pulpit z długim szeregiem jasnobłękitnych słuchawek oraz samotnym czerwonym aparatem telefonicznym. Do dyspozycji Aubreya oddano całe techniczne oprzyrządowanie Centrum. Przesunął dłońmi po włosach nad uszami. Jego palce zwały się na tyle głowy, szczyły i naciągnęły z cichym trzaskiem stawów. Ponownie złożył ręce za plecami i pochylił się do przodu. Nie wiedział, co ma powiedzieć Eastoemu. Nie miał pomysłu, jak wykorzystać ludzi i sprzęt znajdujących się w jego dyspozycji.

Nie po raz pierwszy, nie po raz pierwszy... – przewijało się bezustannie w jego myślach. Nie po raz pierwszy...

Aż do tej chwili – stwierdził w duchu. Do tej chwili. Nieraz już ogarniały go wątpliwości, a nawet całkowite zwątpienie. Nie po raz pierwszy przychodziło mu na myśl, że gra dobiegła końca, że samolot i pilot zaginęli...

Aż do tej chwili.

Teraz uwierzył, został do tego zmuszony. Gant był martwy, szczątki samolotu rozrzucone jak plamy sadzy na śnieżnym kobiercu. Nic, nic z niego nie zostało.

Rozpacz nie była zwykłym dla niego uczuciem. Nawiedzała go z rzadka, znikając gdzieś na długie okresy, a przy każdym nieoczekiwanym powrocie wydawała się coraz mniej dokuczliwa. Ale teraz ogarnęła go z całą mocą. Przegrał. Wielka operacja spełzła na niczym. Delikatny, precyzyjny, skomplikowany plan – znakomity, a ponadto jego własny – wszystko na nic. Jego rozpacz paradowała w czarnym żałobnym garniturze i nosiła teczkę. Była całkowicie profesjonalnym uczuciem. Za to bezdennym.

Oczyrna wyobraźnia ujrział miejsce katastrofy samolotu pasażerskiego. Jak kadry z kroniki filmowej. Eksperci lotnictwa, nie zajmujący się żywymi czy martwymi, lecz poszukujący rejestratorów lotu. Czarne skrzynki. Taśmy z zapisem rozmów w kabinie, rejestratory przyrządów. Sekrety śmierci.

Oto najnowsze ujęcia do kroniki filmowej. Podskakujący obraz obejmujące nogi idącego człowieka oraz niesione przez niego dwie ciężkie, czarne, osmalone przez płomień skrzynki – jedną z lewej strony, drugą z prawej. Poruszające się nogi, czarne skrzynki...

Przetarł dłonią twarz. Szpule magnetofonu uruchamianego głosem zaczęły się obracać.

– Proszę zostać na posterunku, Eastoe – rozkazał, starając się, by jego głos brzmiał czysto i pewnie. – Proszę latać tam i z powrotem wzdłuż wyznaczonego odcinka granicy, aż coś usłyszycie!

Przerwa. Wróciła odpowiedź Eastoe, taśma przewinęła się i odtworzyła:

– Proszę powtórzyć, Mr Aubrey.

Aubrey uderzył się dłonią w czoło. Tamten o niczym nie wiedział.

– Muszę mieć pewność – rzekł. Buckholz, jedną dłonią przyciskając słuchawkę do ucha, uniósł głowę i popatrzył w stronę szyby oddzielającej kabinę łączności, w której siedział Aubrey. – Jeśli samolot został rozbity albo eksplodował, możemy nie odebrać żadnego sygnału. Lecz jeżeli Gant żyje, albo chociażby Firefox nie został zniszczony, może pojawić się zamiar z jego urządzenia naprowadzającego. Macie przecież aparaturę do zdalnego uruchomienia nadajnika.

Po krótkiej chwili, w czasie której poczuł nagły przyływ gorąca i dziwne podniecenie spowodowane utratą nadziei, Aubrey pobladł nagle i poczuł się jak prostak przekraczający progi tradycyjnego klubu dla wyższych sfer. To głupie, ale musiał spróbować...

– Tak jest, Mr Aubrey. Jeśli on tam jest, znajdziemy go.

– Dobra – odparł po części sam do siebie, nie przejmując się, że zarówno słowo jak i ton zostaną przekazane w eter. Radiooperator odwrócił głowę w jego stronę. Aubrey lekceważąco machnął ręką i popatrzył na czubki swych butów. Gant był martwy. Firefox rozbity na kawałki.

– Tupolew AWACS śledzi dokładnie nasz lot – oznajmił Eastoe. Do Aubreya ledwie dotarł jego głos. – Będzie nasłuchiwał tego samego sygnału. Czy oni mogą go odebrać?

– Mam nadzieję, że nie – mruknął w chwili mimowolnej szczerości, przepełnionej zwątpieniem i złymi przeczuciami.

Zetknięcie z lodowatą wodą spowodowało tak silny szok, że omal nie otworzył szeroko ust i nie krzyknął, chcąc opróżnić płuca z powietrza, którego zaczerpnął głęboko, kiedy jego głowa wciągana była pod powierzchnię. Zdawało mu się, że pod naporem wewnętrznego ciśnienia pękną mu piersi. Gdyby tylko mógł wypuścić powietrze, opróżnić płuca, zmniejszyć objętość swego ciała, zimno stałoby się mniej dokuczliwe i nie tak bolesne. Siłą powstrzymywał się przed tym odruchem rozpaczy.

Nawet metr czy dwa pod powierzchnią było bardzo ciemno z powodu dużej ilości rozproszonych zawiesin, ale jemu wydawało się, że to lód zamknął się nad Firefoxem, kiedy ten tylko zniknął pod wodą. Szum podwozia staczającego się po stromiźnie dna docierał do niego wzmocniony i zniekształcony, jak rozciągnięty w czasie grom. Firefox uwięził brzeg rękawicy jego skafandra i wciągał go coraz dalej w głąb jeziora. Woda oderwała go od dzioba samolotu i teraz objął się o metalową powłokę usiłując pływać. Wyporność jego ciała zmagąła się z przytrzaśniętym kombinezonem – w efekcie czego został okręcony dookoła, obrócony, ciśnięty plecami o kadłub, a następnie ściągnięty wzdłuż sekcji dziobowej.

Płuca domagały się tlenu. Zdawał sobie sprawę, że zaczyna się topić. Istniało proste wyjście, sądził jednak, że to tylko oszołomienie podsuwa mu takie rozwiązanie. Był uwięziony. Próbował dosięgnąć prawą dłońią ku lewej. Firefox staczał się dalej, ale nie umiał ocenić, czy kąt nachylenia dna maleje, czy spada szybkość zatapiania. Nie był w stanie dosięgnąć przytrzaśniętej rękawicy. Nie dysponując żadnym punktem zaczepienia nie mógł nawet włożyć większej siły w spazmatyczne ruchy prawej dłoni szarpiącej materiał skafandra. Poza tym ręce mu cierpły, zmarznięte palce mimo woli zakrzywiały się niczym szpony.

Zmęczenie oraz świadomość tego, że szanse przeżycia i ucieczki zmalały prawie do zera, pozbawiły go zdolności myślenia, poruszania się, a nawet wyrażania w duchu jakichkolwiek życzeń. Piersi przeszywał ból od wstrzymanego oddechu. W głowie wirował mu lej ciemnej wody. Otoczony chmurą uniesionego z dna i opadającego z powrotem mułu został ściągnięty w dół i ponownie siadł okrakiem na dziobie Firefoxa.

Przed jego oczyma zapłonął napalm z koszarów sennych. Chociaż całe ciało miał przemarznięte i odrętwiałe, poczuł żar, jak gdyby się palił. Z wnętrza bambusowej klatki, w której go uwięziono, przyglądał się, jak nadciąga wybawienie – helikoptery atakujące oddział Wietkongu i ukrytą w dżungli wioskę.

Dostrzegł biegnącą dziewczynkę o smutnej, inteligentnej twarzyczce, której sylwetka rozplynęła się po chwili w eksplozji zrzuconego obok niej napalmu. Wszyscy ludzie płonęli jak drewnika zapalek. Palily się drzewa w lesie. On także płonął. Był jednym z nich, należał do nich...

Koszmar przybierał na sile. Próbował z nim walczyć, ale jego ciało jak gdyby ogarnęła nieświadomość pogrążenia w jeziorze i tonięcia – dla niego istniały już tylko zjawy, tylko napalm. Bijąca od niego czerwona łuna zdawała się rozświećlać wodę dokoła. Spalił się każdy z żółtków, spłonęła także dziewczynka. On nie ucierpiał fizycznie, bezpieczny w porzuconej bambusowej klatce. Ale od tamtej pory prerażenie i poczucie winy powodowały, że płonął, zanikał, roztopiał się razem z Wietnamczykami, razem z małą dziewczynką albo zamiast niej...

Jego dłoń zacisnęła się na udzie. Pojawiła się świadomość bólu, czuł obejmujące ciało szpony; zakleszczone szczypce kraba, ciągnące skórę na nodze. Ale umysł zdawał się odłączony, odizolowany od poczynań prawej dłoni. Lewa ręka straciła czucie, zawieszona gdzieś ponad nim, przy osłonie kabiny. Płuca rozsadał ból...

Coraz mocniej ścisnął między kciukiem i palcem wskazującym skórę na udzie, lecz przed oczyma wciąż widniała czerwona plama płonącej wody, przez którą dostrzegał ze zdumieniem, jak płat skóry unosił się powoli, otwierając niczym paszcza leniwego monstrem. Nie wiedział, co robi jego prawa dłoń. Ponad wszystko – bardziej jeszcze od wyzwolenia się z władzy koszmaru, jako że tym razem miał umrzeć w trakcie jego trwania – pragnął wypuścić powietrze z płuc. Prawa dłoń zacisnęła się na czymś i wyciągnęła to z kieszeni. Jakiś twardy przedmiot.

Ciało drobniutkiej dziewczynki w samym centrum kłębowiska czerwonożółtych płomieni, zanikająca sylwetka... był już bliski otwarcia ust do krzyku... jeszcze jeden zupełnie oderwany obraz – słomkowy kapelusz, twarz, której nigdy przedtem nie widział albo nie miał odwagi w nią spojrzeć – miał tylko ochotę krzyczeć...

Prawa dłoń uniosła twardy przedmiot i zbliżyła go do twarzy. Prawej dłoni potrzebne było świadectwo, chciała skorzystać z jego oczu. Lecz oczy nie funkcjonowały, osłepione blaskiem płomieni. Tam gdzie była jego dłoń, gdzie widniał przedmiot, panowały ciemności. Słaby odbłask...? Nie mógł zamrużyć powiekami. W głowie wirowało. Płomienie przygasaly. Prawa dłoń wykonywała jakieś ruchy, sięgała w dal, do przodu, w stronę odrętwiającego zimna, które zdążyło już połknąć jego lewą rękę, a nawet całe ramię. Starał się dojrzeć, zrozumieć...

Opróżnij płuca – kołatało się w głowie. Popatrz...

Spójrz...

Dostrzegł nóż od pontonu ratunkowego, który prawa dłoń wyciągnęła z kieszeni skafandra i teraz unosiła w dal, rozwijając linkę mocującą. Ujrzał, jak ostrze zwraca się ku lewej dłoni, lewemu przedramieniu i zapragnął je powstrzymać. Wróciło czucie, kiedy mięśnie mimowolnie skurczyły się w oczekiwaniu nieuchronnego bólu. Rękawica została rozcięta, jak gdyby otworzyła się, nie ujrzał jednak spodziewanego widoku krwi, a w zamian lewa ręka zaczęła osuwać się w dół, w jego stronę, aż wreszcie przylgnęła do brzucha; spod osłony kabiny zwisał ucięty kawałek rękawicy.

Chciał kopnąć, ale odrętwiałe, pozbawione siły, ołowiane nogi ledwie się wyprostowały. Uniósł twarz w górę, lecz otaczały go ciemności. Wierznął ponownie, wyzwalając się wreszcie z ognia napalmu; ogarnął go lęk, że może już być za późno, że dopadnie go zamroczenie, że będzie musiał otworzyć usta i wypuścić banieczki powietrza, że całe ciało osłabnie...

Poczuł, jak buty ocierają się o metalowy dziób Firefoxa, i odepchnął się w górę. Zaledwie kilka metrów, a jednocześnie otchłań. Pomiędzy chwilami przytomności, kiedy zdolny był odliczać upływającą wieczność, pojawiły się luki atramentowej, wirującej czerni.

Jeden, jeden-dwa. Czarno. Dwa-dwa-dwa. Czarno. Jeden-dwa...

Czarno...

Szaro...

Czarno...

Wreszcie światło.

Z głośnym rykiem opróżnił obolałe płuca, po czym napełniło je zimne, świeże powietrze, przyprowadzające o ból i kaszel. Przełknął wodę. Zmarznięte ramiona i nogi nie były w stanie utrzymać go na powierzchni. Oddychać...

Wdech – zatrzymać – wydech... wdech – zatrzymać – wydech... Już lepiej. Powietrze miało smak. Było słodkie, zimne, czyste. Jego ciało, wycieńczone, zwisło bezwładnie pod wodą, jakby podkreślając groźbę osunięcia się z powrotem w głąb. Kamizelka... ratunkowa...

Dłonie grzebały niemrawo przy piersi, jak się zdawało, przez długie minuty, bezskutecznie rozchlapując wodę.

W końcu kamizelka zaczęła się nadymać, obróciła bezwolne ciało na wznak, wyniosła zwieszona, bezużyteczne, odrętwiałe nogi, rozrzuciła daleko ręce, wypchnęła piersi z lodowatej toni. Oddychał spokojniej, smakując powietrze,

a jednocześnie drobnymi ruchami odpychał się w stronę brzegu.

Miał wrażenie, że minęło bardzo wiele czasu, nim jego stopy zaszurały o kamienie na dnie. Niemalże siedział w płytkiej wodzie. Spróbował się podnieść, ale nie dał rady, padł na bok – kamizelka natychmiast odwróciła go z powrotem twarzą ku poszarzałemu niebu – w końcu ociężałe obrócił się i na czworakach przepełznął ostatnie metry ku stromemu, ośnieżonemu brzegowi.

Odpoczywał, drżąc z zimna, z dłońmi i kolanami wciąż w wodzie, gdzie ucisk ostrych kamieni dna przypominał kończynom o konieczności funkcjonowania. Nadal ścisnął w garści nóż od pontonu, którego ostrze wystawało nad powierzchnię.

Kiedy dłonie zaczął przeszywać ból odrętwienia i przemarznięcia, a stopy zeszywniały od zimna, wyprostował się, stanął na nogi i chwiejąc się z wyczerpania zaczął przymierzać wysokość wznoszącej się pod ostrym kątem skarpy do własnych zdolności pokonania jej. Wdrapywał się na górę, zapierając łokciami i podciągając całe ciało; wbijał nóż od pontonu głęboko w zamarzniętą ziemię, opierał się na nim, potem wbijał go nieco wyżej i pełzał po śniegu. Zajęło mu to dziesięć minut, chociaż skarpa liczyła w tym miejscu nie więcej niż trzy i pół metra wysokości. Kiedy wsunął się wreszcie na krawędź stoku i znalazł przy pniu najbliższej jodły, znieruchomiał, dysząc ciężko, wycieńczony, ledwie zdolny do zamknięcia oczu. Za jedno był wdzięczny losowi: napalm koszmaru został za nim, w głębi jeziora, obok Miga-31.

Po jakimś czasie zjadł czekoladę. Jeszcze później, kiedy wróciło mu czucie w rękach, zaczął rozmasowywać resztę ciała. Materiał powoli wysychającego skafandra ciśnieniowego zeszywniał. Przyjrzał się dokładnie tafli przy brzegu. Doszedł do wniosku, że jego pierwsze, gorączkowe przypuszczenia musiały być słuszne. Strumień stanowiący odpływ wody z jeziora był rzeczywiście zamrznięty do dna. Ale woda płynęła prawdopodobnie aż do ostatniej chwili, a lód pokrywał strumień równocześnie z całą powierzchnią jeziora. Odpływ spowodował, że pod niebezpiecznie cienką pokrywą została uwięziona wielka bańka powietrza. Jeszcze później, kiedy szum lecącego nisko, biorącego udział w poszukiwaniach Miga ucichł za wschodnim brzegiem jeziora, stwierdził, że powinien oddalić się na znaczną odległość od miejsca przymusowego lądowania. Lód zasklepi się ponownie, niczym katarakta zasnuwając oko wody otwarte pod ciężarem samolotu. Do świtu Firefox powinien zostać całkowicie zasłonięty. Tym bardziej że krótki arktyczny dzień zbliżał się do końca.

Dysponował nożem od pontonu, pakietem osobistym, spadochronem oraz pistoletem Makarowa z dwoma zapasowymi magazynkami, będącym standardowym uzbrojeniem oficerów. Nie miał żadnego ubrania na zmianę, a chłód przenikał go aż do kości. Ponton unosił się na wodzie z dala od brzegu, jak boja oznaczająca miejsce ukrycia samolotu. Wyciągnął pistolet, zawahał się przez chwilę, wreszcie starannie wycelował i strzelił dwukrotnie. Huk ogłuszył go. Ptaki podniosły hałaśliwy protest. Ponton powoli zaczął kurczyć się i zatapiać. Gant westchnął z ulgą. Teraz nie było żadnego śladu.

Uszedł z życiem. Standardowa procedura nakazywała mu pozostać w pobliżu samolotu. Ale w tym przypadku nie dbał o nią. Jeśli nie znajdą żadnych szczątków, które dałyby się powiązać z Firefoxem, zaczną poszukiwać jego, a więc nie wolno mu przebywać w pobliżu samolotu. Musiał skierować się na... północny zachód, spróbować zmniejszyć nieco odstrasżający dystans trzydziestu kilometrów, czy nawet więcej, jaki dzielił go od granicy norweskiej. Trzeba było zaufać złudnej nadziei, że nie tylko Rosjanie będą go poszukiwali.

Urządzenie naprowadzające. Nadajnik...

Znów ogarnęła go chwilowa panika. Rozejrzał się szybko, wstrzymując oddech. Nie było go nigdzie w zasięgu wzroku.

Czy...? Czy przełączył radio na nadawanie? W pamięci odżył każdy ułamek sekundy, kiedy prawa dłoń sięgała po nóż od pontonu i odcinała przytrzaśniętą rękawicę. Musiał jeszcze przypomnieć sobie wcześniejsze zdarzenia, gdy przyciskał lewą ręką do ciała gładkie, czarne, plastikowe pudełko. Czy uczynił to machinalnie? Czy przełączył radio?

Grzebał we wspomnieniach, z wysiłkiem próbując przypomnieć sobie automatyczne, niemal instynktowne czynności.

Tak – doszedł do wniosku, że włączył nadajnik. Wbijał wzrok w powierzchnię lodu. Ociężałe, powoli ruszył wzdłuż brzegu jeziora – nie zdobył się na odwagę, by wejść na zdradliwą pokrywę lodową, nawet w celu odnalezienia urządzenia naprowadzającego. Wpatrywał czegoś, co powinno być zaledwie czarnym punktem na białym tle. Nie dojrzał go. Przed oczyma miał tylko biel ograniczoną dalekim, szarocarnym horyzontem.

W końcu przekonał sam siebie, że nadajnik musiał spaść na dno jeziora. Początkowo upadł na lód – był pewien, że przypominał sobie ów charakterystyczny stukot – widocznie jednak zsunął się do wody przy jakimś poruszeniu kry, spowodowanym falami towarzyszącymi zanurzeniu się cielska Firefoxa. Spisał radio na straty.

Teraz zaczynała się liczyć jedynie odległość. Nie wolno mu pozostawać

w pobliżu nadajnika, nad jeziorem. Jeśli go znajdą, powinien być już wiele kilometrów od tego miejsca.

Jego mięśnie buntowały się, odstraszone wizją marszu, wędrówki; wizją walki o przetrwanie.

Popatrzył ponad taflą jeziora w kierunku północnym, gdzie pasmo rosnących gęsto drzew niewiele różniło się od grubej krechy węglem w szkicowniku pejzażysty. Bliżej widniała gładka, ośnieżona powierzchnia. Znajdował się na zachodnim krańcu jeziora. Z kieszeni na udzie wyciągnął kompas oraz mapę i sprawdził swoją pozycję. Zamknięta w szczelnej plastikowej obwolucie mapa nie ucierpiała ani trochę w czasie zanurzenia pod wodą. Materiał skafandra ciśnieniowego był przeraźliwie zimny.

Spojrzał w kierunku, w którym miał wędrować, w stronę Norwegii. Gąszcz drzew iglastych sięgał skraju wody, dalej widniały niewysokie wzgórza. Głos jakichś dużych, ukrytych w gęstwinie ptaków zdawał się kpić z niego i odradzać marsz. Zerknął w dół, na wodę, przypominającą powierzchnię zastygającej galaretki. Temperatura spadała. Firefox był niewykrywalny, niewidzialny. Widok ten usatysfakcjonował go, pozwolił mu wyruszyć w drogę.

Podniósł zwinięty spadochron i przypiął go do uprząży. Przymocował z powrotem pakiet osobisty do kamizelki ratunkowej, z której już wcześniej spuścił powietrze. Po raz ostatni ułożył wygodniej cały ekwipunek. Wreszcie odwrócił się plecami do jeziora i zagłębił między drzewa.

Marszałek lotnictwa Kutuzow popatrzył przez całą długość pomieszczenia na drzwi, prowadzące do małego prywatnego gabinetu, z którego sekretarz generalny zawsze korzystał, ilekroć znajdował się na pokładzie samolotu. Wszystko wskazywało na to, że radziecki przywódca wraz z przewodniczącym KGB mieli zamiar pozostać tam aż do końca lotu. Spojrzał na swój wielki złoty zegarek. Od wojskowego lotniska na południowo-wschodnich obrzeżach Moskwy dzieliło ich dwadzieścia minut lotu. Odchrząknął i poklepał Władimirowa po kolanie.

– Myślę, że zapewniłeś sobie sukcesję, Med – rzekł, głaszcząc dłonią naramiennik własnego munduru. Jego wodniste oczka błyszczały. Energicznie pokiwał głową. – Uczysz się. W swoim czasie, w odpowiednim czasie... – Nie ulegało wątpliwości, że filozoficzny nastrój Kutuzowa był efektem wypitej wódki.

Władimirow zapatrzył się na swój kieliszek. Ile wypili...? Siedzieli tu

niecałe pół godziny. Chyba nikt nie upijał się tak szybko jak Rosjanie. A za co właściwie pili? Za śmierć Amerykanina? Bezgraniczna, wręcz maniackalna dobroduszość sekretarza generalnego i zimne, taksujące spojrzenie błyszczących oczu wiecznie zasępionego Andropowa – żaden z nich nie okazał ani irytacji, ani podniecenia. Wódka zdystansowała ich. Jemu udało się zatopić na dnie kieliszka zarówno rozsądek, jak i intuicję, niczym dwie osy. Ale żądła wciąż jeszcze wystawały.

Popatrzył w stronę drzwi wiodących do Wojennego Centrum Dowodzenia, potem na drzwi gabinetu sekretarza generalnego. Radziecki przywódca został wezwany do telefonu w sprawie dyplomatycznych subtelności związanych z naruszeniem przestrzeni powietrznej obcego kraju.

Wódka przywróciła mu poczucie samozadowolenia. Władimirow starał się trzymać w ryzach. Jego towarzysz, jakby wyczuwając groźną zmianę nastroju, poklepał go po dłoni i odezwał się ponownie:

– Bądźcie rozsądni, bądźcie nadal rozsądni, generale Władimirow. – Formalizm, z jakim zwrócił się do niego, był zamierzony. Władimirow potrząsnął głową, bardziej w geście akceptacji niż sprzeciwu. Alkohol powodował, że w głowie przesuwają mu się jakieś wielkie masy, dążące do wypełnienia pustej przestrzeni.

– Wiem. Wiem – mruknął. – Znacznie lepiej być... czym? Niczym? Chyba niczym. Lepiej jest być rozsądnym. – Ze złością odsunął rękę, a kilka kropeł wychłapanej wódki spadło na błyszczące czubki jego oficerskich butów. Przyglądał się, jak ciężkie niczym rtęć krople spływają po wypolerowanej powierzchni. – Wiem o tym.

Jeszcze raz podniósł wzrok na drzwi Wojennego Centrum Dowodzenia. W ciągu ostatniej pół godziny pojawiali się w nich oficerowie, relacjonując negatywne wyniki poszukiwań i przedstawiając uspokajające meldunki. Świetnie uzupełniali wypitą wódkę – tak samo studzili jego emocje. Szczątki zostały sfotografowane, a zdjęcia przesłano do szczegółowej analizy; samoloty poszukiwawcze nie odebrały żadnych sygnałów, żadnej emisji elektromagnetycznej, nie trafiły na rozbitków.

Teraz już tylko w rękach ekspertów badających fotografie z miejsca katastrofy leżało ostateczne potwierdzenie faktu, że Mig-25 oraz Firefox zostały zniszczone w tym samym miejscu i tym samym czasie. Później Finowie powinni wydać zezwolenie odpowiedniej grupie fachowców na zbadanie miejsca wypadku i zebranie szczątków. Wymontowane zostaną czarne skrzynki i wraz z ciałami w plastikowych workach wrócą do kraju. Koniec. Definitywny koniec.

Sekretarz generalny rozkazał wycofać wszystkie samoloty znad rejonu katastrofy do czasu telefonicznej rozmowy z prezydentem Finlandii. Należało usunąć stamtąd wszystkie maszyny i przeprosić za naruszenie przestrzeni powietrznej sąsiadów.

– Nie proponuję ci nic więcej niż naukę przetrwania – oznajmił Kutuzow. Język zaczynał mu się płatać. – Ponieważ chcę, żebyś to ty dowodził lotnictwem. Ty. – Powoli, systematycznie poklepywał kolano Władimirowa, chcąc podkreślić każde słowo.

– Wiem o tym, stary przyjacielu – odparł Władimirow kiwając głową. Zrozumiał, że jego własne słowa także brzmią niewyraźnie. Zaczął drwić w duchu z samego siebie, czyniąc jednocześnie najostrejsze wyrzuty. Wychylił resztkę wódki, jaka została mu w kieliszku. Poczł skurcz żołądka. – Sam zgodziłem się na tę rolę. Ja... jestem przecież członkiem zespołu... – uśmiechnął się krzywo. – Kiedy lądujemy? – dodał, nagle rozgoryczony.

– Cierpliwości. Jesteś teraz dworzaninem. Przywykniesz do czekania. To wielka sztuka.

– Dworzaninem... – mruknął Władimirow.

– Chcesz jeszcze jednego?

– Dziękuję, przyjacielu. Obawiam się, że to byłby ten jeden za dużo.

– Jesteś prawdziwym Rosjaninem. My wszyscy upijamy się za szybko.

– Czy to nasza wina?

– Nie.

Obaj mężczyźni spoglądali na puste kieliszki. Władimirow uniósł swój w górę i zapatrzył się w odbite od szkła refleksy świetlne. Dostrzegł na kieliszku ostatnie oleiste smugi oraz ślady od warg i palców. Wreszcie wstał, chwając się z lekka – wysoki, siwowłosy, pijany – bez wątplenia teraz posiadał już wszystkie przymioty wysokiego rangą oficera. Jak gdyby dostrzegł odbicie swojej sylwetki w lustrze. Brzydził się samym sobą. Cóż z tego, że wygląd zewnętrzny imponujący, nawet po pijanemu, kiedy w środku – pusty człowiek... pusty człowiek.

W drzwiach Wojennego Centrum Dowodzenia stanął młody oficer. Władimirow obrócił się szybko – trochę za szybko. Tamten trzymał w ręku tabliczkę z meldunkiem.

Pusty człowiek...

Dosyć tego...

A więc osy nie dały się do końca utopić.

– Co to jest? – warknął z furią. Oczy mu błyszczały. Reszta jego osobowości ukryła się gdzieś w wyczekiwaniu na odpowiedni moment.

– Meldunek z Tupolewa, towarzyszu generale, od dowódcy samolotu, majora Antonowa. To jest... sądzę, że on nie zrozumiał...

Władimirow wyrwał mu z rąk tabliczkę, wyciągnął z górnej kieszeni okulary bez oprawek i wsunął je na nos. Po krótkiej nieobecności wróciła nieoczekiwanie jasność umysłu. Antonów nie był żadnym ze specjalistów na pokładzie samolotu wczesnego ostrzegania, ale oficerem politycznym, który teoretycznie dowodził załogą. Był pracownikiem GŁAWPUR-u, Zarządu Politycznego Sił Zbrojnych. Musiał być wśród swoich fachowcem, skoro znajdował się na pokładzie Tupolewa AWACS, patrolującego wszystkie granice z wrogimi krajami, których bliskość musiała przecież kusić załogę, żeby je przekroczyć, żeby „wyzwolić się”. A więc Antonów...

Władimirow w pierwszej chwili nie zrozumiał meldunku. Zmiennoczęstotliwościowy, modulowany sygnał. Przechwycono go tylko dwukrotnie, przy pierwszej próbie udało się dokonać przybliżonego namiaru, ale za drugim razem czas sygnału był zbyt krótki, by uściślić miejsce nadawania. Zdołano tylko ustalić, że był to sygnał kierunkowy, emitowany z punktu leżącego niedaleko od miejsca katastrofy.

Meldunek kończył się klasycznym zrzcuceniem z siebie odpowiedzialności – prośbą o rozkazy. Władimirow ruchem dłoni odsunął z drogi oficera i przeszedł do Wojennego Centrum Dowodzenia. Natychmiast poczuł się jak ryba w wodzie. Czyste, jasno oświetlone pomieszczenie. Tutaj, w otoczeniu umundurowanych ludzi, czuł się pewnie i swojsko...

Przemierzając obszerne pomieszczenie pomyślał, że byłby piramidalnym głupcem, gdyby odrzucił to wszystko. W jakim celu? Po co? Dlatego, że gburowaty radziecki przywódca był rzezimieszkiem? Dlatego, że przewodniczący KGB był psychotykiem? Dlatego, że ich towarzystwo i intelektualna tępota napawały go wstrętem? Oto były jego racje: duma i snobizm. Kasta.

Czyste, jasno oświetlone, swojskie pomieszczenie. Jego miejsce. Byłby głupcem...

– Połączcie mnie z Antonowem. Przez głośnik – polecił zimnym, posępnym tonem.

W chwilę później dano mu znać, że może mówić.

– Co to za tajemniczy sygnał, który przechwyciliście, majorze Antonów? Jakie są wasze sugestie?

– Tak, towarzyszu generale – dobiegł go odległy, chrapliwy głos. – Nikt z nas nie wie, co to może być. Nikt.

– Kiedy odebraliście go po raz pierwszy?

– Piętnaście minut temu. Straciliśmy namiar, ale później przechwyciliśmy na innej częstotliwości. Po raz trzeci, zaledwie pięć minut temu, znów

próbowaliśmy namierzyć źródło, lecz znowu odbieraliśmy go za krótko. – Ton głosu majora był usprawiedliwiający, a zarazem sugerował, że jakkolwiek winą należałoby obarczać całą załogę samolotu.

- Zróbcie wszystko, żeby go namierzyć, majorze. Zaklinam was.
- Tak jest, towarzyszu generale.

Sygnał zmiennoczęstotliwościowy; prawdopodobnie nie zawierający żadnych kodów ani informacji. Co mogło być jego źródłem? Jakieś skomplikowane urządzenie elektroniczne, wyrzucone daleko od miejsca katastrofy? Aż tak daleko...? A może jeszcze nie zarejestrowane fińskie instalacje naziemne? Wątpliwe. Nie odebrano sygnałów osobistych nadajników awaryjnych żadnego z pilotów. Zarówno Gant, jak i pilot Foxbata musieli być martwi. Żaden nadajnik kierunkowy nie rozpoczął emisji we właściwym czasie.

Osobiste nadajniki awaryjne... nadajniki... sygnał kierunkowy... – przypomniał sobie. Ścisła tajemnica – nawet w tym przypadku, kiedy każdy pilot chciałby, żeby jego sygnał odbierano niczym krzyk w jak najszerszym paśmie. Cały projekt Miga-31 otoczony był najściślejszą tajemnicą, dotyczyło to w takim samym stopniu konstrukcji samolotu, jak i pilotów, personelu naziemnego, przyrządów, skafandrów ciśnieniowych... Obsesja całego systemu radzieckiego, która wielokrotnie już doprowadzała go do wściekłości!

Osobiste nadajniki awaryjne pilotów doświadczalnych Firefoxa emitowały modulowany sygnał zmiennoczęstotliwościowy. Miało to zapewnić, że zostanie on odebrany tylko przez odpowiednie urządzenia... A Gant miał przecież na sobie skafander ciśnieniowy nieżyjącego Woskowa!

– To Gant! – ryknął. Ramiona i głowy personelu zadrżały pod wpływem tego wrzasku. Władimirow uderzył pięścią o udo. – On żyje! Przeżył to wszystko! Wy! – Wskazał na oficera, który przyniósł mu tabliczkę z rozszyfrowanym meldunkiem Antonowa. – Znajdźcie dane o charakterystyce częstotliwościowej osobistego nadajnika awaryjnego, który znajdował się w skafandrze pilota Firefoxa. Natychmiast! – Oficer rzucił się do drzwi. Generał odwrócił się i dodał: – Przekażcie te dane Antonowowi, jak tylko je znajdziecie. Powiedzcie mu, że musi znaleźć ten sygnał i wykonać dokładne namiary źródła. Bez wymówek!

Minął drzwi, zatraskując je za sobą; nie potrzebował dokładnej analizy sytuacji, żeby wiedzieć, jakie środki muszą zostać podjęte. W tej samej chwili na drugim końcu saloniku pojawili się sekretarz generalny i Andropow. Bez wahania Władimirow wyciągnął długi palec wskazujący w stronę Andropowa, jakby wskazywał krnąbrnego, niegodnego zaufania podwładnego.

– Potrzebna mi jest wasza Straż Graniczna, towarzyszu przewodniczący! – wyrzucił z siebie. – Ponadto patrol w helikopterach, trzy maszyny, gotów natychmiast udać się na terytorium Finlandii! Gant nadal żyje!

Zawartość pakietu osobistego leżała rozrzucona dokoła niego u stóp olbrzymiej jodły. Oczy kłuły go ze zmęczenia i nie był w stanie zapanować nad opadającymi powiekami. W regularnych odstępach czasu pole widzenia przesłaniały mu fioletowe plamy, efekt wycieńczenia i napięcia. Drżał na całym ciele niemal bez przerwy – zarówno z zimna, jak i z emocji. Udało mu się wymknąć. Przeszedł w kierunku północno-zachodnim chyba nie więcej niż cztery kilometry, trzymając się osłony lasów. Ale teraz musiał się przespać. Zesztywniały od mrozu materiał skafandra ciśnieniowego chrzęścił i trzeszczał – czuł się jak w pancernej zbroi. Palce u stóp i dłoni drętwiały. Musiał się przespać.

Powinien włożyć z powrotem do pakietu wszystko z wyjątkiem śpiwora, który spoczywał w postaci pomarańczowo-błękitnej cegiełki obok lewego kolana. Gdyby wsunął się do środka, choćby tylko na godzinę... Miał chyba jakąś rezerwę czasu, nie słyszał odgłosów poszukujących go samolotów od dobrych dwudziestu minut.

Musiał się przespać. Nie był w stanie formułować myśli, układać planów. Nie mógł już dłużej obejść się bez snu. Tutaj miał nad głową znakomitą osłonę. Owinięty szczelnie śpiworem przynajmniej rozgrzałby się nieco, podtrzymał krążenie krwi. Gdyby zdrzemnął się choć odrobinę, mógłby iść dalej.

Zza pnia wielkiej jodły przyglądał mu się biały arktyczny zając. Jego nos podrygiwał śmiesznie, badając zapach intruza. Gant popatrzył na niego mętnym wzrokiem, pochylając się do przodu. Zmarszczył brwi i wbił spojrzenie w nieruchomą drobną sylwetkę. Odróżnienie białego zająca od śnieżnego tła wymagało od niego ogromnej koncentracji.

Zadziałał instynktownie. Wydobył z kabury pistolet Makarowa, wycelował i strzelił. Pośród absolutnej ciszy, do której przywykł już całkowicie, huk wystrzału zabrzmiał ogłuszająco i przerażająco. Jakby miał stanowić wskazówkę dla ścigających go, przywoływał na myśl ponure wizje schwytania. Impet dziewięćmiłimetrowego pocisku wystrzelonego z niewielkiej odległości odrzucił zająca daleko do tyłu, jego mocne tylne skoki zadrgały w agonii. Po chwili zwierzątko przewróciło się na bok. Spod białego futerka wypłynął cienki ciemnoczerwony strumyk. Zdobył pożywe uzupełnienie racji herbatników,

czekolady i sucharów, jakie znajdowały się w pakiecie osobistym. Ogarnął go wyolbrzymiony przez zmęczenie żal z powodu zabicia zająca, lecz gdy tylko uświadomił go sobie, natychmiast górę wzięła litość nad samym sobą; był krańcowo wyczerpany. Nie mógłby teraz wstać, obdrzeć zająca ze skóry i przygotować posiłku.

Znów opanowały go dreszcze. Jak gdyby wymierzając sobie karę zaczął energicznie bić dłońmi o ramiona, chcąc rozgrzać się nieco. Albo tylko zrzucić z siebie trochę poczucia winy i odrętwienia.

Jakiś twardy przedmiot. W kieszeni. Na lewym ramieniu. Otworzył suwak i wyciągnął mały pomarańczowy cylinder. Rozpoznał go od razu. Osobisty nadajnik awaryjny. Generator sygnalizacji niebezpieczeństwa.

Zapatrzył się z niedowierzaniem. Zapomniał o jego istnieniu, nawet nie próbował go szukać. Został uruchomiony... Z całą pewnością został uruchomiony i zaczął nadawanie sygnału – w chwili kiedy znalazł się pod wodą. Błyskawicznie uniósł głowę w niebo. Pusto. Grupy poszukiwawcze zostały wycofane.

Nagle przypomniał sobie o białej kropce Tupolewa AWACS, którą widział na ekranie.

Nadajnik spoczywający w jego dłoni miał na pewno wystarczającą moc, by odebrano sygnał pięćdziesiąt kilometrów stąd i na wysokości dwunastu tysięcy metrów, na jakiej patrolował Tupolew AWACS. Musieli namierzyć sygnał. Wiedzieli, że żyje. Znali miejsce jego pobytu...

Panika nagłym zastrzykiem adrenaliny pokonała zmęczenie. Podniósł się na nogi, zatoczył, po czym rzucił nadajnik na ziemię. Natarł na niego piętą, zgniół, rozwalil obudowę, roztrzaskał tranzystory i płytkę z obwodami. Zniszczył go. Obok powstałego nagle wyłomu w nieskalanej bieli śniegu leżał nieruchomo zając. Uklękął i zaczął zbierać rozłożone rzeczy z powrotem do torby pakietu. Cegielka nie rozwiniętego jeszcze śpiwora, składany karabinek kalibru 5,58 mm z dziesięcioma nabojami, czekolada i suchary, prasowane racje żywnościowe, kocher z kostkami stałego paliwa.

Spojrzał na zająca.

Wyjął z bagażu torbę foliową, ostrożnie, jakby pełen skruchy podniósł zwierzę, wsunął do torby, po czym wcisnął do pakietu osobistego. Wyprostował się i nasunął nogą trochę świeżego śniegu na niewielką, ciemniejszą plamę krwi.

Ślady nie powinny go zdradzić, większą część drogi przebył pod osłoną gęstwin lasu. W końcu będzie musiał się przespać, ale teraz powinien ująć jeszcze trochę, kierując bardziej na północ. Przerzucił ramię pakietu przez

ramię, z trudem prostując się na całą wysokość. Zataczał się z wycieńczenia. Spojrzał na zegarek. Do zmroku miał jeszcze około dwóch godzin. Czekwały go dwie godziny drogi, zanim będzie mógł odpocząć.

Ryknął głośno. Dźwięk ten naruszył, a jednocześnie jakby spotęgował otaczającą go ciszę. Popatrzył na mapę. Miał przed sobą połacie lasów, wąskie doliny i oczka jezior. Prawie jak na Alasce.

Ułożył wygodniej bagaż, wzdrygnął się – zarówno z zimna, jak i na myśl o czekającym go marszu – wsłuchał jeszcze we wszechobecną, niezmaconą ciszę, po czym stanął twarzą na północ.

Zaczął iść.

Major Alan Eastoe wprowadził Nimroda AWACS w szeroki łuk. Dotarli do południowego krańca trasy patrolowej, prowadzącej na wysokości 7500 metrów wzdłuż drogi przecinającej norweską Laponię od Tanafjordu po niewielkie miasteczko Karasjok. Szosa wiała się wzdłuż granicy między Norwegią i Finlandią. Samolot po raz kolejny zawrócił ponad warstwą chmur w kierunku północno-wschodnim, jak gdyby związany z tą krętą, niewidoczną stąd drogą.

Minęły już prawie dwie godziny od czasu, kiedy Eastoe złożył szczegółowy raport o wszystkim, co zinterpretował jako pościg zakończony zniszczeniem niewidzialnego Miga-31. W odpowiedzi nadszedł rozkaz Aubreya, by zostać na posterunku, kontynuować ten idiotyczny patrol i żywić śmieszna nadzieję, że uda im się albo przechwycić sygnał z osobistego nadajnika awaryjnego Ganta – co było nierealne, ponieważ Gant nie żył – albo pobudzić do jakiegokolwiek emisji skomplikowaną elektroniczną zabawkę, która musiała ulec zniszczeniu wraz z Firefoxem.

Aubrey potrzebował dowodów. Tylko dlatego bez przerwy próbowali zmusić urządzenie naprowadzające Firefoxa do wyemitowania samej fali nośnej, która pozwoliłaby namierzyć jego położenie. Farnborough zapewniał, że ów nadajnik zdolny był odpowiedzieć na impulsowy sygnał radiowy nawet po upływie osiemnastu godzin. Ale Eastoe nie wierzył, że kiedykolwiek uda im się złapać tę falę nośną. Nikt, z wyjątkiem niedouczonej cywilów w rodzaju Aubreya, nie mógł na to liczyć. Nie istniał żaden duch maszyny. Firefox po prostu został rozbity.

Ziewnął i poprawił przyciemnione okulary na nosie. Na tej wysokości słońce wciąż jeszcze wystawało ponad leżącą w dole powłokę chmur, ale na ziemi z pewnością padał już zmrok.

– Na Boga, Terry – mruknął. Odprężył się, odchylił głowę do tyłu i popatrzył na drugiego pilota. – Powiesiłbym drania za jaja. Ten biedny sukinsyn nie żyje; co prawda, żal mi go. Samolot został skasowany i tego też mi żal, miałem ochotę obejrzeć go sobie, choćby tylko raz... Co z tego...?

Drugi pilot potrząsnął głową i uśmiechnął się.

– Przecież pracowałeś kiedyś z Aubreyem, kapitanie... – zaczął.

– Pracowałem dla niego, Terry, pracowałem dla Aubreya. A to zasadnicza różnica. Nigdy, do kurwy, nie można go było przekonać. Założę się, że jak wyląduje w Rajskich Ogrodach, będzie przysięgał na wszystko, iż zmartwychwstały Chrystus jest tylko ogrodnikiem! – Rozgoryczony Eastoe zaśmiał się. W słuchawkach rozległ się chichot pozostałych członków załogi. – Pewnie powie wtedy: „no, dalej, jeden czy dwa cudy, żeby udowodnić, że jesteś naprawdę tym, za kogo się podajesz. Chociaż nie, może lepiej trzy cudy”. Głupi stary sukinsyn!

– Czemu się wściekasz? Za pół godziny musimy wylądować w Bardufoss, bo kończy nam się paliwo. Nie każe nam przecież startować jeszcze raz dziś wieczorem?

– Nie byłbym tego pewien – warknął Eastoe.

Z wyjątkiem głosów ludzi, na pokładzie Nimroda panowała wręcz wyjątkowa cisza. Jak w czasie normalnego patrolu wykorzystywali tylko dwa z czterech silników. Zresztą pod każdym innym względem był to taki sam rutynowy, bezsensowny lot. Tyle że Eastoe był wyraźnie rozgoryczony i rozczarowany – jankesowi prawie powiodło się, prawie udało mu się zwiać. Coś poszło nie tak. Możliwe, że podczas ostatniej walki powietrznej, kiedy zniszczył drugiego Miga-31, samolot został uszkodzony. Potem złapali go w trakcie przeskoku i skończyli z nim. Biedny dupek.

– Zupełnie nic, John? – rzucił zawodzącym głosem pytanie do mikrofonu, skierowane do nawigatora taktycznego, siedzącego przed swoimi ekranami w pierwszym z obszernych przedziałów na tyle samolotu. – Co, do cholery, robią ci głupi Rosjanie?

– O kogo ci chodzi? O zalanego Pietra z Tupolewa?

– Chociażby.

– Lata tam i z powrotem wzdłuż swego odcinka granicy, dokładnie tak samo jak my, kapitanie. Zdaje się, że mają nie więcej szczęścia niż my. Żadnych zmian kursu, z wyjątkiem nawrotów na końcach odcinka. Teraz są...

– Niepotrzebne mi jego pieprzone namiary, na miłość boską! Poza tym nic?

– Nic. Nawet żadnego fińskiego myśliwca. Chyba dostali rozkaz z Helsinek,

żeby nie podnosić nosa znad ziemi. Zignorować zajście, zapomnieć o wszystkim. W fińskiej przestrzeni nie ma też ani jednego Miga. Polecieli do domu na herbatkę.

– Mają zdjęcia z miejsca katastrofy. Poddadzą je analizie. Może powinniśmy...?

– Zbliżamy się do punktu położonego najbliżej miejsca eksplozji – podpowiedział nawigator rejsowy niczym uśmiechnięty kusiciel. – Miał pan na myśli, żeby rzucić okiem, kapitanie?

– Skręca mnie z nudów, ale nie jestem idiotą – odparł Eastoe. To nie jego zmartwienie. Aubrey mógł się dogać z fińskim wywiadem czy nawet wykryć amerykańskiego satelitę. Zdobyć dowodów w postaci fotografii miejsca wypadku nie stanowiło dla niego problemu. Po co mieli się narażać? Zresztą cisza w eterze była wystarczającym dowodem. Nie było czego szukać. Kapitan Tupolewa wiedział o tym równie dobrze, zachowywał się biernie.

Ale myśl ta nie dawała mu spokoju. Czemu nie? Rosjanie przez całe popołudnie kręcili się w fińskiej przestrzeni. Gdyby tak...

Jeszcze jedno przypuszczenie...

Mogli znajdować się poza zasięgiem tego cholernego urządzenia naprowadzającego. Niewykluczone, że zaczęło emitować falę nośną, ale ich samolot znajdował się o dziesięć kilometrów czy chociażby o kilometr poza zasięgiem nadajnika, który przecież miał bardzo małą moc.

Gdyby jednak zmienili kurs, tamci z Tupolewa mogliby pomyśleć, że coś znaleźli. Z drugiej strony, gdyby ograniczyli się do sfotografowania z niskiego pułapu miejsca wypadku, może tamci nie zareagowaliby – a zdjęcia byłyby użyteczne, o wiele bardziej użyteczne niż wałęsanie się tam i z powrotem wzdłuż granicy.

– Masz coś, John?

– Nic, kapitanie.

Eastoe zerknął na drugiego pilota.

– Wszyscy w gotowości. Mam zamiar zrobić mały skrót, zetniemy ten róg na mapie. Wykonamy parę pamiątkowych fotek. Dobra?

Drugi pilot popatrzył na niego i odezwał się po chwili: – Ty chyba naprawdę lubisz pracować dla tych fiutów od płaszcza i szpady, prawda? Wykazać się szaleńczą odwagą. Kiedy ty wreszcie dorośniesz?

– Do twojego poziomu? – Eastoe uśmiechnął się szeroko. – To wchodzi w zakres rutynowego patrolu. Czy myślisz, że ktoś się dowie i podniosą szum? Możemy zrobić własne zdjęcia miejsca katastrofy i z bliska poszukać tej pieprzonej fali nośnej. A potem, obiecuję, natychmiast wracamy do domu.

– Trzy czy cztery minuty w fińskiej przestrzeni nie stanowią zbrodni stulecia, Terry – poparł go nawigator taktyczny.

– Bob?

– Tak, kapitanie? – zgłosił się nawigator rejsowy.

– Daj mi kurs na miejsce eksplozji.

– Robi się, kapitanie.

Eastoe uśmiechnął się.

– Oskarżysz mnie przed sądem wojskowym, Terry – zaproponował.

– Masz to jak w banku.

Eastoe przesunął drążek wprowadzając samolot na nowy kurs. Tępy dziób Nimroda pochylił się w prawo. Leżąca w dole powłoka chmur nie poddawała się jakimkolwiek podziałom terytorialnym. Jakie to proste – pomyślał Eastoe. Napięcie wywołane faktem naruszenia fińskiej przestrzeni powietrznej usztywniło całe jego ciało.

– Dwadzieścia cztery kilometry od miejsca eksplozji. Prosto na kursie.

– Żadnych transmisji, kapitanie.

– Piętnaście sekund do celu.

Eastoe skierował dziób Nimroda w dół.

– Zejdziemy powoli, żeby nie budzić niczych podejrzeń. Potem zawróćmy i w drodze powrotnej przelecimy nad miejscem katastrofy.

Proszę przygotować wszystkie aparaty.

Warstwa chmur zdawała się unosić na spotkanie Nimroda, niemal go już dotykała.

– Mam!

– Chryste! Co?

– Fałę nośną. Złapałem ją, bez zakłóceń. To musi być on!

– Zmienię kurs, żebyś przechwycił namiar.

Chmury przepływały wokół Nimroda. W kabinie zrobiło się ciemno.

– Nie. Jest prawie dokładnie na południe od nas. Złapałem kierunek... pierwszy namiar, kapitanie. Trzymaj się na kursie. Na razie nic nie zmieniaj, do cholery.

– Na południe? – powtórzył szczerze zdumiony Eastoe. – To nie jest miejsce eksplozji. Jezu, a więc on nie spadł...?

– Zaczekaj, zaraz będziesz znał odległość. Nadajnik mógł zostać wyrzucony nawet dość daleko – odpowiedział drugi pilot.

– Rany boskie! Co z tobą, John...?

– Jeszcze chwila, kapitanie. Pięćdziesiąt, pięćdziesiąt jeden, dwa, trzy...

– Spokojnie. Mogę zawrócić i przejść jeszcze raz, jeśli będziesz potrzebował – rzucił niecierpliwie Eastoe.

– Dobra. Mam.

Eastoe stęknął bezgłośnie. Uszy poczerwieniały mu z podniecenia. Nawigator taktyczny wykreślał teraz linie na mapie, a punkt ich przecięcia powinien wskazać dokładne położenie nadajnika kierunkowego. Zaraz będą wiedzieli, jaka odległość dzieli ich od tego punktu, będą znali miejsce usytuowania nadajnika.

– Prawie czterdzieści kilometrów na południe od nas. Wygląda na to, że na jeziorze. Albo w jeziorze.

– Może masz oprócz tego sygnał jego nadajnika awaryjnego?

– Nie.

– Gdyby siedział nadal w samolocie, nadajnik zacząłby działać. Gdzie on, do diabła, może być?

Gant obudził się. Jakaś cząstka jego umysłu błyskawicznie odzyskała przytomność i podniosła alarm, ale reszta trzeźwiała powoli – musiał zebrać myśli, przywrócić świadomość, otrząsnąć się z głębokiego snu, w jaki zapadł natychmiast po wsunięciu się do śpiwora. Coś go obudziło – coś...

Stęknął, po czym szybko zakrył dłonią usta. To coś mogło być tak blisko niego jak arktyczny zajęć, którego zastrzelił.

Poruszył dłonią wewnątrz śpiwora, po czym wyciągnął ją uzbrojoną w pistolet. Panowały całkowite ciemności. Dostrzegał zaledwie słabutki odbłask śniegu i pnie najbliższych niewysokich drzewek, przypominających paliki ogrodzenia. Nasłuchiwał. Reszta jego umysłu i wszystkie zmysły otrząsnęły się wreszcie ze snu.

Przycisnął zimną kolbę pistoletu do policzka i oparł na niej twarz, jakby szukając wsparcia.

Z oddali dobiegły go odgłosy wirników helikoptera – ten sam szelest, który wdarł się w jego sen. Nie miał wątpliwości, że dźwięki napływają od wschodu i zbliżają się w jego kierunku. Rosjanie. Światła, żołnierze, może nawet psy...

Kopniakiem zrzucił z siebie śpiwór, złożył go naprędce i upchnął do torby pakietu. Chwycił rzemienie i już w biegu przełożył przez ramiona.

3.

Ucieczka

– Tutaj! – oznajmił Aubrey, kiedy wreszcie odnalazł miejsce o podanych przez Eastoego szyfrem współrzędnych, a jego palec spoczął na szczegółowej mapie Finlandii, której brzegi spadały na podłogę po obu stronach składanego stolika. – Tutaj, w jeziorze, panowie! W jeziorze! – podkreślił z odcieniem triumfu.

– Niewykluczone, że jezioro było zamrożone, pomyślał więc, że może bezpiecznie wylądować na lodzie – po cichu rozważał Buckholz, skubiąc dolną waręgę i zezując na Curtina w poszukiwaniu poparcia. Tamten pokiwał głową.

– Musiał natychmiast uciekać stamtąd, w przeciwnym razie Rosjanie szybko namierzyliby Firefoxa – mruknął Curtin, marszcząc brwi. Nie ulegało wątpliwości, że rozpatruje szanse przeżycia Ganta.

– Zgadzam się. A obecnie znajduje się tutaj.

– Tam jest urządzenie naprowadzające – podsunął Giles Pyott. Nadal miał na sobie kurtkę mundurową, a brązowe rękawice trzymał w prawej dłoni. Postukiwał nimi rytmicznie o mapę. – I co z tego? Sądzę, że samolot został zniszczony. Gant musiał się katapultować.

– Dlaczego więc nie odebrano sygnału osobistego nadajnika awaryjnego Ganta? – zapytał ponurym głosem Curtin. – A jeśli on żyje, to gdzie jest, pułkownika Pyott?

– Właśnie.

– Może wyłączył nadajnik albo go zniszczył? – stwierdził Buckholz. – Nie chciał, żeby tamci go wykryli. Oni są znacznie bliżej tego miejsca, poza tym dysponują o niebo lepszym potencjałem. – Buckholz pokręcił głową. – A może faktycznie nie żyje. Powinniśmy brać pod uwagę również taką ewentualność.

– Ale Firefox...! – zaprotestował zniecierpliwiony Aubrey.

– Może być rozbity na dwie części, na dwieście albo dwa miliony – odparł Curtin. Na twarzy Aubreya pojawił się grymas irytacji. – Nadajnik znajduje się trzydzieści pięć kilometrów od miejsca, w którym spadł Foxbat – mówił dalej Curtin. – Wypadek miał miejsce tutaj... – Teraz on z kolei stuknął palcem w mapę. Wszyscy pochylali się nad stołem, jak gdyby barwny arkusz papieru był talizmanem. Wojskowa czapka Pyotta zasłaniała północną Norwegię. Rękawice spoczywały teraz obok niej, natomiast jego dłoń opierała się na Morzu Barentsa.

– A więc został zniszczony – stwierdził Buckholz. – Niewykluczone, że spłonął... Trzydzieści pięć kilometrów to żadna odległość. Nie mamy się co ludzi, przyjaciele.

– Musimy mieć pewność! – wybuchnął rozgorączkowany Aubrey. – Musimy zobaczyć to miejsce! – Wykrzykując te słowa popatrzył na twarz Pyotta, niczym dziecko szukające wsparcia u rodzica. Giles Pyott uśmiechnął się krzywo.

– Kenneth, mój drogi, spróbujmy zająć się tylko tą jedną rzeczą. Od dziesięciu minut, od kiedy przybyłem tu z MOD, cała ta jednostka lotnicza biednego pułkownika Bradnuma została oddana do mojej dyspozycji tylko w imię dobra waszej akcji... Co jeszcze mógłbym dla was zrobić?

– Eastoe musi przelecieć...

– Nad jeziorem? A co z protestami dyplomacji fińskiej? – Giles Pyott sięgnął po składane krzeselko, rozłożył je szybkim ruchem dłoni, po czym usiadł. Ułożył ręce na kolanach i czekał w milczeniu. Trzej pozostali mężczyźni także sięgnęli po krzesła z długiego szeregu ustawionego pod jedną ze ścian Centrum Operacyjnego bazy w Scampton i usiedli w półkolu twarzami w stronę Pyotta. Aubrey sprawiał wrażenie przynajmniej chwilowo zadowolonego z objęcia dowództwa przez oficera. Buckholz, na początku zdziwiony, zrozumiał wreszcie, że Aubrey jedynie gra na zwłokę. Widocznie spodziewał się, że jeśli pułkownik z Komitetu Wywiadu Strategicznego MOD odniesie wrażenie, że ma głos decydujący, że góruje autorytetem, wówczas będzie można go jakoś urobić.

Jak gdyby czytając w myślach Amerykanina, Pyott uśmiechnął się i rzekł:

– Schlebiasz mi, zwracając ku mnie swą niepodzielną uwagę, Kenneth... Mniejsza z tym, musimy podjąć jakieś działania. – Oczy pułkownika omiotły Centrum Operacyjne. Zakrzywionym palcem przyglądał krótkie kasztanowosiwę wąsy. Pod każdym względem cała baza w Scampton była do jego dyspozycji. Ale jak miał wykorzystać ten potencjał? Od czego zacząć? – Zgadzam się, że Eastoe mógłby wykonać jeden lot. Tylko czy fotografie dostarczyłyby nam

wyczerpujących informacji? W tamtych szerokościach jest już obecnie całkiem ciemno. – Zauważył, że na twarzy zamyślnego Aubrey a malowało się zacięcie, jak u dziecka całkowicie pochłoniętego budowaniem zamków z piasku i ignorującego naturę fal morskich. Aubrey przygotowywał się do kłótni, do obstawiania przy swoich racjach; do pominięcia kwestii dyplomatycznych na rzecz zachowania projektu w tajemnicy. Ale do tego musiał przedstawić argumenty najwyższej wagi.

– Potrzebujemy kogoś, kto przyjrzałby się wszystkiemu z bliska – podsunął cicho Aubrey.

– Tak. Dyrektorze Buckholz, Charles, jakie jest pańskie odczucie? Jakie wnioski moglibyśmy przedstawić w tej chwili?

– Podzielim zdanie majora Eastoe, pułkownika. Przechwycili Ganta po nawiązaniu kontaktu wizualnego, dogonili i zestrzelili. Mamy tam jedynie masę szczątków. Tak uważam. – Pyott spojrział następnie na Curtina, ale ten jedynie twierdząco pokiwał głową.

– Nie mam podstaw, żeby się z wami nie zgadzać... – Aubrey mruknął zniecierpliwiony, ale nie odezwał się. Pyott mówił dalej: – Znacie wszyscy delikatną sytuację polityczną. Finlandia udzieliła zgody na przelot Miga-31, o ile powiedzie się jego porwanie, głównie dzięki osobistym kontaktom Kennetha z dowództwem fińskiego wywiadu. Należy sądzić, że znają lub co najmniej domyślają się prawdy. Spodziewam się z ich strony bardzo negatywnych reakcji... chyba że ty, Charles, zdołasz przekonać swój rząd, podobnie jak ja musiałbym przekonać swój, iż delikatny nacisk przyniesie nam wielkie korzyści. – Pyott wzruszył ramionami. – Proponuję, byśmy na razie wstrzymali się z jakimikolwiek drastycznymi posunięciami, do czasu, aż nasze odpowiednie władze podejmą stosowne decyzje. Krótko mówiąc, i ja, i ty, Charles, musimy przygotować jak najbardziej przekonujące argumenty. Po pierwsze, czy możemy stwierdzić szczerze, z ręką na sercu, że istnieje szansa na to, iż Firefox jest nie uszkodzony, a pilot żyje? – Urwał, omiatając wzrokiem twarz, jak gdyby chciał wymusić odpowiedź. Po chwili dodał: – No więc? Czas do namysłu, panowie?

– Ja nie potrzebuję – stwierdził stanowczo Aubrey. – Uważam, że nie wolno nam odrzucać takiej możliwości. Poza tym muszę znać prawdę. – Popatrzył na Charlesa Buckholza. – A ty, Charles?

– Nie wiem... Możliwe, że masz rację. Na Boga, chciałbym, żeby to była prawda. Ale... wszystko wskazuje na to, że jest inaczej.

– Czy mógłbyś przyznać, w chwili obecnej, że istnieje taka możliwość?

– Nie wiem...

– Nie możemy po prostu wszystkiego przekreślić, Charles...! – krzyknął Aubrey zrywając się na nogi. Krzesło przewróciło się na podłogę, czyniąc w Centrum Operacyjnym nieproporcjonalnie wielki hałas. – Zbyt wiele czasu i wysiłków zostało włożone w ten projekt, zbyt wiele pochłonął on istnień ludzkich. Nie wyobrażam sobie, żebyście nie chcieli poznać prawdy. Rosjanie na pewno poczynią kroki w tym kierunku, a my możemy zostać w tyle w wyścigu, o którym jeszcze nawet nie mamy pojęcia!

Na twarzy Buckholza wpatrującego się w Aubreya, który tkwił pochylony nad nim niczym despota, widniało zmieszanie, a nawet coś w rodzaju strachu.

– Ja... – zaczął, ale Aubrey postanowił kuć żelazo póki gorące.

– Kiedy tylko przyjrzą się zdjęciom z miejsca wypadku, odkryją, że nie ma na nich szczątków Firefoxa. My przecież wiemy, że samolot znajduje się gdzie indziej. Kiedy się dowiedzą, a możliwe, że już o tym wiedzą, rozpoczną poszukiwania. Jeśli więc samolot znajduje się w całości... – zostawił tę groźbę zawieszoną w powietrzu.

Pyott pogładził swoje wąsy.

– Myślę, że Kenneth ma rację, Charles – mruknął.

– Możliwe – odparł z ociąganiem Buckholz.

– Sądzę, że powinniśmy, Mr Buckholz – wtrącił Curtin. – Powinniśmy sprawdzić wszystko do końca.

Buckholz z oporem wzruszył ramionami.

– Dobra. Spróbuję jeszcze raz wywalczyć coś w Waszyngtonie. A wy będziecie interweniować w Londynie?

– Oczywiście. – Pyott skinął głową.

– Musimy tak wymanewrować naszych politycznych zwierchników, by rozkazali nam kontynuować akcję – odpowiedział Aubrey ponurym makiawelicznym tonem, a na jego ściągniętych wargach pojawił się niewyraźny, figlarny uśmieszek.

– W porządku.

– Nie traćmy więc czasu. W pokoju odpraw znajduje się aparat telefoniczny, z którego możecie połączyć się bezpośrednio z Grosvenor Square, Charles. Zaczekamy tutaj, aż skończycie, a potem my zatelefonujemy.

Buckholz, choć nikt go nie lekceważył, poczuł się jak odprawiony posłaniec. Skinął na Curtina.

– Chodźmy, Gene. Uzgodnijmy wspólną wersję, zanim zaczniemy rozmowy.

Obaj Amerykanie zniknęli w pokoju odpraw, do którego drzwi prowadziły

wprost z Centrum Operacyjnego. Giles Pyott i Aubrey spoglądali, jak zamykają się za nimi.

– Czy możemy to zrobić? – spytał szybko Aubrey.

Ale Pyott nie odpowiedział. Wstał i podszedł do wielkiego stołu mapowego pośrodku sali. Omiótł wzrokiem znajdujące się na nim modele, szpule z taśmami i kolorowe znaczniki.

– Kiepsko to wygląda – mruknął, odwracając się do Aubreya, który stanął obok. Miejsce wypadku symbolizowała na mapie miniaturka Miga-25 oraz czarny, futurystyczny model Miga-31. Stały obok siebie w jakimś fatalistycznym, śmiercionośnym układzie. Aubrey uniósł jeden z drążków, używanych przez zakreślaczy do przesuwania modeli po stole. Niezdarnie sięgnął i przesunął model Firefoxa w kierunku południowym, ustawiając go wprost na niebieskiej plamce jeziora. Przez moment Pyott miał wrażenie, że obserwuje poczynania energicznego, bezdusznego krupiera.

– Tutaj! – odezwał się Aubrey triumfalnym tonem.

– Czy jesteś przekonany, że samolot znajduje się w całości?

– Nie jestem przekonany, że został rozbity na milion kawałków, Giles. Poza tym nawet na podstawie szczątków samolotu moglibyśmy się wiele o nim dowiedzieć. Albo też od Ganta, jeśli żyje. Żeby mieć pewność, musimy posłać kogoś pod lód.

Pyott zaczął gładzić swoje wąsy w szybszym, bardziej zdecydowanym rytmie. Po chwili znów odwrócił się do Aubreya i powiedział:

– Wiem, czego się po mnie spodziewasz, Kenneth. Mam odpowiednich ludzi, znajdują się w tej chwili w Varangerfjord. Płetwonurkowie, specjalny oddział komandosów, ćwiczony w wysadzaniu desantu na wybrzeżu nieprzyjaciela z pokładu pościgowej łodzi podwodnej. Zawodowcy. Dowodzi nimi twój stary przyjaciel, major Alan Waterford, z 22 dywizji SAS. Myślę, że brzmi to dla ciebie jak pomyślna wróżba na przyszłość, prawda?

– Czy moglibyśmy...?

Pyott pokręcił głową.

– Nie, dopóki sytuacja się nie wyklaruje, dopóty nie dostaniemy rozkazu podjęcia jakichś działań. Zarówno Waszyngton, jak i Numer Dziesiąty muszą wydać taki rozkaz. Zdajesz sobie z tego sprawę, Kenneth.

– Niestety, tak.

– Finowie zezwolili na przelot niewidzialnego samolotu nad ich obszarem, chociaż uczynili to niechętnie. Nie wierzę, że bez nacisku ze strony naszych rządów zgodzą się angażować w jakiegokolwiek dalsze działania w tej sprawie.

Muszę ci to uzmysłwić, jako pracownikowi SIS, ze strategicznego punktu widzenia. Zarówno JIC, Komitet Wywiadu Sił Sprzymierzonych, jak i dowództwo sztabu będą musieli mocno naciskać Numer Dziesiąty, by zgodził się na kontynuowanie akcji. Wiele zależy także od postawy Waszyngtonu.

Pyott odwrócił się od Aubreya w stronę oficera RAF, który szybkim krokiem zbiegł po metalowych schodkach z oszklonej galeryjki, gdzie znajdowała się kabina łączności. Z Centrum Operacyjnego widać było jedynie szereg pochylonych głów. Oficer lotnictwa podszedł do nich szybko.

– Mr Aubrey... pułkownik Pyott, proszę o szybkie przejście do kabiny łączności. Major lotnictwa Eastoe chce natychmiast rozmawiać z Mr Aubreym.

– O co chodzi?

– Nie wiem, sir. Major powiedział tylko, że to bardzo pilne i że prosi pana jak najszybciej do mikrofonu.

Pyott ruszył sprężystym krokiem za oficerem. Aubrey podreptał pospiesznie za nimi, omiatając szybkim spojrzeniem stopy papierowych kubków, wygięte plecy ludzi w niebieskich mundurach, pomazane kredą tablice i konturowe mapy pogody, zanim musiał spuścić wzrok ku wąskim metalowym schodkom, po których Pyott z łomotem wbiegał na górę. Meldunek Eastoeego czekał na niego; za szkłem unieruchomiona taśma przechowywała nierozpoznawalny zbitek dźwięków, przygotowana jednocześnie, by ze zwielokrotnioną szybkością wysłać w eter jego odpowiedź.

Wpadł do kabiny tuż za Pyottem i z miejsca zwrócił się do operatora.

– Proszę odtworzyć nagranie.

– Natychmiast przekazać wiadomość panu Aubreyowi – rozbrzmiał głos Eastoeego. – Pomimo zakłóceń radarowych od powierzchni gruntu i rozpraszania na śniegu zlokalizowaliśmy echo helikopterów lecących na zachód i południowy zachód. Według naszych ocen są to trzy maszyny, typowe śmigłowce desantowe. Wszystko wskazuje na to, że nie interesują się naszym jeziorem. Jeśli nie zmienią kursu, przelecą na północny zachód od niego. Od jeziora dzielą nas cztery koma dwie minuty lotu. Jeżeli mamy tam lecieć, proszę o rozkazy. Over.

Taśma zatrzymała się. Aubrey energicznie potarł dłonią brodę. To niemożliwe... nie mogli przechwycić fali nośnej urządzenia naprowadzającego, tylko Eastoe na pokładzie Nimroda posiadał odpowiednią aparaturę... Dlaczego więc...?

– Eastoe! Proszę w miarę możliwości dokładnie śledzić ich poczynania.

Przedsięwziąć wszelkie środki... – Ledwie zaszczycił spojrzeniem Pyotta, którego twarz pozostawała bez wyrazu. Zawahał się na chwilę, po czym rzekł stanowczo: – Rozkazuję wam przelecieć nad jeziorem, ale tak, by nikt nie domyślił się, że jest ono waszym celem, i wykonać możliwie najlepsze, niezależnie od warunków, fotografie. Chciałbym, żebyście następnie przyjrzeni się bliżej tym helikopterom. Chcę wiedzieć, co oni robią... Niech to szlag! – Taśma obracała się dalej. Aubrey rzucił na zakończenie: – Powodzenia. Over. Koniec.

Dopiero teraz popatrzył na Pyotta, którego oblicze ściągnęło się w posępną maskę, a szkliste oczy zdawały się nie dostrzegać nikogo i niczego. Z pewnością rozmyślał nad konsekwencjami poleceń Aubrey a.

– Musiałem – wyjaśnił Aubrey. – Wydarzenia zaczynają nas prześcigać. Muszę mieć więcej informacji, bez względu na konsekwencje.

– Zgadzam się – odparł Pyott. – Ale mimo wszystko nie podoba mi się to. Lepiej skontaktujmy się z JIC i z dowództwem sztabu. Niewykluczone, że będę musiał udać się tam osobiście... – Zrobił kilka kroków w stronę wyjścia z kabiny, ale odwrócił się jeszcze w kierunku Aubreya. – Mam nadzieję, że nasi amerykańscy przyjaciele nakłonią swego prezydenta do konkretnych działań, Kenneth. Dla naszego wspólnego dobra.

Sople lodu przypominały przezroczyste, bezbarwne rękawice naciągnięte na uschnięte gałązki krzewu, za którym przycupnął Gant. Rozlegające się w oddali za nim odgłosy świadczyły o rozpoczęciu bezwzględnej polowania – grupy pościgowe musiały znajdować się nie dalej jak półtora kilometra w tyle.

Słyszał ujadanie psów. Helikoptery – był niemal zupełnie pewien, że aż trzy – kluczyły w poszukiwaniu jego śladów. Czasami dostrzegał ich sylwetki, kiedy zawisały na dłużej ponad kolejną jego kryjówką w nieustającej ucieczce na zachód. Wyglądało to tak, jakby wiedzieli, gdzie się znajduje, i tylko spychali go powoli w stronę zastawionej pułapki. Wiedział, że jeden ze śmigłowców lądował gdzieś na północ lub północny zachód od niego. Prawdopodobnie wysadzony desant posuwał się z tamtej strony w jego kierunku...

A więc także w kierunku tej wioski – gromadki drewnianych chat skupionych w kotlinie, za którymi, na ogrodzonym placu, grupka Lapończyków poskramiała stado dzikich reniferów. Galopujące zwierzę ciągnęło właśnie za

sobą jednego z niskich, jaskrawo odzianych mężczyzn. Ten ślizgał się na brzuchu, ale nie wypuszczał z rąk sznura. W końcu zniknął w tumanie śniegu, a po chwili wytoczył się na zewnątrz zagrody. Gant przyglądał się tej scenie zdumiony, jakby pogrążony we wspomnieniach. Rodeo – tyle że biorący w nim udział ludzie byli mu równie obcy jak Wietnamczycy. Niscy, oliwkowoskórzy, niektórzy ubrani w tradycyjne wysokie, spiczaste, futrzane czapy i buty bez podeszwy, inni w niebieskie bawełniane kombinezony i baranie kozuszki.

Obcy. Ludzie, których nie znał; nie władał ich językiem, a więc nie mógł im zaufać. Jeden z reniferów zaryczał przeciągle. Mężczyźni, niczym matadorzy, skakali między zwierzętami, które usiłowały dosięgnąć ich rogami. Przeszył go nagły dreszcz. Kiedy kierując się hałasami wyszedł prosto na wioskę, doznał nieoczekiwanego wrażenia zetknięcia się z czymś bliskim. Ale obserwowana parodia Ameryki, tutaj, daleko za północnym kołem polarnym, uzmysłowiła mu obcość tych ludzi.

Trzaskały pochodnie, błyszczały lampy. Zagroda oświetlona była reflektorami ciężarówki oraz sań motorowych. Za ogrodzeniem przesuwają się wydłużone cienie ludzi i zwierząt. Wkrótce, kiedy nastanie mrok, mężczyźni skończą pracę i rozejdą się do domów. Dotarły do niego zapachy kuchenne. Rosjanie pewnie także niedługo się tu zjawią. Musiał uciekać dalej.

Schyłony wysunął się zza krzaka. Zmrożony materiał skafandra skrzypiał. Zesztywniałe mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Musiał ubrać się w coś cieplejszego; w kurtkę, płaszcz, sweter, wszystko jedno. Miał zamiar ukraść co mu wpadnie w ręce.

W prawej dłoni ścisnął składany karabinek z wprowadzonym do lufy nabojem. Zakopał pod śniegiem spadochron, zostawił jednak kamizelkę ratunkową, jej uprząż była mu bowiem potrzebna do przymocowania pakietu osobistego. Pistolet Makarowa trzymał w pogotowiu. Ostrożnie schodził w kotlinkę, w kierunku najbliższej drewnianej chaty. Dobiegające z przeciwnego krańca wioski hałasy przycichły, zamieniły się w przytłumiony szum, któremu towarzyszył stukot kopyt przenoszony przez zmarzniętą ziemię. Doskoczył do ściany chaty, przywarł do niej, starając się uspokoić oddech, po czym przesunął powoli ku pokrytemu szronem okienku, zza którego słaby odbłask lampy kładł się na śniegu jasną plamą. Mimo zapadających ciemności wyraźnie widoczne były jego ślady wiodące ku krawędzi kotlinki. Nasłuchiwał. Nie docierało do jego uszu nic poza odgłosami pracy przy zwierzętach. Rosjanie musieli się już znajdować nie dalej jak kilometr za nim. Poczucie nieustannego zagrożenia nasilało przenikające go dreszcze. Musiał się ogrzać. Nie będzie w stanie utrzymać się przez

całą noc na nogach, jeśli nie ubierze się ciepłej.

Wspiął się na palce i zajrzał do środka. Długi, nisko sklepiony pokój, olbrzymi czarny piec pośrodku, rozrzucone dywaniki o jaskrawych barwach, fotele, prosty drewniany stół z rozstawionymi nakryciami. Czas...

Nasłuchiwał terkotu helikopterów, ale nie usłyszał nic. Sprawdził ostrożnie okno. Zamknięte. Minął narożnik chaty i przywarł do ściany na tyłach domu. Kolejne zamknięte okno. Następne, jeszcze jedno...

Uchylił je ostrożnie. Otoczyła go silna fala zapachów. W małej kuchence nie było nikogo. Na starym piecyku stał olbrzymi gar, w którym gotowała się jakaś potrawa. Mięso. Gorące mięso duszone w sosie. Ociężałe przerzucił nogę przez futrynę, zawisł na chwilę okrakiem, wreszcie zeskoczył na podłogę. Gdzie byli mieszkańcy? Zsunął karabinek z ramienia, celując w stronę drzwi prowadzących do głównego pokoju. Teraz usłyszał czyjeś kroki, delikatne stąpania, ciche, lecz wyraźne odgłosy domowej krzątania. Z napiętą uwagą przekradł się przez kuchnię ku piecykowi. Z garnka wystawała chochła. Sięgnął po nią lewą ręką, nie spuszczać z oczu drzwi, ostrożnie chwycił ją w garść, wydobył z garnka i zaczął smakować potrawę niczym kuchmistrz. Mięso miało bardzo silny charakterystyczny zapach, prawdopodobnie pochodziło z renifera, ale jego żołądek domagał się jedzenia. Pochylił się nad piecykiem, niemal przywarł głową do zaparowanego lusterka i zaczął czerpać chochlą z garnka, starając się nie hałasować. Raz i drugi nabrał pełną łyżkę stawy...

Połykał łapczywie. Żołądek reagował na to niespodziewane, odświętne obżarstwo głośnym burczeniem. Ciepło rozlewało się po całym ciele. Wzdrygnął się. Wokół jego butów tworzyła się kałuża topniejącego śniegu.

I wtedy gospodyni wróciła do kuchni. Drobna owalna twarz o oliwkowej skórze. Otwarte ze zdumienia na widok intruza i wycelowanej broni małe, okrągłe usta. Czarne włosy, pulchna sylwetka. Kraciasta koszula i bawełniane spodnie – znowu zaskoczyło go na moment wrażenie czegoś swojskiego, rodem z drewnianej chaty z okrągłaków. Szybkim ruchem lufy karabinku nakazał jej wejść do kuchni. Podeszła powoli, w milczeniu.

– Ja... nie zrobię ci krzywdy – rzekł Gant cedząc słowa. – Nie zrobię ci krzywdy. Rozumiesz?

– Tak – odpowiedziała, wpatrując się w karabinek. Wylot lufy opadł ku podłodze, jakby odzwierciedlając zdumienie Ganta.

– Mówisz po angielsku?

– Trochę. Uczyłam się. Kim jesteś? – Jej wzrok przesunął się po skafandrze próżniowym, a całe czoło pokryły głębokie zmarszczki, jak gdyby kobieta usiłowała przypomnieć sobie podobny strój.

– Mój samolot... rozbił się.
– Ach. – Rysy Laponki świadczyły wyraźnie, że zidentyfikowała jego ubiór.

– Ja... przepraszam za jedzenie... – Wskazał dłonią w stronę piecyka. W żołądku znów głośno zaburczało. Kobieta uśmiechnęła się delikatnie. – Ja... pójdę sobie...

– Dlaczego?

– Muszę.

– My... możemy pomóc.

Gant energicznie pokręcił głową.

– Nie mogę wciągać was w tę sprawę – rzekł.

Podeszła bliżej. Doszła widocznie do wniosku, że mimo brutalnego wtargnięcia do jej domu ten mężczyzna nie stanowił zagrożenia.

– Dlaczego nie? Mamy radio. – Wskazała ręką drzwi.

– O Boże! Radio...! – wykrzyknął.

– Tak... Skąd jesteś? Z Finnmarku? – Coraz płynniej mówiła po angielsku; wydobywała z zakamarków pamięci nie używane słowa. Pokazała dłonią swoje usta, a następnie jego. Tak, akcent...

– Dobrze. Ale ile mam czasu?

– Czasu?

– Czy oni przyjdą teraz? Zaraz? – Pokręciła przecząco głową. – Więc nie radio. Muszę już iść. Ja... – Po chwili zdecydował się poprosić, zamiast grozić. – Potrzebuję czegoś ciepłego... Do ubrania...

Skinęła głową.

– Mój mąż, on zabierze ciebie na saniach, kiedy wróci, albo jutro, może do głównej drogi.

Nie byli obcy; znów wrażenie czegoś bliskiego, swojskiego. Przynajmniej rozgrzał się trochę. Wyczerpanie i nieoczekiwana ulga sprawiły, że w kącikach jego oczu pojawiły się łzy. Obietnica pomocy wyrażona łamanym, urywanym angielskim zmroziła go niemal w takim samym stopniu co panująca na zewnątrz temperatura.

Czy miał prawo...? Nie. Nie mógł ryzykować...

Teraz już tylko z pięćset metrów, nie więcej.

– Ubranie – powiedział ociężale.

Strumień światła z reflektora zniżającego lot helikoptera wdarł się do wnętrza chaty, przez chwilę wlewał się mlecznobiałym strumieniem poprzez zaparowane szyby okna. Potem przesunął się, powędrował w górę zbocza kotlinki,

wreszcie zgasł, ale pozostał donośny terkot wirników śmigłowca. Gant zamienił się w słuch. Tylko jeden, miał jeszcze czas...

– Ubranie! – rzucił ponaglająco.

Kobieta jednak nie poruszyła się, jakby nagle opanował ją strach.

– Kto to?

– Rosjanie.

Nieoczekiwanie splunęła na podłogę. Uczyniła to odruchowo, jak gdyby w jej pamięci odżyła jakaś dawna nienawiść.

– My jesteśmy lapońskimi Skołtami – warknęła. – Mieszkamy tu od czasu, kiedy straciliśmy nasze domy w Petsamo. Petsamo należy teraz do nich, od wojny. Rosjanie...!

Huk wirników śmigłowca zaczął się przybliżać. Gant przywarł do ściany, starając się dojrzeć coś przez zaparowane szyby. Terkot zamarł. Nie słyszał ujadania psów, ale umilkły także odgłosy dobiegające z zagrody. Dwie minuty...?

Rozejrzał się po kuchni. Kobieta zniknęła. Ogarnięty paniką zrobił niepewny krok, ale Laponka zaraz pojawiła się w drzwiach. Trzymała w rękach ciężką kraciatą kurtkę i grube spodnie. Do tego miękkie buty.

– Proszę... Mam nadzieję, że pasuje.

Pospiesznie wcisnęła ubranie pod pachę i zacisnęła palce na butach. Kobieta ruszyła w stronę drzwi wejściowych. Spojrzała jeszcze na kałużę będącą dowodem jego wizyty oraz na kilka mokrych śladów, niewyraźnych na wypastowanej podłodze. Uśmiechnęła się, po czym przechyliła garnek stojący na piecyku. Sos chlupnęła na podłogę. W końcu skinęła na niego.

Od drzwi powiało chłodem.

Rzucił jeszcze tłumok, wciągnął na siebie kurtkę – zarówno w celach maskujących, jak i dla zatrzymania ciepła – po czym podniósł z powrotem spodnie, buty oraz karabinek. Rozbrzmiewały spokojne, stonowane głosy ludzi, nie słyszał jednak ujadania psów. W drzwiach przystanął i skinął kobiecie głową. Dotknęła delikatnie jego ramienia, lecz jej twarz wyrażała bezmyślną obojętność. Była już przygotowana na spotkanie z tamtymi.

– Chcą uchodzić za Finów – szepnęła. – Ale mają zły akcent. Idź już. Tędy. – Wskazała w stronę zbrocza. Dostrzegł wyraźne, głęboko odcisnięte własne ślady. Popchnęła go lekko. – Wychodziłam na spacer. Szukałam psa.

Odwrócił się, żeby jej podziękować, ale Laponka pokręciła szybko głową.

– Idź – nakazała. – Do Finnmarku masz trzydzieści pięć kilometrów.

Wspinał się szybko w górę zbocza, odganiając od siebie dziwne wrażenia związane z tą kobietą, od której dostał kurtkę i ścisłane pod pachą spodnie. Coraz częściej zwracał baczna uwagę na prawą dłoń, w której trzymał przygotowany do strzału karabinek.

Kiedy dotarł do krawędzi kotlinki, zatrzymał się jeszcze przy kępie krzaków, w której poprzednio znalazł schronienie, i obejrzał za siebie. Drzwi chaty były zamknięte. Prawdopodobnie kobietę dopiero teraz ogarnął strach, możliwe, że zaczęła się trząść z przerażenia – zarówno z powodu jego obecności, jak i wizyty Rosjan. Być może teraz dochodziła do wniosku, że nie powinna mu pomagać, ponieważ jak złodziej włamał się do jej domu.

Praca w zagrodzie dobiegła końca. Renifery zostały oznakowane i przemieszały się z innymi. W jej sąsiedztwie przykucnął jak niezgrabny żuk helikopter Mi ze zwieszającymi się, nieruchomymi łopatami wirnika. Ludzie stali zbici w gromadkę i rozmawiali. Ciemne mundury, a na nich biały arktyczny kamuflaż.

Trzech, czterech... sześciu...

Rozłączyli się po wiosce, szukali. Lapończycy chyba nie sprzeciwiali im się. Możliwe, że uwierzyli, iż żołnierze są Finami. Odwrócił się i wkroczył między drzewa.

Trzydzieści pięć kilometrów – powiedziała. Trzydzieści pięć...

To bardzo daleko. To tak wielka odległość, że wydawała mu się otchłanią, wręcz niemożliwą do pokonania.

Władimirow odwrócił się od okienka samolotu. Do Wojennego Centrum Dowodzenia wkroczył Dmitrij Priabin, a tuż za nim sekretarz generalny. Twarz młodego oficera promieniowała dumą, ale jednocześnie wyglądał tak, jakby przed chwilą przeszedł atak choroby morskiej. Na czole srebrzyły się kropelki potu, a skóra na karku powyżej kołnierzyka munduru miała odcień ciemnoróżowy. Z chłodną, na wpół świadomą ironią Władimirow stwierdził w duchu, że młodzieniec przetrwał burzę – wkrótce insygnia na jego kołnierzyku i naramiennikach miały zostać zmienione. Teraz Priabin był jeszcze porucznikiem. Co dalej? Kapitan Priabin? A może wkroczy od razu na niezbadane wyżyny pułkownika...? Wyglądało na to, że poprzedni zwierzchnik Priabina, Kontarski, sam jeden zawałił sprawę ochrony prototypu. To Priabin pierwszy zidentyfikował Ganta – pewnie bardziej przez przypadek niż świadomie – i prawie udało mu się powstrzymać Amerykanina. Z pewnością zasłużył na awans.

Przybył na pokład samolotu gotów na skazanie, lecz w zamian spotkała go nagroda. Władimirow nie zazdrościł mu niczego, może z wyjątkiem młodego wieku. Priabin pośpiesznie ruszył w kierunku wyjścia z samolotu. Władimirow raz jeszcze odwrócił się plecami do sekretarza generalnego i popatrzył na betonową płytę lotniska, gdzie stał imponujący szereg czarnych limuzyn. Priabin zbiegł po schodkach i energicznie wskoczył na tylne siedzenie jednego z samochodów. Auto ruszyło w kierunku budynków administracji i bramy wjazdowej lotniska. Widocznie spieszył się do swojej kobiety, by opowiedzieć jej o sukcesie i niespodziewanym awansie. Władimirow odwrócił się z powrotem ku głównemu pomieszczeniu Centrum Dowodzenia.

Radziecki przywódca włożył już na siebie palto. Futrzaną czapkę przytulał do siebie, jakby było to domowe zwierzątko. Zatrzymał się jeszcze tylko na chwilę, by wysłuchać ostatniego meldunku dowódcy oddziału KGB Straży Granicznej, jaki wyruszył w głąb fińskiej Laponii. W odpowiedzi na płynące z głośnika słowa sekretarz generalny od czasu do czasu kiwał głową.

Władimirow spojrział na Andropowa. Na jego gładko wygolonej górnej wardze perlity się kropelki potu. Na równi z Władimirowem był zmuszony przejąć na siebie część odpowiedzialności. Ten niełatwy, chwilowy sojusz generał lotnictwa traktował jako zło konieczne.

Transmisję znacznie przyspieszonego głosu dowódcy śmigłowca odbierał Tupolew AWACS, a następnie przesyłał ją do Moskwy. W Wojennym Centrum Dowodzenia odtwarzano taśmy z normalną szybkością. Władimirow w podobnych przypadkach zawsze odnosił wrażenie, że słucha jakiegoś zwykłego komentacza sportowego. Wsłuchiwał się w słowa meldunku z napiętą uwagą, szepcząc w duchu jakieś prośby i ponaglenia; starał się jednocześnie ocenić, jaki dystans dzieli grupę pościgową od Amerykanina.

On tam był. Psy doprowadziły do zakopanego w śniegu spadochronu, powiodły jego tropem aż do wioski, której mieszkańcy prawdopodobnie, chociaż nie na pewno, udzielili mu schronienia, zaopatrzyli w odzież i pożywienie. Uciekał na północny zachód, w stronę najbliższego odcinka granicy z Norwegią. Oceniano, że zbieg znajduje się jakieś trzydzieści pięć kilometrów od celu. A pościg miał do dyspozycji zaledwie noc i część dnia, na pewno nie więcej.

Meldunek kończył się prośbą o rozkazy. Sekretarz generalny zerknął szybko na Andropowa, a następnie na Władimirowa, po czym, zaszczyciwszy ich tępym spojrzeniem nieruchomych oczu, ledwie skinął głową. Ruszył w kierunku wyjścia z samolotu. Obsługa Centrum poderwała się z miejsc. Usłyszeli stukot

jego butów o zmarznięty metal schodków. Władimirow opanował pragnienie odwrócenia głowy i spoglądał twardo na Andropowa. Przewodniczący KGB nieoczekiwanie zaprosił go ruchem dłoni do saloniku.

– Przekażcie dowódcy, żeby czekał na instrukcje – rzucił Władimirow ruszając za Andropowem. Zamknął za sobą drzwi saloniku. Andropow stał już przy barku i nalewał sobie do szklanki whisky.

– Napijecie się? – zapytał.

– Nie, dziękuję.

Andropow wychylił duszkiem pół szklanki, po czym odwrócił się w stronę Władimirowa.

– A więc? – rzucił. – Co teraz?

– Macie na myśli swój oddział?

– Nasz oddział! – warknął Andropow.

– Zapomniałem. Nasz oddział.

– Co sądzicie o obecności Nimroda w tym obszarze?

– Prawdopodobnie zlokalizował helikoptery. To normalne, chcą wiedzieć, co tam się dzieje.

– Czy oni mogą wysłać takie same grupy zwiadowcze, jak nasza?

Władimirow pokręcił głową. – Wątpię. Nieszczęśliwie się złożyło, że musieliśmy zrezygnować z prowadzonej potajemnie akcji. Ale trzeba go jak najszybciej schwytać. Nimrod leciał bardzo nisko, widocznie robił zdjęcia, które podane zostaną analizie. To daje nam czas. Chyba wystarczająco dużo czasu.

– Przekłęty las! – wybuchnął Andropow.

– Zgadzam się. Las znacznie utrudnia poszukiwania. Wiemy, że był u La-pończyków, ale chyba tylko ukradł jedzenie i jakieś ubrania, nic więcej. Nie ukrywał się w wiosce. Musi znajdować się nie dalej jak kilometr czy dwa przed naszymi oddziałami. Trzeba rozstawić ludzi na wszystkich przypuszczalnych trasach jego ucieczki.

– Tak, tak, pewnie, że trzeba rozstawić...! – Andropow dopił resztę ze szklanki i zapatrzył się na szkło. Władimirow zauważył, że jego wzrok przesunął się na butelkę stojącą na barku, ale nie sięgnął po nią. – Gdzie jest samolot, Władimirow? Na fotografiach jest za mało szczątków... Wiemy o tym obaj, nawet jeśli eksperci powiadomią nas o tym samym dopiero za kilka godzin. – Skóra na wydatnych kościach policzkowych przewodniczącego płonęła czerwienią. – My wiemy, że nie został zestrzelony... A więc gdzie on jest? Gdzie jest ten nasz bezcenny, biały słoń? Wiemy, że Gant nie katapultował się, ponieważ znaleziono jego spadochron. Bezpiecznie wylądował, Władimirow. Czy zdajecie sobie z tego sprawę?

Władimirow skinął głową. – Owszem, zdaję sobie sprawę. Ale nie wiem,

gdzie on jest. Tylko Gant może nam to powiedzieć. Gdyby pilotował go któryś z naszych albo gdyby był to amerykański samolot, standardowa procedura nakazałaby pilotowi pozostać w pobliżu. Ale Gant postarał się jak najszybciej oddalić od Miga-31. Nie mam wątpliwości, że tamci z Nimroda także zadają sobie pytanie, co się stało z samolotem. Ale to wie jedynie Gant.

– A więc musimy go schwytać!

– Schwyamy. Jego czas dobiega końca.

– Chciałbym być tego taki pewien.

– Wasi ludzie posuwają się jego tropem, towarzyszu przewodniczący. Zostało nam tylko czekać. Żołnierze depczą mu po piętach. Za godzinę, najdalej za dwie, Amerykanin będzie nasz. – Władimirow uśmiechnął się. – A wtedy obaj będziemy mogli wyjść spod szubienicy, prawda?

Andropow w odpowiedzi jedynie spojrział spode łba. Zamyślił się na chwilę, po czym zapytał:

– Czy możemy wysłać ludzi wstecz po jego śladach?

– Chyba tak. Ale ja na jego miejscu zmieniałbym marszrutę setki razy. Jego ślady muszą już teraz być niezbyt czytelne, wątpię też, czy psy złapią trop. Nie martwcie się, Gant zna odpowiedź. Wkrótce będziecie mogli poprosić go o udzielenie tej odpowiedzi. Osobiście.

– Te zdjęcia nie zostawiają żadnych wątpliwości – zaprotestował energicznie Buckholz, stukając palcem w rozrzucone po całym stole mapowym Centrum Operacyjnego w Scampton błyszczące odbitki. – Można wykorzystywać psy chociażby do szukania materiałów wybuchowych, ale można ich też używać do tropienia ludzi. A na zdjęciach są psy, psy Straży Granicznej KGB. – Jego wielkie dłonie o grubych palcach przesuwają powiększone zdjęcia po stole, jakby rozdawał karty albo rozkładał dowody rzeczowe. – Rosjanie mają na sobie białe kombinezony arktyczne, ale to nie są żołnierze. Ich śmigłowce Mi-2 i Mi-4 stanowią standardowy środek transportu ludzi i sprzętu Straży Granicznej. A poza tym nie mają żadnych oznakowań... dokładnie tak samo jak helikoptery Straży Granicznej. Więc co chciałby pan jeszcze zobaczyć, pułkowniku, zanim podejmie pan decyzję?

– Charles – zaczął Pyott w defensywnym stylu. – Rozumiem, że Waszyngton pali się do kontynuowania akcji, ale...

– Pan musi przekonać swój rząd, żeby wychylił czubek nosa zza tarczy, pułkowniku! Gant ma bardzo mało czasu. My także.

Aubrey, jakby w roztargnieniu, podniósł ze stołu plik fotografii nadesłanych z Nimroda drogą radiową. Wszystkie były blade, błyszczące, wykonane co prawda najnowocześniejszym sprzętem do fotografowania w podczerwieni, ale ukazujące obrazy w jakimś widmowym oświetleniu. W dogasającym świetle dnia i zapadających szybko ciemnościach sylwetki ludzi wyglądały prawie tak jak na negatywie. Popatrzył na zdjęcia jeziora. Obszar spękanego przy brzegu lodu był niezwykle mały. Drobna, potyskująca, czarna plama wody. A Firefox musiał znajdować się pod powierzchnią, ukryty pod lodem. Pozostałe zdjęcia, przedstawiające miejsce eksplozji, nie interesowały go – bez szczegółowej analizy i bez pomocy ekspertów wiedział, że nie znajdzie na nich żadnych szczątków Miga-31.

Pyott spojrzął na Aubreya. – Numer Dziesiąty odnosi się do projektu bardzo sceptycznie, Kenneth – powiedział, szukając sprzymierzeńca.

– Pewnie dlatego, że Doradczy Komitet Obrony od początku lekcewał Firefoxa, prawda? Przypuszczam, że Andrew Gresham nie ma już wiodącego głosu w komitecie. – Odwrócił się do Buckholza. – Czy prezydent popiera zastosowanie odpowiednich środków nacisku, Charles?

Buckholz skinął głową.

– To znaczy, że wszyscy chcieliby się wycofać, z wyjątkiem Waszyngtonu.

– Normalne restrykcje, Kenneth. Jeśli zostaniesz schwytany, my wyprzemy się wszystkiego.

– Stykamy się z tym na co dzień, a więc nie to jest ważne. Liczy się tylko, żeby coś zrobić. I to szybko. – Popatrzył znacząco na Pyotta, który złożył obie dłonie, przyciskając do siebie pięści, symbolizujące niewidzialne więzy. – To fakt, mogą mieć związane ręce, Giles. Rzeczywiście!

– I co ja mogę zrobić? – zapytał cicho Pyott.

– Spójrz na to! – Aubrey odwrócił się, wskazując rękoma rozrzucone odbitki. – Gant nadal żyje. Równie dobrze jak my wie, gdzie ukrył Firefoxa. Jeśli go złapią, Rosjanie będą także wiedzieli! Musimy przynajmniej rzucić okiem na to, co znajduje się pod lodem... zanim podejmiemy jakąś decyzję. – Zerknął na Buckholza, po czym żałośnie pokręcił głową. – Nie sądzę, żebyśmy mogli coś zrobić dla biednego Ganta. Nie możemy wysłać tam uzbrojonych oddziałów.

– Wiem o tym. Ale on też wie. Zdaje sobie sprawę, że może liczyć tylko na siebie.

Aubrey smętnie skinął głową skubiąc dolną wargę. Nagle, w jednej chwili,

niczym u małego dziecka, jego powierzchność uległa odmianie. Odwrócił się w stronę Pyotta, pochylił nisko nad rozłożonymi na stole mapowym zdjęciami i powiedział głośnym szeptem: – Przecież Waterford i czteroosobowy oddział czekają w Kirkenes tylko na rozkaz. Sprzęt do nurkowania jest już załadowany na pokład Lynxa, śmigłowca Królewskich Sił Powietrznych Norwegii. Masz zgodę Naczelnego Dowództwa Sił Sprzymierzonych w Północnej Norwegii na wykonanie lotu w misji ratunkowej... Giles, błagam cię, zdecyduj się przystąpić do akcji...!

– Nie tylko ty naciskasz na podjęcie działań, to samo słyszałem z SIS czy nawet z CIA... – zaczął Pyott, lecz nagle urwał. Zaciśnął wargi, a po krótkiej chwili pokręcił głową. – Nieoficjalnie, JIC również żąda przystąpienia do akcji... podobnie jak dowództwo sztabu. Ale Gabinet jest przeciwny jakiemukolwiek pogorszeniu napiętej sytuacji. Zadowolili się faktem zniszczenia obu prototypów produkcyjnych Firefoxa. Eksperti są zdania, że po tym, co się stało, rozwój Biljarska zostanie wstrzymany co najmniej na dwa, trzy lata. Niewykluczone, że Rosjanie w ogóle skreślą ten piekielnie kosztowny projekt...

– A jeśli Firefox nie został zniszczony? Jeśli Rosjanie poproszą zaprzyjaźnionych sąsiadów, Finów, żeby zwrócili im tę zabawkę? – zapytał Aubrey z zabójczą ironią. Stał z rękoma wspartymi na biodrach i poczerwieśniał z wściekłości twarzą.

– Owszem – przyznał Pyott. – To możliwe.

– Wiesz o tym, że Waszyngton i tak postawi na swoim – stwierdził Aubrey. – Zarówno Gresham, jak P.M., jak i cała reszta Gabinetu będą musieli podpisać się pod decyzją prezydenta, żeby nie wiem jak gorzka była dla nich ta pigułka.

– Ale do tej pory tego nie uczynili...

– My nie mamy czasu!

Złość momentalnie pokryła policzki Gilesa Pyotta rumieńcem. Odwrócił się na pięcie. – Dobra – rzucił. – Zaczynamy.

Aubrey szybko podreptał za nim w kierunku schodków prowadzących ku galerijce kabiny łączności. – Rozkaż Waterfordowi, by sprawdził, co robi KGB! – zawołał. Pyott zatrzymał się i odwrócił w jego stronę.

– Nie!

– Tak – Aubrey nalegał. – Musimy wiedzieć, czy Gant żyje. Musimy wiedzieć, czy i kiedy schwytali go żywego. Przecież wszystko od tego zależy.

Pyott zmarszczył brwi. Jego policzki płonęły. Wreszcie skinął głową. On

także znalazł się pod silnym wpływem przedstawianych przez Aubreya konkluzji; nie mógł się pozbyć uczucia, że to rozwój wydarzeń narzuca reguły gry. Aubrey, a raczej reprezentowane przez niego i Buckholza ukryte siły omotały go w swe sieci. Oczyma duszy widział siebie wewnątrz murów, w jakimś warownym zamku, którego ściany wznosili politycy – mogły one zostać albo zburzone, albo wzmocnione, wszyscy mogli także zaprzeczyć ich istnieniu – w zależności od sytuacji. Pyott wiedział, że mury tej twierdzy, w której był uwięziony, zostały wzniesione przez Aubreya i Buckholza, przez Miga-31 i pilota – a wykluczały one jakąkolwiek myśl o ucieczce. Jeszcze raz skinął głową.

– Dobra – rzucił ze złością.

Otworzył drzwi kabiny łączności. Aubrey wszedł za nim do środka.

Brnął przez głęboki śnieg. Tamci nie wypuścili jeszcze psów, ale wyraźnie słyszał już niedaleko za sobą ich ujadanie. Gruba pokrywa na wpół zmarzniętego śniegu utrudniała poruszanie się, hamowała go. Okrążał płytką kotlinkę trzymając się z boczny, ale nawet tutaj czyhały pułapki nawisów śnieżnych przy większych kamieniach i kępach krzaków. Często osuwał się. Wspomnienie ciepłej stawy dawno zniknęło. Był całkowicie wycieńczony.

W czasie ostatniego krótkiego odpoczynku rzucił przelotnie okiem na mapę. Ponad pięć kilometrów od wioski – jeszcze jakieś dwadzieścia sześć, dwadzieścia osiem, może trochę więcej, dzieliło go od granicy Norwegii – od siedzib ludzkich, policji, innego państwa, gdzie byłby wreszcie bezpieczny. Bezpieczny...?

Nie pozwolą mu na to. Zabiorą go z powrotem.

Potknął się i podparł dłonią o ziemię. Karabinek zanurzył się w zaspie, a całe ramię przeszył ból. Gwałtownie potrząsnął ręką osypując śnieg z broni. Czarne, bezchmurne niebo usiane było błyszczącymi klejnotami gwiazd. Srebrzysta poświata cienkiego rogała księżycy w pierwszej kwadrze kładła się na śniegu. Stał na chwiejnych nogach i popatrzył za siebie. Ujadanie psów i światła reflektorów. Odległy hałas jednego z helikopterów. Nie wiedział, jak daleko za nim znajdują się siepacze, ale nie miał czasu. Odgłosy pościgu zlewały się w jego wyobraźni w głośne brzęczenie, jakby kołowała mu nad głową wielka chmara much; strumienie światła przesuwwały się wzdłuż dna kotlinki w poszukiwaniu jego śladów. Śmigłowiec, który poleciał dalej na północ, prawdopodobnie wysadził tam grupę ludzi i teraz wracał powoli, będąc w stałym kontakcie radiowym z głównymi siłami pościgu.

Radio...

Zdawał sobie sprawę, ale ukrywał ten fakt przed samym sobą.

Radio.

Teraz uświadomił to sobie z całą mocą – możliwość posługiwania się zdobyczami techniki, możliwość utrzymywania stałej łączności. Nawet już teraz, w tym momencie, poczuł się osaczony.

Spojrzał w górę, na rozjaśnione srebrzystą poświatą i upstrzone ognikami gwiazd czarne niebo. Siepacze mogli go dopaść w każdej chwili. Pościg znajdował się bardzo blisko, musieli go wkrótce zlokalizować. Gdzieś na dnie tej kotlinki, na przykład... tam...

Wiódł palcem wzdłuż wijącej się, płytkiej doliny. Helikopter musiałby tam pochylić się na bok, skrócić...

Ruszył biegiem. Sople lodu błyszczały na gałązkach krzaków, lecz rzucił się w sam środek gąszczu. Kolba karabinku objęła się o jego udo osłonięte grubym, wodoodpornym materiałem spodni. Mroźne powietrze kłuło w głębi piersi. Pakiet osobisty ciążył, przesuwając się i bębnił o plecy. Raz jeszcze obejrzał się za siebie...

Światła.

Hałasy... w przodzie...

Desant wysadzony poza zasięgiem słyszalności, na trasie jego ucieczki, mazerował teraz powoli wzdłuż doliny, z północnego zachodu, prosto ku niemu. Był w potrzasku.

Zatrzymał się i przykucnął. Nasłuchiwał. Lekki wietrzyk niósł odgłosy poszukiwań – szelesty, brzęk metalu, szuranie nart. Szczekanie psa. Z tyłu ujadąły inne psy. Więcej ludzi, przesuwające się smugi światła. Nie słyszał terkotu helikopterów. Ani jednego. Dziwne.

Obie grupy Rosjan dzieliła zaledwie kilkusetmetrowa przestrzeń. Zaczął wspinać się z powrotem na zbocze, byle dalej od tej doliny. Zmarznięta ziemia też zastawiała pułapki, stopy zapadały się w niewidoczne pod śniegiem dziury. Oddychał ciężko. Plecy ugięły się pod ciężarem pakietu osobistego, zaledwie centymetry dzieliły jego twarz od błyszczącej powierzchni śniegu. Wdrapywał się. Stopy grzęzły w zaspach. Pochylił się nisko, wręcz ślizgał brzuchem po śniegu, bojąc się stanąć na wyprostowanych nogach. Mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Opierał się na rękach, na zapchany śniegiem karabinku, którego używał jak laski. Pełznął na czworakach.

Krawędź doliny. Czarne niebo ponad białą pokrywą śniegu – pozorny horyzont.

Zatoczył się. Usiłował stanąć na nogach, wyprostować się. Dyszał ciężko. Tuż przed nim wyrosły nogi w białym arktycznym kombinezonie. Potrząsnął

głową ze zdumienia. Drugi człowiek znajdował się nie dalej jak o pięćdziesiąt metrów – właśnie odwracał się w jego stronę. Dojrzał też...

Wrzasnął na całe gardło w ostatnim proteście. Uniósł karabinek jak maczugę i zamierzył się w białą sylwetkę na szczycie. Rosjanin zacharczał, padł i potoczył się w dół bardziej stromego zbocza po drugiej stronie grzbietu. Gant chwiejnie skoczył za nim, szykując się do zadania kolejnego ciosu, lecz runął na tamtego i razem polecili w dół.

Drzewa. Wąskie pasmo lasu, a za nim odkryty teren, chyba powierzchnia zamarzonego jeziora. Dalej płasko. Schronienie w gęstwinie drzew, lufa karabinku zapchana śniegiem...

Popędził w tamtą stronę, ledwie trzymając się na nogach. Za plecami rozbrzmiały gwizdy i ujadanie psów. Żadnych strzałów. Pogałopował wielkimi, chwiejnymi susami w stronę lasu.

4.

Zwrot

Śmigłowiec Westland Lynx Mk 86 z zasłoniętymi znakami Królewskich Sił Powietrznych Norwegii zniżył lot ponad biegnącym łukowato jeziorem. Alan Waterford, siedzący na fotelu drugiego pilota, bacznie wpatrywał się w sunące im na spotkanie widmowe lodowe połacie, pokryte grubą warstwą śniegu, który pęd powietrza wyrzucanego przez wirniki wzbijał w górę. Nie zwracał uwagi na hałasy dobiegające z tylnej części helikoptera, gdzie czterech komandosów z Królewskiej Marynarki SBS szykowało się do wyjścia. Utkwił wzrok w lodzie.

– Zostań na tej wysokości – rzucił pilotowi. Strumień powietrza spod wirników zmiatał śnieg z powierzchni lodu nie powodując jeszcze efektu zadymki. Waterford chciał uniknąć chmury uniesionego w górę śniegu, całkowicie przesłaniającej widoczność, jaka utworzyłaby się, gdyby zesli choć trochę niżej. I tak pojedyncze kryształki topniały na szybie kabiny. Odsłonięta tafła lodu wyglądała na mocną i nie naruszoną. Jezioro zwiężało się w kierunku ujścia strumienia – tam, gdzie podczerwone zdjęcia Eastoego ukazywały plamę ciemnej, nie zamrożonej wody.

Lynx przesuwał się powoli ponad jeziorem na stałej wysokości, ciągnąc za sobą przypominający welon rozmazany cień. Waterford pochylił się do przodu i w bok, uważnie lustrując powierzchnię. Podobnie jak na fotografiach nie dostrzegał niczego, co mogłoby wskazywać, że samolot przebił pokrywę lodową. Wyglądało na to, iż nie było tu nic poza obszarem odsłoniętej wody i pokruszonymi, rozsuniętymi na boki płytami lodu przy samym brzegu.

Nie dostrzegł także śladów kół, choć nie liczył na nie za bardzo. Nawet najłżejsza zadymka czy tylko delikatny wietrzyk mogły zakryć je równie skutecznie, co silna śnieżycą. Czy Gant wylądował, czy też katapultował się z dala

od tego jeziora? A jeśli udało mu się wylądować, na ile tempo zatapiania samolotu pozwoliło mu w jakiś sposób zabezpieczyć systemy elektroniczne i pozostałe tajemnice Miga-31? Czy w ogóle udało mu się wydostać z kabiny, nim Firefox zniknął pod lodem?

Za jego plecami płetwonurkowie z SBS szykowali się, by udzielić odpowiedzi na nurtujące go pytania. Było już za późno i zbyt ciemno, by tracić czas na poszukiwania śladów eksplozji wśród okalających jezioro drzew. Gant musiał ująć z życiem, dowodziła tego aktywność Rosjan. Lecz czy katapultował się, czy też wylądował?

Lynx zbliżał się do linii drzew. Widać już było oczko złowieszczo czarnej wody. Waterford zsunął hełmofon i podniósł się, chyląc głowę. Jego olbrzymia sylwetka wypełniła kabinę niczym złowróżbny cień. Pilot, norweski porucznik, popatrzył na niego.

– Nie mogę lądować po tej stronie drzew. Nie chcę ryzykować załamania lodu. Proszę powiedzieć ludziom, że będą musieli przejść kawałek na piechotę – uśmiechnął się.

– Są do tego przyzwyczajeni – mruknął Waterford i zaczął przeciskać się w stronę głównego przedziału śmigłowca. Czterech ludzi w arktycznych kombinizonach uniosło głowy w jego kierunku. Pod białymi bluzami i spodniami mieli już na sobie gumowe skafandry. Butle z powietrzem, palniki do cięcia metalu, lampy, broń – cały sprzęt spoczywał przy drzwiach.

– Będziecie musieli przenieść to kilkadziesiąt metrów – oznajmił Waterford. Odpowiedział mu chóralny pomruk. Zignorował go. Zwrócił się do porucznika, dowódcy oddziału: – Wiesz, czego chcą, Brooke. Potwierdzenia, że samolot jest nie uszkodzony. Nie przesyłaj skurwielom odpowiedzi, zanim nie będziesz tego całkowicie pewien. Jakiegokolwiek uszkodzenie, choćby najdrobniejsze, nie może ująć waszej uwadze. I nie zapomnij o obrazkach do albumu cioty Aubreya, będą ładnie wyglądały obok zasuszonych kwiatków... – Wyszczerył zęby w grymasie mającym niewiele wspólnego z uśmiechem. – Trzymać głowy nisko przy ziemi. Nie możecie, powtarzam, w żadnym wypadku nie możecie zostać wykryci. Poza tym – popatrzył na zegarek – Gunnar twierdzi, że mamy nie więcej jak godzinę, by rozejrzeć się za naszym amerykańskim przyjacielem; pod warunkiem, że nie wpadniemy w jakieś kłopoty. Więc wy także macie tylko godzinę. Sierzancie?

– Tak, sir?

– Zadbajcie o to, żeby odpowiednio ukryć radiostację. Jestem pewien, że po nas zjawią się tutaj inni, a wszyscy będą chcieli porozumieć się z Londynem tak szybko, jak tylko można. – Waterford wskazał dłońią jeden z pakunków u

stóp sierżanta. – Ma zapewniać łączność poprzez satelitę. Nie zostawcie nadajnika w miejscu, gdzie jakiś renifer mógłby go oszczać i spowodować zwarcie w tym gównie.

– Oczywiście, sir! – odpowiedział sierżant. – Nie zostawić nadajnika w miejscu, gdzie jakiś renifer mógłby go oszczać, sir! Czy można zadać pytanie, sir?

– Słucham, sierzancie.

– Czy pan major zna dokładnie wysokość, do jakiej renifer jest jeszcze w stanie naszczać, sir?

Lynx zaczął obniżać lot. Waterford, uśmiechając się, kiedy chóralny wybuch wesołości rozładował napięcie panujące w przedziale, wyjrzał przez okienko w drzwiach śmigłowca. Otaczała ich chmura poderwanego w górę śniegu. Prawie stali już na ziemi. Po chwili Lynx dotknął gruntu, odbił się jak gumowa piłeczka, po czym osiadł. Niemal natychmiast łopaty zaczęły wirować niżej, a ich terkot stał się bardziej gardłowy, nieprzyjemny. Sierżant odciągnął w bok drzwi głównego przedziału.

– Wsiadać. Szybko – rzucił porucznik, po czym skinął głową w kierunku Waterforda.

Paczki i sprzęt wynoszono pospiesznie na zewnątrz. Nawet przez futrzaną panterkę major poczuł ukłucia mrozu; skóra na czubku nosa zaczynała się szybko kurczyć. Kiedy cały oddział był na zewnątrz, Waterford wychylił się jeszcze przez drzwi.

– Powodzenia. Jedna godzina. Zaczynam odliczać. – Machnął ręką, jakby chciał ich odprawić, po czym zasunął i dokładnie zamknął drzwi. Przecisnął się z powrotem na miejsce w kabinie, usiadł i począł rozcierać ręce. Wreszcie nasunął hełmofon.

– W porządku, Gunnar. Spróbujmy odnaleźć tego zaginionego amerykańskiego chłoptasia.

Lynx niemal w tej samej chwili wzbił się w powietrze. Wirniki zawirowały szybciej, ich krawędzie utworzyły połyskujące w blasku księżycy koło. Czterech obciążonych sprzętem komandosów z SBS w pośpiechu pomaszzerowało po śniegu w kierunku drzew. Helikopter pochylił się w bok nad zamrzniętym jeziorem i skierował na północny zachód. Tafla lodu zaczęła ginąć w oddali.

Składany karabinek nie miał noktowizora. Dysponował zaledwie sześcioma nabojami, które należało pojedynczo wprowadzać do lufy. Była to broń na przetrwanie – do upolowania zająca i pieczenia mięsa na kocherku lub nad

ogniskiem, o ile istniała możliwość rozpalenia ognia – ale nie do obrony. A na pewno nie do ataku. Gant nie miał pojęcia, jaką siłę przebicia może mieć mały pocisk, niemal zabawka. Nie spieszył się zresztą, żeby się o tym przekonać. Znajdujący się najbliżej Rosjanin, w białym kombinezonie i białych butach, z kałasznikowem AKM przewieszonym przez piersi, przeskakiwał od pnia jodły do kępy krzaków, a zza krzaków do następnego pnia. Psy nadal trzymano z dala, na uwięzi; prawdopodobnie reszta oddziału przesuwawała się teraz, by otoczyć kołem gromadę drzew, wśród których się skrył.

Czas uciekał. Jego jedyną przewagą stanowił fakt, że tamci chcieli wziąć go żywcem. Musieli dostać wyraźny, bezwarunkowy rozkaz nie zabijać go. Co najwyżej zranić, ale z pewnością mieli dostarczyć go żywego do Murmańska, do Moskwy czy gdziekolwiek indziej.

Za plecami miał zamrożone jezioro – gładkie i czyste jak kartka papieru, niemal fosforyzujące w blasku księżyca. Skraplający się oddech zawisł wokół twarzy niczym szarfa; dziwiło go, że Rosjanie z oblawy nie dostrzegli go jeszcze, nie słyszeli jego chrapliwego oddechu. Jakieś czterdzieści metrów. Jeszcze jedna sylwetka, nieco dalej, skrywająca się za pniami jodły. Ujądanie psów.

Ponad drzewami wszechobecny terkot dwóch helikopterów. Dojrzał sylwetkę jednego z nich – przez chwilę wyraźnie odcinała się na tle nieba, zanim oślepiło go światło umieszczonego pod brzuchem maszyny reflektora. Wysmukły, ostronosy Mi-4. Wychylał się zza jodły, której połyskujący od szronu ciemny pień ograniczał mu pole widzenia. Jego oczy po oślepieniu światłem reflektora zdążyły ponownie przywyknąć do ciemności; chociaż gdy spoglądał wzdłuż śmiesznie krótkiej lufy karabinku w stronę piersi Rosjanina, pośrodku widział nadal małą, jaskrawą plamkę. W stosunku do niej postać człowieka wydawała się olbrzymia. Gant nie mógł chybić z tej odległości.

Zwlekał jeszcze, wyczekując na odpowiedni moment; domyślał się, że może to być jego ostatnie posunięcie. Pojmanie było nieuniknione. Po co więc zabijać...?

W końcu nacisnął spust, mając świadomość całkowitej bezsensowności tego ataku. Krótki, ostry trzask, niczym odgłos łamanej gałęzi; Rosjanin rozrzucił szeroko ręce i dziwnie powoli padł do tyłu. Na głowę i ramiona Ganta osypał się śnieg strącony odrzutem wystrzału. W tyle za leżącym nieruchomo Rosjaninem, który wbrew oczekiwaniom nie zaczął czołgać się w stronę najbliższej kryjówki, zza ciemnego pnia jodły wysunęła się na chwilę kolejna sylwetka w bieli. Jakby żałując popełnionego czynu, nie mając ochoty na dalsze morderstwa,

Gant odwrócił się w kierunku jeziora. Na ile dostrzegął poprzez zasłonę drzew, na jego brzegu nie było nikogo.

Rozległy się krzyki rozkazów, trzaski płynące z radioodbiornika, wściekle ujadanie psów. Spojrzał jeszcze raz na nieruchome ciało, po czym znów na jezioro. Po lodzie przesuwawa się plama światła. W górze dostrzegł zarysy helikoptera Mi-4, przypominającego bestię wspartą na pojedynczej świetlistej nodze. Łód skrzył się. Sądząc po odgłosach, uwolniono psy – uwolniono, spuszczone z uwięzi...

Rzucił się biegiem, choć w świadomości jakiś głos powtarzał, że psy wytrenowane są tak, by nie zrobić krzywdy stojącemu nieruchomo człowiekowi. Ale nie mógł się opanować. Musiał uciekać. Psy spuszczone ze smyczy.

Krzyki za plecami. Strzał. Kula przeleciała wysoko nad głową. Cienkie gałązki chłostały go po twarzy, zaklejając śniegiem oczy, usta, nos. Oburącz ścisnął karabinek, jakby chcąc nim rozciąć powietrze. Wskoczył pomiędzy drzew i przeskakując ośnieżone, śliskie kamienie na brzegu popędził ku pokrytej śniegiem, stanowiącej pewniejsze oparcie dla stóp powierzchni zamrożonego jeziora. Mi-4 zwrócił swój złowieszczy czarny pysk w jego stronę, a smuga światła z reflektora pomknęła po lodzie ku niemu.

Koniec drzew, koniec ukrycia – powtarzało coś w jego umyśle w rytm szalonego pulsowania w skroniach. Nie czuł jednak żalu. Miał wrażenie, że drzewa więziły go, zamykały w swej klatce, chociaż faktycznie nie został jeszcze schwytany. Mi opadał powoli w dół niczym ogromny ruchomy całun; dokoła śnieg zaczął unosić się w powietrze, odsłaniając gładki, zdradliwy lód. Zadrzał i obejrzał się szybko.

Pierwszy owczarek alzacki wyłonił się z lasu, bez wahania minął kamienisty brzeg i skoczył na lód. Gant uniósł karabinek i strzelił; pies upadł i z rozdziwionym pyskiem posunął się jeszcze parę metrów po lodzie. Spojrzał w górę. W otwartych drzwiach kabiny helikoptera pojawiła się szczerząca zęby w szerokim uśmiechu twarz. Gant pośpiesznie wyrzucił pustą łuskę, załadował kolejny naboń i podniósł karabinek – dwa następne psy, już na lodzie, ale nie miał czasu zwracać uwagi na psy – wypalił. Głowa zniknęła we wnętrzu maszyny, Gant wiedział jednak, że nie trafił.

Ruszył biegiem. Ślizgając się i zataczając dotarł do granicy nie naruszonego śniegu. Mi zaczął się przesuwać w ślad za nim, przygważdżając go do ziemi strumieniem światła z reflektora. Gwizdki, sylwetki ludzi na brzegu...

Chciał ponownie załadować karabinek, gdy pierwszy z psów skoczył na niego, by zwalić go z nóg. Zachwiał się, przykucnął szybko, po czym wymierzył cios w łeb psa kolbą broni. Owczarek z głośnym wyciem poleciał w bok. Drugi wilczur, ostrożniejszy, zahamował gwałtownie. Gant wyprostował się, spoglądając w stronę biegnących za psami ludzi, pewnych już swojej zdobyczy stojącej w pełnym blasku reflektorów. Huk ponad głową nasilał się, głusząc wszelkie myśli.

Zdawał sobie sprawę, że ucieczka nie miała już sensu. To koniec. Został schwytyany. A może należało się cieszyć, że po tych wszystkich przejściach miał wreszcie szansę ogrzać się nieco. Zrobił swoje. Cała energia odpłynęła, jak gdyby wyszana światłami reflektora. Oba psy przysiadły na lodzie dwa metry od niego i warczały cicho. Pierwsza grupa ludzi znajdowała się nie dalej jak o czterdzieści metrów.

Nagle z wiszącego nad nim helikoptera rozbrzmiał chrapliwy, zniekształcony przez megafon głos:

– Majorze Gant, proszę odłożyć karabin. Majorze Gant, proszę odłożyć karabin.

Miał wrażenie, że psy uniosły się na tylnych łapach. Ludzie zawahali się. Powolnym ruchem unióś karabinek i odrzucił go od siebie. Lewą ręką wyciągnął pistolet Makarowa trzymając za łufę, po czym także rzucił go na lód. Żołnierze w białych kombinezonach pośpiesznie ruszyli w jego stronę. Za nimi, spoza linii drzew wysunęły się dwa dalsze śmigłowce Mi-4, lecąc w jego kierunku. Zgarbił się, a zmarznięte dłonie wbił głęboko w kieszenie kurtki. Zupełnie jakby czekał na autobus. Jeden z dwóch przybyłych helikopterów osiadł na lodzie, jego wirniki poczęły zwalniać.

Dziesięć metrów. Siedem...

Psy siedziały spokojnie ze zwieszonymi ozorami, pobłażliwe, lecz nieufne.

Z ogłuszającym rykiem wyskoczył czwarty Mi i niczym smukły ptak zanurkował w kierunku jeziora. Krąg światła reflektora zatańczył na lodzie, kiedy wiszący nad nim helikopter zakołysał się, jak gdyby w zdumieniu. Gant spojrział w górę. Opadał nosem w dół, zbliżając się szybko. Rosjanie także zadarli głowy i zatrzymali się w niepewności. Psy zaczęły warczeć.

Mi-4...?

Ostronosy, a nie ze ściętym dziobem. Zakryte oznaczenia na kadłubie, a nie ich całkowity brak jak u pozostałych. Wysmukła maszyna i postać w białym kombinezonie machająca ręką w otwartych drzwiach kabiny. Mi, który tkwił nieruchomo nad jego głową, zaczął powoli odpływać w kierunku przybysza,

jak pies obwąchujący sukę. Intruz wyskoczył nagle w górę, przeleciał nad sowieckim śmigłowcem i zaczął szybko opadać ku zamarłej na lodzie postaci człowieka. Zakolysał w powietrzu, to zbliżając się, to znów odsuwając w bok, wabiąc go do siebie.

Drugi i trzeci Mi, które poprzednio wylądowały, znów wprawiły w ruch wirniki. Wiszący w górze Mi-4 zaczął nurkować ku niemu. Człowiek w otwartych drzwiach krzyczał coś do niego. Gant nie mógł rozpoznać słów, ale nie brzmiały one po rosyjsku.

Ostronosy...

Lynx...

Słowa były angielskie. Poruszył się wreszcie, zmuszając ociężałe nogi do biegu. Psy poderwały się, otrząsając ze śniegu, i rzuciły za nim. Lynx dziwnie tanecznym ruchem odpywał powoli, wisząc zaledwie pół metra nad lodem, jakby zapraszając go do środka. Z głównego przedziału wychyliło się na zewnątrz ramię podnośnika, a lina spadła czarną żmiją na ośnieżoną powierzchnię.

Pośliznął się, rozrzucił szeroko ramiona i silnie pochylony próbował odzyskać równowagę. Jeden z psów skoczył, chcąc schwytać zębami kurtkę na boku. Machnął na oślep w jego kierunku zaciśniętymi pięściami. Owczarek skręcił się w powietrzu i padł na śnieg. Jeszcze dwadzieścia metrów... piętnaście...

Kopniakiem odrzucił drugiego psa – pierwszy stawał już na nogi i ruszał na niego – wierzgnął nogą, ale nie trafił, omal nie zwałając się na lód. Psy czekały na sposobność do ataku. Dziesięć metrów. Tylko dziesięć...

Osiem, siedem, pięć... Już prawie miał pod stopami koniec liny. Lynx uniósł się trochę w górę, by umożliwić mu chwycenie liny bez schylania i natychmiast wciągnąć go do środka...

Ujadanie psów. Coś walnęło go w nogę, wybijając z rytmu. Metr, nie więcej. Twarz człowieka, wrzeszczącego i klnącego, strzelającego ponad jego głową. Nagły skowyt psów...

Dotknął liny...

Helikopter niespodziewanie skoczył w górę. Runął twarzą w śnieg, podcięty. Znów znalazł się w powodzi światła reflektorów, coś przygniatało go do lodu. Poczul smród cebuli i gorący oddech na przemarzniętym policzku. Głowę wdużono mu w śnieg. Jęknął. Kolejne psy, nasilające się szczekanie, jakby przedeźniające jego desperackie charczenie.

Dostrzegł, że Lynx odlatuje. Drzwi kabiny zatrzęsnięto, helikopter przeskoczył nad stojącym bliżej sowieckim Mi i podrzucany jak ciśnięty na wodę kamień poszybował w stronę ściany lasu...

Rosyjski żołnierz, który rzutem do przodu powalił go w śnieg, teraz powoli, ociężale podnosił się na nogi. Sprawiał wrażenie bezgranicznie uradowanego. Dokola zaroilo się od innych postaci, pochylały się nad nim błyszczące w blasku reflektorów twarze. Światła kłuły w oczy, oślepiały do bólu, niczym jaszkrawy promień odbity od powierzchni diamentu. Zamknął powieki i leżał nieruchomo na plecach. W łydce, którą jeden z psów złapał zębami, zaczął odczuwać piekący ból.

Wsluchał się w cichnące odgłosy uciekającego Lynxa i huk wirników ruszającego w pogoń Mi. Po chwili nie było już nic poza terkotem wiszącego nad nim śmigłowca, falami powietrza smagającego go po twarzy, kłębami unoszonego w górę śniegu oraz wrażeniem, że pogrąża się we śnie...

Śnie o Lynksie, o linie unoszącej go z ziemi, o ratunku... śnie o...

Waterford, klnąc na cały głos z wściekłością, zasunął drzwi kabiny Lynxa. Machnął skoblem z taką siłą, jakby bardziej chciał odciąć się od rozgrywanych na zewnątrz wydarzeń niż zabezpieczyć drzwi śmigłowca. Zatoczył się, kiedy pilot zaczął gwałtownie zmieniać raz za razem kurs. Zaciśnął dłoń na uchwycie i wyjrzał przez okienko kabiny. Jezioro przesunęło się w dół. Wyciągnął szyję i dostrzegł strumień światła z reflektora Mi, bezustannie zalewający powierzchnię lodu. Po chwili znaleźli się nad drzewami, przeszedł więc z powrotem do kabiny, opadł na fotel drugiego pilota, zapiął pasy i naciągnął na głowę hełmofon. W lusterku wstecznym zauważył sylwetki dwóch rosyjskich helikopterów lecących za nimi. Trzeci miał z pewnością zabrać na pokład Ganta i wracać do bazy. Lynx osiągnął już chyba swoją maksymalną prędkość przy powierzchni ziemi, o jakieś czterdzieści kilometrów na godzinę większą od tego, co mogli wydusić ze swoich maszyn Rosjanie.

– Jesteśmy już nad Norwegią – oświadczył po chwili Gunnar, nie zmniejszając jednak prędkości helikoptera. – Myślę, że tu nie będą nas ścigać.

W dół spostrzegł smugi światła z reflektorów jakiegoś samochodu, posuwającego się krętą drogą wiodącą z północy na południe, a nieco dalej rozrzucone, wyblakłe ogniki niewielkiej wioski.

– Mają ważniejsze rzeczy na głowie – mruknął Waterford, zaciskając z całej siły dłoń na udach. Słyszał zgrzytanie własnych zębów. Wycofać się, będąc metr od celu! Tylko metr...! – Niech to szlag! – ryknął.

– Zrezygnowali już, postraszyli nas tylko. Można powiedzieć, że odpędzili nas od cennego znaleziska – zachichotał Gunnar. – Wszystko w porządku, majorze?

– Nie.

– Nie lubi pan przegrywać?

– Nie znoszę przegrywać.

– I tak mieliśmy wiele szczęścia, że w ogóle ich znaleźliśmy. A szczęście nie trwa wiecznie. – Gunnar wprowadził śmigłowiec w zakręt, przyglądając się dwóm białym punktom na ekranie radaru. – Właśnie skręcają na wschód. Teraz im się spieszy. Zaraz stracimy ślad, lecą bardzo nisko.

Jakby na potwierdzenie jego słów punkty światła zaczęły tracić ostrość i rozmywać się w niewyraźne plamki. Na ekranie widniały inne rozmazane smugi, będące efektem odbić fal radaru od powierzchni ziemi. Zarówno Mi, jak i Lynx leciały zbyt nisko, by skutecznie śledzić ich ruchy za pomocą radaru, a fakt ten jedynie wspomagał szczęście, jakie towarzyszyło im w trakcie spotkania z Rosjanami.

Gdyby jeszcze udało się go porwać... – pomyślał Waterford.

– Ile mamy czasu? – zapytał.

– Kilka minut. – Ponad kabiną śmigłowca zbierały się ciemne chmury, blask księżyca wyraźnie przygasł. Na wschodzie, nad rosyjską granicą, mógł już padać śnieg. – Za kilka minut będziemy z powrotem nad jeziorem.

– Dostaniemy wszyscy kopa w dupę, jeśli samolot jest nie uszkodzony! – warknął Waterford.

– Dobra robota, pułkowniku! Dobra robota!

Nie sposób było powstrzymać uśmiechu na widok entuzjazmu Andropowa, a raczej podzielić go własnym uśmiechem – poprawił się w duchu Władimirow. Śmiać się razem ze wszystkimi. W Wojennym Centrum Dowodzenia zapanowała atmosfera przypominająca uroczystość wręczania awansów albo wysokich odznaczeń, z tą tylko różnicą, że goście nie byli jeszcze pijani. A jednak udało im się...!

– Proszę przyjąć także moje gratulacje, pułkowniku – Władimirow dodał od siebie do mikrofonu. Obaj z Andropowem patrzyli sobie w oczy, dopóki nie rozbrzmiała odpowiedź dowódcy Straży Granicznej.

– Dziękuję, towarzyszu generale. Dziękuję.

– A co z tamtym helikopterem? – Andropow zwrócił się do Władimirowa.
– Domyślałem się, że był norweski.

– Nimrod wyszedł, że prowadzimy poszukiwania. Oni także go szukali,

ale my znaleźliśmy. Już wkrótce Gant powie nam, co się stało z Migiem-31. Powie, co z nim zrobił.

Andropow ciężko oparł dłonie na skrzynce nadajnika. Operator wzdrygnął się nieznacznie z powodu bliskości przewodniczącego KGB. – Przetransportujcie go do Murmańska najszybciej jak to możliwe, pułkowniku. Stamtąd zabierzemy go do Moskwy... – Odwrócił twarz od mikrofonu i rzekł do Władimirowa: – Dostarczą go nam jutro, najdalej w południe. – Zdjął okulary i zaczął przecierać szkła. Jego twarz zdradzała zmęczenie. – To był bardzo długi dzień – zauważył jakby od niechcienia. – Czuję się wykończony – dodał, tłumiąc ziewnięcie.

– Ja także – odparł Władimirow, spoglądając na wkładającego z powrotem okulary w złotych oprawkach przewodniczącego. Kiedy tamten uniósł wzrok, przyglądając dłońmi odstające kosmyki włosów nad uszami, jego oblicze znów przybrało wyraz pewności siebie. W miejsce radości powróciło wyrachowanie. Nie ulegało wątpliwości, że schwywanie Ganta miało dla Andropowa pewne znaczenie polityczne. Już teraz cały incydent nabierał wagi jako element propagandowy, jako broń przeciwko dowództwu armii, jako ważki argument w rozgrywkach z pozostałymi członkami Biura Politycznego. Ich chwilowe, niewygodne przymierze przestało istnieć.

– Oczywiście, generale. – Ta uwaga zabrzmiała niczym drwina, przytyk do jego braku energii i zaawansowanego wieku. Władimirow wyprężył się, podkreślając kilkucentymetrową przewagę wzrostu nad Andropowem. Przewodniczący odwrócił się. Jego szary garnitur nie mógł się jeszcze mierzyć z mundurem. Zrozumiał to.

Wręcz niezauważalnie z głośnika rozbrzmiał głos dowódcy Straży Granicznej, potwierdzającego przyjęcie rozkazu.

– Samolot transportowy będzie czekał w gotowości na lotnisku. Pogoda gwałtownie się pogarsza na wschód od Murmańska, ale nie będzie opóźnienia. Wyznaczą doborowy oddział GRU do eskortowania Amerykanina...

Andropow odwrócił się gwałtownie. – Proszę zadbać, żeby wypełnili swoje obowiązki, towarzyszu generale – syknął lodowatym tonem.

Władimirow poczuł, że się czerwieni. – Oczywiście.

– W takim razie życzę dobrej nocy – rzucił zjadliwie Andropow, naciągając na ramiona podane mu przez ochroniarza palto i biorąc z jego rąk futrzaną czapkę. Zsunął okulary na czoło w specyficznym geście pożegnania, po czym zniknął w wyjściu z Wojennego Centrum Dowodzenia.

Władimirow odwrócił się w stronę stołu mapowego. Machinalnie, jakby sięgając po butelkę czy pastylkę środka uspokajającego, rzucił: – Wyświetlcie mi raz jeszcze mapę obszaru, gdzie schwytano Ganta.

Powoli wyłoniła się z niebytu mapa północnej części fińskiej Laponii wraz z fragmentami wybrzeża Norwegii przy samym krańcu stołu. Zarysy nabrały ostrości. Wszystko rozegrało się na stosunkowo niewielkim obszarze, nie mógł ująć zbyt daleko... Nie korzystał również ze spadochronu, a zatem musiał wyłączyć Firefoxem...

Albo szczęśliwie przeżył upadek samolotu.

Nie więcej jak osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt kilometrów z północy na południe oraz sto dwadzieścia ze wschodu na zachód. Należało znacznie ograniczyć ten obszar, biorąc pod uwagę kondycję Ganta, jego wyczerpanie oraz teren, jaki musiał pokonywać na piechotę. Niewątpliwie bezpiecznie sprowadził samolot na ziemię.

Ale gdzie?

Jego dłoń sunęła po powierzchni stołu, oświetlana to na biało, to na zielono, to znów na niebiesko – jakby z zamiarem pochwylenia owych niewyraźnych, jaskrawych plam świetlnych...

Władimirow zamrugał energicznie i ziewnął. Był śmiertelnie zmęczony, potrzebował snu.

Stwierdził, że może spokojnie położyć się spać, nie zaspokajając ciekawości. Wtrzyma do jutrzejszego południa. Przecież Gant wiedział, musiał im powiedzieć...

Stłumił kolejne ziewnięcie i raz jeszcze zamrugał, chcąc przezwyciężyć hipnotyczne oddziaływanie świecącej, kolorowej mapy.

– Możecie opuścić stanowiska. Przenieść nasłuch radiowy do sali operacyjnej na lotnisku – rozkazał, chcąc jak najszybciej wyjść na zimne nocne powietrze i otrzeźwić się nieco. – I... To była dobra robota. Dziękuję wszystkim.

Chóralny pomruk satysfakcji i aprobaty umilkł, kiedy zamknął za sobą drzwi Wojennego Centrum Dowodzenia. W przedziale ogonowym na siedzeniu leżała jego czapka, kurtka mundurowa oraz rękawice. Jak dawno je tu zostawił? Chyba zaraz po wejściu na pokład samolotu w Moskwie, kiedy wyruszał na pokazowy lot prototypu produkcyjnego... Czy było to milion lat temu, czy zaledwie wczoraj?

Spojrzał na zegarek. Jedenasta. Nie, to było dzisiaj. Wczesnym rankiem. Przetarł oczy i zaczął naciągać kurtkę.

Brooke wyciągnął dłoń i przesunął nią po metalowym kadłubie, tuż za wysuniętym dziobem i osłoną kabiny pilota. Zupełnie jakby pogłaskał jakieś olbrzymie, uśpione zwierzę, którego cielsko wylaniało się z ciemnej toni wody w mętnym świetle czołowej lampki. Popłynął wzdłuż całego kadłuba, prześliznął się nad ogromnym skrzydłem, po czym chwycił dłońmi krawędź wielkich dyszy silnikowych i okrążył sekcję rufową, omiatając promieniem lampki zarysy samolotu. Następnie znów popłynął w stronę dzioba, przesuwając się nad drugim olbrzymim skrzydłem. Płetwy musnęły blachy kadłuba i po chwili ponownie znalazł się nad częścią dziobową.

Potrzebował zaledwie kilku minut, by znaleźć pod wodą samolot i stwierdzić brak uszkodzeń. Jako pierwszy zszedł pod lód sierżant, który uprzednio sprawdził i ukrył nadajnik satelitarny, mający zapewnić bezpośrednią łączność z Londynem za pośrednictwem geostacjonarnej satelity komunikacyjnej. Niemal od razu sierżant Dawson natknął się na szpetny, tępy dziób Miga-31. Światło jego lampki zniknęło szybko pod cienką warstewką zablizniającą się błyskawicznie pokrywy lodowej, za co Brooke był wdzięczny opatrności, gdyż tym sposobem ich poszukiwania były niewidoczne dla obserwatora z powietrza. Sierżant miał dokonać wstępnego rozpoznania, podczas gdy on wraz z dwoma kapralami zaczęli myszkować na brzegu, pośród najbliższych drzew oraz na lodzie, w poszukiwaniu urządzenia naprowadzającego, którego falę nośną przechwycił Eastoe. Szczególnie uważnie szukali wśród nagromadzonych, poszarpanych brył lodu, otaczających miejsce niefortunnego lądowania Miga-31. Znaleźli je w końcu ściśnięte między dwoma taflami kry, a tymczasem Dawson wrócił na brzeg i rozgrzewał się gorącą kawą. Brooke wyłączył nadajnik i wysłuchał wstępnego raportu Dawsona. Jedna z klap podwozia była wygięta, a na prawym skrzydle i w dwóch miejscach kadłuba, gdzie znajdowały się przewody paliwowe, widniały otwory po pociskach z działka. Ale kabina była zamknięta, do wnętrza dostało się trochę wody, lecz niewiele. Wszystko wskazywało na to, że Gant zdążył również wyłączyć wszelkie urządzenia elektryczne.

Brooke pojął znaczenie tego odkrycia. Nie uszkodzony samolot stanowił o wiele większe, stukrotnie większe zagrożenie niż kupa poszarpanych blach i szczątki rozrzucone po dnie jeziora. Projekt z Biljarska nie został jeszcze wstrzymany. Kiedy tylko Dawson skończył składać raport, Brooke natychmiast zaczął szykować się do zejścia pod wodę, polecając jednemu z kaprali, specjalście od zdjęć podwodnych, przygotować sprzęt do wykonania jak najpełniejszej dokumentacji fotograficznej.

Samolot przeraził go. Był olbrzymi, a słabe, punktowe światło lampki potęgowało jeszcze to wrażenie. Ponadto pomalowany na czarno kadłub, niemal całkowity brak oznaczeń, wysunięta sekcja dziobowa przypominająca łepkę modliszki oraz opadające w dół skrzydła nadawały mu charakter czegoś zupełnie obcego. Ale przede wszystkim jego usytuowanie pod powierzchnią zamrożonego jeziora tworzyło mesmeryczną, wręcz koszmarną atmosferę, ożywiana jedynie wąskim, tańczącym promykiem światła czołówki.

Kapral uśmiechnął się szeroko pod maską, kiedy Brooke poklepał go po ramieniu osłoniętą ciężką rękawicą dłonią. Pęcherzyki ulatujące w górę, butle ze sprężonym powietrzem, twarze skryte za maskami – wszystko to niezwykle pasowało do scenerii otaczającej samolot. Pokiwał głową, wskazując ręką długi kadłub, podwozie, skrzydła. Kapral niemal natychmiast uniósł do oczu wielki aparat do podwodnej fotografii, z lampą błyskową przypominającą kineskop wyłączzonego telewizora, po czym popłynął powoli wzdłuż Firefoxa. Flesz zaczął błyskać raz za razem, każdorazowo oświetlając inny fragment samolotu. Gniazda działek, przekrój skrzydła, część ogonowa, dysze wylotowe silników, część dolna kadłuba, podwozie, skrzydło, kabina... Lampa błyskowa pracowała bezustannie, pomagając utrwalić na zdjęciach poszczególne części Miga-31.

Jeszcze pod lodem Brooke poczuł się jak zdrajca, kiedy wspomniawszy ładunki wybuchowe, jakie przywieźli ze sobą. Nie otrzymali takich rozkazów, lecz samolot był nie uszkodzony... a z punktu widzenia Londynu najprostszą metodę rozwiązania problemu stanowiłoby rozmieszczenie i zdetonowanie odpowiedniej ilości materiałów wybuchowych, prowadzące do porozrywania kadłuba, stopienia układów elektronicznych, rozwalenia hydrauliki – do zniszczenia samolotu. Właśnie tego samolotu, owej olbrzymiej konstrukcji, wyławianej z mroku przez rytmicznie rozbłyskujący flesz oraz słabutki promyk lampki, którym z upodobaniem omiatał całą sylwetkę. Zaskoczył go własny sentymentalizm, zrodzony prawdopodobnie z przekonania, iż znajdują w jeziorze jedynie dobrze znaną masę szczątków. Ciała, poskręcany metal, osmalone blachy – wyłącznie oznaki zniszczenia i śmierci. Lecz w zamian... Był w całości, prawie nietknięty, nadający się do naprawy.

Wykluczone. Na pewno dostaną rozkaz zniszczenia go.

Kapral podpłynął w jego stronę z wyciągniętym w górę kciukiem. Brooke klepnął go tylko po ramieniu, po czym tamten odpłynął w kierunku powierzchni. Przesunął się powoli pod krawędzią pokrywy lodowej i po chwili lampka Brooke'a wyławiała z mroku same nogi uzbrojone w płetwy, bez pośpiechu zmierzające ku stromiźnie brzegu.

Po raz ostatni omiół sylwetkę Miga światłem lampki i ruszył za kapralem. Zaczynał odczuwać chłód. Tak jak poprzednio wyłowił samolot z ciemności, tak teraz porzucał go w mrocznej toni.

Kiedy wyszedł z wody, dostrzegł odzianego w biały kombinezon Waterforda, który czekał na niego rozmawiając z kapralem. Dziwnie protekcyjnym, władczy gestem oparł dłoń na aparacie do podwodnej fotografii. Obok stał Dawson, trzymając ręcznik i kubek z parującą kawą. Waterford podszedł do Brooke'a i czekał z niecierpliwością, aż ten zdejmie maskę. Kiedy znaleźli się twarzą w twarz, jeszcze zanim Dawson pomógł mu zrzucić butle z powietrzem, Waterford zapytał:

– I co? Wygląda na to, że dotoczył się do brzegu i tu trafił na bardzo cienki lód?

Brooke skinął głową. – Wszystko na to wskazuje. Strumień musiał odprowadzać wodę z jeziora jeszcze przez jakiś czas po zamrożeniu powierzchni. Latem, mimo stosunkowo płytkiego koryta, musi tu być dosyć duży przepływ. W ten sposób pod cienką warstwą lodu została uwięziona pokaźna ilość powietrza.

– Kapral twierdzi, że samolot wygląda jak nowy. Czy to prawda? – Zabrzmiało to jak oskarżenie, jak próba zawstydzenia porucznika Królewskiej Marynarki Wojennej.

Brooke pokiwał głową. – Prawie. Nawet podwozie nie uległo uszkodzeniu, tyle że jedna z klap jest wygięta, ale...

– Chryste! To wszystko wyjaśnia. Ten biedny dupek musiał bezpiecznie wylądować w tym pieprzonym samolocie, prawda?

Raz jeszcze Brooke skinął głową. – Musiał – odparł. – Nawet dokładnie zamknął osłonę kabiny, zanim odszedł. Na Boga, majorze, powinien pan zobaczyć tę maszynę...!

– Nie, dziękuję! – i dodał zaraz, zwracając się bardziej do siebie niż do Brooke'a: – O mały włos miałbym tego biednego dupka... – Energicznie klasnął w dłonie przed sobą, niemal dotykając piersi Brooke'a. – Był już tak blisko mnie, jak ty teraz. Mieliśmy cholerne szczęście, że w ogóle go znaleźliśmy. Ale oni także go namierzili. Jakiś pieprzony Iwan zwałił go na lód, kiedy Gant już miał się chwycić liny... Na miłość boską, tak niewiele brakowało, żeby teraz był z nami...! – Po chwili przerwy odezwał się chłodniejszym, bardziej złowieszczym tonem. – Ratunek był tak blisko! Patrzył mi w twarz, miał przed sobą otwarte drzwi kabiny Lynxa... a teraz zrobią z niego szmatę, i to szybko. Z tego co słyshałem, on i tak jest już niespełna rozumu. Nie wiem, czy wytrzyma choćby pięć minut, kiedy zaczną mu zadawać pytania. – Urwał i omiół spojrzeniem

jezioro. – Jutro będzie tu tyłu Rosjan, ile mrówek w lesie. Zaczną szykować samolot, żeby go zabrać do domu.

– Tak pan myśli?

Twarz Waterforda wykrzywił ponury grymas. – Znam ich, chłopcze – rzucił kwaśno. – Widziałem ich w Belfaście, na Cyprze, Borneo, w Omanie... Wiem, jak rozmowni potrafią robić się ludzie, kiedy wpadną w ich łapy. – Jego kwadratowe oblicze coraz bardziej wykrzywiło się w pogardzie. – Gant, ten biedny kutas, nie będzie w stanie wytrzymać... Ja także niewiele mu pomogłem, przybywając na czele kawalerii, kiedy dopalały się już ruiny fortu! – Rozłożył szeroko ręce i dodał: – Dobra, przekazemy Aubreyowi radosne wieści... Dobrze ukryłeś nadajnik, Dawson? Czy będzie jeszcze działał, kiedy zjawi się tu następna grupa?

– Tak, o ile renifery na to pozwolą, sir – odparł Dawson.

– Na pewno mu się to spodoba, temu małemu, tłustemu tajniaczkowi. Chryste, jak jemu się to spodoba!

Deszcz siekł w ciemności, jakby kierowała nim żywa, do tego piekielnie złośliwa istota. Aubrey złożył parasol, ponieważ każdy silniejszy podmuch wiatru przginał druty na drugą stronę. Oburącz przytrzymał kapelusz na głowie. Buckholz szedł obok niego, zmarznięty i ociekający wodą, z rękoma wbitymi głęboko w kieszenie, pochylając odkrytą głowę pod strugami chłozącego ich deszczu. Milczeli od kilku minut. Buckholz, którego przekazana drogą satelitarną wiadomość wprawiła w osłupienie, zdawał sobie sprawę z odczuć Aubreya i nie miał ochoty przerywać milczenia. Szum deszczu uderzającego o szyby budynku administracji, stłumione odgłosy dobiegające z kasyna oficerskiego, chlupot wody pod nogami, zawroźnienie porywistego wiatru – wszystko to potęgowało, a zarazem tonowało nastrój chwili. Nie mógł zebrać myśli, nie przychodziło mu do głowy nic sensownego.

Aubrey postukiwał czubkiem parasola w kałużach, rozbijając regularne refleksy światła na marszczonej przez krople deszczu wodzie. Jak zawsze w obecności Buckholza jego złość objawiała się opryskliwością. A jednak miotła nim prawdziwa, dogłębna wściekłość. Buckholz, niższy i starszy z tej dwójki, wzdrygnął się, kiedy poczuł wodę za kołnierzykiem, lecz westchnął jedynie, tak samo zły i rozgoryczony. Pomyślał, że być może on powinien przerwać milczenie, ale nie odezwał się. Curtin został na dole, w Centrum Operacyjnym, i próbował skontaktować się z Pyottem, który wrócił do Londynu.

Buckholz musiał przyznać w duchu, że znaleźli się w ślepych zaułku. Potrzebne im były nowe rozkazy, nowe gwarancje wsparcia, zarówno z Waszyngtonu i Londynu, jak też z Brukseli i Oslo. Ponadto trzeba było przeprowadzić od nowa pertraktacje z Finami. Tylko po co? W jakim celu?

Odegnął od siebie ponure myśli, jego twarz wygładziła się, zniknęły zmarszczki na czole, jak gdyby dokonana tego kolejna fala deszczu. Skręcili za róg budynku i wkrótce znaleźli się przed jasno oświetlonym wejściem. Buckholz pomyślał w pierwszej chwili, że to Bradnum stoi w drzwiach osłonięty peleryną, lecz oficer RAF na ich widok odwrócił się szybko i zniknął w głębi budynku. Coraz głośniejsze hałasy dobiegające z kasyna otoczyły ich niczym falą ciepła bijącą od ogniska. Przyspieszyli nieco kroku, zamiast chłupotu i mlaskania błota pod nogami rozległ się wreszcie znajomy chrzęst żwiru.

Jak gdyby dręczony nieznośnym, nie dającym mu spokoju ciężarem tajemnicy, z którą musi się podzielić, Aubrey zwrócił w końcu twarz w stronę Buckholza i syknął przez zęby: – Oni mają wszystko, Charles, jak na dłoni... Niech to szlag, mają wszystko! – Buckholz przez chwilę miał ochotę położyć dłoń na jego ramieniu, ale powstrzymał się. Anglik mógłby potraktować ów gest jako dowód protekcyjnego stosunku pozbawionego ogłady Amerykanina.

– Wiem, Kenneth... To piekielna sytuacja.

– Zdobyli oba atuty, Charles. Oba atuty, które mieliśmy w swoich rękach. Nie uszkodzony samolot znajduje się nie dalej jak sześćdziesiąt kilometrów od granicy rosyjskiej, a pilot jest już pewnie w Murmańsku, a może nawet w drodze do Moskwy! – Aubrey pochylił się w stronę Buckholza, zniżając głos do natarczywego szeptu. – I zmuszą go do mówienia, Charles. Wierz mi, że zmuszą. Gant jest zdany tylko na siebie, a fakt ten stanowi ich główną, najmocniejszą broń. Dotychczas nawet na chwilę nie był zostawiony sam sobie, zawsze mógł liczyć na pomoc. A teraz musi zdać sobie sprawę, że został sam, że jakkolwiek opór, akt odwagi czy bunt przestały mieć znaczenie. Wcześniej czy później powie im, gdzie mogą znaleźć Firefoxa.

– Wiem, że masz rację, Kenneth...

– Czy tak samo jak ja nie widzisz żadnego wyjścia z tej sytuacji?

Buckholz znacząco pokiwał głową, chcąc rozwiać choćby najdrobniejszy cień nadziei, lecz Aubrey, jakby w odpowiedzi, także markotnie skinął głową.

– Nie, Kenneth. Mam wrażenie, że znaleźliśmy się w ślepej uliczce.

– Nie mogę się z tym pogodzić...!

– Nie masz innego wyjścia, Kenneth. Muszę porozumieć się z Waszyngtonem, podobnie jak ty z Londynem. Trzeba im przekazać, że według naszych

ocen straciliśmy oba atuty całej operacji: zarówno Ganta, jak i Firefoxa. – Buckholz otrząsnął się energicznie. Kropelki deszczu spływające z jego krótko obciętych włosów połyskiwały w świetle lampy nad głównym wejściem do budynku administracji. – Na miłość boską, czy możemy im powiedzieć cokolwiek innego?

– Chcesz, żebym rozkazał Waterfordowi podłożyć ładunki i wysadzić samolot, zanim jeszcze nie jest za późno? – Aubrey rzucił niczym wyzwanie.

– Pomyśl tylko, człowieku, czy możesz jeszcze zrobić coś innego. Chcesz im pozwolić zabrać samolot z powrotem do Rosji?

– Gdyby tylko nie złapali Ganta...! – ryknął Aubrey. – Moglibyśmy dowiedzieć się co nieco o samolocie. Moglibyśmy badać go nawet kilka tygodni, poznać konstrukcję kadłuba, układy elektroniczne i awioniczne, systemy anty-radarowe i myślowego sterowania... wszystko. Ale oni mają Ganta i zmuszą go do mówienia! – Jego parasol raz za razem dziobał kałużę, która zebrała się w koleinach odcisniętych przez koła jakiegoś ciężkiego pojazdu, i rozbijał wielobarwne lusterka na powierzchni wody pokrytej cienką warstwą benzyny.

– Finowie nie zgodziliby się...

– Przyznaję, że musiałbym być kryty.

– Jak to sobie wyobrażasz? Zastępy cywilnych i wojskowych ekspertów przewalające się przez fińską Laponię tygodniami...? Badania pod wodą...? Przestań, Kenneth. Dobrze wiesz, że to nierealne marzenia.

– A jaki mamy pożytek ze znajdujących się tam obecnie ludzi? – zapytał Aubrey, a ton jego głosu wyraźnie nie pasował do wykonywanej od tylu lat profesji.

– Chociażby taki, że mogą rozwalić samolot na kawałeczki.

– Czy to twoja jedyna rada, Charles? Nie jest zbyt konstruktywna.

– Przykro mi.

Deszcz spływał po ich twarzach i pelerynach. Buckholz trząsł się z zimna, lecz Aubrey nie zwracał na to uwagi.

– Nie powinienem się zgodzić na ów rewelacyjny pomysł przelotu nad Finlandią. Trzeba było skierować go prosto do Norwegii.

– Przecież tam w powietrzu czekali na niego Rosjanie. Poza tym przelot miał trwać nie dłużej jak półtorej godziny. Nie widziałeś żadnego ryzyka, kiedy sam układałeś scenariusz.

– Dziękuję ci, Charles. Obawiam się jednak, że niewiele mi to pomoże – mruknął Aubrey. Odsunął się na krok od Amerykanina i pochylił nisko głowę, nie zwracając uwagi na siekący deszcz. Z ronda jego kapelusza pocięła

strumyczkiem woda. Buckholz wiedział, iż postawa ta oznacza intensywną koncentrację. Czekał, wpatrując się w zasłonę deszczu. Światła Lincoln tworzyły niewyraźną lunę na tle ciężkiej pokrywy chmur.

Dopiero po kilku minutach Aubrey uniósł twarz ku niemu. Na jego obliczu malowała się determinacja. Buckholz, znając dobrze Anglika, rozumiał, że tamten nie może pogodzić się z porażką.

– Dobra. Niech Waterford porozmieszcza ładunki, może nawet przy pomocy jakiegoś eksperta stąd. Lecz niech nie odpala ich jeszcze. Nakłoń Shelleya, żeby skontaktował się z Edgecliffe'em i zmobilizował całą siatkę w Moskwie. Muszą nas zawiadomić, kiedy przywiozą Ganta. Jeżeli będziemy dokładnie znali moment, kiedy go przywiozą, kiedy zabiorą się za niego...

– Po co?

Aubrey kontynuował swoje wyjaśnienia, jakby nie usłyszał pytania. – Muszę porozmawiać z Hannim Vitsulą z Helsinek – uśmiechnął się krzywo, po raz pierwszy od dłuższego czasu. – Hanni nie pała miłością do Rosjan, gdyż zabili mu ojca, a jeszcze mniej podoba mu się finlandyzacja jako sposób na życie. Będzie potrafił spojrzeć na sprawę z naszego punktu widzenia.

– Dyrektor generalny fińskiego wywiadu jest członkiem rządu, nawet jeśli to twój przyjaciel, Kenneth. Co on będzie mógł dla nas zrobić?

– Jeszcze nie wiem, ale w obecnej sytuacji bardzo potrzebujemy przyjaciół, a jego można zaliczyć do tego grona. Możliwe, że... och, sam nie wiem. Po prostu ufam dobrej pamięci Finów. On pochodzi z południowo-wschodnich terenów, znanych pod nazwą Karelii, która obecnie znajduje się w granicach Rosji. – Aubrey uniósł w górę rozłożone w geście bezradności dłonie. Po chwili dodał: – Nie wiem co robić, Charles... Czuję się, jakbym biegał w kółko po starym, opuszczonym domu, otwierał i zamykał z hukiem wszystkie drzwi, pogwizdując na samego siebie. Kto wie, co z tego wyjdzie?

– Czyżbyś jeszcze wierzył, że cokolwiek wyjdzie? – spytał zaskoczony Buckholz.

– Nie. Ale muszę spróbować...!

Kiedy Gant na sztywnych nogach wychodził z wielkiego transportowego helikoptera Mi-8, na skrytym ciężkimi chmurami niebie pojawił się pierwszy brzask świtu. Drobnutkie płatki śniegu topniały błyskawicznie na pomalowanym w maskujące, oliwkowo-brunatne plamy kadłubie śmigłowca. Przed

drzwiami stało na płycie lotniska dwóch żołnierzy GRU, kierując w jego stronę lufy karabinów Kałasznikowa, czterech innych strażników siedziało w głównym przedziale maszyny. Ręce miał skute kajdankami przed sobą. Prawe ramię przesywał ból. Przez całą podróż, którą spędził na twardym siedzeniu, zmuszony był trzymać je w górze, przytwierdzony do uchwytu nad głową. Miał wrażenie, że ten ból promieniuje na całe ciało. Z trudem się poruszał. Nogi mu zdrętwiały, a rana na łydce po ukąszeniu psa mocno dawała się we znaki. Kiedy dotarł do ostatniego stopnia schodków, zatoczył się. Jeden z żołnierzy podtrzymał go. Nie był brutalny, jednak uważał bacznie, żeby trzymać broń poza zasięgiem rąk Ganta.

Po chwili znów otoczyła go pełna eskorta. Obok śmigłowca zatrzymała się ciężarówka. Niemal bez zainteresowania spoglądał, jak wyskakują z niej kolejni żołnierze; zauważył opodal samochód osobowy i grupę wyższych oficerów w tyle – przywiodła ich tu bardziej ciekawość niż rozkazy, pomyślał. Wreszcie uniósł głowę i omiótł wzrokiem bazę śmigłowców, widniejące w oddali miasto Murmańsk, szare wody Zatoki Kolskiej oraz ginący w gęstej mgle i śnieżycy nad Morzem Barentsa horyzont. Oprócz śniegu wiatr niósł silny zapach ryb. Wzgórza po drugiej stronie bazy skrywały ciężkie chmury. Samolot transportowy, który miał go zabrać do Moskwy, powinien jak najszybciej wystartować, jeśli chcieli zdążyć przed zapowiadającym gwałtownym pogorszeniem pogody.

Pokręcił głową, uśmiechając się do siebie. Sam nie wiedział, dlaczego obchodziły go warunki meteorologiczne. Był w Związku Radzieckim, zdany tylko na siebie, a ręce krępowały mu kajdanki. Nie miało żadnego znaczenia, czy zostanie w Murmańsku, czy znajdzie się w Moskwie – cele w więzieniach garnizonowych były wszędzie takie same.

Gestem nakazano mu wsiąść na skrzynię ciężarówki i podsadzono, kiedy nogi ugięły się pod nim przy wspinaniu na zwisającą klapę w tyle samochodu. Wdrapał się w końcu i usiadł naprzeciwko jednego ze strażników GRU, który skierował w niego lufę karabinu. Wszystko było takie samo i miało powtarzać się w nieskończoność – skute kajdankami nadgarstki, wymierzone lufy karabinów, ohydne metalowe pudła – bez znaczenia, czy to ciężarówka, czy samolotu. Ta sama procedura miała powtarzać się bez końca... bez końca...

Usiłował wmówić sobie, że procedura ta nigdy się nie zmieni, ponieważ u końca podróży jej zmiana miała oznaczać początek zadawania pytań. Nie chciał dopuścić do siebie myśli o mającym się wówczas rozpocząć – w pierwszych godzinach czy nawet minutach przesłuchania – pogrążaniu w bezdenną otchłań. Jedynie trwająca podróż utrzymywała go przy zdrowych zmysłach, stała się dla niego wszystkim.

Reszta oddziału usadowiła się na skrzyni, po czym ciężarówka szarpnęła i ruszyła. Gant spoglądał za malejącą sylwetką śmigłowca. Metalowa skrzynia i płócienna plandeka wozu zdawały się napierać na niego. Ktoś zakasał, zgrzytnął metal o metal – prawdopodobnie podkute buciory o blaszaną skrzynię. Za-skrzypiała skóra. Silnik samochodu wprawiał wszystko w drżenie. Poprzez trójkątny otwór w plandece na tyle ciężarówki dostrzegał zionące dymem kominy, zakotwiczone statki, szarą powierzchnię wody – ale przede wszystkim mechanicznie rejestrował ruch pojazdu.

Po kilkunastu minutach zatrzymali się gwałtownie. Czerwono-biały szlaban, budka strażnicza. W oddali zarys pasa startowego i wieży kontrolnej. Ale na pierwszym planie znowu ruch ciężarówki. Podróż trwała nadal – podróż, która była wszystkim...

Nie miała celu. Liczył się tylko ruch...

5.

Więzy

Mam płetwonurków w Kirkenes, jakieś sto czy sto dziesięć kilometrów od naszego jeziora i zatopionego samolotu, a tak się składa, że są to zarazem wojskowi eksperci... Błagam, czego więcej nam potrzeba? – zapytał Aubrey, celując widelcem w stronę Curtina. Oficer wywiadu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych przeciągnął dłonią po włosach i z ponurym wyrazem twarzy zapatrzył się w swój talerz z porcją jajek na bekonie. Po chwili, onieśmielony wyczekującą ciszą, jaka zapadła przy stole, odchrząknął, jakby chciał przeprosić za to, co ma powiedzieć, wreszcie mruknął cicho:

– Dużo więcej, sir... dużo więcej. Jeśli wolno mi tak powiedzieć, o wiele za dużo.

Aubrey parsknął, energicznie wbijając widelec w środek sadzonego jajka. Żółtko rozpląnęło się po talerzu. Buckholz popatrzył na Pyotta, który przyjechał nie dalej jak godzinę temu i niewątpliwie miał za sobą nie przespaną noc. Wicedyrektor Wydziału Tajnych Operacji CIA szukał na twarzy brytyjskiego oficera oznak współodpowiedzialności, chociażby śladów wsparcia dla ich prób pohamowania wybujałej fantazji Aubreya. Ale Pyott wyraźnie nie miał zamiaru ingerować w potok głośnych rozważań, utyskiwań, nalegań i posapywań Aubreya.

Buckholz westchnął głośno. – Nie możesz nic zrobić, Kenneth. Zupełnie nic. Chwytasz się wszelkich pomysłów jak tonący brzytwy. Wyciągnął przed siebie otwarte dłonie w geście pojednania. – Bądź realistą. Rozdrapywanie świeżej rany w twoim wykonaniu to dziecinada. Przekaz Waterfordowi, żeby odpałił założone ładunki...

Aubrey popatrzył na niego z rozszerzonymi i pobielałymi nozdrzami oraz zaciśniętymi wargami. – Dziecinada, co? – powtórzył ironicznie. – A może

cała nasza prowincjonalna, współczesna wersja podchodów jest także dziecinadą?

– Kenneth... – ostrzegł cicho Pyott.

– Czy taką samą dziecinadą, a może przejawem wielkoduszności, było wyrzucanie więźniów z helikopterów po przesłuchaniu w południowo-wschodniej Azji, *pour encourager les autres!*?

– Zamilcz, Kenneth! – rzucił Pyott. – Na pewno poświęcanie ludzi dla kawałka metalu, poświęcanie istnień ludzkich w celu poznania układów awioniki, mozesz nazwać niegodziwością, ale my wszyscy na równi maczaliśmy palce w tej operacji! – Na pobludłej twarzy Pyotta silnie odznaczały się ciemne zakola pod oczami. Aubrey wyglądał na zmieszanego, wręcz zawstydzonego.

– Przepraszam, Charles. Wybacz mi te uwagi – rzekł.

– To było dawno temu i daleko stąd, w innym kraju – odparł Buckholz.

– Dziękuję. – Aubrey odwrócił się szybko w stronę Pyotta. Ten zauważył, że czterogodzinny sen w najmniejszym stopniu nie poprawił złego humoru Aubreya. Był udręczonym, utalentowanym dzieckiem SIS, a niecierpliwość stała się już jego cechą charakteru. Jak każdy nad wiek rozwinięty chłopiec, którego bardzo przypominał, był osamotniony, sfrustrowany, nie tolerancyjny i niezwykle wrażliwy. Kiedy chciał, potrafił odnosić się do ludzi uprzejmie i z opanowaniem. Ale przede wszystkim traktował cały świat jako nagromadzenie przeszkód stojących na drodze do wyznaczonego sobie celu. Aubrey był po prostu zbyt inteligentny.

– Nic nie mówisz, Kenneth, widzę jednak, że znów masz jakiś pomysł – rzekł Pyott, chcąc rozładować nieco atmosferę. – Co tym razem?

– Ja... – Aubrey pomachał dłońmi nad stołem niczym hipnotyzer. – Widziałem tu, w tym kraju, samoloty transportowane po drogach. Miały złożone skrzydła albo w ogóle były bez skrzydeł. Gdybyśmy mogli odciąć skrzydła Firefoxa...

Pyott skinął głową w stronę Amerykanów, by oni udzielili odpowiedzi. Curtin uśmiechnął się nagle i ponownie przyglądał włosy dłonią. – Możliwe, że je widziałeś – odparł. – Nie znajdziesz jednak odpowiednich platform, które mogłyby dojechać tak daleko na północ w fińskiej Laponii i poruszać się wystarczająco szybko o tej porze roku. Poza tym nie ma tam dobrych dróg, zakładając nawet, że znajdziesz właściwy pojazd!

Ściągnięte oblicze Aubreya wyrażało złość i rozczarowanie. – Jasne – mruknął niechętnie.

– Bardziej przydałby ci się helikopter, duży śmigłowiec transportowy – dodał Curtin.

Twarz Aubreya rozpogodziła się.

– Jaki? – Błyskawicznie wyciągnął niewielki notesik w złotej oprawce, położył go obok talerza i zmoczył czubek ołówka o koniec języka. – Błagam, jak się nazywa to wspaniałe urządzenie?

– Potrzebny byłby najnowszy dźwig latający Sikorskiego. Bez trudu potrafi unieść podwieszony dwudziestopięcotonowy ciężar.

– Czy taki helikopter mógłby przetransportować cały samolot?

– Owszem. Wydobycie Firefoxa z jeziora i przewiezenie go do Norwegii zajęłoby nie więcej niż dwie godziny. Jedyne problemy w tym, że nie znajdziemy podobnej maszyny bliżej jak w Niemczech i to daleko na południu, w Wiesbaden.

– Powtórz. Czy on mógłby jednym kursem przetransportować samolot z Finlandii?

– Tak.

– Na Boga, Gene. Chyba zaraziliś się od niego szaleństwem! – oznajmił Buckholz. – Czy widziałeś prognozę pogody dla tamtego obszaru? Miałbyś wiele szczęścia, gdyby w ogóle udało się dolecieć tam dźwigiem, a co mówić o transporcie!

– Obawiam się, że to prawda, Mr Aubrey – przyznał z ociąganiem Curtin.

– Czy śmigłowiec mógłby unieść samolot wprost z jeziora? – nalegał Aubrey.

Curtin przytaknął ruchem głowy. – Wydaje mi się jednak, że lepiej byłoby wyciągnąć wcześniej samolot na ląd. Dźwig miałby wówczas ułatwione zadanie, poza tym warunki atmosferyczne utrudniałyby prawidłowe podwieszenie ładunku. – Patrzył, jak Aubrey błyskawicznie zapisuje wszystko w notesie, po czym dodał, jakby dyktując: – Z meldunku Waterforda wynika, że samolot musiał się stoczyć po stromiźnie dna na dość dużą głębokość. Można by go wyciągnąć tą samą drogą za pomocą lin...

– Chwileczkę – wtrącił Pyott. – Chciałbym, żeby ktoś z Jednostki Umocnień Polowych RAF w Abingdon potwierdził owe hipotetyczne rozważania. Za przeproszeniem kapitana Curtina, potrzebna mi jest opinia eksperta na temat tych spekulacji. – Podniósł się z krzesła, wytarł usta i rzucił serwetkę na stół. – To nie potrwa długo – dodał z radością w głosie.

Gdy zamknął za sobą drzwi, Buckholz oparł się ciężko na stole i głośnym szeptem odezwał do Aubreya: – Wiemy, że mając ludzi i maszyny można by zrobić prawie wszystko, ale co z politykami, Kenneth? Od wczoraj nie nastąpiła

żadna zmiana w stanowisku zajęтым przez Finów. Nawet twój kolega w Helsinkach nie przejawiał entuzjazmu do naszych planów.

- Tak samo odniesie się do Rosjan...
- Nie licz na to – rzucił szybko Buckholz.

Aubrey zignorował go i zwrócił się do Curtina: – Co jeszcze będzie nam potrzebne?

– Zgadzam się z dyrektorem Buckholzem, Mr Aubrey. Potrzebna będzie przede wszystkim zgoda polityków. A jeśli już pan pyta, rozpatrywałem także możliwość rozmontowania samolotu i wywiezienia go w częściach; w przypadku, gdyby nie udało się ściągnąć latającego dźwigu nad jezioro. Można by nawet ukryć części i przetransportować je kiedyś indziej. – Curtin wzruszył ramionami. – A zatem potrzebni będą fachowcy i sprzęt, liny i wyciągarki, palniki do cięcia blach, eksperci lotnictwa i wiele innych rzeczy. A wszystko to na brzegu jeziora, przy zachowaniu ścisłej tajemnicy. Ponadto potrzeba będzie sporo czasu.

– Ile?

– Na całą operację... kilka dni.

– Gant nie wytrzyma tak długo, Kenneth – wtrącił Buckholz, wpatrując się we własne palce rozczapierzone na stole po obu stronach filiżanki z kawą. Nieustannie bębnił nimi o blat bez wyraźnego rytmu. – Gantowi zostało bardzo mało czasu, podobnie jak i nam. – Uniósł oczy w górę i pokręcił głową. – Cała ta rozmowa jest bezcelowa.

– Nie mów tak...

– Muszę, Kenneth. Przyznaję, że to twoja akcja, ty jesteś szefem, w twojej głowie powstał ten zwariowany plan, który prawie się powiódł. Ale tylko prawie. Musimy teraz rozwalić ten przeklęty samolot na kawałki!

Aubrey powstał z krzesła. – Czy tak brzmi twoja wyważona opinia eksperta, Charles? – zapytał.

Buckholz skinął głową. – Tak, właśnie tak.

– A więc pozwalam sobie nie zgodzić się z nią. – Popatrzył na swój talerz, jakby niechętnie rozstawał się z nie dokończonym posiłkiem. – Muszę skontaktować się z Londynem, a właściwie z Helsinkami via Londyn. Wybaczcie, panowie.

Zamknął za sobą drzwi niewielkiej salki jadalnej kasyna. W pokoju, który mu przydzielono, zainstalowano bezpośrednie tajne połączenie telefoniczne z Queen Anne's Gate, z Shelleyem. Ciężkim krokiem pokonywał stopnie schodów, a w głowie wirowało mu od możliwości, jakie otwierał przedstawiony przed chwilą plan. Duma nie pozwalała mu zrezygnować z pragnień. Odczuwał

potrzebę działania, aktywności, organizacji, kierowania akcją. Nie mógł wypuścić samolotu z rąk, nie stać go było na decyzję wysadzenia Firefoxa w powietrze. Ale pojawiło się także poczucie winy, które nie pozwoliło mu zasnąć w czasie krótkiej nocy. Poczucie winy za śmierć Fentona, na którym popełniono brutalne morderstwo nad brzegiem Moskwy po tym, jak przetarł wszystkie ścieżki dla Ganta. Poczucie winy za Pawła Upieńskiego, za Baranowicza, Siemiełowskiego i Kreszyna, za wszystkich, którzy zginęli wypełniając jego rozkazy, których życie potraktował na równi z innymi środkami mającymi doprowadzić do sukcesu operacji. Wszyscy ci dobrzy ludzie, najlepsi ludzie, zapłacili cenę życia.

W takiej sytuacji uważał zniszczenie samolotu, rozrzucenie jego szczątków po dnie jeziora, za jeszcze większe przestępstwo niż posłanie tak wielu ludzi na śmierć. Gant był stracony. Dziwnym sposobem jego poczucie winy nie dotyczyło Amerykanina, obejmowało jedynie tamtych ludzi.

Zamknął drzwi i podszedł do telefonu. Ramiona ciążyły mu, wyginały się ku ziemi, jak gdyby przygniatane ciężarem odpowiedzialności. Czuł, że mógłby uwolnić się od tego ciężaru, gdyby tylko odzyskał Firefoxa; znacznie zmniejszyłyby go, gdyby chociaż spróbował odzyskać samolot.

Wykręcił numer Shelleya.

- Peter?
- Tak, sir. Dzień dobry.
- Co nowego?
- O ile nam wiadomo, jeszcze nie przywieziono Ganta... Przykro mi.
- Połącz mnie natychmiast z Hannim Vitsulą, Peter. Muszę z nim porozmawiać. Będę czekał na połączenie przy aparacie.

Odłożył słuchawkę i potarł dłońmi kolana. Siedząc teraz na krawędzi łóżka mimowolnie przyjął tę samą pozycję jak rankiem, zaraz po przebudzeniu: zgarbił się, skulił, jakby chciał zniknąć. Poczucie winy, a zarazem duma – dwa uczucia zdolne poruszyć góry albo pogrzebać pod tymi górami ludzi.

Dosyć – stwierdził w duchu. Wprostował się, wsunął dłonie do kieszeni. Musiał przygotować się do następnego kroku, do tej rozmowy.

Finowie, a dokładniej Fiński Rządowy Komitet Obrony pod przewodnictwem premiera, wyrazili zgodę na przelot Firefoxa oraz na dalsze, bardzo ograniczone działania na terenie Finlandii. Aubrey został przekonany co do nowych nastrojów panujących w tym kraju, do rządów nowego gabinetu, dlatego zdecydował się skorzystać z fińskiej przestrzeni powietrznej zamiast wysyłać Ganta w długi lot wzdłuż Norwegii do miejsca spotkania z samolotem rejsowym British Airways, lecącym ze Sztokholmu do Londynu. Przelot w sąsiedztwie wielkiej

pasażerskiej maszyny miał zapewnić niewidzialność Firefoxa w detektorach podczerwieni podczas ostatniego etapu, skoku przez Morze Północne. Finowie wyrazili zgodę, gdyż „finlandyzacja” stała się pustym sloganem, obelgą dla rodzącego się na nowo poczucia niezawisłości. A jednak...

Nie wszystko było do końca jasne.

O dezertkach uciekających ze Związku Radzieckiego do Finlandii pisała cała prasa, ale nie odsyłano ich z powrotem za granicę. Mieli zagwarantowany azyl. Liczne projekty przemysłowe, opracowane i realizowane przez Finów w Związku Radzieckim, zostały wstrzymane bądź zawieszono do czasu wynegocjowania korzystniejszych warunków finansowych umów. Wszystko wskazywało na to, że...

A jednak istniały wątpliwości.

Telefon zadzwonił, wyrывая Aubreya z rozważań na temat optymizmu i zaufania. Chwycił słuchawkę.

- Słucham.
- Dyrektor Vitsula na linii – rzekł Shelley, a po chwili rozbrzmiał bardziej odległy głos dyrektora generalnego fińskiego wywiadu.
- Dzień dobry, Kenneth.
- Dzień dobry, Hanni.
- Cóż to za sprawa, którą musimy koniecznie przedyskutować? Twój adiutant stwierdził, że to bardzo pilne. Czy to prawda?
- Obawiam się, że tak.
- Coś się zmieniło od wczorajszego wieczora?
- Nic. Z wyjątkiem naszego stosunku do odkrycia.
- Tak?
- Jakie są aktualne nastroje w waszym Rządowym Komitecie Obrony?
- Utknęliśmy w martwym punkcie. Nie mogę ci przekazać nic bardziej po-ciesającego.
- A w stosunku do Rosjan?
- Sądzę, że komitet ma do nich o wiele więcej pretensji niż do was i Ame-rykanów. Nic nie wiedzą o... waszej małej eskapadzie, a jedynie o przelocie Nimroda, na który zresztą wyrazili zgodę. Mieliśmy tu jednak przeciek infor-macji do gazet.
- Co takiego?
- Dotyczący tylko naruszenia naszej przestrzeni powietrznej przez sowiec-kie myśliwce. Nic więcej. Premier skierował do Moskwy bardzo poważny pro- test w tej sprawie.

– Czy możemy zatem mieć jakąś nadzieję, Hanni? – Aubrey mówił nieco głośniejszym głosem, zdawało mu się bowiem, że głos Fina przycicha w oddali.

– Nadzieję na co?

– Na... – Aubrey zawahał się na krótko – to, o czym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem... o wycieczce na ryby.

– Rozmawiałem z ministrem spraw zagranicznych i z premierem, Kenneth. Obawiam się, że nic z tego.

– Czy oni rozumieją problem?

– Tak, Kenneth, rozumieją. Nie są wrogo nastawieni. Ale... oddziały, pojazdy, helikoptery... Sam pojmujesz, że łatwiej byłoby zignorować sprawę albo zrzucić bombę do jeziora.

– A więc czego chcą? – rzucił rozzłoszczony Aubrey.

Vitsula westchnęła głośno. Zanim nadeszła odpowiedź, Anglik słyszał wyraźnie trzaski i brzęczenia linii telefonicznej. – Wzajemność i dostęp. Te dwa słowa zostały użyte, jak sądzę, tytułem próby – odparł w końcu Vitsula.

– A czy w takim wypadku wyrażą zgodę? – zapytał Aubrey.

– Ja... nie wiem. W każdym razie... zmiękną.

– To dość wysoka cena.

– Wyższa, niż myślisz. Dostęp do najwyższego poziomu, dostęp do kodów, do planów dotyczących Skandynawii.

– Chcesz powiedzieć, że wasz rząd pragnąłby pełnej partnerskiej współpracy z wywiadem NATO pozostając neutralnym? – spytał zaskoczony Aubrey. Przyłożył dłoń do czoła, powoli silnie przeciągnął po nim palcami, jakby zaskoczony odkryciem zmarszczek. – Rozumiem, że to twoja cena.

– Tylko moja propozycja.

– A co w zamian?

– Będziemy trzymali nosy przy ziemi jak trzy pojętne małpy.

– Przez jak długo?

– Tego nie wiem... Ile czasu potrzebujecie?

– Nie umiem określić.

– Zatem zaplanujcie wszystko... Jeszcze jedna rzecz, Kenneth.

– Tak?

– Czy jesteś pewien, czy możesz dać mi słowo, że nasi przyjaciele zza granicy nie wiedzą nic, absolutnie nic, o lokalizacji ich własności? Bardzo mi potrzebne to zapewnienie, Kenneth, zanim będę mógł cokolwiek zdziałać. Czy możesz mi dać słowo?

Przed oczyma Aubreya pojawiła się na chwilę twarz Ganta. Odchrząknął, po czym odpowiedział: – Tak. Mogę cię o tym zapewnić. Nie wiedzą absolutnie nic.

- Dziękuję. Kiedy mogę się spodziewać następnej rozmowy?
- Później. Muszę jeszcze nawiązać kontakt z Londynem i Waszyngtonem.
- Dobrze.
- Cena jest jednak bardzo wysoka.
- Podobnie jak ryzyko.

Młody pułkownik KGB, którego dystynkcje i cały mundur musiały wyjść świeżo spod igły, szybkim krokiem wbiegł po opuszczonej rampie ogonowej niewielkiego samolotu transportowego An-26, jak gdyby spieszył się na spotkanie z ukochaną. Gant spoglądał, jak łomocząc buciorami wpada do wnętrza samolotu, omiatając spojrzeniem szereg składanych siedzeń. Ganta umieszczono na jednym z nich, ręce nadal miał skute przed sobą, po obu stronach siedzieli dwaj strażnicy, a reszta oddziału GRU zajmowała miejsca naprzeciwko.

Młody pułkownik zatrzymał się przed Amerykaninem, oparł dłonie na biodrach, po czym obrzucił go taksującym, uważnym spojrzeniem. W jego oczach zabłyśło coś na podobieństwo podziwu. Po chwili, z niewyraźnym uśmiechem, odwrócił się w stronę oficera dowodzącego oddziałem straży.

- W porządku. On należy już do nas – powiedział.

Jakby na hasło do samolotu zaczęli wsypywać się pracownicy KGB w cywilnych ubraniach. Wraz z nimi wdarł się do wnętrza chłód, przenikając kraciałą wełnianą kurtkę Ganta i wodoodporne spodnie. Potrząsnął głową, chcąc rozbudzić się do końca. Przysypiał w wypełnionych hałasem pojazdach, w otoczeniu strażników. Doskwierał mu głód. Jego podróż niemal dobiegła końca – pomyślał, jakby u jej celu miała czekać gorąca kąpiel i zastawiony stół. Dobrze wiedział, z jakiego powodu jego umysł odcinał się od świata zewnętrznego i zaczął otaczać mirażami.

– Majorze Gant, będzie pan łaskaw pójść z nami – odezwał się pułkownik. Czterech cywilów z KGB stanęło za plecami Ganta.

Podniósł się, z trudem napinając zdrętwiałe mięśnie ud i łydek. Rana po ukąszeniu psa bolała coraz bardziej. Pośród strażników GRU zapanowało odprężenie. W zimnym powietrzu popłynął smugami dym papierosowy. Pułkownik wyciągnął rękę, by go podtrzymać, lecz Amerykanin ze złością odsunął się. Oficer niemal z respektem skinął głową.

Gant ruszył powoli w kierunku pochylni i betonowego pasa startowego. Po obu stronach, blisko niego, wręcz ramię przy ramieniu, poszli dwaj ludzie z

KGB. Ich ubrania zalatywały stęchlizną, wilgocią i dymem z papierosów. Twarze mieli ściągnięte i pobielające od mrozu. Zadrżał, kiedy dmuchnęło mu w oczy mokrym, przemieszanym z deszczem śniegiem.

Oficer wyrósł nagle obok niego, a jeden ze strażników uczynił krok do tyłu.

– Jestem pułkownik Dmitrij Priabin – wyjaśnił tamten, jakby smakując brzmienie własnego stopnia. – To ja pana znalazłem – dodał, wskazując dłonią sznur czarnych limuzyn stojących na płycie lotniska. Gant omiółł szybkim spojrzaniem wojskową bazę lotniczą. Wszystko było tu znajome, z wyjątkiem tyków samolotów i ich oznaczeń.

– Tak? – mruknął. – Znalazł mnie pan?

Dłoń Priabina spoczęła na klamce drzwiczek drugiego w szeregu, największego z samochodów – ziła. Przytaknął ruchem głowy. Twarz rozjaśnił mu chłopiący uśmiech, lecz oczy pozostały ostrożne, badawcze, nieufne. – Prawie na czas – dodał. – Oczywiście figurował pan w naszej kartotece komputerowej. A poza tym pomógł mi przypadek. Tylko o minutę za późno, nie więcej! – zaśmiał się.

– A co spotkało pańskiego szefa? – spytał nagle Gant.

Priabin zmarszczył brwi, lecz szybko rozpozgodził się.

– Niestety, pułkownik Kontarski znalazł się w niełasce. – Popatrzył to w jedną, to w drugą stronę, jakby chciał się upewnić, że jego nowe naramienniki są na miejscu. – Czy może pan jednak wsiąść do samochodu?

– Dokąd jedziemy?

Priabin uśmiechnął się z przyganą. – Ależ, majorze, wie pan o tym równie dobrze, jak ja. Proszę... – Otworzył drzwi i gestem zaprosił Ganta do środka. Amerykanin zanurkował w głąb ziła. Tyłne drzwiczki po drugiej stronie otworzyły się i jeden z ludzi KGB – ten, którego palto cuchnęło stęchlizną i naftaliną – zajął miejsce obok niego. Priabin usiadł z przodu, obok kierowcy. Za Gantem wsunął się drugi z eskortujących go cywilów, śmierdzący podłym tytoniem. Został ściśnięty pośrodku siedzenia. Nie wydobyto jednak żadnej broni. Priabin odwrócił się i wbił wzrok w Amerykanina. Kierowca ruszył w stronę bramy bazy lotniczej. Wartownikom okazano przepustki, po czym cała kawalkada samochodów skręciła na główną drogę prowadzącą do Moskwy.

Dlaczego on nie nosi palta? – mętnie zastanawiał się Gant, kiedy smród naftaliny i stęchlizny zaczął przybierać na sile.

– Skąd wyciągnąłeś to palto, Oleg? – zapytał złośliwie Priabin, marszcząc

nos. – Chyba nie było noszone od wieków. – Gant uśmiechnął się krzywo.

– Syn zabrał moje, zanim wstałem rano – mruknął Oleg. – Wie pan, jaka jest obecna młodzież. Co twoje, to moje, a co moje, to wara. – Z drwiącym uśmieszkiem odrzucił głowę do tyłu.

Na szosie Wołgogradskiej w południe nie było dużego ruchu. Mijali pola uprawne i lasy – płaski monotony krajobraz, do złudzenia przypominający Gantowi jego kraj. Tylko jadący przed nimi czarny samochód oraz dwa inne podążające z tyłu przypominały mu o obecnym statusie i położeniu. Smugi ciężkiego dymu wydobywały się z widocznych w dali ponad lasem kominów, wydzwigniętych wysoko w szare niebo. Mokry śnieg topniał na przedniej szybie wozu, wycieraczki pracowały bezustannie.

– Powinienem kazać ci przejść resztę drogi na piechotę – odezwał się Priabin do Olega, szczerząc zęby. – Może uwolniłoby to nas od smrodu. – Z powrotem zwrócił się w stronę Ganta. – Szkoda mi samolotu – mruknął pojednawczo.

– Pewnie – odparł Gant. – Mnie także szkoda. – Postanowił w duchu ogrywać rolę lakonicznego, prostackiego i bezdusznego więźnia; miał świetną okazję, żeby wypróbować tę postawę przed zbliżającym się przesłuchaniem. – Splotnął – dodał.

– Aha. To znaczy, że pan się katapultował?

– A jakże inaczej, człowieku? Widziałem, jak płonął – dodał energicznie. Przed oczyma stanął mu obraz eksplodującego Phantoma, jaki oglądał w Wietnamie z wyrzuconego z kabiny fotela. Na chwilę przedtem, nim wpadł między korony drzew, a spadochron z gwałtownym szarpnięciem zaczął się o nie i uwięził go ponad ziemią. Nieco później nadciągnął oddział uzbrojonych żołt-ków...

Rytmicznie kiwał głową. Priabin wskazującym palcem potarł górną wargę. – Tak – mruknął. – Na pewno widział pan upadek samolotu... i eksplozję? – Opisał dłońmi kulistą chmurę dymu. Gant z satysfakcją po raz ostatni dobitnie skinął głową. – Co za szkoda. Tyle straconych pieniędzy – rzekł łagodnie Priabin. – Mam nadzieję, że panu uwierzą – dodał szybko.

Oczy Ganta zwężyły się, lecz twarz pozostała bez wyrazu. Za oknem samochodu przesuwano się jakieś miasteczko okręgu podmoskiewskiego – niskie hale fabryczne, kominy, mokre, czarne ulice, przemykający w pośpiechu ludzie. Kobiety w chustkach lub futrzanych czapach, zwykle w czarnych bezpostaciowych paltach, krótkich, obszytych futrem śniegowcach albo kaloszach. Staromodne, biedne... Znów wrażenie czegoś znajomego...

Zatrzymały ich światła skrzyżowania. Poczuł, jak obaj cywile eskorty napięli mięśnie w oczekiwaniu. Odprężył się i odchylił na oparcie siedzenia. Zostawili za sobą miasto moknące w deszczu ze śniegiem. Z prawej strony wynurzył się z chmur samolot pasażerski, zniżając lot w kierunku lotniska Bykowo. W całym otoczeniu nie było nic obcego, z wyjątkiem miasta wyrastającego na wzgórzach przed nimi, niczym gigantyczny tłum zgromadzony w oczekiwaniu na ważne wiadomości. Cztery dni temu, kiedy wjeżdżał do Moskwy od północnego zachodu, z lotniska Szeremietiewo, nie zwrócił uwagi na wzgórze. Z tej strony przypominało miasta we Włoszech – cel wakacyjnej wyprawy, nieoczekiwanie przeniesiony w wilgotny, chłodny klimat północy.

Zrezygnował z porównywania tego miasta z innymi. Dla niego Moskwa miała się ograniczyć jedynie do ulicy Dzierżyńskiego i więzienia na Łubiance, skrytego za okazałą fasadą budynku KGB. Przejechali pod wiaduktem kolejowym. Mijający ich w górze pociąg sypnał z komina garścią migoczących na tle ciemnego nieba iskier. Trzymał się jeszcze, ale zaczynało mu brakować sił...

Odpychał od siebie przyszłość, lecz ta zaczynała przesączać się przez szczeliny pęknięć w wysokiej tamie, którą zbudował z nieodpowiednich materiałów. Trzymał się jeszcze...

Priabin obrzucił go uważnym, badawczym spojrzeniem. Jechali Prospektem Wołgogradskim w kierunku wewnętrznej obwodnicy – Sadowego Koła. Gant zapatrzył się na kuliste kopuły cerkwi i stojący nie opodal gigantyczny, obco wyglądający budynek monastyru. Kiedy daleko w przodzie rozstała się ściana domów, widok mostu na rzece Moskwie przeniknął go dreszczem. Za monastylem, ledwie widoczny na tle nieba za zasłoną mokrego śniegu, wznosił się most Krasnochołmski. W pamięci Amerykanina odżyły widziane przez łzy, rozmazane światła tego mostu, kiedy Wasilij na siłę odwrócił i przytrzymał mu głowę, natomiast Paweł dokonywał masakry twarzy Fentona, zmieniając ją w nierozpoznawalną krwawą miazgę.

Spojrzał na Priabina, podążył za jego spojrzeniem w dół i dostrzegł, że drżą mu dłonie. Splótł palce, zacisnął zęby, po czym uniósł wzrok.

– Tak – mruknął posępnym tonem.

Priabin, który także musiał dojrzeć zarysy mostu, rzekł:

– Ta sceneria bardzo głęboko utkwiła w pana pamięci, prawda, majorze? – a następnie wzruszył ramionami i dodał: – To było sprytne; okrutne, ale

sprytnie. Obawiam się jednak, że tamte zdarzenia nie uczynią z pana najpopularniejszego gościa Moskwy.

Plac Tagański. Minęli go szybko, wjeżdżając na lewy pas oddzielony szeroką, żółtą linią, przeznaczony wyłącznie dla pojazdów rządowych. Przed nimi wyrosło skupisko brzydkich betonowych bloków, górujących nad płataniną pokrytych żółtymi stiukami budynków, pomników i kolumnad.

Priabin popatrzył w tę samą stronę. Za oknami ziła przesuwiał się olbrzymi blok mieszkalny. Ulicą spieszyli skuleni, zakutani w palta ludzie. Tylko gdzieś niedługo widać było otwarte parasole. Poza wyglądem budynków był to drugi uderzający, obcy element. Większość przechodniów nosiła na głowach kapelusze bądź chustki, rzadko jednak widywało się parasole. Było to całkowicie obce miasto.

Priabin odwrócił się z powrotem w stronę Ganta. Ten spoglądał poprzez zamazaną smugami wycieraczkę szybę w sfoczone coraz bardziej w kierunku centrum, przypominające zgromadzony tłum miasto. Przecznice stawały się coraz węższe, coraz gęściej rozmieszczone. Z placu Czerwonego do siedziby KGB mieli nie więcej niż dwie minuty jazdy.

– Witamy w Moskwie, majorze Gant – rzekł Priabin, uśmiechając się szeroko.

Tama pękła. Gant nie był już w stanie powstrzymać przeciekającej przyszłości. Zwaliała się na niego falą. Nie mógł pohamować drżenia złożonych na kolanach dłoni, chociaż z całej siły wbijał w nie wzrok i nade wszystko pragnął zapanować nad nimi.

– Według mnie, jest to wyraz przebiegłości Finów – odezwał się Aubrey do Buckholza. Stali przy stole w Centrum Operacyjnym. Jego powierzchnię przecinały żółte, czerwone i zielone przyszpilone tasiemki. Futurystyczny model Firefoxa tkwił ciągle w tym samym miejscu, na jeziorze. Przemknęło mu przez głowę, że w zasadzie powinien zostać umieszczony pod stołem. – Każdy ma swoją cenę, a zwłaszcza rządzące gabinety. Finowie okazali się bardzo przebiegli dyktując swoją cenę. A świadczy to jedynie o tym, iż Hanni Vitsula jest inteligentnym partnerem.

– Pewnie – poświadczył Buckholz.

– Nie chcą, żeby Rosjanie kręcili się po obszarze Finlandii zbierając części swego najściślej tajnego samolotu bojowego. Pomyśl, jak ucierpiałyby w takim przypadku reputacja nowego fińskiego rządu. Z drugiej strony nie mają ochoty zniszczyć go, bowiem musieliby otwarcie przyznać się do tego Rosjanom. Nikt

nie chce angażować się w zawiłe rozgrywki dyplomatyczne. Co zatem robią? Powierzą nam zadanie oczyszczenia ich obory, żądając w dodatku wygórowanej ceny za przywilej wykonania tej roboty! Muszę przyznać, że podziwiam ich za to.

– Podziwiasz? – z ociąganiem zapytał ironicznie Buckholz.

– Właśnie tak, Charles. Och, nie bądź taki skwaszony. Przypuszczam, że w efekcie będziemy musieli udostępnić im niewiele więcej, niż udostępnialiśmy do tej pory. Chyba równie dobrze zdajesz sobie z tego sprawę. Cóż więc gnębi cię tak bardzo? Czyżby fakt, że wasz prezydent pod naciskiem Dowództwa Sztabu, całego Pentagonu, NSA i twego własnego dyrektora wydał rozkaz uratowania samolotu za wszelką cenę?

Radosny uśmiech Aubreya irytował Amerykanina, wręcz doprowadzał go do pasji. Waszyngton w istocie wydał konkretne rozkazy, nakreślając nawet kierunki prowadzenia akcji. Zmusił także Londyn do wyrażenia zgody, do udostępnienia odpowiednich ludzi, sprzętu i materiałów. Buckholz był wściekły na Aubreya za to, że ogarnięty nienasyconą żądzą sukcesu z taką radością powitał rozwiązanie zaproponowane przez Komitet Kryzysowy prezydenta. Po całonocnych dyskusjach i wykonanych rankiem komputerowych symulacjach możliwego rozwoju wydarzeń, Biały Dom poparł stanowisko Aubreya. Należało podjąć działania i nakłonić Finów do zaakceptowania ich.

Charles Buckholz miał wrażenie, że wyszedł na głupca, ograniczonego defetystę. Aubrey siłą narzucał mu swój punkt widzenia, skutkiem czego odczuwał do niego coraz silniejszą niechęć. Nie mniejszą niechęcią darzył Pyotta, który właśnie wkroczył do Centrum Operacyjnego, tym razem w ciemnym garniturze zamiast munduru, trzymając w dłoni plik dokumentów. Jak flagą pomachał nimi nad głową, po czym podszedł do nich.

– I co? – zapytał szybko Aubrey. Pyott jakby stremował się nieco na widok ściągniętej, posępnej twarzy i miotających błyski oczu Buckholza. – Ach, nie przejmuj się Charlesem – wtrącił Aubrey. – Jest w złym humorze, ponieważ dziś rano prezydent zignorował jego jeremiadę – dodał, odwracając się w stronę Pyotta. – Czyżbyś dostał z Abingdon listę potrzebnych rzeczy?

– Tak, właśnie.

– To świetnie. A co na to JIC i Dowództwo Sztabu, że nie Wspomnę Andrew Greshama, naszego wspaniałego szefa?

– Skwaszeni – stwierdził lakonicznie Pyott, z rozbawieniem spoglądając na Buckholza. – A przynajmniej Gresham i reszta Komitetu Obrony, który musiał

ugiąć się pod naciskiem prezydenta. Rzecz jasna, z wielkimi oporami. JIC stara się zachować neutralność, a Sztab gotów jest zapłacić każdą cenę za pomoc w przeprowadzeniu akcji!

Aubrey uśmiechnął się szeroko i gwałtownie sięgnął po kartki, jakby chciał je wyrwać z dłoni Pyotta. Ten wręczył mu je, po czym przyglądał wąsy. Gestem samozadowolenia – stwierdził w duchu Buckholz.

– Jesteście jak duże dzieci – zauważył na głos.

– Charles – syknął Pyott. – Nie wracajmy do tego więcej.

– To nie jest zabawa, a tym bardziej wasze stare, imperialne podchody, Giles – rzekł ociężale Amerykanin, opierając się zaciśniętymi pięściami na stole; sprawiał wrażenie zaleknionego, zbyt ostrożnego, ale należało traktować go z całą powagą. – W wydaniu Kennetha to nic innego jak dziecięce wyobrażenia o Bożym Narodzeniu – powiedział. – A ty mu wtórujesz. – Z uwagą przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą. – Prezydent ani przez chwilę nie wspomniał o Gancie, prawda? Do cholery, nie poświęcił mu ani słowa! – Buckholz wyrzucił ramiona wysoko w górę, chcąc podkreślić znaczenie tych słów. – Powiedzieć wam, jak to wyglądało? Stał przed jednym z okien w zielonych ramach w Owalnym Gabinetcie, położył dłoń na sercu, po czym rzekł do Dowództwa Sztabu i zgromadzonych tłumów, że Mitchell Gant to prawdziwy Amerykanin i nigdy nie powie nawet słowa tym przekłętym Ruskom! – Pyott spuścił wzrok i zaczął błędzić nim po stole, jakby szukał czegoś. Aubrey także sprawiał wrażenie zmieszanego. – Nie macie żadnych szans, nawet cienia szansy. Dorwali go w swoje łapy i zrobią wszystko, żeby wyznał prawdę. Jeśli nie dziś, to jutro, a nawet gdyby ten biedny bękart okazał się wyjątkowo odporny, to najdalej pojutrze musi im powiedzieć: zajrzyjcie w głąb jeziora, towarzysze, on tam jest. Zakładając więc, że wytrzyma przez dwa dni, może nawet zdążycie wyciągnąć samolot na brzeg, zanim przybędą Rosjanie. Nie będą w ogóle musieli nurkować!

Buckholz po raz ostatni obrzucił ich spojrzeniem, po czym obrócił się na pięcie i energicznym krokiem ruszył przez salę w stronę drzwi. Z hukiem zatrzasnął je za sobą.

Aubrey zapatrzył się na stół mapowy, gdzie kolorowe wstążki oznaczały trasy przelotów, typy samolotów, czas osiągnięcia celu oraz rejony desantowe. W prawej dłoni ścisnął kurczowo plik dokumentów, jakby całkowicie o nich zapomniał. Starł się uspokoić, oddychając ciężko przez nos. Jakże bliska zdawała się Finlandia na mapie. Kolorowe tasiemki wiodły ku niej zarówno z Wielkiej

Brytanii, jak i z Norwegii. Czarny model Firefoxa tkwił nieruchomo na zakropkowanej plamce jeziora. Trzymane w dłoni dokumenty stanowiły podstawę do rozpoczęcia działań, zawierały scenariusz akcji.

Ale Buckholz miał rację.

Wzdrygnął się na dźwięk telefonu. Spojrzał na Pyotta dzikim wzrokiem. Ten ruszył przez pokój w kierunku pulpitu, na którym stał aparat tajnej linii telefonicznej.

– Słucham – rzekł, po czym niemal natychmiast, jak gdyby z obrzydzeniem wyciągnął słuchawkę w kierunku Aubreya. – To Shelley – powiedział.

– Słucham, Peter – rzucił rozzłoszczony Aubrey. – Tak... Tak... Rozumiem. To pewna wiadomość, oczywiście... Bardzo dobrze. Muszą go trzymać pod ścisłym nadzorem, nie mogą przecieżyć... Tak, Peter, dziękuję. – Energicznie odłożył słuchawkę. Pyott, jakby w odpowiedzi na miotające błyski spojrzenie Aubreya, z furią potarł wąsy zakrzywionym palcem wskazującym. – Przywieźli go – oznajmił Aubrey grobowym głosem, który w innych okolicznościach zabrzmiałby wręcz komicznie. – Prawie godzinę temu przywieziono go do Moskwy. – Rzucił szybkie spojrzenie na wielki zegar wiszący na ścianie. Zdawało się, że w martwej ciszy podziemnego Centrum Operacyjnego wyraźnie rozbrzmiewa jego tykanie. – Niech to szlag! – krzyknął, uderzając pięścią w pulpit telefoniczny. – Niech to szlag! Zaczęło się już!

Zaprowadzono go prosto do gabinetu Andropowa. Brukowany dziedziniec na tyłach głównego budynku, pokryty topniejącym śniegiem, sprawiał ponure wrażenie, tchnął lodowatym chłodem. Kiedy wyprowadzono go z samochodu, przelotnie rzucił okiem na stare mury więzienia na Łubiance. Gabinet przewodniczącego KGB stanowił przeciwieństwo całego otoczenia. Ciepły, bogato umeblowany, z haftowanymi sofami i orientalnymi dywanami, ścianami wyłożonymi boazerią i wysokimi oknami wychodzącymi na plac Dzierżyńskiego i Prospekt Marksa. Zaproponowano mu drinka – burbona, którego nie lubił, lecz który w ocenie Rosjan musiał odpowiadać jego gustom. Trunek spłynął ogniem przez przelyk do żołądka, ale owe odczucia, po przenikliwym chłodzie brukowanego dziedzińca, przyniosły mu odrobinę zadowolenia.

Andropow spoglądał na niego zza olbrzymiego, bogato rzeźbionego francuskiego biurka. W wyrazie jego twarzy nie było wrogości, a jedynie głębokie zaciekawienie. Obok niego stał wysoki, umundurowany mężczyzna, którego

ciemna sylwetka ostro rysowała się na tle nienaturalnie białych firanek. Nawet w półmroku widać było intensywny blask bijący z jego oczu. Gant siedział w delikatnym fotelu, wręcz antyku, pokrytym haftowanym jedwabiem, trzymając w dłoni szklaneczkę z alkoholem. Za fotelem stanął Priabin. W pokoju nie było nikogo więcej, ale iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa, które z początku wzbudziło w nim tak nieliczne grono, szybko zniknęło. Charakter i wielkość tego gabinetu, cisza pełna wyczekiwania, ciężkie meble, przenikliwe spojrzenie generała lotnictwa oraz cierpliwość i bezgraniczne zaciekawienie bijące z twarzy Andropowa zaczęły działać mu na nerwy.

Władimirow stojący obok fotela Andropowa zaczął odczuwać narastający bolesny skurcz w lewej łydce. Świadomość napiętych mięśni, odzwierciedlających stan jego uczuć i myśli, uzmysłowiła mu, że tkwił w bezruchu od chwili, kiedy wprowadzono do gabinetu Ganta. Po nocy spędzonej we własnym łóżku, śniadaniu zjedzonym wraz z żoną i przeczytaniu listu od jedynego syna, informującego o awansie na stanowisko wicedyrektora elektrowni w Swierdłowsku, zrozumiał, że nienawidzi Ganta. Stwierdził w duchu, że jest to po prostu opóźniona reakcja na stres. Podobne emocje zaczęły w nim narastać już w trakcie podróży samochodem rządowym z jego mieszkania do centrum. Uświadamiał sobie narastającą nienawiść, mimo iż pogrążony był we wspomnieniach o synu – o jego złych wynikach w nauce, o znajomościach, jakie trzeba było wykorzystać, by dostał się na politechnikę, wreszcie o niechęci syna do wojska i wyborze kariery inżyniera elektryka. W gabinecie Andropowa, kiedy zamieniwszy ledwie kilka nieznaczących słów usiedli przy kawie, jako że przewodniczący nie mógł zaproponować nic mocniejszego, owo uczucie zaczęło przybierać na sile. Kiedy zaś przyprowadzono Amerykanina – zmęczonego, zdezorientowanego i przestraszonego – miał już niezbitą pewność, że go nienawidzi. Nie odczuwał ani uznania, ani współczucia, nie potrafił zdobyć się na obiektywizm...

Gant prawie doprowadził do jego klęski, niemal zrujnował go. Niewiele zabrakło, by go przechytrzył. Zniszczył drugi prototyp i ukrył gdzieś ten, który skradł. Teraz musiał za to wszystko zapłacić.

W końcu Andropow odchrząknął cicho, przyglądził jedwabny krawat, po czym odezwał się: – Major Gant... major Mitchell Gant – uśmiechnął się krzywo. – Poprosiliśmy, aby przybył pan dziś do nas i powiedział, co zrobił z prototypem Miga-31 wykradzionym wczoraj wczesnym rankiem z tajnego kompleksu w Biljarsku. Co pan ma do powiedzenia? – Jego łagodny, jedwabisty głos

miał podkreślać ironię wypowiedzi. Priabin wyczuł bez trudu, że nie był to normalny dla niego ton, widocznie rzadko go używał.

– Ekspłodował. Mówiłem mu – odparł lakonicznie Gant, wskazując za siebie na Priabina. Andropow spojrział szybko na oblicze młodego pułkownika, po czym znów zwrócił się do Ganta.

– Rozumiem. Pan, oczywiście, katapultował się? – Gant skinął głową. – Gdzie to było? Czy mógłby pan nam opisać przebieg wydarzeń? Generał Władimirow bardzo interesuje się losami tego samolotu, prawda, generale?

– Tak – odparł półgłosem Władimirow. Swobodne, wręcz obelżywe zachowanie Amerykanina i udawana głupota rozzłościły go jeszcze bardziej. Nawet w tej sytuacji miał zamiar bawić się z nimi w kotka i myszkę.

Gant pociągnął nosem. – Czy mógłbym dostać jeszcze coś do picia? – prosił, wyciągając przed siebie szklanekę.

– Oczywiście. Pułkowniku...

Priabin sięgnął po butelkę, do połowy napełnił kryształową szklaneczkę, po czym odstawił butelkę z powrotem do ciemnego, inkrustowanego barku stojącego pod ścianą. Wrócił na swoje miejsce za fotelem Ganta. Amerykanin upił nieco, odchrząknął i powiedział:

– Samolot rozpadał się i płonął... – Wietnam, pomyślał. Przypomniał sobie kabinę wypełnioną dymem. – W kabinie było pełno dymu – dodał.

– Co spowodowało uszkodzenia? – wtrącił szybko Władimirow.

– Pociski z działka. Drugi Mig-25 siedział mi na ogonie. Próbowałem się od niego uwolnić, ale brakowało mi już paliwa... Wlecieliśmy do płytkiej doliny, on wynurzył się pierwszy. Pomyślałem wtedy, że mam go... Rzeczywiście trafiłem, ale i on trafił mnie... Pamiętam, że szybko uruchomiłem katapultę... Nie wiem, czy on zdążył... – Popatrzył na Andropowa. Władimirow tkwił obok przewodniczącego niczym olbrzymi, złowieszczy cień.

– Z jakiego powodu zabrakło panu paliwa? – zapytał Władimirow.

– Drugi Firefox. Musiał trafić w przewody paliwowe. Miałem zamiar pokonać całą drogę do Bardufoss lotem ślizgowym, ale wasze Migi-25 przechwyciły mnie w górze. Znalazłem się w pułapce. Nie miałem już paliwa, żeby im uciec.

– Mieli rozkaz zepchnąć pana z powrotem.

– Prawie im się udało. Myślę, że dopisało mi szczęście.

Władimirow milczał przez chwilę.

– Jestem pewien, że pan kłamie, Gant! – wybuchnął nagle.

– Skąd ta pewność, generale? – spytał Andropow, odwracając głowę w stronę Władimirowa.

Generał obszedł biurko i stanął przed fotelem Ganta, który przez chwilę widział jego zaciśniętą kurczowo pięść, lecz Władimirow szybko skrył ją w objęciu lewej dłoni. – Nie ty, na pewno nie ty, Gant – syknął generał. – Całe twoje życie to kupa gnoju. Żyjesz jak pustelnik. Nie umiałbyś przepracować jednego całego dnia, nawet gdyby ktoś dał ci pracę... Nie potrafisz wyswobodzić się z własnego świata, nie umiesz przyznać się do porażki, nawet gdy przegrałeś z kretešem. Dlaczego zatem...? – Władimirow pochylił się, zaglądając wprost w oczy Ganta. – Dlaczego? Przypominasz, majorze, niechlujnie owiniętą papierem paczkę. Trzymasz się kupy tylko dzięki wybujałemu egotyzmowi. Ty naprawdę wierzysz, że jesteś najlepszym pilotem na całym świecie, nie ma lepszego od ciebie. Ale nigdy nie zaznasz szczęścia! Nie ty! Nie potrafisz nawet przyznać się do tego!

Kiedy Władimirow z triumfem w oczach i poczerwieniałą z emocji twarzą odwracał się w stronę Andropowa, Gant odparł szybko: – Jeżeli jestem tak kurwisko mądry, generale, to proszę mi powiedzieć, co mogłem zrobić, żeby pozbyć się samolotu. – Władimirow błyskawicznie odwrócił się ku niemu. – Wasz chłoptaş odstrzelił mi w powietrzu dupę.

– Kłamca! – wrzasnął Władimirow. Jego zaciśnięta pięść wyskoczyła ku twarzy Ganta. Nóżka cennego francuskiego fotela trzasnęła niczym gałązka i Gant stoczył się na dywan. Burbon prysnął, tworząc na wypastowanej podłodze wielką kałużę. Odwrócił głowę. Mętym wzrokiem dostrzegł uniesiony w górę ciężki but Priabina. Przygotował się na kopnięcie.

– Czy naprawdę możemy się z tym uwinąć w cztery dni, Giles? – zapytał Aubrey. Curtin, nad którego harmonogramem właśnie dyskutowali, także popatrzył na oficera.

– Jeżeli ściśle będziemy przestrzegali harmonogramu Curtina, to nawet możliwe, ale tylko i wyłącznie wtedy, kiedy wszystko pójdzie jak w zegarku. Nie licz na to. Chociaż teoretycznie wyliczenie czasu jest prawidłowe.

– Świetnie. Spróbujmy zatem podsumować – rzekł Aubrey, jakby tytułem wstępu do dłuższego wystąpienia. Odsunął na bok talerzyk, lunch podano im bowiem w Centrum Operacyjnym, przykrywając białym obrusem dwa zsunięte składane stoliki. Buckholz nie przyłączył się do nich. Aubrey przez chwilę

jeszcze wpatrywał się w resztki wina w kieliszku, po czym wypił je. – Giles?

– Od strony politycznej jesteście kryci, brak nam tylko kluczowej decyzji Finów. Ich rząd wciąż jeszcze się zastanawia.

– Tak, tak – przerwał mu zniecierpliwiony Aubrey wymachując dłonią, a następnie wstał i natychmiast wsunął ręce głęboko do kieszeni.

Jego profesorskie maniere irytowały Pyotta. Aubrey ruszył powoli wzdłuż stołu mapowego, a Pyott kontynuował:

– Waszyngton i Londyn wyraziły zgodę na podjęcie próby ocalenia samolotu w ramach kontynuacji tego samego tajnego projektu. Oznacza to, że wyprą się nas i zaprzeczą wszystkiemu, jeśli zajdzie potrzeba. Stąd też nadal podlegamy bezpośrednio sekretariatowi premiera, który reprezentuje Numer Dziesiąty, oraz JIC, natomiast Charles poprzez swojego dyrektora Szefowi Sztabu w Białym Domu, a raporty mają trafiać bezpośrednio do prezydenta.

– Bardzo dobrze, w ten sposób mamy rozwiązane ręce. Przejdźmy do sedna sprawy.

– Zarekwirowaliśmy z jednostki RAF w Lyneham jednego Herculesa. Sądzimy, że najlepiej będzie prowadzić akcję z Kirkenes. W Bardufoss jest znacznie lepsze zaplecze techniczne, lecz znajduje się ono zbyt daleko. – Aubrey pochylił się nad stołem mapowym. Pyott spojrzął na Curtina i skinął głową, ten szybko dopił wodę ze szklanki i obaj dołączyli do Aubreya. Anglik wpatrywał się w mapę pożądlivym wzrokiem, niczym współczesny zdobywca. Pyott pomachał dłonią nad stołem jak wprawny kuglarz. – Bardufoss... – rzekł. – Kirkenes... – odchrząknął. – Mamy środki transportu, mamy oddziały do zabezpieczenia terenu, SBS znajduje się już w Kirkenes... Mamy oddział Królewskiej Inżynierii, liny, kołowroty, bloczki, palniki do cięcia blach... czterech inżynierów RAF z odpowiednim sprzętem... Curtin załatwił ten wielki latający dźwиг Sikorskiego, który obecnie tankuje paliwo przed podróżą z... skąd, Gene?

Curtin uśmiechnął się na dźwięk swego imienia, jakby otrzymał przepustkę do ekskluzywnego grona konspiratorów. – Z Niemiec, Giles – uśmiechnął się jeszcze szerzej. Po chwili Pyott skinieniem głowy zaakceptował tę poufalskość. – Musimy jeszcze wyznaczyć odpowiednie punkty tankowania, to maleństwo z pełnymi zbiornikami nie przeleci więcej jak trzysta pięćdziesiąt kilometrów... Potrzebne będą dwa lub nawet trzy miejsca tankowania, zanim pokona całą drogę z Wiesbaden i wytaszczy dupę poza obszar Niemiec. Po drodze jest jeszcze Dania i Szwecja, ale nie przewidujemy problemów z powodu ich neutralności. To jednak kawał drogi, będzie musiał przelecieć całą Szwecję i Laponię,

zanim dotrze nad jezioro... Prognoza pogody jest, niestety, bardzo niepomyślna, Mr Aubrey, wręcz fatalna. – Mina Curtina wyrażała zwątpienie i niepewność, jakby zawstydził się. Aubrey mierzył go wzrokiem.

– Dochodzimy do miejsca – dodał ociężałe Pyott, spoglądając spod oka na Aubreya – gdzie załamywały się i rozsypywały nawet najlepsze plany. Nie mamy żadnego zaplecza, Kenneth. Żadnego planu zastępczego, żadnej drugiej linii. – Wbijął wzrok w Aubreya.

Ten w końcu wzruszył ramionami. Na jego ściągniętej twarzy odmalowała się złość. Po raz kolejny Pyott odniósł wrażenie, że ma przed sobą sfrustrowane, utalentowane dziecko. Aubrey rzeczywiście był wprost niewiarygodnie...

– Nie będzie żadnego planu zastępczego, Giles, żadnej drugiej linii, czy jak byś tego nie nazwał. Jeżeli latający dźwig nie doleci nad jezioro, najlepiej będzie wymontować niektóre z najbardziej żywotnych układów samolotu, a następnie zniszczyć go. Chociażby dlatego nasz plan musi się powieść!

– Zbyt wiele zależy od pogody i śmigłowca transportowego, Kenneth. Gdyby łód był na tyle gruby, żeby wytrzymać ciężar Herculesa... – Energicznym ruchem przyglądał węż. – Nie da rady. Ludzie Waterforda są tego pewni. Nawet gdyby pokrywa lodowa wytrzymała lądowanie Herculesa, nie utrzyma łącznego ciężaru transportowca z rozmontowanym Firefoxem w ładowni.

Aubrey przeniósł wzrok z Pyotta na Curtina, po czym znów na Pyotta. – Wy także rozpatrywaliście tę możliwość? – zapytał z wyraźną ironią. – Już dawno przeanalizowałem meldunki Waterforda i wiem, że nie mamy innej możliwości niż śmigłowiec Sikorskiego. On musi tam dotrzeć, a naszym zadaniem jest przygotować wszystko na jego przybycie.

Pyott wzruszył ramionami, rozluźnił się i zwrócił do Curtina:

– A co wam udało się załatwić?

– Zdobyliśmy opinię eksperta na temat samego jeziora, rozmawialiśmy z jednym z waszych profesorów uniwersyteckich...

– Z Gilchristem z Kings – dodał szybko Pyott. – To geolog, świetnie znający tamte tereny.

– Co powiedział?

– Stwierdził na podstawie zdjęć, że jeżeli chcemy cokolwiek wyciągać z jeziora, będziemy musieli wyciąć trochę drzew. Wyraźnie wskazuje na to szczegółowy raport Brooke'a dotyczący głębokości jeziora i nachylenia dna.

– Wyrąb lasu... To z łatwością można dostrzec z powietrza.

- Owszem. Nie sądzę, by wyrąb uszedł uwadze obserwatorów...
- Ile przelotów? – zapytał Aubrey.
- Całą grupę, trzydziestu do czterdziestu ludzi, włączając oddział SBS, można zrzucić nad jezioro jednym przelotem. Tych, którzy nie potrafią skakać ze spadochronem, będziemy musieli przewieźć śmigłowcami. Sprzęt można zrzucić przy drugim przelocie. Na szczęście, większość potrzebnych nam rzeczy znajduje się już w Bardufoss.
- Kiedy? – rzucił Aubrey.
- Jeżeli uzyskamy zgodę Finów, jeśli wszystkie naciski skłonią ich wreszcie do podjęcia decyzji, dziś wieczorem.
- Muszę w takim razie porozmawiać z Hannim Vitsulą – oświadczył Aubrey. Raz jeszcze szybkim spojrzeniem ogarnął stół mapowy, po czym ruszył ku pulpitowi z telefonami. Kiedy tylko oddalił się, Pyott i Curtin, pochyleni nad stołem, zaczęli rozmawiać półgłosem. Aubrey wykręcił numer Queen Anne's Gate, następnie numer wewnętrzny Shelleya i po krótkiej chwili oczekiwania przedstawił się szybko.
- Peter, połącz mnie natychmiast z Helsinkami... Co? Nie, nic... Rozumiem. Tak, Peter, wiem, że to ważne, mnie również to niepokoi, proszę cię jednak, byś jak najszybciej połączył mnie z dyrektorem Vitsulą! – Aubrey zdał sobie sprawę, że Pyott i Curtin przyglądają mu się. Pomiędzy nimi dostrzegł model Firefoxa na stole, jak gdyby specjalnie rozstąpili się, by go odsłonić. Na chwilę pociemniało mu przed oczyma, a w miejsce samolociku ujrzął twarz Ganta. W słuchawce rozbrzmiało brzęczenie i trzaski.
- Kenneth? – usłyszał odległy głos Vitsuli.
- Tak, Hanni. Czy dobrze mnie słyszysz? – Było to śmieszne, absurdalne pytanie, klójące się z wielobarwnymi tasiemkami, z załadowanym samolotem transportowym Hercules i z wielkim śmigłowcem Sikorskiego, który zapewne pokonał już kilkaset kilometrów trasy wiodącej na północ.
- Świetnie, Kenneth. Właśnie miałem do ciebie dzwonić.
- Masz coś nowego? – Pyott i Curtin natychmiast przerwali rozmowę i zapatrzili się na Aubreya. – Mam nadzieję, że to dobre nowiny.
- Tylko my dwaj będziemy mogli komunikować się ze sobą.
- Rozumiem. Chcieliśmy zaproponować wam to samo.
- Znakomicie. Mogę więc przekazać wam jako odpowiedź: tak z zastrzeżeniami.
- Z zastrzeżeniami? Jakimi?
- Został wyznaczony limit czasu.

- Według naszych szacunków potrzebujemy co najmniej czterech dni...
- Przykro mi, ale to za długo. Zostałem upoważniony do zaproponowania wam najwyżej czterdziestu ośmiu godzin. Bez odwołania.
- Czterdzieści osiem godzin? To niemożliwe.
- Jednakże tylko tyle możemy wam ofiarować. Po upływie dwóch dni cały tamten teren otoczą fińskie oddziały i poinformujemy Związek Radziecki o dokładnej lokalizacji ich samolotu. Sądzę, że mój rząd dostrzeże pewne atuty polityczne takiego rozwiązania.
- Ale to niemożliwe, Hanni – Aubrey niemal jęknął błagalnym tonem.
- Cóż, tylko tyle możemy. Spróbujcie nakreślić bardziej zwięzły plan...
- Czterdzieści osiem godzin... od kiedy?
- Odliczanie już się rozpoczęło. Od dzisiejszego południa, czasu GMT, oczywiście. Zostało wam już mniej niż czterdzieści osiem godzin, Kenneth.

Nie było drugiego ciosu. Nie dostał kopniaka. Leżał bez ruchu niemal przez minutę, wpatrując się w wysychającą białą plamę wilgoci wokół czubków butów Priabina. Wreszcie młody pułkownik pomógł mu podnieść się na nogi. Władimirow przez dłuższy czas spoglądał przez firanki na widoczny w dole plac. W końcu Andropow rozkazał przynieść mapę. Sekretarz rozłożył ją na blacie wielkiego, rzeźbionego biurka i wyszedł szybko. Gant siedział na twardej krześle i czekał. Połamany delikatny francuski fotel wyniesiono z gabinetu.

Andropow wstał i szeptem przemówił do stojącego przy oknie Władimirowa – generał przez cały czas oblizywał poranione dłonie – po czym usiadł z powrotem. Władimirow powoli odwrócił się w stronę pokoju. Kiedy przez chwilę Gant ujrzał jego profil w pełnym oświetleniu, zauważył, że nagły wybuch w najmniejszym stopniu nie uspokoił generała. Zaczął się zastanawiać, czy jest on najbardziej niebezpiecznym, czy tylko najbardziej porywczym spośród zgromadzonych tu wrogów.

– Majorze Gant – zaczął Andropow, wyciągając zakrzywiony palec w kierunku Amerykanina. – W pańskiej relacji są pewne sprzeczności. Czy mógłby pan pokazać nam to miejsce na mapie?

Gant podniósł się ociężale i podszedł do biurka. Miał przed sobą szczegółową mapę północnej Finlandii i Norwegii, obejmującą także Półwysep Kolski,

należący do Związku Radzieckiego. Zrolowana mapa przyciśnięta była do biurka złotym kałamarzem oraz wielkim przyciskiem do papierów, wykonanym prawdopodobnie z nefrytu.

– Generale Władimirow – rozkazał łagodnym głosem Andropow. – Chciał pan zadać majorowi kilka pytań.

– Tak – odparł spięty Władimirow. Został po przeciwnej stronie biurka. Jego długi palec wskazujący zaczął skakać po mapie niczym badająca teren laska niewidomego. Gant przelotnie spojrzął na jezioro i szybko przesunął wzrok. – Gdzie został zniszczony Mig-25?

Gant zawahał się, nadal odliczając długie sekundy milczenia od chwili, kiedy Priabin pomógł mu wstać. Każda sekunda ciszy była ważna. Nie wiedział dlaczego. Po prostu odwlekała...

– Tutaj, o ile dobrze pamiętam – rzekł w końcu.

Władimirow postukał palcem w mapę. – Zgadza się. Właśnie tu znajduje się ta płytko kotlina, którą pan opisywał. Tu, w tym miejscu, leżą szczątki samolotu...

Gant skinął głową. Władimirow milczał. Rytmicznie uderzał palcem w to jedno miejsce na mapie. Gant spojrzął mu w twarz. Jego oczy błyszczały. Generał ledwie trzymał się w ryzach. Inteligentne oblicze emanowało podejrzliwością. Ten człowiek był chyba jego największym wrogiem spośród tu obecnych. Możliwe, że zarazem najprzebieglejszym, z pewnością posiadał największe doświadczenie...

– A więc? – odezwał się pewnie Gant. Generał zacisnął wargi. – Szczątki? Mówiłem już przecież.

– Dziwne jednakże, że nasze fotografie rekonesansowe, które były badane przez ekspertów, nie ukazują szczątków Miga-31. Jak mógłby pan to wyjaśnić, majorze?

Myśl, myśl...

– Och, z pewnością muszą być gdzieś w okolicy. – Usiłując panować nad wyrazem swej twarzy wyprostował się i spojrzął na Władimirowa. – Kiedy uruchomiłem katapultę, samolot płonął. Zostałem wyrzucony z fotela, później zaś widziałem eksplozję... Nie mam pojęcia, gdzie to mogło być.

– A pan wylądował...?

– Myślę, że nie dalej niż dwa kilometry od miejsca upadku Miga-25.

– Wynika stąd, że gdzieś w promieniu, powiedzmy, piętnastu kilometrów od tego punktu powinniśmy znaleźć szczątki Miga-31.

– Na pewno nie dalej. Trwało to zaledwie kilka sekund, może dziesięć. Samolot tracił szybkość, a potem dostrzegłem eksplozję... – Skinął głową, a w

jego pamięci odżyła owa chwila zawieszenia, kiedy płonący Phantom wystrzelił spod niego, on zaś obrócił się raz i drugi, zanim spadochron oddzielił go od fotela, a wówczas dostrzegł eksplozję Phantoma, jaskrawą, pomarańczową kulę płomieni... Tak, o to chodziło. Należało utrwalić tę scenę. Na szczęście, fotografie z rekoniesansu obejmowały niewielki wycinek terenu. Czas, czas...

– Rozumiem – mruknął Władimirow i delikatnie postukał palcem w usta, czemu towarzyszył cichy mlaszczący dźwięk górnej wargi uderzającej o zęby. Po chwili schylił się do interkomu Andropowa i rzucił pospiesznie: – Proszę przynieść znalezisko.

Jeden z siedzących w sekretariacie adiutantów Andropowa wniósł do gabinetu coś, co wyglądało jak niewielki plecak, po czym szybko wycofał się, odprawiony ruchem dłoni. Gant zerknął na uśmiechniętego Andropowa i przeniósł wzrok na Władimirowa. Ten poruszał wargami, jakby przeżuwał jakiś zimny, niestrawny kąsek. Wreszcie Gant rzucił okiem na plecak. Priabin pochylił się, podniósł go z podłogi i promiennie uśmiechnięty przyniósł pakunek w pobliżu biurka, po czym rzucił pod nogi Ganta.

– Przypuszczam, że to pański spadochron – oznajmił Andropow.

– Nie...!

– Nie sądzę, by wiele tego typu nie używanych pakunków leżało w śniegu w fińskiej Laponii. Jeśli mam być szczery, dziwiłbym się bardzo, gdybyśmy znaleźli tam drugi... Szkoda. Zaczynałem wierzyć w pańską opowieść. Tyle że wiedziałem o znalezisku, rzecz jasna.

Gant pochylił się nad biurkiem. – Ludzie, to nie jest mój spadochron! Samolot eksplodował zaraz po tym, jak się katapultowałem. Zakopałem mój spadochron tam, gdzie wylądowałem. A gdzie znaleźliście ten?

– Dokładnie tam, gdzie go pan zakopał. W niewielkiej odległości od wioski, w której pożyczył pan te ubrania... zresztą z daleka śmierdzące Lapończykami. Gnojem, tłuszczem i potem...

– To jest mój spadochron! – krzyknął Gant.

– Twój, Gant – warknął Władimirow. – Wylądowałeś gdzieś tym samolotem. Gdzie to było? Gdzie jest samolot?

– Nie...

Andropow wduśił przycisk interkomu. Niemal w tej samej chwili dwóch osobistych strażników o szerokich barach i muskularnych ramionach wkroczyło do gabinetu. Gant spojrział na nich i sprężył się, odliczając ostatnie sekundy spokoju. Teraz już znał powód odliczania sekund. Chciał wiedzieć, ile czasu minie, zanim się to zacznie, zanim pogrąży się w bólu.

Zacisnął pięści. Priabin położył dłoń na kaburze pistoletu. Dwóch osiłków zbliżało się powoli ku niemu, zupełnie jakby płynęli ponad dywanem. Byli już przy nim... napiął wszystkie mięśnie...

Brzuch, szczeka, plecy, głowa, nogi, bok...

Kiedy upadł, stanęli nad nim i zaczęli kopać. Otrzymał kilkanaście ciosów, zanim rozciągnął się jak długi na podłodze, a każde trafione miejsce odzywało się wścieklą falą bólu. To była robota fachowców. Ciosy spadały z oszałamiającą szybkością i były przeraźliwie skuteczne. Czuł się sparalizowany, niezdolny do najmniejszego poruszenia, ledwie potrafił z charczeniem wciągać powietrze.

Dźwignięto go w górę, na nogi. Znowu stracił oddech. Bezwładnie zwisał w objęciach. Uścisk ich dłoni na jego ramionach i pod pachami także wywoływał ból. Powoli uniósł głowę i spojrzał na uśmiechniętego Andropowa. Przed jego twarzą, przy nosie, pojawiła się biała chusteczka, jakby mieli zamiar go udusić. Zwisiała jednak luźno. Miała tylko zapobiec zachlapaniu dywanu i biurka krwią.

– Czy on wie, Władimirow? – usłyszał ciche pytanie przewodniczącego KGB.

Władimirow sprawiał wrażenie rozczarowanego zakończeniem bicia. – Tak, wie – odparł. – Wie dokładnie. Tylko on to wie.

– Świetnie. Trzeba więc jak najszybciej z tym skończyć... – Gant poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, a całe ciało przenika dreszcz rozprzestrzeniającego się, nieznośnego bólu. Andropow schylił się do interkomu i warknął: – Przygotować zespół na przyjęcie ważnego gościa! – po czym z niesmakiem popatrzył na Ganta, widocznie brzydząc się plam krwi na białej chusteczce. Ruchem głowy wskazał drzwi. – Zabierzcie go do zespołu. Mają go przygotować do przesłuchania... w ciągu godziny!

Ganta odwrócono i pociągnięto w stronę drzwi. Kiedy mijali młodego pułkownika, dostrzegł smutny, pobłaźliwy, pełen zadufania uśmiech Priabina. Powiesz im wszystko – zdawał się oznajmiać ten uśmiech. To przykre, ale będziesz musiał powiedzieć.

– To niemożliwe, Kenneth! W ciągu czterdziestu ośmiu godzin jest to całkowicie, absolutnie niewykonalne! Proszę, uwierz mi na słowo. – Pyott smutno potrzęsł głową.

– A gdybyśmy wyruszyli jeszcze dziś wieczorem...? – nalegał Aubrey.

Pyott wymownie pokręcił głową. – Niemożliwe. Możemy być na miejscu dopiero jutro rano. Ale nie dotrą tam ani śmigłowiec Sikorskiego, ani połowa

potrzebnego sprzętu. Tym sposobem zostanie nam mniej niż doba na wydobycie samolotu i przetransportowanie go za granicę!

– Giles, nie bądź uparty...

– Ależ, na miłość boską, to ty jesteś uparty, Kenneth...! Tracę cierpliwość przy tobie. Koniec dyskusji. Nie możemy tego dokonać w wyznaczonym czasie. Musimy odrzucić propozycję Finów.

– Pomyśl tylko, że samolot stoi tam, nie uszkodzony. Cel naszych...

– Tak się nieszczęśliwie składa – wtrącił Pyott z wyraźnym sarkazmem – że zostaliśmy wyeliminowani z tego wyścigu.

– Do diabła z tobą, Giles... – sapnął Aubrey, rozglądając się po twarzach Curtina i Buckholza w poszukiwaniu wsparcia. Dyskutowali już niemal od godziny. Krążyli wokół stołu mapowego, spacerowali wzdłuż niego, opierali się na nim ciężko, jak gdyby była to barierka w sądzie, oddzielająca stół sędziowski czy też ławę przysięgłych. Skończyło się zaś poparciem stanowiska Pyotta przez Amerykanów i narastającym rozgoryczeniem Aubreya a.

– Przykro mi, że odbierasz to w ten sposób, Kenneth. Niech cholera weźmie twoje nieznośne zadufanie i twoją dumę. Przecież to leży u podstawy wszystkiego: twój sukces bądź twoja porażka... – Twarz Aubreya pobieliała z wściekłości. Pyott spuścił wzrok i mruknął jakieś słowa przeprosin.

Buckholz spojrział na zegarek. Curtin zakasłał, zaszurał nogami i popatrzył na stół mapowy, gdzie rozstawione modele, żetony, a nawet skrawki papieru z pozaginanymi podstawkami, przypominające armię kartonowych żołnierzyków, oznaczały gotowość do rozpoczęcia akcji. Na zewnątrz, na pasie startowym stał przygotowany samolot transportowy Hercules. Załadowano go sprzętem potrzebnym specjalistom RAF oraz oddziałom wojskowym. Aubrey raz tylko wybiegł na górę, by rzucić na niego okiem, po czym zachwycony tym, co zobaczył, wrócił na dół, w ponurą atmosferę Centrum Operacyjnego.

Buckholz i Curtin milczeli. Pyott także popatrzył na stół mapowy. Jemu przypominało to rozsypane chłopiące zabawki, przywołujące wspomnienia, lecz niewiele mające wspólnego z działalnością dorosłych.

Zadzwoił telefon. Aubrey szybko podszedł do pulpitu i chwycił słuchawkę.

– Tak? – rzucił jednym tchem. – Peter? Co się stało...? Co? Jesteś tego pewien...? Jechali za samochodem i wszystko widzieli...? Nie ma żadnych wątpliwości. Tak, Peter, dziękuję ci. – Powoli, w zamyśleniu odłożył słuchawkę. Nie było się już nad czym zastanawiać, nad czym rozmyślać... Nie miał już żadnych argumentów do przeciwstawienia się opinii Pyotta, że operacja jest niewykonalna... a teraz wydawała się jeszcze mniej realna niż samo porwanie samolotu.

Powiódł uważnym wzrokiem po twarzach mężczyzn.

– I co? – spytał Pyott.

– Co? Co? – warknął Aubrey. – Przewieziono Ganta do budynku KGB na Prospekcie Mira... – zawiesił głos studiując ich reakcje. Zauważył, że bardziej wyczuwali jego nastrój, niż rozumieli znaczenie informacji. – Mieści się tam zespół Instytutu Serbskiego, pracujący dla KGB. Mają zamiar poddać Ganta przesłuchaniu, stosując narkotyki, panowie. Obawiam się, że zostało nam dużo mniej niż czterdzieści osiem godzin... prawdopodobnie nie możemy liczyć na jedną dobę, a pewnie nawet mniej niż dwanaście godzin... – Westchnął, po czym dodał: – Gant nie będzie w stanie zachować tajemnicy. Powie im wszystko!

CZEŚĆ DRUGA

AGENT

*To rzecz nie do wiary,
Żeby osoba, co była dotychczas
Przedmiotem waszych nieustannych pochwał,
...nagle, w mgnieniu oka,
Mogła popełnić coś tak występnego,
Co ją wyzulo z wszelkich łask. Jej wina
Musi zaiste być potwornie wielką
Albo poprzednia wasza czułość dla niej
Była naganną.*

„Król Lir”, I:1

(przekład Józefa Paszkowskiego)

6.

Echa w tunelu

Sen wymagał obecności jego ojca. Ojciec powinien iść Prospektem Mira i być dobrze widoczny z okien przejeżdżającego czarnego samochodu. Gdyby tylko potrafił zmusić go, by poszedł w kierunku północnym, gdyby mógł wyhamować prędkość samochodu do powolnego toczenia się, gdyby, gdyby, gdyby...

Ważne było, żeby utrwalić w pamięci Prospekt Mira. Ważne także, żeby – w krótkich chwilach przerw między ukłuciami igły, między nawrotami omdlenia – zapamiętać owo pomieszczenie. Biała sala zabiegowa, ostro pachnąca środkami antyseptycznymi, gumą i eterem, z metalowym stołem pośrodku i twardymi krzesłami. Bardzo ważne, żeby zapamiętać twarze ludzi...

Wła – di – mi – row...

Sowiecki generał wyglądał teraz dokładnie tak jak jego ojciec, ale Gant pamiętał, kim jest. Białe fartuchy – lekarze... Strażnicy, pielęgniarka, inni, których nie znał. Próbował dojrzeć twarz ojca, lecz do połowy rozebrana, przygarbiona postać zawsze nosiła rysy Władimirowa. Potrafił jednak zmusić go, by poruszał się i rozrzucał spojrzenia na boki dokładnie tak samo jak jego ojciec. Samochód w wyobraźni zwolnił, sunął przy samym krawężniku, a Gant wbijał oczy w twarze mijanych ludzi, przechodzących obojętnie obok pijanego, ospale posuwającego się haniebnymi zakosami ojca. Pielęgniarka, lekarz ze strzykawką, inny lekarz, strażnik, człowiek w garniturze – któż to taki? – Andropow, Priabin – nie, nie...!

Paweł, Baranowicz, Siemielowski, Kreszyn, Fenton – jego twarz jak pomalowana na czerwono bryła ciasta – inne twarze... Gant skupił się. Mógł teraz dostrzec daleko w przodzie, w perspektywie Prospektu Mira, olbrzymi pomnik

kosmonautów, przedstawiający raketę na stożkowatym słupie złotego płomienia, dobrze widoczny na tle ciężkich, zapowiadających śnieżycę chmur. Jego ojciec przypominał mrówkę pełznącą w tamtym kierunku. Samochód skręcił nagle i zaczął toczyć się w ślimaczym tempie tuż za znajomą sylwetką żałośnie powłóczącą nogami. Jego ojciec minął wysoką żelazną bramę i zmierzał w stronę frontowego wejścia wielkiego budynku, oddzielonego od ruchliwej ulicy ciężkimi, grubymi i ciemnymi prętami parkanu.

Ów dom wyglądał, jakby istniał tylko we śnie, był jednak realny. W pamięci odżyły krótkie schodki, otwierane drzwi, strój pielęgniarki, mundury strażników, dwie wstęgi marmurowych schodów. Jego ojciec, jak mu się zdawało, zniknął w którymś z pomieszczeń na parterze. Nie miało to znaczenia. Za każdym razem, kiedy przypominał sobie tę podróż, ojciec pojawiał się na nowo, łącząc urywki wspomnień w jedną całość.

Było ważne, żeby zapamiętać tę podróż. Zapamiętać czarną limuzynę, napięrające na niego z obu stron ciała strażników, zapamiętać Prospekt Mira, ten budynek, schodki, drzwi, marmurową klatkę schodową, kolumny, korytarze, rzeźbione, mniejsze i większe donice, stare meble, biały pokój, jego zapachy, lekarzy, strażników, Władimirowa. Niezwykle ważne, żeby zapamiętać twarde krzesła, więzy wokół kostek nóg i nadgarstków, uklucia igły... uniesiona strzykawka, strumyk bezbarwnej cieczy, szybkie zbliżanie się igły, naciągnięta skóra, uklucie...

We śnie pocił się obficie, wysilając pamięć – ale udało mu się! Pamiętał wszystko, mimo iż nadal trwał w objęciach snu...

Pamiętał wszystkie zdarzenia, a te świadczyły, że jest poddawany przesłuchaniu i znajduje się pod działaniem narkotyków – prawdopodobnie pentotalu sodu, a następnie benzydryny, bądź też innych, stosowanych parami środków. Śnił jeszcze, ale wszyscy czekali, aż pierwszy zastrzyk zacznie działać... był tego pewien. Środek stymulujący powinien go pobudzić, skłonić do powolnego i ospałego, a może wręcz przeciwnie, nadpobudliwego działania. W każdym razie wtedy miało się rozpocząć zadawanie pytań...

A on przecież pamiętał wszystko! Wiedział, gdzie się znajduje, wiedział, z jakiego powodu został tu przywieziony. Wiedział, że będą go wypytywać o... o...

We śnie Ganta pojawiła się panika, zawładnął nim strach, poczuł zimne dreszcze. Nie wolno mu pamiętać powodu, dla którego tu się znalazł!

Nie ma sensu – stwierdził w duchu... A jednak muszę... Nie zachowasz tajemnicy...

Pamiętał wszystko – pamiętał wystarczająco dużo.

Uklucie...?

Poczuł ciarki. Ukłucie? Musiał być ostrożny... coś innego – szybko, coś innego, szybko... przed kolejnym zastrzykiem, zanim popatrzy w dół na strzykawkę, zanim jego skóra zostanie zebrana w małą fałdę, w którą wniknie igła. Coś innego...?

Zegarek, zegarek...

Nie zdjęto mu zegarka. Wbił w niego oczy, lecz te zaraz zamknęły się i nagle otoczyła go ciemność. Stwierdził, że musi zapamiętać czas, spojrzeć na zegarek, kiedy obudzi się ponownie. Czas...

Robiło się jaśniej. Pomruk głosów przebiegał się przez wyśniony szum uliczny na Prospekcie Mira. Wypowiedzi ludzi, dyskusje, spory... oczekiwanie na jego przebudzenie.

Światło – uniesiono mu głowę, odciągnięto powieki, zamazana sylwetka odplynęła w bok, odstaniając źródło jaskrawego światła, które jednak nie raziło w oczy.

Jeszcze jedno ukłucie. Za kilka chwil jego wzrok wyostri się. Lekarze, pielęgniarki, mundury. Biała sala. Zaczyna się – stwierdził w duchu ociężale. Miał wrażenie, że zanurzono go w gęstym, przezroczystym oleju; z najwyższym trudem zbierał myśli. To nie był już sen – sen pokonywał bez trudu, ścigał się z nim. Dość jasno zdawał sobie sprawę, że siedzi zgięty wpool; powieki opadały ociężale, czuł niemalże, z jakim oporem obracają się gałki oczne, kiedy przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą. Dostrzegł skinięcie głowy lekarza, spowolnione, jakby odtwarzane z zatrzymującej się taśmy filmowej.

Pamiętał zegarek. Z przesadną powolnością zwrócił oczy ku niemu. Odczytać czas. Nie było to chyba aż tak ważne. Minęło trzydzieści minut. To nie miało znaczenia. Ojciec na ulicy, długi korytarz na pierwszym piętrze, szereg wysokich rzeźbionych donic... To nie miało znaczenia. Nic się nie liczyło. Był uwięziony we własnym ciele, które pływało w przezroczystym oleju. Popatrzył na otaczające go twarze – tępe, nieruchome, jak ryby w głębinach wód akwariium. Bezmyślnie gapił się na twarze ludzi.

Władimirow obrzucił Ganta uważnym spojrzeniem. Lekarz zapewnił, że Amerykanin jest już przygotowany. Można go było natychmiast poddać przesłuchaniu. Powinien ulegać teraz wszelkim sugestiom. Władimirow napawał się bezradnością Ganta przywiązanego do krzesła, które z kolei było przytwierdzone śrubami do podłogi sali zabiegowej. Jeszcze bardziej od posiniaczonej twarzy, od wargi rozciętej jego ciosem przed oddaniem w ręce dwóch strażników, cieszyła go bezsilność Amerykanina. Czynił zadość swoim pragnieniom okazania

wyższości oraz podbudowania szacunku dla samego siebie. To... stworzenie na krześle, oglupione i zezwierzęcone, nie miało teraz szans, by go pokonać. W rzeczy samej, owo stworzenie na krześle musiało teraz powiedzieć im wszystko...

Gdzie został ukryty Mig-31. Później jego życie mogło mieć jakikolwiek sens tylko do czasu, aż znajdą samolot. Miał zostać umieszczony razem z innymi wyrzutkami znajdującymi się w tym budynku, w Zespole Psychiatrii Sądowej KGB.

Odwrócił się w kierunku wyznaczonego przez Andropowa, ubranego po cywilnemu oficera KGB. On i jego dwaj asystenci byli ekspertami w prowadzeniu przesłuchań z użyciem narkotyków. Większość swych zadań realizowali tu, przy Prospekcie Mira, a szef grupy miał zapewne stopień naukowy w zakresie psychiatrii bądź psychologii klinicznej.

Włodzirow zdusił w sobie pogardę dla tego wysokiego, zwalistego osiłka stojącego obok niego. Przecież tamten wykonywał jedynie rozkazy. Uśmiechnął się, po czym odwrócił w stronę magnetofonu umieszczonego na metalowym stoliku za plecami śledczego. Wijące się po podłodze przewody łączyły magnetofon z głośnikami umieszczonymi po obu stronach głowy Ganta.

– Ta metoda nie została jeszcze dokładnie sprawdzona. Ledwie zdążyłem się z nią zapoznać, towarzyszu generale – odezwał się śledczy.

– Ale zgadzacie się na jej zastosowanie? – spytał szybko Włodzirow. – Towarzyszu pułkowniku doktorze – dodał dla podkreślenia formalności łączącego ich stosunku.

Śledczy skinął głową. – Tak, ale tylko na początku – odparł. – Przypuszczam, że więcej będziemy mieli pożytku z człowieka siedzącego za ścianą. Ta forma indukowanej regresji znajduje zastosowanie tylko w niektórych przypadkach. Możemy ją wykorzystać, żeby go rozgrzać, żeby oswoić z obszarem, który mamy zamiar badać. Ale wcześniej czy później będziemy musieli wywołać pełniejszą regresję, w dodatku samoistną, a nie spowodowaną naciskiem z zewnątrz. – Śledczy uśmiechnął się. – Musimy zasugerować mu uczestnictwo w odprawie po locie, w taki sposób, by on w nie uwierzył. – Włodzirow nie odwzajemnił uśmiechu błędzącego na białych wargach. Tamten przeciągnął dłoń o długich palcach po rzadkich, jasnych włosach, po czym dodał: – Uzyskamy informacje, które uległy zapomnieniu w jego umyśle, towarzyszu generale. Proszę się o to nie martwić. – Owa sztywna, formalna uwaga miała podkreślić autorytet mówcy. Włodzirow nie odpowiedział, tylko w zamyśleniu skinął głową. Tamten popatrzył na Ganta, a po chwili nieznacznym ruchem głowy

dał znak starszemu z dwóch asystentów, który pośpiesznie uruchomił magnetofon. Spoglądał, jak rozbiegówka taśmy nawija się na szpulkę, po czym odezwał do Władimirowa: – Czy on wystarczająco dobrze włada rosyjskim, żeby rozumieć to wszystko?

Władimirow rzucił przelotne spojrzenie na Ganta, jakby chciał się upewnić, że Amerykanin nie podsłuchuje. – Tak, dobrze – odparł.

– Świetnie. Poczekajmy więc na efekty.

Gant usłyszał statyczne, mechanicznie brzmiące głosy oraz trzaski i szumy łączności radiowej. Rozpoznał te głosy, znał je równie dobrze jak swoją przeszłość. Rozmowy między pilotem a kontrolą naziemną w zakresie UHF. Dźwięki zdawały się go otaczać, wypełniać przestrzeń wokół niego, jakby miał na głowie hełmofon – jakby to on był pilotem. Nasłuchiwał, a jego oczy przesuwaly się powoli, ociężałe. Nie mrugał. Chłonał rozmowy, jego świadomość jak gdyby budziła się, rozgrzewała i angażowała w szybkie wymiany zdań. Nasłuchiwał. Głosy otaczały go. Ponownie znajdował się w kabinie Firefoxa.

– Mam go...! Ślad ciepły, wznosi się powoli powyżej osiemnastu tysięcy metrów... muszę trzymać się dokładnie jego ogona, żeby nie wykrył mnie w podczerwieni... – Jakiej podczerwieni? – Muszę jak najszybciej znaleźć się tuż za nim... ciągle wznosi się... dobrze widoczna smuga kondensacyjna... powyżej dwudziestu tysięcy, wznosi się nadal... no, dalej, dalej. Proszę o rozkazy...

– Zniszczyć go – usłyszał Gant.

– Odpalone dwie rakiety... dostrzegł je, Amerykanin zauważył je; zadarł nos w górę, szybkie wznoszenie, teraz zwrot w prawo... przeszły obok... Kontrola w Biljarsku, meldując, że obie rakiety chybiły celu i straciły trop...

Gant wsłuchiwał się. Tu chodziło o niego. Pamiętał przecież opisywane wydarzenia... błyskawiczny unik... To dziwne, nie umiał tego wytłumaczyć. Meldunki po rosyjsku, Mig-31, ale to nie on. Odniósł niezwykle silne, wręcz trudne do opanowania wrażenie, że to on jest pilotem, on składa meldunki... jakimś sposobem miał jednak świadomość, że mówi pilot doświadczalny, lecący drugim prototypem Firefoxa, którego on w końcu zniszczył. W momencie jasności umysłu owa świadomość wzięła wreszcie górę. Ponownie znalazł się w kabinie samolotu.

– Znowu nie trafiłem...! Zaraz, wchodzi w korkociąg, zdaje się, że nie może opanować maszyny... traci wysokość, szybko spada... nurkuję, cały czas trzymam się jego ogona... – Gant uświadomił sobie, że zaczyna coraz szybciej i płycej oddychać, jak gdyby w białym pokoju, którego zarysy ledwie dostrzegł,

zrobiło się nagle gorąco i duszno. Krew łomotała w skroniach, słyszał, jak serce przyspiesza puls. Pocił się. – Siedzę mu na ogonie; nie może wyjść z korkociągu; zaraz runie do morza, nie jest w stanie opanować maszyny...! – Gant jęknął, wsłuchując się w dobiegające z daleka odgłosy. – Tylko dziewięć tysięcy metrów, spada jak kamień; wysunął podwozie... zaraz, chyba opanował samolot, zaledwie sześć tysięcy metrów... wyrównuje, odzyskał kontrolę nad maszyną... cały czas siedzę mu na ogonie... – Gant jęczał coraz głośniejsze, poruszał uwiązanymi dłońmi i stopami, powoli kiwał głową, to w przód, to w tył, niczym ranne zwierzę. Jakby chciał protestować, powtarzać: nie, nie, nie; powtarzać bez końca, ale coś go powstrzymywało. Znał zakończenie tej historii, finał wydarzeń. Wiedział, jaki los go czeka, kiedy podążył tuż za Amerykaninem; nurkował za nim i wyrównywał lot ponad zimnymi wodami Morza Arktycznego. Wiedział!

– Ostrożnie, ostrożnie... siedzę mu na ogonie... ostrożnie... on nie robi nic, chyba zrezygnował... nic, został pokonany i wie o tym... Mam już... – W chwili przebłysku świadomości Gant świetnie wyczuł zmianę tonu tamtego, w miejsce ekscytacji pojawiło się przerażenie. Wiedział, co się wydarzy... Dostrzegął przed sobą drugiego Firefoxa, znał zamierzenia Amerykanina, zdawał sobie sprawę, że tamten się nie poddał... – O Boże...!

Gant wrzasnął te same słowa, po czym jego głowa zwiśla na piersi, jakby stracił przytomność. Taśma przesuwiała się dalej, ale z głośnika dobiegał jedynie szum. Trecow nie żył. Władimirow spoglądał na Ganta niemal z nabożnym szacunkiem. Stopień, w jakim Amerykanin zidentyfikował się z nieżyjącym Trecowem, przeniknął go dreszczem. W niesamowity sposób Gant odgrywał rolę Trecowa, zachowywał się dokładnie tak samo – pędził za Firefoxem w celu wykonania wyroku, po czym zginął sam. Teraz osłabł, był już nikim, a w każdym razie nie miało sensu sugerować mu cokolwiek. Prawdopodobnie nie umiałby w tej chwili utożsamić się z kimkolwiek, nie byłby podatny na sugestie...

– Może nie jest to dokładnie taki efekt, o jaki chodziło – mruknął oficer śledczy za jego plecami – lecz z tego, co o nim wiemy, taka reakcja ma dla nas również dobre strony.

– Jakie?

– Zmaga się z własnymi koszmarami, ma syndrom opóźnionej reakcji na stres. Sądzę, iż bardzo łatwo będzie go przekonać, że wszystko to rozgrywało się wewnątrz jego koszmaru – uśmiechnął się. – Kiedy po raz pierwszy sam przesłuchałem tę taśmę, domyśliłem się, że może zareagować właśnie w ten sposób. – Śledczy zerknął na swego asystenta, a ten przytaknął skwapliwie. –

Choroba, szok – kontynuował. – Możemy dalej posuwać się tą drogą. Dobra, ocućcie go teraz, doprowadźcie do tego samego poziomu świadomości, ale nie niżej... i sprowadźcie naszego tłumacza. – Popatrzył na Władimirowa. – Mam nadzieję, że brzmienie głosu będzie odpowiednie. Dobieraliśmy go na podstawie nagrań głosu Anglika, chociaż nie był to najlepszy materiał, zbierany z dość dużej odległości, zwykle na wolnym powietrzu... Sądzę jednak, że głos tłumacza będzie odpowiedni – uśmiechnął się raz jeszcze, spoglądając na nieprzytomnego Ganta i zgarbionego nad nim lekarza, który wbijał igłę strzykawki w odsłonięte ramię Amerykanina. – Prawdopodobnie zaakceptuje osobowość bez względu na brzmienie głosu.

W tej samej chwili dotarły do Ganta światło, rozmazane twarze oraz znajomy głos. Biały pokój... Znajdował się w pozycji siedzącej – dlaczego spodziewał się, że będzie leżał...? Tak, stróż pielęgniarki, przebywał w szpitalu... koszmar...? Wsłuchał się w głos. Co nieco inne brzmienie, zmieniony akcent, ale głos znany. Słuchał przemawiającego powoli i spokojnie Kennetha Aubreya. Utkwił wzrok w dwóch postaciach, które miał przed oczyma; pielęgniarka i lekarz, stali na wprost niego... Aubrey musiał znajdować się gdzieś z tyłu, mruzczał delikatnie, poufale, prosto do ucha. Pielęgniarka, lekarz – gdzie on mógł być? Co mu się stało? Jego ciało było odrętwiałe, ciężkie, nie czuł jednak bólu. Co mu się stało?

Wyjaśnił to głos.

– Bardzo szybko wracasz do zdrowia, Mitchell – rzekł cicho Aubrey. – Jesteśmy niezwykle zadowoleni z ciebie... ale czas nas pogania. Tylko ty możesz nam pomóc... czas nas pogania, spróbuj to zapamiętać...

Pamiętać?

Owszem, tak wiele rzeczy musiał pamiętać...

Jakich?

Ulica, zgarbiona sylwetka, czarny samochód...

Kto? Gdzie?

Aubrey mówił dalej, chociaż jego głos wzbudzał lęk, przyciągał całą uwagę. Wypadek – pomyślał. Wypadek? Umarł. – Sądzymy, że doznałeś częściowej amnezji, Mitchell. Także z powodu urojeń... Byłeś ciężko chory, mój chłopcze. Ciężko chory. Ale teraz czujesz się lepiej. Gdybyś tylko mógł sobie przypomnieć, gdybyś mógł nam powiedzieć, gdzie jest samolot!

Ulica, zgarbiona postać, o... ojciec... czarny samochód, bramy, korytarze, biały pokój... pamiętać...

– Czy przypominasz sobie, Mitchell? – zapytał cicho Aubrey.

Gant poczuł, że kiwa potakująco głową, chociaż było to tak obce, jakby ktoś inny kiwał głową czy machał ręką. – Tak – usłyszał własną odpowiedź, a jego głos zabrzmiał dziwnie płasko, chrapliwie, jakby miał usta pełne flegmy. – Tak...

Nagły szmer głosów. Aubrey mówił dalej: – Czy pamiętasz dokładnie, co wydarzyło się po zniszczeniu drugiego Miga-31, drugiego Firefoxa? – wymawiał słowa jedwabistym, miękkim, uspokajającym tonem. Gant ponownie skinął głową. Pamiętał. Istniało tak wiele rzeczy, które musiał pamiętać. Co takiego...?

Ulica – pustka – samochód – postać w przodzie – gigantyczny pomnik rakiety – ulica – pustka – postać; dogonić tego człowieka i zająć mu prosto w twarz – pustka – budynek – schodki – korytarz – pustka – zegarek – pustka – zegarek – pustka...

Jakby oglądał serię zdjęć, tyle że slajdy zostały załadowane do rzutnika w nieodpowiedniej kolejności. Istniały luki, powtarzające się często puste miejsca. Pustka – samochód – pustka... pamiętać...

– Co pamiętasz, Mitchell? – zapytał ponownie Aubrey. – Co się wydarzyło po zniszczeniu drugiego Firefoxa? Wiemy, że zestrzełeś oba Migi-25F, tyle zdołałeś sobie przypomnieć. Czy nadal to pamiętasz? – Gant skinął głową. – Dobrze. Pierwszego zniszczyłeś jeszcze w chmurach, natomiast drugiemu prawie udało się zestrzelić ciebie... a jednak ocalałeś i uratowałeś samolot... Co potem zrobiłeś? Co zrobiłeś, Mitchell? Czas ma dla nas olbrzymie znaczenie. Nie mamy go zbyt wiele, jeżeli chcemy uratować samolot, żeby nie wpadł im w łapy... Co z nim zrobiłeś, Mitchell? – nalegał głos, chociaż nadal brzmiał uspokajająco, wręcz hipnotycznie. Zdawało mu się, że za plecami lekarza i pielęgniarki widzi okno, wychodzące na... Co to takiego? Londyn. Big Ben? Tak, Big Ben. Dostrzegął jakąś jaskrawą, barwną plamę w samym rogu pola widzenia; czyżby kwiaty w wazonie? Patrzył na Big Bena – był prawie w domu – był bezpieczny...

Ale głos Aubreya nie dawał mu spokoju; niezwykle miękki, hipnotyczny, uspokajający.

– Gdzie, Mitchell, gdzie? Gdzie wylądowałeś samolotem? Może sobie przypomnisz, Mitchell... spróbuj, proszę, spróbuj sobie przypomnieć...

– Taa-ak... – powoli, z wysiłkiem opróżnił płuca.

– Świetnie, Mitchell, świetnie. Możesz sobie przypomnieć!

– Tak – oznajmił bardziej zdecydowanie. Czuł się lepiej. Coś mu się przydarzyło, ale teraz wracał do zdrowia. Odzyskiwał pamięć. Aubrey byłby zadowolony, mogliby wydobyć samolot z dna jeziora...

Jeziora...

Nie!

– Nie! – krzyknął na głos w ślad za protestem myśli. – Nie...!

Ponownie pogrążał się i płonął w jeziorze. Otepiona narkotykami pamięć ocknęła się, wstrząśnięta wspomnieniem tonięcia. Otaczała go lodowata woda, a równocześnie pojawił się dokoła ogień... Zawładnął nim koszmar.

– Nie...!

Władimirow popatrzył na śledczego, potem na tłumacza pochylającego się nad Gantem, w którego uchu tkwiła słuchawka, za pomocą której przekazywano mu każde pytanie, proponowane czy to przez śledczego, czy generała. Wreszcie przeniósł spojrzenie na pielęgniarkę i lekarza stojącego obok Ganta, w końcu na Amerykanina.

– Co się stało? – zapytał, po czym powtórzył głośniejszym głosem: – Co się, do diabła, z nim stało?

Zapatrzył się na zdjęcie wyświetlane z rzutnika na białej ścianie naprzeciwko Ganta. Londyn, widok poprzez Tamizę na pałac Westminsterski i Big Bena. Krzyk Ganta, powtarzane w kółko to samo słowo zaprzeczenia, czyniło ową iluzję patetyczną, całkowicie nierzeczywistą. Do tego jeszcze kwiaty, które ktoś umieścił pod tamtą ścianą. Czy kogokolwiek, nawet będącego pod wpływem narkotyków, mogły ogłupić takie rzeczy? Gant znowu wymykał mu się, znowu wyslizgiwał...!

Ze złością strząsnął z siebie powstrzymującą go dłoń starszego śledczego i ruszył przez pokój. Nie widzące oczy Ganta były silnie rozszerzone, a usta otwarte spazmatycznie jak u topielca. Tyle że zamiast banieczek powietrza wydobywało się z nich jedno, powtarzane na okrągło słowo: nie! Zdumiony Władimirow uniósł wzrok.

– Co się stało?! – wrzasnął. – Co to jest?

Śledczy dotknął dłonią boku generała. Lekarz sprawdzał kolejno puls Ganta, rozszerzalność źrenicy, oddech. Gdy skończył, wrzucił ramionami, mrużąc jakieś słowa przeprosin w stronę śledczego.

– Zabierzcie go.

– Nie! – zaprotestował Władimirow. Pochylił się nad Gantem. – On wie. Miał już powiedzieć... – Tłumacz odsunął się na bok, wyciągając z ucha słuchawkę. – Zróbcie coś!

– Zabierzcie go – powtórzył śledczy. – Uciszczone go! Później dokonamy jeszcze jednej próby... – Odwrócił się w stronę Władimirowa. – To tylko sprawa czasu. Wywołałoby jakieś skojarzenie interferujące z iluzją. Zawsze istnieje ryzyko wdepnięcia w coś, kiedy człowiek porusza się w ciemnym tunelu.

Lekarz zrobił Gantowi zastrzyk. Amerykanin po chwili przestał powtarzać swój protest. Jego głowa opadła na piersi, całe ciało zwiotczało.

– Jak długo? – zapytał Władimirow, skubiąc dolną wargę. – Jak długo to potrwa?

– Kilka godzin, do wieczora. Zaczniemy z innego miejsca i przygotujemy się bardziej dokładnie. Proszę to porównać do pracy w kopalni złota. Przed nami już tylko ostatnie centymetry skały, oddzielającej nas od najbogatszej żyły świata – uśmiechną się. – Następnym razem powie nam wszystko.

Pomimo grubej kurtki mundurowej Dmitrija Priabina przeniknął dreszcz, kiedy spoglądał na syna Anny grającego w piłkę na ośnieżonym trawniku Parku Kultury i Wypoczynku imienia Gorkiego. Ławka, na której przysiadł, pokryta była kryształkami szronu, skrzącymi się w żółtawym świetle lamp sodowych. Latarnie rozmieszczono wzdłuż alejek biegnących przez park. Przy ich świetle Maksym wraz z przyjaciółmi mogliby grać w piłkę aż do późnego wieczora, a nawet do nocy, gdyby im na to pozwolono. Mimo mrozu nie potrafił zdobyć się na stanowczość, chociaż wiedział, że kiedy Anna wróci, dostanie im się obu, a w szczególności jemu – za to, że pozwolił chłopakowi zmarznąć, zmoczyć buty i zgrzać się. Skwitował uśmiechem tę myśl. Spoglądał na gestykujących chłopców, naśladujących protesty i grymasy znanych gwiazd piłkarskich, i wsłuchiwał się w piskliwe, dziecięce głosy. Od czasu do czasu kierował wzrok ku gigantycznemu kamiennemu portykowi z architrawem, stanowiącemu główne wejście do parku. Stamtąd też dobiegał szum nasilonego, popołudniowego ruchu ulicznego na Sadowym i Prospekcje Lenina. Przez park spieszyli robotnicy. Niektórzy zatrzymywali się na chwilę, by popatrzeć na chłopców; przytupywali zmarzniętymi nogami, zacierali ręce w rękawiczkach, po czym ruszali dalej, umykając przed gęstniejącym mrokiem.

Maksym miał nowe buty piłkarskie – Dynamo pierwszy sort – które w ubiegłym tygodniu otrzymał od Priabina w prezencie urodzinowym. Piłka także należała do Maksyma. Popatrzył, jak syn Anny minął dryblingiem dwóch przeciwników i posłał piłkę między wysokie metalowe tyczki, oznaczające bramkę. Po zdobyciu gola Maksym podskakiwał radośnie, wymachując w powietrzu rękoma. Jeden z chłopców zaczął głośno reklamować pozycję spaloną, natomiast drobniutki bramkarz otrzępywał się ze śniegu po desperackim, bezskutecznym rzucie w kierunku piłki. Priabin, śmiejąc się, klasnął kilka razy

w dłonie, po czym spojrzął na zegarek. Pora iść, a przynajmniej zbierać się do powrotu.

Popatrzył w stronę architrawy pokrytego symbolami partii komunistycznej. Nagle spod gigantycznego kamiennego portyku wyszła Anna Borysowna Achmerowna. Instynktownie wstrzymał oddech, jak czynił to zawsze, kiedy dostrzegał ją niespodzianie i zaledwie kilka chwil dzieliło ich od spotkania. Pośpiesznie, jakby interesował go wyłącznie przebieg meczu, wstał z ławki i ruszył przez ośnieżony trawnik, wymachując rękoma i rozdzielając drużyny. Ale cały czas miał świadomość zbliżającej się kobiety, na wpół rozbawionej, na wpół rozzłoszczonej, jakby nieco zdesperowanej. Wciąż jeszcze nie potrafił uspokoić oddechu. Chłopcy zgromadzili się wokół niego, protestując głośno. Rozdzielał zwaśnione drużyny, rozsuwał chłopców na boki i dopiero po jakimś czasie odwrócił się w kierunku stojącej kobiety. Wiedział, że z poczerwieniałą twarzą, głośno posapujący, mógłby bez trudu zostać zakwalifikowany jako jeden z grona kopiących piłkę chłopców. Był wyższy i mocniej zbudowany, lecz emocjonalnie znacznie bliższy chłopakom niż stojącej na oszronionym chodniku kobiecie, z założonymi rękoma i głową delikatnie przechyloną na jedno ramię, obrzucającej uważnym spojrzeniem zgromadzoną wokół niego gromadkę.

– Nie wiedziałem, że już tak późno... poza tym spóźniłaś się – powiedział. Maksym nieśmiało, wręcz mimowolnie, pomachał jej ręką, jak gdyby obawiając się stracić szacunek w oczach swoich przyjaciół, z którymi jeszcze niedawno łączył się w fizycznych zmaganiach.

- Kto wygrał?! – zawołała.
- Ja... nie wiem – zaśmiał się.
- Drużyna Maksyma, szczęściarze! – wyjaśnił jeden z chłopców.
- Wcale nie przez szczęście! – wtrącił Maksym.

Priabin podszedł ku Annie, czując, że płoną mu policzki. Miała na sobie koruszek, futrzaną czapkę oraz długie, czarne, skórzane kozaczki. Spod czapki wymykały się jasne włosy, a jej twarz była pobieląta od mrozu. Priabin nie mógł się pohamować, żeby jej nie dotknąć, musiało mu jednak wystarczyć cmoknięcie w zmarznięty policzek i wyszeptane cicho czułości. Jej dłoń w rękawiczce spoczęła na chwilę na jego policzku; miał wrażenie, że w tym miejscu skóra rozgorzała jeszcze bardziej.

– Chodźcie. Wszyscy – rozkazała. – Zabierajcie swoje rzeczy. Najpierw zmieńcie mokre buty! Nie, najpierw założcie palta, inaczej dostaniecie zapalenia płuc!

Chłopcy zaczęli się kłócić o miejsca na ławce. Zmarzniętymi palcami

próbowali rozsupłać mokre, oblodzone sznurowadła. Zaczęli wciskać się w palta, grube kurtki i futrzane kozuszki, a w mroźnym powietrzu całą grupkę otoczyły obłoczki pary. Byli to synowie urzędników i nauczycieli, a ojciec jednego z nich był gwiazdą radzieckiego kina. Wszyscy mieszkali w tym samym, drogim, ekskluzywnym domu, byli sąsiadami Anny i Maksyma.

– Ruszajcie się – powiedział Priabin. – Hot dogi i hamburgery dla wszystkich, ale tylko wtedy, gdy się pospieszycie! – Odwrócił się do Anny. – Z ich punktu widzenia olimpiada przyniosła nam tylko jedną dobrą rzecz, nasze własne, moskiewskie budki z hot dogami... – Głośno wciągnął nosem powietrze. – Nawet tu dociera zapach cebuli – dodał. Chłopcy w pośpiechu zaczęli wsuwać buty, śniegowce lub kolorowe kozaczki. Jeszcze tylko wełniane czapki, szaliki, wreszcie byli gotowi. Priabin wręczył Maksymowi dość pokaźny plik banknotów, po czym skinął głową w stronę kamiennego portalu wychodzącego na Prospekt Lenina. – Obiecana nagroda – rzekł. – I żeby nikogo z was nie brakowało przy budce, kiedy tam dojdziemy!

Gromada wygłodniałych piłkarzy z głośnymi okrzykami ruszyła biegiem. Buty piłkarskie beztrudno ciągnęli za sobą po ośnieżonym chodniku. Piłkę przez jakiś czas kopali jeszcze po ziemi, w końcu ktoś chwycił ją w ręce.

– Nie przepuści żadnej okazji, żeby nie pokopać piłki! – zaśmiał się Priabin.

– Podobnie jak jego matka – odparła Anna, wsuwając dłoń pod jego ramię – chce wykorzystać każdą chwilę przyjemności.

– To wspaniale – rzekł czerwieniejąc z zakłopotania Priabin. Poklepał jej dłoń, ona zaś oparła policzek o jego kurtkę, po czym rzekła figlarnie:

– Twoje nowe naramienniki są strasznie twarde.

Zaśmiał się głośno. W miarę jak zbliżali się do wyjścia, szum ruchu ulicznego przybierał na sile. Po lewej stronie, pośród zapadającego zmroku widniał podwójny szereg rozmażanych świateł na nabrzeżach rzeki. Ponad wodami Moskwy unosiła się zmrożona mgiełka. Priabin wzdygnął się. W jego pamięci odżyła ich wczorajsza kłótnia.

Jak gdyby czytając w jego myślach, Anna mruknęła: – Przepraszam za wczorajszy wieczór.

– Nic się nie stało.

– Nadal cieszę się z powodu tego przekłętego samolotu, cieszę się, że został wykradziony i zniszczony...! – dodała z naciskiem, jakby chciała odtworzyć wczorajszy nastrój i na nowo rozpalic sprzeczkę.

– Tak, wiem – westchnął.

– Kiedy pomyśle...! – zaczęła głośniej, on jednak poklepał jej dłoń i przytulił mocniej do siebie.

– Wiem – mruknął. – Wiem o tym.

Uderzyła go gwałtowność, z jaką objawiała swą ślepą, niedorzeczną nienawiść do całego projektu Miga-31. Była to bowiem nienawiść najgorszego typu – intelektualna. Nie miał ochoty wracać do poprzedniego wieczora i kłótni, która niczym duch wyskoczyła z pustej butelki po winie. Był absolutnie nie przygotowany do sprzeczki. Kiedy w głowie zaszumiało mu nieco od wina przy wspólniejszej kolacji, jaką przygotowała dla uczczenia awansu, niemalże mimochodem poinformował ją o śmierci Baranowicza w Biljarsku. Był w znakomitym nastroju, zarówno z powodu wina, jak i awansu. Nie dostrzegł nadciągającej kłótni, nie wyczuł wiszącego w powietrzu napięcia. Baranowicz stał się punktem zapalnym. Kiedy teraz przytulał ją do siebie, we wspomnieniach odżyły jej krzyki przy stole.

– Baranowicz nie żyje? – zapytała wtedy. – I ty rzucasz mi tę wiadomość jak kupę starych szmat? Wasz projekt, wasz przeklęty, zasrany projekt doprowadził do śmierci Baranowicza! A przecież to był niezwykle człowiek! Ten cholerny projekt zabił go!

W ten sposób zaczęła się kłótnia. Priabin przycisnął Annę mocniej do siebie, by odegnać wspomnienia, wyczuwając pod kożuszką jej zgrabną sylwetkę. Odsunęła się od niego delikatnie.

– Co się stało? – zapytała, przyglądając mu się uważnie.

Potrząsnął głową. – Nic, nic takiego... – Nie miał ochoty sprzeczać się znowu. Po każdej takiej kłótni miał wrażenie, że Anna oddała się od niego. Nie był zazdrosny. Nie zazdrosny, ale zachłanny. Musiała należeć do niego, a wszystko między nimi powinno układać się dobrze, jak najlepiej. Bez jakichkolwiek burz czy pochmurnych dni. Lecz mimo wszelkich prób zignorowania, taką właśnie ciemną chmurę stanowiła śmierć Baranowicza.

– Chodźmy więc. Chłopcy zmarzną pomimo gorących hot dogów! – Sięgnęła po jego rękę niczym starsza siostra i pociągnęła w stronę wyjścia na ulicę. Zrównał z nią krok. Jego pogodny nastrój prysnął, a winę za to ponosił wyłącznie Baranowicz, ten martwy Żyd.

Anna widziała go nie więcej niż trzy czy cztery razy, nie przyjaźnili się, nie była to nawet bliska znajomość. A jednak stał się dla niej symbolem, swego rodzaju bohaterem.

Potrząsnął głową, lecz ponure myśli nie dawały mu spokoju. Niemal sześć lat temu los zetknął Annę, pracującą w sekretariacie Ministerstwa Zdrowia, z tym żydowskim naukowcem. Opracował on wówczas prototyp wózka dla

pełnych inwalidów, zaopatrzonego w układy elektroniczne do myślowego sterowania silnikiem napędowym i układami kierowania. Anna przyjęła ów projekt z wielkim zaangażowaniem i gorliwością misjonarki. Ale po osiemnastu miesiącach projekt został zawieszony.

Dokonano korekty – stwierdził w duchu. Poprzez szum ruchu ulicznego przebijały się już podniesione głosy chłopców zgromadzonych wokół budki z hot dogami. Otoczył ich ciężki, nieprzyjemny odór cebuli. Korekty – Ministerstwo Obrony przejęło wynalazek do zastosowania w wybranych urządzeniach wojskowych. Przejęło także samego Baranowicza. Układ, mający sterować napędem wózka inwalidzkiego, który nigdy nie ujrzał światła dziennego, znalazł zastosowanie do myślowego sterowania uzbrojeniem Miga-31.

Anna nie wybaczyła im tego, że za ich przyczyną prototyp wózka nigdy nie został ukończony.

Im...?

Wszystkim. Wojskowym, urzędnikom, członkom Biura Politycznego, a nawet jemu samemu. Nigdy nie wybaczyła nikomu.

– Chodźcie tu, chodźcie! – zawołał do biegnących ku niemu chłopców, siłąc się na entuzjazm. Uśmiechali się z pełnymi ustami, ślizgali na śniegu, a światła przejeżdżających samochodów przesuwwały się po nich. Sprzedawca hot dogów klasnął i zaczął zacierać dłonie. Z wnętrza budki buchał intensywny odór cebuli. – Gdzie twój samochód? – zwrócił się do Anny. Wskazała w głąb Prospektu Lenina. – A więc spotkamy się w mieszkaniu – rzekł. – Zabierz tyłu, ile dasz radę... reszta pojedzie ze mną metrem.

Z zachęcającym uśmiechem skinęła głową. Domyślał się posępnego wyrazu swojej twarzy. Przytaknął. – Dobra. Wszyscy, którzy jadą metrem, za mną! – Ruszył pompatycznym krokiem marszowym, wzbudzając śmiech Anny. Chłopcy, z wyjątkiem Maksyma i syna gwiazdora filmowego, poszli za nim, chichocząc.

Priabin, nie odwracając się, pomachał ręką Annie. Przed oczyma nadal miał jej sylwetkę. Trzydziestoosmioletnia, o drobnej, emanującej pewnością siebie twarzy, modnie ubrana, ambitna. Starsza asystentka sekretarki w sekretariacie Ministerstwa Zdrowia. Znakomita, ciesząca się uznaniem urzędniczka. Miała wyższą pensję od niego.

Kiedy zbiegali po schodach stacji metra Park Kultury, pomyślał przez chwilę, że wczoraj wieczorem zaczął ją rozumieć. Ściągnął zębami rękawiczkę, podwinął połę kurtki i zaczął grzebać w kieszeni spodni w poszukiwaniu drobnych. Tak, chyba w końcu zaczął ją rozumieć.

Wszystko przez ten przeklęty projekt – projekt z Biljarska, kładący się między nich cieniem. Szukała rewanzu za to, co się stało, za przerwanie prac nad konstrukcją i niedoszlą do skutku masową produkcją tego cholernego wózka inwalidzkiego.

Właśnie dlatego zaczęła pracować dla Amerykanów...

Wyciągnął z kieszeni pełną garść bilonu i kilka drobnych banknotów.

Zaczęła pracować dla Amerykanów...

– Mamy jedną szansę, tylko tę jedną – rzekł Aubrey z naciskiem. – Jeżeli zdążymy przed nadciągnięciem tego frontu, niosącego ostatnie porywy zimy – postukał wskazówką w ekran, na którym widniało wyświetlane z rzutnika zdjęcie satelitarne – wtedy być może udałoby się nam pokonać Rosjan i Finów w wyścigu o Firefoxa. – Umilkł, natomiast Pyott, siedzący za rzutnikiem, zaczął wyświetlać kolejne zdjęcia satelitarne. Kładły się szarymi i białymi plamami na twarzy Aubreya, wciąż stojącego z uniesioną w górę wskazówką przed ekranem. Wreszcie Pyott wyłączył rzutnik. Buckholz zapalił górne światła Centrum Operacyjnego. – A więc? – zapytał Aubrey. – Co ty na to, Giles?

Pyott pokręcił głową, skubiąc wąsy. – Ten front atmosferyczny niesie ze sobą śnieżycę, obfite opady śniegu, silny wiatr, a nawet możliwość wyładowań elektrycznych. Jak sam zauważyłeś, Kenneth, jest to ostatni nawrót zimy, ogarniający północną Europę i całą Skandynawię. Nie wiem, naprawdę nie wiem.

– Mimo wszystko przelot na miejsce nie zajmie nam czterdziestu ośmiu godzin, Giles...

– Zdaję sobie z tego sprawę, Kenneth, ale jak na razie najbardziej opóźnia nas latający dźwig. Będziemy mieli wiele, wiele szczęścia, jeżeli on w ogóle tam doleci.

– Dysponujemy linami i kołowrotami zdolnymi wydzwignąć ciężar Firefoxa. Będziemy musieli wydobyć go z jeziora.

– I co potem z nim zrobimy?

– Potem przybędzie latający dźwig.

– A jeżeli nie przybędzie?

– Wtedy będziemy musieli ratować co się da i zniszczyć resztę. – Aubrey odwrócił się plecami do Pyotta i podszedł do stołu mapowego. Curtin, siedzący na składanym krzeselku, spoglądał na niego w milczeniu. Buckholz wyglądał na cierpiącego, jakby zmagał się z dylematem. Aubrey obrzucił wzrokiem czarny

model Miga-31 oraz wielobarwne tasiemki i znaczniki na mapie Finlandii i północnej Norwegii.

Odwrócił się ku pozostałej trójce. – No więc? – powtórzył miękko głosem. – Decydujcie. Finowie nie chcą mieć samolotu na swoim terytorium. Jeśli zabierzemy go stamtąd, zanim Rosjanie dowiedzą się prawdy, będą nam za to wdzięczni, a ich twarda postawa to tylko blef, zwykły blef. Fakt, że to przez nas znaleźli się w trudnym położeniu. Za dobę, a może jeszcze wcześniej, żaden samolot nie będzie w stanie dolecieć nad jezioro. Nie przeszkodzą nam żadne obserwacje z powietrza. Oznacza to również, że Finowie nie zdołają przerzucić swoich oddziałów. Będziemy mieli wolną rękę. Przecież nasze najdalej wysunięte oddziały dzieli od jeziora nie więcej niż sto kilometrów. Dzieli nas mniejszy dystans niż którąkolwiek ze stron! Jeden przelot załadowanym po brzegi Herculesem powinien wystarczyć, żeby przerzucić cały nasz sprzęt i ludzi na miejsce!

Aubrey zamilkł. Poczł się jak mówca, który z pierwszych rzędów wystąpił na mównicę i stanął przed nielicznym, skwaszonym audytorium. Buckholz nie patrzył w jego stronę, spoglądał na Pyotta, jakby w oczekiwaniu na odpowiedź. Curtin w ogóle nie miał ochoty zabierać głosu, z góry podporządkował się pozostałym. Pyott natomiast tak energicznie pocierał wąsy, jakby miał zamiar całkowicie usunąć ich ciemną plamę ze swego oblicza.

– Ja... – zaczął Buckholz, wciąż nie patrząc na Aubreya. – Mój rząd życzy sobie jak najszybszego załatwienia sprawy. Nie muszę chyba wam powtarzać, panowie, że Waszyngton zaczyna się niecierpliwić. – Aubrey spojrział na Buckholza. Wicedyrektor CIA prawie wcale nie odzywał się w czasie ostatniej, trwającej dosyć długo rozmowy telefonicznej z Langley. Teraz prawdopodobnie cytował wnioski płynące z tej rozmowy. – Wyjaśniałem nieprzychylnne warunki atmosferyczne, zastrzeżenia logistyczne, brak planu rezerwowego operacji, niebezpieczeństwa i pułapki polityczne. Ale Biały Dom nadal domaga się działania... – Odwrócił się szybko w stronę Aubreya i dodał: – Otrzymałem swoje rozkazy, Kenneth. Nie podobają mi się one, lecz muszę spróbować je wypełnić. Nie potrafię udzielić ci jakiegokolwiek odpowiedzi, ale na równi z tobą oczekuję na nią! – Było jasne, że Buckholzowi nieźle się dostało z Waszyngtonu. Na pewno otrzymał rozkaz podjęcia kroków zmierzających do ocalenia samolotu, bez względu na jego własne zdanie na ten temat. Buckholz wzruszył ramionami. – Musimy podjąć działania, musimy coś zrobić.

– A co z Mitchellem Gantem, Mr Aubrey? – wtrącił nagle Curtin.

Aubrey spojrział na niego, po czym przeniósł wzrok na Pyotta. – On nam

narzuci ostateczny limit czasu, Giles – powiedział. – Nie będzie w stanie długo utrzymać tajemnicy pod wpływem narkotyków. Mój Boże, pewnie zasugerują mi, że po locie bierze udział w odprawie z Charlesem i będzie musiał w to uwierzyć. A więc Rosjanie, którzy również muszą pilnie śledzić zmiany pogody, wkrótce powinni ruszyć. Albo też zaczekają na roz pogodzenie. Front nadciąga ze wschodu, a zatem ogarnie ich wcześniej, niż dotrze nad jezioro. Być może zyskamy w ten sposób nieco czasu, jeśli zdecydują się czekać na roz pogodzenie... – Odchrząknął, jakby chciał nie tyle pozbyć się chrypki, ile odżegnać od chwili szczerości. – Sądzę, że warto zaryzykować. A jak wy uważacie?

Pyott uniósł nagle wzrok. Z jego twarzy można było odczytać miotające nim wątpliwości i zastrzeżenia. Przypominała mapę pogody. Wbił oczy w pobielełe knykcie pięści zaciśniętych na krawędzi stołu.

– Zgadzam się, że pogoda zaczyna być bardzo niekorzystna, a front przesuwa się na zachód ponad Rosją... – powiedział w końcu, cedząc słowa. – Zgadzam się, że znacznie utrudni im to jakiegokolwiek działania, a może nawet nie pozwoli wystartować wcześniej od nas. Przyznaję, że istnieje prawdopodobieństwo, ale tylko pewne prawdopodobieństwo, iż zaczekają z pierwszym rekonesansem na poprawę pogody... Ale...

– Zawsze możemy szybko zniknąć – wtrącił z pośpiechem Aubrey. – Wtopić się w krajobraz, jeśli tylko odkryjemy, że Rosjanie są już na miejscu. Możemy postąpić tak samo, kiedy będziemy już nad jeziorem i okaże się, że tamci wystartowali... – Raz jeszcze odchrząknął. – Nie muszę chyba uświadamiać wam, że odzyskanie nie uszkodzonego samolotu przez Związek Radziecki, pomimo śmierci Baranowicza i innych w Biljarsku, oznacza kontynuację projektu Firefoxa. Znajdziemy się w tym samym miejscu co rok temu, zanim przyszła nam do głowy ta... eskapada! – Aubrey umilkł, chcąc spotęgować efekt. Twarz Pyotta wyrażała niezdecydowanie. JIC oraz Biuro Premiera zostawiły ostateczną decyzję w gestii Aubreya i Pyotta. – Nasi ludzie czekają na przerzut. Waterford i komandosi z SBS są już w Kirkenes... – Aubrey westchnął. – Tylko godziny dzielą nas...

– A Rosjan mogą dzielić zaledwie minuty! – warknął Pyott.

– Jak na razie nic się jeszcze nie dzieje – zauważył Aubrey.

– Jak sam powiedziałeś – odparł Pyott z wyraźną ironią – na razie nic się nie dzieje.

– Giles! – wycodził Aubrey. – Giles, na miłość boską, zdecyduj się! Ten samolot stanowi dla nas takie samo zagrożenie jak wczoraj czy rok temu. Nie widzą go radary, jego systemy elektroniczne o całe lata wyprzedzają nasze

osiągnięcia i rozwija dwukrotnie większą prędkość od naszych najszybszych myśliców! Jest prawdziwym zagrożeniem! Zdecyduj się, Giles, w tę albo w drugą stronę. Decyduj.

W ciężkiej, wyczekującej ciszy rozległo się chrząknięcie Buckholza. Skrzypnęło krzesło pod zmieniającym pozycję Curtinem. Pyott wbijał wzrok w swoje zaciśnięte pięści. Aubrey lewą dłonią delikatnie, jakby z czułością gładził stół mapowy.

Nagle Pyott uniósł wzrok. – Dobra. W porządku. Dzwon do Helsinek, do Hanniego Vitsuli. Powiedz mu, że zaczynamy!

– Giles! – oznajmił z dziecięcą ekscytacją Aubrey. – Dobra robota, Giles!

– Kenneth! – Giles Pyott poskromił go surowym tonem. – To nie jest powód do składania gratulacji. Niech szlag trafi twój plan, niech cholera weźmie ten samolot! – Rozrzucił szeroko ręce. – Na Boga, chciałbym, żebyśmy nigdy nie odkryli, na ile narusza on równowagę sił. Mam także nadzieję, że nie okaże się niewypałem!

– Wiesz przecież równie dobrze, jak ja...

– Przestań mnie pouczać! Wiem, jak na jego systemy antyradarowe mogłyby zareagować pociski Cruise, ICBM czy MIRV. Zdaję sobie sprawę, do czego doszliby Rosjanie za pięć lat, rozwijając układy myślowego sterowania uzbrojeniem... Słyszałem wszystkie twoje argumenty, znam zdanie Pentagonu... Nie musisz mi wciąż przypominać!

– Nie odgrywaj roli posępnego straceńca, Giles – mruknął Buckholz.

Pyott odwrócił się w stronę Amerykanina. – Czasem odnoszę wrażenie, że zawód żołnierza z punktu widzenia moralnego przynosi znacznie więcej rozkoszy niż najstarszy zawód świata – oznajmił chłodno.

– Pogardzasz nami, jakbyśmy byli śmieciarzami, Giles – westchnął Aubrey. – Może lepiej...

Pyott walnął pięścią w stół mapowy. – Bierzmy się do roboty, dobra? Charles, będziesz tam na miejscu, ale całą akcją dowodzi Waterford, rozumiesz? – Buckholz skinął głową. – Ja muszę zostać tutaj...

– A ja zakładam kwaterę w Kirkenes – oświadczył radośnie Aubrey. – Ruszamy?

Odnosił wrażenie, że leży na wznak. Po dłuższym czasie doszedł do wniosku, że musi znajdować się w łóżku. Ponad nim wisiał kredowo-biały sufit. Poza zasięgiem jego wzroku rozbrzmiewały szepty ludzi – jak myszy w rogu pokoju...

bo musiał to być pokój, widział biały sufit i fragmenty białych ścian. Głowa ciążyła mu niezmiernie. Nie miał ochoty nią poruszyć. Otaczał go zapach eteru, a więc był to pokój szpitalny. Kątem oka dostrzegał światło nocnej lampki, której blask odbijał się na suficie. Musiała być noc.

Szepty...?

Po angielsku – pomyślał. Dlaczego miałby się tym przejmować? W jakim innym języku mogły rozbrzmiewać słowa...?

Gdzieś w zakamarkach świadomości tkwiła odpowiedź na to pytanie. Domyślał się, że ludzie mogli rozmawiać w dziwnym, całkowicie niezrozumiałym języku... ale nie w pokoju szpitalnym.

W bambusowej klatce...

Szturchali go długimi tyczkami, jakby chcieli rozdrażnić więźnia. A potem mała dziewczynka spłonęła, roztopiła się w ogniu napalmu...

Zadrzał i jęknął głucho. Przypomniał sobie. Odtworzył w pamięci przycy-nę, dla której znalazł się w szpitalu. Powróciły wspomnienia niechęci, wręcz nienawiści. Spróbował się poruszyć. Dłonie miał skrępowane. Albo też zmę-czone i zbyt ciężkie, by je unieść.

Ponad nim, jako rozmazana plama na tle sufitu, pojawiła się czyjaś twarz. Sztwywny czepek na ciemnych włosach. Pielęgniarka. Zajrzała mu w oczy. Obok niej stanął mężczyzna, rozległy się ciche pomruki...

Próbował słuchać. Miał wrażenie, że rozmowa dotyczy jego. Amerykanin? Jego umysł z niezwykłą powolnością sformułował tę myśl, jakby był w pierw-szej klasie i uczył się wymawiać nowe, trudne słowo. Amerykanin...

Przed oczyma przesunęła się twarz o ostrych rysach. Zakolysała się – nie, to ktoś potrząsnął jego głową. Twarz zniknęła z pola widzenia i znów rozbrzmiały słowa wypowiedane z amerykańskim akcentem.

– Biedny dupek... Przez co on, do diabła, przeszedł, Aubrey? – Teraz już dość wyraźnie mógł rozróżnić słowa, chociaż spocił się od wysiłku nasłuchiwa-nia. – Mój Boże, te rany...!

Rany? Jakby w odpowiedzi pomyślał o ciężkich, nieruchomych ramionach, nogach, których nie czuł... owszem, czuł, że pokryte były potem, ale nie mógł nimi poruszyć. Nawet nie próbował obrócić głowy. Może również była unieru-chomiona. Leżał wyciągnięty...

Wśluchiwał się z rosnącym przerażeniem. – Lekarze robią, co mogą – od-powiedział głos Anglika. – Ściągnęliśmy do niego najlepszych chirurgów.

– I co?

– Nie wiadomo. Może będzie mógł jeszcze chodzić.

Ganta ogarnęła rozpacz. Zalała go falą, wypełniła usta, jak gdyby się topił.

– A jednak nic im nie powiedział... ani słowa. Nawet kiedy zaczęli powoli kruszyć jego świadomość, nie powiedział im ani słowa!

– To bardzo dzielny człowiek – odparł Aubrey. Aubrey... tak, to był Aubrey... rozpacz napelniła mu oczy łzami i odezwała bulgotem w gardle, kiedy tylko otworzył usta. Tonął w niej, jedynie nieugięta, wręcz nie chciana pycha utrzymywała go na powierzchni niczym kamizelka ratunkowa.

Oczy wypełniły się łzami. Zarysy sufitu stały się niewyraźne, blask lampki rozmyty, jakby spoglądał na światło z głębin toni wodnej. Głosy umilkły, ludzie nie chcieli chyba, żeby słyszał ich rozmowę. Aubrey i Amerykanin...

Spał. A może znajdował się pod wpływem leków? Jak przez mgłę przypomniał sobie własny krzyk. To był jego koszmar. Mała dziewczynka ogarnięta płomieniami, roztapiająca się sylwetka. Tak, to był koszmar. Ale pamiętał również wodę. Usiłował przypomnieć sobie podsłuchaną rozmowę. Pamiętał wodę, tonął... Z wielkim wysiłkiem zbierał myśli, nie mógł się skoncentrować, czynił jednak wysiłki, ponieważ nie był w stanie przywołać innych myśli. Toń wodna, mrok... a w głębinie ogień...? Woda, zatopienie, uwięziona lewa dłoń, poruszająca się prawa...

Jakiś kształt majaczący w mrocznej wodzie, przypominający gigantyczną rybę. Czarny. Samolot...

Krzyknął. Tylko raz.

– Nie...!

Pochyliły się nad nim twarze. Nie rozróżniał ich. Pielęgniarka otarła mu czoło i delikatnie poklepała, próbując ocucić. Tak, był okaleczony...

Nie...

Tak...

Ktoś mówił. Do niego.

Wyjaśnienia...

Z rosnącym przerażeniem wsłuchał się w słowa. – Katapultowałeś się, Mitchell – to był głos Amerykanina. – Katapultowałeś się z Miga-31, kiedy samolot stanął w płomieniach... przynajmniej tyle wywnioskowaliśmy z twoich... twoich oparzeń... – Gant sapnął i przetknął ślinę. Oparzeń...? – Samolot eksplodował w powietrzu. Mówiłeś, że widziałeś wszystko, chociaż bredziłeś w gorączce... Samolot eksplodował...

Bardzo powoli pokręcił głową, nie wiedząc, czy odczytają to jako gest zaprzeczenia. Nie potrafił zdobyć się na to, by przemówić. Jego gardło i usta

wypełniała woda, której nie był w stanie przelknąć. Dostałby lanie od ojca, gdyby wypluł tę wodę w mieszkaniu...

Chyba nikt nie zwrócił na niego uwagi. Amerykanin mówił dalej.

– W każdym razie o kuli... – Musiał znowu zwracać się do Aubreya. Gant nadstawił uszu, wstrzymując oddech. – Chyba znaleźli go nieprzytomnego i przetransportowali bezpośrednio do Moskwy. – Gant próbował ocucić pamięć. Nie przypominał sobie ani katapultowania, ani eksplozji samolotu. Ależ tak, nagle wróciło w pamięci...

Lecz to było w Wietnamie, razem z bambusową klatką i małą dziewczynką... Raz jeszcze powoli pokręcił głową. Ktoś nagle przytrzymał mu ją, odwinęto powieki. Człowiek szybko odszedł. Głos mówił dalej: – Nawet w takim stanie znęcali się nad nim, do tego stopnia, że nie mógł już dłużej wytrzymać. Chryste, tamci ludzie to...!

Gant unosił się. Jego ojciec zmierzał ku gigantycznej złotej spirali, która zwęzła się ku górze niczym strumień ognia z dyszy startującej rakiety. Nie umiał wytłumaczyć sobie znaczenia tego obrazu. Dryfował jednak dalej. To było lepsze od słuchania. Lepsze od śledzenia bólu rozlewającego się wzdłuż nóg, piersi, głowy, ramion...

Uklucie.

Niemal natychmiast przestał płynąć w powietrzu, a głos Amerykanina nabrał mocy. Nie chciało mu się odwracać głowy. Jego ojciec zniknął za wysokim ciemnym parkanem; rozplynął się.

– Lepiej spytajmy go...

– Musimy mieć pewność – to był Aubrey. – Tak, musimy mieć pewność.

– Najważniejszym problemem – rzekł Amerykanin – prawdziwym problemem jest przekonanie go, że nic mu nie grozi. Może już przestać wykazywać się dzielnością i milczeć jak grób.

– Zgadzam się.

Twarz w zasięgu wzroku. Potężnie zbudowany, jasnowłosy mężczyzna. Uśmiechnięty. Patki munduru, baretki orderów. Naramienniki. USAF, generał lotnictwa. Ciemnoniebieski mundur. Odprężenie. Otworzył usta. Rozległ się bulgot. Zamknął je szybko z powrotem. Generał uśmiechał się do niego. Amerykański generał uśmiechał się.

– Mitch, majorze Gant... Mitch, posłuchaj mnie, chłopcze. Jesteś już bezpieczny. Zrobimy wszystko, żebyś wrócił do zdrowia. Obiecuję ci to. Musimy tylko wiedzieć jedną rzecz: czy jesteś pewien, że samolot eksplodował? Czy jesteś tego pewien? Przecież oni nie mogą dostać go z powrotem w swoje ręce, prawda? – Gant poczuł, jak tamten powoli, delikatnie poklepuje poduszkę obok jego ramienia. – Musimy być tego pewni.

– Nie męczymy go za bardzo, prawda, doktorze? – to był Aubrey, jego głos rozbrzmiewał gdzieś z tyłu.

– Cicho, Aubrey – rzekł generał, po czym spojrzął na Ganta. – A więc, Mitch? Jak wiele pamiętasz? Jesteś pewien, że Firefox eksplodował?

Gant przelknął. Nasłuchiwał. Aubrey coś mówił, ciągle zwracając się do lekarza. Niepokój...? Słowa skaczące jak koniki polne, niski, posępny ton.

Nagle usłyszał.

– Obawiam się, że on umiera... Przykro mi, nie mogę już nic zrobić...

– Zamknij się! – warknął generał.

– Szybkiej! – odparł Aubrey. – Musimy mieć pewność!

Gant nieco energiczniej pokręcił teraz głową, całą siłą woli zmuszając mięśnie do wysiłku. – Nie – powiedział.

Generał spoglądał smutnym wzrokiem. – Niestety, Mitch, to... Chryste, nie zrobili nic, żeby ci pomóc. Kiedy uruchomiłeś katapultę, chłopcze, było już za późno. Spróbuj nam jednak pomóc, powiedz, że samolot eksplodował. Tylko tyle chcemy wiedzieć. Powiedz nam. Proszę.

– Nie... on nie... nie... – wysapał Gant. – Nie jestem poparzony. On nie... ja nie mogę... nie...

– Czego nie możesz, Mitch? Co się wydarzyło?

– Ja... nie katapul... – Gdyby tylko mógł im powiedzieć, wyjaśnić im, na pewno zrozumieliby swoją pomyłkę. Nie powtarzaliby, że umiera od poparzeń. Musieliby pojąć, że to pomyłka, straszliwa pomyłka. Gdyby tylko mógł udowodnić, że wylądował samolotem...

– Co? Co mówisz, Mitch?

– Ja wylądowałem... wylądowałem...

– Och, mój Boże! Aubrey, czy słyszałeś? On wylądował samolotem!

– Nie...!

– Tak...! – krzyknął Gant. – Tak!

Generał pochylił się nad nim. Gant poczuł zapach fiołkowego dezodorantu do ust. Jego twarz była skupiona, oczy wyrażały błaganie. Wyglądał teraz zupełnie tak samo jak generał, który dekorował Ganta na pokładzie lotniskowca na Morzu Południowochińskim – wyglądał jak brat bliźniak tamtego. Owo podobieństwo uspokoiło go, chciał powiedzieć mu wszystko. Uśmiechnął się. Podobnie jak przy poprzednim spotkaniu uśmiechnął się do generała. Bardzo chciał wówczas wysłać zdjęcia z tej uroczystej chwili swojej matce, ale ona nie żyła...

Miał wrażenie, jakby znalazł się nagle w niecce, niczym fala wpływająca między dwa kadłuby okrętów. Twarz generała emanowała spokojem.

Nigdy w życiu nie wysłałby podobnych fotografii swemu ojcu, choćby i za milion lat...

Ojciec...

Ulica, pomnik, ciemny parkan, drzwi frontowe, korytarze, marmurowe schody, donice, biała sala, biała sala biała sala biała...

Odzyskanie utraconego wątku przeraziło go. Zaprzagnął uwolnić się od generała, którego twarz zwisła nad nim, powiększona, jak rozwarta paszcza żarłocznej ryby...

Ryba. Czarna ryba – samolot. Woda – tonięcie. Firefox – jezioro, przytrzaśnięta rękawica, nóż od pontonu, nie uszkodzony samolot...

Domyślił się, że wypłynął już z tej niecki. Przez chwilę miał nawet świadomość, że znajduje się pod wpływem narkotyków. Wiedział, gdzie jest, w jakim celu go okłamują, zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu nic powiedzieć. Ale ta chwila szybko minęła. Chciał coś powiedzieć. Musiał powiedzieć.

– Umierający... umierający... umierający... umierający... – zdawało się, że generał powtarza w kółko to samo, chociaż nie poruszał wargami, jeśli nie liczyć układania ich w coraz szerszym uśmiechu. Słowa jak gdyby nadpływały z powietrza i wypełniały cały pokój. W którymś momencie nie mógł w nie uwierzyć, ale teraz nie wiedział już, z jakiego powodu...

Wtedy...

– Wcale nie jest umierający! – to głos Aubreya. – Na miłość boską, on się wcale nie rozbił! Nie katapultował się, samolot stoi gdzieś nie uszkodzony. – Aubrey nadal nie pojawiał się w zasięgu wzroku. Generał popatrzył w bok. Ze smutkiem pokręcił głową. Z ucha wystawała mu miniaturowa słuchawka i biegnący od niej przewód. Gant zrozumiał, że tamten jest głuchy. Jego ojciec używał podobnego, bardziej prymitywnego urządzenia. Generał był głuchy.

– On jest umierający, Kenneth... – Odwrócił się w stronę Ganta. – Powiedz nam, czy samolot uległ zniszczeniu.

Głuchy... czy usłyszysz go? Gant z ogromnym wysiłkiem wyciągnął ręce, zalewając się potem, zdołał jednak zacisnąć dłonie na klapach munduru i zaczął przyciągać go do siebie, by generał mógł usłyszeć. Jego wargi znalazły się tuż obok ucha mężczyzny, obok słuchawki...

– Nie spłonął... nie spłonął... – Coś zmuszało go do pośpiechu, rozchodziło się z krwią jak nagły zastrzyk adrenaliny. Zaczął mamrotać bez składu,

desperacko próbując przekazać prawdę. – Nie spłonął... tonięcie... tonięcie, w ogniu, ale woda, woda... nie spłonął... wylądował, nie spłonął... woda...

Słuchawka wypadła z ucha generała. Gant opadł na poduszki pełen skruchy. W całym ciele pulsowała adrenalina albo coś innego. Czuł się aż nazbyt ożywiony, jakby był jednym kłębkim nerwów. Sięgnął dłonią po słuchawkę. Generał krzyknął i odskoczył, ale Gant mocno trzymał słuchawkę. Prowadził od niej długi przewód, skręcający się niczym żywy wąż. Nie było niczego na drugim końcu przewodu, nie prowadził do pudełeczka w kieszonce na piersi generała, takiego, jakie miał jego ojciec. Ginął gdzieś poza zasięgiem wzroku.

Rozległ się krótki okrzyk, prawie warknięcie. Gant nie zrozumiał tego słowa. Uświadomiona nagle prawda odezwała się bulgotem w gardle jak poprzednio rozpacz. Zacisnął zęby, żeby powstrzymać wypływające słowa, zmienić je w charczenie...

Nie rozumiał, dlaczego powstrzymuje się od mówienia. Adrenalina wypychała słowa. Całe ciało skręcało się i drżało od jej nadmiaru. Gdyby mógł im powiedzieć, wyznać wszystko, znalazłby ukojenie. Musiał powiedzieć, musiał...

Szybkim, gwałtownym, mechanicznym ruchem poderwał się i usiadł w łóżku. Nieźle jak na umierającego...

Nie był umierający – powiedzieć im – wyjaśnić – w jeziorze...

– Nie... wyjaśnić! – zacharzał przez zęby, rozglądając się dookoła. – Słuchajcie! – wrzasnął.

Dostrzegł dwie postacie w rogu pokoju. Obok nich kwiaty. Jeszcze jedna twarz. Pielęgniarka, lekarz, generał, człowiek w garniturze...

Dwóch generałów. Jeden w niebieskim, drugi w brązowym...

Spoglądali na siebie nawzajem. Dwóch generałów.

– Słuchajcie mnie! – wrzasnął Gant. Musiał im teraz powiedzieć, musiał. Rozpadnie się, eksploduje, jeśli będzie powstrzymywał słowa... musiał im powiedzieć. – Słuchajcie!

Szarpnął się, usiłując zsunąć nogi z łóżka, nie mógł jednak poruszyć nimi i poleciał głową w dół. Podłoga skoczyła mu naprzeciw, białe i niebieskie płytki. Wyciągnął ręce, próbując z całej siły odepchnąć ją od siebie.

Władimirow rzucił się do przodu, strząsając z ramienia powstrzymującą go dłoń śledczego w mundurze amerykańskiego lotnika, i uklękł obok nieprzytomnego pilota. Z rozciętego czoła Ganta, którym uderzył o posadzkę, płynęła krew. Rozwścieczony Władimirow rozmazał ją po twarzy i szyi Ganta, jakby

naznaczał go przerażającym znamieniem człowieczeństwa. Po chwili zwrócił twarz ku ubranemu w generalski mundur śledczemu.

– Przecież mieliście go już! – ryknął. – Mieliście go już w garści...!

Lekarz dzwignął Ganta i ułożył z powrotem na łóżku. Pielęgniarka otarła mu krew z twarzy i posmarowała ciemniejące otarcie środkiem antyseptycznym. Władimirow wstał i odsunął się od łóżka. Gant oddychał chrapliwie, jego pierś unosiła się ciężko, a działanie środka stymulującego szybko zanikało w nieprzytomnym ciele. Na próżno...

– To tylko kwestia czasu – stwierdził śledczy, sprawdzając słuchawkę, którą lekarz wyjął z dłoni Ganta. Odbierał za jej pośrednictwem uwagi asystenta siedzącego w sąsiednim pokoju przed baterią monitorów, które z ukrytych kamer przekazywały ruchy gałek ocznych, reakcje mięśni i setki innych drobnych czynników. Z żalem pokręcił głową. – Szkoda. Ale następnym razem już na pewno...

Władimirow chwycił go za ramię. – Potrzebuję tej informacji! Potrzebuję jej jeszcze dzisiaj!

– Musimy teraz pozwolić mu odpocząć. Musimy oczyścić jego organizm, zanim zaczniemy raz jeszcze.

– Muszę mieć tę informację!

– Będziecie ją mieli... przed nastaniem świtu – rzucił śledczy, uwalniając się od kurczowo zaciśniętej dłoni Władimirowa. – Przed nastaniem świtu!

Transportowiec Hercules tkwił na końcu pasa startowego omywany jaskrawym, białym światłem, przypominając wyrzuconego na brzeg wieloryba. W dali światła Lincoln tworzyły rozmytą, niewyraźną lunę pod wiszącą nisko warstwą ciemnych chmur. Aubrey stał wraz z Pyottem przy samochodzie RAF, Land Roverze, który miał dowieźć go do samolotu, i wyraźnie niecierpliwił się. Wiatr unosił i targał siwe włosy Pyotta, co nadawało jego posępnie ściągniętej twarzy jakiś złowieszczy, wręcz proroczy wygląd.

Buckholz i Curtin byli już na pokładzie. Hercules czekał tylko na Aubreya. Anglik opuszczał przytulny pokój i sąsiadujące z nim olbrzymie podziemne pomieszczenie Centrum Operacyjnego z poczuciem wolności, zdobytej przewagi, utęsknionego wkroczenia na swą własną drogę. A teraz Pyott zatrzymywał go – niczym starożytnego żeglarza, pomyślał z goryczą, po czym rzekł:

– Co prawda nie wyjeżdżam na mój ślub, Giles, a jednak wstrzymujesz mnie. Cóż takiego chcesz mi powiedzieć? – Uśmiechnął się szeroko, pragnąc

niecو rozjaśnić mroczny nastrój Pyotta. Oficer przyglądził dłonią potargane przez wiatr włosy i odwzajemnił uśmiech.

– Potrzebne mi twoje zapewnienie, Kenneth... – zaczął.

– Och, nie bądź takim formalistą! – złażał go Aubrey.

– Niech cię cholera! Jesteś niezdolny, Kenneth! Potrzebne mi twoje zapewnienie, twoje słowo honoru, że jeśli latający dźwig nie dotrze na miejsce przed upływem wyznaczonego terminu, kompletnie zniszczysz samolot.

– Och, Giles...

– Skończ z tym „och, Giles”, Kenneth. Nikt inny nie może mieć dostępu do nie uszkodzonego samolotu. Musisz wymontować najważniejsze układy, a potem zniszczyć go. Czy możesz dać mi na to swoje słowo? – Umilkł, a po chwili dodał: – To zbyt poważna sprawa, bym zadowolili się czym innym niż twoim słowem honoru. Wiem, że nie ma tego w twoich rozkazach, udało ci się przekonać wszystkich, że wymarzony latający dźwig przybędzie na miejsce. Ale musisz zrobić wszystko, by Firefox nie dostał się z powrotem w ręce Rosjan. To warunek nadrzędny.

Aubrey poklepał Pyotta po ramieniu tuż przy łokciu. – Obiecuję, Giles, że Firefox nie dostanie się w ręce nieprzyjaciół. Nie martw się już, bo nabawisz się wrzodów.

– To ty nabawisz mnie wrzodów, Kenneth.

Aubrey spojrział na pas startowy. Zaczynała się jego rozgrywka. Wiedział, że Pyott ma rację. Powodzenie akcji zależało wyłącznie od kaprysów pogody i jednego śmigłowca transportowego, który już miał kłopoty i wypadał z harmonogramu lotu. Teraz była jego kolej – najwyższa pora na wyłożenie kart na stół.

Nagle przyszedł mu na myśl Gant. Wzdrygnął się. Ściągnął kołnierz kurtki wokół szyi i uszu, ale nie zrobiło mu się ani trochę ciepłej.

– Powodzenia – rzekł Pyott, wyciągając rękę.

– Co? Ach, tak... – Aubrey uściśnił mu dłoń. Nie zostało już w nim nawet śladu uprzedniej ekscytacji; nic poza odczuciem chłodu, strachem i zdenerwowaniem.

7.

Narodziny zbrodni

Bolała go głowa. Ciężyła i sprawiała wrażenie silnie powiększonej, zmienionej w gigantyczną dynię. Nie mógł unieść jej z poduszki. Po suficie przesuwaly się przyćmione światła, nie słyszał jednak hałasów ruchu ulicznego. Kiedy wciągnął głęboko powietrze, poczuł smród eteru. Szpital. Słowo to przeniknęło go nieprzyjemnym dreszczem. Całe ciało naprężyło się wskutek nieoczekiwanego, elektryzującego impulsu.

Szpital. Smród eteru. Znowu poczuł się zagrożony. Ulica, parkany, schodki, drzwi, korytarz, marmurowa klatka schodowa, galeryjka wypełniona rzeźbionymi donicami, biały pokój, biały pokój...

Zdusił w gardle jęk. To nie był ten sam pokój, nie to samo łóżko. Przeniesiono go. Po... po przesłuchaniu z użyciem narkotyków...

Gant zrozumiał. Ociężale uniośł w górę rękę. Nadal miał na niej zegarek. Wskazówki fosforyzowały w ciemności. Prawie dziesiąta. Pozwolił ręce opaść, zmęczony dźwiganiem jej ciężaru. Zdał sobie sprawę z bliskiej obecności innych ludzi, słyszał pomruki i pochrapywania. W tym samym pokoju spali ludzie. Zaparł się łokciami o materac, podciągnął ciężkie ciało w górę do pozycji półsiedzącej i oparł plecy o poręcz łóżka. Powoli, zalewając się z wysiłku potem i usiłując wyciszyć chrapliwy oddech, spojrzął na lewo i prawo. Pałaca się przy jednym z łóżek nocna lampka oświetlała zarysy niewielkiej salki, w której został umieszczony. Wystarczył mu szybki rzut oka. Zsunął się z powrotem, kiedy dostrzegł pielęgniara czuwającego przy dwuskrzydłowych drzwiach. Na jego stoliku paliła się mała podręczna lampka, nieco światła przenikało także poprzez niewielkie, matowe szybki w drzwiach. Prawdopodobnie czytał książkę. Legł na wznak, obawiając się, że poruszeniem zaalarmował pielęgniara.

Nasłuchiwał, czy nie skrzywnie krzesło. Uspokoił się w końcu, zamknął oczy i odtworzył w myślach obraz sali.

Stało tu sześć łóżek, na trzech spoczywali śpiący, może także naszprycowani narkotykami ludzie. Jeden z nich miał całkowicie zabandażowaną głowę, w drugim bez trudu rozpoznał mężczyznę, trzeci natomiast leżał w odległym końcu sali, z dala od słabego światła, pogrążony w mroku. Okna pokoju były zakratowane. W przesuwających się na zewnątrz snopach reflektorów dostrzegał pionowe pręty oraz tkwiące za nimi szyby ze zbrojonego szkła. Pielęgniarsz siedzący przy jedynym wyjściu z sali był muskularnym i prawdopodobnie uzbrojonym mężczyzną.

Gant nasłuchiwał przez chwilę, lecz tamten nie poruszył się, w zamian dotarł do niego szelest odwracanej kartki książki. Odprężył się, ale radość z tego drobnego zwycięstwa, za jakie poczytywał poznanie i lustrację najbliższego otoczenia, szybko zniknęła. Był w pułapce, odstawiony na bok do czasu kolejnego przesłuchania. Wiedział, że przesłuchiowano go dwukrotnie; zdawał sobie sprawę, że czekano jedynie, aż odzyska siły do tego stopnia, by móc ponownie zaaplikować mu narkotyki; był świadom, że znajdując się pod ich wpływem gotów jest ulec każdej sugestii; wiedział, że podczas następnego przesłuchania powie im wszystko.

Przypomniał sobie umundurowanego generała USAF, a także głos Aubreya. Przypomniał bezładne kłębowisko, w jakie zamieniły się jego myśli. Odtworzył w pamięci gwałtowną, niepoahamowaną potrzebę wyznania prawdy, jaka go ogarnęła, a którą ponownie mieli w nim wywołać...

Oparzenia?

Ostrożnie obmacał swoje ciało. Miał na sobie podkoszulek i szorty. Nie czuł bólu, kiedy dotykał nóg, ramion, twarzy. Na czole miał opatrunek, przypomniał sobie jednak pędzące ku niemu płytki posadzki. To one powstrzymały go od mówienia.

A przecież wierzył, że jest umierający...

Miał oto przykład, jaką dysponowali mocą, na ile nieznaczące były jego próby oporu.

Oblewał się zimnym potem. Dłonie spoczywały wzdłuż bioder, przypominając mu, że nie ma nawet spodni. Niczego poza podkoszulkiem – żadnej koszuli, kurtki, butów. Był bezradny. Wzorem postaci leżących na innych łóżkach, będących kryminalistami czy nawet dysydentami, stracił ochotę do życia. Ogarnęło go poczucie wyizolowania.

Usiłował uwolnić się od niego, przywołując w myślach zagrożenie kolejnym

przesłuchaniem. Przeniesienie go do tej salki mogło oznaczać, że powiedział im już wszystko, że skończyli już z nim, a teraz jedynie sprawdzają wiarygodność informacji. Czy na pewno im powiedział?

Powoli, ostrożnie zaczął przekładać w myślach wrażenia – ojciec, podwozie samolotu, oparzenia, Aubrey, jezioro, tonięcie, ogień napalmu, katapultowanie... płytki, płytki posadzki...

Siedział usztywniony, wrzeszcząc, by go wysłuchano. Co im powiedział? Zaciśnął mocno powieki, zbierając myśli. Co im powiedział?

Nie potrafił powstrzymać westchnienia ulgi, kiedy zyskał pewność. Nic. Nic im nie powiedział. O niczym nie wiedzieli.

Usłyszał, jak krzesło pielęgniarsza zaszurało na linoleum. Zbliżające się kroki. Zaświeciła lampka nad jego łóżkiem. Gant starał się zapanować nad powiekami i wargami. Mijały sekundy. Próbował oddychać jak przez sen. Światło zgasło, kroki oddaliły się, ponownie szurnęło krzesło. Siadając pielęgniarsz chrząknął cicho. Gant słyszał, jak unosi książkę, otwiera ją, przerzuca kartki.

Był cały zlany potem. Włożył wiele wysiłku w zapanowanie nad sobą, uświadamiając sobie jednocześnie, jak bardzo jest osłabiony. Pielęgniarsz zdolny byłby dźwignąć go jedną ręką w górę, i wyciągnąć z łóżka bez najmniejszego wysiłku. Nie umiałby mu się przeciwstawić.

Nie miał także żadnej broni. Świerzbiące, spocone ręce, nie dysponujące żadną siłą, nie mogły być pomocne. A nie miał niczego poza nimi. Nie potrafiłby nawet wyciągnąć pielęgniarszowi pistoletu, jeśli tamten był uzbrojony.

Skądś dobiegło bicie zegara – odległy, cichy, wręcz nierzeczywisty dźwięk. Dziesiąta. Musiał przespać wiele godzin. Pewnie niedługo mieli przyjść po niego. Dla nich liczył się czas. Wyczuwał jakiś szaleńczy pośpiech w staraniach wydobyć od niego informacji. Nie było ku temu powodów – nikt inny nie wiedział, gdzie znajduje się samolot. Miał jednak wrażenie, że nie dadzą mu spokoju, dopóki nie dowiedzą się wszystkiego.

Wkrótce mieli przyjść i zabrać go, bezradnego. Bezbronno i bezradnego.

Mitchell Gant leżał w ciemności, czekając na przybycie lekarzy i śledczych. Przez chwilę pomyślał o drugim pacjencie z całkowicie zabandażowaną głową. Prawie jak mumia. Prawie jak on – od dawna martwy i zapomniany.

Raz jeszcze poczuł, że nie da rady przeciwstawić się ogarniającemu poczuciu wyizolowania.

Aubrey stwierdził, że nos Herculesa C-130K chyli się w dół, ku powłoce polyskujących chmur, które podziwiał przez okienko kabiny. Wciąż jeszcze byli wysoko ponad tym pofałdowanym, bezkresnym dywanem. Księżyc świecił jasno, a gwiazdy błyszczały niczym diamenty. Aż trudno było uwierzyć, że owo czyste, rozjaśnione iskrzącymi punkcikami niebo, miało im wkrótce zesłać pogodę znacznie gorszą od tej, przy jakiej startowali ze Scampton.

Ściągnął z głowy hełmofon. Jego rozmowa z Kirkenes, z Waterfordem, dobiegła końca. Spoglądał teraz przez okienko na unoszącą się powoli ku nim warstwę chmur. Minęli koło podbiegunowe i lecieli dalej na północ wzdłuż wybrzeża Norwegii. Pilot miał wkrótce sprowadzić Herculesa tak nisko jak tylko to możliwe, by zniknąć z dalekosiężnych radarów Rosjan przed wykonaniem skrętu na wschód i obraniem kursu na Kirkenes. Kiedy przejmą ich radary bliskiego zasięgu, mieli podchodzić z zachodu do Kirkenes, by pod każdym względem przypominać rutynowy lot zaopatrujący norweską bazę NATO.

Gryzł się, mimo iż hipnotyczny widok leżących w dole chmur działał kojąco. Miał wrażenie, że spogląda na białą pustynię, z której powierzchni wyrastały ukształtowane przez wiatry formacje. Ale zauroczenie widokiem trwało krótko, szybko zniknęło. Aubrey przeniósł wzrok na poprzedzielane żebrami konstrukcji pustawe, słabo oświetlone wnętrza samolotu transportowego.

Już niedługo, byli prawie na miejscu. Ale ów okres zawieszenia, bezczynności nie dobiegł jeszcze końca. Zawsze traktował to jako najbardziej frustrującą, rozciągającą w czasie część wszystkich operacji wywiadowczych – co by to nie było, przelot, jazda samochodem, podróż pociągiem... tuż przed przekroczeniem granicy, wejściem do budynku, dostrzeżeniem celu. Bezprzedmiotowe napięcie, próżne podniecenie. W takich chwilach nie miał żadnej kontroli nad wydarzeniami...

W ogonowej części przedziału towarowego tkwiło umocowanych pięć wielkich palet ze sprzętem. Piętnastu ludzi bądź to drzemało, bądź przeciągało się czy też sprawdzało wyposażenie. Charles Buckholz rozmawiał z oficerem zaopatrzeniowym WRAF, po raz kolejny sprawdzając listy ekwipunku. Curtin stał przy składanym stoliku, na którym leżała rozłożona szczegółowa mapa. Rozmawiał z drugim pilotem Herculesa. Zapadły już wszystkie decyzje, poprzedzielano zadania. Powtarzali czynności jedynie dla zabicia czasu, nic więcej.

Hercules musiał wylądować w Kirkenes, gdzie mieli wysiąść Aubrey, Buckholz i pozostali członkowie zespołu nie mający doświadczenia w skokach ze

spadochronem. Na pokład zaś miał wejść Waterford ze swoim oddziałem, w sumie dwudziestu pięciu ludzi, których samolot wraz z ich sprzętem miał zabrać nad jezioro. Jako obszar zrzutu spadochroniarzy wybrano zamarzną taflę jeziora. Waterford potwierdził trafność tego wyboru. Po zrzuceniu ludzi Hercules miał wykonać nawrót i przy drugim przelocie tuż nad ziemią zrzucić przez ogonową rampę towarową, bez spadochronów, pięć palet z ekwipunkiem. Z początku Aubreyowi metoda ta wydała się prymitywna, nie przemyślana, grożąca zniszczeniem cennego sprzętu, a w szczególności wyciągarek. Specjalistom z RAF nie udało się go przekonać, chociaż w końcu zaakceptował ten plan. Ale cały czas miał wrażenie, że ten sposób zrzutu jest zwykłą amatorszczyzną.

Eastoe nadal trwał na posterunku w Nimrodzie AWACS ponad granicą Norwegii i Finlandii. Mieli wykorzystać jego system wczesnego ostrzegania i aparaturę dalekiego zasięgu do obserwacji granicy rosyjskiej w celu wykrycia pierwszych ruchów tamtych. Ponadto Eastoe miał zapewnić rezerwowy kanał łączności między grupą nad jeziorem a Waszyngtonem, Londynem i Helsinkami, uzupełniający bezpośrednie połączenie satelitarne z radiostacji, którą oddział rekonesansowy Waterforda zostawił nad jeziorem.

Odwrócił się plecami do ładowni. Buckholz i inni, którzy nie potrafili skakać ze spadochronem, mieli być przetrzuceni śmigłowcami Lynx i znaleźć się nad jeziorem nie później niż godzinę po grupie Waterforda. Popatrzył na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. O czwartej trzydzieści wszyscy powinni być już na miejscu, na brzegu jeziora, gdzie osiem metrów pod powierzchnią wody spoczywał Firefox.

Osiem metrów. Ledwie się zanurzył. Człowiek stojący na kadłubie miałby głowę nad wodą. Dwadzieścia pięć metrów długości – dziesięć metrów rozstępu między statecznikami pionowymi – piętnaście metrów rozpiętości skrzydeł. Pięćdziesięciometrowe liny powinny wystarczyć, by samolot w całości został wyciągnięty na brzeg. A jeszcze lepiej byłoby wyciągnąć go wprost z wody, jak złowioną rybę, przez latający dźwиг, który pół godziny temu tankował w pobliżu granicy Niemiec z Danią. Wyglądało to na prostą robotę, stosunkowo łatwe zadanie. Nie potrafił jednak uwierzyć w sukces.

Gant...

Nos Herculesa zaczął się już zanurzać w warstwie chmur, kiedy operator pulpitu łączności, zainstalowanego specjalnie dla potrzeb Aubreya, odwrócił się w jego stronę.

– Odebrałem szyfrowany sygnał, sir. Z Helsinek. – Wskazał na hełmofon,

kiwając jednocześnie głową, gdy przyspieszony, zmiennoczęstotliwościowy przekaz dobiegł końca. – Nie czekają na odpowiedź, sir. Wyłączyli się.

– Dobrze. Odtwórz to.

Operator przerzucił kilka przełączników, przebiegł palcami po miniaturowej klawiaturze podłączonej do pulpitu i ukryta taśma zaczęła się przewijać. Utrwaliła głos Hanniego Vitsuli.

– Charles! – zawołał Aubrey.

Buckholz podszedł szybko.

Rozległo się chrząknięcie, a następnie słowa: – Nie licz na pogodę, Kenneth. Czterdzieści osiem godzin, począwszy od północy, to nasz ostateczny, powtarzam, ostateczny termin. Nasze prognozy sugerują, że za dwa dni może być dużo łatwiej dotrzeć nad jezioro, niż zakładacie... Nie sądzcie zatem, że tego nie zrobimy. Powodzenia. Koniec wiadomości. Over.

Buckholz smutno pokręcił głową.

– Domyślił się, że liczyliśmy na pewną rezerwę czasu wskutek złych warunków atmosferycznych. Myślisz, że zdecyduje się ruszyć przed upływem terminu?

Aubrey machnął ręką. – Nie, ale musimy traktować jego słowa bardzo poważnie. – Uderzył dłońmi o uda. – Cóż, nie jest źle. Wasz prezydent wywalczył dla nas kilka dodatkowych godzin. – Za okienkiem szare chmury przesuwały się, jakby napierając na szybę. – Mamy jednak tylko dwie doby.

– A więc obaj powinniśmy mieć nadzieję, że pogoda naprawdę stanie się paskudna.

– Nie, wówczas stracilibyśmy wszystko, Charles. Gdyby tak się stało, latający dźwig nigdy nie doleciałby na miejsce.

Dmitrij Priabin powoli, delikatnie obrócił się na wznak, po czym usiadł. Przy słabym świetle lampki zapatrzył się na zagłębienie w nagich plecach Anny, jakby studiował zarysy dziwnej, nieznannej krainy. Po chwili złączył dłonie z tyłu głowy, zadarł ją i popatrzył na sufit. Wydał wargi, skrzywił się z obrzydzeniem i westchnął cicho. Wiedział, że znowu nadciąga chwila jego rekryminacji. Wysunął się z łóżka, nie chcąc obudzić Anny.

Usiadł w fotelu i założył nogę na nogę. W ustach wciąż miał smak cebuli z hot doga, którego – nie mogąc dokończyć – jeden z chłopców wcisnął mu w garść. Beknął cicho, zakrywając dłońmi usta. Tak, cebula – jej smak przebijał się przez wszystko, przez wino, obiad, wódkę. Był nawet silniejszy od smaku

perfum z jej szyi oraz piersi, który wciąż czuł na wargach i języku.

Cebula – wyrzuty sumienia. Obie te rzeczy przywoływały wspomnienia parku, stacji metra, wszystkiego, co miało związek z jej zdradą, której świadomość tak silnie poraziła go przy okienku kasowym. Pamiętał, że twarz kasjera wyrażała już zniecierpliwienie, zanim zdołał pozbierać się na tyle, by kupić bilety.

A teraz wszystkie zarzuty, poczucie winy i strach wróciły podczas snu, niczym emocjonalny atak malaryczny. Ta choroba nigdy go nie opuszczała, miała jedynie okresy utajenia.

Pochylił się, oparł policzki na pięści i zapatrzył na Annę.

Żył na krawędzi przepaści. Trwało to od czasu, kiedy zaczął dostrzegać poczucie winy i iskierki strachu w jej ukradkowych spojrzeniach za każdym razem, gdy niespodziewanie odbierał telefon, a które zniknęły natychmiast, kiedy odkładał słuchawkę i przywoływał ją dłonią. Przypominał sobie, że za każdym razem odnosił wrażenie, iż rozmawia z Amerykaninem, posługującym się dość płynnie, lecz nieco sztywno, językiem rosyjskim.

Żył na samej krawędzi od czasu, kiedy zaczął ją śledzić. Od czasu, kiedy odkrył jej potajemne spotkania z człowiekiem, będącym prawdopodobnie jej oficerem łącznikowym. Od czasu, kiedy zidentyfikował tego człowieka jako agenta CIA...

Żył na krawędzi od sześciu, prawie siedmiu miesięcy...

Poruszyła się, jakby dotknięta nagłym przejawem jego nielojalności. Obróciła się na plecy, ale nie obudziła. Nieświadomym ruchem dłoni zsunęła kołdrę, odsłaniając płaskie piersi. Owo dziwne erotyczne obnażenie przypominało bezceremonialne zaproszenie. Popatrzył na jej odprężoną w głębokim śnie twarz – odprężoną, z wyjątkiem zmarszczonych nawet przez sen brwi. Poczul, że łzy napływają mu do oczu. Nigdy nie zdobył się na to, by zacząć rozmowę, by dać jej poznać, że wie, że chciałby pomóc...

Zarzuty, niemal tak samo wyraźne jak smród cebuli...

Kiedy tylko przeprowadził się do jej mieszkania, zaczął szukać pluskiew. Spędził cały dzień po przeprowadzce na przeszukiwaniu telefonu, obrazów, ścian, dywanów, regałów, szaf, łóżka. Gdy nie znalazł żadnych śladów nadzoru czy podsłuchu, poczuł przemożną ulgę. Ułożył na miejscu róg dywanu, stanął na nogach, i zaraz musiał pobiec do łazienki, gdzie porzygał się do żółtozielonej muszli klozetowej.

Przez długie tygodnie nie mógł zaznać spokoju, sprawdzając kartoteki, lustrując jej gabinet, łażąc za nią, by stwierdzić, czy nie jest śledzona. Przypominał

zazdrosnego kochanka albo prywatnego detektywa zaangażowanego przez kochanka.

Jak szpieg...

Stopniowo nabierał pewności, że tylko on znał jej tajemnicę. Nie było żadnych podejrzeń, nikt się nie wypytywał, nikt jej nie sprawdzał. W dodatku Anna nie zajmowała się tajemnicami państwowymi, a jedynie faktami, które można by zakwalifikować do plotek. Szczegółami funkcjonowania urzędów Związku Radzieckiego, planami budownictwa, epidemiami, alkoholizmem – wszystkim, co mogło świadczyć o nastrojach w kraju, co mogło być przydatne do stworzenia kompleksowego obrazu państwa radzieckiego. Awansami wewnątrz Sekretariatu, Biura Politycznego i ministerstw, danymi o rozwoju czy też zastoju radzieckiej gospodarki, tego typu drobiazgami...

W zasadzie nie było to żadne szpiegostwo. Trochę więcej niż niedyskrecja, przekazywanie plotek, nieostrożne wypowiedzi w sąsiedztwie podsłuchujących nieznanym.

Priabin z czasem uwierzył w to. Nie była ważnym agentem, a tylko jednym z szeregowych informatorów. Skłoniły ją do tego pragnienie zemsty i rozczarowanie systemem przedkładającym zbrojenia ponad wózki inwalidzkie. To właśnie były jej motywy. Potrafił je zrozumieć. Nie wiedział tylko, jaki wpływ na jej decyzję sprzed lat, mniej więcej wtedy, kiedy poznała Baranowicza z jego przeklętym projektem wózka, miała śmierć męża w nie wyjaśnionych okolicznościach. Wolał jednak motyw zemsty. Pozwalał patrzeć na nią jak na uczciwego, zachowującego swą godność człowieka.

Rekryminacja. Był pewien, że ona nawet nie domyśla się, iż on wie. Robił sobie wyrzuty, wręcz nienawidził siebie za to, że nie umiał jej powiedzieć, nie umiał jej odciągnąć od tego wszystkiego, nie potrafił jej ocalić. Nie stać go było na ryzyko utracenia jej...

Po tym, jak poznał jej tajemnicę, jego zaborczość przybrała jeszcze na sile, stała się ślepa. Nie umiałby się z nią rozstać. Nie dopuszczał do siebie myśli, że mógłby ją stracić. Gdyby kiedykolwiek coś zagroziło ich układowi...

Odkaszlnął cicho. Nie potrafił nawet zebrać myśli. Nie umiał sobie wyobrazić, co by się stało, co począłby, gdyby ją stracił, gdyby kiedyś odeszła.

Wstał, przeszedł przez pokój i uklęknął przy łóżku. Bardzo delikatnie ucałował obie płaskie piersi i sterczące sutki. Klęczał dalej, jakby uczestniczył w jakiejś ceremonii religijnej. Nie mógł pozwolić jej odejść, ale zarazem nie mógł dopuścić do zdemaskowania jej. Musiał z nią porozmawiać...

Tylko jak się przyznać, że wie o wszystkim...?

Rozzłoszczony podniósł się na nogi. Anna drgnęła, jęknęła cicho, po czym na wpół odwróciła się do niego plecami. Blask lampki padł na zgrabną linię jej ramienia. Patrzył jeszcze przez chwilę, a następnie poszedł do łazienki. Nie zapalał światła, nie miał ochoty oglądać swego odbicia w długim, owalnym lustrze. Przy odrobinie blasku sączącego się przez otwarte drzwi namacał szklankę i napełnił ją letnią wodą.

Rekryminacja. *Musiał coś zrobić...!*

Rzykował jednak utratę Anny.

Zaschło mu w ustach, a smród cebuli wywoływał niemal sensacje żołądkowe.

Cichy stuk zamykanych drzwi i szepty. Gant obudził się natychmiast, zły, że przysnął, siłą powstrzymując się przed uniesieniem lewej dłoni do oczu, by sprawdzić, która godzina. Powoli, głęboko wciągnął powietrze, nadstawiając uszu.

Zmiana warty...? Kto teraz? Poduszki miał ułożone na tyle wysoko, by z łatwością, bez unoszenia głowy dojrzeć dwie sylwetki przy stoliku. Sztwywny czepek, długie, spięte z tyłu włosy. Pielęgniarka odłożyła na bok książkę. Gant spostrzegł skinienie głowy, a kobieta ruszyła w jego stronę – do niego? – nie, do zabandażowanego pacjenta mumii. Gant odprężył się i niemal natychmiast wróciło poczucie wyizolowania. Nie wiedział, kiedy usnął i jak długo spał. Jak mógł usnąć w takich warunkach?

Widział wyraźnie plecy pielęgniarki pochylającej się przy drugim licząc od niego łóżku. Włączyła lampkę nad głową. Rozległ się pomruk zabandażowanego człowieka. Albo stłumiony jęk. Gant zerkał, jak pielęgniarka, wyciągając w górę ramię, odwija bandaż z rolki. Coś błysnęło w świetle lampki. Ręka dziewczyny opadła. Mumia mruknęła przerażonym tonem, jakby spodziewając się bólu. Znow coś błysnęło, rozległ się cichy brzęk.

Jeszcze raz, jak odległy odgłos sekatora...

Gant poczuł, że nieświadomie napręży wszystkie mięśnie. Jego dłonie to zaciskały się w pięści, to otwierały. Uniósł nieznacznie ramię, testując jego sprawność. Choć potłuczony, nie czuł już tak przemożnego zmęczenia. Zanikło też działanie narkotyków, choć puls miał jeszcze przyspieszony.

Pielęgniarka mruknęła coś w odpowiedzi na protest mumii. Jej ramię ponownie uniosło się ku lampce. Raz jeszcze brzęknął jakiś wydłużony, błyszczący

metalicznie przedmiot. W chwili, kiedy zrozumiał, kiedy jego myśli zaczynały kierować ciałem, usłyszał również odgłos kroków na korytarzu zbliżających się w stronę sali. Ruszył.

Jedyna szansa, tylko ta jedna...

Zrzucił z siebie pościel, zastanawiając się przez ułamek sekundy, czy dysponuje wystarczającą siłą. Przetoczył się przez sąsiednie łóżko, błyskawicznie sięgając prawą dłońią ku ręce pielęgniarki, zaś lewym ramieniem przyciągając pozbawioną oddechu dziewczynę do siebie. Błysk nożyczek, otwarte z przerażenia usta, zwracające się ku niemu spojrzenie, oczy mumii, na wpół odsłonięty purpurowy policzek i napuchnięte wargi. Odciągnął pielęgniarkę w bok od łóżka pacjenta i zakreślił nią...

– Nie...! – wrzasnął po rosyjsku, kiedy zaplątały mu się nogi.

Zdołał jednak skierować ostrze nożyczek w stronę gardła dziewczyny, przesuwając je w dół, jakby chciał zadać cios. – Nie próbuj nawet!

Pielęgniarka poderwała się na nogi, sięgając dłońią za połę krótkiego, białego fartucha, do kieszeni na piersi albo kabury na ramieniu. Otwarte gwałtownie za jego plecami drzwi pchnęły go do przodu. Lekarz...

Gant rozpoznał go i zrobiło mu się słabo, kiedy zrozumiał, jak niewiele brakowało. Ruszył do przodu, popychając przed sobą pielęgniarkę. Lekarz chciał zapytać, co tu się dzieje, ale urwał w połowie zdania, zrozumiał sytuację.

– Tutaj! – wrzasnął Gant, popychając stawiającą opór pielęgniarkę. Lekarz sięgnął do włącznika światła. Lamy zamrugwały i po chwili zalały salę blaskiem. Towarzyszyło mu dwóch cywilnych strażników. Sanitariusz został na zewnątrz, widać go jednak było przez uchylone do połowy drzwi, przytrzymywane przez jednego ze strażników. – Z drogi! – W jego głosie zabrzmiała panika. Przesuwał się w ślimaczym tempie, lecz mimo to drżały mu nogi. Błysnęły nożyczki. Popchnął ostrze w dół, opierając je na gardle dziewczyny.

To nie mogło trwać nawet minuty, zaledwie kilka sekund, zanim otrząsną się ze zdumienia, wyciągną pistolety, zastrzelą dziewczynę, a jego zaciągną na przesłuchanie, jakby nic się nie stało.

Pielęgniarka powoli, ostrożnie zbliżała się do nich. Dzieliły ich trzy metry, potem dwa. Gant zawahał się, wykonanie jakiegoś manewru było skomplikowane. Brakowało mu odpowiedniej koordynacji ruchów. Badawcze oczy mężczyzny szacowały go, dziewczyna zwiśla w jego rękach, niezdolna do stawiania oporu. Oboje byli już przekonani, że dadzą mu radę. Z twarzy mężczyzny Gant mógł wyczytać przewidywany rozwój wypadków oraz całkowity brak troski tamtego.

Jeden ze strażników zaczął powoli unosić dłoń ku klapie marynarki. Lekarz, wyczuwając nadchodzącą chwilę przemocy, odsunął się na krok od drzwi. Dwa metry, półtora...

Teraz...!

Nadal obejmując dziewczynę, lewą dłonią chwycił jej ramię. Półobrotem odrzucił ją w lewo, po czym prawą, bosą stopą kopnął pielęgniarka w krocze, niemal tracąc przy tym równowagę. Równocześnie rzucił nożyczki na podłogę. Chwycił mężczyznę, dźwignął w górę i wyciągnął mu zza pazuchy pistolet Makarowa. Niezdarnie wycelował go w stronę grupki przy drzwiach.

– Cofnąć się! – rzucił. – No już! Z drogi! – Pomachał łufą pistoletu.

Lekarz przywarł plecami do ściany. Przesunął się i wyskoczył za plecami dwóch strażników przez uchylone drzwi. Gant obrócił pielęgniarkę, jęczącego cicho i trzymającego się za genitalia, po czym wypchnął go przez drzwi.

Dzwonek alarmowy, dłoń sunąca po ścianie do włącznika...

Skoczył i z całej siły huknął kolbą pistoletu w przesuwaną po ścianie w stronę framugi rękę. Coś chrupnęło, strażnik zawył. Przemoc zelektryzowała Ganta, dodała mu sił. Kiedy tamten skulił się przy ścianie, kopniakiem podciął mu nogi i strażnik jęcząc runął na podłogę. Szybko wycelował pistolet w stronę drugiego strażnika i lekarza.

Co dalej robić...?

Puścić ich – a co z alarmem...? Puścić – alarm...

– Ruszajcie! – krzyknął. – No już, ruszajcie! Wynoście się stąd! – Przyszło mu na myśl, że na korytarzu nie powinno być włączników alarmu. – Zabierajcie go i wynocha! – Wskazał strażnika siedzącego pod ścianą, miotającego wściekle spojrzenia, ściskającego w garści urażoną dłoń, niczym zniszczony drogocenny przedmiot.

Drugi strażnik pochylił się, pomógł rannemu wstać, po czym obaj pośpiesznie ruszyli korytarzem. Lekarz podążył za nimi, od czasu do czasu rzucając przez ramię spojrzenia.

Gant oparł dłoń na gardle pielęgniarki i przycisnął go do ściany. Dziewczyna nie pojawiła się u wyjścia z sali, wiedział jednak, że uruchomił alarm w tym samym momencie, kiedy on zniknie przed drzwiami. Strażnicy także w każdej chwili mogli włączyć alarm... Pielęgniarka też to rozumiała. Jego oczy już teraz wyszukiwały odpowiednie miejsca na ciele Ganta, na których chciałby się wyżyć, nim powstrzymają go lekarze i wywiadowcy.

Którędy...?

Szarpnął pielęgniarza do siebie, otaczając ramieniem jego tchawicę. Którędy...? Pod stopami miał zimne linoleum, przypomniał sobie, że jest bosy.

Nad ich głowami rozbrzmiały dzwonki alarmowe. Ktoś włączył równocześnie alarm w całym budynku. Nakładający się, nieustanny jazgot.

– Którędy na górę? – warknął. – Na ostatnie piętro. Którędy?

Rozluźnił nieco uścisk na szyi tamtego. Dzwonki terkotały ogłuszająco. Pielęgniarz zawahał się, po czym wzruszył ramionami. Czyżby zrezygnował ze swych zamiarów wobec Amerykanina? Wskazał w głąb korytarza, całą postawą okazując uległość. Gant ruchem pistoletu nakazał mu pójść tam. Na początku z trudem przestawiał nogi, lecz po chwili zaczął biec, człapiąc bosymi stopami po linoleum i oburącz ściskając pistolet.

Na końcu korytarza pielęgniarz skręcił w lewo. Nieoczekiwanie urwały się kremowe ściany i smród eteru. Otoczyły ich rzeźbione donice, dywany, wysokie krzesła wzdłuż obitych boazerią ścian. Krótka galerijka wychodziła na główny hall. Dobiegał stamtąd łomot butów o posadzkę. Ruszyli wąskimi drewnianymi schodkami, które skręcały w lewo i wiodły dalej w górę. Gant pochwycił widok kolejnego korytarza – szerokiego, o ścianach wyłożonych boazerią, powyżej której wisiały wielkie zaniedbane obrazy olejne. Sceny polowań na śniegu; gruby, wypłowiały dywan; ciężkie oblicze carcy z zmarszczonymi brwiami; dalsze schody. Nagie ściany, stara, tandetna tapeta pomarszczona od wilgoci. Zimniej. Pod stopami miał gołą, brudną posadzkę korytarza.

Pielęgniarz zatrzymał się. Lufa dźgnęła go w plecy. Zaczął się obracać. Gant pchnął mocniej pistoletem, aż tamten jęknął.

– Dokąd?

Jazgot dzwonek zdawał się cichszy, nie słyhać było odgłosów pogoni. Poczł kwaśny, ciepły smród klatek ze zwierzętami. Pielęgniarz uszedł kawałek wzdłuż korytarza i otworzył jedne z drzwi. Zapach eteru, zapalone światła, stół operacyjny. Gabinet albo kolejna sala przesłuchań. Minęli pokój laboratoryjny i przeszli do następnego, z którego wydobywał się intensywny smród zwierząt. Kiedy zapłonęły światła, małpy w klatkach zaczęły hałasować. Gant pojął, że włączając światła pielęgniarz znaczy drogę ucieczki, ale zignorował niebezpieczeństwo.

Szczury w klatkach, stół zabiegowy, głośniki, instrumenty. Małpy. W jednej z klatek żałośnie miauknął kot. Z jego ogolonego, pooklejanego łebka wystawała elektroda. Ów widok przeniknął Ganta zimnym dreszczem. W tym ciepłym

pokoju smród był nie do zniesienia. Słoma, mocz, karma. Gdzieś w kącie pisał ptak.

– Rozbieraj się! – rozkazał Gant. Pielęgniarz obrzucił go uważnym spojrzeniem. Gant chwiał się na nogach, oddychał ciężko, spazmatycznie. – Rozbieraj się; ubranie na podłogę! – Tamten nie poruszył się. – No już! Gówno mnie obchodzi, czy będziesz żył, czy nie! Potrzebne mi są twoje ciuchy!

Mężczyzna warknął ze złości i zaczął się szybko rozbierać. Gant ruchem lufy pistoletu nakazał mu, by nogą popchnął stosik ubrań ku niemu. Przyglądał mu się. Ponownie zamiauczał kot. Gant obejrzał się. Wystająca z czaszki zwierzęcia elektroda dotykała prętów klatki. Jego miska z żarciem była pełna. Pielęgniarz natarł. Gant machnął pistoletem, prawie nie odrywając wzroku od kociej klatki. Tamten chwycił się za głowę i rzucił do tyłu, zwalając klatkę z białymi myszkami, która roztrzaskała się o podłogę. Myszy rozbiegły się po nagim ciele człowieka, błyskawicznie znikając w kątach pokoju. Pielęgniarz leżał nieruchomo, a z rozciętej skroni pociekła wzdłuż policzka strużka krwi. Gant pośpiesznie wciągnął na siebie dżinsy, potem koszulę. Opierając się o stół, wsunął stopy w buty, co najmniej o numer za duże. W końcu nałożył biały fartuch i otrząpał z niego kurz. Rosjanin leżał bez ruchu. Spod niego wychyliła się biała myszka, powęszyła przez chwilę, po czym zniknęła pod stołem.

Gant odwrócił się szybko i wyszedł z pokoju, gasząc światło. Zamykając drzwi słyszał jeszcze, jak milknie wrzask mała, a pazurki myszek skrobią o posadzkę. Zgasił także światła w pokoju laboratoryjnym, a później w sali przesłuchań. Zamknął za sobą drzwi i zatrzymał się na chwilę, by uspokoić oddech. Ktoś wbiegł na korytarz. Ciężkie buciory. Rozejrzał się błyskawicznie.

Umundurowany agent KGB podszedł do niego. Lufa kałasznikowa jakby z ociąganiem skierowała się w stronę białego fartucha.

– Jest tam ktoś? – zapytał.

Gant pokręcił głową. – Tylko myszy – odparł.

Żołnierz zaśmiał się. – Pieprzony Amerykanin nawet – rzekł. – Słyszałeś? – Gant skinął głową. Tamten sięgnął do kieszonki na piersi i zanim Gant zdążył zareagować, wyciągnął paczkę papierosów. – Zapalisz? – Gant zaprzeczył ruchem głowy. Pomyślał jednocześnie, że musi za wszelką cenę ukryć zranione czoło przed wzrokiem Rosjanina. Żołnierz zapalił zapałkę i po chwili korytarz wypełnił się ostrym, żrącym dymem. Ukrył papierosa w dłoni, jak gdyby w każdej chwili spodziewał się nadejścia któregoś z oficerów. Czas uciekał; pół minuty, czterdzieści pięć sekund...

– Lepiej wróć na dół – odezwał się Gant.

– Pełno ich się tam kręci. Powiedz im, że słyszałeś jakiś hałas na górze... Niech tu przeszukają. – Wyszczерzył zęby w szerokim uśmiechu, przecinającym na pół kwadratową twarz. – Oni to lubią, trepy... – Bez złośliwości, raczej z przyzwyczajenia, splunął na podłogę.

– Pójdę już... – rzekł Gant.

Żołnierz wzruszył ramionami.

– Ja muszę tu zostać jeszcze parę minut – powiedział.

Gant zawahał się. Jeśli on tu zostanie... Miał jeszcze więcej niż połowę papierosa do brzegu kartonowej tutki. Dwie, trzy minuty...? Pielęgniarski...

– Dobrze się czujesz? – zapytał tamten. Gant odwrócił się twarzą ku niemu. Pojął nagle, że Rosjanin utkwiał wzrok w jego zranionym czole i wydyma wargi. Powoli w jego oczach zaczęło narastać podejrzenie.

– Tak, pewnie – odpowiedział Gant, po czym walnął tamtego pięścią w twarz. Żołnierz zrobił kilka chwiejnych kroków i oparł się plecami o ścianę. Cios nie zdołał go zamroczyć. Gant odsunął na bok lufę karabinu i uderzył jeszcze raz i jeszcze raz; okładał go błyskawicznymi ciosami, czując, że nie ma tyle siły, by go szybko pokonać.

Żołnierz osunął się po ścianie i usiadł w szerokim rozkroku z karabinem między kolanami. Gant ruszył biegiem, zeskoczył schodami na półpiętro, odwracając się pochwycił widok obrazów na ścianach; najszybciej, jak tylko mógł w człapiących butach, pokonał drugą część schodów i wyskoczył na galerijkę ponad głównym hallem. Omal nie wpadł na kolejnego człowieka w mundurze. Porucznik. KGB.

– Co się dzieje? – zapytał oficer. Jeszcze jedna postać w mundurze wyszła z pokoju. Głośny jazgot alarmu. Gant potrząsnął głową.

– Chyba go widziałem... – zaczął.

– Gdzie? Na górze!

– Nie, zbiegał na dół... tak mi się zdawało, mogę się mylić...

– Dobra.

Na galeryjce stało już czterech mężczyzn, dwóch umundurowanych, jeden w białym fartuchu, jeden w garniturze. Gant nie rozpoznawał twarzy, ale nie był tego pewien. Nie miał pojęcia, jak wiele osób mogło go widzieć od czasu, kiedy go tu przywieziono.

– Czy to tobie on uciekł? – zapytał oficer.

Gant ze skrucną skiniął głową. – Tak.

– Tak myślałem – warknął porucznik, ruchem głowy wskazując świeżą ranę. – Nieźle ci przyłożył. Lepiej módl się, żebyśmy go złapali, inaczej rodzona matka cię nie pozna! – Odwrócił się, kiwając ręką na żołnierza. – Na górę, tymi

schodami! Mógł się prześliznąć! – Ze śmiechem oficer ruszył za żołnierzem.

Gant rozejrzał się po galerii i zerknął na główny hall. Szerokimi marmurowymi schodami zmierzało na górę dwóch mężczyzn w białych fartuchach. Za nimi podążał człowiek, który prawdopodobnie odgrywał rolę amerykańskiego generała podczas przesłuchania. Powoli ruszył przed siebie.

Minął pospiesznie galerię, otworzył drzwi na jej końcu i znalazł się na szczycie wąskiej klatki schodowej. Pobiegnął na dół, ciągnąc dłonią po surowej chropowatej ścianie, uświadomił sobie bowiem, że bardzo szybko opada z sił. Przypominało to wyciek paliwa w Firefoksie – płonące czerwienią lampki, oczekiwanie na pierwsze, niezdecydowane krztuszenie silników. Czuł, że w każdej chwili może się zaciąć, że mięśnie mogą odmówić posłuszeństwa.

Schody skręcały w prawo i wiodły dalej. Parter...? Wąski korytarzyk wyłożony płytkami. Otworzył drzwi na jego końcu. Kiedyś była tu chyba ogromna kuchnia, teraz stały rzędy krzesel, telewizor, radio, palący się jeszcze papieros, który spadł z popielnicy na dywan. Zdusił go nogą, rozsmarował po dywanie.

Na pewno nie ratowaliby małp i kota, gdyby wybuchł pożar...

Ruszył przez salę w kierunku przeciwnego wyjścia. Po drodze dopił napełnioną do połowy szklankę piwa, zostawioną na małym stoliku. Znalazł się w wąskiej sieni. Przez matowe szkło przeświecał blask księżyca. Nie mógł uwierzyć, że drzwi prowadziły na zewnątrz. Palta, kurtki mundurowe, damskie chustki, czapki zwisały z kołków po wewnętrznej stronie drzwi. Przerzucił je szybko, wybrał granatowo-zieloną kurtkę, chwycił jaskrawy szalik, po czym pociągnął za klamkę.

Drzwi stanęły otworem. Wyśliznął się z budynku, zamykając je cicho za sobą. Dzwonki alarmowe wciąż jazgotały. Były nawet na zewnątrz...

Domyślił się, że wyszedł na tyły budynku. Dalej ciągnęły się ponure bloki mieszkalne. Światła padające z okien ukazały mu wysypany żwirem dziedzińiec. Z tej strony zamiast ciemnych prętów wznosił się wysoki kamienny mur, pod którym stał zaparkowany samochód. Rzucił się biegiem.

Kiedy wyskoczył spod osłony budynku, przeniknął go zimny wiatr. Opatulił się w kurtkę i nasunął szalik na twarz. Pistolet wrzucił do prawej kieszeni. Wypróbowywał po kolei wszystkie drzwiczki samochodu. Były zamknięte.

Za jego plecami otwarto drzwi. Odwrócił się powoli, nie chcąc wywoływać podejrzeń. Dwóch mężczyzn... nie, trzeci uzbrojony, w mundurze, tuż za nimi.

W pomieszczeniach na parterze zaczynały zapalać się światła, zalewając blaskiem dziedziniec.

Władimirow wystąpił do przodu, a strażnik prześliznął się obok niego, uniósł karabin do ramienia i wycelował w Ganta. Chłostana zimnym wiatrem twarz Władimirowa była do połowy skryta w cieniu, lecz Gant dostrzegł wykwitający na niej uśmiech i niewymowną radość. Rozpaczliwie szarpnął kłamkę drzwiczek samochodu za sobą. Zamknięte.

Dwóch mężczyzn wyszło zza rogu budynku, przystanęli na chwilę, po czym ruszyli naprzód. Samotna sylwetka przy drugim końcu budynku. Mur za plecami. Władimirow przy wyjściu.

Władimirow ruszył powoli w stronę Ganta. Strażnik wciąż trzymał karabin przy ramieniu. Jego cel stał nieruchomo. W drzwiach pojawiło się dwóch lekarzy w białych fartuchach, drząc od mrozu. Za nimi wyszedł cywilny agent KGB.

Gant odwrócił się błyskawicznie, wskoczył na maskę samochodu i z uginającymi ze zmęczenia nogami wdrapał na dach. Wygiął cienką blachę swoim ciężarem. Pocisk o centymetry minął jego głowę i uderzył w mur.

– W nogi! – wrzasnął Władimirow do strażnika. – Celować w nogi! Nie zabijać go!

Odwrócił się twarzą do muru – podniecony, jakby pod wpływem alkoholu lub narkotyków. Skoczył, czepiając się palcami i zdzierając skórę na nierównych kamieniach muru, ale osunął się z powrotem na dach samochodu.

– Zatrzymać go!

Szybkie kroki na żwirze. Nie obejrzał się nawet. Wiedział, że co najwyżej zdąży jeszcze raz skoczyć. Stał na miękkich nogach. Odgłos ciężkich kroków ledwie kilka metrów za plecami, łomot butów o maskę samochodu. Skoczył.

Dosięgnął, podciągnął w górę, ale nie dał rady, podciągnął się raz jeszcze, centymetr po centymetrze przesuując głowę wzdłuż kamieni, aż wreszcie wysunął twarz ponad krawędź muru i poczuł uderzenia zimnego wiatru. Coś dotknęło, po czym chwyciło jego lewą nogę. Wierznął energicznie. Dwa pociski uderzyły w kamienie obok lewej dłoni, zanim zdołał wydzwignąć się na szczyt muru. Spojrzał w dół, wysokość przeraziła go. Dwa kolejne pociski, drugi osmalił żarem lewą łydkę. Przerzucił obie nogi przez mur i skoczył na chodnik. Minął go samochód, błysnęły reflektory. Cicha, boczna uliczka...

Nogi ugięły się pod nim i usiadł ciężko na chodniku. Obmacał obie kostki, spodziewając się bólu zwichnięcia czy skręcenia. Wreszcie stanął na nogach.

Spojrzał w górę. Pojawiła się twarz. Wyciągnął pistolet i strzelił. Pocisk odłupał kawałek kamienia u szczytu muru. Głowa zniknęła. Szybko rozejrzał się na boki. Tonący w półmroku kanion między ścianami domów mieszkalnych. Zapalonych było tylko kilka latarni, dających niewiele światła. Przemknął przez ulicę, z radością nurkując w głęboki cień.

Usłyszał zgrzyt otwieranej bramy, startery silników – początek pościgu. Czuł ból w nodze, ale to chyba tylko osmalenie po pocisku. Udało mu się uciec. Nie poznawał tej części miasta, przynajmniej na razie. Ruszył biegiem w zabienny mrok nocy.

– Hercules poleci na południe tą trasą, zrzucając spadochroniarzy. Potem zacznie schodzić, markując lądowanie w Ivalo, a gdy zniknie z rosyjskich radarów, zawróci i lecąc tuż nad ziemią, przy drugim przejściu zrzuci tych pięć palet ze sprzętem, tak jak stoją. – Waterford urwał i przeniósł wzrok z Aubreya na pilota. – Czy jedna świeca dymna wystarczy do oznaczenia miejsca? – zapytał. Pilot skinął głową. Waterford z powrotem spojrzał na Aubreya. – Buckholz i inni, nie potrafiący skakać ze spadochronem, zostaną przewiezieni jednym z dwóch śmigłowców Lynx, jakie tu mamy – po czym, nawet bez cienia uśmiechu, dodał: – To proste.

Aubrey cały czas kiwał głową. Kiedy Waterford skończył, uniósł wzrok. – Bardzo dobrze. – Spojrzał na zegarek. – Czy będziecie gotowi do startu o...?

– Najdalej za godzinę – wtrącił pilot.

– Świetnie. – Aubrey obrzucił spojrzeniem wewnątrz transportowca. Oddział SBS, dowodzony przez Waterforda, wkraczał na pokład, dźwigając ze sobą broń, skrzynki, narty, sprzęt do nurkowania. Brooke i jeszcze jeden oficer komandosów wraz z oficerem zaopatrzeniowym WRAF sprawdzali listy ekwipunku, jaki został zabrany ze Scampton. Aubrey pomyślał przez chwilę, czy nie przemówić bezpośrednio do komandosów.

– Sir... – odezwał się radiooperator.

– Słucham?

– Londyn sygnalizuje natychmiastową łączność, sir. To Mr Shelley. Najwyższy priorytet.

– Już idę. – Przeszedł przez ładownię miękkim z podniecenia krokiem i usiadł przed pulpitem łączności. Zaczekał, aż operator skinął mu głową, po czym rzekł do mikrofonu: – Peter, tu Aubrey. Co się stało?

Czekał niecierpliwie. Przeklinał tę przyspieszoną łączność wprowadzoną w miejsce zwykłej szyfrowanej transmisji bezpośredniej, znacznie szybszej i poręczniejszej. Rozmowy ciągnęły się w nieskończoność, przerywane okresami ciszy, którą mogły wypełnić jakże ważne słowa. Światelko wskazywało, że nagrywany jest obecnie znacznie przyspieszony głos Shelleya.

Wreszcie operator uderzył w przyciski i nagranie zostało odtworzone, lecz słowa brzmiały nienaturalnie, wypowiedane jednym tchem, jakby odtwarzane z nieco odmienną prędkością.

– Sir, chodzi o Ganta. Uciekł z Instytutu na Prospekcje Mira... – Shelley zrobił pauzę, czekając na odpowiedź, wreszcie przypomniał sobie, że nie jest to połączenie zwykłą linią telefoniczną. – Jeden z naszych ludzi obserwował budynek. Doniósł nam o alarmie i wielkim zamieszaniu. Widocznie przeskoczył przez kamienny mur na tyłach, ale nasz człowiek nie znalazł nawet śladu po nim. Wśród ludzi KGB wybuchła panika. Zarządzono poszukiwania na gigantyczną skalę...

Shelley umilkł, nie wyłączając się. Niemal natychmiast Aubrey odpowiedział: – Peter. Zaczekaj, proszę, aż ściągnę tu Charlesa Buckholza. Czy jesteś pewien, że poszukują właśnie jego? – Odwrócił się i krzyknął na cały głos: – Waterford! Zawołaj Buckholza, jak najszybciej, proszę!

Waterford natychmiast zniknął w drzwiach dla spadochroniarzy z boku kapturki. Buckholz nadzorował załadunek jednego z dwóch Lynxów stojącego obok Herculesa przy rampie na lotnisku w Kirkenes. Aubrey zabębnił palcami o obudowę pulpitu. Zabrzmiało to niczym dźwięk wielkiego kotła.

Znów zapłonęło czerwone światelko i po chwili rozbrzmiał głos Shelleya.

– W odpowiedzi na pańskie pytanie, sir, informuję, że brytyjska i amerykańska ambasada zostały odcięte. Żadnych wyjaśnień, żadnych oficjalnych kontaktów. Przed budynkami stoją szeregi samochodów. W każdej chwili spodziewają się zerwania łączności telefonicznej. Nasi ludzie z różnych części Moskwy donoszą o nadzwyczajnej aktywności KGB. Zmasowana obława, takiego terminu użył David Edgecliffe. Czy mam jeszcze czekać, sir?

Aubrey obrócił się na stołku. Buckholz, z twarzą do połowy skrytą w wielkim futrzanym kapturze kurtki, wkraczał właśnie do samolotu. Waterford tuż za nim. Podbiegł szybko do Aubreya.

– Nawiać...! – rzucił Aubrey. – Niech go cholera, udało mu się nawiać! Zarządzili poszukiwania w całej Moskwie! – Buckholz wyszczerzył zęby i huknął Aubreya w ramię. Nim jednak zdążył się odezwać, Aubrey strzelił palcami,

wydobywając z grubych rękawic głuchy dźwięk, i rzekł szybko: – Zmasowana obława, tak twierdzi szef siatki moskiewskiej. Czy rozumiesz, co to oznacza, Charles? Czy rozumiesz? Mój Boże...

– Co?

– Oni nie wiedzą... nic z niego nie wyciągnęli! – Ścisnął w garści klapy kurtki Buckholza. – Gdyby już wiedzieli, nie wyganiałoby wszystkich swoich ludzi na ulice Moskwy w poszukiwaniu. Jest im nadal potrzebny!

– To tylko domysły... na pewno nie potrzebują nas, żeby go ponownie schwytać...

– Poruczniku! – Aubrey zwrócił się do pilota Herculesa. – Proszę nawiązać łączność z Eastoem. Potrzebny mi jest aktualny raport o aktywności Rosjan w pobliżu granicy. – Pilot skinął głową i ruszył szybko w stronę swego fotela. – Nie wierzę, że on im cokolwiek powiedział, Charles. Po prostu nie wierzę!

– To tylko kwestia czasu, Kenneth. Nie sądzę, by udało mu się długo ukrywać na ulicach. Czy mamy kogoś, kto mógłby się nim zaopiekować?

Aubrey odwrócił się w stronę pulpitu. Operator skinął głową. – Peter. Jakie są szanse odnalezienia Ganta?

Czekał, wsłuchując się w ciężki oddech Buckholza, i błagał wzrokiem czerwone światelko, by wreszcie zgasło.

W końcu ponownie rozbrzmiał głos Shelleya. – Doniesienia Edgecliffe'a są pod tym względem jasne, sir. Sam zresztą sprawdziłem. Każdy znany punkt kontaktowy, każdy pracownik ambasady przebywający poza jej terenem znajdują się już pod nadzorem. Edgecliffe przypomniał mi... – Shelley zrobił krótką pauzę, po czym dodał bardziej posępnym tonem: – My... wykorzystaliśmy wszystkich najlepszych ludzi dwa dni temu, w szczególności Pawła. On wciąż jest wściekły po stracie Pawła...

– Do diabła z wściekłością Edgecliffe'a! – Operator przebiegł palcami po klawiaturze, próbując uchwycić nieoczekiwaną, nagłą odpowiedź Aubreya. – Czy nie ma już nikogo więcej? Nie przychodzi im do głowy, gdzie Gant mógłby się podziać? – Gdy jego pytania przekazane zostały w eter, odwrócił się do Buckholza. – Sam rozumiesz, Charles, że w ten sposób nasz limit czasu wydłuża się. Gant oddalił od nas moment egzekucji. – Z kabiny wyszedł pilot, zamykając za sobą drzwi. – Zauważono jakąś aktywność? – zapytał Aubrey.

– Żadnej zmiany sytuacji.

– Widzisz, Charles? Oni nic nie wiedzą!

– I co z tego?. Mogą złapać go w każdej chwili. Chyba powinniśmy się teraz modlić, żeby przejechał go autobus!

Aubrey nie zdążył odpowiedzieć, znów rozległ się głos Shelleya.

– Żadnych informacji, sir. Personel naszej placówki w Moskwie po prostu nie może się ruszyć z miejsca. To samo dotyczy Amerykanów. Mamy kilku szeregowych obserwatorów, których Edgecliffe wykorzystywał, ale nikogo, kto mógłby udzielić pomocy, nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie szukać Ganta. Udało mu się uciec, ale to wszystko, co możemy na razie powiedzieć, sir. Nie jesteśmy w stanie nic dla niego zrobić.

Aubrey poderwał się, uderzając prawą pięścią w lewą dłoń. Głuchy odgłos. Dzikim wzrokiem rozejrzał się po zatłoczonym, wypełnionym cichymi głosami ludzi wnętrzu Herculesa. Z ust wydobywały się obłoczki pary. Przez otwartą rampę towarową widać było połyskujące blade światelka pasa startowego i słupków perymetrycznych. Wyglądało na to, jakby Aubrey spodziewał się znaleźć ochotnika wśród komandosów i personelu RAF. Jego wzrok spoczął na Buckholzu.

– Musimy coś zrobić, Charles. Musimy w jakiś sposób spróbować wyrwać go z ich łap! Teraz, kiedy istnieją jakieś szanse, kiedy możemy wywalczyć sobie tyle czasu, ile będziemy potrzebowali... Nie możemy pozwolić, by zabrali go z powrotem do Instytutu!

– Zgadza się... Ale czego, do diabła, spodziewasz się po mnie?

– Pomyśl, Charles! Pomyśl!

– O czym? O czym, do cholery, miałbym pomyśleć, Kenneth?

Aubrey w zamyśleniu oddalił się na kilka kroków od Buckholza, po czym wykonał zwrot i szybko wrócił do pulpitu. – Peter. Czy mamy kogoś... kogośkolwiek, kogo można by wykorzystać?

Ze zmarszczonymi brwiami i ściągniętą twarzą czekał w milczeniu na odpowiedź Shelleya.

– Nie mamy żadnego Rosjanina, który mógłby go odnaleźć, nawiązać kontakt i udzielić schronienia. Nikt z naszych pracowników nie zbliżył się do niego. Przy dużej dozie szczęścia moglibyśmy go co najwyżej zlokalizować. Nie mamy jednak nikogo zaufanego, kto mógłby się nim zająć... mam na myśli wszelkie sposoby zajęcia... – dodał Shelley miękko, wręcz przepraszającym tonem. Aubrey z obrzydzeniem zmarszczył nos.

– Nie chcę, żeby go zabito! – warknął, odwracając się do Buckholza.

– Nawet gdyby udało się go znaleźć? – zapytał Amerykanin z wyraźną ironią. – Pogódź się z faktami, Kenneth. Masz związane ręce. Nasze obie siatki w

Moskwie są unieruchomione. Nie wiemy, gdzie się znajduje i dokąd może pójść... Nie możemy mu pomóc, nawet gdybyśmy go znaleźli!

Aubrey błagalnym gestem wyciągnął przed siebie dłonie, lecz z jego twarzy nie zniknął wyraz wściekłości. – A więc daj mi kogoś, kto mógłby mu pomóc! Charles, CIA musi mieć tam kogoś, jakiegoś Rosjanina, mającego środki, odwagę i inteligencję, by pomóc Gantowi! Daj mi kogoś ze swoich informatorów kategorii A, Charles!

– To nie leży w mojej gestii, Kenneth.

– Żeby ocalić Ganta, a nawet żeby ocalić to wszystko...? – Opisał dłońmi koło obejmujące ładownię samolotu; na równi ludzi, sprzęt, jak i cel akcji. – Daj mi kogoś ze swoich źródeł. Kogoś, kto ma swobodę ruchu, kto mógłby podróżować!

Buckholz milczał przez jakiś czas. Po chwili z zamyślonym wyrazem twarzy zaczął spacerować tam i z powrotem. Dłońmi w rękawicach bądź to pocierał policzki, bądź skubał szyję. Aubrey przekazał Shelleyowi, by pozostał w kontakcie i czekał na instrukcje. Przez długie minuty wpatrywał się, jak Buckholz intensywnie przebiera w pamięci swą rozległą wiedzę o dotychczasowych operacjach CIA w Moskwie.

Zbierali wszelkie informacje, hojną ręką odpłacając bądź trzymając perswazją siatkę agentów. Mieli dostęp do wielu Rosjan na kluczowych stanowiskach, którzy przekazywali najważniejsze wiadomości. Ci zaliczani byli do źródeł kategorii A. Powinien być wśród nich ktoś na tyle młody i na tyle energiczny, by zlokalizować i zająć się Gantem... a może nawet wywieźć go z Moskwy...?

Tylko czy Charles się zgodzi? Czy podejmie ryzyko narażenia któregoś z głównych agentów CIA na problematyczne poszukiwania i problematyczną opiekę nad Gantem?

W końcu Buckholz stanął przed nim i raz tylko nieznacznie skinął głową.

– Źródło Burgoyne – rzekł lakonicznie. – Będę musiał to uzgodnić z Langley... Źródło Burgoyne wydaje się najbardziej... dyspozycyjne. – Aż wzdrygnął się na widok wyrazu twarzy Aubreya, po czym parsknął: – Tak jak Fenton, Paweł czy nawet Baranowicz? Jesteś bardzo... rozrzutny, Kenneth.

– Niech cię cholera, Charles – sapnął Aubrey, a jego poblądła nagle twarz zdradzała rozczarowanie. – Domyślam się, że Burgoyne to najmniej ważne z twoich źródeł – rzekł kwaśno. – Ile źródeł kategorii A macie tam obecnie, Charles?

– Może trzydziestu... w różnych ministerstwach, Sekretariacie, Radzie Najwyższej, zjednoczeniach przemysłowych, w Banku Narodowym...

- A Burgoyne jest jednym z najmniej znaczących, prawda?
- Owszem. Poza tym znudziło nam się już ciągle perswadowanie jej.
- Jej?
- Właśnie. To kobieta. Od lat próbujemy przesunąć ją do bardziej odpowiedzialnych zadań. Nic z tego. Jest użyteczna, ale nie kluczowa, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Chcesz ją czy nie?

Aubrey przez chwilę zastanawiał się, po czym uśmiechnął. – Tak, biorę ją. Towarzystwo kobiety może oddalić podejrzenia. Poza tym musi być inteligentna i odpowiednio zasobna, inaczej nie zadawalibyście sobie trudu przekonywania jej do odpowiedzialnych zadań. Ma chyba też swobodę podróżowania... Tak, biorę ją. Czy sam pseudonim Burgoyne wystarczy, żeby wyrwać ją ze snu?

- Wystarczy. Pozwól, że sam porozmawiam z Shelleyem. Podam mu numer telefonu. Co z nią zrobisz, zależy już tylko od ciebie. Jest słabym atutem i wykreślamy ją z kręgu naszych zainteresowań. Będzie należała tylko do ciebie!
- Buckholz uśmiechnął się krzywo.

Aubrey odsunął się od pulpitu. Fenton, Paweł, a teraz źródło Burgoyne...

- Jak ona się nazywa? – zapytał przez ramię.
- Anna, Anna Achmerowna. Jest wdową. Dobiega czterdziestki. Ma prawie całkowitą swobodę poruszania się. Tylko jedna rzecz. Żyje z oficerem KGB, o ile dobrze pamiętam.

Aubrey odwrócił się na pięcie.

- Co...?
- Tylko ona wchodzi w rachubę, Kenneth. Langley nigdy nie zgodzi się na kogokolwiek innego.

Aubrey odwrócił się. W głowie mu wirowało, myśli próbowały przeskakiwać ponad groźnymi szczelinami i przepaściami otwierającymi się w opoche jego optymizmu. Gdyby Ganta można było uratować... Edgecliffe opracowałby odpowiednią trasę ucieczki, zapewnił dokumenty, a kobieta mogłaby stanowić świetną osłonę...

Buckholz skończył przekazywać instrukcje Shelleyowi i zwrócił się do Aubreya. – Czy chcesz jeszcze rozmawiać z Londynem, Kenneth?

- Tak! – Energicznie zwrócił się twarzą do Buckholza. – Uratuję go, jeśli to tylko możliwe – mruknął. – I ją... ją także uratuję! – Wiedział, na równi z Amerykaninem, że to zwykle kozactwo.

Buckholz wzruszył ramionami.

- Nie sądzę, byś miał szanse wygrać tę partię, Kenneth. Zmarnujesz tylko naszego pożytecznego agenta. Doprowadzisz do tego, że Burgoyne zostanie zabita u boku Ganta.

– Nie, Charles!

Buckholz ze złością zdjął rękawicę i wyciągnął ku niemu rozczapierzone palce lewej dłoni. Zaczął wyliczać, przy każdym nazwisku zaginając jeden palec.

– Fenton, Paweł, Baranowicz, Siemieliowski, Kreszyn, Głazunow, ten starszek w magazynie, zapomniałem jego nazwisko...

– Cholera, zamknij się! – Twarz Aubreya znowu pobladła, wargi mu drżały. Z przerażeniem powitał nadciągające ponownie poczucie winy. Serce przyspieszyło, poczuł skurcz żołądka. Wina... – A więc będę musiał odpokutować, Charles – odparł drżącym głosem. – Uratuję Ganta i twoje źródło Burgoyne! A teraz pozwól mi porozmawiać z Shelleyem...!

– Tak jest, towarzyszu wiceprzewodniczący... Tak, oczywiście. Zaraz przyjadę! – Priabin odłożył słuchawkę telefonu stojącego na nocnym stoliku, po czym odwrócił się do Anny. Na jego twarzy wykwitł wyraz wręcz chłopięcej dumy i samozadowolenia. Anna popatrzyła na niego, na rozlewający się na jego wargach szeroki, radosny uśmiech.

– O co chodzi? – spytała zaszpanym głosem, spoglądając na turystyczny budzik stojący na szafce, oparty na skórzanym etui. Druga godzina. Ziewnęła szeroko, przypominając mu, że jest środek nocy i że należy jej się reszta przewanego snu.

– Rozkazy – rzekł niemal z radością, zsuwając się z łóżka. Otworzył drzwi wpuszczanej w ścienną wnękę szafy.

– Wychodzisz?

– Tak. Ogłoszono alarm – odparł, wciągając spodnie od munduru, a następnie zdejmując koszulę z wieszaka. Pochylił nisko głowę i w pośpiechu zapinał guziki. – Twój przyjaciel, amerykański pilot, zdołał uciec – wyjaśniał podczas ubierania. – Chyba kiepsko go pilnowali. – Podniósł wzrok i uśmiechnął się. Krawat wisiał na oparciu krzesła. Sięgnął po niego i zaczął zawiązywać.

– Co się stało? – Leżała wsparta na ramieniu, kusząco odsłaniając drobne piersi ze sterczącymi od wypełniającego sypialnię chłodu sutkami. Zadrżała i zaczęła rozcierać pokryte gęsią skórą ramiona. Wsunęła się pod kołdrę. Priabin wyciągnął z szafy marynarkę munduru.

– Domyślałem się, że zarządzą gigantyczną obławę. Wiceprzewodniczący nie udziela wyjaśnień przez telefon świeżo upieczonym pułkownikom. – Wsunął ramiona w rękawy i zapinał marynarkę. – Gdzie moja czapka?

– Kiedy wrócisz?

Wzruszył ramionami. – Trudno powiedzieć, kochana. Będę koordynował część poszukiwań. Zarządzono już intensywną kontrolę ulic, to sprawa rutyny. Teraz potrzebni są tacy ludzie jak ja, żeby objąć dowództwo... – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – A także ludzie do ukarania, jeśli Amerykanin zdoła uciec. My, pułkownicy, musimy dźwigać nasze brzemię odpowiedzialności... – Uśmiechnął się ponownie. Podszedł do łóżka, nachylił się i pocałował ją.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przytrzymała trochę dłużej.

– Uważaj na siebie – mruknęła.

– Zabezpieczę sobie tyły – uśmiechnął się. – Sądząc po twojej niechęci do całego projektu, przypuszczam, że jesteś choć trochę po jego stronie, prawda?

Energicznie potrząsnęła głową. – Nie wtedy, kiedy to zagraża tobie – odparła.

Puścił do niej oko i przeszedł przez pokój. – Do zobaczenia – rzekł, naciskając klamkę. – Kocham cię. – Zamknął za sobą drzwi. Po kilku chwilach Anna usłyszała, jak cicho skrzypnęły drzwi wejściowe. Na pewno zatrzymał się tylko po to, by wziąć z wieszaka w przedpokoju kaburę z pistoletem i kurtkę mundurową.

Zadrzała i ponownie roztarła ramiona. Zsunęła nogi z łóżka, podeszła do szafy i nałożyła szlafrok. Miękkie i ciepłe, choć na jedwabnej podszewce. Zapięła go szybko.

Wyszła do przedpokoju i na chwilę stanęła przy drzwiach Maksyma. Zadowolona z panującej za nimi ciszy przeszła do kuchni. Zawsze niepokoiły ją niespodziewane wezwania Priabina, lecz tym razem odczuwała nieproporcjonalnie silny lęk. Dla niej każde takie wezwanie mogło oznaczać, że odbiera właśnie rozkaz aresztowania jej.

Włączyła niewielką świetlówkę, umieszczoną pod jedną z półek kredensu. Nie lubiła twardego światła jarzeniowego, ale w tym miejscu tolerowała je. Pozwalało na częściowe zachowanie owego intymnego półmroku zalegającego kuchnię, kiedy do niej wkraczała. Sprawdziła ilość kawy w elektrycznej maszynce do parzenia, po czym włączyła ją do sieci.

Cóż się stało...? Cóż tak bardzo ją zaniepokoiło? Na pewno nie koszmarna, powracająca w snach wizja zdemaskowania i aresztowania... Nie, to było coś innego. Nadciągało jakieś fatum, niemal tak wyraźne jak pukanie do drzwi. Tak, to było to: przecucie zguby, zrodzone wiadomością o ucieczce Amerykanina. Owo poczucie towarzyszyło jej bezustannie, od kiedy przydzielono Dmitrija do ochrony projektu z Biljarska. Wózek inwalidzki Baranowicza stał się przyczyną

narodzin jej drugiego życia – przeniesienie Dmitrija znacznie zbliżyło go do tego jej drugiego życia. Teraz, kiedy miał koordynować polowanie na Amerykanina, wkroczył na jakąś niewyraźną, mroczną drogę, na której wyczuwała groźbę dla siebie. W tym wszystkim czaiło się coś złowieszczego.

Oczywiście, Dmitrij wiedział. Miała tę świadomość już od miesięcy. Nauczyła się żyć z ciągłym zagrożeniem, jakby trzymała w ogródku za domem wściekłego psa, którego stopniowo oswajała i coraz mniej się lękała. Dmitrij nie potrafiłby jej wydać, a tym samym stracić – na pewno nie teraz, a może nawet nigdy.

Żeby można było to cofnąć – pomyślała z goryczą, nalewając gorącą kawę do dużego, brązowego kubka. Żeby można było wrócić...

Daremne wyrzuty sumienia rozbrzmiały w jej głowie niczym jęk, płacz zagubionego dziecka. Baranowicz, a jeszcze wcześniej jej mąż. Samobójstwo z powodu utraty stanowiska na uczelni – powielaczowe kopie zakazanych pism w zamkniętym biurku na uniwersytecie...

Musiała żyć ze świadomością, że zabił się po to, by ją ochronić. O niczym nie wiedziała. Dowiedziała się w KGB, po tym, jak znalazła go martwego w wannie, unoszącego się w czerwonej wodzie. Powielaczowe ulotki, spotkania, planowane demonstracje, działalność antyradziecka. Jej kochający, delikatny, niewinny mąż groźnym przestępcą? Nie mogła w to uwierzyć. Później zaś nie mogła uwierzyć, że miał na tyle odwagi, by prowadzić działalność i ryzykować uwięzienie. Zabił się, by ją ochronić, by uwolnić od piętna żony skazańca, zeka w gułagu...

Stopniowo, bardzo powoli udało jej się wyjść z tego mrocznego tunelu, w którym ją zostawił, i wrócić do życia, podjąć na nowo karierę. A potem Baranowicz – siłą oderwany od swej idealistycznej pracy, od wózka inwalidzkiego – zapędzony do budowy samolotu, bardziej niszczycielskiego, niż cokolwiek istniejącego do tej pory.

To był punkt przełomowy. Nie samobójstwo jej męża, ale zniszczenie projektu Baranowicza. Nawiązała pierwszy kontakt z amerykańskim dyplomatą i agentem na najbliższym koktajl party w ambasadzie, w którym brała udział.

A wreszcie Dmitrij – Dmitrij pracujący przy ochronie projektu tego przekłętego, piekielnego samolotu – Dmitrij odkrywający jej drugie życie...

Teraz zaś polowanie na Amerykanina. To było fatum. Nie umiała spojrzeć na to inaczej – czas spełniania złych wróżb...

Gdyby tylko zostawiono ją w spokoju, gdyby mogła cofnąć to – jej myśli piszczały niczym zagubione dziecko. Gdyby...

Siorbnęła kawy, parząc wargi. Wzdrygnęła się na dźwięk telefonu i zachłapała szlafrok. Odstawiła kubek, patrząc z niedowierzaniem na trzęsącą się dłoń. Pośpiesznie chwyciła słuchawkę aparatu wiszącego na ścianie w kuchni, nie chcąc, by powtórny dzwonek obudził jej syna.

– Słucham – rzekła półgłosem.

– Burgoyne, czy to ty? – spytał ktoś po angielsku.

– Co...? – sapnęła. – Ja... przykro mi, nie rozumiem... – Rozmyślnie odpowiedziała po rosyjsku.

– A ja tak – zabrzmiała odpowiedź. Mężczyzna mówił czysto po angielsku, ale bez amerykańskiego akcentu... Poczowała, że ogarnia ją panika, zatyka w gardle.

– Proszę, kto mówi? – spytała, starając się panować nad głosem.

– Posłuchaj uważnie, Burgoyne. Nazywam się Edgecliffe, z ambasady brytyjskiej. Mówię z zastrzeżonego aparatu, po pani stronie też nie ma podsłuchu. Wiem, że pułkownik Priabin wyszedł z mieszkania dziesięć minut temu. Została pani sama, z synem...

Owe szczegóły wzbudziły w niej dziwne emocje, jakby czyjaś dłoń pieściła jej ciało pod szlafrokiem.

– Czego pan chce? – zapytała w końcu po angielsku.

– Pomocy. Proszę słuchać uważnie. Jeśli pani chce, może pani sprawdzić moją tożsamość oraz instrukcje u oficera łącznikowego. Kiedy skończę. Dotychczasowi zwierzchnicy przekazali panią nam, Burgoyne, do wykonania specjalnego zadania.

– Jakiego...?

– Nie ulega wątpliwości, że pułkownik Priabin został wezwany do Centrali, by objąć dowództwo jakiejś części poszukiwań zaginionego amerykańskiego pilota. Potrzebna nam pani pomoc w odnalezieniu go, zanim uda się to pani kochankowi... – Po drugiej stronie rozległ się stłumiony chichot. – Nie dysponujemy odpowiednimi źródłami informacji, potrzebna nam jest pani pomoc.

– Idź do diabła! – Drżała na całym ciele, a ogarniająca ją gwałtowna wściekłość tkwiła kneblem w gardle, tak iż ledwie zdolna była mówić. – Idź do diabła, kimkolwiek jesteś!

– Posłuchaj mnie, Burgoyne – rzucił Anglik. – Nie mam czasu na sprzeczki. Zrobisz to, co ci każe. W przeciwnym razie chyba wiesz, co może się wydarzyć... chyba się domyślasz. Do ciebie będzie należało wywiezienie naszego amerykańskiego przyjaciela z Moskwy, kiedy go już znajdziemy. Przygotowałem dokumenty dla was obojga, zezwolenia na podróż, wszystko co potrzeba. Szczegółowy harmonogram rozpisany na godziny. Na razie chcę

tylko, byś była gotowa, kiedy zadzwonię.

Zapadła cisza, w trakcie której Annie udało się przełknąć tkwiący w gardle kłęb strachu. – A jeżeli... jeżeli pułkownik Priabin schwyta go?

– Wtedy nie będziemy potrzebowali twoich usług. Będziesz mogła żyć tak, jak żyjesz.

– Ale co ja mu powiem? Co z moim synem?

– Jestem pewien, że jeśli się postarasz, znajdziesz jakiegoś ciężko chorego krewnego. Powiedziano mi, że masz wielu przyjaciół. Odeślij syna do kogoś z nich. A może do swego ojca?

– Tak po prostu...?

– Wszystko jest tak po prostu. Nie masz wyboru. Żadnego. Musisz wypełniać nasze rozkazy, jestem pewien, że to rozumiesz. Nie mam zamiaru przekonywać cię, że jeśli KGB ponownie złapie Amerykanina, odzyskają swój samolot, ten, którego tak bardzo nienawidzisz. Mimo tej oczywistej prawdy nie ma potrzeby przekonywać cię, Burgoyne, ponieważ musisz zrobić to, co ci każą, a jesteś na tyle inteligentna, by wiedzieć dlaczego.

– Ale... Jak? Jak? – zapytała Anna.

– Szczegóły nie zostały jeszcze ustalone. Po prostu przygotuj się do podróży, prawdopodobnie pociągiem. Bądź gotowa wyruszyć w każdej chwili.

– Ja nie mogę... – zaprotestowała.

– Musisz. Kto wie? Przy twoich powiązaniach z pułkownikiem Priabinem nasz Amerykanin może być znacznie bezpieczniejszy przy tobie niż przy kimś innym, kogo moglibyśmy zwerbować. Do widzenia. Na razie, Burgoyne. Odezwę się wkrótce.

Rozległ się brzęk, nastąpiła cisza. Anna siedziała przez kilka minut, wpatrując się w telefon, jak gdyby człowiek, z którym rozmawiała, mógł stamtąd wyskoczyć, wysączyć się obłoczkiem dymu niczym bajkowy dżin. Samotna, gorąca łaźnia wściekłości i przerażenia spadła na jej otwartą dłoń. Uniosła głowę ku obitemu sosnową boazerią sufitowi kuchni i zawyła jak ranione zwierzę.

Najbardziej niepokoił go brak przechodniów. O tak wczesnej porze mógł się spodziewać opustoszałych ulic, lecz nadal nie spotykał ludzi i tylko z rzadka przejeżdżał jakiś samochód, od czasu, kiedy zanurzył się w mroczny labirynt między nieskończonymi szeregami bloków mieszkalnych. Od ponad dwóch godzin wędrował w stronę centrum Moskwy, przemykając bocznymi uliczkami, alejkami, przecinając zaułki i ugory. Przez cały czas miał świadomość, że

powoli, lecz nieuchronnie, zmierza w stronę sieci zastawionej na niego przez KGB i milicję.

Syreny, krążące samochody, piesze patrole, może nawet helikoptery. Z Prospektu Mira wyruszył na wschód, potem skręcił na północ, wreszcie na zachód, wykorzystując tonące w mroku otwarte przestrzenie, kompleksy sportowe, parki rekreacyjne, przeskakując przez oszronione balustradki i odpoczywając w głębokim cieniu pod drzewami. Cały czas walczył z narastającą paniką i poczuciem wyizolowania, które za każdym razem atakowały go w ciemności. Przeszedł przez park Dzierżyńskiego, minął wieżę telewizyjną Ostankino, potem park otaczający muzeum armii, ogród zoologiczny. Kiedy tylko mógł, unikał ulic, trzymał się z dala od światła.

Domy handlowe na Prospekcie Kalinina przypominały jasno oświetlone akwaria. Ponad witrynami widniały ciemne okna urzędów, ciągnących się w kierunku ulicy Czajkowskiego i ambasady amerykańskiej. Gant wiedział, że będzie strzeżona, niedostępna dla niego, ale dusił w sobie tę świadomość. Potrzebował jakiegoś celu wędrówki, jakiegoś punktu przeznaczenia. A do tego nadawał się jedynie budynek ambasady, kojarzył się w jego myślach z poczuciem bezpieczeństwa, pomocą, żywnością, snem.

W trakcie dwugodzinnej wędrówki, czajenia się, przemykania przez oświetlone przestrzenie i garbienia w bramach domów oraz pod drzewami, ambasada stała się w jego wyobraźni synonimem domowego ciepła. Nie potrzebował niczego więcej, poza wizją otwierających się drzwi. Wraz z zamknięciem tych drzwi za sobą stałby się bezpieczny. Wszystko dobiegłoby końca.

Popatrzył wzdłuż Prospektu Kalinina, jakby badał pole minowe. Dwa piesze patrole, dwa zaparkowane samochody milicyjne, trzeci sunący powoli w jego kierunku od strony mostu Kalinina. Za gęsto, nie da rady. Skręcił w prawo, w słabo oświetloną uliczkę Mała Mołczanowka. Po lewej stronie ciągnęły się ku ulicy Czajkowskiego, w stronę mostu, szeregi wysokich biurowców i domów towarowych. Ulica była pusta, jeśli nie liczyć przebiegającego w kilku susach przez jezdnię kota. Gant ruszył pospiesznie, wcisnął dłonie w kieszenie krótkiej kurtki, czapkę, którą znalazł w kieszeni, naciągnął głęboko na oczy. Już wcześniej pozbył się fartucha. Za duże buty poobcierały mu do krwi kostki u nóg, a wraz z zanikającym efektem działania narkotyków i środków uspokajających odnowił się ból w łydce po ukąszeniu psa. W pamięci odżyły wspomnienia zamrożonego jeziora i śmigłowca Lynx kołyszącego się zaledwie kilka metrów od niego, przynoszącego mu ratunek.

Kiedy mijał jeden z niskich bloków mieszkalnych na tyłach kina, z któregoś z oświetlonych wciąż okien dobiegły ciche dźwięki muzyki. Gdzieś zapłakało wyrwane nagle ze snu dziecko. Za nim, zza rogu Prospektu Kalinina skręcił samochód i Gant siłą musiał się powstrzymać, by nie zacząć uciekać. Skręcił do drzwi klatki schodowej najbliższego bloku. Nie były zamknięte. Wszedł do środka. Śmierdziało tu kapustą i zjełczałym tłuszczem. Przyłgął do ściany i czekał.

Samochód powoli przetoczył się ulicą. Przez chwilę reflektory oświetliły wejście i prześliznęły się po ścianach klatki schodowej. Odjechał. Gant, trzęsąc się, wyszedł na ulicę. Samochód milicyjny właśnie zniknął za rogiem. Ruszył szybko, pochylając nisko głowę. Z ust wylatywały obłoczki pary, stopy piekły, kolana sztywniały.

Dotarł do rogu ulicy Czajkowskiego. Szeroka, na pierwszy rzut oka prawie pusta. Wchodziła w skład ciągu bulwarów, Sadowego Koła, otaczającego centrum miasta. Po obu stronach dwu szerokich jezdni ciągnęły się szeregi drzew. Nieoczekiwanie zauważył przy krawężniku ciąg czerwono-białych barierek. Migające żółte światła, teren ograniczony linami, hałas kompresora. Jakieś roboty drogowe. Minął skrzyżowanie z Prospektem Kalinina, zerknąwszy na te same piesze patrole i zaparkowane samochody, po czym poszedł bulwarem, trzymając się cienia drzew. Ulica była zdradliwa, jasno oświetlona. Wbijał oczy w każdy cień, próbując przeniknąć go wzrokiem.

Zaparkowany samochód. Zatrzymał się. Ambasada mieściła się pod numerem dziewiętnastym, nie dalej jak sto metrów stąd, w kwadratowym, powojennym budynku. Widział dobrze jego fasadę, skrytą za ogrodzeniem, emblemat z orłem, oświetlany żółtawym blaskiem latarni. Tylko jeden samochód...

Zdusił w sobie nagły przyptyw optymizmu. Nie wolno mu uwierzyć, że był tu zaledwie jeden samochód z dwoma mężczyznami, których cienie dostrzegał przez tylną szybę. Musiał się rozejrzeć...!

Prace drogowe. Sześciu ludzi. Dwóch wspartych na łopatach, jeden na młocie pneumatycznym, trzech wykonujących powolne, rytmiczne ruchy kilofami. Skierował uwagę na okna domów, a zwłaszcza na pierwsze i drugie piętra. Były to mniejsze, jaskrawo pomalowane budynki, wciśnięte nieporadnie między bloki mieszkalne w stylu stalinowskim, wydźwignięte na kształt betonowych wież. Gant wpatrywał się w okna. Przejechał samochód, ale nie zatrzymał się, nie zwolnił nawet. Nerwowo, jakby na wpeł świadomie spojrzął na zegarek. W większości okien były zaciągnięte zasłony, rzadko gdzie paliły się światła. Pomimo mroźnej pogody dostrzegł jedno czy dwa uchylone okna. Wbijał wzrok, aż szeregi okien przed jego oczyma zlały się w ciąg tańczących punkcików,

ale nie dostrzegł niczego podejrzanego.

W jego zmarzniętym ciele zaczęło narastać podniecenie. Za bramą ambasady powinien trzymać wartę marynarz. Wystarczyłoby tylko otworzyć usta... rzucić jedno słowo, nazwisko... zdumiony marynarz otworzyłby bramę, jego drogę do wolności...

Wbrew przypuszczeniom ambasada wydawała się słabo strzeżona. Może myśleli, że będzie próbował dostać się do ambasady brytyjskiej...?

Raz jeszcze popatrzył na okna budynków. Nic. Minęło dziesięć minut. Nadal nic. Drugi zaparkowany samochód, ale zbyt daleko; tylko ten jeden przy bramie. I prace drogowe...

Spojrzał na sześciu robotników. Pracował teraz młot pneumatyczny, dwóch ludzi przebierało łopatami. Tamci trzej, którzy pracowali kilofami, odpoczywali teraz w pobliżu trójnogu dźwigającego przenośny reflektor. Hałas młota pneumatycznego rozbrzmiewał ogłuszającym dudnieniem w pustej ulicy. Każdy z trzech mężczyzn, którzy opierali się na drzewcach kilofów, spoglądał w innym kierunku. Wszystkie głowy poruszały się powoli i rytmicznie, lustrując ulicę Czajkowskiego.

Czerwono-białe barierki znajdowały się nie dalej niż dwadzieścia metrów od bramy ambasady. Cała szóstka nie była robotnikami, a prace drogowe stanowiły fikcję.

Gant przełknął ślinę i wycofał się spod osłony drzewa. Minął budkę telefoniczną. Pozostając w cieniu prześliznął się ku niej, uchylił, po czym zamknął za sobą drzwi. Całą uwagę skierował ku szklanym taflom budki. Wyciągnął drobne monety, które znalazł w kieszeni dżinsów, a następnie wykręcił numer ambasady. Bez wysiłku wywołał go z pamięci, spomiędzy innych alarmowych punktów kontaktowych. Wysunął palec z tarczy cyfrowej i czekał. W słuchawce coś brzęknęło i rozległ się przenikliwy, jednostajny pisk. Nacisnął widelki i ponownie wykręcił numer. Ten sam głośny, świdrujący dźwięk.

Linia telefoniczna ambasady musiała zostać rozłączona w centrali. Nie było sposobu na skontaktowanie się z nimi.

Zacisnął pięść i gwałtownie, lecz niezbyt mocno walnął w niewielkie lustro powyżej szczeliny na monety. Przełknął ślinę i pokręcił głową. Iluzja bezpieczeństwa zniknęła. Energicznie wykręcił inny numer i czekał, wstrzymując oddech.

Normalny, urywany sygnał.

Zostawili połączenia z ambasadą brytyjską – mógł ich zawiadomić, mógł...

– No, dalej, dalej...

Pracujący na nocnej zmianie operator centrali w ambasadzie odezwał się

w końcu. Proszę podać nazwisko, sprawę... w jego głosie zdawało się brzmieć ostrzeżenie. Gant poczuł nagłą ulgę. W głowie zaczęły mu się tłoczyć nieskładnie słowa, zanim jeszcze otworzył usta.

I wtedy usłyszał trzy szybkie brzęknięcia.

Zamarł z otwartymi ustami, nie mając odwagi przemówić. Pracownik centrali powtórzył pytania bardziej natarczywym, a zarazem podejrzliwym tonem. Gant słyszał jego oddech w chwili ciszy. Zrozumiał, co oznaczały brzęknięcia i zastanawiał się, czy telefonista również je słyszał. Musiał je słyszeć...

Linia była na podsłuchu. Nie zablokowali telefonów, mając nadzieję, że nawiąże kontakt. Prawdopodobnie w centrali gorączkowo sprawdzano numer telefonu.

– Gość? – Gant nie odpowiedział. Wpatrywał się w słuchawkę. Jakby z oddali doleciały słowa telefonisty: – Przykro mi, gościu... – po czym połączenie zostało przerwane. Tamten chciał uniemożliwić skuteczne namierzenie połączenia; obaj zdawali sobie z tego sprawę. Gant patrzył jeszcze przez chwilę na słuchawkę, po czym odwiesił ją na miejsce i niemal na ślepo otworzył drzwi budki.

Rozejrzał się po szerokim bulwarze. Czerwono-białe barierki, sześciu mężczyzn, zaparkowany samochód. Nie miał żadnych szans. Nie odważyłby się podjąć próby.

Poczuł łzy napływające do oczu i otarł je ze złością. Wbił pięści w kieszenie i zgarbił się, by powstrzymać dreszcze. Wreszcie odwrócił się plecami do ambasady amerykańskiej.

Nie zauważył, jak spod osłony jednego z drzew po drugiej stronie ulicy wynurzyła się jakaś postać i pospiesznie ruszyła jego śladem.

8.

Nieznajomi

Odgłosy jej udręki obudziły Maksyma. Jedenastolatek wszedł do kuchni, na wpół rozbudzony, przestraszony. Przetarł oczy piąstkami, a jego usta ułożyły się w podkówkę, jakby swoimi łzami chciał wyrazić współczucie. Błyskawicznie połykając łzy i wycierając oczy rękawem szlafroka, usiłowała znów stać się czułą matką, jakiej teraz najbardziej potrzebował. Ale jego pospieszne pytania były w jakimś stopniu bezosobowe. Kiedy dostał zgodę na to, by posiedzieć razem z nią, napił się soku owocowego, uspokoił i odzyskał poczucie bezpieczeństwa, wrócił do łóżka zadowolony.

Kiedy tylko została sama w kuchni, dała upust swemu przerażeniu poprzez działanie. Zadzwoiła do oficera łącznikowego z ambasady i uzyskała potwierdzenie wyroku. W gorzkim nastroju przełknęła wizję kary. A gdy połączenie zostało przerwane, nawet ten nastrój prysnął i poczuła się zmarznięta i osamotniona. Odwiesiła słuchawkę, siłą woli powstrzymując się od wyciągania jakichkolwiek wniosków i roztrząsania grożącego jej niebezpieczeństwa. Zaczęła nawet tworzyć plan mistyfikacji. Można było wykorzystać starą ciotkę z Kazania – nie miała telefonu, chociaż mieszkała komfortowo, a więc nikt nie mógłby sprawdzić jej opowieści, ani Dmitrij, ani nikt z jej przełożonych z ministerstwa...

Zaczęła na palcach wyliczać główne punkty planu.

Najpierw Maksym.

Oczywiście, do jej ojca, do dziadka. Ojciec, który troskliwie promował jej karierę, który uchronił ją przed naganą i podejrzeniami po samobójstwie męża. Ojciec, niegdyś piastujący stanowisko pierwszego sekretarza organizacji partyjnej okręgu moskiewskiego, potem członek Komitetu Centralnego Partii. Jego

odosobnienie w dacy pod Moskwą było zaszczytnym luksusem. Nadal miał swoje dojsčia, kontakty i przyjaciół, mógł uchronić Maksyma, gdyby stało się coś złego.

Przełknęła ślinę. Maksym powinien się cieszyć perspektywą spędzenia kilku dni w lasach poza miastem. Hobby starego człowieka stanowiło fotografowanie przyrody. Kupił nawet Maksymowi mały japoński aparat fotograficzny na urodziny.

Maksym ucieszyłby się...

Zaszlochała. Aparat fotograficzny nierozzerwalnie kojarzył jej się z butami piłkarskimi Dynamo, będącymi prezentem od Dmitrija. Skojarzenie tych dwóch prezentów, które wciąż miała przed oczyma, napawało ją dziwnym lękiem.

Od czasu do czasu głośno pociągała nosem i potrząsała głową, jakby chcąc oczyścić myśli z niebezpiecznych skojarzeń. Pasma jasnych włosów spadło jej na twarz. Ze złością odgarnęła je z czoła.

Gdyby się udało – gdyby, gdyby, gdyby – wszystko mogłoby trwać zaledwie kilka dni, co najwyżej trzy. Gdyby pomogła Amerykaninowi, zrobiła to, czego od niej żądano, mogłaby szybko wrócić z podarunkami i wyjaśnieniami, że ciotka poczuła się już lepiej i nie trzeba przy niej siedzieć...

Jeżeli...

Jeżeli nie, przynajmniej uratowałyby syna przed katastrofą. Ojciec uchronił ją, teraz mógł zrobić to samo dla jej syna, dla wnuka. To dosyć prosta rola. Ograniczony oraz fanatycznie przywiązany do swych idei społecznych i politycznych – żywy pomnik okresu stalinowskiego, który laniem witał u niej każdy przejaw bardziej liberalnych poglądów – był jednak zawsze opiekuńczym, posiadającym autorytet ojcem, a także hojnym, kochającym dziadkiem. Maksym lubił go, daliby sobie radę.

– Nie... – szepnęła powoli, z naciskiem. W myślach już pozbywała się syna. Gdyby tylko mogła coś na to poradzić, gdyby mogła zwyciężyć...

Wiedza Dmitrija, jej ewentualne zabezpieczenie przed KGB, jej dalsza działalność jako informatora kategorii A dla CIA – z tym wszystkim mogła zmagać się później.

Zadzwoił telefon. Spojrzała na aparat nienawistnym wzrokiem, po czym podniosła słuchawkę.

– Słucham. – To mógł być Dmitrij, ale chwila ciszy, nim jeszcze rozbrzmiał głos Edgecliffe'a, uzmysłowiła jej prawdę.

– Burgoyne? Słuchaj uważnie. Amerykanin jest wciąż na wolności, gdzieś w mieście. Nie został aresztowany ani namierzony przez milicję. Jeden z

naszych ludzi odnalazł go, ale Gantowi udało się zmylić ślad; prawdopodobnie sądził, że śledził go ktoś z KGB. Chyba próbował dostać się do naszej ambasady albo do ambasady amerykańskiej. Teraz już wie, że nie prześliznie się ani tu, ani tam.

– I co? – warknęła Anna, przekonana, że Edgecliffe nie powinien słyszeć w jej głosie niczego, poza kompetencją i odpowiedzialnością; bez względu na to, na ile mu to odpowiadało.

– Dokumenty są gotowe, dostarczymy je jeszcze przed świtem. Chcemy, żebyś zabrała Amerykanina do Leningradu, pociągiem. W czasie podróży będziecie musieli radzić sobie sami.

– A w Leningradzie?

– Ktoś będzie czekał. Przekażę sposób i miejsce kontaktu, kiedy sfinalizujemy sprawę. Zabierzemy go do Finlandii; twoje dalsze losy zależą tylko od ciebie. Przygotowaliśmy również twój wyjazd...

– Nie...!

– Na twoim miejscu zastanowiłbym się dokładniej – ostrzegł Edgecliffe. – Dajemy ci możliwość ucieczki.

– Paszport donikąd! – parsknęła.

– Jak chcesz. Zastanów się. Chcemy, żebyście znaleźli się w pociągu odjeżdżającym dziś wieczorem... Ubrania dla Amerykanina dostarczymy wraz z dokumentami. Także jakąś charakterystykę. Do ciebie należy wyłącznie dowieźć go do Leningradu.

– Ale wy musicie go najpierw znaleźć.

Edgecliffe zachichotał niemal radośnie. – Sam o tym wiem. Bądź gotowa wyjść z domu natychmiast, kiedy cię zawiadomię. Gdy tylko go znajdziemy, reszta należy do ciebie. Ty nawiążesz z nim łączność, dla nas jest to zbyt ryzykowne.

– A jeżeli nie znajdziecie go dzisiaj?

– Wtedy może być w ogóle za późno. Nie mamy czasu. W każdym razie bądź gotowa, dopóki nie odwołam akcji. Czy przygotowałaś już wszystko?

– Proszę się nie martwić, będę gotowa.

– A więc czekaj na dokumenty i następny telefon. – Umilkł na chwilę, po czym dodał: – Powodzenia.

Anna nie odpowiedziała, odwiesiła słuchawkę. Spoglądała na cień przewodu, zamierający na ściennych kafelkach. Uformował poniżej aparatu telefonicznego ciasną pętlę.

W głębi duszy miała nadzieję, gotowa była wręcz modlić się za to, by Dmitrij schwytał Amerykanina. Miał na to jeszcze resztę nocy, ranek, popołudnie...

Prosiła, błagała...

Priabin stał przed wielkim planem miasta, pocierając lewą dłonią policzek. Główne dworce Moskwy zaznaczone były kolorowymi znacznikami. Prawą rękę zagiął na piersi i po raz kolejny obrzucił wzrokiem podporządkowany mu odcinek: siedem dworców linii dalekobieżnych i jedno z czterech lotnisk wokół miasta – Szeremietiewo. Cały jego departament był w trakcie przeprowadzki, chwilowo więc, koordynując poszukiwania, zajmował w Centrali w Moskwie dawny gabinet Kontarskiego. Dmitrij Priabin odczuwał wdzięczność, że przydzielono mu statyczne zadanie operacji. Jego ludzie nie musieli patrolować ulic, przeszukiwać parków i otwartych przestrzeni, sprawdzać budynków mieszkalnych, pustych domów, placów budowy i sklepów. Nie musieli też na mrozie i nocą urządzać blokady dróg.

Z drugiej strony właśnie jego ludziom Gant mógł się najłatwiej wyśliznąć, a świadomość ta stanowiła jedyny zgrzyt w całym paśmie satysfakcji, jakiej doznawał od chwili opuszczenia Anny. Gdyby Amerykanin chciał wydostać się z miasta, najłatwiej mógł wyjechać pociągiem. A więc równie łatwo mógł doprowadzić do jego upadku, podobnie jak zrujnował Kontarskiego.

Czy uda im się szybko odnaleźć zbiega? Wydawało się niemożliwością, by długo mógł wędrować nie zauważony po ulicach miasta. Był sam, pozbawiony przyjaciół i kontaktów. Ludzie z SIS i CIA zostali odizolowani w swoich mieszkaniach, ambasadach, w obozach i aresztach. Nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc, ukrył go, wyposażył w dokumenty i zapewnił ochronę. Był absolutnie sam.

Dotknął palcem każdego z wyznaczonych punktów na planie, jakby na szczęście. Jego dłoń zatoczyła krąg wokół centrum miasta. Dworzec Leningradzki, Ryski, Sawiełowski, Białoruski, Kijowski, Pawielecki i Kurski.

A także główne lotnisko, obsługujące loty w kierunku Leningradu i Skandynawii – Szeremietiewo, na północny wschód od miasta.

Spojrzał na zegarek. Pora objechać wszystkie stacje i zajrzeć na lotnisko. Tak, powinien to zrobić. Odczuł gwałtowną potrzebę przypomnienia swoim ludziom o stawce, o ryzyku.

Rozległ się brzęczy k interkomu na biurku

– Tak? – zapytał, wcisnąwszy przycisk.

– Generał Władimirow chciałby się z wami zobaczyć, towarzyszu pułkowniku – oznajmiła sekretarka. Dziewczyna była poważnie przeziębiona, a dodatkowa praca tego dnia jeszcze bardziej pogarszała jej nastrój.

– Gdzie?

– Tutaj, towarzyszu pułkowniku.

– Dobrze, wprowadźcie go natychmiast.

Priabin wyszedł przed biurko Kontarskiego – swoje biurko – i przyjął wręcz teatralną pozę, mającą oznaczać pewność siebie. Kiedy spotkali się na pokładzie samolotu pierwszego sekretarza, wyczuł, że generał spoglądał na niego z góry. Chciał teraz zrobić dobre wrażenie, nie wyglądać w tym gabinecie na intruza czy też tymczasowego zastępcę. Sekretarka – z chusteczką przy nosie, przede wszystkim z powodu malującego się na twarzy generała niesmaku – otworzyła drzwi, wpuściła Władimirowa do środka i szybko zamknęła je za nim.

Priabin wyciągnął rękę. Władimirow uściśnął ją pospiesznie. Dmitrij popatrzył prosto w oczy generała. Przekrwione, lecz wciąż intensywnie błyszczące. Tej nocy Władimirow chyba nawet nie zmrużył oka. Priabin domyślał się, jak wielką ujmą na honorze, jaką zniewagą była dla niego ucieczka Amerykanina. Zaledwie kilka godzin temu był pewny siebie i bliski odkrycia prawdy. A teraz więzień znów znalazł się na wolności. Władimirow odbierał to prawdopodobnie jako kolejne z całego pasma nieszczęść.

– Jestem zaszczycony, generale. Co mogę dla was zrobić? Proszę usiąść...

– Priabin wskazał stojący przy biurku fotel. Władimirow pokręcił głową.

– Jakie podjęliście kroki, jakie wydaliście dyspozycje? Proszę mi wszystko powiedzieć – rozkazał pospiesznie, bez ceregieli. – Szybko, pułkowniku. Nie mam czasu do stracenia.

Priabin otrzymał od wiceprzewodniczącego szczegółowe instrukcje, które dla takiego autorytetu jak Władimirow nie powinny być niczym nowym. Dlatego też stanowczy, wręcz natarczywy ton generała był dla niego zaskoczeniem. Władimirow został wyznaczony na głównodowodzącego polowaniem na Amerykanina – sam ten fakt był niezwykle, nie pracował on bowiem w KGB ani nawet w GRU – ale w ten sposób KGB chciało się zabezpieczyć. Gdyby Amerykaninowi udało się wymknąć, tylko Władimirow ponosiłby za to odpowiedzialność, nie ucierpiałby nikt z KGB. Stąd też Priabinowi, chociaż skarconemu tonem starego lotnika, było go trochę żal.

Pospiesznie objaśnił rozmieszczenie swoich oddziałów, korzystając z wiszącego na stojaku planu miasta. Władimirow stał obok niego. W jego oddechu czuć było whisky i pastylki miętowe. Energicznie potakiwał głową, z wyraźnym trudem tłumiąc wściekłość i zniecierpliwienie. Kiedy Priabin skończył, Władimirow zmierzył go tym samym przenikliwym wzrokiem, jaki wbijał w plan miasta z kolorowymi znacznikami.

– A więc będziecie po prostu czekali, aż któryś z waszych ludzi rozpozna

go i aresztuje – zauważył w końcu z ewidentną złośliwością i sarkazmem. Jego brwi powędrowały w górę. Priabin poczuł, że się czerwieni, policzki go paliły.

– To... są klasyczne i sprawdzone metody, towarzyszu generale – rzekł powoli, ociężale.

– Te same klasyczne metody, które pozwoliły Amerykaninowi uciec ze szpitala.

– Ja...

– Odwiedziłem, jak do tej pory, trzy departamenty w tym budynku – rzekł z naciskiem Władimirow. – Wszędzie słyszałem wariacje tego samego refrenu: rutynowe, normalne, zwykłe. To samo powtarzają wszyscy, wiceprzewodniczący, dyrektorzy departamentów, wicedyrektorzy i ich asystenci. – Wymachiwał rękoma w powietrzu, by podkreślić beznadziejne rozgoryczenie. – Ludzie, którzy powinni wiedzieć więcej, dużo więcej, powtarzają to samo co wy. Czy sądzicie, że to wystarczy, pułkowniku? Czy uważacie, że robicie wszystko co w waszej mocy, by schwycić najważniejszego uciekiniera w całym Związku Radzieckim? – Priabin popatrzył w stronę drzwi, ni to z zakłopotania i niepewności, ni to w oczekiwaniu pomocy. Generał ciągnął dalej: – Wasza organizacja posiada zbyt wiele doświadczenia z więźniami, ale za mało z uciekinierami. – Jego wargi wygięły się w krzywym, posępnym, aroganckim uśmiechu. – A może jeszcze nie obudziliście się? – Ponownie uniósł lewą brew w ironicznym wyrazie, lecz z jego oczu nie zniknęły dzikie błyski. Odwrócił się w stronę mapy. – A więc? – zapytał. – Nie macie nic do powiedzenia? Zupełnie nic? Nie macie żadnych pomysłów?

Priabin odchrząknął, starając się zachować niewzruszony wyraz twarzy. Jego myśli krążyły wokół problemu skutecznego a zarazem oględnego pozbycia się generała z gabinetu.

– Ja... Przykro mi, że nie jesteście zadowoleni, towarzyszu generale. Rozumiem, że nasze metody są dla was, nie obeznanego...

Władimirow spojrzał na niego. Białe światło lampki na biurku padło na jego policzki, ukazując wyraźnie martwą, nienaturalnie gładką skórę po transplantacji. Na pomarszczone czoło zsunął się kosmyk siwych włosów. Generał ruchem głowy odrzucił go do tyłu.

– Nie obeznany? Czy strażnicy więzienni nie są tacy sami na całym świecie? – syknął. – Nadęte bałwany uzbrojone w pałki i pistolety? A więc? Macie jakiś pomysł czy nie?

Priabin zapatrzył się na mapę. Okrąg znaczników jak pływaki sieci. Na takich samych mapach w innych pokojach zaznaczono inne miejsca. Nad całym

miastem została zarzucona gigantyczna sieć. Wkrótce uciekinier musi zostać schwytany. Sadowe Koło, plac Czerwony, rzeka, szerokie aleje i prospekty, wąskie uliczki, budynki, pomniki – Gant zdany był wyłącznie na siebie. Do tej pory tylko raz poruszał się po mieście i to niewiele dłużej niż przez godzinę – kiedy zmierzał na spotkanie z nieżyjącym już agentem Pawłem Upieńskim.

Priabin zacisnął pięść i zaczął uderzać nią w otwartą lewą dłoń. Z placu Czerwonego, z hotelu Moskwa, obok GUM, w kierunku rzeki. Tam zostało popełnione morderstwo. Potem uciekali metrem do magazynu przy ulicy Kirowa... Następnego ranka wywieziono go ciężarówką z Moskwy. On nawet nie znał miasta! Ani trochę...!

Palcem wskazującym przejechał po planie trasą, którą Gant, występujący wówczas jeszcze jako Orton, musiał przebyć z hotelu Moskwa na miejsce spotkania przy moście. Kiedy dotarł do stacji Pawieleckiej, zaczął sunąć palcem tą samą trasą po raz drugi.

– O co chodzi, człowieku? – zapytał niecierpliwie Władimirow. – Obudziłeś się już? A może śnisz na jawie?

Priabin uśmiechając się spojrzał na generała. – Mam wrażenie, że się obudziłem, towarzyszu generale! – odparł z pewną dozą radości w głosie. Ów pomysł mógł przynajmniej pomóc mu pozbyć się nieprzyjemnego starucha.

– O co chodzi? – ekscytacja Władimirowa zaczynała być niebezpieczna.

– Gant bardzo słabo zna Moskwę. Oczekuje chyba, że będą go szukali, jest przecież kimś ważnym. Jeśli wiedzą, że uciekł, a prawdopodobnie wiedzą, wysła swoich ludzi na poszukiwania; zwykłych informatorów, szeregowych agentów, wszystkich, jakich uda się ściągnąć z łóżek tej nocy. On z kolei może kręcić się gdzieś tu, przy trasie, którą wtedy zmierzał na spotkanie z Pawłem Upieńskim i pozostałymi. Jest to jedyny punkt znany także jego zwierzchnikom.

Władimirow spojrzał z powątpiewaniem, lecz zaraz skinął głową.

– Mogą wyjść z takiego założenia... a on także... – Popatrzył na Priabina. – Świetnie, więc od czego zaczniecie? Szybko, człowieku. Od czego?

Priabin wcisnął przycisk interkomu. – Przyniescie mi teczki z dokumentami siatki Upieńskiego. Tak, wszystkie. Całej siatki! – Podniósł wzrok. Ilu ich było? Upieński, starszek, Borys Głazunow, który zmarł podczas przesłuchania, Wasilij, który zniknął bez śladu, jeden czy dwóch innych, tylko podejrzanych... Niewielu, ale dobry punkt zaczepienia. Na początek.

– Jeśli on będzie chciał spróbować, zaczeka do świtu, żeby wmieszać się w tłum – wyjaśnił Priabin, ponownie spoglądając na plan miasta. Na tyle

przekonywająco zrelacjonował swój pomysł natarczywemu generałowi lotnictwa, że sam powoli zaczynał w niego wierzyć. – Tak, zaczeka do świtu, żeby się ukryć w tłumie. Odwrócił się, kiedy weszła sekretarka. Położyła teczki na biurku, pociągnęła nosem i wyszła. Władimirow ściągnął pierwszą z góry. Na obwolucie widniało nazwisko Borysa Głazurowa. Otworzył ją energicznie, z jakąś desperacką, wręcz żalosną nieświadomością. Priabinowi wydało się to głupotą, ale generał wyglądał na usatysfakcjonowanego. Delikatnie pokiwał głową.

Władimirow uniósł wzrok. – Pomóż mi, człowieku! Są tu nazwiska, adresy, krewni i znajomi. Weźcie ich wszystkich pod obserwację. I zaprowadźcie mnie do departamentu odpowiedzialnego za patrole uliczne we wskazanym przez was obszarze. Szybko! Nie stójcie tak, pułkowniku. Chociaż raz zapracujcie na swoją pensję!

Hercules dotarł do południowego krańca wyznaczonej trasy, posługując się kanałem powietrznym, numerem lotu oraz kodami lotnictwa cywilnego. Pilot potwierdził odbiór instrukcji lądowania z lotniska w Ivalo, po czym zszedł poniżej zasięgu rosyjskich radarów. Posługując się zarówno wizualną, jak i elektroniczną nawigacją, wykorzystując radar do mapowania terenu, poleciał z powrotem na północ, w kierunku rejonu zrzutu. Oddział SBS, wykorzystując jednocześnie oba wyjścia dla spadochroniarzy, wyskoczył podczas pierwszego przelotu nad jeziorem na wysokości tysiąca metrów.

Na zachmurzonym niebie pojawiły się pierwsze szarawe brzaski świtu. Na przedniej szybie osiadał śnieg, drugi pilot zmuszony był od czasu do czasu włączyć wycieraczki.

Hercules leciał z wyłączonymi wszystkimi światłami.

– Rampa ogonowa przygotowana. Dekompresja zakończona pilot usłyszał w słuchawkach głos oficera zaopatrzeniowego. – Rampa otwarta. Opuszczona i zablokowana.

– W porządku. Dziewięćdziesiąt sekund do punktu startowego.

– Za punktem startowym kurs dwa-zero-pięć, kapitanie odezwał się nawigator.

– W porządku. Dwa-piętnaście.

– Punkt startowy... teraz.

– W porządku... skręcam na dwa-zero-pięć... jest dwa zero-pięć. – Przed dziobem samolotu, za zasłoną śnieżycy, świt nieśmiało rozjaśniał nieboskłon. Wycieraczki omiotły szybę. Rosnące gęsto skarłowaciałe drzewa nie pozwalały

prawidłowo ocenić odległości. – Zmniejszam szybkość do stu sześćdziesięciu kilometrów. – Pofalდowany, ośnieżony krajobraz zdawał się przesuwać tuż pod brzuchem samolotu. – Podwozie wysunięte – oznajmił pilot. – Klapy otwarte. – Zabezpieczali się na wypadek, gdyby samolot złapał kontakt z ziemią. – Szykuj się, Diane...

– Jestem gotów – odparł oficer zaopatrzeniowy.

– Mamy jezioro – powiedział drugi pilot.

Przed nimi drzewa rozstępowały się, ukazując gładką, otwartą płaszczyznę zamarzniętego jeziora, zwężającego się przy krańcu. Drzewa tworzyły wokół brzegów gąszcz niczym naturalny parkan wokół lodowiska.

– Dobra. Włącz wycieraczki na stałe. – Pod skrzydłami zaczęły unosić się z ziemi kłęby śniegu. – Widzę świecę dymną.

– Wysokość pięć metrów... cztery... trzy...

– Gotów. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... Już!

Nos Herculesa uniósł się nieco w górę, kiedy pięć palet, jedna za drugą, zjechało po metalowych szynach i zniknęło za rampą ogonową. Samolot podskoczył, jakby pokonywał niewielkie wzniesienie.

– Dobra robota. Zrzut wykonany bez przeszkód. Ci na ziemi mają już swój sprzęt... Gotów do zamknięcia rampy.

– W porządku, Diane. Zamykaj.

Hercules minął z południa zwężające się ku ujściu jeziora. Pilot przez chwilę widział drobne, poruszające się po lodzie figurki, lecz widoczność przesłonił mu nagły podmuch śnieżycy. Jezioro zostało za nimi.

– Wracamy na kurs dwa-dwa-cztery.

– W porządku, skręcam na dwa-dwa-cztery... Rampa zamknięta.

Hercules przeskoczył ponad kłębiącymi się na południowym brzegu jeziora drzewami. Między kolejnymi porywami zamieci rozjaśniające się powoli niebo ukazywało czarne, ciężkie chmury.

Gant odwlekał decyzję tak długo, jak tylko mógł. Spoglądał na poplamiony i zniszczony, szary betonowy blok mieszkalny górujący nad Dworcem Ryskim przy Prospekcie Mira. Nastął świt, wiatr przyniósł śnieżycę. Pierwsi mieszkańcy – w paltach, ciepłych butach, chustach – zaczęli wychodzić do pracy. W setkach okien odsuwano zasłony; zza szyb wyzierały pozbawione entuzjazmu twarze. Na szerokiej ulicy powoli nasilał się ruch. Z dworca z hałasem odjeżdżały pociągi, ale znacznie więcej ich dowoziło ludzi z północnych i północno-wschodnich okolic miasta.

Wrócił na Prospekt Mira niemal tą samą trasą, którą pokonał w stronę ambasady amerykańskiej, a wyszedł na ulicę dopiero wtedy, kiedy pojawiła się pierwsza fala ludzi zmierzających do pracy w centrum miasta. Teraz poruszał się znacznie szybciej, wtopiony w tłum setek przechodniów. Zaryzykował nawet krótki przejazd trolejbusem, ale poczucie uwięzienia w tłoku, narastająca niczym klaustrofobia świadomość pułapki zmusiły go do przejścia na piechotę pozostałej części trasy.

Znalazł się tu tylko dlatego, że pamiętał adres Borysa Głazunowa, którego udawał w czasie przejazdu z Pawłem z Moskwy do Biljarska. Borys Głazunow był żonaty – przypomniał sobie szczegóły dokumentów, które wręczył mu Paweł. Głazunow został aresztowany, ale może jego rodzina znała kogoś: nazwisko, adres, hasło... cokolwiek.

Minął magazyn przy ulicy Kirowa, gdzie spędził noc po zabójstwie Fentona. Zamknięty i opuszczony. Stary dozorca także musiał zostać aresztowany. W pośpiechu, ze zdwojoną szybkością, wycofał się stamtąd. Adres Głazunowa był jedynym jego kontaktem z ludźmi, związanymi z operacją kradzieży Firefoxa. Musiał przynajmniej spróbować.

Był przemarznięty, chociaż zaspokoił już głód. W budce z gorącymi przekąskami dla pierwszej zmiany, stojącej na osiedlu przy Sadowym, kupił miskę gęstej zupy, porcję chleba oraz spieczonego pieroga z szarawym nadzieniem mięsnym. Teraz paliła go zgaga, pozbył się jednak narastającego poczucia nie-realności. Nie stać go było na pogrążenie się w uludzie, owo poczucie przerażało go. Nauczył się być ostrożny, czujny, przebiegły – tylko po co? Cóż mógł zdziałać? Jak wiele dni i nocy mógł spędzić na ulicach, nie mając dokumentów, z topniejącym zapasem rubli i kopiejek, żywiąc się przy buchających parą budkach ulicznych i jeżdżąc klaustrofobicznymi tramwajami i trolejbusami? Nie dostrzegał końca tego wszystkiego i to napawało go prawdziwym przerażeniem.

Czekał przez dwadzieścia minut, dopóki nie zyskał pewności, że budynek nie jest obserwowany, że żaden wywiadowca ani samochód nie zatrzymuje się na dłużej przy wejściu, że nie wkroczył do środka żaden oddział milicji albo KGB. Ruch uliczny nasilał się. Partyjne limuzyny przemykały między szeregami starych aut i dużych ciężarówek, wykorzystując odgraniczony żółtą linią pas wewnętrzny. Regularnie przyjeżdżały i odjeżdżały pociągi. Ludzie wysypywali się z wieżowca i z sąsiednich budynków na Prospekcie Mira coraz liczniejszym tłumem.

W końcu podreptał w miejscu w swoich za dużych butach, zarówno

z niecierpliwości jak i przemarznięcia, przy następnym zielonym świetle przeszedł przez jezdnię i wkroczył po schodkach w stronę wejścia do wieżowca.

– Tak, szybko. Proszę natychmiast przyjechać. Wieżowiec Gagarina przy Prospekcie Mira, niedaleko skweru Kułakowa. Proszę się pospieszyć, musi pani wziąć samochód... Amerykanin przed chwilą wszedł do wieżowca. Nie, nie wiem, czy czekają na niego. Mieszkał tam ktoś, kogo aresztowano, nie wiem, co się stało z jego rodziną... Ale właśnie przed wejściem zaparkował samochód KGB. Tak, widocznie ktoś musiał go rozpoznać. Co? Siedzą ciągle w samochodzie... Muszę wejść i ostrzec go. Tak, proszę się pospieszyć. Proszę zaparkować na skwerze Kułakowa. Jaki ma pani samochód? Tak, a numer? Szybko, proszę. Nie, wciąż siedzą w samochodzie. To może oznaczać, że mają swoich ludzi w budynku... Muszę pędzić. Proszę dojechać na skwer Kułakowa tak szybko, jak tylko możecie!

Obszerny, brudny hall wieżowca wyłożony był poplamionym, pozadzieranym linoleum. Ścianom bardzo by się przydała świeża warstwa kremowej farby. Jedna z sześciu wind nie pracowała. Gant, nie zauważony pośród spieszących do wyjścia mieszkańców, próbował odtworzyć w pamięci dokumenty Głazunowa, które wręczył mu Paweł. Przypomniawszy sobie gruboziarniste zdjęcie, zastąpione później jego własną podobizną, rubrykę z nazwiskiem, szeregi oficjalnych pieczęci, adres.

Numer, numer mieszkania...

Potrąciła go jakaś spiesząca się kobieta. Przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami jakby próbowała przypomnieć sobie jego twarz, po czym pobięła dalej. Ten drobny incydent pozbawił go energii... Skoncentrować się...

Mieszkania – cztery, cztery, pięć? Pięć-cztery, tak, pięć-cztery... dziewięć, dziewięć! Mieszkanie 549. Stał przed szeregiem drzwi wind. Po tej stronie korytarza windy obsługiwały tylko piętra o parzystych numerach. Hall opustoszał na chwilę. Został jedynie dozorca, który mógł także pełnić inne funkcje. Siedział za swoim okienkiem, czytając „Prawdę”. Zza otwartych drzwi za jego plecami, prowadzących do mieszkania, dochodził zapach gotowanej kawy oraz dźwięki włączonego radia. Gant obejrzał się na odgłos kroków. Kozaczki na wysokich obcasach, długie, ciepłe palto, futrzana czapka. Roześmiana córka dozorczy.

Ubrana zdecydowanie za dobrze. Dozorca musiał być także pracownikiem i informatorem KGB. Gant odwrócił szybko głowę i zapatrzył się na drzwi windy. W pustym hallu panowała cisza. Windy nie zjeżdżały. Mijały sekundy. Siłą zmuszał się, by stać nieruchomo.

Nagle otworzyły się drzwi po drugiej stronie hallu. Odgłosy pospiesznych kroków...

Obejrzał się na dozorcę. Tamten nadal czytał gazetę, nie interesując się ludźmi. Nie spojrzął także na Ganta. Ktoś go zawołał. Odwrócił głowę, po czym wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Rozsunęły się drzwi windy, przed którymi stał Gant. Zaczekał, aż wszyscy wyjdą, a następnie wskoczył do środka i wcisnął przycisk piątego piętra. Fakt, że dozorca nie zwrócił na niego uwagi, stanowił drobny, lecz znaczący sukces. Prawdopodobnie uważał, że to któryś z mieszkańców cofa się na chwilę do mieszkania; o ile w ogóle cokolwiek myślał.

Na piątym piętrze ludzie usiłowali wcisnąć się do windy, zanim zdołał wyjść. Przedarł się przez tłum, nie zwracając uwagi na ścisk, smród odzieży i nieświeże oddechy. Przez tę krótką chwilę nie bał się ich, nie czuł urazy. Drzwi windy zamknęły się i został na korytarzu sam. Odstające, poplamione linoleum na podłodze, szereg pomalowanych na brązowo drzwi, ściany w kolorze brudnej zieleni. To miejsce wyglądało przygnębiająco. Sprawdzał kierunek, po czym ruszył w stronę wzrastających numerów mieszkań. Niektórych numerów brakowało. Zza wielu drzwi dobiegała głośna muzyka rockowa, jakby w celu zagłuszenia innych dźwięków.

Pięćset czterdzieści dziewięć. Uniósł dłoń, lecz zawahał się. Słuchał. Tu także grało radio, ale po cichu. Żadnych innych odgłosów. Obejrzał się na korytarz. Nikogo. Przełknął ślinę, odetchnął głęboko i głośno zastukał do drzwi mieszkania Borysa Głazunowa...

Przy trzecim uderzeniu, jakby na dźwięk alarmu, wydarzyło się kilka rzeczy naraz. Stuknęły otwierane drzwi windy. Gant obejrzał się. Wyszedł młody człowiek, popatrzył na niego.

Drzwi mieszkania stanęły otworem. Gant odwrócił się. Przed nim stał wysoki mężczyzna, który na widok przybysza uśmiechnął się szeroko. W głębi mieszkania ktoś powiedział coś nie znoszącym sprzeciwu tonem. Młodzieniec przy windzie krzyknął. W jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie.

Dłoń Ganta w kieszeni kurtki zacisnęła się na kolbie pistoletu Makarowa. Wysoki mężczyzna szczyrzył zęby w uśmiechu. Powoli, z pewnością siebie wyciągnął rękę zza pleców. Wbijał wzrok w wypełnione przerażeniem oczy Ganta. Młodzieniec ruszył ku niemu biegiem, wykrzykując ostrzeżenia.

Gant odwrócił się i wyciągał już dłoń z kieszeni, kiedy biegnący człowiek zatrzymał się nagle o dziesięć metrów od niego, wykrzykując jego nazwisko. Zabrzmiało jak prośba, a nie pytanie. Wysoki mężczyzna przestąpił próg mieszkania. Trzymał w dłoni pistolet, celując w brzuch Ganta. Amerykanin nacisnął spust i strzelił przez materiał kurtki. Rozległ się ogłuszający, powtarzany echem w korytarzu huk. Niemal równocześnie wypalił pistolet tamtego. Kula zaryła się w suficie, osypując tynk na głowę i ramiona Ganta.

– Szybko! Gant, szybko! – krzyknął młodzieniec, chwytając go za rękaw. Gant miał wrażenie, że rozpoznaje jego twarz. Drugi cywil z KGB stanął w drzwiach na końcu przedpokoju. Gant strzelił dwukrotnie na oślep. Tamten zniknął w głębi mieszkania. Z głośnym skrzypieniem otworzyło się okno, poczuł na twarzy uderzenia wiatru. – Chodź tu!

Podbiegł do okna i wyjrzał na żelazne schodki przeciwpożarowe. Młodzieniec był już na zewnątrz i zbiegał na dół. Schodki i poręcze pokrywał zamrożony śnieg i lód. Tamten prześlizgiwał się po nich ostrożnie, najszybciej jak potrafił. Gant obejrzał się jeszcze na drzwi mieszkania 549, po czym wyskoczył przez okno i stanął na drabince. Trząśnięcie się całym, zarówno z zimna, jak i emocji.

Twarz tamtego była mu znana, dwa czy trzy dni temu skrywała ją ciemna broda...

Popędził w dół schodkami, ślizgając się, podążając śladem Wasilija...

Wasilij...!

To on pomagał Pawłowi zepchnąć ciało Fentona do rzeki. Zniknął zaraz po wyjściu ze stacji metra, obok magazynu. Wasilij. Gant spojrział w górę, wzdłuż wijących się schodków przeciwpożarowych. W oknie pojawiła się twarz z krótkofalówką przyciśniętą do policzka. Dojrzał także pistolet. Musiał patrzeć pod nogi, na zdradliwe, oblodzone schodki.

Zawładnęło nim poczucie ulgi, ekscytacja z powodu uniknięcia poważnego niebezpieczeństwa. Wasilij ześlizgiwał się po stopniach pół piętra niżej. Popędził za nim.

Pierwsze piętro... parter. Chodnik. Zamknięte garaże, pojemniki na śmieci, bramka piłkarska wymalowana na ceglany murze. Wpadł na Wasilija, nie mogąc złapać oddechu.

– Wasilij...!

Tamten uśmiechnął się. – Chodź. Szybko...!

Przebiegł przez podwórze. Wasilij wdrapał się po drzwiach garażu, uchwycił okapu, wierzgnął nogami, po czym wciągnął się na płaski dach. Gant za nim. Słyszał już milicyjne gwizdki i okrzyki, ale żadnego warkotu samochodów

poza stłumionym odgłosem ruchu ulicznego na Prospekcie Mira. Wasilij przebiegł skulony po dachu i zeskoczył po drugiej stronie. Gant pobiegł jego śladem.

Wylądował na ośnieżonej ścieżce ogródka. Szczeknął pies. Wspiął się już na siatkę ogrodzenia, kiedy Gant dogonił go. Z trudem wdrapał się na parkan i skoczył na oblodzoną alejkę. Wasilij pędził w kierunku narożnika wąskiej, cichej uliczki. Gant po chwili zrównał się z nim.

– Mam nadzieję, że ona już czeka...

Stało tu kilka zaparkowanych samochodów. Wasilij, dysząc ciężko, omiatał wzrokiem tablice rejestracyjne. Gant czuł klucie w piersi, wciągając lodowate powietrze.

– Jest...? – rzucił niepewnie.

– Tak. Tam!

Przebiegli przez jezdnię. Ona? Kto taki? Pochylił się przy okienku kierowcy i skinął głową. Wepchnął Ganta na tylne siedzenie i wskoczył za nim.

– Na podłogę. Obaj! – rozległ się kobiecy głos kierowcy. Samochód zjechał z krawężnika, biorąc zakręt w lewo. Twarz Ganta znalazła się przy ramieniu mężczyzny, czuł ostre zapach jego skórzanej kurtki.

– Oni... czekali... – wysapał. Samochód skręcił w prawo. Jechali nie szybciej niż czterdzieści kilometrów na godzinę.

Wasilij, z twarzą tuż obok jego głowy, zmarszczył brwi. Energicznie pokiwiał głową. – Tak, chociaż nie byłem pewien. Śledziłem cię. Zaraz po tym, jak wszedłeś do budynku, przed wejściem zatrzymał się samochód KGB, ale nie wysiedli z niego. Stąd wiedziałem, że zastawili na ciebie pułapkę. – Minął ich samochód milicyjny na sygnale, pędzący w stronę Prospektu Mira. – Niewiele brakowało, bym nie zdążył.

– Jak długo mnie śledziłeś?

– Przez większą część nocy.

– Dlaczego więc nie nawiązałeś kontaktu?

– Nie miał takiego rozkazu – warknęła kobieta. – On zawsze wypełnia rozkazy. Wszyscy to robimy! – Gant wyczuł wyraźną urazę w jej głosie.

– Czy ktoś nas śledził, towarzyszeko? – spytał Wasilij, ku zaskoczeniu Ganta, bardzo formalnym tonem. Na jego twarzy malowała się powaga, prawdopodobnie z szacunku dla kierowcy.

– Nie.

Gant poczuł, że samochód gwałtownie skręcił w lewo. Po chwili milczenia

ostrożnie uniósł głowę. Doznał szoku, kiedy ujrzał przesuwający się za oknem pomnik kosmonautów, przedstawiający raketę na szczycie zwężającego się złotego snopa płomieni. Zaciśnął mocno dłonie, by powstrzymać ich drzenie. Znajdowali się blisko Instytutu KGB, zmierzali w tamtą stronę...!

– O co chodzi?

– Dokąd jedziemy? – zapytał piskliwym, przerażonym głosem. Pomnik zostawili już za sobą.

– W jedno pewne miejsce... – zapewnił Wasilij.

– Zmiana ubrania dla ciebie – dodała kobieta. – Zmiana wyglądu. Dokumenty. Wszystko jest przygotowane. – Nie lubiła go, wręcz nienawidziła. W jej głosie coraz wyraźniej wyczuwało się urazę. Kimże, do diabła, była?

– W porządku. A co dalej?

– Mam cię wywieźć z Moskwy.

– A Wasilij?

– On nie jest zaufanym, w każdym razie w ograniczonym zakresie. – Wasilij słysząc te słowa tylko wzruszył ramionami. Uśmiechnął się krzywo. – Ktoś doszedł do wniosku, że on nie nadaje się do wykonania tego zadania.

– A ty?

Samochód stanął pod światłami na skrzyżowaniu. Gant dostrzegął je przez przednią szybę. Auto było prawie nowe, o czym świadczyła czyściutka, brunatna tapicerka. Duży kabriolet. Ganta zaczęły ogarniać podejrzenia. Blondynka obróciła się nagle w jego stronę, tak iż mógł dokładnie obejrzeć jej profil.

– Ja posiadam odpowiednie kwalifikacje – oznajmiła – z których największą jest podatność na przymuszanie szantażem do udzielenia ci pomocy. Wasilij często zmienia adresy. Oprócz pracy wywiadowczej zajmuje się handlem na czarnym rynku. Jest użyteczny, ale nie jest ich człowiekiem. A ja tak.

Odwróciła głowę, kiedy zapaliło się zielone światło. Samochód ruszył, przyspieszając. Minęli wieżę telewizyjną Ostankino, celującą niczym stalowa igła w zachmurzone niebo. Zmieszany Gant popatrzył na mężczyznę. Poruszyła go niechęć w głosie kobiety. Niemal zaczął się bać jakiegokolwiek pomocy z jej strony.

Warkot piły łańcuchowej umilkł i Waterford uniósł głowę. Na odległym końcu przecinki, którą wciąż jeszcze poszerzali, jedno z drzew padło do przodu z trzaskiem przypominającym wystrzał z karabinu. Niemal natychmiast zaczęto

ściąć gałęzie i ściągać je na bok, by wykorzystać później do potrzeb maskowania. U końca przecinki, wiodącej łagodnym łukiem od brzegu jeziora w głąb lasu, leżała przygotowana do użytku sterta białych sieci. Większa część sieci kamuflażowych była już rozciągnięta między drzewami, tworząc coś na kształt dachu gigantycznej wiaty.

Dwaj mechanicy RAF rozwijali i sprawdzali nylonowe liny, ciągnące się od drzew, między którymi ustawiono wyciągarki aż do samego brzegu jeziora. Wybrano najmocniejsze drzewa, zdolne utrzymać trzy przytwierdzone do nich wyciągarki łańcuchowe, za pomocą których mieli wyholować Firefoxa z toni wodnej. Wyciągarki, oprócz przymocowania do drzew, były dodatkowo przytwierdzone stalowymi hakami do ziemi, chociaż nie dało się ich wbić w zamrznięty grunt na taką głębokość, by zarówno Waterford, jak i starszy oficer inżynierii z Abingdon byli usatysfakcjonowani. Nawet mechanicy z Inżynierii Królewskiej, którzy mieli obsługiwać kołowroty, nie byli przekonani co do właściwego ich umocowania. Nie mieli jednak innego wyjścia, musieli spróbować.

Waterford skierował uwagę ku grupie otaczających go komandosów. Sześciu żołnierzy SBS zostało wyznaczonych na pletwonurków, pozostałych osiemnastu w białych, arktycznych, maskujących kombinezonach stało przed nim. Niektórzy trzymali przed sobą, inni położyli na ziemi długie krosowe narty; kijki stały powbijane w śnieg. Każdy z nich dźwigał plecak, dziewięciu dodatkowo było wyposażonych w radiostacje. Mieli tym razem działać parami, a nie jak zwykle trójkami czy czwórkami; ich zadaniem było bardziej prowadzenie rozpoznania, niż tworzenie linii obrony. Stanowili system wczesnego ostrzegania – pomyślał; przy tak niewielkiej liczebności trudno było spodziewać się po nich czegokolwiek innego.

Wszyscy mieli przewieszane przez piersi gogle oraz osłonięte białymi pokrowcami karabiny. Uzbrojeni byli różnie, tak jak każda elitarna jednostka w rodzaju SBS. Trochę standardowych L1A1, kilka karabinów snajperskich kalibru 7,62, jeden czy dwa nowe karabiny Enfielda kalibru 5,56 o krótkiej kolbie, wreszcie kilka najnowszych, bezłuskowych karabinków Hecklera i Kocha kalibru 4,7 mm. Te ostatnie nawet w pokrowcach przypominały plastikowe, zwięzające się na jednym końcu deseczki. Waterford miał taki sam, dokonywał oceny jego przydatności dla potrzeb armii. Chociaż brzydki, futurystyczny, karabin ten był niezwykle skuteczny; wystrzeliwał pociski osadzone bezpośrednio na kostce materiału miotającego, zamiast tradycyjnych nabojów z łuskami pobieranych z

magazynka. Był niezwykle celny i wyrzucał pociski z taką szybkością, iż mogły przebić stalowy hełm z odległości przekraczającej pięćset metrów. Jemu podobała się ta broń. Spoglądając na uzbrojenie, przypomniał sobie, że powinien raz jeszcze uzmysłwić im charakter przeprowadzanego rekonesansu. Zrobił dwa kroki w stronę mapy rozłożonej na chwiejącym się stoliku. Osiemnastu komandosów SBS skupiło się wokół niego. Nad całą grupką, niczym dym buchający z komina, unosiła się para oddechów. Wiatr ciskał im tumany śniegu w twarze, zasypywał mapę. Ze złością zgarnął z niej śnieg rękawicą.

– Dobra, chłopcy. Dopóki jesteście jeszcze razem, chciałbym przypomnieć wam nasze zadanie. Postaram się mówić zwięźle, żebyście nie musieli robić notatek... – Postukał w mapę palcem wskazującym. – To rekonesans, macie się w nic nie angażować. Znacie swoje pozycje oraz maksymalny dystans, na jaki wolno wam się oddalić. Powtarzam, jest to tylko umowna granica, nic poza tym. Za lasem, trzy do czterech kilometrów stąd, zaczyna się otwarty, pofałdowany teren, usiany kępami krzaków. Macie znaleźć najlepsze punkty obserwacyjne i siedzieć cicho. Meldować krótko i tylko o wyznaczonych godzinach. Tym razem nie gramy w ciuciubabkę z babcią, Ciocią Kłocią i całą resztą rodziny. Chyba że obudzicie się i staniecie oko w oko z wielkim, kudłatym, rosyjskim żołnierzem. W takim wypadku możecie nie czekać na wyznaczoną godzinę, tylko wrzeszczeć: „gwałca!” i w nogi. – Rozległ się śmiech. – Z tego, co wiemy, panuje spokój. Nie spodziewamy się kłopotów, nie chcemy kłopotów, musimy jednak wiedzieć, gdyby takowe się zbliżyły. A więc upewnijcie się dobrze, że wasze milutkie, nowiutkie radiostacje działają prawidłowo, i dobrze pilnujcie tych nowiusieńkich, przepięknych lornetek, подарowanych wam przez MOD. Powodzenia. Jakieś pytania?

– Czy możemy liczyć na posiłki, sir? – zapytał porucznik. – Rozumie się, gdyby przyszło co do czego... – Zatoczył dłonią wielkie koło.

– Rozumiem. Chcielibyście wiedzieć, czy jest jakiś ptaszek z brzuszkiem pełnym kolesiów gotowych skoczyć wam na pomoc. Cóż, będą czekali w Bardufoss, gdyby cokolwiek się szykowało. Pamiętajcie jednak, że jesteście w cichym, przytulnym barze. Nie chcemy tu żadnej krwawej rozróby jak w byle spelunie, o ile da się tego uniknąć. Jasne? – Znow odpowiadzał mu śmiech. Waterford dodał: – Swoją drogą, jesteście szczęściarzami. Pomyślcie o tych, którzy będą musieli rąbać lód i spychać go na boki, by utworzyć miłą, spokojną zatoczkę, a potem urządzać tu cały warsztat naprawczy. Dobra. Powtórzmy jeszcze raz dane wyznaczonych stanowisk. Cross i Blackwell?

– Blackburn, sir – poprawił go jeden z komandosów pośród śmiechu, jak gdyby poprzedzającego znany wszystkim dowcip.

– Cross i Blackburn. Wasz kierunek? – powtórzył Waterford. Z obojętnym wyrazem twarzy patrzył na mapę, na rozchodzące się promieniście od jeziora linie, wyznaczające kierunki rekonesansu dziewięciu par komandosów. Pośród nich widniała jedna, cienka czerwona linia, określająca jego własne pole obserwacji.

Buckholz obejrzał się na grupę komandosów, po czym z powrotem popatrzył na Brooke'a. Waterford z pewnością wiedział, jak postępować ze swoimi ludźmi. To ich nerwowy, piskliwy śmiech zwrócił uwagę wicedyrektora CIA. Komandosi z SBS, podobnie jak z innych elitarnych jednostek, zachowywali się czasami nieco dziwnie. Buckholz spotykał się z podobnymi reakcjami amerykańskich oddziałów specjalnych, operujących w Wietnamie. Ci ludzie mieli jednak wykazać się sprawnością działania, a nie dobrymi manierami...

Brooke postawił butle z powietrzem koło nogi, a na mokry kombinezon narzucił białą futrzaną kurtkę. Podeszli do nich dwaj inni pletwonurkowie, jeden z nich trzymał kubki z gorącą kawą. Buckholz siorbnął napoju. Porywy wiatru miotały mu śniegiem w plecy.

– To bardzo ważne – powtórzył, wyczuwając urazę Brooke'a z powodu jego ignoranckich uwag. Zganił się za to. Nie miał zamiaru naśladować swojej babci, ale nie mógł nic na to poradzić. Brooke dwukrotnie już wchodził pod wodę przez wyrąbany w lodzie przerębel. Jego inspekcja, dotycząca w szczególności stanu podwozia, dała pozytywne rezultaty. Wraz z dwoma innymi pletwonurkami zdjęli ładunki wybuchowe założone podczas pierwszego rekonesansu. Teraz Buckholz wydał rozkaz ponownego sprawdzenia stanu podwozia. – Musimy być pewni, całkowicie pewni, że wszystkie trzy golenie wytrzymają wyciąganie samolotu na linach. On musi się wytoczyć na brzeg na własnych kołach...

– Tak, sir – rzekł sztywno Brooke.

Buckholz uśmiechnął się. – Wiem, że marudzę. Ale zróbcie to dla mnie, dobra?

Brooke odwzajemnił uśmiech. – W porządku. Sprawdzimy jeszcze raz.

– Grzeczny chłopiec.

– Mr Buckholz!

Amerikanin obrócił się. Piła łańcuchowa ponownie zaczęła hałasować. Wiatr sychnął mu śniegiem w twarz. Niebo było ciemnoszare, śnieg padał już bez przerwy, a szybkość wiatru wzrosła z dwóch do pięciu metrów na sekundę. Pogoda pomagała im zamaskować ślady zrzutu i odciski stóp na ośnieżonej

powierzchni lodu. Jednakże okresowo widzialność spadała poniżej trzydziestu metrów. Z brzegu trudno już było dostrzec drugi koniec przecinki, gdzie kapral z Królewskiej Inżynierii pracował piłą łańcuchową. Buckholz nie wierzył pogodzie. Odczuli już skutek jej kaprysów, kiedy zmuszeni byli przez trzy godziny szukać jednego z pojemników zagrzebanego w śniegu. Właśnie głównie z powodu pogody marudził i kazał wszystko trzy razy sprawdzać. Ona była kluczem do sukcesu akcji. A najgorszy był fakt, że śnieżycą tak bardzo opóźniała lot śmigłowca transportowego, że nie byli nawet pewni, czy przybędzie na czas, kiedy już wyciągną Firefoxa z jeziora. Miał przecucie, że latający dźwig w ogóle tu nie dotrze i będą zmuszeni zniszczyć samolot. Przekłeta pogoda.

– O co chodzi?! – zawołał, przekrzykując wiatr.

– To Mr Aubrey, sir! – krzyknął radiooperator. Pochylił się nad pulpitem kontrolnym radiostacji satelitarnej. Jego stanowisko osłonięte było od wiatru brezentem, wzmocnionym obciętymi gałęziami drzew. Dysk anteny wyglądał spod wiszących najniższej gałęzi drzew pochylających się nad brzegiem jeziora.

– Dobra, już idę. – Odwrócił się jeszcze raz do Brooke'a, zawahał na moment, po czym rzekł: – W porządku, zabijaki. Zróbcie to, o co prosiłem. – Brooke uśmiechnął się za odchodzącym Amerykaninem.

– Mr Aubrey mówi, że to pilne, sir.

– Pewnie – odparł Buckholz siłąc się na uśmiech. – Dla niego wszystko jest pilne. Połącz mnie. – Wzdrygnął się. We wnętrzu śmigłowca Lynx, jednego z dwóch, które dowiozły ludzi nie potrafiących skakać ze spadochronem, a teraz stały zakamuflowane przy odległym krańcu jeziora, było przynajmniej ciepło, chociaż tłoczno. Spojrzał na kubek z kawą, który ścisnął w garści. Nie mógł się ogrzać od czasu... Był za stary, w tym cały problem. Już nie ta krew. Buckholz szczerze życzył sobie, by Aubrey znalazł się na jego miejscu.

Operator przebiegł palcami po pulpicie, programując sposób szyfrowania głosu, po czym zaczekał, aż zabłyśnie światełko oznaczające, że nadajnik jest gotowy do transmisji. Wysłał następnie sygnał rozpoznawczy i po kilku sekundach uzyskał potwierdzenie odbioru. Skinął głową Buckholzowi, który trzymał mikrofon tuż przy wargach, jakby chciał mówić szeptem.

Na dłuższą chwilę opanowały go złe przecucia. Wreszcie odezwał się: – W porządku, „Matka”, nadawaj. O co chodzi? Over. – Z trudem zdobył się na swobodny, wręcz żartobliwy ton, jak gdyby chciał odegnać spodziewane złe

wiadomości. Nie zakładał hełmofonu, jedną słuchawkę przycisnął dłonią do ucha i po chwili usłyszał głos Aubreya.

– Obawiam się, „Rybaku”, że mam złe nowiny. Dźwig musiał lądować na lotnisku wojskowym w południowej Szwecji dla dokonania naprawy. Zapewniono mnie, że to drobnostka, coś z regulacją balansu wirników. Uszkodzenie spowodowały złe warunki atmosferyczne po drodze. Ale, co ważniejsze, nie potrafili dokładnie określić wielkości opóźnienia. Przykro mi. Over.

– Do diabła! Powiedz wprost, „Matka”. Przystań mi zawracać dupę. Jestem dużym chłopcem i zniosę wszystko. Over.

– Najwcześniej jutro po południu, nie dadzą rady wcześniej zjawić się na miejscu. Over.

– Ale w ogóle przylecą? Over.

– Muszą! Kiedy według ciebie możecie rozpocząć wyciąganie? Over.

– Około północy. Z pewnością przed nastaniem świtu Firefox będzie na łądzie. Tyle że nie będzie latającego dźwigu! Over.

– Przyleci, „Rybaku”. Na pewno przyleci. Over.

– Jeśli nie doleci tu do ósmej, zaczniemy zakładać ładunki i wyciągać układy sterowania myślowego oraz systemy antyradarowe! Over.

– Przyleci, „Rybaku”. Bądź cierpliwy. Over.

– A mógłbyś zrobić coś jeszcze z tą cholerną pogodą? Over.

– Zrobię, co w mojej mocy, „Rybaku”. Na razie mogę zalecić jedynie modlitwę. Over.

– Pomodlimy się, „Matka”. Pomodlimy. Koniec.

Buckholz rozejrzał się. Dwuosobowe grupki rekonesansowe komandosów z SBS zniknęły za zasłoną śnieżycy między drzewami. Z trudem dostrzegał plecy ostatnich wychodzących z obozu. Brooke wraz z drugim pletwonurkiem zanurzyli się już pod lód. W ciszy, która nastała po umilknięciu piły łańcuchowej, odgłos padającego drzewa rozbrzmiał, niczym zapowiedź osuwania się ziemi.

Popatrzył w górę. Śnieżycą przybierała na sile, wiał coraz silniejszy, mroźny wiatr.

– Tak, będę się modlił – mruknął. – Mam tylko nadzieję, że On mnie usłyszy poprzez to wycie wiatru!

Był w jej mieszkaniu jak intruz, jak złodziej. Niemal obsesyjnie zwracała uwagę na wszystko, co podnosił, czego dotyczył czy używał. Miała tu wrócić, była co do tego przekonana. Dmitrij także miał wrócić do domu. Nie powinny

zostać żadne ślady pobytu innego mężczyzny – zwłaszcza tego Amerykanina. Po każdej kawie, drinku czy obiedzie, który przygotowała, dokładnie myła filiżanki, kieliszki i talerze, wycierała je i odstawiała na miejsce. Wszystkie myśli kierowała ku akcji zacierania śladów, odpędzając tym samym poczucie klaustrofobii we własnym mieszkaniu, wyraźniejsze teraz z powodu obecności Amerykanina. Miała wrażenie, że jego pobyt tu jest tak bardzo namacalny, tak... nieunikniony.

Niewiele odzywał się po tym, jak przedstawiła mu swoją historię. Nie miała pojęcia, co odczuwa w stosunku do niej, co myśli o swojej przyszłości. Był zmęczony – zapadł w dwugodzinną drzemkę w fotelu, w którym ledwie zdążył usiąść. Także przejścia w Instytucie przy Prospekcie Mira, chociaż nie pisań o nich ani słowa, musiały dać mu się we znaki. Zachowywał się tak pasywnie, z tak wielką rezerwą, że sprawiał wrażenie półżywego. Można by sądzić, że został przez nią aresztowany i oddał życie w jej ręce.

Ubranie, które Wasilij dostarczył wraz z dokumentami, okazało się porządnym, szarym, trzyczęściowym garniturem z zagranicznego materiału. Poduszcзки za policzkami pogrubily jego wychudzoną twarz, a wąskie okulary dodały mu lat. Kiedy ogolił się, wymył i przebrał, wyglądał prawie jak jeden z jej starszych kolegów z sekretariatu... o tym też świadczyły dokumenty, wystawione na urzędnika ministerialnego, podróżującego służbowo do Leningradu. Błef był śmiały, miał przyciągać uwagę i oddalać niebezpieczeństwo dokładniejszej kontroli. Amerykanin po przebraniu sprawiał wrażenie odprężonego, przyjął charakterystyczną usztywnioną pozę i jakby zyskał kilka centymetrów wzrostu. Ciemne palto miało dopełnić obrazu biurokraty.

Wyszli z mieszkania o czwartej. W windzie, kiedy wsiadł sąsiad z niższego piętra, którego znała z widzenia, przywitała się z nim, po czym zwróciła do Ganta formalnym, urzędowym tonem. Z jej słów miało ewidentnie wynikać, że towarzyszy jej kolega z pracy, natomiast niewielka torba podróżna oraz jego mała skórzana teczka świadczyły o długości podróży służbowej. Amerykanin zwięźle odpowiadał płynnym rosyjskim. Wyglądał na rozluźnionego, choć nie była tego pewna. Odgrywana przez niego rola osłaniała go jak skorupa żółwia.

Taksówka z biało-czarnym pasem szachownicy na drzwiach i karoserii czekała przed blokiem. Ruch na Prospekcie Kutuzowskim był nasilony, choć nie tworzyły się jeszcze korki. Przeważały duże, sunące powoli samochody. Limuzyny partyjne ciągnęły prawie nieprzerwanym szeregiem po pasie wewnętrznym. Kierowca włożył torby do bagażnika, po czym wsunęli się na tylne

siedzenie. Gant, kiedy tylko trzasnęły za nim drzwi, wyciągnął gazetę i zaczął udawać, że czyta, zasłaniając się przed odbiciem w lusterku kierowcy.

– Dworzec Leningradzki – rzuciła Anna.

Pomyślała o Maksymie. Zarówno pies jak i ojciec przywitani ich czule. Pies po chwili zaczął odnosić się do niej podejrzliwie, jakby wyczuwał jej nastrój. Miała wrażenie, że owa podejrzliwość udzieliła się także ojcu. Nie pytał jednak o nic, za wyjątkiem jej zdrowia i powodzenia kochanka z KGB. Tylko kilka dni – zapewniła go...

Dla znajomych z biura poważnie się przeziębila. Dla Dmitrija był to niespodziewany wyjazd do Leningradu – nie, pociągami, nie było miejsc w popołudniowym samolocie, a poza tym ona woli podróżować koleją... co za sprawa? Och, pewien skomplikowany przypadek oszustwa w jednym ze szpitali, ginące ubrania, pieniądze... nie, to jeszcze nie sprawa dla milicji, dopóki ona nie zapozna się z zeznaniami... tak, całuję, Kocham, Kocham...

Omali nie zdradziła czegoś w trakcie tej rozmowy telefonicznej. Połykając łzy, dusząc w sobie potrzebę przedłużenia rozmowy, odwiesiła słuchawkę, zanim on miał czas uświadomić sobie coś nienaturalnego w jej zapewnieniach.

Zostawiła Ganta samego w mieszkaniu, kiedy odwoziła Maksyma do dachy ojca. Gdy wróciła, powiedział, że nikt nie dzwonił do drzwi i nie było żadnych telefonów. Wchodząc do mieszkania, odniosła wrażenie, że znalazła się w jakimś obcym domu.

Przejechali na drugi brzeg rzeki mostem Kalinina, po czym skręcili w Sadowe. Wzdłuż ulicy ciągnęły się szeregi domów mieszkalnych. Gant wybrednie przerzucał strony gazety, ona zaś utkwiała nie widzące spojrzenie w oknie i skubała się w policzek. Zdawała się w ogóle nie dostrzegać miasta, ani po jednej, ani po drugiej stronie ulicy, bowiem w ogóle nie dopuszczała do siebie myśli, że może to być jej ostatnia podróż przez Moskwę. Minęli gigantyczny hotel Pekin, którego różowa fasada gryzła się z ciemnym od chmur nieboskłonem. Kiedy wreszcie spojrzała na ciągnące się po lewej stronie bloki, mimo iż cały czas miała przed oczyma profil Ganta, ich szare, zniszczone betonowe ściany oraz niezliczone, anonimowe okna zabiły w niej świadomość Moskwy. Mogło to być dowolne współczesne miasto w jakimkolwiek kraju na świecie.

Skręcili z Sadowego Koła w ulicę Kirowa, przejechali między dwoma szpiczastymi, jakby stojącymi na warcie wieżowcami Hotelu Leningradzkiego i Ministerstwa Prac Publicznych. Znaleźli się na placu Komsomolskim, wokół którego rozmieszczone były trzy główne dworce linii dalekobieżnych.

Taksówka zatrzymała się przed portykiem Dworca Leningradzkiego. Anna wysiadła pierwsza. Gant zapłacił za przejazd, zostawiając tak symboliczny napiwek, że kierowca zaczął coś mamrotać pod nosem. Nie powinien się jednak spodziewać niczego innego po biurokracie, który całą podróż taksówką spędził z nosem utkwionym w gazecie.

Śnieg osiadł na ramionach palta Amerykanina. Naciągnął futrzaną czapkę na głowę, poprawił okulary i omiół Annę tak przenikliwym, taksującym spojrzeniem, że poczuła się poniżona, wręcz znieważona. Ten człowiek, który niczego nie dokonał, nie miał nic do powiedzenia. Lecz nagle uśmiechnął się do niej nieoczekiwanie.

– W porządku – rzekł, wyciągając ku niej jej torbę. – Będą sprawdzać dokumenty. Pójdę pierwszy, ty zajrzyj do damskiej toalety lub gdzie indziej, bylebyś zjawiła się nieco później. Ja kupię bilety.

Skinęła głową, lecz nagle nerwy dały znać o sobie, poczuła się, jakby straciła grunt pod nogami. Wraz z przejściem przez niego kontroli zniknęła pewność i zaufanie do siebie. Dostrzegł, że drżą jej dłonie i delikatnie ujął ją za ramię.

– Uspokój się – rzekł łagodnym tonem, pochylając głowę ku jej twarzy. – Jak do tej pory byłaś bardzo dzielna. Uspokój się.

Energicznie pokiwała głową. – Ja... już wszystko dobrze. – Przerzuciła torbę do drugiej ręki i dodała: – W porządku. Ale bądź ostrożny...

Przeszli pod portykiem na teren najmniejszego z trzech okalających plac dworców. Marmurowe, sięgające do ramion postumenty dźwigały niezliczone popiersia Lenina o zawsze czujnym spojrzeniu, jak gdyby nieustannie obserwującego przelewające się przez stację tłumy. Ponad nimi wznosił się łukowaty strop ze szkła i stali, przypominający wewnątrz szkieletu gigantycznego zwierzęcia. Na dworcu było tłoczno, ludzie wracali z pracy do domów. Gant stanął przed tablicą odjazdów. Anna podreptała w kierunku toalety. W końcu ruszył zdecydowanym krokiem w stronę okienka rezerwacji biletów, rozglądając się na boki /e znudzonym wyrazem twarzy. Zauważył mundury, płaszcze, pistolety, zwalistych osiłków zatrzymujących wchodzących ludzi. Miał wrażenie, /e porusza się wśród sieci niewidocznych linek uruchamiających dzwonki alarmowe. Było teraz zupełnie inaczej, nie tak jak na stacji metra, kiedy szedł u boku Pawła, usiłując trzymać się w ryzach i próbując wtopić się w tłum. Przez większą część dnia przygotowywał się na tę właśnie chwilę. Na jakiś czas musiał zapamiętać o Gancie.

Podszedł do okienka i z odpowiednią dozą władczego zniecierpliwienia

pochylił się i przemówił przez zakratowany otwór, umieszczony powyżej obrotowego drewnianego talerza, za pomocą którego kasjer wydawał bilety i inkasował pieniądze. Poprosił o bilety na zarezerwowane miejsca – tak, sekretarka dokonała rezerwacji dziś rano. Przybrał ton, jakby już teraz protestował przeciwko bałaganowi, wytykał pomyłkę kasjerowi biletowemu – niskiemu, łysiejacemu człowieczkowi o bladej twarzy, w marynarce z wytartym kołnierzykiem i koszuli z postrzępionymi mankietami. Tamten zaczął przerzucać strony druków rezerwacji, w końcu znalazł właściwe rubryki. W radzieckich pociągach istniały dwa rodzaje miejsc pierwszej klasy, Anna dokonała rezerwacji przedziału na czele pociągu, gdzie zawsze umieszczano wagony o najwyższym standardzie, z dwumiejscowymi, ogrzewanymi, klimatyzowanymi i zaopatrzonymi w radio przedziałami, obsługiwanymi ponadto przez kelnera. Były to najdroższe miejsca – przedziały dla dostojników partyjnych.

Gant zapłacił za bilety banknotem o wysokim nominale. To również był element kamuflażu. Nowiutki banknot. Dowód uprzywilejowanej pozycji.

Wsuwając resztę do kieszeni, odwrócił się od okienka i podniósł teczkę. Człowiek w skórzanym płaszczu popatrzył na niego. Sprężył się. Teraz zaczynało się na dobre.

Udał, że nie zauważył tamtego i ruszył poprzez obszerny hall w stronę wejścia na perony. Drugi tajniak zrobił krok do przodu, jakby chciał go zatrzymać, lecz tylko obrzucił uważnym spojrzeniem jego ubranie i twarz, po czym przepuścił go. Ledwie spojrzał na niego, prześliznął się wzrokiem po dobrze skrojonym, urzędniczym palcie i połyskujących, wąskich szklach okularów. Oczywiście, nikt nie przypuszczał, że pojawi się na dworcu; a jeśli nawet, to powinien ukrywać się, przemykać chyłkiem, prześlizgiwać, a nie iść spokojnie. Dotarł do barierek kontroli biletów. Długi skład ekspresu leningradzkiego ginał w perspektywie ciemnoszarego nieba i śnieżycy. Stanął w kolejce. Bilety i dokumenty, rzecz jasna. Cywil z KGB poprosił o nie ze znacznie większym szacunkiem, niż zwracał się do mężczyzny przed nim czy kobiety stojącej w kolejce za nim. Gant wyduł wargi w udawanej irytacji.

Dwoje ludzi przed nim. Nagle zapragnął przekonać się, jak daleko ona stoi z tyłu w kolejce. Dokumenty mężczyzny były sprawdzane pieczołowicie, bez cienia pośpiechu. Czy jego papiery okażą się w porządku? Gdzie ona się znajdowała?

Dosyć.

Gdzie...? Czy dokumenty...? Czy mają jego zdjęcia...?

Tak. Za ich plecami, przypięte z boku drewnianego przepierzenia, tuż obok wywieszki informującej o karach za przejazd bez ważnego biletu – zdjęcie człowieka, obejmowanego i przytrzymywanego przez wyższego mężczyznę; wrazenie walki, aresztowania...

Dosyć.

Potarł czoło rękawiczką, udając, że ściąga futrzaną czapkę, by ukryć gest zakłopotania.

Zdjęcie zrobione podczas kontroli na rogatece, przy wyjeździe z miasta, kiedy posługiwał się dokumentami Głazunowa... Obok drugie, które musieli wyciągnąć z komputera Departamentu Akt w Centrali – jego podobizna w mundurze USAF sprzed ośmiu czy dziewięciu lat. Był wtedy znacznie młodszy, znacznie...

Poniżej zdjęć opisano go jako wrogiego agenta, szpiega i sabotażystę. Pilnie poszukiwany. Instruowano ludzi o zachowaniu ostrożności.

Peruka, którą otrzymał, należała do bardzo kosztownych, prawdopodobnie pochodziła z Zachodu. Jak powiedział Wasilij, uśmiechając się szeroko, była nawet lepsza od tej, którą nosił Tito. Ale z daleka można było poznać, że to nie są naturalne włosy. Był zbyt krótko ostrzyżony – z uwagi na konieczność dobrego przylegania elektrod myślowego sterowania w helmofonie – by nie zwrócić na siebie uwagi. Peruka, rozpoznawalna na pierwszy rzut oka, miała odwrócić tę uwagę. Gdyby był podejrzany, nie nosiłby tak ewidentnej peruki. Wszystko miało wskazywać, że używał jej wyłącznie z próżności.

Założył z powrotem futrzaną czapkę, odsłaniając jednocześnie nieco gęstych, młodzieńczych włosów, trochę różniących się odcieniem od jego własnych.

Wyciągnął bilety w stronę kontrolera, po czym wyjął z kieszeni na piersi dokumenty i wręczył je cywilowi z KGB. Kontroler zapytał, do kogo należy drugi bilet. Gant odwrócił się, zadarł głowę i dostrzegłszy Annę o trzy miejsca dalej w kolejce wskazał ją, po czym przywołał ruchem dłoni do siebie, nie zwracając uwagi na człowieka z KGB. Jakiś mężczyzna w kolejce zaprotestował, buntując się przeciwko przywilejom i naruszeniu norm. Gant bezceremonialnie przyciągnął Annę do siebie i ustawił przed oficerem KGB. Wręczyła swoje dokumenty do kontroli.

Tamten nie zwrócił na Annę najmniejszej uwagi. Natomiast Gantowi przyglądał się uważnie spod przymrużonych powiek. Przez dłuższy czas kartkował dokumenty, ale nie obejrzał się na rozwieszane z tyłu listy gończe. Peruka chyba rozbawiła go nieco, jednakże z wyraźną nerwowością powstrzymał lekceważący uśmieszek. W końcu wręczył im wszystkie dokumenty i skinął głową.

– Przyjemnej podróży, towarzysze – rzekł z beczelną służalczością. Gant udawał przez chwilę, że usiłuje odczytać nazwisko widniejące obok zdjęcia tamtego na plakietce identyfikacyjnej, przymocowanej do kieszonki na piersi. Oficer poruszył się niepewnie.

Przeszli między barierkami na peron. Gant czuł, że miękną mu kolana i drżą ręce. Starał się jednak iść dalej pewnym krokiem.

– Czy dobrze się czujesz? – zapytała Anna.

– Tak – odparł, nie patrząc na nią.

Ramię przy ramieniu, w milczeniu przemierzali długi, szeroki peron. Minęli kiosk z gazetami, następny ze słodyczami, potem z pamiątkami, wreszcie stół z kawą. Gant ruchem ręki odprawił bagażowego.

Niech to cholera! – pomyślał. Udało się! Mętnie przemknęło mu przez myśl, kto zaproponował to przebranie i fałszywe dokumenty, oraz skąd tak dobrze go znali. Udało się! Upozowana arogancja odniosła skutek. Niech to cholera!

Dotarli do właściwego wagonu. Gant spojrzął na zegarek. Piętnaście minut do odjazdu. Weszli do zarezerwowanego przedziału i zajęli miejsca. Był wdzięczny za wybór dwuosobowego, napawającego poczuciem bezpieczeństwa przedziału. Nikt nie powinien ich tu nachodzić.

– Chcielibyście magazyn czy gazetę, towarzyszu Osipow? – zapytała Anna, kiedy ułożył ich bagaże na półce. – A może jakieś słodycze?

– Nie... chociaż jakieś czasopismo. Może „Świat Radzieckiej Nauki”? – odparł uśmiechając się. – Tak, poproszę.

– Dobrze, towarzyszu Osipow – rzekła Anna, wychodząc z przedziału.

Przyglądał się, jak schodzi na peron i zmierza w stronę kiosku z gazetami. Sprawiała wrażenie drobnej i bezbronnej, kiedy mijała dwóch umundurowanych żołnierzy KGB z karabinami przewieszonymi przez ramiona. Przypominał sobie jej złość, bezgraniczną wściekłość, kiedy zapoznała się z jego fałszywymi dokumentami. Pracownik sekretariatu, tak jak ona. Woleli, by wykorzystywała swoje własne dokumenty zamiast przygotowanych dla nich fałszywych papierów, które opisywały ją jako jego żonę. Poczwała się znieważona, poniżona. Wybrała podróż u boku rzekomego kolegi z pracy. W jej stanowisku zawarta była jakaś deklaracja, obstawała przy zachowaniu swojej odrębności, ochronie życia osobistego.

Zniknęła we wnętrzu kiosku. Gant powoli odprężył się. W peruce było mu równie gorąco jak w futrzanej czapce, którą zdjął. Strzepnął z marynarki kilka

nitek. Rozłożył gazetę. Wreszcie mógł sobie pozwolić na chwilę relaksu, rozluźnienie wszystkich mięśni, pozbycie się choć odrobiny tego napięcia, jakie towarzyszyło mu przy barierce kontroli biletów. Udało się, udało się – powtarzał w duchu bez końca niczym uspokajające zakłęcie. Kobieta stanowiła znakomitą osłonę. W tak krótkim czasie i w ekstremalnej sytuacji, w jakiej się znaleźli, ludzie Aubreya w Moskwie spisali się bez zarzutu.

Spojrzał na zegarek i raz jeszcze popatrzył przez okno. Cztery minuty do odjazdu – rozmawiała z człowiekiem w mundurze, młodym pułkownikiem KGB. Piętnaście metrów od okna. Ona go znała...

Cztery minuty – Anna uśmiechała się – trzy minuty pięćdziesiąt – ona się uśmiechała!

Gant poczuł, jakby całe ciało krępował mu kaftan bezpieczeństwa. Ociężałe położył zaciśnięte pięści na kolanach i błędził mętным wzrokiem po wnętrzu przedziału...

Kimże ona była? Co robiła?

Anna wspięła się na palce i pocałowała Priabina, świadoma czujnego wzroku Ganta mierzącego ich z odległości piętnastu metrów.

– Co za niespodzianka! – wykrzyknęła.

Ujmując ją za ramiona, jak gdyby chciał powstrzymać, Priabin uśmiechnął się. – Praca, moja droga, praca. Jestem tu całkiem oficjalnie, przeprowadzam inspekcję naszych służb bezpieczeństwa. Nie wiedziałem, że się spotkamy.

Spojrzała znacząco na zegarek. – Tylko kilka minut – mruknęła.

– „Świat Radzieckiej Nauki”? – zapytał, spoglądając na okładkę jednego z czasopism, jakie trzymała pod pachą. – Szukasz kolejnych projektów wózka inwalidzkiego? Nie, przepraszam – dodał pospiesznie, kiedy dostrzegł wyraz jej twarzy. – To było głupie – pochylił się i pocałował ją.

Obróciła się nieco, tak by mogła widzieć Ganta, przytulając się jednocześnie do piersi Dmitrija. Gant wyglądał na przerażonego, zdradzonego. Nie mogła nic powiedzieć Dmitrijowi...

Odsunęła się. – Chyba lepiej już wsiąść do pociągu.

– Kiedy wrócisz?

– Za kilka dni.

– Nie zostawiłaś numeru do hotelu.

– Zadzwoń do ciebie dziś wieczorem.

– Co to za sprawa? – zapytał, ujmując ją pod ramię. Wizja aresztowania? Poprowadził ją w stronę drzwi wagonu. Przytuliła się do niego, chcąc okazać

Gantowi, iż to spotkanie ma całkiem niewinny charakter. Uśmiechnęła się szeroko. Trudno było powiedzieć, czy Gant zrozumiał ów gest, nadal przyglądał im się z wyteżoną uwagą. Czy Dmitrij widział go...?

Nagle ze straszliwą, przerażającą siłą dotarło do niej, że myśliwy i zwierzy-
na znajdowali się nie dalej niż osiem metrów od siebie. Była pewna, że nawet
ona mogłaby rozpoznać Ganta pomimo charakteryzacji, pomimo tej cudacznej
peruki, tylko na podstawie jego kiepskich zdjęć na listach gończych, zawiesz-
onych w hallu dworca.

– Och, jakaś błaha, drobna kradzież. Musimy dokonać weryfikacji, zanim
sprawa zostanie przekazana milicji.

– Narkotyki? – zapytał z głęboką powagą.

– Nie. Odzież, sterylne narzędzia, różne drobiazgi... Czasami odnoszę wra-
żenie, że ludzie w tym kraju gotowi są ukraść wszystko. Może to być również
oszustwo ze strony dostawców, ponieważ ci ustawicznie nie wykonują planów
produkcji. Na razie trudno coś powiedzieć. Musimy zbadać sprawę. – Odwróci-
ła go nagle i zaśmiała się prosto w twarz. – Nie przejmuj się tym. Powiedz, że
będzie ci mnie brakowało! – Gdzieś w głębi duszy przeraziła ją łatwość, z jaką
operowała kłamstwami.

– Pewnie, że będzie. Jak diabli. – Pocałował ją. Przycisnęła swe usta do je-
go warg, objąwszy jego twarz rękoma i przylgnęła do niego całym ciałem. To
było pożegnanie, przynajmniej z czymś...

Rozbrzmiał dźwięk gwizdka. Odsunęła się od Priabina. – Muszę już iść...

– A więc wskakuj! – Był uradowany. Przekonany, że nie będzie jej zaled-
wie kilka dni, a jednocześnie zadowolony z tej chwili odmiany w poszukiwa-
niach Ganta. Pomógł jej wejść do pociągu, zatrzasnął drzwi.

Wychyliła się przez okno i pocałowała go raz jeszcze.

Pociąg ruszył. Priabin cofnął się o krok. Pomachała ręką, przesłała w powie-
trzu całusa. Odwzajemnił się tym samym. Uśmiechnął się jak uczeń. Ener-
gicznie pomachała ręką, już z odległości dziesięciu metrów.

Musiła mieć miejsce w najbliższym przedziale pierwszej klasy, pozostałe
były zajęte, w każdym oknie tkwiły dwie głowy. Z kim podróżowała...?
Pomachała dłonią. Pociąg nabierał szybkości, już dwadzieścia metrów...

Zaczął biec, wciąż machając ręką. Uczynił dwa pierwsze kroki, chcąc mieć
ją w zasięgu wzroku tak długo, jak tylko to możliwe. Potem automatycznie
wykonał trzeci, czwarty i następne, ponieważ jego uwagę przykuła twarz w

oknie przedziału. Dziwnym sposobem nie mógł przestać machać dłonią na pożegnanie.

Był dziesięć metrów w tyle. Sapnął głośno, kiedy rozpoznał twarz w oknie. Potwierdzenie jego podejrzeń podziało niczym kubek zimnej wody. Dostrzegł także strwożony, przerażony wyraz twarzy Anny, kiedy znów popatrzył na nią.

Teraz już wiedział...

Gant.

Podróżował z Anną. Anna udzielała mu pomocy...

Gant.

9.

W drodze

Lotnisko cywilne w Kirkenes sprawiało wrażenie prowizorki, stanowiło jak gdyby tymczasową, wysuniętą pozycję, znajdującą się tuż przy granicy Norwegii ze Związkiem Radzieckim, z której można było się w każdej chwili wycofać. Niską, drewnianą zabudowę trudno było wy tłumaczyć szerokością geograficzną czy też norweskim stylem architektury. Przywodziła na myśl nietrwałość czy chociażby niechęć do inwestowania w Kirkenes. Aubreya ulokowano w niskiej, podobnej do baraku chacie na tyłach wieży kontrolnej, sąsiadującej ze strażą pożarną, gdzie upchnięto sprzęt łączności, mapy, wykresy, telefony, a także ludzi, których mógł potrzebować. Okna wychodziły na stalowoszare wody Korsfjordu, za którym widniały szczyty Skogeraya, a dalej Varångerfjord i Morze Barentsa. Widok wody za zasłoną ukośnie sypiącego śniegu napawał niepokojem. W głównym pomieszczeniu chaty wisiał intensywny odór kilku piecyków parafinowych, mających wspomagać główny piec opalany drewnem. Hałas dwudziestoosiowoltowego generatora za ścianą wdzierał się pomiędzy myśli. Z parapetu zwieszały się kable zasilające. Szyby przy krawędziach ram pokrywał mróz. To było przygnębiające miejsce – symbol wygnania albo porażki.

Aubrey gapił się przez okno na zasłonę mokrego śniegu, usiłując wyobrazić sobie warunki atmosferyczne, jakie dźwиг latający napotkał na trasie swego długiego przelotu z Niemiec, oraz jeszcze gorszą pogodę, na jaką miał się natknąć, gdyby kiedykolwiek wystartował z lotniska w południowej Szwecji. Utrzymawał stałą łączność z amerykańskim pilotem helikoptera oraz z dowódcą oddziału inżynierskiego bazy lotniczej. Naprawa wirników okazała się dużo bardziej czasochłonnym, bardziej skomplikowanym i poważnym zadaniem, niż

początkowo przypuszczano. Potrzebne były części, których Szwedzi nie mieli, a których dostarczenie chwilowo nie wchodziło w rachubę.

Śmigłowiec był najistotniejszym punktem operacji. Nie mieli planu awaryjnego, jak stwierdził Giles Pyott. Wszystko zależało od kaprysów pogody i niezastąpionego helikoptera... Jeśli mieli ruszyć Firefoxa z miejsca, nie mogli obyć się bez latającego dźwigu. Aubrey zdawał sobie sprawę, że on także, podobnie jak politycy, uległ fałszywej, kuszącej wizji wykorzystania śmigłowca transportowego. Nie było sposobu, by jakikolwiek samolot, zdolny unieść rozłożonego na części Firefoxa, a więc dwudziestotonowy ciężar, mógł wylądować i wystartować z powierzchni zamrzniętego jeziora. Nie mogli również posłużyć się ciężarówkami z powodu zasp i braku odpowiednich dróg.

Wiedział też, że kiepska pogoda może się utrzymać nawet przez tydzień. Miała pogorszyć się jeszcze do wieczora, na jutro zapowiadano nieznaczną poprawę, a później znów silne śnieżyce. Mogli spodziewać się krótkotrwałych przejaśnień, te jednak trudno było przewidzieć. Zanim nastąpi trwale rozpozogdzenie, Finowie z pewnością otoczą kordonem cały obszar i poinformują Rosjan, gdzie znajduje się ich wspañiały Mig-31...

Aubrey chrząknął cicho z wściekłości i frustracji. Był bezradny, związany i zakneblowany. Nie mógł zrobić nic, zupełnie nic. Jeśli latający dźwig nie przyleci przed upływem terminu, jutro do północy, wtedy wszystko będzie stracone, pójdzie na marne.

To byłaby także jego osobista porażka, musiałby nauczyć się żyć z przybijającym na sile poczuciem winy za śmierć tak wielu ludzi. Potrząsnął głową. Nie chciał żyć z ciągłymi wyrzutami sumienia. Poczucie winy było dla niego czymś obcym i bolesnym. Nie umiał się przed nim obronić.

Ale jedyna wizja przyszłości, jaka mu się nieodparcie nasuwała, zawierała ładunki wybuchowe przymocowane do kadłuba, okaleczone tablice instrumentów i pulpity kontrolne w kabinie – a potem eksplozję. Wir śniegu, ziemi, metalu. W efekcie: nic!

Niech to cholera! Niech to diabli!

Poczucie winy znów zaczęło narastać w jego świadomości, jak nasionko kielkujące w glebie. Paweł, Siemielowski, Fenton, Baranowicz – zwłaszcza Baranowicz. Zabił ich wszystkich, a teraz nie mógł dosięgnąć rzuconej przez nich piłeczki.

Niech szlag trafi pogodę i śmigłowiec...

Niech szlag trafi Kennetha Aubreya!

– Mr Aubrey? – rozległ się głos radiooperatora. Cały sprzęt łączności przeniesiono z pokładu Herculesa do tej chaty.

Aubrey odwrócił głowę, odczuwając wdzięczność za przerwanie toku jego myśli. Za oknem przeszedł jeden z norweskich wartowników z odwróconą od niesionego wiatrem mokrego śniegu twarzą. – O co chodzi? – zapytał Aubrey.

Curtin tkwił na szczycie składanej drabinki przed całościenną mapą Finnmarku, okolic Kirkenes i fińskiej Laponii. Ze skupieniem wpinał w nią czerwone chorągiewki, znacząc rozmieszczenie sowieckich oddziałów wzdłuż granicy. Nie było jeszcze czerwonych znaczków na obszarze Finlandii. Obserwowano niewielkie ruchy wojsk w rejonach przygranicznych, ale od czasu pogorszenia pogody Eastoe z pokładu Nimroda nie donosił o żadnych zwiadach powietrznych.

– Mr Shelley z Londynu, sir – odparł radiooperator. Aubrey, wciąż mając na sobie kurtkę, podszedł do pulpitu i usiadł na niezbyt pewnie wyglądającym obrotowym krzeselku. Nie rozbraiał się, chcąc w ten sposób zaprotestować przeciwko bezczynności, jakby sugerował, że w każdej chwili może zostać wezwany lub być zmuszony wziąć udział w jakiejś szaleńczej wyprawie. Widocznie jemu samemu potrzebna była świadomość, że pobyt w Kirkenes nie będzie trwał długo.

– Słucham, Peter. Czym mogę ci służyć? – zapytał bezceremonialnie.

Po kilku chwilach, kiedy zgasła lampka odbioru i taśma się przewinęła, usłyszał głos Shelleya: – Chciałem tylko zameldować, że znajdują się w pociągu, oboje. Jeden z naszych agentów obserwował, jak przechodzili przez kontrolę. – Shelley sprawiał wrażenie uradowanego. Akcja ratowania Ganta szła jak w zegarku, co jeszcze bardziej irytowało Aubreya. Wszystko wskazywało na to, że działania Shelleya zakończą się łatwym, ale znaczącym sukcesem.

Zdusił w sobie wściekłość. Shelley czekał na odpowiedź.

– Dobra robota, Peter. Czy wszystko jest przygotowane?

– Harris przejmie ich na stacji pod Leningradem, w Kołpino, jak tylko wyśiądą, z pociągu. Mamy dla nich potrzebne dokumenty podróży i wizy na przekroczenie granicy fińskiej. Dyrektor generalny Vitsula wyraził zgodę, by na przejściu granicznym przejęła ich grupa specjalna. Chcemy zdjąć z ich barków ciężar odpowiedzialności. Na razie wszystko idzie bez zarzutu. Trzymam kciuki, sir.

Aubrey zaczekał, aż zabłyśnie lampka transmisji wskazująca, że może już mówić. Sukces Shelleya wzbudzał w nim zazdrość. To był przecież jego pomysł, by uratować Ganta oraz kobietę, której CIA miało zamiar się pozbyć. Teraz wyglądało na to, że ów plan, nadzorowany przez Shelleya, powiedzie się.

Ale w rzeczywistości pragnął tylko jednego: tego przeklętego samolotu! Główną nagrodą – wielką nagrodą, jak określiłby to Charles Buckholz – był właśnie Firefox. Ten wspaniały...

– Dobra robota, Peter – powtórzył w końcu. – Melduj mi o wszystkim. Harris powinien dać sobie radę, pracował już kiedyś dla nas. Koniec.

Wstał i z powrotem podszedł do okna, szczelnie opatulając się połami kurtki. Curtin popatrzył na niego ze szczytu drabinki, pochylił głowę, uśmiechnął się, po czym wrócił do swojej mapy i chorągiewek. Chwilowa przerwa w zasłonie śnieżycy raz jeszcze ukazała Aubreyowi dzikie, poszarpane urwiska Skogeyaya oraz szare, posępne wody Varängerfjordu. Odstraszaający krajobraz...

Wizja klęski.

Przynajmniej Gant zostanie ocalony.

Aubrey stwierdził w duchu, że w obecnej sytuacji Gant był nikłą zdobyczą, jeśli nie mieli wykradzionego przez niego samolotu.

Dmitrij Priabin stał na końcu peronu i wpatrywał się, jak światła pozycyjne ostatniego wagonu giną za zakrętem. Nagle widok przesłonił mu wjeżdżający na stację ekspres. Anna i Gant zniknęli.

W głowie miał kompletny chaos. Czuł się sparaliżowany i osłabiony do tego stopnia, że z trudem utrzymywał się na nogach. Nie mógł się poruszyć – odwrócić i odejść albo ruszyć biegiem do najbliższego telefonu czy też dyżurującego oficera...

Owe pragnienia przeraziły go. Mimowolnie myślał o tym, by komuś powiedzieć, by złożyć meldunek przełożonym...!

Drżały mu dłonie. Stopień zdenerwowania objawiał się dygotaniem ramion pomimo ciepłej kurtki. Potarł je dłońmi, chcąc powstrzymać dreszcze. W tej samej chwili dotarło do niego, że kuli się. Stał pochylony do przodu, jakby miał wymiotować. Powoli wyprostował się, nadal silnie zaciskając powieki – chciał odegnać od siebie powracający w myślach obraz, a jednocześnie powstrzymać napływające łzy. Szok powracał na zmianę z falami udręki nie kończącym się korowodem, a każdy kolejny przyptyw był gorszy od poprzedniego. Nie potrafił odegnać tej wizji – jej oblicze, a obok ucharakteryzowana, lecz rozpoznawalna twarz Ganta.

Usłyszał własny, przyspieszony, chrapliwy oddech. Pociągnął głośno nosem i ukradkiem otarł oczy. Popatrzył wzdłuż peronu. Od strony wejścia zmierzał w jego stronę Oleg, ciągle w tym samym, cuchnącym naftaliną palcie.

– Cholera – mruknął przez zaciśnięte zęby.

Nagle Oleg stał się jego wrogiem. Był pracownikiem KGB. Łowcą szpiegów. Nie mógł się o niczym dowiedzieć.

– Wszystko w porządku, pułkowniku? – zapytał tamten z cieniem troski w głosie. – Jesteście tacy bladzi.

Dmitrij usiłował uśmiechnąć się. Wypadło to jak skurcz twarzy przy nagłym ataku bólu. – Tak, w porządku. Mam niestrawność.

– Och, towarzyszka Achmerowna wyjechała bez przeszkód, prawda? – spytał uśmiechnięty Oleg. Niewiele brakowało, by puścił do niego oko. – Czy zwróciliście uwagę na tego mężczyznę, który jej towarzyszył? – Jego uśmiech był coraz szerszy, ironiczny, poufały. Priabin zdusił jęk. – Podróż służbowa, jak sami mówiliście, ale z takim gogusiem w peruce... – Szczrzył zęby do Priabina, spodziewając się widocznie żartobliwej odpowiedzi. – Możecie mieć kłopoty, pułkowniku – dodał. Priabin ponownie wysilił się na krzywy, błądy uśmiezek.

– To jeden z jej kolegów z sekretariatu, jak sądzę – rzekł sztywno i ruszył przed siebie. Potrzebował jakiegoś ustronnego miejsca, by wszystko przemyśleć i podjąć decyzję. Panika narastała, tracił kontrolę nad sobą, rozpadał się – obecność Olega sprawiała, że chciał wycić – czuł, że wybuchnie, jeśli szybko nie uwolni się od niego.

Pospieszył w stronę barierki. – Proszę mi wybaczyć te insynuacje, pułkowniku. – Usłyszał za sobą sarkastyczną uwagę Olega. Nie dać mu powodów do podejrzeń! Zatrzymał się i odwrócił. – To była bardzo nachalna peruka – odparł z wymuszoną lekkością, po czym uśmiechnął się. Oleg odwzajemnił uśmiech, pokiwał głową i zachichotał.

– Dobra, nie? Co za pajac! Zawsze chce mi się śmiać, gdy widzę kogoś w peruce. Nawet nie wiem dlaczego, sam nie mam zbyt dużo na głowie. Ale żeby nosić perukę...! – Wybuchnął głośnym śmiechem. Priabin próbował dzielić jego rozbawienie.

– A co z tą niestrawnością, pułkowniku? – zapytał troskliwie Oleg.

– Już trochę lepiej. Dziękuję.

– Chce pan coś? – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął opakowanie tabletek przeciwko zgadze. – Te są dobre. Kupuję je w sklepie Bieriozki. Amerykańskie. Dużo lepsze od tych miętówek, które produkują w Mińsku. Proszę spróbować. – Odwinął strzęp papieru. Do wierzchniej pastylki przykleił się jakiś śmieć z jego kieszeni. Priabin nie miał odwagi po nią sięgnąć. Mógłby drżącymi palcami rozzerwać dalej opakowanie i rozsypać tabletki, wzbudzając podejrzenia Olega.

– To mi nie pomoże. Przydałaby się duża wódka! – oświadczył z największym zapałem, na jaki go było stać.

– Cóż stoi na przeszkodzie...?

Priabin pokręcił głową. – I tak straciłem za dużo czasu. Muszę dokończyć inspekcję. – Wzruszył ramionami. – Do zobaczenia, Oleg. Dotknął czapki rękawiczkami i odwrócił się.

– Szkoda... – usłyszał jeszcze pomruk Olega.

– Czego? – rzucił, odwracając się na pięcie.

Oleg odwijał dalej opakowanie tabletek przeciw zgadze. – Tego – odparł. – Śmierdzą naftaliną. Smakują podobnie. Nie dziwię się, że nie chcieliście spróbować.

Priabin uśmiechnął się. – Do widzenia, Oleg. – Ruszył szybkim krokiem w stronę punktu kontrolnego przy barierze, skinął głową wywiadowcy, który musiał sprawdzać dokumenty Ganta, omiótł przelotnym spojrzeniem porozwieszane listy gończe za amerykańskim pilotem, po czym wszedł do głównego hallu dworca. Peruka... przyciągała, a zarazem odwracała uwagę. Gdy się dostrzegąło perukę, rozumiało głupią próżność, a jednocześnie styl życia i osobowość jej właściciela – trudno było rozpoznać pod nią pilota.

Po wyjściu z Dworca Leningradzkiego owiąło go mroźne powietrze. Poczuł się tak, jakby stąpał po tafli szkła. Kilkakrotnie odetchnął głęboko. W głowie nadal miał zamęt. Jego myśli przypominały nocne niebo, na którym rozbłyskują race i fajerwerki. Szalone, nierealne pomysły eksplodowały jeden za drugim, zostawiając po sobie jedynie deszcz gasnących iskier. Nie miał pojęcia, co robić.

Wiedział jedynie, że nie może na nią donieść. Nie umiałby zameldować przełożonym, powiedzieć Władimirowowi, że kobieta, z którą żył i którą kochał, pomogła Gantowi w ucieczce z Moskwy. Aresztowano by ją, przesłuchano, zmuszono do mówienia – a potem pozbyto się jej. Do sosnowego pudełka albo do któregoś z gułagów, co w gruncie rzeczy oznaczało to samo. Doniesienie na nią równało się wyrokowi śmierci.

– Gant...! – mruknął z wściekłością, zaciskając pięści. Po chwili gwałtownym ruchem naciągnął rękawiczki. – Gant...

Anna podjęła straszliwe ryzyko. Znajdowała się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Zbiegł po schodkach dworca w stronę limuzyny.

Dokąd?

Co robić?

Wyjechali do Leningradu. Prawdopodobnie mieli wysiąść z pociągu przed stacją końcową. Ktoś musiał na nich czekać, Anglik lub Amerykanin...

Nagle zrozumiał. Owo przypuszczenie uderzyło go, jakby dostał cios w

twarz. Anna wyjeżdżała – wyjeżdżała razem z Amerykaninem – uciekała z kraju.

Wskoczył na tylne siedzenie czarnego samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi.
– Do domu! – warknął.

Kierowca skręcił ku wyjazdowi z parkingu. Dworce kolejowe otaczające plac z trzech stron. Wizja wyjazdu, ucieczki.

Nie miał pojęcia, co robić. Wiedział jedynie, że nie może jej utracić. Musiał zawrócić ją z drogi, przeszkodzić jej w wyjeździe. Nie zniósłby utraty Anny. Ona nie mogła go tak zostawić...! Zachował jej tajemnicę, osłaniał ją – nie mogła go zostawić po tym wszystkim...!

Pociąg nabierał szybkości. Minęli wieżę telewizyjną, której czubek ginął w wiszących nisko, szarych chmurach. Mokry śnieg topniał na szybach, zamieniając się w rozciągnięte strumyczki wody. Skręcili na północny zachód. Mijali podmiejskie stacyjki – wszystkie identyczne, tak samo funkcjonalne i tak samo wyludnione. W przedziale było gorąco. Z głośnika cicho sączyła się muzyka Czajkowskiego. Gant nie wiedział, jak zacząć rozmowę z oszalałą ze strachu, siedzącą naprzeciwko niego kobietą. Wbijała wzrok w swoje dłonie, które jakby toczyły walkę ze sobą w kurczowym uścisku. Odpowiedziała na pierwsze pytanie – to był jej przyjaciel, człowiek, z którym mieszkała. Później nie był już w stanie zadać kolejnego pytania. Zapatrzył się natomiast w widok za oknem, jak gdyby zdumiony, że pociąg jeszcze jedzie, że pozwolono im kontynuować podróż.

Wreszcie, kiedy podmiejską zabudowę zastąpiła szarobiała od siekącego śniegu i wiszących nisko chmur monotonna równina, a potem znów wyrosły domy starego miasta Chimki-Kowrino, Gant odwrócił się od okna.

– Co on robi? – zapytał, wpatrując się we własne dłonie, jakby naśladował błagalną pozę kobiety. Uniosła głowę, z trudem rozpoznając otoczenie. Jej zmarszczone czoło dobitnie świadczyło o wewnętrznych zmaganiach.

– Co...? – odparła po rosyjsku.

Gant mówił po angielsku. Przemknęło mu przez myśl, że użycie ojczystego języka miało podkreślić dystans między nimi. A może były to tylko względy bezpieczeństwa?

– Zapytałem, co on robi. Mężczyzna, z którym mieszkasz – powtórzył po rosyjsku.

Potrząsnęła głową. – Nie wiem...!

– On mnie rozpoznał – oświadczył niepotrzebnie Gant. – Domyślił się, że jesteśmy razem. – Odchrząknął. – Co on może zrobić?

– On wie o mnie wszystko! – wyrzuciła z siebie, uderzając kilkakrotnie pięściami o kolana. – A teraz wie także...!

– Jezus Maria... – szepnął Gant, odchylając się do tyłu na siedzeniu. W małym przedziale było mu gorąco, mimo że zdjął z siebie urzędnicze palto i rozpiął marynarkę. Błądził dłonią w okolicy tkwiących na nosie okularów, ale nie zdjął ich. – Zatem wie wszystko... – powtórzył po angielsku.

– Wie o mnie już od dłuższego czasu. Ale zachował tę wiedzę dla siebie. On... – Spojrzała mu w twarz i uśmiechnęła się krzywo. – On jest bardzo zakochany... – oznajmiła, jakby mówiła o swym jedynaku i innej kobiecie. – Cierpi z tego powodu, czasami nie może spać, ale osłania mnie...

– Chryste... – Gant potarł czoło, po czym spojrzał na powilgotniałe palce. Skontrolował własne doznania. Było mu co prawda gorąco, ale nie odczuwał paniki. Ruch pociągu, zmierzającego na północny zachód, w kierunku Leningu i granicy, zdawał się go uspokajać. Pierwszy postój mieli w Kalininie, sto pięćdziesiąt kilometrów od Moskwy. Możliwe, że do tego czasu nic im nie groziło.

Nie wolno poddać się panice – stwierdził w duchu. Kobieta zachowywała zimną krew, zachowywała ją od dłuższego czasu, a musiało ją to wiele kosztować. Jeśli ona potrafiła się opanować, on także mógł.

– Posłuchaj – rzekł, pochylając się do przodu i dotykając jej palców. Gwałtownie wyrwała dłoń i przycisnęła ją do piersi. Wyprostował się z powrotem. – Posłuchaj. Zastanów się. Co on zrobi? Co mu przyjdzie do głowy?

– Ja... Na Boga, nie wiem...

– Czy on... będzie oskarżał CIA? Czy będzie winił mnie?

– O czym ty mówisz?

Szybko zapadał zmierzch. Półmrok za oknem sugerował późny wieczór. Po szybie wiły się strumyczki wody. Leżące odłogiem pola kołchozów pod warstwą śniegu. Traktor porzucony przy ogrodzeniu, t

– Czy on kocha cię na tyle, by obarczać winą za to, co się stało, wszystkich oprócz ciebie? – wyjaśnił rozgoryczony Gant. – Czy jest na tyle zaślepiony? Czy będzie oskarżał CIA, Brytyjczyków, mnie...?

– Zamiast mnie? – zapytała.

Gant skinął głową.

– Możliwe... – przytaknęła.

– Czy doniesie o nas przełożonym? Czy zatrzymają pociąg?

– Ja... nie sądzę... – Brwi Anny zbiegły się, tworząc głębokie zmarszczki na czole. Gant oceniał jej wiek na trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć lat. A więc była starsza od młodego pułkownika, którego widział na peronie, a przedtem w pierwszych godzinach po przybyciu do Moskwy. Odchylił się na oparcie i zamknął oczy. Dostrzegał wyraźnie, że próbowała go uspokoić... Tak, miał zrozumieć, że nic mu nie zagraża, pomimo niedawnego szoku. Co jeszcze...? Przed oczyma stanął mu tamten – uśmiechnięty, radosny, obejmujący ją...

Wyraz jego twarzy, kiedy Anna wsiadała do pociągu, na chwilę przedtem, nim rozpoznał Ganta...

Miłość. Coś rodem ze starych malowideł, wręcz nabożne uwielbienie. Cóż to takiego? Ubóstwienie...? Ubóstwienie...

Powoli zaczął wierzyć we własne bezpieczeństwo. Byli bezpieczni, dopóki...

– Czy on może nas ścigać? – zapytał szybko Gant.

– Co?

– Czy on może wyruszyć za nami? Sam?

– Po co?

– Żeby mnie zabić.

– Po co?

– Po prostu coś takiego mogłoby mu przyjść do głowy. Jeśli wierzy w ciebie, przede wszystkim będzie obarczał winą mnie. A gdyby mnie zabił, mógłby zachować twój mroczny sekret w tajemnicy i cofnąć kalendarz o jeden dzień. Nie mógłbym wyznać ani słowa o tobie. – Pistolet Makarowa spoczywał w teczce. Musiał pamiętać, by później przenieść go do wewnętrznej kieszeni.

– Czy sądzisz, że on mógłby to zrobić?

Gant wzruszył ramionami. – Mógłby. To ty go znasz, a nie ja. Sama postawiłaś go przed wyraźnie rozgraniczonym wyborem. Może skierować swą nienawiść tylko przeciw tobie albo przeciw mnie. Nikt inny nie wchodzi w rachubę. – Gant oparł się wygodnie i ponownie zamknął oczy. Brak paniki zdumiewał go coraz bardziej.

Może to z powodu jej obecności? Była talizmanem, który prawdopodobnie przemienił się w zakładnika. Czuł się przy niej bezpieczny. Ubóstwienie... Tak, Priabin szalał za nią, co można było wykorzystać na swoją korzyść. Mógł ruszyć w pościg za nimi, ale z pewnością nie zdradzi jej, nie wyda.

Obarczy winą całe Stany Zjednoczone, a w szczególności jednego obywatela. Owszem, będzie chciał zabić Ganta.

Nie potrafił jeszcze uwierzyć we własne szczęście. Najpierw pomoc Wasilija, potem przejazd samochodem, pobyt w mieszkaniu przez większą część dnia, przebranie, wreszcie stosunkowo łatwe przejście przez kontrolę na peronie i podróż pociągiem – to wszystko było jakby nierzeczywiste, zdawało się snem. Poszło aż za dobrze.

A jednak – to było prawdziwe szczęście.

W zamyśleniu wypowiedział tę myśl na głos: – To prawdziwe szczęście...

Kobieta błyskawicznie zmarszczyła brwi. Gardziła nim. Nie mógł na to nic poradzić. Prawdziwe szczęście. Mogło go tropić tysiące agentów KGB, a dzięki niej miał na karku tylko jednego, szukającego dogodnego miejsca do konfrontacji. A i ten, jak to się mówi, miał zasznurowane usta.

Wszystko układało się pomyślnie, zdobył chyba nawet pewną przewagę. Dokumenty i przebranie spełniły swoją rolę, musiały także wytrzymać kolejną próbę. Na małej, podmiejskiej stacyjce miał czekać na nich Harris – z samochodem i nowym zestawem dokumentów. Jeśli tylko będzie trzymał się blisko Anny, a raczej za nią, osłaniając się jak tarczą, nie powinno być kłopotów... żadnych kłopotów.

– Przestań! – rzekła z naciskiem. Otworzył oczy. – Przestań!

– Co takiego?

– Uśmiechasz się, zaczyna ci się to podobać! – Zbierało jej się na płacz. Wygięte w podkówkę wargi wyraźnie drżały. Jej blada, ściągnięta twarz zdawała się nie pasować do całej reszty – kosztownej fryzury, drogiego, stylowego ubrania.

– W porządku – odparł. – Przepraszam. Miło było pomyśleć, że dla odmiany nie jest się jedynym naprawdę samotnym człowiekiem. Przepraszam.

Skinęła głową. – Ja... – zaczęła.

– Czy będziesz mogła wrócić?

– Nie wiem... Tak sądziłam, zanim... zanim...

– Uspokój się. Może Agencja da ci spokój, kiedy to wszystko się skończy?

– Spojrzał na nią.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Na peronie sprawiała wrażenie tak silnego partnera, tak bardzo panowała nad sobą. A teraz ulegała swej miłości. Nie tyle bała się schwywania, co utraty kochanka. No cóż, może Agencja faktycznie da jej spokój, jeśli doprowadzi sprawę do końca... Czasami zdarzały się nawet cuda.

Spojrzał na zegarek. W Kołpino mieli być za pięć godzin. Czekwały na nich zarezerwowane miejsca w wagonie restauracyjnym. Powinna trochę poprawić makijaż, zanim pokaże się między ludźmi...

Gant przestał się tym martwić. Nie chciał komplikować spraw. W rzeczywistości była jego zakładniczką – to był najprostszy i najwygodniejszy sposób traktowania jej.

Dmitrij Priabin wysiadł z samochodu przed domem Anny i zwolnił kierownicę. Pospiesznie wjechał windą na górę i otworzył drzwi, jak gdyby spodziewał się zastać ją w mieszkaniu. Ale tu, rzecz jasna, nie było nikogo.

Szybko otworzył adresowany do niego list, przebiegł wzrokiem przeprosiny w związku z niespodziewanym wyjazdem służbowym do Leningradu i przełknął wyrazy miłości przy podpisie. Zgniół kartkę, cisnął ją w róg pokoju, lecz po chwili podniósł, rozprostował i wsunął do kieszeni. Na wpół świadomie zapakował do teczki cywilne ciuchy – przebranie, pomyślał – po czym wyszedł z mieszkania, z głuchym hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. Maksym przebywał u jej ojca – cokolwiek by się zdarzyło, chłopiec był bezpieczny. A jego bezpieczeństwo miało wielkie znaczenie. Gdyby coś się stało Annie, gdyby coś się przytrafiło – niezależnie od jego roli w tej sprawie – jej ojciec mógł uchronić wnuka, nawet gdyby nie był w stanie uratować własnej córki.

Przynajmniej pod tym względem wszystko było jasne.

Zatrzymał taksówkę. Znowu świadomość zdawała się przejmować kontrolę nad jego działaniami. Kazał kierowcy zawieźć się na lotnisko Szeremietiewo.

Lot do Leningradu...

Z drugiej strony musiał dokonać inspekcji służb bezpieczeństwa na lotnisku. To należało do jego obowiązków. Powinni się go tam spodziewać.

Co miał zamiar zrobić? Co planował, skoro zabrał ze sobą teczkę spoczywającą obok na siedzeniu? Naprawdę sam nie wiedział. Myśli nie doganiały jeszcze na tyle poczynać, by mógł ogarnąć nimi przyszłość. Na razie zadowalał się jakąkolwiek aktywnością. Spieszył się na lotnisko, jakby wyruszał w pościg...

Kogo albo co miał ścigać?

W odpowiedzi jego dłoń spoczęła na kaburze u pasa. Amerykanina, Ganta. Chciał go zabić. Powinien go zabić...! Jego śmierć oznaczała bezpieczeństwo. Anna byłaby bezpieczna, on także.

Łysa głowa kierowcy dziwnie błyszczała. Jego odstające uszy były silnie zaczerwienione. Wiatr siekł w szybę mokrym śniegiem, który wycieraczki zamieniały w półpłynną maź i spychały na boki. Ich ruch działał na niego hipnotycznie.

Priabin potrząsnął głową, jakby chciał się obudzić. Jeśli tylko będzie o tej porze lot do Leningradu, powinien wsiąść do samolotu. Chociaż wszystko wskazywało na to, że oni wysiądą z pociągu wcześniej, a więc...

Gdyby zdobył wykaz stacji, na których zatrzymuje się ekspres, bez trudu ocenilby, gdzie najdalej od Leningradu mogliby wysiąść i gdzie mógł na nich ktoś czekać. Mógł wyruszyć z Leningradu wstecz tą samą trasą, na odpowiedniej stacji zaczekać na pociąg, a potem – o ile znalazłby ich jeszcze w pociągu – stanąć przed nimi...

Po raz kolejny powróciła wizja zdradzonego męża, nie potrafił się od niej uwolnić. Powinien zabić Ganta – podczas próby ucieczki. Jakoś wytrzymałby wściekłość Władimirowa, a Anna rozptylnęłaby się wśród leningradzkiej nocy. Rozpoznał Amerykanina, ruszył jego tropem...

Powinien był wsiąść do pociągu jeszcze w Moskwie...!

Nie, wówczas nie miał konkretnego planu. Zachowałby się jak zdradzony mąż, a nie jak wybawca.

A kiedy już zabije Ganta, w jaki sposób Amerykanie odniosą się do Anny? Czy domyśla się, kto to zrobił i z jakiego powodu? Czy posądzą ją o współudział w zbrodni?

Może nawet oddadzą ją w ręce jego kolegów ze służby...!

Oblewał się potem, mimo iż ogrzewanie w taksówce prawie nie działało. Powoli, jakby w transie, bębnił pięścią o skórzaną teczkę. Musiał ją gdzieś ukryć na lotnisku, a potem wejść na pokład samolotu w ostatniej chwili, by nie zauważył go nikt z jego ludzi...

Czy był tam ktoś z jego bezpośrednich podwładnych? Chyba nie, chociaż nie miał pewności. Musiał zachować ostrożność.

To koszmar – pomyślał. Cała ta sprawa wydawała mu się koszmarem...

Wcisnął się w kąt siedzenia tuż przy drzwiach, by nie być widocznym w lusterku kierowcy. Zdawał sobie sprawę, że malujące się na jego pobladłej, ściągniętej twarzy zmieszanie może przyciągać uwagę. Nie wyobrażał sobie zakończenia tej eskapady. Nie wierzył, że może ocalić Annę. Przeciągnął dłonią w rękawiczce po twarzy, jakby chciał palcami przemodelować jej wyraz.

Za każdym razem, kiedy jego myśli kierowały się ku obecnej sytuacji, na plan pierwszy występowała konieczność ocalenia Anny – odsunięcia jej od Amerykanina, bezpiecznego dowiezienia z powrotem do Moskwy, umieszczenia we własnym mieszkaniu. Dopiero wtedy, od tego momentu, życie mogło zacząć się na nowo.

Lecz równocześnie ze świadomością naczelnego zadania, przyznania mu priorytetu, wracała myśl o Gancie, a pragnienie zabicia go objawiało się

skurczem żołądka i ścisaniem w gardle – do tego stopnia, że trudno mu było skierować myśli ku sprawom bezpieczeństwa Anny i swojego. Śmierć Ganta objawiła mu się nagle nieuchronnym zagrożeniem, przekleństwem ciążyącym nad jego poczynaniami.

– Zatem skoro nie mamy pilota, musimy wznowić nasze poszukiwania samolotu – oznajmił przewodniczący Andropow. Siedzący obok niego Władimirow nie wyraził sprzeciwu, chociaż doskonale rozumiał, że jest to kolejne odbicie piłeczki w jego stronę. Analogiczne do zaskakującej nominacji na koordynatora służb bezpieczeństwa w trakcie polowania na Amerykanina.

Dziwnym sposobem nie czuł urazy z powodu wyznaczenia mu roli kozła ofiarnego. W zamian zyskał jeszcze silniejsze przekonanie, że jest jedynym człowiekiem, jedynym spośród wszystkich zaangażowanych w sprawę, zdolnym odzyskać Miga-31. Sekretarz generalny popatrzył na niego uważnie, a następnie skinieniem głowy skwitował milczącą zgodę na propozycję Andropowa. Władimirow nie odczuwał urazy, pokonał nawet niepokój. Był prawie zrównoważony, przygotowany na spodziewany wybuch radzieckiego przywódcy.

I ten nastąpił, zaczynając się głębokim, komediancko zimnym tonem.

– Gant musi zostać schwytyany – oświadczył zza swego biurka. Znajdowali się w tym samym gabinecie na Kremlu, którego niegdyś używał Stalin. Nie był to co prawda słynny wielki przedpokój, gdzie tłoczyli się zastraszeni ludzie, zmuszeni czekać godzinami, zanim udało im się stanąć przed gigantycznym biurkiem Stalina. Niemniej był także obszerny, wysoko sklepony, z ogromnym marmurowym kominkiem, wyposażony w ciemne, ciężkie sprzęty. Odstraszał wszystkich gości, będąc zarazem uzewnętrznieniem idei, a także osobowości i autorytetu radzieckiego przywódcy. Chruszczow używał znacznie mniejszego gabinetu. Sekretarz generalny przeniósł się na inne piętro budynku Arsenału, a okna tego gabinetu, jak i luksusowych apartamentów znajdujących się za nim, wychodziły na trójkątny skwer, dawny budynek Dumy, oraz pokoje zajmowane niegdyś przez Lenina.

– Tak, towarzyszu sekretarzu – odparł Władimirow.

– Musimy także znaleźć samolot. Gant jest tylko kluczem do samolotu. Zgadza się, generale Władimirow?

– Oczywiście, towarzyszu sekretarzu. Oczywiście. – Zduślił w sobie ironię, jaka zaczynała przebijać w jego głosie. Przesunął dłońmi po zakrzywionych poręczach gigantycznego fotela, w którym siedział przed frontem mahoniowego biurka o nogach w kształcie lwich łap.

– A zatem, gdzie jest samolot? Gdzie on jest? – Sekretarz generalny podniósł się, hałaśliwie odsunawszy krzesło po parkiecie.

Podszedł do okna, składając ręce za plecami. Popatrzył wśród zapadającego zmroku na pobielającą trawę i drzewa, oraz na okna gabinetu Lenina. – Gdzie jest samolot? – powtórzył, nie odwracając się.

Władimirow nie musiał patrzeć na Andropowa, by wyobrazić sobie satysfakcję malującą się na jego obliczu. Jeśli się zastanowić, ten właśnie człowiek, ten tajniak mógł zostać sukcesorem siwego bufona stojącego przy oknie. Andropow już teraz należał do wewnętrznej kliki Politbiura, był bodaj najbardziej wpływowym jej członkiem. Krążyły plotki, że ma złożyć rezygnację z przewodniczącego KGB i zostać mianowany na stanowisko szefa Sekretariatu Generalnego Partii, co w znacznym stopniu poszerzyłoby jego możliwości. Andropow któregoś dnia mógł zasiąść za tym biurkiem...

Z pewnością otworzyłyby z powrotem gabinet Lenina – pomyślał Władimirow z goryczą. Zamieniłby wszystkie sale muzealne w pomieszczenia użytkowe – w swoje apartamenty.

– Moi ludzie pracują nad tym. Wyznaczyliśmy pewną liczbę lądowisk, towarzyszu sekretarzu generalny. Miejsc, gdzie Amerykanin mógł wylądować Migiem-31 – automatycznie oświadczył Władimirow.

– Chciałbym się z tym zapoznać – odparł sekretarz generalny, powolnym, teatralnym ruchem odwracając się tyłem do okna. – Amerykanin nie powiedział wam zupełnie nic? Nawet podczas najintensywniejszego przesłuchania?

Władimirow grał w ciemno. W zapisach przesłuchań musiała tkwić jakaś wskazówka, był tego pewien.

– Chciałbym, żebyście przesłuchali nagrania. Wraz z przewodniczącym Andropowem, oczywiście. Taśmy nagrane przez jego śledczych. Jestem pewien, że przeoczyliśmy jakąś informację.

Sekretarz generalny głośno, z ulgą, odetchnął. Jedyne, czego zawsze pragnął, było potwierdzenie własnego autorytetu. Chciał czuć wyraźny zapach posłuszeństwa w każdym pomieszczeniu, do którego wchodził. To było proste...

Ostrożnie – Władimirow ostrzegł siebie w duchu. Podniósł się powoli, kiedy sekretarz generalny minął go. Obaj biurokraci w szarych garniturach ruszyli przed nim w stronę drzwi. Poły marynarek mieli pogniecione od siedzenia. Jemu udało się zdrzemnąć przez kilka godzin ostatniej nocy, potem wziąć prysznic i zmienić mundur. Poszedł za tamtą dwójką przez ciąg pokoi, gdzie radziecki przywódca musiał bez przerwy ruchem dłoni zaganiać prężących się sekretarzy z powrotem za biurka. Za plecami Władimirowa pojawiło się dwóch

ochroniarzy – jak eskorta więźnia, przemknęło mu przez myśl, po czym uśmiechnął się krzywo.

Zjechali windą na parter. Co prawda, w budynku było tylko jedno piętro, ale zainstalowano tu nowoczesną, klimatyzowaną windę, w której z głośników sączyła się cicho muzyka grana na instrumentach dętych. Przeszli przez wykładany marmurami hall ku głównemu wejściu, wartownicy oddali im honory, prezentując broń. Dwaj strażnicy wyminęli ich pospiesznie i sięgnęli po parasole ze stojaka przy drzwiach. Władimirow wziął parasol, ale nie chciał kaloszy, które ochroniarze nasuwali na buty sekretarza generalnego i przewodniczącego. Widok strażników klęczących przed dwoma dostojnikami był zbyt uderzający, jeśli nie odrażający.

Ostrożnie wyszli w zapadające szybko ciemności i niczym starszankowie pokonali mokre, śliskie marmurowe schodki Arsenału. Zapalone latarnie barwiły brzozy i ośnieżone trawniki na kolor żółtopomarańczowy. Władimirow szedł z tamtymi ramię przy ramieniu. Niezbyt często odwiedzał Kreml, stąd też odchylił parasol do tyłu, by lepiej widzieć pałace i cerkwie znajdujące się wewnątrz murów. Nie wstydził się okazać tego, co tamci dwaj ironicznie określiliby niewychowaniem i prowincjonalnością.

Cały ten obszar stanowił pomnik absolutyzmu. Nawet cerkwie bardziej odstraszały, niż zachęcały do wejścia. W ich wyglądzie nie było nic emanującego spokojem, świadczącego, iż jest to sanktuarium. Czerwone wieże, zwieńczone neonami partyjnych gwiazd, otaczały budynki, jakby strzegły ich. Zmierzały w stronę największej z nowych budowli – Pałacu Zjazdów, gdzie mieściła się, na równi z budynkiem Dumy, większość urzędów państwowych Kremla. Władimirow odnosił wrażenie, że jest to szklany i betonowy, modernistyczny chwast, wyrosły pośród zakorzenionych, masywnych, tropikalnych kwiatów zabytkowych budowli.

Wiatr ciskał mokrym śniegiem w świeżo ogolone policzki, piekła podrażniona skóra. Nie spuszczał jednak głowy, przyglądał się nadal, póki nie dotarli do głównego wejścia Pałacu Zjazdów. Minęli wyprężonych wartowników i weszli do głównego hallu szklanego budynku. Z sufitu zwieszały się ciężkie kandelabry. Władimirow kroczył za sekretarzem generalnym i Andropowem po wykładanej płytkami podłodze – gigantycznej mozaice, symbolizującej niezaprzeczalny triumf socjalizmu – w stronę opancerzonych, stalowych drzwi specjalnej windy. Minęli sześć poziomów, zanim winda zatrzymała się z cichym szumem. Przed drzwiami czekali na bacność dwaj strażnicy. Ruszyli białym,

betonowym korytarzem, wreszcie stanęli przed stalowymi drzwiami, przypominającymi wodoszczelne luki łodzi podwodnych. Ochroniarze wsunęli w szczeliny plastikowe znaczniki identyfikacyjne i drzwi automatycznie otworzyły się.

Władimirow głęboko nabrał powietrza, przygotowując się do wkroczenia po raz kolejny do pomieszczeń, nazywanych przez młodych, cynicznych oficerów Führerbunkrem. Za przedsionkiem, niewiele większym od śluzy powietrznej, gdzie ponownie trzeba było wsunąć karty w szczeliny zamków komputerowych i poczekać na ich sprawdzenie, rozsunęły się następne stalowe drzwi, ukazując gigantyczną podziemną salę. Wkroczyli do centrum dowodzenia, bliźniaczo podobnego nie tylko do Centrum Wojennego na pokładzie Tupolewa, lecz także do znajdującego się głęboko pod ziemią Centrum Dowodzenia Garnizonu Moskiewskiego, oraz do jego centrum sił powietrznych na południowy wschód od miasta. Przeszedł za pozostałymi przez całą salę, a następnie wspiął się po metalowych schodkach na galerijkę biegnącą przez całą długość centrum. Oszklona galeria stanowiła pomieszczenie kontrolne podziemnego kompleksu.

Władimirow pomyślał, że wszystkie te środki, zdolne do zniszczenia niemal całej powierzchni globu, zostały zaangażowane do nic nie znaczącej potyczki, drobnego zamieszania na granicy. Znajome otoczenie wybitnie poprawiło jego samopoczucie. Oficerowie salutowali, technicy siedzieli usztywnieni przy swych pulpitach. Zaraz po wejściu wskazał radzieckiemu przywódcy znajdującą się na ścianie świetlną mapę, zmniejszoną wersję ogromnej ciekłokrystalicznej mapy umieszczonej w sali pod nimi. Podświetlona na krawędziach, sterowana komputerowo – analogicznie jak stół mapowy na pokładzie Tupolewa – ukazywała w tej chwili obszar fińskiej Laponii. Rozlewały się po niej smugi światła, upstrzone jaskrawymi punkcikami, niczym hodowla luminescencyjnych grzybów.

– Wybraliśmy te miejsca, towarzyszu sekretarzu – zaczął Władimirow, za pomocą pióra świetlnego wskazując poszczególne drobne, jaskrawe punkty. – Są to jedyne miejsca, gdzie ukształtowanie terenu pozwala na lądowanie samolotu – mówił pewnie. Spędził uprzednio dwie czy trzy godziny w tymże pokoju kontrolnym. Pracował tu głównie personel wojskowy – oczywiście, zarówno KGB, jak i GRU czy GŁAWPUR mieli swoje wtyczki, ale przeważającą część obsługi stanowili zawodowcy wojskowi – czuł się więc jak w domu pośród rekwizytów elektronicznego dowodzenia i komputerowej strategii. Wskazał teraz szereg maleńkich, czerwonych punktów. – To jest marszruta Amerykanina od

miejsca, gdzie Straż Graniczna przewodniczącego Andropowa podjęła jego trop. – Promień pióra świetlnego biegł wzdłuż szeregu czerwonych kropek, jakby wygrywał jakąś melodię. – Generalnie trzymał się jednego kierunku, doszliśmy więc do wniosku, że musiał zmierzać prosto od miejsca, gdzie porzucił samolot, do najbliższego punktu granicy norweskiej. Proszę wyświetlić domniemaną trasę, w obu kierunkach.

Czerwone kropki pochłonęła biała linia, wydłużająca się szybko z północnego zachodu na południowy wschód. Przecinała jeziora, doliny, boczne drogi, leśne przecinki, zamrożone rzeki. Na północnym zachodzie zatrzymała się na granicy Norwegii, zaś w przeciwnym kierunku sięgnęła aż brzegów jeziora Inari.

– Sprawą kluczową jest wyliczenie czasu – kontynuował Władimirow łagodnym tonem doświadczonego lektora o znacznie górującej nad słuchaczami inteligencji. – Wiemy, kiedy został zniszczony Mig-25; wiemy także, kiedy odnaleziono ślady Ganta. Znamy szybkość, z jaką był w stanie się poruszać, stąd też potrafiliśmy obliczyć dystans, który mógł przejść. Ta biała linia sięga, oczywiście, zdecydowanie za daleko. Doszliśmy zatem do wniosku, że Mig-31 musi znajdować się gdzieś na tym obszarze... – Promień pióra świetlnego zatoczył okrąg, a kiedy tylko zsunął się z mapy, komputer wyświetlił tenże okrąg, jak gdyby promień światła zarysował pleksiglasową osłonę ekranu. Zaznaczony obszar miał około trzydziestu pięciu kilometrów średnicy.

– Bardzo dobrze – oznajmił sekretarz generalny z wyraźnym sarkazmem. – Bardzo dobrze. Mig-31 jest na terenie fińskiej Laponii! – Odwrócił się w stronę Władimirowa. – Tyle już wiemy, generale! Wiedzieliśmy o tym od dawna! – Stało się już regułą, że radziecki przywódca tylko czekał na okazję do wygłaszania tyrad i ciskania gróźb. Miał tu odpowiednie audytorium, które w szczególności go radowało: wojskowi, pogardzani i zastraszeni żołnierze. Miał okazję upokorzyć przed nimi jednego z ich bohaterów, ukazać im drżenie kolan ich idola. Władimirow milczał, starając się opanować, niczego po sobie nie pokazać. – Znajdźcie go! Wy macie go znaleźć! Dzisiaj! A wy, Andropow – dodał nieco mniej agresywnym tonem – macie znaleźć pilota! – Odwrócił się w stronę wyjścia. Strażnicy otworzyli już drzwi pomieszczenia kontrolnego i odsunęli się na boki, robiąc mu przejście, lecz sekretarz spojrzawszy jeszcze raz bykiem na Władimirowa. – Musicie go znaleźć! – powiedział. – Nie muszę wam przypominać o konsekwencjach, jeśli go nie znajdziecie... dzisiaj!

Wyszedł z pokoju kontrolnego. Zmieszany Andropow natychmiast zaczął wycierać szkła okularów jedwabną chusteczką. Powyżej jego brwi perliły się

kropelki potu. Miał rozszerzone z wściekłości nozdrza. Władimirow – czując, że uraza zaczyna go powoli opuszczać – zrozumiał nagle dwie rzeczy dotyczące przewodniczącego KGB. Grał prawdopodobnie o znacznie wyższą stawkę niż sam Władimirow. Poza tym musiał być nie do końca pewny swoich sprzymierzeńców w Politbiurze, skoro do tego stopnia pozwalał tyranizować się sekretarzowi generalnemu. Wynikało stąd, że można było teraz traktować Andropowa jak sojusznika, niepewnego i niebezpiecznego, ale sojusznika. Radziecki przywódca wciągnął go na listę skompromitowanych w przypadku nieodnalezienia Ganta oraz Miga-31.

Jakby na potwierdzenie tych myśli, Andropow podszedł bliżej mapy na ekranie i stanął obok Władimirowa. Uśmiechnął się i niemal w tym samym momencie na jego twarzy wykwitł zwykły u niego ironiczny wyraz.

– Jeśli potrzebujecie nadal... sympatycznego... audytorium, oferuję siebie, generale Władimirow – rzekł cicho.

Władimirow skinął głową. – Akceptuję, towarzyszu przewodniczący.

– Świetnie. Jak do tej pory rozumiałem wasz logiczny wywód. Ale jakim sposobem on mógł wylądować? Na tym obszarze, pokrytym grubą warstwą śniegu, prawda?

– Tak, to prawda. Sądźmy jednak, że skorzystał albo z przecinki leśnej, albo z bocznej drogi.

– Czy odważyłby się na to?

– Chyba tak. Myślę, iż czuł się, że tak powiem, zobligowany. To człowiek głęboko przekonany o swej wielkiej wartości i wysokich umiejętnościach. Podjąłby takie ryzyko, jak sądzę. Musiał spróbować, bowiem świadczy o tym jego spadochron. A ponieważ nie był poraniony, należy wnioskować, że samolot nie został poważnie uszkodzony. Na pewno nadaje się do naprawy, a tym samym stanowi wielkie zagrożenie, jeśli odnajdą go Amerykanie czy Brytyjczycy. Nie pozostaje nam więc nic innego, towarzyszu przewodniczący, niż go odnaleźć.

– Leśna przecinka albo boczna droga także musiały być ośnieżone...

– Bez paliwa, nie ryzykując eksplozji, mógł się pokusić o lądowanie na śniegu. Gdyby pokrywa śniegu była gruba, z pewnością przekoziółkowałby i rozwalił samolot. Lecząc pod uwagę wiatry oraz pogodę panującą w ostatnich tygodniach, należy przypuszczać, że przynajmniej niektóre z tych dróg były na tyle cienko pokryte śniegiem, że mógł wylądować nie rozbijając Miga.

– Wewnątrz okręgu, a jednocześnie na przecięciu z białą linią jego

domniemanej marszruty, znajdują się tylko dwie takie drogi – zauważył Andropow. Pochylił się nisko nad mapą, po czym strzelił palcami. – Nie wzięliście pod uwagę tych jezior – rzekł. – Czy nie mógł wylądować na zamrzniętym jeziorze?

Władimirow pokręcił głową. – Wykluczylismy tę możliwość. Nasz zwiad powietrzny zaraz po stracie drugiego Foxbata nie wykazał nic. Gdyby wylądował na jeziorze, nie mógłby ukryć Miga.

Andropow wzruszył ramionami. – Rozumiem – odparł. – Świetnie. W jakiej skali jest ta mapa?

– To miejsce dzieli od naszej granicy pięćdziesiąt do sześćdziesięciu kilometrów. Do tej drogi jest o piętnaście kilometrów więcej. – Promień pióra świetlnego zatańczył niczym ćma na powierzchni ekranu.

– Czy zarządziliście już następny rekonesans lotniczy?

Władimirow zaprzeczył ruchem głowy. – Przy takiej pogodzie możemy jedynie prowadzić obserwacje w podczerwieni z wysokiego pułapu, a w chwili obecnej samolot nie różni się temperaturą od otoczenia. Nie możemy sfotografować terenu. Jakiegokolwiek poszukiwania możliwe są tylko na powierzchni. Będziemy zmuszeni przekroczyć granicę... Jakiś mały oddział...

– W takim przypadku wasze wnioski musiałyby być trafne, musiałyby być absolutnie pewne. Zwłaszcza że miałby wyruszyć tylko niewielki oddział.

– Poruszając się wstecz trasą wyznaczoną białą linią, ku centrum okręgu, mogliby odpowiednio rozwinąć się i sprawdzić dość duży obszar...

– O ile nie pogorszy się pogoda, a widzialność nie spadnie jeszcze bardziej. A poza tym jeśli samolot nie jest jeszcze przykryty grubą warstwą śniegu!

Władimirow pokręcił głową. Podobał mu się sceptycyzm przewodniczącego. Ożywiało dyskusję, cementując jednocześnie ich przymierze. – Sądzę, że jest ukryty gdzieś pod drzewami. Musiał skołować z drogi w głąb lasu.

– I zostawić go jak zaparkowany samochód?

– Właśnie. Jak zaparkowany samochód.

Spojrzenie Andropowa pełne było wątpliwości. – Czy macie jakiś inny pomysł? – zapytał.

– Wasi eksperci od czasu jego ucieczki bez przerwy odtwarzają taśmy z przesłuchania w nadziei znalezienia czegoś, odkrycia jakiegokolwiek słowa, mogącego sugerować, gdzie zostawił samolot. – Władimirow sposepniał na samo wspomnienie ucieczki. Zaciśnął dłoń na rękawie marynarki Andropowa. Przewodniczący zdawał się nie zwracać Uwagi na ten uścisk. – Miał już

powiedzieć wszystko, był bliski punktu załamania, kiedy szarpnął się i spadł z łóżka. Tak niewiele nas dzieliło...! – Nadal zaciskał palce. – Tylko sekundy, nie więcej...

– Ale nie powiedział...

Władimirow pokręcił głową. – Macie dobrych ludzi, ale chyba nie byli w stanie...

– Wydam rozkaz, żeby dostarczono tutaj taśmy, wraz z ich raportem – obiecał Andropow. – A na razie proponuję wysłać grupę rekonesansową Straży Granicznej. – Władimirow skinął głową. – Chyba dadzą radę przelecieć śmigłowcami przy panującej tam pogodzie?

– Chyba tak.

– A więc muszą być gotowi, żeby wyruszyć jak najszybciej. Kiedy proponujecie start?

Promień pióra świetlnego zatańczył na ekranie wzdłuż białej linii oznaczającej domniemaną marszrutę Ganta.

– Tutaj natrafiono na ślady obozu, w którym spędził noc. Wszystkie inne punkty: tutaj znaleziono spadochron, tu jest wioska, tu miejsce schwywania – układają się dalej w kierunku północno-zachodnim. Proponuję, żeby oddział wylądował w tym miejscu i posuwał się z powrotem wzdłuż wyznaczonej trasy, w stronę tej przecinki leśnej... – Światło pióra tańczyło jak obłąkane po mapie.

Andropow przyglądał się, a po chwili powiedział: – Bardzo dobrze. Wyślę rozkazy dla grupy rekonesansowej, by natychmiast przygotowywała się do przekroczenia granicy. Proszę, przygotujcie dla nich odpowiednie współrzędne oraz wszelkie inne pomocne wskazówki.

Gant otworzył okno przedziału. Sypnęło mu w twarz śniegiem. Prowincjonalna, pozbawiona wyrazu stacja na peryferiach miasta Czudowo była prawie wyludniona. Kilku pasażerów ostrożnie wysiadło z pociągu, jakby wkraczali w obce im środowisko. Buty i kalosze ślizgały się po ośnieżonym peronie. Przez zasłonę śniegu pobłyskiwały światła. Pociąg terkotał cicho. Jeden czy dwóch umundurowanych strażników ochrony kolei, typy w skórzanych płaszczach lub ciężkich sztormiakach sprawdzające dokumenty. To już ostatnia stacja; od Kołpino, gdzie mieli wysiąść z pociągu i spotkać się z Harrisem, dzieliło ich tylko czterdzieści minut jazdy. By wyjaśnić wcześniejsze opuszczenie pociągu, Anna miała symulować nagłą niedyspozycję, potrzebę świeżego powietrza, lekką gorączkę, mogącą oznaczać infekcję. Możliwe, że potrzebna będzie wizyta w miejscowym szpitalu...

Gantowi wydawało się to naciągane i zbyt przypadkowe, czuł jednak, że może być skuteczne. Mała, cicha stacyjka w peryferyjnym miasteczku, zmęczona, znudzona obsada, a niespodziewani goście ważnymi oficjelnymi partyjnymi. Trochę buńczuczności oraz blefowania i powinni dotrzeć ze stacji do samochodu Harrisa bez większych kłopotów. Chyba najskuteczniejszym blefem byłoby zatrucie pokarmowe, mimo iż obiad w wagonie restauracyjnym był bardzo dobry.

To bez znaczenia – pomyślał. Priabin nie wsiadł do pociągu w Czudowie, a jeśli czekał na nich w Leningradzie, co według Anny było prawdopodobne, musiał obejść się niczym. Gant miał najlepszego zakładnika, jakiego mógł sobie wymarzyć. Myśl ta przyniosła mu satysfakcję, choć niezbyt go radowała. Usłyszał dźwięk gwizdka, dostrzegł światło kiwającej się latarni dyżurnego przy samym końcu pociągu, wsunął więc głowę z powrotem i zamknął okno. Kiedy się odwrócił, spostrzegł, że Anna owinęła szczelnie ramiona paltem i dygotała.

– Trenujesz, prawda? – rzekł. Rzuciła mu piorunujące spojrzenie. – Przepraszam... – Skinął głową w kierunku okna. – Wszystko w porządku – dodał, siadając naprzeciwko niej. Podróż pociągiem uspokoiła go; każdy przebyty kilometr drogi zwiększał przeświadczenie wyrwania się z zacieśnianej wokół niego sieci. Ale Anna podchodziła do tego inaczej, dla niej podróż mogła skończyć się wygnaniem. Wciąż była przerażona możliwymi posunięciami Priabina.

Otworzyła torebkę, wyjęła złotą zapalniczkę i papierośnicę, po czym zapaliła amerykańskiego papierosa z filtrem. Chyba niezbyt była świadoma zarówno gatunku papierosa, jak i samego zwyczaju palenia – to był odruch, opóźniona reakcja na sukces. Wydmuchnęła dym prosto w sufit. Drżały jej dłonie.

Powoli, rytmicznie pokręciła głową, jakby w odpowiedzi swoim myśłom. Sprawiała wrażenie, jak gdyby siedziała sama w przedziale. Z pewnością obwiniła go, obarczała go całkowitą winą za jej obecną sytuację; chyba podobnie czynił jej kochanek. Myśl ta poraziła Ganta.

Czy istniało dla nich jakieś wyjście? Czy mogli tylko we dwójkę zaaranżować jakoś jego schwytnię lub śmierć, zapewniając sobie bezpieczeństwo? Był pewien, że zarówno ona jak i Priabin skoncentrują całą swoją energię na znalezieniu takiego rozwiązania.

Najprostsze wyjście stanowiła jego śmierć.

Pociąg nabierał szybkości, za oknem przesuwały się ostatnie światła dworca. Do szyby przyłgnał nocny mrok, z którego światła przedziału, Poprzez ich odbicia na szkle, wyławiały płatki śniegu. Zapatrzył się na swoje odbicie – policzki

pogrubione za pomocą poduszczyk, twarz odmieniona poprzez dodatek wąskich okularów. Mogli go zabić, o ile spotkaliby się i doszli do wspólnego wniosku...

Drzwi przedziału otworzyły się. Anna siedziała usztywniona i wyprostowana. Oczy Ganta powędrowały w górę, w stronę odbicia sylwetki przybysza. Strój cywilny – pomyślał z ulgą.

W tej samej chwili dostrzegł pistolet oraz surowe, ściągnięte oblicze mężczyzny. Dopiero wówczas odwrócił głowę.

– Dmitrij...! – krzyknęła Anna.

Gant siedział w szoku, jak sparaliżowany, jakby to jego myśli ściągnęły tego człowieka do przedziału. Priabin musiał jednak wsiąść do pociągu w Czudowie. Priabin z pistoletem. Oficer KGB, kochanek Anny, który jednak dotarł do celu swej podróży i znalazł rozwiązanie. Najprostsze, wręcz oczywiste rozwiązanie.

Zabójstwo Ganta.

– Koniec – rzucił Aubrey, gestem zniechęcenia wręczając mikrofon radiooperatorowi. Odwrócił się od pulpitu i niemal wpadł na Curtina, który stał tuż za jego plecami w czasie całej rozmowy ze starszym oficerem technicznym szwedzkiej bazy lotniczej. Curtin wzruszył ramionami, lecz Aubrey jakby nie zauważył tego gestu. – Cholera! – syknął przez zaciśnięte zęby. W tym jednym słowie zawarta była cała jego wściekłość i frustracja, a nawet cień porażki.

– To tylko piekielny splot nieszczęśliwych zdarzeń... – zaczął Curtin, lecz Aubrey błyskawicznie odwrócił się ku niemu z błyszczącymi oczyma.

– Nieszczęśliwych? Nieszczęśliwych?! To jest całkowita klęska, Curtin. Nic innego! Tylko i wyłącznie moja wina. – Curtin chciał coś powiedzieć, lecz Aubrey powstrzymał go ruchem dłoni. – Tak, moja wina! Ostrzegano mnie. Ostrzegali mnie Charles Pyott, podobnie jak i ty czy Buckholz. Ale ja nie zwracałem na was uwagi. Nie chciałem was słuchać. – Zwarł mocno dłonie i zacisnął wargi. Ogarnięty wyrzutami sumienia zaczął chodzić tam i z powrotem. Wreszcie odwrócił się w stronę Curtina i rzekł: – Wiemy, że Gant znajduje się w pociągu. Za kilka godzin przekroczy granicę fińską. W tym przypadku wszystko powinno iść jak w zegarku. Harris czeka już na nich w Kołpino. Wiemy też, że samolot zostanie wydobyty z jeziora w ciągu najbliższych godzin. Ale nie jesteśmy w stanie nic zrobić, żeby go stamtąd zabrać! Wyciągniemy go tylko po to, by odzyskali go Rosjanie!

– Nie możesz walczyć z warunkami atmosferycznymi.

– Nigdy nie powinienem był ignorować pogody! To był mój grzech. Pycha, Eugene. Pycha...!

– Tylko nieszczęście.

– Nie...! – Ponownie zaczął chodzić tam i z powrotem, mruczając do siebie niczym uczeń wkuwający wiersz na pamięć. – Trzydzieści sześć godzin, a i tego nie gwarantują. Prawie dwanaście godzin po upływie wyznaczonego nam limitu. W dodatku pogoda może im jeszcze pokrzyżować plany. Pyott ostrzegł, żeby nie polegać na latającym dźwigu, aleja go zignorowałem... Dopiero teraz dostrzegłem swój błąd! – Wciąż niecierpliwie odmierzał kroki. Radiooperator pochylał się nad sprzętem, nie zwracając uwagi na głos Aubreya. Curtin wsparł się ciężko o krawędź składanego stolika, ostrożnie przenosząc ciężar ciała do przodu. Aubrey bez przerwy sypał zarzutami pod swoim adresem. Przypominał Curtinowi zwierzę świeżo przywiezione do zoo, obchodzące teren swojego więzienia i szukające sposobu ucieczki. – Nie słuchałem was! Do cholery, nawet nie chciałem słuchać...! Wiedziałem lepiej! Jajko mądrzejsze od kury! Nie mamy teraz innego wyjścia, jak wyciągnąć najbardziej interesujące nas systemy i wysadzić resztę samolotu w powietrze. A ja wciąż chciałbym go mieć w całości! – Curtin uważniej nadstawił ucha. – Jestem im to winien... ale nie mogę... nie mam sposobu...!

Nagle odwrócił się w stronę Curtina i wsparł ręce pod boki, jak gdyby znalazł jakieś wyjście.

– Co? – spytał Curtin, rozkładając szeroko ramiona. Nie domyślał się, czego tamten potrzebuje, a zarazem nie chciał mu przeszkadzać.

Przez chwilę Aubrey poruszał bezgłośnie wargami, po czym wybuchnął: – Gdyby tylko ten przeklęty samolot mógł polecieć!

Curtin uśmiechnął się krzywo, zmieszany. – Tak – mruknął. – Gdyby mógł...

Aubrey zamknął oczy. – Gdyby tylko Firefox mógł polecieć... – Po czym spojrział uważnie na Curtina i zapytał: – Wtedy zostawiliby mnie w spokoju, prawda?

– Nie rozumiem...

Aubrey przeciął dłonią duszne, cuchnące parafiną powietrze, jakby chciał zetrzeć swoje słowa. Otarł wargi, sugerując, że to co powiedział należy traktować na równi z bełkotliwym mamrotaniem starca.

– Przepraszam – powiedział z przesadną, wyolbrzymioną skruchą. – Zapomniałem się na moment. – Podszedł bliżej Curtina, zatrzymując się w kręgu ciepła rzucanego przez piecyk opalany drewnem, po czym zatarł ręce jakby z

przemarznięcia. Przez chwilę wbiął wzrok w deski podłogi chaty, wreszcie popatrzył Curtinowi w oczy i rzekł: – Wybacz, że pytam, ale ten samolot nie będzie mógł polecieć, prawda?

Curtin pokręcił głową. – Nie... – odparł. Miał zamiar definitywnie uciąć wszelkie spekulacje, jakich domyślał się na podstawie błędzącego, nie widzącego spojrzenia Aubreya, lecz zabrzmiało to jak neutralne, niezbyt pewne zaprzeczenie. Aubrey podchwycił ten ton.

– Ale nie jesteś pewien...?

– Jestem.

– Zatem dlaczego odpowiadasz tak, jakbyś nie był pewien – rzucił Aubrey, marszcząc brwi w wyrazie rozczarowania.

– Jestem, ale...

– Ale co?

– Samolot znajdował się pod wodą ponad czterdzieści osiem godzin... silniki były zalane na pewno dłużej niż dobę... – Curtin pokręcił głową, powstrzymując uśmiech. – To niemożliwe – oznajmił. – Jestem tego całkowicie pewien.

– Wyjaśnij mi tylko, dla formalności – nalegał Aubrey – dlaczego się zawahałeś.

– Ponieważ... Dobra, słyszałem o maszynach lotnictwa morskiego, które mogą przebywać pod wodą, a potem znów wystartować... – Uniósł w górę obie dłonie, chcąc powstrzymać szykującą się lawinę pytań Aubreya. – Ale to musi potrwać wiele dni, Mr Aubrey. Wiele dni! W każdym razie co najmniej tydzień. Po prostu przypominałem sobie, że coś takiego miało miejsce, i to wszystko. To nie jest rozwiązanie dla ciebie. Dla nas.

– Czy to znaczy, że samolot, który znalazł się pod wodą, natychmiast ulega uszkodzeniu?

– Owszem, ulega uszkodzeniu.

– Ale nie są to trwałe uszkodzenia? – Ton Aubreya był natarczywy, zastraszający. Curtin czuł się jak na przesłuchaniu, a zarazem wzbierała w nim niechęć do tego niskiego, aroganckiego Anglika, aż nazbyt sprytnego w przypadku własnych spraw i jednocześnie zbyt zapatrzonego w siebie, by móc przyznać się do porażki.

– Wszystko zależy od okoliczności. Czy był dobrze zabezpieczony, odizolowany... Cholera...!

– Co się stało?

– Na miłość boską, nie potrafię udzielić odpowiedzi! Jesteś szalony, Aubrey. Szalony. – Zdjął ręce ze stolika i przeciągnął się z upodobaniem, jakby

miał zamiar iść spać. Chciał w ten sposób doprowadzić Aubreya do wściekłości i udało mu się.

– Do cholery, Curtin! Zostań na miejscu i odpowiadaj na moje pytania! – Przysunął się do Amerykanina, nie zrażony jego większym wzrostem i silniejszą budową. Curtinowi przemknęło przez myśl, że Aubrey gotów jest walczyć z nim, jakby chciał załatwić porachunki.

– Już dobrze, w porządku... możemy i w ten sposób spędzić czas – mruknął, opierając się z powrotem na stoliku.

– Proszę, odpowiedz mi wprost. Czy Firefox mógłby polecieć?

Curtin wzruszył ramionami, zawahał się, po czym odparł: – Nie wiem. Taka jest prawda.

– A kto mógłby to wiedzieć?

– Dlaczego nie zapytasz starszego oficera inżynierii. Jak on się nazywa? Moresby? Ten facet z Abingdon. Znajduje się na miejscu, będzie wiedział lepiej, w jakim stanie jest samolot. Zapytaj jego!

Radiooperator siedział sztywno na swoim krześle. – Połącz mnie z majorem lotnictwa Moresbym. Natychmiast. – Spojrzał ponownie na Curtina, uniósł w górę dłoń i zaczął wyciszać, zaginając palce: – Mamy pilota, jest już prawie bezpieczny... mamy pas startowy, powierzchnię jeziora... mamy dwadzieścia cztery godziny czasu... samolot musi przelecieć sto czy sto pięćdziesiąt kilometrów, nie więcej, żeby nie wpaść w ręce Rosjan. Czy spodziewam się zbyt dużo?

– O wiele za dużo – mruknął Curtin. – Sądzę jednak, że nie oczekujesz odpowiedzi ode mnie.

– Major Moresby na linii, sir.

– Już idę, idę. – Oczy Aubreya błyszczały jak u fanatyka. – Nie wypuszczę go z rąk – rzekł. – W każdym razie jeszcze nie teraz. Nie wypuszczę!

10.

„Nessie”

– Dmitrij, nie zabijaj go...! Pomyśl, Dmitrij...!

Dłoń Ganta zatrzymała się w pół drogi do wewnętrznej kieszeni. Przypomniał sobie, że jego pistolet spoczywał jeszcze w teczce. Priabin celował prosto w niego, chociaż wpatrywał się w twarz Anny. Obrócił głowę ku niej w tej samej chwili, kiedy rozbrzmiał pierwszy okrzyk. Gant siedział nieruchomo, obserwując scenę. Nie widział szans, by skoczyć przez całą długość przedziału na tyle szybko, żeby Priabin nie zdążył strzelić. Siłą zmuszał się do zachowania spokoju.

– Anna...? – jęknął Priabin głosem dziecka, które nie rozumie wydanego przez dorosłych polecenia. Powstrzymywano go przed dokonaniem czegoś, czego bardzo pragnął.

– Nie zabijaj go, Dmitrij – powtórzyła Anna, powoli wyciągając dłoń w kierunku pistoletu. Priabin nadal celował w Ganta, trzymając broń poza jej zasięgiem. – W jaki sposób ja będę mogła to wytłumaczyć, jeśli ty go zabijesz?

Sprawał wrażenie całkowicie zmieszanego. – Ty? Ty pójdziesz ze mną. Będziesz bezpieczna...

– Czy myślisz, że oni na to pozwolą? Czy sądzisz, że nie będą wiedzieli, iż zabójstwa dokonano za moją zgodą? To pułapka, Dmitrij. Muszę robić to, czego ode mnie żądają!

Wyciągnął ku niej lewą dłoń, a ona chwyciła ją gwałtownie, zaciskając kurczowo palce. Ich ręce złączyły się w uścisku. Po chwili delikatnie potrząsnął dłonią.

– To nie będzie tak – rzekł łagodnie. Gant dostrzegł krople potu na jego czole, spowodowane nie tylko panującą w przedziale temperaturą. Gorączkowo

pragnął urzeczywistnić swoje zamierzenia, a teraz jego plany zaczynały rozsy-
pywać się w proch. – To nie będzie tak! – powtórzył z naciskiem, chcąc przeko-
nać samego siebie.

– Będzie – odparła. – Wiem, że tak będzie, ty ich nie znasz.

– Uwierz jej – wtrącił Gant. Oboje natychmiast zwrócili ku niemu nienaw-
istne spojrzenia. Przeszył go dreszcz. Priabin wciąż był w szoku, ogarnięty
paniką, i roztrząsał w myślach niedorzeczne plany ocalenia swej ukochanej.
Gant tracił panowanie nad sytuacją, nie wiedział, jak wykorzystać ją na swoją
korzyść. Był przekonany, że jedno nieopatrzne słowo może stać się dla Rosjani-
na sygnałem do ataku.

– Zamknij się! – warknął niepotrzebnie Priabin.

Gant wcisnął się w róg siedzenia, rzucając przelotne spojrzenie w górę, na
swoją teczkę. Nie miał żadnych szans.

Priabin usiadł w drugim końcu przedziału, jak gdyby Gant zrobił miejsce
specjalnie dla niego, nie przestał jednak mierzyć z pistoletu. Gant poczuł, jak
chłód bijący od szyby, o którą opierał się plecami, przenika materiał marynarki i
zaczyna pokłuwać między łopatkami.

Priabin przemówił do Anny, nie patrząc na nią. Wciąż ścisnął jej dłoń tak
silnie, że z jej palców odpłynęła krew, stały się białe.

– Posłuchaj mnie, Anno – zaczął. – Jeśli on powie nam, gdzie jest samo-
lot... Wiesz to, prawda? – Gant z obojętnym wyrazem twarzy ostrożnie skinał
głową. – Jeśli on nam powie, będziemy mogli przekazać tę informację dalej.
My... będziemy mogli wyjść z tego z honorem. Oni chcą jedynie dowiedzieć się,
gdzie jest samolot. Tylko dlatego interesują się nim. Mogę zeznać, że... że śle-
dziłem podejrzanego albo że otrzymałem meldunek, iż wsiadł do pociągu. Sam.
Walczyliśmy, pistolet wypalił, ale on zdążył powiedzieć mi wszystko...! – Spoj-
rzyła na nią. – To może się udać!

– Będą mieli całkowitą pewność, że należy cię wykończyć, Anno – rzekł
cicho Gant. Nie był w stanie powstrzymać cisnących się słów. Kiedy zauważył
pobielale palce, zacisnięte na dłoni Priabina, dotarło do niego, że Anna nie jest
jego przeciwnikiem, a raczej nagrodą, o którą musi stoczyć walkę z Rosjani-
nem. Jeśli wywody kochanka trafią jej do przekonania, wówczas pozwoli Gan-
towi zginąć. Nienawidziła go tak samo jak Priabin. Na dźwięk jego głosu lufa
pistoletu uniosła się nieco w górę, jakby przypominając o zagrożeniu. Szare
oczy Priabina mierzyły go nieustępliwym spojrzeniem. Z czołem zroszonym
potem i obwisłymi policzkami sprawiał wrażenie człowieka chorego. – Uwierz
mi – dodał Gant, zmuszając się do dalszych wyjaśnień. – Ja ich znam. Tylu już
ludzi poświęcili w tej operacji. On o tym dobrze wie. Nawet Baranowicza. –

Brzmienie tego nazwiska podziało na nią jak uderzenie w twarz. – Są gotowi poświęcić każdego. On ma rację. Interesują się mną tylko dlatego, że wiem zbyt dużo. Nie mogą pozwolić, bym wpadł w niewłaściwe ręce. – Uśmiechnął się krzywo w stronę Priabina. – Tylko z tego powodu zaangażowali ciebie. Powinnaś zdawać sobie z tego sprawę, Anno. Przykro mi, ale musisz znać prawdę. Jeśli wywieziesz mnie stąd, wtedy być może dadzą ci spokój. Spróbuję nakłonić ich do tego.

– Nie wierz mu! – krzyknął Priabin.

– Mów ciszej, Dmitrij! – ostrzegła pełnym przerażenia głosem. Jej oczy powędrowały w stronę korytarza.

– Zaciągnijcie zasłonki – powiedział Gant.

Priabin puścił dłoń Anny, na ślepo pomacał nad głową, po czym ściągnął roletę na dół. Anna zaczęła rozcierać zdrętwiałe palce. Gant odwrócił się, przez chwilę patrzył na odbicie Priabina w szybie, wreszcie na sypiący za oknem śnieg. Usłyszał, jak Anna opuszcza roletę ze swojej strony. Odwrócił się z powrotem ku Priabinowi. Nie mógł wyskoczyć z pociągu, w każdym razie nie teraz. Miał jeszcze szanse na zwycięstwo w tej rozgrywce...

– W porządku – odezwał się znowu Gant. Mówił po angielsku. Priabin władał angielskim nie gorzej niż Anna. – To już lepiej. Spróbuję wam pomóc, ale nie będę mógł nic zrobić, jeśli mnie zabijecie, prawda? – Zwrócił się do Priabina. – Posłuchaj, towarzyszu. Wiem, że chcesz mnie zabić. Wiem także, z jakiego powodu. Ale ja nie jestem ochotnikiem, tak jak ona. To nie ja wyciągnąłem z kapelusza karteczkę z jej nazwiskiem, więc spróbuj nie mnie winić za to, co się stało, dobrze?

– Nie mam zamiaru puścić cię wolno – odparł błyskawicznie Priabin. Otarł pot z czoła. Uspokoił się już nieco; nadal trzymał dłoń Anny, lecz już nie ścisnął jej tak kurczowo. Gant zrozumiał, że jednocześnie stał się on jeszcze bardziej niebezpieczny.

– Jeśli mnie wydasz, powiem im, gdzie znajduje się samolot. Przypuszczam, że zrobiłem to już wielokrotnie. Ale powiem im także o Annie... nawet gdybym nie chciał – dodał pośpiesznie, kiedy pistolet w dłoni Priabina zakołysał się złowieszczo. – Wyciągną ze mnie wszystko pod wpływem narkotyków. Sam dobrze o tym wiesz, człowieku! Nie będę potrafił zachować milczenia, nawet gdybym gorąco tego pragnął!

– Więc zabiję cię.

– A potem CIA powiadomi twoich przełożonych, Anna dostanie czapę, prawdopodobnie ty także. Swoją drogą, co ty tu, do diabła, robisz? Gdzie jest twoja obstawa? Kto jeszcze wie? – Uścisk Priabina na palcach Anny ponownie

zaczął przybierać na sile. Gant dostrzegł grymas bólu na jej twarzy, nie wiedział jednak, czy jest to efekt ściskania dłoni, czy wpływ jego słów. – Spójrz prawdzie w oczy, człowieku! Pokpiłeś sprawę!

– Nie...!

– Tak samo wystawiasz się na odstrzał jak ona!

Zaprzagnął spojrzeć na zegarek. Powoli pochylił głowę, jakby zastanawiał się nad kolejną wypowiedzią. Zostało piętnaście minut jazdy do stacji w Kołpino, gdzie miał czekać Harris z wynajętym samochodem. Miał piętnaście minut na wyperswadowanie albo na zabójstwo Priabina. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie ma żadnych szans zabicia go.

– Nie spodziewają się chyba, że Anna pojedzie z tobą, żeby dowieść swojej lojalności, prawda? – zapytał lekceważąco Priabin.

Gant pokręcił głową. – Zostawili jej możliwość wyboru – odparł. – Postanowiła zostać.

Priabin spojrział na Annę. Na jej bladej twarzy malowało się przerażenie. Gant wyczuwał, jak bardzo potrzebny jej jest dotyk dłoni oficera KGB, stały, fizyczny kontakt, niosący im obojgu ukojenie. Priabin obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– Nie miałś zamiaru wyjeżdżać? – zapytał gardłowo. Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie.

Doznał jakby nagłej ulgi. Gant pojął, że sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana, niż przypuszczał. W pewnym stopniu Priabin zachowywał się jak zazdrosny kochanek, śledzący panią swego serca oraz innego mężczyznę, domyślając się istnienia miłosnego trójkąta. Prawdopodobnie nawet sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Ale przez to powstał kolejny punkt zapalny, mogący doprowadzić go do ostateczności. Gant nie znał prawdy. Czy Anna faktycznie miała zamiar zostać?

– Dzięki Bogu – westchnął. Był wzruszający, a zarazem niebezpieczny. – Sądziłem... sądziłem... – urwał, jakby nagle przypomniał sobie o obecności Ganta, i znów popatrzył na Amerykanina. Wyraz jego twarzy odzwierciedlał teraz burzę myśli. Rozważał różne możliwości.

– Tak to wygląda, synu – odezwał się Gant. – Zastanów się dobrze. To wszystko to wielka pułapka, matnia. Musisz znaleźć z niej wyjście, podobnie jak każde z nas. – Uśmiechnął się ostrożnie. – Na szczęście jest nas tylko troje. Co więc zrobimy?

– Jak zaaranżowano dalszą ucieczkę? – zapytał Priabin.

– Mieliśmy wysiąść z pociągu w Kołpino... – Priabin popatrzył na

zegarek, Gant szybko uczynił to samo. Dwanaście minut. – ...na następnej stacji. Ktoś ma tam na nas czekać, z samochodem.

– A więc ty nie jesteś potrzebna! – oświadczył Priabin. – Czy nie widzisz tego, Anno? Nie jesteś już potrzebna! Nie musisz zapewniać mu ochrony, podróżując z nim aż do samej granicy. Nie musisz!

Anna popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem. Gant starał się zachować obojętny wyraz twarzy. Priabinowi udało się przeskoczyć nad przepaścią i znaleźć drogę ucieczki dla Anny. Teraz ona była po jego stronie.

– Nadal będą mieli cię w garści – rzekł.

– Nie! – uciął Priabin. – Kim ty jesteś, Anno? Jednym z ich źródeł kategorii A? – Anna spojrzała na niego i pokiwała głową.

Oślał ją od dawna, próbował czynić to samo teraz.

– Owszem. Tak twierdzi mój oficer łącznikowy.

– To znaczy, że jesteś dla nich kimś ważnym, nie może być inaczej. Jeśli Amerykaninowi nie uda się uciec, nikt nie będzie oskarżał ciebie. Kiedy przekazesz go człowiekowi, który ma na was czekać, twoja misja dobiegnie końca. Jeśli zostanie zabity podczas próby opuszczenia kraju, nikt nie będzie obarczył winą ciebie... – pośpiesznie wyrzucał z siebie słowa, jednocześnie potrząsając dłonią Anny w rytm swoich myśli. Gant poczuł chłód w okolicy żołądka. Jego spojrzenie znów powędrowało w stronę półki i zamkniętej, leżącej za daleko teczki. Nie miał innego wyboru, jak spokojnie czekać.

Dziesięć minut do Kołpino – tyle że Priabin wiedział już o czekającym tam człowieku z samochodem. Domyślał się chyba, że Gant otrzyma dokumenty uprawniające do przekroczenia granicy fińskiej i jak najszybciej będzie chciał bezpiecznie wydostać się ze Związku Radzieckiego. Dopóki tamten mówił, Gant nie mógł nic zrobić, a młoda twarz Priabina coraz bardziej wyrażała podniecenie, jakby był zaangażowany w coś dorównującego dramatyzmem meczowi piłkarskiemu czy rozpakowywaniu prezentów gwiazdkowych.

– Zostań w pociągu. Niech Amerykanin idzie na spotkanie z tamtym człowiekiem. Rozumiesz? Po prostu jedź do Leningradu, a stamtąd wracaj samolotem do Moskwy. Zdązysz do rana, będziesz mogła normalnie zjawić się w pracy. Wszystko...

– A ty? – zapytała. – Co ty masz zamiar zrobić?

Priabin popatrzył na pistolet. Ciężki steczkini. – To nie ma znaczenia – mruknął. – Jutro zjawię się z powrotem w Moskwie.

– On ma zamiar mnie zabić, kiedy tylko odwrócisz swoje piękne oczy – wtrącił Gant. – Sądzi, że to najlepsze wyjście z sytuacji.

– Nie...!

– Czy na pewno? – Priabin uśmiechnął się, lecz bardziej przypominało to obnażenie kłów. Wiedział już, że ma w rękach wszystkie atuty tej rozgrywki. Gant utracił zakładnika, tajemnicę, a wkrótce miał także stracić życie.

– Nie. Będziesz musiał mnie zabić. Im się to nie spodoba.

– Amerykanom?

– Nie. Twoim przełożonym. Władimirowowi, sekretarzowi generalnemu, twemu przewodniczącemu... Nie spodoba się to nikomu na górze!

– Dam sobie radę nawet po degradacji, na najgorszym stanowisku. Podobnie jak Kontarski – rzekł Priabin z goryczą.

– A ona nadal będzie pracować dla Amerykanów...

Rozpromieniony Priabin z uśmiechem spoglądał na Ganta. – Przemyślałem to! – rzekł, wykładając na stół swoją ostatnią, najsilniejszą kartę. Odwrócił się do Anny. Ganta przeniknął dreszcz. – Długo o tym myślałem. Ona może zostać moim agentem! Agentem... oficera KGB, który właśnie umarł, albo przeszedł na emeryturę, przekazując ją w moje ręce... który ustawił cię kiedyś, Anno, jako podwójnego agenta, a teraz przesłaś pod moje rozkazy. Spałem z tobą i jednocześnie wykorzystywałem cię. Uwierzą w to bez trudu...! – Na twarzy Anny odmalowało się przerażenie.

– To znaczy, że będę musiała ciągnąć tę rolę i ciągnąć... bez końca? – zapytała.

– Ale będziesz bezpieczna! – odparł.

– Nigdy nie pozwolą mi skończyć z tym, uwolnić się?

– Więc dlaczego w ogóle zgodziłaś się na tę rolę? – rzucił twardym głosem. – Dlaczego?

Gant popatrzył na zegarek. Sześć minut. Kiedy wreszcie pociąg zacznie zwalniać? Czy jeszcze przed stacją...? Czy uda mu się dotrzeć do samochodu Harrisa przed Priabinem? Nie będzie miał żadnej broni. Ale... Skakać?

– Ty się mnie pytasz...? A dlaczego ty zostałeś tajniakiem?

– To moja praca.

– Chcę z tym skończyć, Dmitrij. Nie mam zamiaru udawać, że szpiegowałam dla Amerykanów, podczas gdy naprawdę pracowałam dla ciebie! – Jej głos stawał się coraz bardziej piskliwy, w oczach pojawiły się łzy. Uwolniła rękę. Zaciśnęła obie dłonie w pięści i trzymała je na wysokości piersi, jakby osłaniała się. Jednostajnie kręciła głową. Dyskutując z Priabinem wyglądała na znacznie starszą i dużo brzydszą. – Nie obchodzi mnie, jakie sprytnie wyjście z sytuacji znalazłeś. Nie chcę tkwić w tej pułapce do końca życia...! – Uniosła prawą

dłoń i odrzuciła kosmyk włosów zsuwający się jej na oczy. Wbijała wzrok w swoje kolana, nie patrzyła na Priabina. – Nie chcę! Nie mogę tego ciągnąć dalej, Dmitrij... – Spojrzała na niego. – Gdybym tylko mogła się wycofać... Nie wiesz nawet, ile bym dała za to, by móc się wycofać!

Priabin sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko oparł się plecami o roletę zasłaniającą okno przedziału i spojrzał na Ganta.

– Pojedź ze mną do granicy, Anno – odezwał się Gant cicho. – Uwolnij mnie. Obiecuję, że zrobię wszystko, by dali ci spokój. Jeśli pozwolisz mu zabić mnie, wtedy z pewnością wydadzą cię w ręce jego ludzi. Jego plan nie powiedzie się, Agencja nie dopuści do tego, by się powiódł. Moje rozwiązanie stwarza ci jakieś szanse, jego żadnych.

– Staniesz się zakładniczką, Anno.

– Oczywiście, że tak, ale u końca tej podróży czeka na nią wolność. A jedyne, co ty możesz jej zaproponować, to zamknięcie w klatce do końca życia. Czy tego chcesz? Czy naprawdę chcesz tego?

Priabin ocieżale, powoli opuścił powieki. Jego twarz zdradzała konsternację i niezdecydowanie. – Nie mogę pozwolić ci odejść – rzekł. Gant pomyślał w pierwszej chwili, że zwraca się do Anny, lecz ta uwaga skierowana była do niego. – Nie mogę tego zrobić.

Gant stwierdził w duchu, że zostały trzy albo cztery minuty. Musiał posuwać się dalej w tym kierunku.

– Będziesz mogła wrócić do domu, zrezygnować z posady w ministerstwie i podjąć pracę gdzieś, gdzie Agencja nie miałaby z ciebie żadnego pożytku. Będą się wściekać, lecz nie powstrzymają cię. Nie będą też mogli cię wydać, choćby nie wiem co się stało. – Jego głos brzmiał miękko, słowa przypominały ostrożne kroki przez pole minowe. Spoglądała na niego z uwagą, jakby odzy-skiwała nadzieję. Gant zdławił w sobie przecucie, że to wszystko może być kłamstwem, że Agencja faktycznie może zwrócić się przeciwko niej i wydać ją KGB.

– Pomogę ci – mówił dalej. – Zabierz mnie do Finlandii. Trzymaj tego człowieka jak najdalej ode mnie, a obiecuję, że kiedy dotrzemy do granicy, będziesz mogła odejść wolna. Albo pojedź ze mną do Helsinek... – dodał szybko. Dwie minuty. Czyżby pociąg zaczynał już zwalniać...? – Porozmawiamy z ludźmi Agencji, porozmawiamy z Charliem Buckholzem albo z Aubreyem... – Poruszyła się na dźwięk nazwisk, lecz Gant naciskał. – Aubrey byłby po twojej stronie. To nie potrwałoby długo, zresztą nie musisz jechać, jeśli nie chcesz.

Dowieź mnie tylko do granicy. Żywego. W ten sposób masz jeszcze szansę. Jeśli przystaniesz na jego propozycję, wtedy za nic nie możesz się ludzi na-
dzieją, że odzyskasz wolność.

Pociąg rzeczywiście zwalniał...

Priabin popatrzył na Ganta, potem na Annę. Kiedy z powrotem przeniósł wzrok na Amerykanina, w jego oczach zabłyśła głęboka, nieposkromiona nie-
nawiść. Lufa pistoletu ciągle mierzyła w sam środek piersi Ganta, a mężczyzna
wciąż miał zamiar zrobić z niego użytek. Wszystko zależało od Anny. Zapadło
milczenie, oboje wpatrywali się w niego. Nie miał najmniejszych szans dopaść
drzwi i wyskoczyć z jadącego wolno pociągu.

Przez zasłonę śniegu przebiły się pierwsze światła niewielkiego miasta. Zie-
lona plama lampy sygnalizacyjnej pod semaforem.

– A więc? – zapytał.

Anna uniosła wzrok. Sięgnęła do dłoni Priabina i zacisnęła palce. Ciągłe pa-
trząc na Ganta powiedziała: – Muszę to zrobić, Dmitrij. Muszę zrobić to, co on
proponuje...

– Nie!

– Muszę, najdroższy! Chciałeś mi tylko pomóc. Nie powiedzieliśmy tego
otwarcie, ale wiem, że nie chciałeś nic innego, jak pomóc mi. A więc proszę cię,
pomóż mi. Pomóż mi, kochany. Uwolnij go, pozwól, że odejdę razem z nim.
Nie podążaj za nami, nie zatrzymuj nas... Wróć, przysięgam. Wiesz, że wróć.
Ale pozwól mu teraz odejść, a oboje będziemy wolni. Oni to zrobią, prawda? –
zapytała Ganta.

Skinął głową. – Ludzie, których znam, dadzą ci spokój. Ręczę za to.

Światła stacji – początkowo pędzące ku nim, potem przesuujące się coraz
wolniej za oknem.

– Szybciej, Anno – rzekł, spoglądając na Priabina. Pistolet kołysał mu się
na kolanach. Jego mina wyrażała zarazem nieszczęście i wściekłość, gorycz
porażki i strach o bezpieczeństwo Anny.

– Dmitrij...

Skinął głową. Niemał w tej samej chwili pociąg z głośnym sykiem zatrzymał
się. – Tak – powiedział, po czym zwrócił się do Ganta: – Lepiej, żeby tak było,
Amerykańcu. Żeby było tak, jak mówisz!

– Uczynię wszystko. Przysięgam...

– Zabieraj palto i teczkę. Będę was eskortował...

– Nie – rzekł Gant.

– Tak. Wasze wyjaśnienia dotyczące wyjścia z pociągu na tej stacji mogą
się wydać komuś podejrzane. Przy mnie nie będziecie musieli odpowiadać na
żadne pytania.

– A później?

– Zaczekam na następny pociąg. Potem będę czekał na ciebie w Leningradzie, Anno...

Rzuciła mu się w ramiona. Gant sięgnął po palto i bagaże. Ich namiętność, intensywność łączących ich uczuć sprawiała mu ból. Udało mu się przejść przez pole minowe, ale aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo było ono niebezpieczne. Ponadto gdzieś w głębi serca odczuwał coś, czego nie umiał nazwać inaczej niż zazdrością.

Należała do niego. Przynajmniej powinien spróbować przemówić na jej korzyść...

– Chodźmy – rzekł, odwracając się ku nim i przerywając pocałunek. Poczł się zawstydzony. – Musimy się pospieszyć...

Brooke skierował światło lampki na zastrzał przedniego koła Firefoxa. Sprawdzał go po raz dziesiąty czy dwunasty. Nie potrafił opanować swych reakcji, owego niepokoju pełnego napięcia, ogarniającego całe ciało. Przypominało mu to czasy dzieciństwa, kiedy siłą musiał się powstrzymać przed odmierzaniem kroków między szczelinami chodnika, przed ustawicznym pragnieniem stawiania stóp na samej krawędzi dywanów lub chodników, kiedy raz za razem sprawdzał, czy wszystkie światła zostały wyłączone – na początku sprawdzał tylko cztery razy, potem sześć, osiem... Zaczynał już sądzić, że jest nienormalny, kiedy odkrył, że połowa jego kolegów z klasy porusza się w taki sam, obsesyjny sposób. Teraz w analogiczny sposób sprawdzał mocowanie lin wokół trzech goleni podwozia. Czuł się wręcz jak maniak. Ale wszyscy mieli rację. Można już było rozpocząć wyciąganie samolotu, a wszystko zależało od tych trzech nylonowych lin, od ich sprawdzenia...

Pływał ciągle w pobliżu tego jednego zastrzału. Lina owinięta była wokół niego kilka razy, pod spodem znajdowała się gruba wykładzina, mająca zabezpieczyć gołęń koła przed zniszczeniem. Z tego samego powodu linę owinięto wysoko na goleni, u jej nasady. Raz jeszcze niecierpliwie szarpnął linę, powiódł wzdłuż niej snopem światła lampki, po czym skierował go ku brzegowi.

Tak – pomyślał, kiwając głową. Wszystko w porządku.

Odwrócił się plecami do samolotu i zahaczył światłem o krawędź szerokiego pasa z momatu, zbiegającego z brzegu aż do koła dziobowego. Przenośna ścieżka, wykonana z grubego tworzywa wzmocnionego włóknem szklanym,

przykrywała muł i kamienie na dnie jeziora, wspinała się po pochyłości brzegu i osłaniała zdeptany śnieg przecinki utworzonej na górze. Firefox miał zostać wyciągnięty po tej gładkiej powierzchni, teoretycznie równo i bez trudu, aż na sam brzeg. Światło lampki zatańczyło na przypominającej strukturą wafel gładzi momatowej ścieżki, wreszcie Brooke wychylił głowę z wody i ruszył pod górę traktem łagodnie wysuwającym się z toni jeziora. Kiedy zdjął maskę, zauważył Waterforda i Buckholza, których sylwetki w białych futrzanych kurtkach wyraźnie odcinały się na tle światła reflektorów umieszczonych wśród drzew zamykających przecinkę. Tylko oni dwaj stali na momatowej ścieżce, czekając na niego.

Buckholz pomachał ręką w stronę Brooke'a. W snopach światła wirowały płatki śniegu. Porucznik SBS także pomachał im ręką. Wszystko w porządku, można zaczynać.

– Tak – rzekł na głos, kiwając głową. Odwrócił się i popatrzył na zamrożone jezioro, idąc śladem spojrzeń tamtych dwóch. – Nic się nie dzieje? – zapytał. – Jaki był ostatni meldunek z Nimroda? – Kapral SBS pomógł mu zdjąć butle z powietrzem i wziął maskę. Brooke wsunął się w kurtkę. Nie odczuwał chłodu.

– Spokój – odparł Waterford. – Niczego nie zauważyli.

– Gant wciąż znajduje się na wolności. Jedzie do Leningradu – dodał Buckholz. – Nic im nie powiedział.

Poprzez zasłonę śniegu, która w nieregularnych odstępach czasu niemal całkowicie przesłaniała widoczność, Brooke dostrzegł na powierzchni ciemnej wody pływak wykonany z bali drewna. Owinięty taśmą luminescencyjną, przymocowany był cienką linką do dzioba Firefoxa. Nieco dalej, ledwie dostrzegalny w ciemnościach, widniał wielki krzyż zbity z desek i palików, również owiniętych taśmą luminescencyjną, oznaczający pozycję Firefoxa pod lodem. Wcześniej wraz z grupą płetwonurków dokonali szczegółowych pomiarów samolotu.

Teraz trzeba było jeszcze do końca rozkruszyć lód w obszarze wyznaczonym przez krzyż – lód, który zdążył już pokryć jezioro tam, gdzie załamała go tonąca maszyna. Wtedy można będzie zacząć wydobywanie Firefoxa.

Brooke wyczuwał podniecenie stojącego obok Amerykanina. Podzielał jego nastrój. Na twarzy Waterforda widniał posępny wyraz, ale było to coś normalnego u niego. Brooke nie był w stanie wyczytać z tej twarzy czegokolwiek.

Buckholz zmierzył wzrokiem Brooke'a i przycisnął do policzka niewielką krótkofalówkę. – Uwaga, płetwonurkowie. Przystąpić do rozbijania lodu.

Płetwonurkowie ruszyli w stronę jeziora. Dwóch z nich weszło do wody, niczym pingwiny poczłapali momatową ścieżką, a następnie popłynęli ku krawędzi pokrywy lodowej. Dotarli do szczytu krzyża i zaczęli ciąć świeży, szybko tworzący się lód, kierując się jednocześnie na boki i okrążając drewniany krzyż. Dwóch innych wkroczyło na lód. Uzbrojeni byli w kilofy i młoty. Po chwili włączono jeden z wielkich reflektorów i skierowano strumień światła na jezioro.

W martwym, przesyconym śniegiem powietrzu rozbrzmiały odgłosy uderzeń stali o lód. Odcięte, grube tafle kry trzeba było ściągać za pomocą lin w stronę brzegu. Płetwonurkowie pracowali z zapalem, zsuwając na bok odrąbane kilofami bryły lodu. Spojrzał na zegarek. Kwadrans po północy. Zgodnie z harmonogramem.

Wielkie tafle ściągano linami po dwie i holowano poprzez rozszerzające się oczko wody w kierunku brzegu, a następnie spychano je na grubszy lód. Wpół do pierwszej. Na wodzie zaczęły pływać długie kawałki drewna. Krzyż tracił swój kształt. Bez przerwy ciąto i rąbano lód.

Zamarzniętą powierzchnię jeziora zostawiono nienaruszoną do ostatniej chwili ze względów bezpieczeństwa. Pomimo złej widoczności nawet luminescencyjny krzyż mógł zdradzić ich obecność obserwatorowi w samolocie lub śmigłowcu. Dwie godziny wcześniej musieli zrobić dłuższą przerwę w pracy, bowiem Eastoe zameldował o pojawieniu się nad Finlandią lecących na północny zachód helikopterów. Co prawda patrolowały obszar dość daleko na południe od nich, a potem przez prawie godzinę krążyły dalej na północny wschód, w okolicy jeziora, gdzie schwytano Ganta. Później zaczęły przesuwać się wzdłuż trasy, którą doszedł nad tamto jezioro. Grupa Buckholza, skryta w mroku, czekała w ciszy na ich przylot. Ale nie zjawiły się. Pogoda znów uległa pogorszeniu i śmigłowce, ledwie dostrzegalne na ekranie najnowocześniejszego radaru na pokładzie Nimroda, zmieniły kurs i poleciały na południowy wschód, gdzie przekroczyły granicę. Niemal natychmiast włączyli z powrotem światła i ułożyli na lodzie krzyż, odzwierciedlający położenie kadłuba i skrzydeł Firefoxa. Od tamtej pory Eastoe meldował o braku jakichkolwiek ruchów w rejonie przygranicznym. Prawdopodobnie Rosjanie zrezygnowali z dalszych zwiadów śmigłowcami z powodu złych warunków atmosferycznych. Wszystko wskazywało na to, że nie wiedzieli, gdzie szukać, nie znali położenia samolotu.

Z wody wyciągano kolejne tafle lodu, których spiętrzone hałdy ciągnęły się aż do granic widzialności. Ponownie cały obszar przesłoniły gęstniejące tumany śniegu. Kapral wcisnął w dłoń Brooke'a kubek z parującą kawą, a ten niemal

bezwiednie zacisnął na nim palce. Siorbnął nieco płynu. Wpół do pierwszej.

Odwrócił głowę. Oficerowie z Królewskiej Inżynierii kontrolowali nylonowe liny z tą samą obsesyjną starannością, którą zauważył u siebie podczas sprawdzania podwozia Firefoxa. Przygotowywali jakieś chropowate podłoża, wzmacnione palikami ze ściętych drzew. Trzy jodły, do których przymocowano wyciągarki łańcuchowe, nie znajdowały się w jednakowej odległości od jeziora, nie stały też w równej linii. Stąd zapowiadała się skomplikowana i powolna operacja wyciągania – musieli uczynić wszystko, by uniknąć ocierania i napięrania lin na kłapy podwozia, a zarazem wytoczyć samolot jak najprostszą drogą wzdłuż momatowej ścieżki. Jeden z oficerów musiał nieustannie kontrolować szybkość oraz równomierność wybierania każdej z trzech lin.

Płetwonurkowie znajdujący się na lodzie przekazali już liny i kilofy technikom RAF, sami natomiast zeszli pod wodę, by po raz ostatni sprawdzić, czy nie ma jakichś przeszkód na dnie. Przed zapadnięciem zmroku spędzili wiele godzin, usuwając kamienie i odłamy skalne, a także wyznaczając stanowiska obserwacyjne. Mieli cały czas kontrolować pod wodą stan gołeni podwozia oraz lin, a także nadzorować pierwsze chwile holowania.

Za dwadzieścia pierwsza. Kawa w kubku Brooke'a była już zimna, odrzucił go szybkim ruchem dłoni. Śnieg zabarwił się na brunatno przy samej krawędzi momatowego dywanu. Dwóch techników z ekipy naziemnej bez przerwy zamiatało wafłopodobną powierzchnię, starając się, na ile to możliwe, oczyścić ją ze śniegu.

Brooke popatrzył na Moresby'ego, majora lotnictwa z Jednostki Umocnień Polowych w Abingdon, który wraz z dowódcą kompanii inżynierii zmierzał powoli w ich stronę. Skinął głową Buckholzowi i Waterfordowi, przyjmując zaraz pozycję obserwatora, z dłońmi wbitymi głęboko w kieszenie, futrzanym kołnierzem ściągniętym wokół twarzy i zgarbionymi ramionami.

– Kiedy tylko wyciągniemy go na równy grunt – oświadczył, jak gdyby od dłuższego czasu brał udział w dyskusji i udzielał obecnie odpowiedzi na jedno z pytań – możemy zakończyć holowanie. Mniej więcej tutaj – dodał, wskazując dłonią obszar tuż za ich plecami, gdzie teren był już prawie płaski. – Rozmawiałem ze specjalistami z inżynierii. Zapewniają, że będzie można utrzymać go tutaj na linach. Jeśli mam być szczery, chciałbym zajrzeć do kabiny, gdy tylko samolot ocieknie nieco z wody.

Buckholz z całą powagą skinął głową. – W porządku, majorze. Jeśli jest tam

jakiś mechanizm samozniszczenia, to już pańska działka. Zatrzymamy wyciągarki, kiedy tylko samolot wynurzy się z wody.

– Znakomicie. Domyślam się, że układy antyradarowe i systemy sterowania myślowego są zabezpieczone jakimś mechanizmem autodestrukcji. Jeśli nie została użyta katapulta, może on być nie uzbrojony. Ale istnieje prawdopodobieństwo, że został uzbrojony po prostu wskutek zanurzenia pod wodą. Znanе są tego typu zabezpieczenia. Dlatego sądzę, że lepiej będzie dokonać przeglądu, zanim samolot zdąży wyschnąć. – Uśmiechnął się przelotnie, szybko zasalutował i odszedł.

– I tak nie byłoby wielkiej eksplozji – skomentował Waterford. – Nie mogli przecież uzbroić całego kadłuba, to zbyt niebezpieczne. Ale, rzecz jasna, mogłoby zabić majora i przyprawić Aubreya o atak serca, gdyby dowiedział się, że stracił najlepszego fachowca na pokładzie...

– Dziękuję, majorze – przerwał mu Buckholz.

Wyciągano już ostatnie tafle kry na powierzchnię mocnego lodu. Kanał odsłoniętej wody ginął w mroku poza kręgiem światła z reflektora. Pływały po nim tu i tam luminescencyjne kawałki drewna. Krzyż zniknął. Oddział wracał na brzeg, płetwonurkowie wynurzali się z wody i wspinali po przenośnej plastikowej ścieżce. Kiedy ściągali maski, na ich twarzach malowały się uśmiechy. Brooke skinął głową. Jeden z płetwonurków odwrócił się i zanurzył ponownie w jeziorze, obejmując posterunek obserwacyjny. Brooke spoglądał, jak migotliwe, blade światło jego lampki, przypominające ślad jakiejś błyszczącej ryby, przesuwa się powoli w kierunku skrzydła zatopionego Firefoxa.

– Proszę mi powiedzieć, majorze – odezwał się Buckholz – czy Aubrey nazwał tę operację „Nessie” dlatego, że sądził, iż nie damy rady wyciągnąć samolotu z wody? – Pytaniu towarzyszył poszerzający się uśmiech.

Waterford pokiwał głową. – Według Aubreya to miał być żart, Mr Buckholz. Żart w jego stylu. – Odwzajemnił uśmiech, po czym dodał: – Proszę wybaczyć. Najwyższa pora nawiązać łączność z moimi Apaczami na posterunkach.

Niezmacony spokój Waterforda działał jak zaporę, ale teraz, kiedy major odszedł, Brooke poczuł narastające napięcie, jakby wszystko wokół zostało dziwnie zelektryzowane. Lód porąbany, liny sprawdzone, płetwonurkowie tkwili na stanowiskach. Moresby stał w otoczeniu oddziału Królewskiej Inżynierii u końca przecinki, jak w tyle sceny. Sprawdzali jeszcze świdry i krótkofalówki. Po chwili zaczęli węszyć przy ziemi dokoła trzech drzew, do których były przymocowane wyciągarki, sprawdzając łańcuchy i haki. W końcu pomachał ręką

Buckholzowi i ruszył z powrotem ku Brooke'owi i Amerykaninowi.

Brooke poczuł w gęstym od śniegu powietrzu zapach zupy i kawy. Posiłek miał być podany, kiedy pierwsza próba poruszenia z miejsca samolotu dobiegnie końca. Dopiero wtedy, mając świadomość, że wyciągnięcie Firefoxa tą metodą jest w ogóle możliwe, planowali dziesięciminutową przerwę na gorącą zupę i napoje. Wydobywanie samolotu miało potrwać większą część nocy.

Buckholz sprawdzał gotowość każdej grupy do rozpoczęcia operacji, posługując się krótkofalówką lub machając rękoma. Jego głowa obracała się na wszystkie strony wewnątrz obszytego futrem kaptura białej kurtki. W końcu popatrzył na Brooke'a. Na jego bladej od mrozu i podniecenia twarzy widniał nerwowo uśmiech. Brooke także się uśmiechnął i dał ręką znak, że można zaczynać.

– W porządku. Uwaga wszyscy, przystępujemy do schwywania Nessie. Gotowi?! – krzyknął. Niemal natychmiast Buckholz odwrócił się plecami do jeziora i popatrzył w kierunku trzech drużyn skupionych wokół wyciągarek. Po dwóch ludzi przy każdym kołowrocie zaczęło powoli, rytmicznie obracać korbami. Nylonowe liny naprężyły się. W tej samej chwili, na rozkaz oficera z Królewskiej Inżynierii, drużyny zwolniły obroty. W chwilę później, na znak dłonią, środkowa para w ogóle przestała kręcić, zaraz po niej stanęła drużyna z lewej. Kapitan inżynierii pozwolił zespołowi z prawej strony jeszcze pracować, po czym ruszył do przodu, sprawdzając równomierność naprężenia wszystkich lin. Po kilku sekundach wykonał energiczny ruch dłonią i trzecia dwójka również przestała obracać kołowrotem.

Moresby zbliżył się do niego, zamienił kilka słów, wreszcie skinął głową.

Buckholz usłyszał okrzyk kapitana: – Numer pierwszy, drugi, trzeci! Ciągnąć! – Liny zadrżały, skrzypiąc delikatnie pośród całkowitej ciszy. Dopiero gdy powtórnie rozległy się odgłosy pracujących wyciągarek, Buckholz pojął, jak martwa panowała cisza. Był świadomy napięcia, które udzieliło się wszystkim obecnym, z wyjątkiem sześciu ludzi pośród drzew obracających korbami wyciągarek. Wyczuwał niemal ich wysiłek; każdy mężczyzna przy kołowrocie wyteżał wszystkie siły. – Wszyscy stop! – rozległ się okrzyk kapitana. Liny uniosły się już z powierzchni momatu. Buckholz miał wrażenie, że są rozciągnięte nad miarę, że za chwilę popękają. Znow ogarnęła ich ciężka cisza. Dotarło do niego, że wcisnął obie dłonie głęboko w kieszenie, ponieważ zaczynały drżeć.

Na powierzchni wody pojawił się jeden z płetwonurków SBS. Popytnął w

stronę brzegu i przywiązał do każdej liny dokładnie w tym miejscu, gdzie wysuwała się z wody, pomarańczowy znacznik. Moresby, jakby parodiując przewrażliwionego, zachłannego właściciela fabryki – z rękoma złożonymi za plecami, głową wyciągniętą do przodu i silnie zgarbionymi plecami – chodził tam i z powrotem po brzegu, przyglądając się działaniom pletwonurka, gotów w każdej chwili udzielić mu reprimendy, czy nawet wyrzucić ze służby.

– Ciągnąć, pierwszy, drugi i trzeci! – zawołał, kiedy pletwonurek zawrócił i zaczął płynąć ku niemu. Korby wyciągarek ruszyły zgodnym tempem. Nieco szybciej, rytmicznie. Buckholz poczuł, jakby...

Wbił wzrok w uwiązane do linek chorągiewki, niemal naśladowując skupionego, pochylonego Moresby'ego. Buckholz pojmował jeszcze, na co patrzy, ale z trudem docierało do niego, co będzie oznaczało, jeżeli...

Uśmiechnął się i odetchnął głęboko. Miał wrażenie, że w smaganym wiatrem, przesyconym śniegiem powietrza przecinki rozbrzmiało chóralne westchnienie. Moresby wyprostował się nieco, choć nadal pochylał głowę w stronę wody, naśladowując właściciela fabryki, którego rysunek z podręcznika do nauki historii wciąż tkwił w pamięci Buckholza.

Pomarańczowe chorągiewki – wszystkie trzy jednocześnie – dźwignęły się z powierzchni wody. Firefox został poruszony z miejsca. Z głębi jeziora wysunęła się głowa w masce, obok pojawił się uniesiony kciuk, sygnalizujący, że wszystko w porządku, i pletwonurek zniknął. Firefox podjechał do przodu, pewnie nie więcej niż kilka centymetrów, ale podwozie wytrzymało siłę, z jaką w pierwszej chwili ciągnęły je liny.

– Pierwszy, drugi i trzeci! Wyciągać! – zawołał Moresby przez ramię, a kapitan dał ręką znać trzem drużynom, by obracały kołowrotami w zgodnym rytmie. Odgłos pracujących monotonnie wyciągarek ledwie był słyszalny poprzez zawroźnienie wiatru. Buckholz poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej, i uśmiechnął się.

Pisnęła jego krótkofalówka.

– Tak?

– To Mr Aubrey, sir... Przepraszam, sir, ale on chce rozmawiać z majorem Moresbym... Przepraszam, Mr Buckholz.

– W porządku, synu.

Z ciekawości poszedł za Moresbym w stronę płachty, częściowo osłaniającej stanowisko radiooperatora. Oficer RAF skręcił jeszcze po drodze, by skinieniem głowy przekazać swe gratulacje trzem drużynom pracującym przy wyciągarkach. Żołnierze byli zziąjani i spoceni, widać po nich było bardziej zmęczenie i

wysiłek niż jakąkolwiek radość z sukcesu. Najdalej za dziesięć minut powinni zostać zmienieni przez inne drużyny. Moresby sięgał już po mikrofon radiostacji. Wyras jego twarzy zaskoczył Buckholza, przypominał minę człowieka znieważonego. Znów w myślach powrócił obraz dawnego właściciela brytyjskiej fabryczki, który tym razem stanął przed perspektywą strajku. Uśmiechnął się, ale szybko przywołał wyraz powagi.

– O co chce mnie pan zapytać? – rzucił Moresby. Po chwili na jego obliczu odmalowało się niedowierzanie. – Mówi pan poważnie? Wróć! Nie może pan mówić poważnie! Over. – Uniósł wzrok, dojrzał Buckholza i szybkim ruchem dłoni zaprosił go do niewielkiej enklawy osłoniętej od wiatru. W oczach radiooperatora pojawiły się błyski rozbawienia, jakby cieszyła go mająca nastąpić sprzeczka.

– O co chodzi? – zapytał Buckholz, ale Moresby uciszył go machnięciem ręki, wsłuchując się w głos Aubreya siedzącego w Kirkenes.

Kiedy Aubrey skończył, Moresby pospieszył z odpowiedzią. Mimo mrozu jego twarz oblała się purpurą, a na tle głębokiego kaptura szarobiałej kurtki wskazywała, że major może dostać apopleksji. – Nie mogę nawet zacząć odpowiadać na pańskie pytania, Mr Aubrey. Nie miałem do tej pory okazji pracować z panem i nie wyczuwam pańskiego poczucia humoru. To co pan proponuje to niedorzeczność. Over.

– O co mu, do diabła, chodzi? – rzucił Buckholz.

– Chce, żebym... – zaczął Moresby, po czym głośno przełknął ślinę – ...powiedział, czy samolot będzie w stanie polecieć... wystartować stąd, jeśli chodzi o ścisłość! Absolutnie nie ulega wątpliwości...

– Czy rozumiesz, co to oznacza? – sapnął Buckholz. – On nie zadaje niepotrzebnych pytań. To znaczy, że śmigłowiec Sikorskiego nie przyleci, staruszkę. Dowiedział się właśnie i teraz rozpaczliwie szuka innych rozwiązań. Proszę mi dać mikrofon, majorze. – Buckholz przycisnął dłonią słuchawkę do ucha i rzekł: – Kenneth, tu Charles. Czy jesteś pewien, że latający dźwig nie zdąży na czas? Over.

Aubrey odpowiedział natychmiast: – Przykro mi, Charles. Niestety, tak. Nie ma możliwości, by dotarł do was przed upływem czasu. Spóźni się wiele godzin. Over.

– Skąd wytrzasnąłeś ten szalony pomysł, Kenneth? Major uważa, że nie jest on wiele wart.

– To całkowita bzdura! – wyskoczył Moresby.

– Rozumiem – syknął Aubrey. – Ale jestem w kropce. Over.

– Jeśli cię to interesuje, to myślę, podobnie jak major, że jesteś po prostu szalony. Over.

– Charles, nie mamy czasu do stracenia. Potrzebna mi jest lista niezbędnych części, którą Curtin mógłby przekazać do Bardufoss. Jeśli tam nie będą mieli potrzebnych nam rzeczy, znajdziemy się w kłopotcie. Proszę, daj mi z powrotem Moresby'ego. Posłuchaj, jeśli chcesz... – W głosie Aubreya pojawił się drobny cień tłumionego chichotu. Zdumiało to, a zarazem rozzłościło Buckholza. Odniosł przez to wrażenie, że jego głęboka reakcja na pierwsze poruszenie samolotu była przesadzona i szczeniacka.

– Posłuchaj – warknął. – Nie mamy nikogo, kto potrafiłby pilotować ten przekłety samolot! – Po chwili dodał przez zęby, jakby owa formalność stanowiła jeszcze jeden ośmieszający element: – Over.

– Gant i źródło Burgoyne powinni przekroczyć granicę Finlandii najdalej za dwie godziny. Gant poleci Firefoxem. – W głosie Aubreya brzmiała nuta samozadowolenia. Buckholz pojmował teraz, dlaczego Giles Pyott za plecami Aubreya nazywał go utalentowanym, niespokojnym i nadpobudliwym dzieckiem. Był błyskotliwy, a nowe pomysły nigdy nie pozwalały mu usiedzieć spokojnie na miejscu.

– Chcesz mnie przekonać, że dysponujesz samolotem, który ciągle znajduje się na dnie jeziora, oraz pilotem, który nadal przebywa na terenie Rosji, i jest to podstawa twojej nowej koncepcji? Jesteś obłąkany, jeśli uważasz, że coś z tego wyjdzie!

Moresby wyrwał hełmofon z jego dłoni. Radiooperator błyskawicznie podłączył drugi i z uśmiechem wręczył go Buckholzowi. – Ten hełmofon ma pierwszeństwo transmisji, sir – mruknął.

Buckholz zaklął pod nosem. Czego jak czego, ale ośmieszenia nie mógł znieść. Zwłaszcza ze strony Aubreya.

Śmiech w ciemności. Zabawa. Właśnie tacy ludzie jak Aubrey czy nawet Pyott wzbudzali w nim obojętność i lekceważenie, stawiali go w niezręcznej, irytującej sytuacji. Doprowadzało go to do wściekłości.

Zanim Moresby zdążył się odezwać, rzucił do mikrofonu: – Wyłącz się, Kenneth. Jesteś dupkiem żołądnym, jeśli masz śmiałość proponować takie rozwiązanie! Jeżeli latający dźwig nie może tu dotrzeć, wymontujemy, co się da. Przyślij nam z Bardufoss Chinooka, żebyśmy mogli się stąd wynieść przed upływem terminu. Over.

– Przepraszam, Charles. Powiedziałem, że możesz posłuchać. Czy jest tam jeszcze Moresby?

– Jestem tutaj!

– Świetnie. Zatem może będzie pan tak dobry, majorze, i przynajmniej spróbuje odpowiedzieć na moje pytanie. Czy istnieje możliwość przygotowania samolotu do startu, do piętnasto- czy dwudziestominutowego lotu, oczywiście, z

szybkością poddźwiękową? Do pokonania dystansu zaledwie kilkuset kilometrów? Proszę się dobrze zastanowić.

Obaj, Moresby i Buckholz, jakby połączeni jakąś cichą umową, odwrócili się plecami do radiostacji i operatora, po czym ruszyli przed siebie tak daleko, na ile pozwalały im przewody hełmofonów; jak gdyby chcieli wyjść z kręgu namacalnego uroku rzucanego przez Kennetha Aubreya. Spoglądali na wypoczętych żołnierzy, którzy podejmowali ten sam monotony, regularny rytm obracania korbami wyciągarek co ich poprzednicy. Z lin, wysuwających się spod powierzchni ciemnej wody, spadały srebrzyste, połyskujące krople. Cho-
rągiewki znaczników znajdowały się o jakiś metr bliżej brzegu. Nagłą z jeziora wynurzyła się głowa płetwonurka. Ściągnął maskę, wypluł ustnik i krzyknął:

– Koła podwozia głównego są na krawędzi głazu. Zatrzymajcie wyciągarki i dajcie mi łom!

– Pierwszy, drugi i trzeci: zatrzymać!

Brooke, przytrzymując dłonią na piersi poły kurtki, wbiegł szybko do wody mącąc odbijającą światła, gładką taflę, i wręczył płetwonurkowi łom. Zamienili pośpiesznie kilka słów, po czym tamten zniknął z powrotem pod wodą.

Moresby nagle przypomniał sobie o Aubreyu. – Już panu mówiłem, że to niemożliwe, Mr Aubrey. Proszę mi wybaczyć poprzedni wybuch. Nie miałem zamiaru pana urazić.

– Miałeś, kolego. Albo będziesz miał – mruknął cicho za jego plecami Buckholz.

– To niemożliwe. Koncentruję się obecnie na tym, czy jest, a jeżeli tak, to jakiego typu, urządzenie autodestrukcji, zabezpieczające systemy sterowania myślowego, komputer pokładowy i urządzenia antyradarowe. Jeśli nie zlokalizujemy mechanizmu samozniszczenia, zakładając, że takowe istnieje, wówczas nie zostanie nic godnego poświęcania naszego czasu i wysiłków. Over.

– Rozumiem to, Moresby. Proszę jednak, powiedz mi wprost; kapitan Curtin czeka z kartką i ołówkiem. Czego potrzebowalibyście, gdyby Firefox miał ponownie wystartować. Z powierzchni jeziora.

Z wody ponownie wynurzyła się głowa płetwonurka. Brooke czekał na niego i odebrał łom. Uniesione kciuki oznaczały powodzenie działań. Kapitan inżynierii natychmiast wydał drużynom rozkaz rozpoczęcia wyciągania. Moresby westchnął, po czym ze złością i niechęcią zwrócił swą uwagę ku mikrofonowi. Buckholz miał nadzieję, że da Aubreyowi odpór, zaczynał odczuwać bowiem dziwne sensacje związane z niepomyślną informacją dotyczącą latającego dżwigu. Nie byli w stanie zabrać stąd Firefoxa, to jasne jak słońce.

Wydobywali go z głębi jeziora tylko po to, by wykraść kilka spośród jego systemów, instrumentów, oraz pobrać próbki materiału kadłuba... i wykonać fotografie. Niezliczoną liczbę fotografii.

Buckholz rozumiał, że Aubrey nie ma zamiaru poddać się w obliczu trudności obiektywnych. Nie potrafił jednak wzbudzić w sobie entuzjazmu dla nowego, niewykonalnego pomysłu, który – jak sobie nagle przypomniał – Aubrey musiał wyczarować wprost z powietrza, ponieważ przystępując do akcji nie mieli żadnego planu rezerwowego...!

– Dmuchawy gorącego powietrza – rzucił Moresby takim tonem, jakby przekazanie tej informacji związane było z fizycznym bólem. – Musielibyśmy dostać się do wnętrza kadłuba i osuszyć tam wszystko.

Trzeba by było je także zabezpieczyć. Samolot musiałby być całkiem suchy. Czy mam kontynuować? Over.

– Proszę mówić dalej, majorze. To bardzo interesujące. Over.

Moresby westchnął, słysząc sarkazm w głosie Aubreya. Buckholz popatrzył na trzy pomarańczowe chorągiewki, tańczące niczym motyle uwiązane do lin ponad ciemną powierzchnią gęstej wody.

– Potem najlepszych fachowców. Jeśli nawet go wysuszymy, pojawią się problemy z zapłonnikami, smarowaniem, urządzeniami do kontroli ciśnienia, wyposażeniem pomocniczym, a przede wszystkim z paliwem, rzecz jasna. Po trzecie: hydraulika i pneumatyka. Układy mogą być w porządku po tak krótkim zanurzeniu, niemniej wszystko, powtarzam: wszystko, musielibyśmy pieczołowicie sprawdzić, w przeciwnym razie mogłoby się skończyć urwaniem podwozia, hamulców aerodynamicznych i klap. Po czwarte: układy elektryczne. Tu wszystko zależy od tego, w jakim stopniu samolot ma być sprawny. Lecz także wszystko musiałoby być dokładnie sprawdzone, a jakiegokolwiek uszkodzenie naprawione. A może ma pan prywatne połączenie z zakładami Mikojana, byśmy mogli bez trudu dostać od nich gotowe rosyjskie części zamienne? – parsknął Moresby. W niczym nie przypominało to śmiechu, ale Buckholz doszedł do wniosku, że w ten właśnie sposób major przejawiał rozbawienie. – Po piąte: instrumenty... Sterowane ciśnieniem mogą działać bez zarzutu, gdyż woda nie dostała się chyba do nich. Lecz sterowane elektrycznie, zwłaszcza żyroskopowe... Nie podejmuję się nawet spekulować na temat ich stanu. Over.

Buckholz odebrał to tak, jakby Moresby wylał całe wiadro zimnej wody na głowę Aubreya i teraz czekał, aż jego fortel przyniesie rezultaty. Miał przed oczyma zawzięcie robiącego notatki Curtina, niemal bez przerwy potrząsającego głową. Kiedy jednak usłyszał głos Aubreya zrozumiał, że tamten nie spieszył się nawet odrobinę.

– A co z uzbrojeniem? Over.

– Na miłość boską, Aubrey! – krzyknął Moresby. – Proszę w tym względzie skontaktować się z moim zbrojmistrzem. Wydaje mi się jednak, że jest pan zbyt daleko od przystani, by myśleć o rzucaniu cum.

– Jasne. Z tego, co zrozumiałem, oprócz urządzeń mechanicznych i elektroniki, będą potrzebni eksperci od konstrukcji kadłuba, silników, hydrauliki, systemów kontrolnych, układów elektrycznych, awionicznych, instrumentów pokładowych oraz uzbrojenia... Innymi słowy, kompletny zespół naziemny doświadczony w konserwacji samolotów myśliwskich. To chyba nie jest zbyt skomplikowane zadanie... Over?

– Proszę nie zapomnieć o pasie startowym, zapasach paliwa, tlenu, kombinezonie, który można by podłączyć do układów samolotu. Po prostu nie widzę możliwości zdobycia tego wszystkiego. W każdym razie jest to niewykonalne w ciągu dwudziestu czterech godzin, jakie nam pozostały. Nie dałoby się tego zrobić w ciągu trzech dni, będąc w bazie w Abingdon, a co mówić o Laponii!

– Aubrey, daj mu wreszcie spokój! – rzucił Buckholz. – Nie mamy na to najmniejszych szans. Nie dałbyś rady ściągnąć potrzebnego sprzętu, nie mówiąc już o fachowcach. Zapomnij o tym. Zorganizuj dla nas tego Chinooka, żeby zabrał nas jutro o zmierzchu. Jezu...!

– Co się stało? Over.

– On... on się wynurza, Aubrey! On się wynurza!

Zauważył panującą ciszę. Ogarnęła go radość. Wyciągarki zatrzymały się, pomarańczowe chorągiewki tańczyły na wietrze. Z naprężonych nylonowych lin skapywały perełki wody. Radość.

Czarny, przypominający pysk zwierzęcia nos Firefoxa wysunął się z wody – brzydki, złowieszczy. Powyżej, błyszcząca w światłach niczym oczy, widniała pleksiglasowa osłona kabiny. Potwór morski, Nessie Aubreya spoglądała na nich, czekała – na głupców, którzy odważą się wejść do wody.

– Czy on...? – Usłyszał cichy, pytający głos Aubreya.

– Wspaniały – odparł Buckholz. – Przerażający i wspaniały. Mój Boże, kiedy Gant ujrzał go po raz pierwszy...!

– Może lepiej nie opowiadaj mi. Over – rzucił ironicznie Aubrey.

– Ale pański plan jest niewykonalny – wtrącił Moresby. Kołowroty znów zaczęły się obracać. Centymetr po centymetrze osłona kabiny i czarny pysk wysuwały się coraz wyżej nad powierzchnię wody – czasami zasłaniały je tumany śniegu, kiedy indziej były doskonale widoczne i tym groźniejsze sprawiały wrażenie.

– Co z pogodą, Kenneth?

– O świecie spodziewane jest krótkotrwałe przejaśnienie... Wystarczy, żeby Hercules dokonał jeszcze jednego zrzutu z małej wysokości. Jeden zrzut; wszystkiego, co będzie potrzebne. Potem znów będzie taka sama pogoda.

– A więc nikt nie może się stąd wydostać?

– Meteo zapowiada kolejne krótkie przejaśnienie późnym popołudniem. Ścierające się fronty utworzą dwie przerwy w nieustannej śnieżyicy, jedną o świecie, drugą około zmierzchu. Over.

– To oznacza, że mamy mniej niż dwanaście godzin, Aubrey.

– Wiem o tym, majorze. Ale wszystko, czego będziecie potrzebowali, może zostać zrzucone o pierwszym brzasku. Jeśli się nie uda, obiecuję, że wyrażę zgodę na zniszczenie samolotu. Over.

Bezwiednie Buckholz obrócił głowę tak, by móc cały czas patrzeć na Firefoxa. Zaczynały wyłaniać się czołowe krawędzie olbrzymich skrzydeł. Teraz sprawiał wrażenie pojmanego zwierzęcia – schwytanego w sieci i wyciąganego na wypełnione śniegiem powietrze; bardziej olbrzymia płaszczka manta niż samolot. Powoli, bardzo powoli wysuwał się z wody i wspinał w górę stromizny. Groźba. Tak, pomyślał Buckholz. Nadal wyglądał groźnie, chociaż nie było chyba możliwości, by kiedykolwiek jeszcze wzniósł się w powietrze.

– Rozumiem – odparł Moresby.

– Nie mamy pasa startowego. Nie widzę też sposobu, żeby wtoczyć go z powrotem na lód – wtrącił szybko Buckholz, zdumiony jednocześnie wyraźnym rozczarowaniem w swoim głosie. – Over.

– Ciągnik gaśnicowy i znacznie więcej folii mOmatowej – wtrącił Moresby. – Over.

– Panowie – oznajmił chłodno Aubrey, dokładnie tłumiąc w swoim głosie wszelkie tony satysfakcji. – Ile mamy jeszcze czasu, zanim samolot znajdzie się na brzegu? Over.

– Co najmniej dwie godziny. Over.

– A zatem mamy jeszcze dwie godziny. Majorze, Charles, proponuję, żebyśmy wówczas zaczęli rozmawiać zupełnie poważnie. Zgoda? Over.

Buckholz, zanim odpowiedział, popatrzył na Firefoxa. Wręcz namacalnie poczuł, że głupotą ze strony Aubreya była rezygnacja z planu rezerwowego. Śmieszyla go także nielogiczna, desperacka idea zakładająca, że samolot będzie w stanie wystartować z Laponii. Musiał przyznać, iż on także pragnął, by samolot poleciał. Nie było innego wyjścia...

Spojrzał na Moresby'ego, lecz tamten tylko wzruszył ramionami. Po chwili jednak skinął głową, a nawet uśmiechnął się. Drobny, ledwie zauważalny ruch

warg poniżej krótko przyciętych wąsów. – Dobra – rzucił tonem obrażonego rodzica. – Dobra.

– W porządku, Kenneth. Daj nam jeszcze kilka minut na zebranie niezbędnych opinii fachowców, a potem możemy zarzucać wędkę i zobaczymy, czy rybka da się złowić! – Buckholz poczuł dziwną, niemal chłopięcą wesołość. Na jego oczach skrzydła samolotu nadal wysuwały się z wody. Czarny ryj zdawał się węszyć w jego kierunku, a osłona kabiny obrzucała go dzikim spojrzeniem.

Zagrożenie.

– Tylko zrób wszystko, Kenneth, żeby nie stracić superpilota na ostatniej przeszkodzie, dobra?

Władimirow ziewnął – bardziej z powodu wzrastającego napięcia niż zmęczenia. Szybko opanował ziewnięcie. Siedział w małym, niskim pokoiku, a magnetofon szpulowy, stojący na składanym stoliku, stanowił jedyny sprzęt, jeśli nie liczyć krzesel ustawionych w stosach pod jedną ze ścian. Znaleźli tu zaciszny kąt wraz z Andropowem i starszym śledczym z Instytutu KGB na Prospeckie Mira. Siedzieli pochyleni, z łokciami wspartymi na stoliku, w pozach zaangażowanych w grę hazardzistów. Obok magnetofonu leżał stosik kartek, zawierających pospiesznie przepisane na maszynie, poprawione, a teraz zabazgrane uwagami śledczego zeznania. Przed Władimirowem spoczywał notatnik i długopis. Teraz nie zawracał już sobie głowy udawaniem, że od czasu do czasu coś notuje. Na kartce widniało tylko kilka słów pozbawionych znaczenia. Notatnik Andropowa był zupełnie czysty.

Władimirow stracił cały zapał do wsłuchiwania się w mamrotanie Ganta pod wpływem narkotyków, rozpoznawania jego halucynacji i urojeń zabarwionych strachem przed śmiercią oraz prób przekonania ich, że nie jest umierający. Słóceniu w ciasnym, dusznym pokoiku, kilkakrotnie odtwarzali nagrania z dwóch przesłuchań. Z niechęcią witał w myślach głos, uprzedzający padające z głośnika słowa. Kiedy tylko zasiedli w tym pokoju, palił się do przesłuchania nagrań. Teraz miał już dosyć.

Obecnie słyhać było tylko szum. Gant uderzył głową o podłogę i zamilkł. Ciągle nic...

Władimirow nie znalazł żadnego punktu zaczepienia w okrzykach Ganta, w prośbach, by go wysłuchano. Nawet po ściszeniu jego głos wywoływał nieprzyjemne skojarzenia. Sam pomagał torturować Ganta. Ze wstydem musiał ponownie wysłuchiwać wszystkiego, siedząc naprzeciw przewodniczącego KGB.

Powoli uniósł wzrok i wzdrygnął się.

– Nic – mruknął.

– Mhm. A wasza opinia? – Andropow zwrócił się do śledczego, który drgnął niespokojnie, zanim zdobył się na odpowiedź.

– Towarzyszu przewodniczący – zaczął. Andropow zaczynał się niecierpliwić, ale z jakichś względów nie mógł zrezygnować z pełnego szacunku wyrazu twarzy. W zamian wydał jedynie policzki i skinął głową, by tamten kontynuował. – Ja... nie jestem obeznany, jakiego rodzaju informacji oczekuje generał.

– Czy Amerykanin miał zamiar zdradzić tajemnicę, czy nie?

– Mam rozumieć...?

– Czy na podstawie jego stanu, napięcia w głosie, jego zachowania pod koniec przesłuchania można wywnioskować, że próbował nam cokolwiek powiedzieć? – Andropow zaczął skrobać długopisem po papierze. Zamaszyste, szerokie luki po chwili zniknęły pod ciężkimi figurami geometrycznymi.

– Tak, towarzyszu przewodniczący.

– Zatem co chciał powiedzieć?

– Ja... To trudno przewidzieć. – Starszy śledczy wzruszył ramionami, przeciągnął dłonią po włosach, spojrzął w swoje notatki, przerzucił je, a następnie znów uniósł wzrok. Rozłożył ręce. – Uwierzył już, że jestem amerykańskim generałem. Uwierzył także, że człowiek, którego nie może zobaczyć, to Aubrey, ten Anglik...

– Wiem, kim jest Aubrey – wtrącił lodowatym tonem Andropow.

– Tak, oczywiście. Czynił starania, by zapewnić nas, że nie jest umierający...

– Ponieważ dobrze wiedział, że nie uległ poparzeniom podczas eksplozji Miga-31, którą mu wmawialiście. Tak, to wszystko rozumiemy. Ale co miał zamiar potem nam powiedzieć? Z pewnością w tym, co mówił, muszą być jakieś wskazówki, przecież nie był w stanie pohamować cisnących się słów. Prawda, Władimirow? – Wodniste oczy Andropowa rzuciły zza okularów w złotych oprawkach błyski w jego stronę. Poczuł się pod presją. Przewodniczący podchodził do sprawy ze znacznie szerszą perspektywą. Chciał uzyskać odpowiedź, by uniknąć nagany sekretarza generalnego, która mogła być wykorzystana przeciwko niemu i służyć do zepchnięcia go na pozycję mało znaczącej figuarki w Politbiurze. Z drugiej strony Władimirow równie gorąco pragnął poznać odpowiedź. Bardziej niż kiedykolwiek chciał odzyskać Miga-31, od tego przecież zależała jego dalsza kariera.

– Możliwe, ale ja nie potrafię nic wyłowić. W żadnym miejscu nie stwierdził, że wylądował samolotem.

– A przecież musiał nim wylądować?

– Oczywiście, że tak – odparł rozdrażniony Władimirow. – Czy sądziecie, że katapultował się bez użycia spadochronu? – Niemal równocześnie generał uniósł dłoń w geście ugody. – Tak, wylądował – dodał łagodniejszym tonem, po czym spojrzął na śledczego. – Dobra. Przewińcie taśmę do miejsca... och, gdzie po raz pierwszy oznajmił, że nie spłonął. Znajdźcie to.

Śledczy popatrzył na zamazane kartki maszynopisu i włączył przewijanie. Spoglądał to na zmieniające się cyferki licznika magnetofonu, to na kolumny liczb umieszczone na marginesie strony. Wreszcie z rozmachem wcisnął klawisz stopu. Spojrzął na Andropowa, ten skinął głową. Taśma zaczęła się przesuwac.

Tłumacz, odgrywający rolę Aubreya, wykrzyknął niespodziewanie: – Wcale nie jest umierający! – Władimirow pochylił się do przodu, przekrzywił głowę i nadstawił uszu, chcąc wyłowić coś z natłoku złudzeń, odnaleźć jakąś wskazówkę w znanym mu już dialogu. Także pokonać wracające uczucie wstydu. Śledczy w przebraniu amerykańskiego generała szeptał, że Gant naprawdę umiera. Władimirow przypomniał sobie, nadal miał przed oczyma dłonie Ganta niepewnie sięgające, jakby w celu uratowania własnego życia, ku mundurowi śledczego. Udało mu się wyciągnąć słuchawkę, przez którą tamten odbierał meldunki od asystentów, śledzących na monitorach obrazy z kamer nacelowanych na łóżko. Gant chciał przyciągnąć śledczego do siebie...

– Nie spłonął, nie spłonął... – Usłyszał głos Amerykanina. Za wszelką cenę pragnął powiedzieć im coś, wyjaśnić, naprawić ich pomyłkę. Władimirow poczuł nagle chłodne klucie w piersi, wywołane napięciem i podnieceniem. *Nie spłonął, nie spłonął...* Cóż działo się wówczas w oślepionej narkotykami, zdeorientowanej, skołowanej świadomości Ganta? Cóż takiego chciał im w desperacji powiedzieć?

Andropow zabębnił cicho palcami o krawędź stolika, jakby chciał zabarwić słowa odpowiednim akompaniamentem muzycznym. Śledczy w skupieniu próbował rozwiązać szaradę nieskładnych słów. Nie wiedział, jakiego śladu szukać. Nie był pilotem.

– Nie spłonął... tonięcie... tonięcie, w ogniu, ale woda, woda... – powtarzał nagrany głos Ganta, coraz bardziej krzykliwy, niekontrolowany, panicznie usiłujący przekonać ich o mylnej diagnozie, o tym, że nie mógł umierać z poparzeń. – Nie spłonął... wylądował...

– Zatrzymać! – krzyknął Władimirow. Śledczy wzdrygnął się i wcisnął

przycisk. – Świetnie. Słyszeliście to? Powiedział, że wylądował...

– I dokąd to nas prowadzi? – zapytał Andropow z zabójczym sarkazmem. – Wiedzieliście już o tym, prawda? – Uśmiechnął się niewyraźnie. – Ale gdzie wylądował? Na której z waszych dróg lub przecinek?

Władimirow wzruszył ramionami. – Włączcie znowu – powiedział.

– ...Nie spłonął... woda... – dokończył Gant, po czym zaległa cisza, przerywana jedynie szelestem odzieży i odgłosem niezdecydowanych kroków. Władimirow przypomniał sobie. Gant w tym momencie opadł z powrotem na łóżko. W chwilę później miał usiąść ponownie i zacząć wykrzykiwać swoje: „Słuchajcie!” i „Wyjaśnić!”

Ale nie zdążył czegokolwiek wyjaśnić, chociaż słuchali go z uwagą. Miotając się jak oszalały, z nogami zaplątanymi w pościeli, zsunął się z łóżka, uderzył głową o podłogę i stracił przytomność. Koniec zabawy...

Odgłos kroków w nagraniu; a może tylko bębnienie palców Andropowa? Szybkie oddechy, nierozróżnialne pomruki, stłumione przekleństwa, jakaś szamotanina. Wszyscy czekali na ten moment, który nie nastąpił.

Nie spłonął... Gant nie spłonął. Wiedział o tym. Władimirow spojrział na notatnik. Na wpół świadomie wyrwał kartkę z bazgrołami i wbił wzrok w starannie wypisane na następnej stronie słowa.

Policzył. Gant pięciokrotnie zaprzeczył temu, jakoby spłonął. Wspomniał o ogniu, chociaż tylko raz. Władimirow ze zdumieniem zauważył, że wypisał każde słowo oddzielnie, tyle razy, ile razy padło. Jak gdyby pisał pod gorączkowe dyktando Ganta. Widniało tam również słowo „woda”. Zostało powtórzone trzy razy. Poza tym „tonięcie” – dwukrotnie...

Nie spłonął, tonięcie, woda, ogień, wylądował...

Władimirow pojął wagę tego fragmentu nagrania, tej chwili. Musiał znaleźć odpowiedź...!

Trzy razy woda, dwukrotnie tonięcie, raz wylądował... Niemal ukradkiem podkreślił długopisem zaznaczone już uprzednio kółkami słowa falistą linią. „Tonięcie” i „woda” przypominały uwiązane baloniki, unoszące się nad słowem „wylądował”...

W pamięci odżyło pytanie Andropowa o możliwość wylądowania samolotem na zamrzniętym jeziorze.

Nagle wszystko stało się jasne.

Wylądował – woda – tonięcie.

Rozszyfrował tajemnicę. Wiedział już, co uczynił Gant. Wylądował Mi-
giem-31 na zamrzniętym jeziorze, a potem lód załamał się i Amerykanin omal
nie utonął. Dlatego nie znaleźli żadnego śladu samolotu – woda z powrotem
zamarzła ponad nim.

Rozpatrując ewentualne miejsca lądowania, odrzucił jeziora, ponieważ nig-
dzie nie dostrzeżono czarnej sylwetki samolotu na tle lodowej i śnieżnej bieli. A
on był pod lodem...!

Ręce mu się trzęsły. Uniósł wzrok i napotkał uważne spojrzenie Andropowa.
Ledwie docierały do niego nagrane okrzyki Ganta, na krótko przedtem, nim
spadł na podłogę. Andropow ruchem dłoni nakazał wyłączenie magnetofonu.

– Mig-31 znajduje się obecnie pod pokrywą lodową jeziora, towarzyszu
przewodniczący – oznajmił Władimirow cichym, chrapliwym głosem. – Jestem
tego pewien.

– Wyjaśnijcie.

Kiedy Władimirow skończył, Andropow nadal wpatrywał się w niego z obo-
jętną miną. Wreszcie, pośród ciszy, która zdawała się nie mieć końca, jego obli-
cze stopniowo przybrało wyraz zrozumienia. Andropow zaczął rozpatrywać
wszelkie możliwe konsekwencje wyrażenia akceptacji dla teorii generała. W
końcu powiedział: – Sądzę, że po winniśmy v spojrzeć na mapę. Możliwe, iż
wasze wnioski okażą się owocne, generale Władimirow. – Po czym zwrócił się
do starszego śledczego: – To byłoby wszystko, towarzyszu wicedyrektorze.
Dziękujemy wam. – Nie ulegało wątpliwości, że starszy śledczy właściwie
odebrał płaski, bezosobowy ton tej wypowiedzi.

Władimirow ruszył w stronę drzwi, Andropow poszedł za nim. Przeszli do
wielkiej, podziemnej sali. Głowy zwróciły się w ich kierunku, a następnie po-
chyliły szybko. Ramię przy ramieniu minęli salę i weszli po schodkach na gale-
rię. Tu, w pomieszczeniu kontrolnym centrum dowodzenia, znów powitały ich
podejrzliwe spojrzenia. Jednak nikt nie stanął obok nich przed świetlnym ekra-
nem. Widniała na nim mapa fińskiej Laponii, tak jak ją zostawili, z wyjątkiem
szeregu czerwonych punkcików, który wydłużył się w kierunku południowo-
wschodnim podczas ich nieobecności.

– A więc? – zapytał Andropow, zrzucając ewentualne konsekwencje na
Władimirowa.

Generał przesunął palcem wzdłuż linii czerwonych punkcików. Grupa reko-
nesansowa nie traciła czasu, posuwali się zwartym szykiem śladami Ganta...
które musiały zaczynać się nad jeziorem – przypomniał sobie. Nad którym?

Jego palec powędrował dalej w kierunku południowo-wschodnim, mijając drogi i przecinki, początkowo wytypowane jako możliwe miejsca lądowania. Jak mogli być aż tak głupi...?

Dwa jeziora, niemal wprost na trasie grupy rekonesansowej; na pewno w granicach tolerancji, dopuszczającej możliwe zmiany marszruty Amerykanina. Jedno bardziej okrągłe, drugie wydłużone i węższe. Przywołał w pamięci skalę mapy. Każde z nich mogło służyć jako...

Było jeszcze trzecie jezioro, bardziej na północ od tych dwóch, a czwarte dalej na wschodzie. Cztery jeziora. Linia czerwonych punkcików przebiegała najbliżej dwóch pierwszych jezior. Postukał palcem w powierzchnię ekranu.

– Tutaj – rzekł. – W pierwszej kolejności przeprowadzić rekonesans tych dwóch jezior. – Wbił wzrok w Andropowa, aż ten w milczeniu skinął głową. Następnie dodał nieco głośniej: – Majorze! Proszę sprawdzić współrzędne i przekazać je grupie rekonesansowej. Natychmiast!

Młody major GRU zbliżył się szybko i popatrzył na mapę.

Przekroczenie granicy

Harris zatrzymał wypożyczony samochód, wyłączył silnik i odwrócił się do tyłu. Przez chwilę taksował Ganta i Annę chłodnym, obiektywnym spojrzeniem, po czym rzekł:

– Muszę zadzwonić i skontaktować się z moimi ludźmi w Leningradzie. Granica znajduje się piętnaście kilometrów przed nami... – Wskazał ręką przednią szybę, którą zaraz po wyłączeniu wycieraczek pokryła warstwa śniegu. – Nie chciałbym, żebyśmy wpadli, jeśli ogłoszono alarm lub wzmocniono kontrolę. Finowie czekają na nas.

Na pewno daliby znać do Leningradu, gdyby coś się działo. Przy wyjeździe z miasteczka minęliśmy budkę telefoniczną. – Uśmiechnął się. – Nie mogłem zatrzymać obok niej. Jeśli teraz ktoś mnie zobaczy, weźmie mnie za tutejszego. Po prostu czekajcie spokojnie. To nie potrwa długo.

Harris otworzył drzwi. Do środka wdarł się śnieg. Wysiadł i zatrzęsął drzwiami za sobą. Gant obejrzał się i dostrzegł, jak idzie pochylony w kierunku kilku rozrzuconych światełek osady, którą minęli przed minutą. Harris zjechał z głównej drogi na szerokie pobocze i zatrzymał samochód za wysoką, pokrytą śniegiem kępą krzaków.

Tamten szybko zniknął z pola widzenia. Gant odwrócił się w stronę Anny.

– Sprawdź jeszcze raz swoje papiery – polecił. Rozpiął palto i wyciągnął z kieszeni na piersi własne dokumenty. Ponownie zerknął na zezwolenie podróżne i wizę, lecz zaraz jego myśli skierowały się ku Annie. Zaakceptowała dokumenty przygotowane przez Harrisa, a także fikcyjny powód wyjazdu. W czasie trzygodzinnej podróży samochodem z Kołpino, przez peryferie Leningradu oraz

przemysłowe miasteczko Wyborg, od czasu do czasu studiowała otrzymane papiery. Gant wyczuwał jednak, że nie przywiązywała do nich wagi. Podobnie jak do książki, którą zabrała na podróż, choć ani razu po nią nie sięgnęła.

Harris, brytyjski biznesmen, mający biuro w Helsinkach i możliwość częstego podróżowania po Związku Radzieckim w sprawach służbowych, na przejściu granicznym miał grać rolę Fina. Posiadał fiński paszport, a wiza oraz odpowiednie pieczęcie wskazywały, że kilka dni temu przybył z Helsinek do Leningradu. Gant i Anna nadal mieli odgrywać Rosjan, pracowników ministerstwa. Towarzyszyli Harrisowi w podróży z Leningradu, by z ramienia leningradzkiego komitetu partii sprawdzić jego wiarygodność handlową. Harris pośredniczył w handlu artykułami metalowymi, a zarówno fabryki metalurgiczne, jak i inne przedsiębiorstwa z okręgu leningradzkiego, zainteresowane były jego ofertą.

Ten kamuflaż był dość imponujący, powinien zrobić odpowiednie wrażenie na kontroli granicznej. Jedynymi podejrzanymi elementami była pora przekraczania granicy oraz sposób podróżowania. Gant był jednak pewien sukcesu. Nie zwracał już uwagi na swą perukę i wąskie okulary, podobnie jak nie dostrzegał słabych punktów w planie Harrisa.

Znacznie pomogła mu sama podróż, ciągłe oddalanie się od siedziby KGB, oraz – za wyjątkiem Moskwy – otoczenie otwartej przestrzeni, ośnieżonej i zatopionej w mroku. Widok zamrzniętych jezior zalanych blaskiem księżyca, ukazujący się czasami podczas krótkich przerw w śnieżycy. Moskwa zdawała mu się więzieniem, kojarzyła z gigantyczną siecią zarzuconą na niego. Tutaj nie dostrzegał żadnych oznak polowania i przyjmował na pozór bezpieczne warunki za dobrą monetę. Pozwolił sobie nawet na drzemkę, rozparty na tylnym siedzeniu dobrze ogrzanego samochodu, z głową zwieszoną na piersi, budząc się od czasu do czasu, by rzucić okiem na monotony krajobraz za szybą, światła wioski, czy też tumany śniegu wypadające z ciemności na przednią szybę.

A co z Anną?

Wyglądało na to, jakby jej postanowienie nabierało siły. Sprawiała wrażenie niezdolnej do działania czy podjęcia decyzji. Choć znajdowali się już tak blisko granicy Związku Radzieckiego, nadal nie wiedział, czy ona naprawdę ma zamiar przekroczyć ją razem z nimi. Oczywiście wyobraźni widział, jak biało-czerwony szlaban unosi się w górę, Anna natomiast otwiera drzwi i rusza z powrotem drogą w głąb Rosji. Nadal nie był także pewien, czy można zaufać Priabinowi.

W Kołpino wyglądał jak człowiek, którego całe życie legło w gruzach, choć

starał się nie pokazywać po sobie uczuć, w jego mniemaniu typowo babskich. Przeprowadził ich przez kontrolę na stacji, radośnie paplając. Wykorzystał swoją rangę, w nieco tajemniczy sposób przedstawiając ważną misję partyjną. Patrzył za nimi, kiedy szli w stronę wynajętego przez Harrisa samochodu, i później, gdy odjeżdżali – samotna, enigmatyczna postać w słabym świetle lamp przed wyjściem z dworca. Gant, obejrzawszy się, dostrzegł jeszcze maleńką sylwetkę z uniesioną na pożegnanie dłonią. Wtedy szczególnie wyraźnie odczuł, że wtargnął w czyjeś życie prywatne, i szybko odwrócił wzrok. Anna siedziała z głową skierowaną ku tylnej szybie jeszcze długo po tym, jak zakręcił ulicy przesłonił widok.

Nie sądził, by Priabin, z uwagi na bezpieczeństwo Anny, podążył ich śladem albo też powiadomił Straż Graniczną. Nie miał jednak pewności. Kiedy wszyscy troje wysiedli z pociągu, Gant znalazł się z nim na chwilę twarzą w twarz. Na obliczu Priabina wciąż widniał ten sam posępny, wręcz fanatyczny grymas, z jakim po raz pierwszy wkroczył do przedziału – kiedy powodowało nim pragnienie zabicia Ganta.

Priabin nadal chciał go zastrzelić.

– Czy jedziesz z nami? – zapytał chrapliwym głosem, chowając z powrotem dokumenty do wewnętrznej kieszeni na piersi. Usłyszał jej szybkie, ciche westchnienie. Zdawało mu się, że nieznacznie pokręciła głowę, ale nie potraktował tego jak wyraźne zaprzeczenie. Dotknął jej dłoni spoczywającej na kolanie. Drgnęła jak spłoszony kocur, ale nie cofnęła ręki.

– Wszystko będzie w porządku. Obiecuję – powiedział. Harris poparł jego pomysł, który zarazem zwiększał ich bezpieczeństwo. Anna bez trudu mogła wrócić do Związku Radzieckiego tą samą drogą, najdalej za kilka dni. Owszem, Harris znał Aubreya. Czy Anglik miał odpowiednie wpływy w CIA...? Harris uważał, że chyba tak. Poza tym również nie widział żadnego powodu, dla którego nie można by jej skreślić z listy w nagrodę za wywiezienie Ganta z Rosji...

– Tylko kilka dni – mruknął, wspomniawszy stanowcze zapewnienia Harrisa. – To nie zajmie więcej czasu. Obiecuję. – Uśmiechnął się krzywo, żałując jednocześnie, że ona nie patrzy mu w oczy. – Jestem dla nich kimś ważnym, przynajmniej w tej chwili. Mogę ich zmusić, by uczynili to, czego zażądam, to znaczy dali ci raz na zawsze spokój.

Teraz wyraźnie pokręciła głowę. – Nie wierzę, że to się uda. – Popatrzyła mu w oczy, ściskając jego dłoń. – Nie winię ciebie, Mitchellu Gancie, przynajmniej w to uwierz. Byłeś tylko... niewłaściwym człowiekiem w niewłaściwym

czasie. – Prawdopodobnie miała na myśli zrujnowaną miłość, która mogła zakończyć się małżeństwem. Wzruszenie w jej głosie kazało Gantowi krytycznie spojrzeć na siebie. Z jej punktu widzenia stosunki z Priabinem musiały ulec odmianie, a może nawet całkowitemu zerwaniu. Przyszłość malowała się dla niej na czarno, dopóki nie widziała sposobu na podtrzymanie związku.

Gant zarówno zazdrościł, jak i żałował jej. Dostrzegał także wzajemność łączącego ich uczucia. Nienawiść Priabina skierowana była wyłącznie ku niemu, było to tak oczywiste, jakby sam Rosjanin wetknął obecnie głowę do samochodu i powiedział mu to. Prawdopodobnie owe trzy godziny, jakie minęły od ich rozstania, ani na jotę nie wpłynęły na poziom tej nienawiści. Należało raczej przypuszczać, że narastała, może nawet wyrwała się spod kontroli niczym ogień zaproszony w lesie.

Do Ganta dotarło, że Priabin nie zrezygnuje, nie zadowolony się spokojnym oczekiwaniem na jej powrót w hotelu w Leningradzie.

– Posłuchaj mnie – rzekł z naciskiem. – Kochasz go, a on kocha ciebie. Czego się zatem możesz obawiać? Co najwyżej takich ludzi, jak twój oficer łącznikowy. Na pewno nie grozi ci nic innego. Agencja będzie musiała ustąpić...! O to nie powinnaś się martwić... Poza tym nie ma znaczenia, jak długo zajmie ci ponowne dojsście do ładu z Priabinem. Będziesz miała na to mnóstwo czasu. Na miłość boską, Anno! Przekrocz ze mną tę granicę, a obiecuję ci, że wszystko ułoży się pomyślnie!

Gwałtownie ścisnął jej dłoń, spoczywającą bezwładnie w jego palcach. Po chwili puścił ją, westchnął i z powrotem opadł na oparcie siedzenia.

Po dłuższym milczeniu jej głos rozbrzmiał miękko, jakby usprawiedliwiająco. – Dobrze – powiedziała. – Zdecydowałam się. Masz rację, pojedę z tobą.

Spojrzał na nią uważnie. Skóra na lekko zapadniętych policzkach powlekała się bledością. Miała zaciśnięte powieki. W dotyku jej dłoni nie było ani sztuczności, ani zuchwałości. Wierzył jej.

– Dobrze – odparł. – Dokonałaś prawidłowego wyboru, jestem o tym przekonany.

– Czy on to zrozumie?

– Przez cały czas zdawał sobie sprawę...

– Ale to było co innego...! – prawie zawyła rozpaczliwie.

– Co w takim razie oznaczała twoja pomoc? – rzucił Gant. – Czyż nie ja byłem kluczem do jego kariery?

– On nie mógł tego tak potraktować.

– Może tak, może nie. Jak byś na to nie patrzyła, wiele mi zawdzięcza. Jest człowiekiem pełnym zgrzyot i żalu, których przyczyną jestem także ja. Mam nadzieję, że siedzi spokojnie w Leningradzie i upija się z rozpaczy. To byłoby dla nas wszystkich najbezpieczniejsze.

– Czy myślisz...?

– Nic nie myślę. Jedyne mam nadzieję, jasne? – Był zły, że zmusiła go do ujawnienia własnych obaw, w dodatku niemal w tej samej chwili, kiedy przystała na propozycję dalszej wspólnej podróży. Uniósł rękę do oczu i spojrzął na zegarek.

Harris wysiadł z samochodu ponad piętnaście minut temu. Chwytał za klamkę drzwiczek.

– Idę poszukać Harrisa. Zostań tu – rozkazał.

– Czy sądzisz...? – zapytała lękliwie, jakby nagle Priabin zaczął zagrażać także jej.

Owszem, Priabin, pomyślał Gant. Oboje obawiamy się teraz tego samego człowieka...

– Nic nie sądzę. Mógł się pośliznąć i złamać nogę. Zaraz wróć.

Nałożył futrzaną czapkę na głowę i wysunął się w zacinający śnieg.

Anna spoglądała za nim, jak oddalał się w stronę pobocza oraz głównej drogi. Po chwili skrył się za krzakami.

Odwrociła głowę i zapatrzyła w przednią szybę pokrytą grubą warstwą śniegu. Na bocznych okienkach płatki tworzyły delikatniejsze, ażurowe zastłonki. Wnętrze samochodu napawało klaustrofobia, przypominało niewielką celę. Poczwała przyпіływ strachu.

Do tej pory radziła sobie, niemal ze wszystkim bez trudu dawała sobie radę...! Ale teraz nie potrafiła.

Powoli przeciągnęła dłońmi po twarzy, jakby chciała oczyścić skórę. Znalazła się w pułapce, w pułapce bez wyjścia. Tylko Amerykanin, którego powinna nienawidzić, jako że stał się katalizatorem procesu rujnowania jej życia, oferował jakąś nadzieję. Gdyby tylko mogła się uwolnić, gdyby dali jej wreszcie spokój!

Gant stwierdził, że nie ma znaczenia, jak wiele czasu zajmie jej przywrócenie normalnych stosunków z Dmitrijem. Obiecał, że będzie miała na to wiele czasu. Powinna mu zaufać, tym bardziej że nie miała wyboru. Nie było innego wyjścia.

Drzwiczki samochodu otworzyły się. Odwróciła głowę i spojrzała w twarz Dmitrija. Otworzyła usta, jakby chciała krzyknąć na widok ducha, lecz on szybko wsunął się na tylne siedzenie samochodu i pochwycił ją w ramiona. Jęknęła i przywarła do niego. Miał zimne i mokre od topniejącego śniegu palto. Jej skroń

dotykała zmarzniętego policzka, lecz to wrażenie napawało spokojem. Przytuliła się do niego, mimo iż chciał ją odsunąć, ponieważ w tym momencie cały jej świat ograniczał się do materiału jego palta, zmarzniętego policzka, odgłosu przyspieszonego oddechu tuż przy uchu. W końcu odsunął ją od siebie, ściskając mocno, aż do bólu jej ramiona. Zapatrzyła się na jego twarz w półmroku wnętrza samochodu. Po błyskach w oczach poznała, że szukał na jej obliczu śladów jakiegoś uczucia, które budziło w nim lęk.

– Dmitrij! Gdzie...?

– Nie ma czasu, Anno – rzucił szybko, kładąc palec w rękawiczce na jej ustach. – Posłuchaj. Wracaj teraz ze mną. Proszę cię, wróc ze mną...! – Brzmiało to jak rozkaz, a zarazem błaganie. Zdawać by się mogło, że zajrzał w głąb malującej się na czarno przyszłości i zapragnął wydobyc ją stamtąd, odciągnąć od krawędzi przepaści.

– Co się stało?

– O co ci chodzi? Po prostu chcę, żebyś wróciła ze mną. Szybko, zanim wróci Gant. Pozwól, żeby sam przekroczył granicę. Przed świtem będziemy w Leningradzie, w południe w Moskwie. Posłuchaj, Anno. Możemy wszystko wyjaśnić. Ja w jakiś sposób wytłumaczę, dlaczego musiałem wyjechać z Moskwy i udać się do Leningradu. Nikt nigdy nie dowie się, że i ty wyjeżdżałaś z miasta. Chodź teraz szybko, zanim on wróci... – Spieszyło mu się do odejścia, przypominał złodzieja uciekającego z okradzonego mieszkania. Nie rozumiała powodów tej gwałtowności. Nie wiedziała, skąd się tutaj wziął, w jaki sposób podązał ich śladem. W jego głosie pobrzmiwało coś jeszcze oprócz miłości, co siłą rzeczy zmuszało do podejrzliwości.

– Dlaczego? O co chodzi, Dmitrij? Powiedz mi...

Chwyliła go za rękę. Sprawiali wrażenie, jakby nawzajem szukali dogodnej pozycji do zadania przeciwnikowi druzgocącego ciosu. Z ociąganiem pokręcił głową.

– Nic się nie stało. Proszę, chodź ze mną, Anno. Szybko, zanim on wróci...

Nagle zrozumiała. W jego głosie słychać było obawę. Poznała przynajmniej ten jeden powód. – Dmitrij, gdzie jest Harris? Gdzie podział się kierowca? Co takiego znajdzie Amerykanin?

Potrząsnęła jego rękoma.

– To nie ma znaczenia – odparł cicho.

– Powiedz mi!

– On nie żyje!

– Ty go zabiłeś?

– Walczyliśmy ze sobą – odpowiedział niepewnie.

– Nie walczyliście...! – niemal wrzasnęła, bardziej rozwścieczona jego kłamstwem niż śmiercią Harrisa. – Zabijeś go! Nie okłamuj mnie!

– Chodź...

– Nie! Nie pójdę, dopóki nie powiesz mi, co ma się wydarzyć.

– Anno...!

– Nie. Co się stanie?

– Gant zostanie aresztowany na granicy. Może nawet zastrzelony. Tak, najlepiej, gdyby został zastrzelony...

– Czy to znaczy, że powiadomiłeś ich, by na niego czekali? Żeby czekali na nas? – zapytała błędąc, po czym zakryła dłonią usta, a wreszcie przycisnęła obie pięści do uszu.

– Nie, jeszcze nie. Najpierw przyszedłem po ciebie.

– Na miłość boską! Co ty wyczyniasz...?

– Ratuję cię... ratuję nas. Harris wiedział o tobie, Gant także wie. Nie podda się na granicy, kiedy będą chcieli go aresztować. Zostanie zabity. Będziesz zatem bezpieczna.

– Nie...!

– Na czym ci bardziej zależy, na nim, czy na nas? Anno, jeżeli Gant zginie, nikt nie będzie wiedział, że udzielałaś mu pomocy. Nie będzie mógł im nic powiedzieć...

– A co z CIA? – zapytała z goryczą. – Oni będą wiedzieli.

– Nie! Możesz im przekazać, że Gant kazał ci wrócić, że dalej pojechał sam, a ty wróciłaś do Leningradu... On i Harris zostali zabici. To proste...

– Proste? Czy zabicie dwóch ludzi jest dla ciebie proste?

– Anno, zapomnij o wszystkim. Po prostu wysiądź z samochodu i chodź ze mną, niech on jedzie dalej sâm. Ja... nie powiadomię Straży Granicznej, niech sobie ucieka. Obiecuję ci, że będzie wolny...

– Nie wierzę. Ty pragniesz jego śmierci. – Wpatrywała się w jego twarz. Nawet kiedy odwrócił głowę w bok, była w stanie dostrzec dzikie błyski w jego oczach. Pragnął, by Gant został zabity. Jak zazdrosny kochanek myślał o śmierci rywala.

Szyby samochodu zaparowały. Po zewnętrznej stronie śnieg zaczynał tajać i zsuwać się w dół z powodu ciepła bijącego ze środka, podsycanego ich zaciekłością. Anna nie wiedziała, co zrobić. Dmitrij nie mógł uchronić jej przed CIA. Nie chciała mu także pozwolić, by zabił Ganta. Tylko dlatego, że był to Dmitrij, że nie mogłaby dłużej z nim żyć mając świadomość, iż zgodziła się... Powinna jakoś dać sobie radę ze śmiercią Harrisa, przekonać samą siebie, że nie było to morderstwo, ale coś innego. Lecz przypadek Ganta był odmienny. Tu wiedziała z góry o planowanej zbrodni, nigdy nie uwolniłaby się od tego ciężaru.

– Nie mogę ci pozwolić... – mruknęła w końcu.
– Co? Chcesz go dalej osłaniać? – wybuchnął. – Chcesz nadal być szpiegiem, agentem? Pracować dla Amerykanów?

– Nie dla Amerykanów i nie dla niego, lecz dla nas. Nie mogę się zgodzić na to morderstwo. Nie mogę ci pozwolić go zabić! Czy nie rozumiesz? Nie umiałabym żyć...!

– Ja mogę – oświadczył ze stanowczą powagą. – I chcę tego.

– Dmitrij...

Pokręcił głową. – Pójdiesz ze mną, Anno – rzekł, chwytając ją za rękę. Tym razem uścisk jego dłoni spowodował, że krzyknęła. Pociągnął ją do siebie, drugą ręką otwierając drzwiczki samochodu. – Pójdiesz ze mną! Zapomnisz o tym, zapomnisz o wszystkim...

– Nie...!

Jęknął i wykręcił jej rękę. Krzyknęła głośno. – Chodź, Anno! – warknął groźnie. – Chodź!

Mocniej skrzył jej rękę. Annie zdawało się, że za chwilę ją złamie. Ognisty ból promieniował z nadgarstka, poprzez łokieć aż do ramienia. Krzyknęła raz jeszcze i obrzuciła go wściekłym spojrzeniem. Nie mogła zrozumieć tego szału, potrzeby zadawania bólu. – Nie...!

– Chodźże...! – Częściowo wyciągnął ją już z samochodu. Leżała teraz płasko na siedzeniu. Pochylił się i uderzył ją w twarz. – Chodź, chodź...! – Mocniej wykręcił rękę. Krzyknęła.

Nagle poczuła, że siła jego uścisku i ból słabną. Poła jego palta przesunęła się po jej twarzy. Dostrzegła ślizgające się, bezradnie wierzgające nogi w zdeptanym śniegu obok tylnego koła. Coś huknęło ciężko o przednie drzwiczki. Usłyszała głos Ganta.

– Co się, do diabła, z tobą dzieje? – Gant dyszał ciężko, cedząc słowa. Słyszała także chrapliwy oddech Priabina. Obróciła się i usiadła z powrotem. Dmitrij wytarł plecami śnieg z szyby w drzwiczkach. Zadygotała na mroźnym powietrzu. Objęła dłonią zranione ramię i przytuliła je do siebie niczym niemowlę. – Teraz już lepiej – ponownie rozbrzmiał głos Ganta. – Tylko spokojnie. Nic ci nie jest, Anno?

– Nie, nic – usiłowała nadać swemu głosowi normalny ton. Kiedy jednak poruszyła się, jęknęła z bólu.

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Ociężale wysunęła się z samochodu, nadal przyciskając rękę. Dmitrij popatrzył na nią rozszerzonymi oczyma. Gant zgniatał ramieniem jego szyję, przystawiwszy mu pistolet do skroni. Amerykanin odciągnął go nieco w

tył, jednocześnie nakazując jej odsunąć się. Posłuchała.

– Co tu się, do diabła, działo, kiedy przyszedłem? – zapytał Gant, po czym dodał: – Czy wiesz, że on zabił Harrisa? – Skinęła głową. Zwracając się do Dmitrija syknął: – Ty głupi bydlaku. Co, do cholery, się z tobą dzieje? Przez ciebie mogliśmy zostać schwytani!

– Chciałbym, żeby ciebie schwytano – warknął w odpowiedzi Dmitrij.

– W porządku, towarzyszu. Ja jestem największym łajdakiem, jakiego kiedykolwiek spotkałeś! Tyle jestem w stanie zrozumieć. Ale ona? Narażasz ją na niebezpieczeństwo. Czy myślisz, że tak po prostu możesz ją zabrać z powrotem? Bez żadnych gwarancji ze strony Agencji? Jesteś zaślepiony, po prostu zaślepiony. – W tej samej chwili jakaś inna myśl, znacznie groźniejsza przemknęła przez głowę Ganta. – Czy oni czekają tam na nas? – zapytał. – Czy czekają? – Pistolet wbił się głęboko w bok Priabina.

Anna szybko nabrała powietrza i krzyknęła:

– Nie! Nie powiadomił ich jeszcze. Ręczę za to!

– Wierzę ci. Tylko tobie – dodał, zwracając się ponownie do Priabina: – Jaki miałeś plan? Zabić Harrisa, żeby przysporzyć nam kłopotów na granicy...? A może tylko mnie? Spodziewałeś się, że Anna pójdzie na piechotę? Chciałeś zostawić mnie samego w tarapatkach i upewnić się, że zostaną zabity. – Twarz Ganta wykrzywiła się z wściekłości i pogardy. – Wsiadaj do samochodu – rzuć. – Na tylne siedzenie i opuść do końca szybę. No już! – Priabin z ociąganiem wsunął się do wozu i odkręcił szybę. Wyglądał przez okienko, kiedy drzwiczki zatrzasnęły się za nim. Unikał wzroku Anny. Obie dłonie trzymał ściśnięte między kolanami, jakby chciał je rozgrzać, czy też rozmasować. Gant wsunął do kieszeni zabrany Priabinowi ciężki automatyczny pistolet Steczkina, a luźną swoją broń opuścił ku ziemi. – Anno, chodź tutaj – powiedział. – Nie za blisko.

Przysunęła się do Ganta. W oczach Priabina pojawiły się złowrogie błyski, gdy odniósł wrażenie, że ona dotyka Amerykanina.

– Nic mi nie jest – oznajmiła, rozcierając wykręconą rękę. – Nic się nie stało. Dmitrij...

– Przepraszam – bąknął ze skruszoną miną.

– W porządku, bardzo się cieszę. Tylko co my mamy z nim zrobić? Jeśli zostawimy go tutaj, powiadomi Straż Graniczną najszybciej, jak tylko będzie mógł. Jeśli zabierzemy go ze sobą, skręci mi kark przy pierwszej nadarzającej się sposobności. A to znaczy, że zniweczy także wszystkie twoje plany, Anno.

– Nie – zaprotestował pośepnie Priabin.

– Zrozum wreszcie, że stanowią dla niej jedyną realną szansę uwolnienia

się raz na zawsze od tego wszystkiego! – rzucił z wściekłością Gant. – Jeśli pozwolisz nam przekroczyć granicę, ona będzie mogła spokojnie wrócić do ciebie. Gdy posłucha ciebie, nie zostanie jej nic innego, jak tylko modlić się.

Priabin popatrzył na niego nienawistnie. Nie mógł pogodzić się, że Anna może być podarunkiem od Amerykanina. Nie kalkulował i nie przewidywał, zdusił w sobie wszelkie nawyki zawodowca. Pragnął zabić Ganta – z uwagi na Annę. Winą za wszystko obarczał Amerykanina. Zabójstwo Ganta jawiło mu się jako rytualne oczyszczenie, w przeciwnym razie nie mógłby dowieść swego człowieczeństwa, zatrzymać przy sobie ukochanej i zapewnić jej bezpieczeństwa. Zresztą, niezależnie od motywów, śmierć Ganta stanowiła najważniejszy element każdego rozwiązania, jakie brał pod uwagę. Chyba pragnął śmierci Ganta równie gorąco, jak chciał uchronić Annę.

– Dmitrij, pozwól nam odjechać – poprosiła Anna, pochylając się przy drzwiczkach samochodu. – Proszę, pozwól nam odjechać. Musi tak być. Ja chcę się od nich uwolnić...!

Ganta poraziła wyraźna gorycz w jej słowach. Mimo to zwrócił się do Priabina oschłym, groźnym tonem: – Powiedz coś. Słyszałaś, o co prosiła Anna. Czy pozwolisz nam odjechać? – Priabin nie odpowiedział, nie spojrzął nawet na Ganta. Ten zwrócił się do Anny: – Czy on pozwoli nam odjechać? Czy naprawdę wierzysz, że nie będzie próbował mnie zabić?

Rozejrzała się panicznie dokoła, jakby nie miała innego wyjścia niż uczestnictwo w zdradzie. Energicznie potrząsnęła głową. – Nie – szepnęła.

– Zatem jest przeklętym głupcem! – rzucił Gant, wykonując szybki ruch dłonią w stronę okienka samochodu.

Priabin chciał cofnąć głowę. Anna otworzyła usta do krzyku. Trafił Priabina w skroń kolbą pistoletu. Rosjanin osunął się w tył i leżał w poprzek siedzenia.

– Nie...! – krzyknęła Anna, chwytając krawędź okienka i rzucając się w stronę Ganta.

– On żyje! Zyskamy w ten sposób trochę czasu.

– Dmitrij...

– Wejdz do samochodu i posłuchaj bicia jego serca, jeśli mi nie wierzysz!

– Nie, wierzę ci... – mruknęła. – Dziękuję. Dziękuję.

– Nie traćmy czasu. Pomóż mi wyciągnąć go z samochodu, nie zamarznie w tym palcie. – Stękając z wysiłku, Gant wytaszczył ciało Priabina i pociągnął go po ziemi pod osłonę gęstej, grubo pokrytej śniegiem kępy krzaków. Anna

dreptała obok niego ze wzrokiem utkwionym w twarzy Priabina. Kiedy Gant położył nieprzytomnego Rosjanina, uklękła przy nim. Przez chwilę patrzył, jak gładzi dłonią policzek tamtego i ostrożnie dotyka opuchlizny na skroni. Ruszył do samochodu. Cała jej postawa i skupiony wyraz twarzy świadczyły o wypowiedzianych w myślach błaganiach. – Idziesz już? – zapytał złęknionym głosem.

Odwrócił się i spojrzął. Wciąż klęczała przy nieprzytomnym Priabinie. Powoli, delikatnie gładziła go po twarzy. Wreszcie podniosła się.

- Czy nic mu nie będzie?
- Co najwyżej ból głowy.
- Nie mamy innego wyjścia, prawda?
- Nie. Dla ciebie jedynym pewnym wyjściem jest jechać ze mną.
- Czy on w to uwierzy? – zapytała, raz jeszcze spoglądając w dół na Priabina.

– Na to nie potrafię odpowiedzieć.
– Sądzę, że nie uwierzy... – Wzruszyła ramionami, a następnie ruszyła w stronę Ganta. – Ale ja nie mam wyboru. Prawda?

- Nie, nie masz – odparł miękko.

Podeszli do samochodu. Gant otworzył przed nią tylne drzwiczki. Powoli, z ociąganiem wsunęła się do środka, natychmiast zwracając głowę ku ciału Priabina. Zatrzasnął drzwiczki i podszedł do siedzenia kierowcy. Otrzepał śnieg z peruki, z ramion i kolan spodni, po czym ciężko wsunął się za kierownicę.

Harris zostawił kluczyki w stacyjce. Gant przeszukał jego kieszenie, kiedy natknął się na zwłoki, spoczywające w wypełnionym śniegiem rowie przy budce telefonicznej.

– Chryste – syknął, kiedy przypomniał sobie szok, jaki wywołało odnalezienie ciała Harrisa i nagła świadomość, kto go zabił. – Dlaczego, do diabła, on to zrobił? Jak mógł być aż tak zaślepiony? – Pokręcił z niedowierzaniem głową, kurczowo zaciskając dłonie na kierownicy.

- Nie wiem. Może z miłości? – odparła Anna.

– Szaleństwo...

– Tak, z miłości – powtórzyła na swój użytek, utwierdzając się w tym przekonaniu.

Gant spojrzął na nią. – Czy będziesz miała odwagę przekroczyć granicę bez Harrisa? Jeśli spodziewają się, że powinien jechać z nami, wtedy będziemy musieli blefować. Poczul się źle w Leningradzie, czy coś w tym rodzaju... Nie mogliśmy sobie pozwolić na spóźnienie, dlatego postanowiliśmy przekroczyć tę

cholerną granicę o północy, by zdążyć na rozmowy, które mają się odbyć wczesnym rankiem. Dasz sobie radę?

Skinęła głową. – Tak, dam sobie radę.

– W porządku. Przed nami piętnaście kilometrów drogi, w tym czasie ustalimy szczegóły. Mam nadzieję, że zdążymy, zanim ten szalony łajdak ocknie się.

– Czy wiesz, dlaczego on to zrobił?

– To już nie ma znaczenia...

– Owszem, ma! Jest mordercą, a ja muszę znać jego motywę.

– Dobra...

– Harris i ty... zabieraliście mnie od niego. On nie wierzył, że ja wrócę... – odkaslnęła, z jej gardła wydobył się dziwny, zduszony jęk porażki, nie potrafiła jednak powstrzymać łez spływających po pobladłych policzkach. Gant włączył wycieraczki i oczyścił przednią szybę z topniejącego śniegu. Zapiszczały na oszronionych krawędziach szyby. – On nie wierzył... – powtórzyła, słowa zlały się w cichy jęk. Gwałtownie potrząsnęła głową, jakby chciała odegnać złe myśli. – On nie wierzył... – Łękliwy ton zdradzał głębokie rozczarowanie.

– A zabicie mnie miało wszystko naprawić?

– Tak – odparła, zapatrzwszy się przez przednią szybę na sypiący jednostrajnie śnieg. – Ty byłeś wszystkim winien. Musiałeś być winien. Jeśli Dmitrij miał możliwość rzucić na ciebie odpowiedzialność za wszystko, co się wydarzyło, mógł nie obarczać winą ani mnie, ani siebie... Zwłaszcza mnie. Nie mógł mieć mi nic do zarzucenia, absolutnie nic...

– To już nie ma znaczenia. – Spojrzał jeszcze raz na nieruchomą sylwetkę Priabina. – Damy sobie radę nawet bez Harrisa – oświadczył, uruchamiając silnik.

Curtin, w asyście norweskiego radiooperatora, na rozkaz Aubreya prowadził długą, wyczerpującą i burzliwą rozmowę ze starszym oficerem technicznym z Bardufoss, dowódcą bazy oraz pilotem Herculesa. Aubrey natomiast, za pomocą systemu przyspieszonej transmisji, porozumiewał się z Shelleyem w Londynie.

Aubrey był zadowolony z rozwoju wypadków, z uczynionych postępów. Nieco ponad dwie godziny mocno przykładął rękę do koła zdarzeń, aż wprawił je w ruch. Był zmęczony, lecz dumny. Wiedział, że później straci całą energię jak skarpa podmyta i osuwająca się do morza. Ale jeszcze nie teraz, miał jeszcze tak wiele rzeczy do zrobienia.

– Przekażę dyrektorowi Vitsuli, że Gant jest natychmiast potrzebny w

Oslo, by złożyć szczegółowe zeznania. W rzeczywistości przywieziemy go tutaj. Czy masz już Harriera, Peter?

Aubrey zaczekał, aż jego wiadomość zostanie przekazana przez satelitę geostacjonarnego do Shelleya siedzącego w Century House, nad samą rzeką. Po chwili taśma zaczęła utrzymywać przyspieszoną odpowiedź Shelleya, przewinęła się i odtworzyła.

– Tak, sir. Mamy Harriera. – W głosie Shelleya także było słycać radość. – Znajduje się już w drodze do Oslo, skąd poleci do Helsinek, by zabrać Ganta. Dowództwo Sił Sprzymierzonych w południowej Norwegii poinformuje cię o przybyciu samolotu. Czy Vitsula nie zacznie czegoś podejrzewać, kiedy przekonasz się, że zabieramy Ganta Harrierm, a nie dowolnym samolotem, który nie byłby w stanie wylądować na jeziorze?

Głos Shelleya umilkł, ale operator wiedział, że nie jest to koniec informacji. – Dalej jest coś jeszcze, sir – poinformował Aubreya.

– Chryste... – usłyszał stłumiony jęk Shelleya, a następnie chrząknięcie. – Dziękuję ci, Bill. Tak... Nie, nie zatrzymuj taśmy, człowieku! – Wreszcie zwrócił się bezpośrednio do Aubreya. Tego ogarnął niepokój, niemal zadrżał. Domyślił się pierwszych oznak nadciągającej burzy. – Sir, wiadomość, którą otrzymałem właśnie z Dworca Leningradzkiego. Bardzo pilna, czerwony alert, sir. Harris telefonował z miejscowości oddalonej o piętnaście kilometrów od granicy. Połączenie zostało przerwane. Nie sądzą, by była to usterka na linii, sir. Pomimo pogody słyszeli się dość dobrze i przysięgają, że połączenie było w porządku jeszcze przez kilka sekund po tym, jak Harris urwał nagle. Słyszeli nawet piski, oznaczające, że trzeba wrzucić kolejne monety do automatu...

– Mój Boże! – jęknął Aubrey, unosząc obie ręce wysoko w powietrze. – Och, mój Boże...

Curtin spojrział na jego z drugiego końca chaty. Przerwał swoją rozmowę. Aubrey niedbale pomachał mu ręką, by robił swoje, jakby nakazywał mu wyjść z pokoju.

Gant... Cóż, do diabła, stało się z Gantem?

Radiooperator czekał na jego odpowiedź. Nieco oszołomiony i trochę rozbawiony Curtin wrócił do przerwanej rozmowy z Bardufoss. W tej chwili zajmowały go wyłącznie specyfikacje techniczne, szczegóły, które Aubrey nazywał listą zakupów, a także specjalności oraz doświadczenie niezbędnych im ekspertów, czy też siła i liczebność oddziałów marines. W ciszy wypełniającej duszne, śmierdzące parafiną wnętrze chaty słowa Curtina rozbrzmiewały jak nie mająca końca wylizanka. Dyskutowali nad pociskami Blowpipe, po czym

Curtin odrzucił ten pomysł. Nie zdecydowali jeszcze, czy na pokładzie Hercule-sa znajdzie się miejsce dla większej niż garstka liczby komandosów i ich sprzętu. Aubrey był przygotowany na całkowitą rezygnację z posiłków, ponieważ Rosjanie wciąż nie mieli pojęcia, gdzie znajduje się Firefox. Bardziej potrzebny był nawet zbędny sprzęt niż dodatkowa ochrona. Większą część ładowni zajmowały grube bale momatu oraz ciągnik gąsienicowy, a z żadnej z tych rzeczy nie można było zrezygnować.

Ale w tej sytuacji... w tej sytuacji – niczym echo rozbrzmiewało w jego głowie. Gdzie znajdował się Gant? Czy złapali go? Musiał to wiedzieć...! Odczuwał głęboki niepokój. Musiał porozmawiać z Vitsulą, potrzebna była natychmiast informacja o przybyciu Ganta na przejście graniczne, o przekroczeniu... a raczej: czy pojawił się na przejściu i czy przekroczył granicę...

Musiał. Potrzebował w tej chwili aktualnych informacji o Gancie bardziej niż środka uspokajającego. Musiał mieć aktualne wiadomości. Natychmiast...

– Tak, Peter. Zrozumiałem. Muszę skontaktować się z Helsinkami. Koniec łączności.

Odwrócił się od pulpitu, energicznie pocierając policzki dłońmi. Dotarło do niego, że ze zdenerwowania ścierpły mu palce. Curtin omawiał właśnie sprawę zbiorników paliwa, które mogłyby zostać zrzucone z samolotu, oraz ich liczby. W Bardufoss, w Eskadrze Wsparcia Taktycznego Norweskiego Lotnictwa Królewskiego trwała gorączkowa krzątanina. Wszędzie działo się mnóstwo rzeczy. Hercules był już częściowo załadowany. Prognozy meteo wskazywały, że chwilowe polepszenie warunków atmosferycznych o świcie nastąpi w rzeczywistości i zrzut będzie mógł być wykonany zgodnie z harmonogramem. Teraz na warsztat poszły oleje smarujące i hydrauliczne, zbiorniki z tlenem...

Szaleństwo – mimowolnie stwierdził Aubrey w duchu. Był bliski utraty zmysłów. Oby nigdy nie przyszedł mu do głowy ten plan...!

Radiooperator zasygnalizował połączenie z Helsinkami. Możliwe, że dyrektor generalny fińskiego wywiadu, Vitsula, siedział już przed pulpitem, czekając na wiadomość od niego. Musiał z nim porozmawiać...

Aubrey wiedział, że sam Vitsula nie jest w stanie nic zrobić. Finowie nie mogli, nie powinni przekraczać granicy. Gant zdany był tylko na siebie, dopóki nie znajdzie się w Finlandii.

O ile jeszcze żył...

Musiał porozmawiać z Helsinkami, musiał udawać – dla swojego własnego dobra – że istnieje coś, co można zrobić, podjąć jakieś kroki w celu zabezpieczenia się. Tylko porozmawiać, żeby zapełnić oskarżycielską ciszę.

Nos Firefoxa pochylił się, niczym dziób gigantycznego, czarnego, pijącego wodę ptaka, kiedy samolot minął krawędź pochyłości i wtoczył się na płaski odcinek ścieżki momatowej. Buckholz, z niecierpliwością oczekujący oznak końcowego sukcesu, poczuł, jak całe jego ciało ogarnia odprężenie i ulga. Liny zatrzeszczały. Wręcz fizycznie odczuwał gigantyczną masę samolotu, przyglądając się, jak koło dziobowe pokonuje centymetr po centymetrze pas przenośnego lądowiska, ciągnąc za sobą długi, wysmukły kadłub. Nylonowe liny drżały od naprężeń. Zrozumiał, że takie same siły musiały oddziaływać na trzy drzewa, do których zostały przytwierdzone wyciągarki łańcuchowe. Zdawały się protestować wydając odgłosy, przypominające znacznie wzmocnione trzeszczenie napiętych aż do bólu mięśni.

Mimo wszystko czuł odprężenie, bliskość sukcesu. Głowa i ramiona Moresby'ego, wystające ponad burtę kabiny, stanowiły jeszcze jedną oznakę – imitowały obecność pilota, czyniąc z Firefoxa ponownie samolot. Jeszcze pół godziny temu sytuacja była odmienna. Podwozie wciąż było zagrożone przez kamienie i żwir leżące na dnie jeziora. Brooke i jego ludzie musieli umieścić pod skrzydłami maszyny wielkie, czarne, nadmuchiwane pływaki, by zmniejszyć nieco ciężar naciskający na podwozie i zabezpieczyć je przed uszkodzeniem. Kiedy wreszcie Firefox minął pas kamieni, w dużej części uprzęgniętych sprzed kół, pletwonurkowie musieli ostrożnie – bardzo powoli i równomiernie, najpierw opuszczając koła główne – wypuścić powietrze z pływaków i samolot znów stanął pewnie na dnie jeziora. Chociaż wszyscy twierdzili, że to normalna rzecz, jednak owa operacja zrobiła wrażenie na Buckholzu. Gdy tylko ponownie rozpoczęło się wyciąganie, z obsesją wbijał wzrok w koło dziobowe, odmierzając przebytą drogę – czekał, aż dotrze i przetoczy się przez krawędź pochyłości.

Odwrócił się i popatrzył w stronę drużyn pracujących przy wyciągarkach, na napięte liny i chwiejące się drzewa. Po chwili z powrotem przeniósł wzrok na kadłub samolotu i zaraz znów na ludzi przy kołowrotach. Zdawał sobie sprawę, że nie dociera do niego prawdziwy dramatyzm tej sceny. Moresby zabezpieczał właśnie urządzenie katapultujące, z którym mógł być sprzężony klasyczny mechanizm autodestrukcji. Chciał się upewnić, iż żaden wypadek nie spowoduje

odpalenia. Potem miał zacząć myszkować w kabinie w poszukiwaniu jakiegoś mechanicznego czy elektrycznego systemu samozniszczenia, obejmującego najściślej tajne systemy wyposażenia samolotu. Buckholz, jako laik, nie wierzył, że mogą spowodować dramat autodestrukcji. Łatwiej mu było wyobrazić sobie pęknięcie liny czy złamanie się drzewa albo też pęknięcie goleni podwozia, które również cicho potrzaskiwały pod wpływem siły, z jaką oddziaływały na nie liny. W jego oczach Moresby nie robił nic, nie wyczuwał płynącej od strony kabiny atmosfery napięcia. Po mistrzowsku pozorowane zagrożenie. Kiwająca się głowa w wełnianej czapce na tle opuszczonego, obszernego kaptura białej kurtki. Buckholz nie wierzył, że Firefox mógł teraz eksplodować.

Drzewo, do którego była przymocowana wyciągarka holująca lewe koło, zdawało się pochyłać nieco mocniej, kiedy jeszcze raz odwrócił głowę w tamtą stronę. Ludzie zgarbieni nad korbami, ze zgiętymi grzbietami, rytmicznie, monotonnie obracający kołowrót, nie dostrzegali chyba niczego złego. Kapitan Królewskiej Inżynierii stał zwrócony plecami do drzewa, z rękoma wspartymi pod boki, obserwując toczącego się powoli Firefoxa. Dziób samolotu znajdował się już w poziomie, dwa koła podwozia głównego zbliżyły się do krawędzi stromizny.

Skrajna lewa lina dygotała silniej od dwóch pozostałych, chorągiewka znacznika tańczyła w powietrzu. Buckholz znów popatrzył na drzewo. Jeden z dwóch obsługujących wyciągarkę ludzi wyprostował się i zaczął obracać w kierunku oficera. Drzewo wyraźnie chyliło się do przodu. Spojrzał na samolot. Głowa i ramiona Moresby'ego. Oba koła balansujące na skraju pochyłości. Dwie pozostałe liny napięte, lewa tańcząca, luzująca się...

Otworzył usta. Słowa zagłuszył potężny, przypominający eksplozję trzask. Z drzewa sypnęły na ziemię zwały śniegu. Jodła zadrżała ponownie, po czym przecinkę wypełniły trzaski pękających korzeni. Buckholz zrobił krok do przodu. Kapitan inżynierii odwrócił się, uniósł głowę i bardzo powoli zaczął odsuwać się w bok. Obaj technicy odskoczyli od wyciągarki. Trzaski jak strzały z karabinu. Wszystko dokoła wypełniał dźwięk, prawie żadnego ruchu. Czarno-biały obraz – śnieg, drzewa, przenośna ścieżka, samolot przypominający istotę, mającą zamiar wrócić w głąb toni wodnej. Korzenie pękały i łamały się, w ślad za serią głośnych trzasków. Ludzie obsługujący wyciągarkę oraz kapitan inżynierii rzucili się na boki. Drzewo pochyliło się, zatrzęsło, jakby do reszty uwolnione od korzeni, i zaczęło padać.

Żeby tylko nie sięgnęło Firefoxa, żeby...

Ale w następnej chwili myśl ta straciła całkowicie na znaczeniu. Dwie pozostałe nylonowe liny zaczęły tak samo tańczyć i łopotać chorągiewkami znaczników, jak poprzednia. Samolot zaczął skręcać w prawo, zwracając dziób w stronę Buckholza. Przyglądał się, jak lewa lina zwisa coraz luźniej w miarę powolnego padania drzewa ku środkowi przecinki. Ktoś zawołał, a może krzyknął z bólu. Wszystko rozgrywało się bardzo powoli. Buckholz spostrzegł, że drzewo pada szybciej, niż poruszają się ludzie w jego pobliżu. Ciemna gęstwina gałęzi pochłonęła mężczyznę, który ledwie zaczął uciekać. Usłyszał jego zduszony krzyk. Dwie liny tańczyły jak oszalałe, Firefox zdawał się osuwać do tyłu. Dotarło do niego skrzypienie wyciągarek, dwa pozostałe drzewa chyba także zaczęły dygotać.

Koło goleni przedniej wciąż toczyło się do tyłu, był tego pewien.

Spojrzał na głowę i ramiona Moresby'ego. Tamten błyskawicznie stanął w kabynie i wychylił się do połowy, zaciskając kurczowo obie dłonie na krawędzi burty. Otwarte usta Moresby'ego. Część siatki maskującej pod padającym drzewem rozerwana, spływająca leniwie w dół, jak rozpruta dekoracja w tle sceny. Tumany uniesionego z ziemi i strąconego z gałęzi sąsiednich drzew śniegu, kolejne fragmenty rozerwanej siatki. Poluzowana lina zeskoczyła z kołowrotu i jak bicz przeleciała w poprzek przecinki. Jeden człowiek padł, drugi zanurkował pod nią. Nylonowy wąż dygocząc spoczął na momatowej ścieżce.

Moresby wykrzyknął rozkaz. Buckholz nie słyszał słów. Obok jego ramienia pojawił się Waterford i po chwili rzucił w kierunku Firefoxa, wykrzykując jak Moresby i machając w górze rękoma, jakby chciał zwiększyć krążenie krwi. Dwa pozostałe drzewa zatrzęsły się, sypiąc śniegiem na ziemię. Technicy już sprawdzali wyciągarki, mocowanie do drzew, liny – poruszali się jak gdyby pod wodą.

Czarno-biały obraz...

Nagły błysk koloru. Ktoś krzyknął, jednocześnie w górę buchnął snop płomieni. Po drugiej stronie przecinki zerwana siatka maskująca opadła na piecyk, zaopatrujący odpoczywające drużyny techniczne w gorące napoje. Dziób Firefoxa przechylał się w bok, niczym łeb rozwścieczonego byka. Koło goleni przedniej zjeżdżało na prawo, a zarazem do tyłu. Trzeszczące drzewa stopniowo luzowały mocowania wyciągarek, a te z kolei centymetr po centymetrze popuszczały liny. Płomień strzelił w górę, po chwili dotarł do plastikowej maty. Jakiś człowiek zajął się, lecz szybko zdusił ogień, tarzając się w śniegu i wrzeszcząc wniebogłosy.

Tylko Waterford zdawał się poruszać w zasięgu wzroku.

Po chwili zaczął się ruch. Inne hałasy, kolejne rozkazy. Płomienie strzelały,

sypiąc fontanną iskier. Ludzie podtoczyli ciężkie bale pod koła podwozia głównego samolotu, po chwili także pod koło goleni przedniej. Firefox zatrzymał się, bezradny wobec zablokowania mu drogi powrotnej do wody. Liny dygotały, chorągiewki znaczników tańczyły jak oszalałe. Drzewa nad wyciągarkami już niemal całkowicie pozbyły się śniegu. Poprzez zgiełk okrzyków do Buckholza dotarły pierwsze trzaski i strzały pękających korzeni. Wiedział, że samolot musi się stoczyć z powrotem w głąb jeziora.

Nieświadomie ruszył przed siebie, w chaos scenerii. Ogień rozszerzał się, w jego kierunku wystrzelił cienki, nieznaczący strumień piany z gaśnicy. Buckholz pochylił się i podtoczył grubą belkę pod prawe koło. Dziób Firefoxa obrócił się o jakieś trzydzieści stopni, jak gdyby toczył zaciętą walkę z powstrzymującymi go jeszcze dwiema linami. Opona zaczynała wtaczać się na pierwszą belkę – zaraz podtoczono kolejne pniaki, klinując koło. Lewe koło także zostało zablokowane belkami.

– Przymocować inną linę do lewej goleni! – usłyszał dobiegający gdzieś znad głowy okrzyk Moresby'ego. Popatrzył pod brzuchem Firefoxa. Strumień piany z gaśnicy nadal tryskał łukiem w górę wśród wirującego śniegu. Płomień nie dawał za wygraną, prześlizgując się coraz wyżej po pozostałej siatce maskującej. W stronę lewego skrzydła biegli ludzie, rozwijając kolejną nylonową linę. Z kabiny Moresby kierował poczynaniami swoich podwładnych.

– Zabrać to! – wrzasnął Moresby. Buckholz dostrzegł żołnierza na tle płomieni, tak blisko ognia, że zdawał się płonąć. Pochylony ciągnął po śniegu prostokątny pojemnik. Amunicja. Zapasy amunicji zostały złożone na krawędzi przecinki. Buckholz nie był w stanie się poruszyć. Klęczał pod prawym skrzydłem, obok koła, usiłującego pokonać bezładną stertę belek, zastępującą klocek hamulcowy. Z przerażeniem i fascynacją wpatrywał się, jak skrzynki z amunicją powoli, bardzo powoli odciągano od ognia. Były pokryte pianą. W stronę płomieni strzeliły następne strumienie z gaśnic. Tuż nad jego głową dygotała lina, jej taniec przemienił się we wściekłe miotanie – coś w rodzaju punktu kulminacyjnego...

Odwrócił głowę. Drzewa trzęsły się nadal, nie wyglądało jednak na to, by były wyraźnie pochylone w kierunku przecinki. Trzaski krótkofalówki zwróciły jego uwagę na płataninę rozkazów, odpowiedzi i meldunków. Technicy mocowali nową linę do lewej goleni podwozia. Samolot, jakby wyczuwając groźbę uwięzienia, pochylał się jeszcze bardziej, obracał, a prawe koło było już niemal uniesione na wysokość stosu pniaków leżących obok Buckholza.

– Tutaj...! – zawołał. Prawie natychmiast ktoś stanął u jego boku. – Podeprzyjcie tutaj!

Powstał, zaciskając dłonie na prowizorycznej belkowej podporze, którą jeden z ludzi wzmocnił zwalone na stos kłody. We dwójkę usiłovali powstrzymać osuwający się ciężar Firefoxa i utrzymać w kupie spiętrzone belki. Po kilku chwilach Buckholzowi zabrakło już oddechu, a jego ręce, grzbiet i nogi przeżywał ból wysiłku. Podbiegło do nich dwóch dalszych ludzi; wspólnymi siłami udało im się zaprzeć belkę o ziemię i zaklinować kłody blokujące koło. Ale w żaden sposób nie wpłynęło to na napięcie mięśni Buckholza. Postękiwał w cichym proteście.

– Kurwa! Niech pan nie ryzykuje z tym drzewem, kapitanie! – ryknął Moresby do krótkofalówki i natychmiast uzyskał odpowiedź. – Nie luzujcie liny, głupie kutasy! Popuście ją z tamtej strony. O, właśnie tak... Utrzymujcie napięcie, durne kołki, inaczej znajdziemy się w pieprzonych kłopotach! – Pomijając słownictwo i ogólną panikę, jego rozkazy działały trzeźwiąco. – Zajmijcie się dwoma pozostałymi drzewami, zanim i one nie potrzaskają! – wykrzykiwał dalej Moresby. – Przywiążcie każde z nich do trzech innych, stojących w pobliżu drzew. Szybciej, nim jeszcze nie wyskoczyły z korzeniami!

– Szybciej, szybciej... – powtórzył Buckholz, sycząc przez zaciśnięte zęby. Ludzie obok niego podchwycili te słowa niczym refren. Belki i napierające na nie koło trzeszczały. – Szybciej, szybciej, szybciej...

Kapitan rozkazał ludziom przytwierdzić wyciągarkę do wybranego drzewa. Buckholz czuł, że drętwieją mu mięśnie nóg, ale nadal zapierał się na nich ze wszystkich sił. Odbite w pokrytym już cienką warstwą lodu kadłubie blaski ognia zdawały się przygasać. Wiatr niósł gorzki swąd spalenizny – sieci maskujących, płótna, ubrań, oraz czegoś jeszcze, czego nie miał odwagi zidentyfikować... ciała.

Naprężenie stawało się nie do zniesienia. Jego pozbawione czucia dłonie zaparte były o drewnianą podporę, ramiona wspierały się na dłoniach, same zaklinowane o coraz bardziej bolące, aż do pośladków, plecy.

– Szybciej, ruszajcie się, kapitanie! – wrzasnęła ponownie Moresby.

– Szybciej, szybciej, szybciej...

– Dokładnie zgaście ten kurewski ogień! I poszukajcie... kto to, Henderson?... Wyciągnijcie biednego chłoptasia spod tego pieprzonego drzewa! – Krótkofalówka przekazywała wywrzaskiwane rozkazy Waterforda.

Słyszał, jak dwie pozostałe wyciągarki powoli, centymetr po centymetrze luzują nylonowe liny, a drzewa chylą się do przodu. Opona, która wypełniała całe pole widzenia, zdawała się unosić jeszcze wyżej, prawie pokonała pierwszą belkę. Nagle z przeciwnego końca przecinki dobiegł przytłumiony hałas...

– O Jezu...! – jęknął. Ciąg stuknięć, ciche strzały karabinowe. Chciał już krzyknąć do skupionych wokół niego ludzi, by uciekali, ratowali własną skórę, kiedy zrozumiał, że są to odgłosy wybierającej szybko linę wyciągarki – starano się naprężyć ją jak najszybciej. Znów trzy liny, prawie trzy, jeszcze tylko chwila...

– Szybciej, szybciej, szybciej...

– Pieprzone...

– Szybciej! – ryknął Moresby. – Czy uwiązaliście już tamte dwa drzewa?

Dostrzegł, że lina przymocowana do lewego koła napręża się, rozciąga, drży jeszcze leciutko, po czym nieruchomieje. Wciąż słyszał ciche dzwonienie pracującej jednej wyciągarki. Dziób Firefoxa obniżył się, jak gdyby zwierzę pojęło wreszcie przewagę siły swoich poskromicielei. Wciągnął głęboko powietrze.

– Czy to drzewo wytrzyma?! – krzyknął Moresby.

– Przez jakiś czas, sir – odparł kapitan inżynierii.

– Więc również przywiążcie je do trzech sąsiednich drzew.

– Tak jest, sir.

Ktoś obok Buckholza wystękał jakieś dziękczynne słowa. Na wprost niego koło zjechało z powrotem z niewielkiej barykady pniaków. Teraz tylko opierało się o bale. Uniósł wzrok. Lewa i środkowa lina tylko nieznacznie dygotały pod stałym naprężeniem. Czyżby drzewa nadal trzęsły się i pochylały, czy też pot zalewający mu oczy oraz drżące z wysiłku wszystkie mięśnie powodowały, że odnosił tylko takie wrażenie? Popatrzył z powrotem na prawe koło. Opona odsunęła się już od pierwszej belki.

Kakofonia rozkazów i meldunków przycichła nieco. Spokój. Czekał w bezruchu. Całe ciało miał odrętwiałe, nawet mięśnie przestały drżeć. Poczul się, jakby na zawsze miał zostać w tej pozycji krańcowego wysiłku. Kapitan rozkazał dalsze wybieranie liny w zamocowanej na nowo wyciągarce, tym razem znacznie wolniej. Firefox zaprotestował. Jego dziób obracał się powoli z powrotem, w jakimś złowieszczym geście, opony ze zgrzytem przesuwwały po waflopodobnej powierzchni przenośnej ścieżki. Dostrzegł, że naprężenie prawej liny maleje. Chorągiewka znacznika przestała tańczyć, znów była tylko szmatką powiewającą na wietrze. Buckholz tkwił nieruchomo.

Lewe koło zatrzymało się. Nie czuł zupełnie dłoni zapartych o belkę, ledwie docierała do niego świadomość naciskającego na niego z boku ciała innego mężczyzny.

Wreszcie usłyszał spokojny głos Moresby'ego: – Pierwszy, drugi i trzeci! Ciągnąć! – Jęknął. Moresby dodał: – Już w porządku, wy tam na dole możecie odpocząć. I dziękuję. Dziękuję wszystkim... – Buckholz próbował rozewrzeć palce. Prawe koło odtoczyło się o dalszych kilka centymetrów od stosu bali. Zaczynały toczyć się za oponą pod wpływem nacisku podpory. Moresby mówił dalej, prosząc o pełny raport zniszczeń. Buckholz wyprostował się, wzdłuż kręgosłupa przeszył go elektryzujący ból. Nogi miał jak z waty. Zrobił kilka kroków i pochylił się obolały, czekając, aż znów będzie mógł się poruszać. Przy każdym oddechu z jego gardła wydobywał się cichy jęk.

Kiedy wreszcie mógł chodzić, kiedy w obu nogach poczuł dotkliwie mrowienie wznowionego krwioobiegu, ruszył najszybciej, jak potrafił w stronę miejsca strawionego przez ogień. Jakiś kształt okryty skrawkiem płótna. Obejrzał się w głąb przecinki. Kolejna nieruchoma postać, wyciągnięta spod drzewa i znoszona teraz na bok z drogi samolotu.

A więc dwóch zabitych...

Popatrzył w twarz Waterforda. Była okopcona od dymu, ale chyba nic mu się nie stało. Dalej siedziało dwóch komandosów SBS z opatrzonymi i zabandażowanymi głowami i rękoma. Z góry, z gałęzi drzew spadały rozżarzone szczątki siatki maskującej, zamieniane przez wiatr w gorejące iskry. Ziemia dokoła przekształciła się w błocko brudnego, topniejącego śniegu i piany gaśniczej. Waterford spoglądał na niego.

– Dwóch zabitych? – spytał.

Waterford skinął głową. – Dwóch. I dwóch rannych... niezbyt poważne oparzenia. – Na jego pobladłej twarzy malował się żal. – Dzięki Bogu – dodał, po czym zaraz przybrał swój normalny, stanowczy wyraz. – Możesz mi pomóc – zwrócił się do Buckholza. – Sporządzimy szczegółowy raport zniszczeń. Chodź.

Waterford odwrócił się. Buckholz, zanim ruszył jego śladem, spojrzął na napięte liny, na trzy koła podwozia toczące się wolniutko po momatowej ścieżce. Wszystkie stały już na płaskim gruncie. Moresby ponownie zanurkował w głąb kabiny. Buckholz, mając już odetchnąć z ulgą, do końca odegnał szok, wstrzymał nagle oddech. Mechanizm samodestrukcji. Wciąż jeszcze groziła im całkowita utrata samolotu. Może nawet zagrożenie było jeszcze większe. Moresby musiał zarzucić swą pracę. Czas uciekał. Ile to trwało? Minuty... Może siedem minut. Siedem...

Całe jego ciało od stóp do głowy przebiegły dreszcze. Na miękkich nogach pospieszył za Waterfordem, jakby uciekał przed samolotem oraz zagrożeniem, jakie sobą przedstawiał.

Cała przecinka cuchnęła spalenizną.

Do Priabina zaczęło docierać, że jest mu zimno. Miał wrażenie, że unosi się na wodzie. W każdym razie jakaś jego część pływała. Inna część, mniejsza, znajdująca się w tyle głowy, sygnalizowała, że coś jest nie w porządku. Nie umiał jednak stwierdzić nic konkretnego. Otaczały go obrazy: sny, koszmary senne, wizje, krajobrazy, wspomnienia. Ale w każdym z nich usprawiedliwiał się przed Anną.

Przepraszał za swą pracę, za kolegów, za mundur i stanowisko, a także za czyny, które nigdy nie były jego udziałem, za nie podjęte działania, nie popełnione zbrodnie.

Wyczuł, że ona nie chce mu wybaczyć, nie pojawiła się już w kolejnych obrazach, wspomnieniach i snach. Zniknął także jej głos. W jakiś sposób wiedział jednak, że nadal go oskarża, zrozumiał także charakter jej zarzutów. Ale on przecież nie brał udziału w biciu demonstrantów na placu Czerwonym, nie on zastrzelił ludzi handlujących na czarnym rynku, nie miał nic wspólnego z przesłuchaniami tych Żydów, z biciem ich, a ten, który zmarł, miał po prostu słabe serce. To nie on odmówił wydania wizy i paszportu tamtemu pisarzowi, nie on wprowadzał ograniczenia wyjazdu ludzi ze Związku Radzieckiego, nie on zarządzał rewizje zagranicznych biznesmenów, wykorzystując prostytutki, które włożyły im do łóżek. Nie, to nie on obsługiwał kamerę, kiedy utrwalano na taśmie...

Jakiś nocny ptak poruszył się w gałęziach krzaków ponad nim, osypując mu twarz śniegiem. Otworzył oczy. Śnieg zatykał mu nos i usta. Docierały do niego impulsy z całego ciała, był świadom przemarznięcia. Nie czuł palców u rąk i nóg, ramiona i uda nakłuwały igiełki mrozu, w piersiach dawał znać o sobie chłód. Dźwignął się ciężko, usiadł, po czym rozejrzał dookoła.

Samochód zniknął. W tej chwili nie kojarzył nic poza tym, że powinien obok stać samochód. Dotykał go przecież, nawet siedział w nim. Jego samochód...?

Jego wóz stał nieco dalej, w pobliżu wioski...

Samochód Anny.

Ciało Harrisa. Harrisa? Skąd mógł znać to nazwisko? Potarł ramiona dłońmi w rękawiczkach, uderzył parę razy, a następnie wyczołgał się przez zaspę spod osłony krzaków. Śnieg sypał bez przerwy, wiatr jakby zelżał nieco.

Harris?

Gant?

Przypomniał sobie. W pamięci odżyły wszystkie obrazy i wizje, nie kończące się usprawiedliwianie przed Anną, która nie chciała pojawić się w jego snach, mimo iż przebywała w pobliżu. Anna...?

Gant – Anna.

Teraz wiedział już wszystko.

Podniósł się na nogi, a jednocześnie jakaś wielka masa przesunęła się w jego głowie. Jęknął i przyłożył dłoń do skroni. Rana była bolesna i obrzmiata. Wyczuwał pod palcami strup zakrzepłej krwi, jak sople lodu. Anna odjechała z Gantem. Zrobił kilka niepewnych kroków. Słabo widoczne ślady opon prowadziły w stronę głównej drogi i skręcały na zachód, w kierunku granicy.

Teraz wiedział już wszystko. Gant z Anną porzucili go na poboczu, kontynuując ucieczkę. Lecz Amerykanin popełnił błąd – zostawił Priabina przy życiu. Był mu teraz wdzięczny za ten błąd.

Ruszył powoli, niezdarnie stawiając nogi, a każdemu krokowi towarzyszyło tępe kołatanie w głowie. Wkrótce zaczął biec, chowając twarz przed sypiącym śniegiem. Wyszedł w końcu zza zarośli i stanął na pustej szosie. Spojrzał wzdłuż drogi w kierunku granicy. Całkiem pusto. Ponownie pochylił głowę i pobiegł, z każdym urywanym oddechem wyrzucając błagania, by samochód, który zarekwirował policji drogowej w Kołpino, nie okazał się uszkodzony przez Ganta.

Niegrabnie człapał drogą, szeroko wymachując ramionami i ciężko dysząc. Przypomniał sobie swoje wizje i zrozumiał ich znaczenie. Pośliznął się nagle i runął jak długi, sunąc na plecach po ośnieżonym asfalcie. Uderzenie przywróciło go do rzeczywistości, zatamowało oddech w piersi. Dźwignął się na nogi, otrząpął ubranie i ponownie ruszył biegiem. Już niedaleko, tylko kilkaset metrów, nie więcej.

Minął budkę telefoniczną, przy której zabił Harrisa. Zaplanował to, chodziło mu o odizolowanie Ganta. Chciał zabrać Annę, a potem zabić go – albo spowodować, by został zabity na granicy. Cofnąć zegar, wrócić o pięć dni w przeszłość, nim to wszystko się zaczęło.

Mógł to zrobić, tyle że Anna nie uwierzyłaby mu...!

Dostrzegł w oddali pierwsze światelka wioski. Jego samochód powinien znajdować się niedaleko... Tak, tam! Pokonał ostatnie metry i oparł się ciężko o bok pojazdu. Grzebał w kieszeni w poszukiwaniu kluczy, zarazem drugą ręką otwierając drzwiczki. Z trudem wsunął się na siedzenie, odetchnął głęboko, po czym wcisnął kluczyk do stacyjki.

Przekreślił go, wstrzymując oddech.

Rozrusznik zgrzytnął. Przy trzeciej próbie silnik zaskoczył, lecz zaraz zgasł. Spróbował raz jeszcze. Wóz zakrzuszył się, z tyłu buchnął kłęb niebieskawego dymu. Silnik zawarczał miarowo.

Po prostu zimny.

Zwolnił sprzęgło i powoli wyprowadził samochód na środek drogi. Opony nabijane kolcami trzymały się nawierzchni, zaczął przyspieszać. Minął budkę telefoniczną, plamę zgarniętego śniegu na asfalcie, znacząc miejsce jego upadku, wreszcie szerokie zakole pobocza. Spojrzał na zegarek, nie umiał jednak ocenić, jak długo był nieprzytomny. Wcisnął pedał gazu, lecz w tej samej chwili tyłem wozu zaczęło mocno zarzucać. Zdjął nogę z gazu, błyskawicznymi ruchami kierownicy wyrównał i już wolniej potoczył się dalej.

Oślaniał Annę, ponieważ w jakiejś części zależał od tego szacunek dla samego siebie. Nie był oficerem KGB, nie był zwykłym milicjantem... Z drugiej strony świetnie ją rozumiał, wręcz podzielał jej motywę. Zawsze to robił.

Mógł ją ocalić, mógł ją z tego wyciągnąć, ale Gant zmienił wszystko. Naraził ją na niebezpieczeństwo. Zabierał ją ze sobą, właśnie znajdowała się razem z nim w samochodzie. Była gotowa przekroczyć granicę...

Otarł coś z oka mokrym rękawem palta i skoncentrował się na ukośnych pasmach śniegu widocznych w światłach reflektorów. Zdawał sobie sprawę, że tym razem ściągnął z cebuli o jedną łupinę za dużo.

Uświadamiał też sobie własną nieufność w stosunku do Anny. Od momentu, kiedy ujrzał Ganta w pociągu i zrozumiał, że ona pomaga mu w ucieczce, w głębi serca żywił przekonanie, iż Anna pojedzie wraz z Amerykaninem. Nie wierzył, że wróci – czy to z przejścia granicznego, czy po kilkudniowym pobycie za granicą.

Raz jeszcze energicznie otarł oczy. Nie ufał jej! Wierzył, że zdolna jest go opuścić, że może to uczynić.

Gant pokazał mu lusterko, wytknął mu podłość i małoduszność, tkwiące pod przykrywką miłości, opiekuńczości i szacunku dla samego siebie. Brzydził się tym odbiciem.

Musiał zabić Ganta. Za wszelką cenę musiał go zabić.

– Pierwszy, drugi i trzeci! Zatrzymać!

Buckholz usłyszał głos Moresby'ego przez krótkofalówkę i natychmiast spojrzął na stojącego obok Waterforda. Ale fakt, iż udało im się bezpiecznie doholować Firefoxa aż do końca przecinki, nie sprawiał na tamtym żadnego wrażenia. Nieporuszony nadal wbijał wzrok w powierzchnię lodu pod nogami.

Stali na jeziorze, jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt metrów od brzegu. Po między nimi a jasno oświetloną przecinką wiatr pędził tumany śniegu. Na szczęście płonąca siatka maskująca nie zrzuciła z drzew lamp łukowych.

– Zatem co chciałeś, żebym zobaczył? – zapytał Buckholz. Miał ochotę na gorącą kawę, potrzebował odpoczynku. Teraz, kiedy ukończyli już raport o zniszczeniach i chwilowo nie mieli nic do roboty, zmęczenie wyraźnie dawało znać o sobie. Zagrożenie, sygnalizowane przez Moresby'ego, utonęło w natłoku nieskładnych myśli. – A więc?

– Spójrz na ten cholerny lód, człowieku! – warknął w odpowiedzi Waterford.

– Co takiego?

– Śnieg, do diabła. Śnieg! Pieprzony śnieg! – Wymachiwał rękoma nad głową, kopiąc jednocześnie butem w grubej warstwie śniegu. W otaczającym ich mroku wiatr jęczał i zawodził. Sylwetka Waterforda ledwie rysowała się w światłach padających z przecinki. Chwilowa przerwa w zamieci ukazała mu zabezpieczony, czarny samolot oraz poszarpane zarysy kolejnej przecinki, tworzonej wzdłuż brzegu jeziora. Dotarły do niego także odgłosy pracujących pił łańcuchowych. – Żaden samolot nie będzie w stanie wystartować z takiej powierzchni – Waterford kontynuował głośną tyradę. – Znasz długość tego jeziora. Czy wiesz, jak długa droga startowa potrzebna jest tej maszynie? Nie? Posłuchaj, przy tak grubej warstwie śniegu na lodzie samolot nie będzie mógł nabrać odpowiedniej szybkości, by pilot był w stanie poderwać go z ziemi. To jasne jak słońce. Co więc masz zamiar z tym zrobić?

W ciszy, wypełnionej zawodzeniem wiatru, Buckholz usłyszał z krótkofalówki głos Moresby'ego: – To draństwo za szybko wysycha, panowie... – Nie miał pojęcia, do kogo mogła być skierowana ta uwaga. Możliwe, że do wszystkich. – Pokrywa się lodem. Wierzę, na Boga, że jeśli zainstalowano tu jakiś system, to nie jest on uruchamiany przez wilgoć. Nie znalazłem ani w kabinie, ani przy którymś z żywotnych układów niczego, co wyglądałoby na system autodestrukcji. – Moresby zawiesił głos, lecz następne jego słowa momentalnie wyprowadziły Buckholza z błęgiego stanu ulgi: – Niemniej gotów jestem się założyć, że jest tu jakiś mechanizm. Lepiej oczyścić teren. Gunnar...?

– Tak?

– Masz coś ciekawego?

– Nie wiem. Na pierwszy rzut oka nic nie ma w instrukcji pilota. Jak do tej pory nie znalazłem też nic zaznaczonego bądź podpisanego na kadłubie.

Kolejny podmuch śnieżycy przesłonił Buckholzowi widoczność, wyraźnie jednak miał ich przed oczyma. Gunnar, znający dobrze rosyjski, otrzymał zadanie przetłumaczenia instrukcji pilota – mniej więcej pięćdziesięciostronicowej zszywki, którą Moresby znalazł w kabinie. Jednocześnie miał tłumaczyć każdy wyraz opisu czy instrukcji znajdujący się na kadłubie, szukając klucza do zasad działania oraz ulokowania mechanizmu samozniszczenia.

– To nie zmienia postaci rzeczy – ciągnął Moresby. – Oczyszcście obszar. Jakies sto pięćdziesiąt metrów powinno wystarczyć. Odsuńcie się i ukryjcie za drzewami...

– Jezu – jęknął Buckholz. – Czy możemy w czymś pomóc? – rzekł do krótkofalówki, zwracając się do Moresby'ego.

– Nie może pan nic na to poradzić, Mr Buckholz – rozbrzmiała odpowiedź. – Proponowałbym co najwyżej szybko skontaktować się ze specjalistą od wypychania skórek! – Buckholz usłyszał chichot Gunnara, a Waterford ryknął śmiechem tuż za nim.

– Jezu...

– Nawet jeśli my możemy chodzić po zamrzniętej wodzie – kontynuował Waterford – to samoloty nie dadzą rady startować przy tak grubej pokrywie śniegu. Zakładając, że dzięki Moresby'emu ta pieprzona maszynka przetrwa próbę ogniową, to nie oderwie się od ziemi. Czy sądzisz, że jutro będziemy mieli piękny, ciepły, słoneczny dzień?

– Chyba nie masz pretensji do mnie...? – Bardziej zwracał teraz uwagę na głosy przekazywane krótkofalówką. Rozmowa Moresby'ego z technikami, słowa tłumaczone przez Gunnara. Wiedział, że obecnie wszyscy będą nasłuchiwać. Umilkły hałasy pił łańcuchowych.

– Nie mam. Jesteś, podobnie jak ja, jeszcze jedną tresowaną małpką Aubrea. Ale tym razem ten głupi dupek przesadził, bez dwóch zdań!

Na wpół świadomie obaj ruszyli z powrotem w stronę przecinki. Kiedy zbliżyli się do brzegu, osłepiły ich światła lamp. Drzewa wzdłuż krawędzi pochyłości były już wycięte. Miała tam zostać rozłożona ścieżka momatowa, po której ciągnik doholowałby Firefoxa do miejsca, gdzie gruby lód zdolny utrzymać jego ciężar pozwoliłby ponownie wtoczyć go na jezioro, mające stanowić pas startowy.

A raczej, które nie nadawało się na pas startowy – poprawił się w myślach.

Podreptali wzdłuż brzegu. Śnieg sypał teraz prawie poziomo, w przecince panowała więc wyjątkowa cisza, przepełniona napięciem. Kiedy dostrzegł Moresby'ego siedzącego w kabinie oraz zgromadzonych wokół kadłuba techników, zrozumiał, że nawet major nie miał pojęcia, na ile silna groziła im eksplozja.

Jak to miało wyglądać? Niewielki, wręcz niezauważalny wybuch, zostawiający po sobie tylko chmurę czarnego dymu nad kabiną? Czy też silny wstrząs, zdolny otworzyć całą sekcję dziobową niczym eksplodujące cygaro-pułapka? Mogący spowodować śmierć Gunnara, Moresby'ego oraz techników...?

A także jego i Waterforda – pomyślał, kiedy wspinali się po momatowej ścieżce w stronę samolotu.

Większą część kadłuba oraz powierzchni skrzydeł pokrywała już cienka warstwa lodu. W siatce maskującej widniały wielkie dziury, których nie można już było załatać. Zwalone drzewo leżało na skraju lasu. Poza nimi i ludźmi Moresby'ego, a także Firefoxem, przecinka była pusta. Nawet specjalnie nie były widoczne ślady dramatu, jaki rozegrał się pół godziny wcześniej. Teraz zdawał się jedynie tragicznym preludium dla owej cichej desperacji, z jaką Moresby kontynuował poszukiwania systemu autodestrukcji.

Dwa martwe ciała zostały zapakowane w śpiwory i zabrane z otwartej przestrzeni. Leżały dalej, niczym arktyczne mumie, oczekując na przewiezienie na miejsce pochówku. Czekwały także na zawiadomienie najbliższej rodziny. Buckholz potrząsnął głową, odganiając myśli.

Moresby zauważył ich i szybko wylazł z kabiny. Pomachał rękoma, jakby zaganiał kurczęta na podwórku.

– Mówiłem, żebyście spieprzali – rzekł.

– Jako dzieciak lubiłem zwiedzać miejsca wypadków – odparł Buckholz obojętnym tonem. Moresby popatrzył na niego uważnie, po czym skinął głową, godząc się z ich obecnością.

Buckholz rozejrzał się dookoła. Skrzynie z narzędziami, stanowisko łączności, cały sprzęt – wszystko zostało zabrane. Zupełnie, jakby mieli porzucić tu Firefoxa, poświęciwszy na wydobywanie go z jeziora tyle czasu i wysiłków – a także dwa istnienia. – Czego udało wam się dokonać? – zapytał.

– Nie ma żadnej karty magnetycznej, aktywującej układ autodestrukcji – rzucił Moresby. – Żadnych uzbrojonych mikrowyłączników, które mogłyby odpalić ładunek, chyba że przez usunięcie osłony kabiny lub uruchomienie katapulty pod fotelem.

– A jednak musi coś być.

– Mogę za to ręczyć. Oczywiście, że musi coś być...

– Do diabła.

– Proszę mi wybaczyć, jestem potrzebny – rzekł Moresby, odwracając się do nich tyłem. Buckholz nie zatrzymywał go. Nie miał żadnego doświadczenia i nie mógł udzielać mu jakichkolwiek rad. Zamyślił się natomiast nad grubą warstwą śniegu zaścielającą lód. Uprzątnięto śnieg z drogi startowej Ganta na

polu lodowym, kiedy tankował paliwo. Musieli zrobić to samo tutaj, wykorzystując dmuchawy termiczne. Będzie musiał porozumieć się z Bardufoss, kiedy tylko...

Kiedy zyskają już pewność, czy jest, czy też nie ma żadnego tykającego zegara – zegara, którego nie mogli ani zobaczyć, ani usłyszeć. Czy było w samolocie takie urządzenie?

Gunnar zbadał szczegółowo niemal cały kadłub. Biegał wokół samolotu, a obecnie po raz kolejny tkwił pod kabiną pilota. Nie znalazł nic poza zwykłymi miejscami wlewu paliwa i punktami kontrolnymi, poza spustami, wyłącznikami, spoinami, nitami, osłonami.

– Pod tym małym okienkiem jest napisane: „W przypadku czerwonej sygnalizacji otoczyć samolot kordonem i powiadomić zbrojmistrza” – wyrecytował Gunnar, po czym w krótkofalówce rozbrzmiały jego pomruki i szept. Wreszcie dodał: – Tak, dokładnie tak. A w okienku widać czerwony znaczek.

– Pokaż mi to – usłyszeli głos Moresby'ego.

Buckholz odruchowo ruszył przed siebie. Waterford parsknął lekceważąco, lecz poszedł za nim.

– Co to jest? – zapytał Buckholz, stając obok Moresby'ego, wykręcającego szyję i zaglądnącego w małe pleksiglasowe okienko, umieszczone na wysokości głowy poniżej kabiny pilota.

– Półcentymetrowa, pomalowana na czerwono blaszka – odparł Moresby, nie odwracając głowy. – To niewiele wyjaśnia, prawda? – Obmacywał palcami okolice okienka. – Tu jest osłona. Zachowaj ostrożność, chłopcze, kiedy będziesz to zdejmował, dobrze?

Odsunął się krok do tyłu i pozwolił, by jeden z techników powoli zabrał się do odkręcania pierwszej z czterech śrub.

– Czy to coś ważnego? – zapytał Buckholz.

– Kto to może wiedzieć? Instrukcja jest dość jasna. Nie otacza się samolotu kordonem bez przyczyny, podobnie jak nie ściąga się fachowców od uzbrojenia. Zastanawiam się... No, dalej, chłopcze, odstoń to! – Technik odkręcił trzy z mocujących śrub, poluzował czwartą i odchylił osłonę. Moresby błyskawicznie ruszył do przodu, celując promieniem latarki, jakby była to jego broń. Przekrzywił głowę i zaczął powoli przesuwac płamę światła, jak gdyby bał się, że może w ten sposób coś uszkodzić. Buckholz wrócił na swoje poprzednie stanowisko i wsłuchiwał się w komentarz majora, płynący przez krótkofalówkę. – Mhm. Dwa solenoidy, przekaźnik. A to co...? Przewody, pudełko z etykietką... Gunnar, co tam jest napisane? – Moresby odsunął się do tyłu. Gunnar skierował snop światła do wnętrza.

– „Wymienić baterie przed...” Tu jest data, przyszedł miesiąc.

– To nic nie mówi! – warknął Moresby. – Pozwól, że popatrzę jeszcze raz. Co my tu jeszcze mamy? Jakieś pudełko, wygląda trochę jak... jak co? Jak migacz, który miałem przed laty w moim morrisie. Górna powierzchnia czymś pokryta, u podstawy wychodzą przewody łączące się z solenoidami i przekaźnikiem... to wszystko. Przypuszczam, że mogłoby służyć do napędzania kolejki elektrycznej pilota... Czy ktoś chce jeszcze popatrzeć?

Moresby wręczył latarkę jednemu z techników i odwrócił się w stronę Buckholza i Waterforda. – Nie mam pojęcia – oznajmił, wzruszając ramionami. – To może być coś ważnego, tyle że nie wiem do czego.

– Czerwony znaczek? – zapytał Buckholz.

– Jeśli jest to urządzenie autodestrukcji, to znaczy, że jest uzbrojone.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo. – Odwrócił się ku technikowi. – No i co?

– To mi wcale nie przypomina migacza samochodowego, sir – odparł tamten.

– Wspaniale. A co ci przypomina?

– Wygląda trochę jak automatyczny włącznik zraszacza, który mój starszek zainstalował w cieplarni, niedaleko Evasham... Był z niego bardzo zadowolony.

– Fascynujące. – Moresby ponownie skierował strumień światła do środka, zatoczył nim koło, westchnął głośno do krótkofalówki, popatrzył na czerwony znaczek w okienku i znów przeniósł wzrok w głąb otworu. – A na jakiej zasadzie działał ten automat zraszający, co? – zapytał poważnym głosem z wyraźnym zaciekawieniem. – No mów, chłopcze. Sam jestem bardzo zainteresowany urządzeniami szklarniowymi.

Aż do przesady chłodny i rzeczowy ton Moresby'ego jak gdyby miał na celu zmniejszenie napięcia, które – jak Buckholz czuł po sobie – znów zaczęło narastać.

– Czy ostrzegłeś swoich ludzi, by trzymali się w odpowiedniej odległości? – mruknął do Waterforda.

– Tak. – Waterford skontaktował się z dziewięcioma grupkami komandosów SBS, tworzącymi oddział zwiadowczy, i polecił im, by teraz, kiedy Firefox został już wydobyty z jeziora, sformowali pierścień ochronny wokół przecinki.

Buckholz ocenił, że powinni zacząć pojawiać się w pobliżu za jakieś piętnaście minut. Zainteresowanie ich bezpieczeństwem stanowiło substytut lęku o

samego siebie. Owa czerwona blaszka musiała przecież coś oznaczać...!

Technik objaśniał zasadę działania układu zraszacza. Buckholz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że cała ta dyskusja jest zupełnie nie na miejscu. – ...kiedy więc powietrze było wysuszone, automat włączał zraszacz, a gdy wilgotność osiągnęła odpowiedni poziom, wyłączał go z powrotem...

– Jasne. Muszę skombinować sobie coś takiego do trawnika – mruknął Moresby z nosem przyciśniętym do odsuniętej osłony. W końcu wyprostował się. – Jeśli nie ma innych propozycji technicznych objaśnień, poza systemem zraszacza zastosowanym przez Cartera i jego ojca, sądzę, że będzie lepiej odłączyć te solenoidy, tak na wszelki wypadek. Zrób to, Carter. Lepiej się zabezpieczyć. – Szybkim krokiem podszedł do Buckholza, energicznie zacierając dłonie, jakby chciał oczyścić rękawice z brudu. – Pospiesz się, Carter – rzucił jeszcze przez ramię. – Wnętrze tej komory dość szybko wysycha.

– Sądzisz, że to jest to? – zapytał Buckholz. Napięcie i zdenerwowanie sprawiły, że czuł się dziwnie.

– Możliwe, że to właśnie zapłonnik – rzekł z niewyraźnym, krzywym uśmiechem. Otarł wąsy, skrzypiące od zestalonego oddechu. – Nie mam pojęcia, po co mieliby dołączać układ uruchamiany wilgocią. Możliwe, że Rosjanie są wręcz chorobliwie podejrzliwi.

– A jak to działa? – Buckholz był coraz bardziej zły, prawdopodobnie wskutek nagłego spadku napięcia, świadomości, że bał się niepotrzebnie.

– System uaktywniałby się po zanurzeniu kadłuba – tłumaczył Moresby z wyraźną ulgą. – Był w pełni uzbrojony, kiedy wyciągnęliśmy go z wody. Gdyby wysechł całkowicie, mielibyśmy bum! Sądzę, że właśnie tak to by wyglądało...

Odwrócił się. Technik pokazał uniesiony w górę kciuk i Moresby odetchnął głośno.

– Już bezpieczny? – zapytał Buckholz.

– Proszę trochę zaczekać, a wówczas się przekonamy. Myślę, że tak. Teraz zabieramy się do poważnej pracy. Chciałbym, żeby pańscy chłopcy, majorze, wycięli jeszcze trochę drzew. Jest już prawie trzecia. – Skinął głową i odszedł w stronę samolotu.

– Chryste – szepnął Buckholz. – Jezu Chryste.

– Mają w RAF całkiem niezłych specjalistów – mruknął Waterford, po czym przycisnął krótkofalówkę do policzka i odwrócił się tyłem do Amerykanina.

Węze do dmuchawy – przypomniał sobie Buckholz, chcąc zamaskować

strach, do którego nie miał odwagi się przyznać. Dygotał cały. Przeżył chwile grozy, miał prawdziwego pietra. Teraz musiał znaleźć dla siebie jakieś zajęcie.

Zaczął się zastanawiać, czy w Bardufoss znajdują odpowiedniej długości wąż, by strumieniem powietrza oczyścić drogę startową Firefoxa z grubej warstwy śniegu. Zwłaszcza że minęło już niebezpieczeństwo autodestrukcji samolotu.

Nagle pomyślał o Gancie.

Doszedł do wniosku, że osoba pilota może stać się przyczyną jeszcze większego zagrożenia niż sam Firefox.

Strażnicy, początkowo znużeni, nagle poderwali się i zaczęli działać sprawnie. To takie proste. Drut kolczasty, rozciągnięty na krzyżakach i słupkach, gruby i biały pod warstwą śniegu, stracił groźny wygląd. Ginał po obu stronach przejścia w monotonnym krajobrazie. Ośnieżony pas zaoranej ziemi znaczył linię graniczną. Budynki straży i komory celnej były jasno oświetlone, a czarny cień wieżyczki obserwacyjnej kładł się w poprzek drogi tuż za czerwono-białym szlabanem.

Priabin nie powiadomił ich – pomyślał po raz kolejny Gant. Świadomość ta dodawała mu otuchy. Stał odwrócony plecami do długiego stołu, przy którym obecnie Anna przedstawiała swoje dokumenty i odpowiadała na pełne szacunku pytania kapitana Straży Granicznej, dowodzącego posterunkiem. Gant wpatrywał się w widoczny za cieniem wieżyczki, odległy czerwono-biały szlaban po fińskiej stronie granicy. Smugi światła, padających z okien budynków, migotały jakby sygnalizując coś. Finowie, którzy mieli na nich czekać, pewnie wbijali wzrok w drzwi tego biura odpraw, czekając, aż pojawią się w nich ponownie. Wkrótce wsiądą do samochodu, rosyjski szlaban podniesie się i przejadą pod nim. Sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt metrów – znajdują się w Finlandii.

Nie myśl o tym – stwierdził w duchu, czując, jak zaczynają mu drżeć dłonie wbite w kieszenie palta. Śnieg, który osiadł na jego futrzanej czapce, topniał teraz, ściekając strumyczkiem na kark i wdzierając się za kołnierzyk koszuli. Nie myśl o przekroczeniu...

Gdyby zaczął się nad tym rozwozić, jego obojętny wyraz twarzy stopniałby w ciągu kilku sekund. A tak łatwo było odgrywać doświadczonego dyplomate czy też urzędnika państwowego. Starszy facet, świadom swego autorytetu, oschły i ostry, niczym opadły brązowy listek ostrokrzewu. Ci ludzie po części się go bali – lękali się jego władzy, perspektywy telefonowania, rozmów

z przełożonymi, wyjaśnien i sztorcowania. Szybko zadawali swoje pytania, pospiesznie sprawdzali dokumenty. Nie mieli ochoty przeszukiwać jego bagażu. Bez słowa przyjęli wyjaśnienia, że ich fiński towarzysz, który powinien jechać wraz z nimi, nagle zachorował – za dużo wypił, jak Gant stwierdził z wyraźną odrazą – a ich czekało ważne, nie cierpiące zwłoki spotkanie tego samego dnia... zgodnie z umową zawartą w Leningradzie, z tego co wiedzieli. Dlatego jechali samochodem. Starał się robić wrażenie rozwścieczonego tym, że nie mogą się spóźnić i muszą zrezygnować ze snu.

Zrobił kilka kroków. Anna nadal odpowiadała na pytania. Postukał językiem o podniebienie. Nerwy – pomyślał. Uspokój się...

Działaj.

Spojrzał na kapitana przez wąskie szkła okularów. Tamten pochwycił jego wzrok, zebrał szybko papiery Anny i wręczył jej, kłaniając się z szacunkiem.

– Dziękuję – rzekł Gant z lekką niechęcią w głosie. – Czy możemy już jechać?

– Oczywiście, towarzyszu, proszę... – Otworzył przed nimi drzwi. Gant ruszył za Anną w sypiący śnieg, w światła reflektorów. Zeszytywał w pełnym blasku, jakby miał zostać rozpoznany i zdemaskowany. Podszedł szybko do samochodu. Niecierpliwym ruchem otworzył drzwi przed Anną i wpuścił ją do środka. Następnie jakby od niechcienia skinął głową w stronę kapitana i okrążył maskę, kierując się na miejsce kierowcy. Oficer otworzył mu drzwiczki.

– Życzę owocnych rozmów w waszej sprawie, towarzyszu – rzekł. Gant zbył go pomrukiem.

– Będę zmęczony – oznajmił.

Pochylił się, by wsiąść za kierownicę, kiedy usłyszał nadjeżdżający samochód. Hałas silnika wyraźnie świadczył, iż tamten pędzi z dużą szybkością. Zdusiwszy jęk, powstrzymując drzenie mięśni, uniósł wzrok. Dostrzegł snop światła wyłaniający się zza zakrętu i sunący w ich kierunku. Domyślił się, że to Priabin. Nie znalazł, nawet nie szukał tamtego samochodu. Powinien był go jednak zabić...

Spojrzał w twarz Anny. Ona też już wiedziała. Zaalarmowany kapitan wyprężył się. Ruchem dłoni nakazał dwóm strażnikom uzbrojonym w karabiny Kałasznikowa wysunąć się do przodu. Stanęli na wprost światła reflektorów. Tamten wóz zabuksował, obrócił skosem w poprzek drogi, wreszcie stanął. Drzwiczki otworzyły się.

Gant dostrzegł, że szlaban został podniesiony. Zatrzasnął drzwiczki. Barierek zaczynała powoli opadać. Przekręcił kluczyk, zapalił silnik i wcisnął pedał

gazu. Kapitan nachylił się, by go ostrzec, uniesioną ręką wskazując szlaban. Jego głowa zniknęła za szybą, kiedy rozległy się okrzyki Priabina. W lusterku Gant dostrzegł go, biegnącego w ich stronę, wymachującego nad głową legitymacją służbową, wykrzykującego swój stopień, nazwisko, a także ich dane...

Zwolnił sprzęgło i dodał gazu. Szlaban opadał. Koła zabuksowały, a wóz zaczął powoli sunąć do przodu i w bok. Ciężka barierka zabębniła o dach, a następnie spadając rozbiła tylną szybę. Energicznie obrócił kierownicą, uśmiechając się do Anny. Samochód wyszedł z poślizgu i zaczął nabierać szybkości.

– Zatrzymać ich! – wrzasnął Priabin. – Zatrzymać go! Zatrzymać! – Podektnął swoją legitymację pod nos kapitana straży.

Tamten zrobił pół kroku do tyłu i zasalutował. Dwaj strażnicy odwrócili się w świetle reflektorów. – Po oponach! – ryknął Priabin. – Po oponach! – Strażnicy otworzyli ogień. – Kobieta jest zakładnikiem! – krzyczał Priabin, lecz jego słowa zagłuszyły pierwsze strzały z karabinów. Dziwnym trafem tylko jeden ze strażników miał broń automatyczną. – Po oponach, tylko po oponach! – ryczał dalej skrzekliwym, zachrypionym, nieludzkim głosem. Wóz wpadł w poślizg, obrócił się niemal tyłem do przodu i stanął. Z obu karabinów, ogniem pojedynczym, nadal padały strzały. – Przerwać ogień...!

Szlaban po fińskiej stronie był podniesiony, jakiś samochód uruchamiał silnik. Priabin dostrzegł w świetle latarni unoszącą się chmurę spalin. Biegł u boku kapitana, który sięgał po pistolet.

Gant uciekał. Wyskoczył z samochodu, zawahał się tylko przez chwilę, po czym rzucił biegiem w kierunku tamtej barierki oraz samochodu podjeżdżającego nieco do przodu, by stworzyć mu osłonę.

– Zastrzelić go! Zastrzelić go! To amerykański pilot! Zabijcie go!

Gant był sam. Uciekał w pojedynkę.

CZEŚĆ TRZECIA

SAMOŁOT

*...ta jedna droga mego lotu prosta
Jak kręgosłup żywota.
Nie mam nic na obronę swego prawa:
Słońce zostawiam za sobą.*

Ted Hughes „Nocleg jastrzębia”

Przez okno

Odwróciła się, by popatrzeć przez tylne okno na zamieszanie, jakie wybuchło na drodze, zupełnie jak dziecko. Pociągnął ją ku sobie, jakby chciał zaprotestować przeciwko dziecinnemu zachowaniu. Tyle tylko, że nie był w stanie niczemu zapobiec. Nie żyła już. Wiedział o tym, sięgając ku niej ręką. Wiedział, zanim jeszcze ujrzał okrągłą, siną dziurkę pośrodku jej czoła, tuż pod linią włosów.

Kazał jej pochylić się, chciał zepchnąć ją niżej na siedzeniu, kiedy jej ręka zwisała nagle bezwładnie. Anna odwróciła się, by popatrzeć na Priabina stojącego na środku drogi i wymachującego rękoma. Gant usłyszał serię oddaną z jednego z automatów Kałasznikowa. Głuchy odgłos strzałów podzielał na niego silniej niż trzaski, z jakimi pociski wbijały się w bagażnik i tylne siedzenie.

Tylko na moment spojrział na jej twarz. Bardzo błada. Szeroko otwarte oczy. Nie było w nich bólu, a ledwie zauważalne zdumienie.

Zostawił jej ciało na oparciu siedzenia, gorąco żałując, że tak się stało. Nie miał wątpliwości, że nie żyła już wtedy, kiedy puścił jej rękę. Jej głowa zbyt raptownie opadła na ramię, włosy rozsypały się na policzku, a z kącika ust pociekła ślina. Wyszarpnął dłoń i przycisnął obie ręce do piersi, bojąc się dotknąć ją raz jeszcze. Jego palce dygotały, kiedy zaciskał je w pięści. Jęknął.

Wietnamska dziewczynka, płonąca...

Sięgnął do klamki drzwiczek. Zamarł na chwilę w bezruchu, po czym otworzył je gwałtownie. W tej samej chwili zaryły się w nich dwa pociski, wyrwijąc dziury w plastikowej osłonie niedaleko jego knykci. Uklęknął za drzwiami. Oba karabiny umilkły. Wyprostował się, wciągnął w płuca powietrze przesiąknięte zapachem spalin fińskiego samochodu zmierzającego w jego kierunku.

Rzucił się biegiem. Usłyszał, że Priabin coś krzyczy; głos ledwie docierał do niego poprzez chrapliwy oddech, łomotanie pulsu i skrzywienie butów na śniegu. Pochylił się nisko, by uniknąć kolejnych spodziewanych pocisków.

Fiński samochód – długa furgonetka Mercedes – zatańczył na drodze przed nim i zatrzymał się. Usłyszał szcęk otwieranych drzwi. Chciał stanąć i obejrzeć się, lecz wpadł w poślizg i runął na ośnieżoną szosę. Poczuł ból w dłoniach i pośladkach. Obok wozu, z którego wyskoczył, ujrzał na moment spopieloną wietnamską dziewczynkę. Za osłoną otwartych drzwi mercedesa klęczało dwóch mężczyzn, wyglądając ostrożnie na zewnątrz. Obaj strażnicy wstrzymali ogień i stanęli w miejscu.

Tylko jeden człowiek biegł dalej w kierunku porzuconego na środku drogi samochodu, wymachując rękoma w powietrzu, jakby zmagał się z mroźną nocą i sypiącym śniegiem. Reflektory mercedesa oświetlały tamten samochód. W powodzi światła nie było widać Anny, zniknęła także Priabin, kiedy zanurkował do wnętrza samochodu. Gant zamknął oczy. Obraz wietnamskiej dziewczynki rozplynął się, ale widział wyraźnie niebieskawą dziurę w czole Anny. Potrząsnął głową, lecz jej twarz, wyrażająca zdumienie i przerażenie, nie chciała zniknąć z jego myśli. Odetchnął głęboko i otworzył oczy. Mężczyzna wyciągał rękę w jego kierunku, chcąc pomóc mu podnieść się na nogi.

– Major Gant? – zapytał.

Błyskawicznie, jak gdyby tym gestem chciał potwierdzić swoją tożsamość, albo też ostatecznie usunąć twarz Anny sprzed oczu, Gant ściągnął perukę, odsłaniając własne, króciutko przystrzyżone włosy.

– Tak – odparł.

– Szybko – rzucił Fin, chwytając go za ramię i dźwigając w górę. Nogi gięły się pod nim, jakby były z waty. – Musimy zabrać pana stąd jak najszybciej. Nie sądzę, by były jeszcze jakieś kłopoty, ale...

– Tak – odrzekł Gant głuchym głosem, otrzepując palto i spodnie. Dwóch pozostałych Finów także się podniosło. Jeden z nich, kierowca, wsiadł do mercedesa. Silnik nadal pracował. Koniec incydentu. Dwaj rosyjscy strażnicy wrócili do budynku, oficer stał na drewnianych schodkach, spoglądając w ich stronę przez lornetkę. – Tak – powtórzył.

Poprowadzono go do tylnych drzwi furgonetki. Zatrzymał się i popatrzył w kierunku tamtego samochodu. Czuł się jak zbieg schwytany w kręgu światła reflektora straży. W jasnym blasku dostrzegł Priabina. Siedział przy samochodzie, obejmując ramionami ciało Anny. Gant widział jej rozsypane, jasne włosy na tle ciemnego palta. Twarz Priabina była biała, widmowa, przegrana.

Wskoczył szybko do furgonetki. Samochód cofnął tyłem, zawrócił i pojechał ku czerwono-białej barierce po fińskiej stronie granicy. Gant, drząc na całym ciele, odwrócił głowę – rozumiał, że naśladuje Annę z ostatnich chwil jej życia. Przyglądał się malejącej sylwetce Priabina, rozsypanym blond włosom na jego piersi, zmieniającym się w nierozpoznawalną plamę. Priabin nie poruszył się, jakby pozbawiony własnej woli. Wpatrywał się w tył odjeżdżającego mercedesa.

Zostawili za sobą posterunek fińskiej straży granicznej, światła zniknęły za zasłoną padającego śniegu. Gant wzdrygnął się. We wnętrzu furgonetki było ciepło. Zrozumiał, że już po wszystkim.

Nie miał odwagi zamknąć oczu. Kiedy trzymał je otwarte, widział wciąż tylko rozmazaną plamę jasnych włosów rozsypanych na ciemnej piersi Priabina. Gdyby je zamknął, natychmiast powróciłaby jej blada twarz z niebieskawą dziurą po kuli. Utkwił nieruchomo wzrok w plecach Fina siedzącego na miejscu obok kierowcy, niczym pijany, za wszelką cenę usiłujący opanować zawroty głowy.

Waterford popatrzył w niebo. Chmury przeredziły się, śnieg prawie przestał padać – był teraz niewinny, wręcz sielankowy, jak na świątecznych kartach. Nastąpiła chwilowa poprawa pogody. Gigantyczny krzyż ułożony z pomarańczowej taśmy znacznikowej na powierzchni jeziora wyznaczał miejsce zrzutu. Pojedyncza świeca dymna ukazywała kierunek wiatru. Pióropusz dymu wznosił się pionowo z lodu, a wyżej, gdzie dął lekki wiatr, kładł się skosem, poszerzał i rozwiewał. Nad głową nie było nieba, jedynie monotonna szara powłoka, lecz warstwa chmur znajdowała się na tyle wysoko, by Hercules dokonał pierwszego przelotu na wysokości pozwalającej na bezpieczne skoki spadochroniarzy. Dokoła jeziora panowała wyjątkowa cisza, wstający powoli, szary świt odsłaniał stopniowo przeciwległy brzeg, posępny, ośnieżony krajobraz, obrzeżony ciemną ramą drzew.

Usłyszał nagle basowy pomruk czterech silników samolotu. Dokoła niego obracały się głowy innych ludzi, kierujących wzrok na południe. Obejrzał się jeszcze, by sprawdzić świecę – gruby słup dymu wzbijał się bez przerwy aż do wysokości, gdzie wiatr rozwiewał go niczym pęk długich, żółtych włosów. Spojrzał ponownie ku chmurom i dostrzegł go – niewielki punkcik dźwigający się znad niewidocznego horyzontu, rosnący w oczach, zawisający wreszcie nad ich głowami, nie wyżej niż czterysta pięćdziesiąt metrów. Teraz widać już było sylwetkę samolotu.

Po chwili dostrzegł spadochroniarzy z Marynarki Królewskiej. Punkciki

oddzielające się z obu stron od pękatego kadłuba, jak składane przez owada jajeczka. Spadochrony otwierały się, czarne jajeczka opadały coraz wolniej, kołysane wiatrem. Waterford liczył skoczków, gorąco pragnąc w duchu, by było ich jak najwięcej. Dwudziesty, dwudziesty pierwszy, drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty...

Przypomniał sobie nagle, że nie wszyscy byli żołnierzami. Znajdowali się wśród nich inżynierowie i technicy z Eskadry Wsparcia Taktycznego RCAF z Bardufoss. Tylko od ich liczebności oraz od liczby palet z niezbędnym sprzętem zależało dla ilu komandosów znajdzie się miejsce na pokładzie. Hercules mógł, co prawda, wrócić na pełnej szybkości do Bardufoss, by zabrać na pokład drugi oddział komandosów, Waterford wątpił jednak, by zdążyli skoczyć przed pogorszeniem się warunków. Okienko w nawałnicy miało trwać krócej, niż Hercules zdążyłby dolecieć tu z powrotem.

Trzydziesty drugi, trzeci... Pierwsi skoczkowie dryfowali już na tle szarego horyzontu, jak zakwitłe poza sezonem kwiaty mniszka. Hercules zniknął poza granicą widoczności, ponad przeciwległym krańcem jeziora. Basowe buczenie czterech silników zmieniło się w cichy pomruk, przypominający odległy głos piły. Pierwszy z komandosów wylądował na ugiętych nogach i pobiegł za skłębioną, opadającą czaszą spadochronu, zwijając ją szybko w bezkształtny tobolek. Drugi upadł, przetoczył się i skoczył na nogi, ściągając spadochron do siebie. Trzeci, czwarty, piąty...

Jakieś dwa tuziny komandosów – pomyślał Waterford z umiarkowanym zadowoleniem. Niezbyt wielu. Rosjanie musieli dostrzec na radarach przelot Herculesa, jego kurs był zbyt wyrazisty, zbyt oczywisty, by można go przeoczyć. Musieli domyślić się, że w fińskiej Laponii dokonano zrzutu ludzi i sprzętu – znali także miejsce zrzutu. Na szczęście nadciągająca ponownie śnieżycza uniemożliwiała im podjęcie jakichkolwiek działań, choć z drugiej strony uniemożliwiała także zrzucenie drugiego oddziału komandosów.

Wszyscy spadochroniarze byli już na ziemi i pospiesznie uciekali z powierzchni lodu. Eksperci lotnictwa przebiegali skuleni, trochę jak kryjące się dzieci, komandosi byli znacznie szybsi, z daleka tworzyli wyróżniającą się grupę. Wszyscy byli w arktycznym przebraniu, mieli na sobie długie, szarawobiałe futrzane kurtki. Przypominali uczestników ekspedycji naukowej.

Waterford odpowiedział na salut kapitana, dowodzącego oddziałem komandosów, po czym odwrócił się w stronę jeziora. Ostatni skoczkowie, ściskając pod pachami pospiesznie zwinięte spadochrony, biegiem zmierzali ku brzegowi. Pomiedzy komandosami, technikami i ekspertami rozbrzmiewały podniecone,

stłumione pomruki, kiedy wspinając się na brzeg zauważali Firefoxa, stojącego teraz na skraju przecinki, pod ocalałym fragmentem siatki maskującej. Hałas powracającego Herculesa przybliżał się znad północnego horyzontu.

Samolot pojawił się nagle – skrócony perspektywą, mroczny, na wpół rzeczywisty kształt nad przeciwnym brzegiem jeziora. Pióropusz dymu ze świecy pochylał się coraz mocniej, niczym wątpa łodyga obsypanej ciężkimi kwiatami rośliny. Wiatr przybierał na sile. Nie mogło być mowy o drugim zrzucie. Chmury także zdawały się wisieć niżej, cięższe, a śnieg sypnął mocniej w policzek Waterforda, jak gdyby zamieć podkładała się do nich z boku, by wybuchnąć niespodziewanie z pełną siłą. Pokręcił głową. Hercules leciał nisko, powoli, tuż nad powierzchnią jeziora. Z opuszczonej pochylni towarowej w tyle kadłuba wysunęły się palety. Waterford dostrzegł, że Moresby stanął obok niego, jakby nie interesowali go żywi ludzie zrzućeni na spadochronach, a jedynie dostawa tego martwego sprzętu, który teraz należało rozładować.

Ciągnik gąsienicowy miał jaskrawożółtą barwę. Paleta z nim huknęła ciężko o lód w oddali, prześliznęła się i zatrzymała. Pojawiła się druga z okrytą brezentem zawartością, potem trzecia. Czwarta paleta dźwigała olbrzymie role momatu, kolejna także niosła zwoje przenośnej plastikowej ścieżki. Hercules znajdował się już prawie nad głowami. Smuga dymu ze świecy rozmyła się w poziomie, zaledwie kilka metrów nad ziemią. Drzewa na przeciwnym brzegu skryły się w chmurze przypominającej marznącą mgłę. Na końcu z luku towarowego samolotu wyleciały jeden po drugim jakieś gigantyczne pojemniki, przypominające ogromne koła z grubymi oponami. Waterford miał wrażenie, że dostrzega niewyraźne sylwetki ludzi spychających ładunek, a nawet samego oficera zaopatrzeniowego, stojącego u wylotu słabo oświetlonego tunelu, będącego wnętrzem Herculesa. Samolot zniknął szybko, przeskoczył nad drzewami okalającymi jezioro, kierując się na południe. Dostrzegł jeszcze jego rozmazany, ciemny zarys, kiedy wznosił się ku wiszącym znacznie niżej i ciemniejszym niż poprzednio chmurom. Po chwili zniknął całkowicie, a Waterford przez moment poczuł się osamotniony.

Czarne pojemniki z paliwem podskakiwały niezdarnie i toczyły się, jak magiczne kule oblepione śniegiem. Powoli na tafli lodu zapanował bezruch. Wielkie, przenośne zbiorniki paliwa wylądowały bezpiecznie; kontenery z grubej gumy zawierały najróżniejsze oleje i smary, potrzebne do tego, by Firefox w ogóle miał szansę wznieść się w powietrze.

Znajdująca się najdalej paleta, dźwigająca jaskrawożółty ciągnik gąsienicowy, była już niemal całkowicie obsypana śniegiem. Przejaśnienie...? Nie więcej, jak maleńkie oczko pośród szalejącej śnieżycy. Przynajmniej Rosjanie nie będą w stanie nic zrobić – pomyślał Waterford. Nie ruszą się z miejsca.

Oni także...

Patrzył, jak wyznaczeni przez Moresby'ego ludzie wychodzą na lód, żeby zająć się paletami i pojemnikami z paliwem. Najdalej za pół godziny wszystko powinno znaleźć się pod osłoną, zamaskowane. Na wszelki wypadek...

– Proszę lepiej pójść ze mną – odezwał się Waterford. Głos ugrzązł mu w gardle, odchrząknął głośno. – Chodźmy, kapitanie. Mamy swoją robotę. Pańscy ludzie nie przybyli tu po to, żeby trzymać klucze do nakrętek tym chłopaczkom.

– Nie, sir. Ale...

Waterford odwrócił się. Kapitan gapił się na Firefoxa – olbrzyma wyrzuczonego między drzewa, okrytego siatką maskującą, wywleczonego ze swego żywiołu.

– Co?

– Piekielny samolot, sir.

– Owszem, tylko mamy jeden problem. Nie lata!

Rosyjski major naciągnął głębiej kaptur bluzy maskującej, jakby chciał do reszty ukryć futrzaną czapkę z widniejącą pośrodku czerwoną gwiazdą. Ów nerwowy gest wywołał jego uśmiech, przy tej pogodzie nie groziło im przecież wykrzycie przez ludzi znajdujących się na przeciwległym brzegu jeziora.

Kiedy wraz z całą grupą rekonesansową Straży Granicznej spożywali śniadanie, usłyszeli odległy hałas silników Herculesa. Był prawie pewien, że musi to być jeden z gigantycznych turbośmigłowych transportowców, używanych przez Norwegów i pozostałe wojska NATO. Pomimo złej pogody jego oddział posuwał się szybciej, niż zakładano. Kiedy nadeszło przejaśnienie, odpoczywali, mając zamiar posilić się nieco i ruszyć w dalszą drogę przed kolejną nawałnicą. Zasedli pod osłoną drzew, mogąc na jakiś czas zapomnieć o śnieżycy i niewygodach marszu. Ale dobiegający ze wschodu, odległy i stłumiony odgłos samolotu zaalarmował ich, przejął lękiem, pospiesznie zwinęli więc obóz i z maksymalną szybkością ruszyli dalej. Jakimś sposobem, zarówno on, jak i jego ludzie wiedzieli, że celem samolotu transportowego, mimo iż nie lądował, były owe dwa jeziora.

Wokół mniejszego z nich, leżącego bardziej na zachód, nie dostrzegli żadnej aktywności, nie było tu ani ludzi, ani sprzętu. Samolot wykonał dwa przeloty, pierwszy – na ile zdołali się zorientować – na dość wysokim pułapie, drugi znacznie niżej. Major był pełen podejrzeń, miał niemal wystarczającą pewność, by zameldować Moskwie. Wstrzymał się jednak. Miał złożyć raport bezpośrednio samemu Andropowowi, swemu najwyższemu przełożonemu, przewodniczącemu KGB. Chciał mieć niezbitę dowody zanim złoży meldunek. Tak, powinien wezwać samolot rozpoznawczy, potem samemu zbadać teren. Z drugiej strony gwałtowne załamanie pogody uniemożliwiało rozpoznanie lotnicze, mające na celu odkrycie przyczyn aktywności samolotu transportowego. Ale jego rajd z pewnością musiał zostać zarejestrowany i rozpoznany przez krążący nad granicą samolot Tupolew AWACS. A może gwałtowny nawrót śnieżycy uniemożliwił także obserwacje radarowe?

Jego dwunastoosobowy oddział posuwał się za nim na długich krosowych nartach w poprzek mniejszego jeziora. Na otwartej przestrzeni znów otoczyło ich wycie i zawrodożenie wiatru, który unosił padający śnieg niemal poziomo nad powierzchnią lodu. Ciężkie, czarne chmury zdawały się wisieć nisko nad ich głowami jak wielkie, skłębione poduchy. Co tam się działo nad drugim jeziorem? Jaki ładunek dostarczył samolot transportowy? Ludzi, zapasy, sprzęt? Po co? Pytania przewalały się lawiną w jego głowie, towarzyszyła im chłodna niczym wiatr ekscytacja. Wyczuwał, że odpowiedzi są już bardzo blisko, tylko ręką sięgnąć.

Pokonali lodową taflę i między pierwszymi drzewami zatrzymali się na krótki odpoczynek. Mieli przed sobą jakieś pół kilometra lasu rozdzielającego oba jeziora – delikatnie sfałdowanego terenu, gęsto porośniętego jodłami i świerkami, dźwigającymi balast śniegu. W oddali nawoływały się ptaki. Z głuchym hukiem osunęła się z gałęzi na ziemię masa śniegu.

Ustawił oddział półkolem, zajmując miejsce na czele i ruszyli dalej, podważając czujność. Słyszał jedynie szum nart, swoich oraz dwóch sierżantów biegnących za nim, po bokach. Karabin Kałasznikowa osłonięty białym pokrowcem objął mu się o piersi.

Przekroczyli koryto strumienia. Drzewa przeredziły się, coraz częściej trafiali na ośnieżone polanki. Wstawał szary, posępny dzień. Pochylił się do przodu i zaczął zjeżdżać w kierunku brzegu drugiego, większego jeziora. Narastało w nim napięcie i podniecenie, jakby czekała go uroczystość wręczenia awansu. Minął gruby pień jodły, pochwyił między drzewami widok rozległej ośnieżonej powierzchni zamrożonego jeziora i zatrzymał się raptownie. Usłyszał

szelest kolejnych hamujących nart. Ruchem ręki nakazał ludziom ukryć się. Pospiesznie ściągali pokrowce i szykowali broń, białe, skrzyżowane kijki, mające służyć jako podpórki karabinów, przypominały szkielety wigwamów. Pod osłoną drzew mieli znakomite warunki do urządzenia zasadzki.

Major uniósł do oczu lornetkę, nastawił ostrość i zapatrzył się w zasłony śniegu niesionego wiatrem ponad jeziorem. Rozczarował się, nie mogąc dostrzec przeciwnego brzegu. Miał wrażenie, że spogląda na wschód białego, niezemskiego słońca. Oparł się o pień drzewa, po drugiej jego stronie mając sierżanta, i czekał. Wiedział, że spomiędzy białego kłębowiska wyłonią się odpowiedzi na jego pytania, musiał tylko zaczekać na chwilową zmianę kierunku lub osłabnięcie wiatru i przerzedzenie zasłony śnieżycy. Był gotów czekać nieruchomo, mimo niepokoju i napięcia wszystkich mięśni, zmieniającego go w niecierpliwą kłębek nerwów.

Odczekał dziesięć, może dwanaście minut. Początkowo wyłowił stłumione odgłosy. Hałas kompresorów, piły – nie, dwóch pił, trzask, a następnie łoskot padającego drzewa. Zgrzyty i skrzypienie jakichś maszyn, zawroźnienie świdrów albo innych urządzeń dużej mocy. Przypominał sobie komórkę dziadka na tyłach chałupy, gdzie staruszek z entuzjazmem klecił maszyny, które nigdy nie działały, gromadził nie dające się naprawić, połamane i zniszczone sprzęty domowe. Owa lawina dźwięków pocieszała, a zarazem podniecała go, nie dawała jednak żadnych odpowiedzi na cisnące się pytania. Wiatr niósł także niekształcone, przytłumione głosy ludzi.

Nagle zobaczył. Zasłona śniegu niespodziewanie rozstała się, błyskawicznie uniósł lornetkę i poprawił ostrość. Wytężył wzrok, chrząknął cicho i wreszcie ujrzał...

To musiał być Mig-31. Mieli przed sobą właśnie to, czego szukali. Wstrzymał oddech. Czarna sylwetka na tyłach czegoś, co przypominało prowizoryczny amfiteatr. Ludzie wychyleni do połowy z kabiny, zgromadzeni wokół sekcji ogonowej, kręcący się wzdłuż całego kadłuba. Po ziemi wiły się grube węże, dostarczające prawdopodobnie ciepłe powietrze. Szeroki pas przenośnej ścieżki z jakiegoś tworzywa zbiegał aż do wody... tak, wody, gdzie został pokruszony lód...!

– Mój Boże – szepnął. – Mój Boże, on był pod wodą! Widzicie, sierżancie? On był w jeziorze!

– Tak, widzę. Co oni robią z samolotem, towarzyszu majorze?

– Nie wiem. Chyba go rozbierają. Tak, muszą go rozmontowywać. Wyciągają wszystkie tajne systemy, które ich interesują...

Czarna sylwetka, ludzie, hałasy, widoczna teraz maszyna... Przesunął lornetką wzdłuż brzegu. Wycinane drzewa, kolejne bele przenośnej ścieżki, żółte... – cóż to takiego? – żółty... mały traktor... Gdzie on już widział podobne? Holownik lotniczy...? Tak, widywał takie na lotniskach. Coś czarnego – okrągłe jak piłka – ukryte wśród drzew, prawdopodobnie zamaskowane z góry; dalej następne, takie same kształty. Nagle zasłona śniegu znów ograniczyła widoczność. Zdążył jeszcze zauważyć uzbrojonych ludzi, otaczających całe to miejsce. Żołnierze, uzbrojone oddziały...

Widok zniknął. Tylko stłumione hałasy wskazywały, że nie są sami nad brzegiem zamrożonego jeziora.

Jest ich zbyt wielu – pomyślał. Czy powinien przekazać w meldunku do Moskwy także swoje obawy?

– Towarzyszu? – odezwał się sierżant, jakby intuicyjnie wyczuwając jego nastrój.

Major skinął głową. – Tak – rzekł. – Połączcie mnie przez radio z Mielnikiem. Szybko. – Sierżant odwrócił się i odszedł, lecz major dodał jeszcze cicho, jak gdyby odpowiadając na nie zadane pytanie sierżanta: – Tak, oni mają zamiar spróbować odlecieć stąd samolotem!

Władimirow stał przed wielką świetłą mapą w galerii centrum dowodzenia. Drżał cały z podniecenia. Przypominał wyglądem i postawą jednego z psów myśliwskich swego ojca; wysokie stanowisko i dochody pozwalały mu na luksus całkowitego odżegnania się od historii rodziny. Zapachy polowania, hałaśliwe podniecenie psów, odgłosy strzałów oraz widok spadającego ptaka kojarzyły mu się z koniecznością pogoni i schwywania zdobyczy.

Andropow stał obok niego, ociężałymi, rytmicznymi ruchami przecierając szkła okularów, jak gdyby smakował informację naniesioną już na mapę, przekazaną przez oddział rekonesansowy. Zniknęły wszystkie punkciki świetlne i znaczniki, rozplynęły się także zarysy fińskiej Laponii. Teraz powiększony obraz najbliższej okolicy dwóch jezior wypełniał cały ekran. Zaznaczono oczyszczony z drzew obszar, który widział major, a także pozycję zajęłą przez oddział zwiadowców.

Andropow nie złożył Władimirowowi gratulacji, lecz w jego wodnistych oczach pojawiło się wyraźne zaskoczenie i wręcz nabożna cześć, zanim zostawili nie dopitą kawę i pospieszyli na galerię do mapy.

Jak gdyby nie mogąc znieść bliskości świecącego ekranu, przewodniczący KGB odsunął się nieco od Władimirowa. Kiedy generał obejrzał się ukradkiem, dostrzegł, że Andropow założył z powrotem okulary i wpatruje się po prostu

w widniejące w dole za szybą główne pomieszczenie centrum dowodzenia. Utkwił wzrok w olbrzymim stole mapowym, wokół którego skupili się operatorzy; ukazywał on ten sam powiększony wycinek mapy, obejmujący dwa jeziora, z zaznaczonymi pozycjami majora, oddziału Straży Granicznej, oraz lokalizacją Miga-31.

W końcu, jakby wyczuwając, że jest obserwowany, Andropow spojrzął na Władimirowa i powiedział: – Czy zgadzacie się z przypuszczeniami majora, generale Władimirow? – Owo subtelne, złożone pytanie zadane zostało bezpośrednim, obojętnym tonem. Miało przypomnieć Władimirowowi o jego odpowiedzialności, ukazując jednocześnie szczere niezdecydowanie, graniczące prawie z niedowierzaniem.

– Tak – odparł Władimirow. – Skłonny jestem przyznać mu rację. Szczegółowy opis wyposażenia, jakie widział, mimo moich wcześniejszych zastrzeżeń, wskazuje na prawidłową interpretację. Przenośne zbiorniki z paliwem, gdyż wymienione przez niego wielkie czarne kule nie mogą być niczym innym. Sprężarki i węże.

– Czy oni są w stanie tego dokonać? Czy coś takiego jest w ogóle możliwe?

Władimirow pokręcił głową. – Gotów jestem stwierdzić, że ich wysiłki powinny spełzną na niczym...

– Ale nie jesteście pewni takiego obrotu sprawy?

– A czy są jakieś przesłanki, żeby mieć pewność? – zripostował Władimirow.

Andropow, uświadamiając sobie nagle obecność innych ludzi w pomieszczeniu, z czego większość stanowił personel wojskowy, prześliznął się obok Władimirowa. Poprawił okulary na nosie i zapatrzył na mapę, jakby chciał stworzyć fikcję własnych kompetencji. W końcu odwrócił się do Władimirowa i powiedział cicho: – Czy wiecie, co to oznacza? Czy rozumiecie wszystko?

– Owszem, rozumiem.

– Świetnie. Co zatem zrobimy? – Choć nie został położony nacisk na użytą liczbę mnogą, oznaczała ona podjęcie zobowiązań ze strony Andropowa. W obliczu konieczności – stwierdził w duchu Władimirow. Tamten nie miał pojęcia, jak poradzić sobie z sytuacją. Nie szukał już kozła ofiarnego; potrzebował teraz doświadczonego, wykwalifikowanego pomocnika. Władimirow poczuł, że zaczyna spalać się wewnątrz od nadmiaru woli działania – czegoś, co u młodszego oficera nazwałby gorliwością krzyżowca. Było to uczucie zarazem radujące jak i ośmieszające.

– Na razie nie możemy nic zrobić – odparł spokojnie, spoglądając na kartki zawierające szczegółową prognozę meteorologiczną, którą kazał sporządzić zaraz po otrzymaniu raportu majora. Na twarzy Andropowa odmalowała się złość i rozczarowanie. – Możemy co najwyżej przygotować akcję, ale nie możemy jej przeprowadzić. Chyba że rozkazecie zbombardować cały ten obszar z wysokiego pułapu – dodał, uśmiechając się. Andropow spojrzął z ukosa.

Władimirow uważnie popatrzył na mapę. Powinni już teraz, nawet przy tak kiepskiej pogodzie, kontynuować przygotowania oddziałów do przerzucenia ich na teren Laponii. W godzinę po tym, jak po raz pierwszy dotarło do niego, że Gant musiał wylądować na zamrzniętym jeziorze, jeszcze zanim grupie rekoniesansowej udało się zlokalizować Miga-31, rozkazał Dowództwu Leningradzkiego Okręgu Wojskowego postawić w stan alarmu oddział inżynieryjny oraz jednostkę desantową tamtejszej najlepszej dywizji lotnictwa. Niektóre oddziały znajdowały się już w wyznaczonym miejscu ześrodkowania, na lotnisku wojskowym w pobliżu miasta Nikiel, u zbiegu granic radzieckiej, fińskiej i norweskiej. Jednostka w Niklu dysponowała odpowiednimi środkami, by dokonać śmigłowcami szybkiego przerzutu przez granicę takich sił wojska, które gwarantowałyby sukces akcji. Lecz zmobilizowany i znajdujący się już na miejscu oddział komandosów liczył zaledwie siedemdziesięciu ludzi. Pierwotnie miał on stanowić jedynie osłonę grupy technicznej, której wyznaczono zadanie wydobywania, za pomocą gigantycznego latającego dźwigu Mi, Miga-31 z toni jeziora. W obecnej sytuacji operacja ta wymagała wcześniejszego ataku zbrojnego, odbicia samolotu siłą.

Dziwnie szybko otrząsnął się z szoku, jakim była dla niego świadomość, że został pokonany w wyścigu ustalania lokalizacji samolotu, w wyścigu do zdobycia Firefoxa – może dlatego, że w zasadzie musiał dokonać tylko niewielkiej korekty swego pierwotnego planu. Kurczowo zacisnął pięści, kiedy dotarła do niego rewelacyjna wiadomość, wbił głęboko paznokcie w dłonie, aż ból stał się nie do zniesienia. W następnej chwili zrozumiał, że nad jezioro znów dotarła śnieżycyca. Tamci byli odizolowani. Nie można było do nich dotrzeć. Zostali uwięzieni, unieruchomieni. Jeśli mieli zamiar odlecieć stamtąd samolotem, musieli czekać na kolejne rozpozgodzenie. Sytuacja była patowa...

Miała też swoje dobre strony. Brytyjczycy, Norwegowie i Amerykanie odwalili za nich kawał roboty.

Andropow podszedł w stronę wyjścia z pomieszczenia. Rozmawiał z wysokim ciemnowłosym młodym mężczyzną o swobodnym, pewnym siebie stylu

bycia, teraz nieco przygaszonym i złęknionym. Władimirow odwrócił się do mapy i pogrążył w swoich rozważaniach.

Przelot samolotem do Norwegii, chociażby do Bardufoss, był sprawą ledwie kilku minut. Wystarczyło, by Firefox był choć w połowie sprawny, żeby wykonać taki skok. Czy to realne? Ktoś – może nawet sam Aubrey – doszedł do wniosku, że tak.

Ale potrzebne im było choćby krótkie rozpozgodzenie. Nie ryzykowaliby przecież startu nie w pełni sprawnego samolotu przy takiej pogodzie, jaka panowała obecnie. Doprowadziliby jedynie do śmierci pilota, stracili Miga.

Zatem...

Szykowali się na okienko w śnieżycy, jakie zapowiadano na późne popołudnie. Spojrzał na zegarek. Mniej więcej o siódmej lub ósmej wieczorem.

Gdyby miejsce to zostało otoczone przez radzieckie oddziały, sekrety Miga byłyby uratowane. Jeśli wykonali już fotografie, rozmontowali, zbadali, odkryli, wówczas...

Nie wolno pozwolić nikomu odejść z taką wiedzą, z wykradzionymi tajemnicami. Trzeba otoczyć cały teren wojskiem, pod byle jakim pretekstem.

Musieli to zrobić. Wyda rozkaz startu śmigłowcom, kiedy tylko poprawi się pogoda. Zgodnie z prognozą tamci będą mieli przewagę – trzydzieści minut, gdyż okienko miało nadejść z zachodu.

Jego podniecenie sięgało szczytu. Wyczuwał niebezpieczeństwo, ryzyko, i cieszył się z tego. Miał wojowniczy, agresywny, stanowczy charakter, a zdobycz stawała się namacalna. Jego oddziały muszą otoczyć przecinkę nad brzegiem jeziora, uchronić samolot przed zniszczeniem, zapobiec jego startowi, gdyby do tego miało dojść.

Zabić...

Andropow stanął u jego boku ze ściągniętą twarzą. Władimirow pozwolił, by na jego wargach pojawił się triumfalny uśmiezek, po czym zapytał szorstko: – Co się stało?

– Ja... dostałem meldunek, że Amerykaninowi pozwolono zbiec. Przedostał się do Finlandii już kilka godzin temu! – Andropow pocił się. Jego czoło błyszczało w świetle lamp. Czekająca go nagana, KGB zawałiło robotę.

Władimirow poczuł nagle zimne klucie w piersi. Dopiero teraz dotarło do niego pełne znaczenie tej wiadomości.

Gant.

Domyślił się, że to właśnie Gant miał pilotować Firefoxa, jak to już czynił poprzednio. Nie mógł tylko pojąć, nawet sobie nie wyobrażał, w jaki sposób

mieli zamiar przetransportować go nad jezioro. Wiedział jednak, że takie były założenia ich planu.

W każdym razie kiedy pierwsze radzieckie myśliwce zaczęły obserwować przecinkę, kiedy pierwsi komandosi wyskoczą z transportowych helikopterów, Gant powinien już tam być. W piersi, w żołądku poczuł narastające poczucie triumfu. Władimirow wiedział już, że Gant zginie.

O pierwszym brzasku dnia śnieg zaczął zmieniać się w deszcz, wycieraczki spychały ku brzegom przedniej szyby półpłynną masę. Gant czuł się w mercedesie jak wewnątrz kokonu, samochód był ciepły, oddzielał go od świata i poruszał się. Oficerowie fińskiego wywiadu, mimo iż wyczuwał ich zaciekawienie, zachowywali pełne respektu milczenie. Napoili go wódką i kawą, kupili śniadanie w restauracji przy stacji benzynowej – kawa, jajka, śledź, ser, bułki i dżem. Początkowo wstrzymywał się przed zjedzeniem ostro przyprawionej ryby tak wcześnie rano, ale głód dał o sobie znać. Anna musiała ustąpić, nie pojawiła się już w jego myślach, ukojonych ciepłem i cichą krzątaniną w restauracji.

Lotnisko wojskowe znajdowało się na północny wschód od Helsinek. Mercedes skręcił, przy bramie sprawdzono dokumenty, a następnie wjechali bezpośrednio na pas startowy. Przez przednią szybę, poprzez śnieg z deszczem, na tle szarych chmur wiszących nisko nad pasami startowymi i hangarami, Gant dostrzegł Harriera w barwach maskujących RAF, wyglądającego niczym wizytator na tle samolotów z fińskimi oznaczeniami. Widok samolotu zaskoczył go, a jednocześnie był ciekaw, jaki następny etap podróży przewidziano dla niego w nadchodzących godzinach. Nie chciał mu się rozstawać z mercedesem oraz z działającym na niego uspokajająco towarzystwem milczących, pełnych respektu Finów.

Obok Harriera stała ciemnoszara przyczepa, którą przyholował tu land rover. Dziwne zestawienie pojazdów i samolotu wprawiło go w zdumienie. To musiało być coś chwilowego, tymczasowego.

– Majorze Gant? – odezwał się z dociekliwą uprzejmością Fin siedzący obok niego na tylnym siedzeniu, jakby chciał raz jeszcze upewnić się co do jego tożsamości. – Czy byłby pan łaskaw wysiąść teraz z samochodu i przejść do przyczepy? – Mercedes zatrzymał się zaledwie kilka metrów od ciemnoszarej, mokrej przyczepy z zasłoniętymi okienkami. – Bardzo proszę, majorze Gant...

Sięgnął do klamki drzwi. Wszyscy trzej wpatrywali się w niego z niemym

zainteresowaniem, powoli nabierając dystansu. – Dziękuję – powiedział.

– Cała przyjemność po naszej stronie – rzekł jeden z nich, uśmiechając się szczerze. – Powodzenia, majorze.

– Dzięki.

Wysiadł z samochodu i natychmiast skulił ramiona, osłaniając twarz przed mroźnymi ukłuciami i niesionym wiatrem śniegiem z deszczem. Pokonał kilka metrów mokrego betonu i podszedł do przyczepy. Drzwi otworzyły się, jakby na wysłany przez niego zdalny impuls. Wbiegł po dwóch schodkach, wytarł buty w szorstką słomiankę, a kiedy drzwiczki zamknęły się za nim uniósł wzrok.

Nie znał żadnego ze znajdujących się wewnątrz mężczyzn. Oliwkowozielony kombinezon lotniczy jednego z nich ostro pachniał wilgocią. Ten obrzucił Ganta znacznie szybszym i mniej uważnym spojrzeniem niż drugi mężczyzna, mający na sobie futrzaną czapkę i skórzany płaszcz. Na niewielkim drewnianym stoliku leżał hełmofon pilota oraz stały dwie filiżanki.

– Kawy? – zapytał człowiek w płaszczu, wyciągając do niego rękę. – Proszę mi wybaczyć. Nazywam się Vitsula i jestem... przyjacielem Kennetha Aubreya. A to jest porucznik lotnictwa Thorne z brytyjskiego RAF. – Pilot skinął głową. – To jego pojazd stoi zaparkowany obok nas. – Vitsula uśmiechnął się. – Kawy? – powtórzył.

– Och tak, z przyjemnością.

Gant, zakłopotany, wciąż stał przy drzwiach. Coś nakazywało mu ostrożność. Vitsula poruszał się i przemawiał ze swobodną wyższością. Przez „przyjaciela” rozumiał współnika. Stąd ta przyczepa. Mimo iż Finlandia była neutralna, Vitsula pomagał Aubreyowi. Nie, dla niego nie było tu nic do roboty. Nie interesowało go nic poza sekretnym opuszczeniem Finlandii na drugim fotelu treningowego Harriera. Podszedł do stolika i usiadł. Vitsula, nalewając mu kawy z dzbanka, z aprobatą skinął głową.

Kiedy tylko usiadł, Fin odezwał się ponownie: – Oczywiście, rozumie pan, majorze, dlaczego musieliśmy podjąć takie środki ostrożności? Przepraszam za zimną kawę, zepsuł się podgrzewacz. – Vitsula łyknął napoju z filiżanki. – Jest pan bardzo pilnie potrzebny... papierosa? Nie?... potrzebny w Oslo, w południowonorweskim dowództwie NATO. Pańscy przełożeni chcą z panem natychmiast rozmawiać. Potrafię to zrozumieć. – Uśmiechnął się, wydmuchując niebieski, ostry dym, który natychmiast wypełnił bez reszty ciasne wnętrze przyczepy. – Byłem w stałym kontakcie z Kennethem Aubreyem, w chwili

obecnej znajduje się on w Kirkenes. Usiłowali, z mizernym skutkiem, jak się domyślam, uratować samolot.

– Jak? – zapytał zdumiony Gant.

– Wydobywając Firefoxa z jeziora, gdzie go pan zostawił, majorze.

– Nie udało im się?

– Owszem, udało. Ale nie mogą zabrać go stamtąd. Ich śmigłowiec transportowy nie doleciał na miejsce. Pogoda gwałtownie załamała się.

– Cholera – syknął Gant. Jego zaskoczenie w jednej chwili zmieniło się w rozczarowanie, jakby wypadki kilku ostatnich dni nagle całkowicie straciły na znaczeniu. – Mówi pan, że go wydobyli?

– Przynajmniej tak mi się zdaje. – Wzruszył ramionami, wydmuchując skłębioną chmurę dymu w stronę wiszącego nisko sufitu. – Czy Rosjanie znają lokalizację samolotu?

Gant spojrzął na pilota. Tamten kiwnął głową.

– Na pewno nie ode mnie – odparł powoli Gant.

– To będzie dobra nowina dla mojego ministra – westchnął Vitsula. – Bardzo dobra. Znakomita, jeśli mam być szczerzy. Tak, znakomita. Oczywiście, poinformujemy ich w odpowiednim czasie, będziemy musieli... – Uniesioną w górę dłonią powstrzymał Ganta, który nagle pociemniał na twarzy i wydał wargi. – Kenneth Aubrey oraz ten Mr Buckholz wiedzą o wszystkim. To nie jest moja decyzja. Domyślam się, że samolot, do czasu, kiedy będziemy musieli go zwrócić, zostanie pozbawiony niektórych urządzeń. Niezupełnie zmarnował pan swój czas, majorze. – Vitsula podniósł się. – Proszę mi wybaczyć, wzywają mnie obowiązki. Kiedy pan skończy kawę, możecie startować o dowolnej porze. I proszę się nie martwić, majorze, o losy maszyny. Ważne, że jest pan żywy i bezpieczny. To chyba wszystko. Dzień dobry, panu. Dzień dobry, poruczniku.

Vitsula poprawił futrzaną czapkę na głowie, otworzył drzwi i wyszedł. Gant popatrzył za nim, a następnie odwrócił głowę w kierunku Thorne'a.

– Co się, do diabła, dzieje? – syknął wściekle przez zaciśnięte zęby. – Czy wyciągnęli ten cholerny samolot z jeziora?

– Tak słyszałem.

– A kimże jest Vitsula?

– Szefem fińskiego wywiadu. Sama góra.

– Skąd Harrier? – warknął Gant. – Wiem, co on potrafi. Latałem naszymi AV-8A. Więc dlaczego Harrier? – Rozejrzył się szybko dookoła, po czym dodał: – Czy to miejsce jest bezpieczne?

– Tak sądzę. Vitsula twierdził, że tak. Zresztą nie wydaje mi się, by chciał podsłuchiwać.

– Co?

– To, co zamierzamy. – Thorne uśmiechnął się. Jego młodzieńczy uśmiech dobitnie świadczył o tym, że z upodobaniem stawiał dopiero pierwsze, ostrożne kroki na grząskim gruncie prac wywiadu. Wyraz jego twarzy przekonywał, iż czerpał z tego ogromną radość.

– A jakie są te zamierzenia?

– Lecimy do Oslo...

– A potem, kiedy wylądujemy?

– W każdym razie, czy nie zechciałby się pan przebrać? Przyniosłem dodatkowy kombinezon. Pański hełmofon został w kabinie... – Thorne schylił się, podniósł z podłogi poskładany, zapakowany kombinezon i położył go na stoliku. – Proszę to założyć, wtedy będziemy mogli porozmawiać spokojnie w samolocie. – Zostało to powiedziane lekko, z typowo angielską pewnością siebie, jakby częściowo w żartach, przy zabawie w ciuciubabkę. Ów ton doprowadził Ganta do bezrozumnej wściekłości. Wróciła Anna. Niebieski otwór, zdumienie. Żadnej złości. A przecież powinna być wściekła...

Pochylił się nad drewnianym stolikiem i chwycił Thorne'a za rękę, zaciskając mocno palce. Pociągnęła, opalona, przyjemna twarz Thorne'a poblądła i wykrzywiła się z niechęcią.

– Zanim w ogóle stąd odlecimy, poruczniku, proszę mi powiedzieć, co ma się potem wydarzyć! Gównu mnie obchodzi, czy Kreml założył podsłuch w tej przyczepie. Proszę mi odpowiedzieć! – Ścisnął mocniej rękę Thorne'a. Pilot skrzywił się, spróbował wyrwać ramię, lecz tylko jęknął.

– Już dobrze, dobrze, ty cholerny, zwariowany jankesie! Niech cię cholera, puść mnie!

Gant rozluźnił palce. Thorne błyskawicznie przycisnął rękę do ciała i zaczął ją rozcierać przez materiał kombinezonu. Nie miał odwagi spojrzeć na Ganta. Kiedy wreszcie skończył masaż, uniósł wzrok.

– Nie lecimy do Oslo. Mamy zejść w dół, poniżej zasięgu radarów, jakby szykując się do lądowania, a następnie skierować Harriera na północ. – Zmieszanie, które pojawiło się na twarzy Amerykanina, w znacznym stopniu złagodziło jego groźną minę. Thorne jakby przypomniał sobie przestrogi, które przełożeni kładli mu do głowy. – Nie powinienem mówić tego wszystkiego, zanim nie znajdziemy się w powietrzu... – zaprotestował.

– A niby dlaczego? – warknął Gant. – Tam również mógłbym pociągnąć za linkę i uruchomić katapultę! Proszę mówić teraz.

Thorne zawahał się. Gant ponownie zgiął się nad stolikiem. Tamten przycisnął

obie ręce do brzucha. Gant chwycił zapakowany kombinezon i cisnął nim o podłogę.

– Dobra. Ale to pańska zasługa, jeśli cokolwiek będzie nie w porządku...!

– Nie wydaje ci się, że Vitsula i tak wie o wszystkim? Człowieku, oni wszyscy dokładnie wiedzą, co się dzieje. To jedna, wielka gra. Najbardziej niebezpieczna z gier, bo giną ludzie. Jeśli Vitsula nie domyślił się, z jakiego powodu przysłano taki samolot, to długo nie zagrzeje miejsca na swoim stanowisku. Nawet ja domyśliłem się... tyle że chciałem znać prawdę. A więc proszę mi wszystko powiedzieć.

Gant stanął przy jednym z niewielkich, zasłoniętych okienek. Gdy wyjrzał na zewnątrz, dostrzegł, że Vitsula zajmuje miejsce na tylnym siedzeniu mercedesa. Turbośmigłowy transportowiec starego typu wzbijał się z pasa w kierunku chmur. Wsłuchiwał się w monotony głos Thorne'a jak w coś dobrze znanego.

– Skręcimy na północ. Polecimy nad Zatoką Botnicką ku Laponii, a potem przez Finnmark do Kirkenes. Samolot jest zatankowany do pełna, pokonamy tę trasę jednym skokiem.

– W Kirkenes jest Aubrey – mruknął Gant.

– Tak, staruszkule...

Gant odwrócił się od okienka i spojrzął na Thorne'a. – Czegóż, do diabła, on może chcieć ode mnie w Kirkenes?

Thorne wzruszył ramionami, jakby nagle znów stał się podejrzliwy co do bezpieczeństwa tego miejsca.

– Proszę posłuchać, jestem tylko pilotem. Niech się pan przebierze w kombinezon, majorze, i powiem panu wszystko w samolocie. Chociaż sam nie wiem zbyt wiele...

– Nie, do cholery! Ty wiesz i ja wiem. W jaki sposób... Jak on może zakładać, że samolot będzie w stanie wystartować stamtąd? To szaleństwo.

– Możliwe. Ale właśnie po to jest im pan potrzebny. – Na obliczu Thorne'a malowało się nieme błaganie. – Proszę, majorze. Niech się pan przebierze. Musimy trzymać się rozkładu jazdy.

Do Ganta dotarło, że bębni zaciśniętymi pięściami o biodra. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony, z jakim trudem przychodzi mu zebrać myśli. Zapragnął ponownie znaleźć się w ciepłym wnętrzu jadącego mercedesa. Vitsula wiedział. Z pewnością wiedział o wszystkim.

– A co z Finami?

– Wyznaczyli limit czasu. Dziś o północy.

– I Aubrey za każdą cenę chce spróbować?

– Nie wiem. Panuje tam fatalna pogoda. Ale spodziewane jest krótkie przejaśnienie, w zasadzie maleńkie okienko w śnieżycy. Dziś po południu, przed zapadnięciem zmroku. To jedyna szansa.

– Chcą, żebym przedarł się? Przez małe okienko w zamieci? A jeśli się nie zgodzę?

– Nie wiem. Przypuszczam, że będą zmuszeni zniszczyć samolot. Pan jest ich ostatnią szansą. Mam dostarczyć pana do Kirkenes. Jeśli nie nastąpi przejaśnienie, a minie wyznaczony termin, nie zostawię pana samemu sobie. Aubrey będzie miał przynajmniej pana. Jeśli zaś nastąpi, mam dolecieć z panem nad jezioro. Gdyby okazało się, że samolot nie może wystartować, zabiorę pana z powrotem. A Chinook, o ile zdoła tam dotrzeć, zabierze wszystkie najważniejsze układy, jakie da się wydrzeć z Firefoxa. Proszę, majorze, miałem powiedzieć panu o wszystkim. Przykazano mi, bym wszystko powiedział, bym był z panem zupełnie szczery. Miałem też poprosić, żeby pan to zrobił, przekazać, że jest pan bardzo potrzebny. Teraz wie pan już wszystko. – Thorne wzruszył ramionami i zapatrzył się na pognieciony, sztywny pakunek kombinezonu ciśnieniowego.

– Aubrey chce, żebym ratował jego dupę – warknął Gant. – Został zapędzony w kozi róg i nie wie, jak się stamtąd wydostać, obmyślił więc wspaniały plan. Naprawdę wspaniały plan. Ściągnąć Ganta, żeby wyleciał samolotem z obszaru Finlandii, tak samo jak nawiał nim z Rosji. – W tonie Ganta brzmiała zjadliwa ironia. Thorne patrzył na niego rozszerzonymi oczyma, jakby dopiero teraz dotarło do niego, kim jest i co przeszedł człowiek znajdujący się razem z nim w przyczepie.

Gant podszedł jeszcze raz do okna, wyjrzał na zewnątrz, lecz zaraz wrócił do stolika. – Dobra – rzekł ociężale. – Zabierz mnie stąd, synu. Zabierz mnie do tego dupka, Aubreya!

Kiedy Harrier TMk-4 wzbil się w gnane wiatrem, ciemne chmury, Vitsula przestał wyglądać przez szybę samochodu, usiadł wygodnie i westchnął. Sięgnął po telefon, umieszczony w podłokietniku przedzielającym tylne siedzenie, i wybrał odpowiedni numer. Była najwyższa pora, by poinformować ministra o odlocie Ganta. Pora także, by zasugerować, żeby pierwsze fińskie oddziały wyruszyły z Ivalo i Rovienimi w kierunku jeziora.

Oczywiście, miał także zamiar poinformować ministra o swoich podejrzeniach dotyczących ewentualnego celu podróży Ganta. Nadal także nie mógł

powstrzymać się od podejrzeń, że Rosjanie mogą już wiedzieć, czy chociażby domyślać się. Mogli też odkryć prawdę...

Było mało prawdopodobne, by fińskie oddziały zdążyły zjawić się nad jeziorem o północy w odpowiedniej sile. Możliwe że Rosjanie wiedzieli już, o ile faktycznie istniała szansa wzbicia się, Firefoxa w powietrze – w tym przypadku będzie musiał skontaktować się z wojskowymi ekspertami. Jeśli ludzie Aubreya zostaną odcięci nad jeziorem przez nawałnicę...? Minister musiał być dokładnie poinformowany o wszystkim, zanim którakolwiek czy nawet wszystkie z tych rzeczy wydarzą się.

Tak, musiał powiedzieć o wszystkim.

Odchrząknął i stanowczym głosem poprosił o połączenie go z ministrem.

Gunnar po raz kolejny sprawdził mocowanie lin, utrzymujących oba helikoptery Lynx przy ziemi. Owo nie kończące się sprawdzanie było reakcją nerwową. Nie mógł jednak wyjść z tej niewielkiej, smaganej zamiecią przecinki pośród silnie ośnieżonych drzew, gdzie stały dwa ściśnięte, jakby skulone śmigłowce. Wiatr zawodził i ciskał śniegiem w obie maszyny, jak gdyby chciał swymi mocarnymi, zachłannymi paluchami oczyścić z nich teren. Teraz, kiedy nadszedł poranek, martwił się o nie bardziej niż zwykle. Te dwa śmigłowce stanowiły jedyny środek ucieczki znad jeziora. Nie mogły wystartować przy tej pogodzie – każda próba równałaby się samobójstwu – nie mogły też zabrać stąd wszystkich. Gunnar wiedział jednak, że gdy wszystkie sposoby zawiodą, Buckholz rozkaże im wywieźć helikopterami ile tylko się da spośród tajnego oprzyrządowania Firefoxa. Liczył się nawet z możliwością lotu w bardzo złych warunkach. Lecz na razie musiał tylko bez przerwy upewniać się, że oba helikoptery są bezpieczne, nie uszkodzone i umocowane do ziemi.

Sprawdził naprężenie nylonowej liny, biegnącej do najbliższego drzewa, po czym wcisnął zgrabiałą dłoń z powrotem do kieszeni kurtki. Kiedy doszedł do końca przecinki, obejrzał się raz jeszcze. Dwa szarobiałe pagórki, przypominające chatki igloo. Zagłębił się między drzewa, zakopując w zaspach mimo szerokich rakiet śnieżnych. Kiedy skreślił wzdłuż brzegu jeziora, zauważył, że nad otwartą przestrzenią lodu szaleje już prawie typowa zamieć śnieżna. Sypiący śnieg przypominał białą ścianę oglądaną z pędzącego pociągu bądź samochodu. Musiał iść wzdłuż brzegu, trzymając się osłony drzew i unikając otwartej przestrzeni.

Ruszył wolnym krokiem przed siebie. Było mu zimno i znów zaczynał odczuwać głód. Zużywał swoje zasoby energii w szalonym tempie. Wiatr zawodził i uderzał w jego zgarbione plecy. Szedł przesadnie wolnym krokiem. Nie wierzył, że drugie okienko w śnieżycy ześle im amerykańskiego pilota czy też stworzy warunki do ucieczki. Zostali odcięci nad jeziorem. Zanim pogoda poprawi się na dobre, otoczą ich Finowie i cała robotą pójdzie na marne.

Ta śnieżycza miała tylko jedną zaletę. Nie pozwalała wzbic się w powietrze, zwłaszcza Rosjanom. Nie byli w stanie wysłać choćby jednego helikoptera, choćby jednego plutonu wojska, nawet gdyby wiedzieli, gdzie znajduje się Firefox...

Przeniknął go zimny wiatr. Przyspieszył nieco kroku.

Nagły podmuch przyniósł głosy ludzi. Zbieg okoliczności – pomyślał. W tej samej chwili dotarło do niego, że niemożliwością było, by wiatr rzucił w jego stronę głosy ludzi rozbrzmiewające po drugiej stronie jeziora. Głosy dobiegały z bliska, a słowa były rosyjskie.

Rozpoznał je: *zimno... posiłki... major... również kule...*

Nic więcej. Przywarł do pnia drzewa. Dygotał cały, także z tego powodu musiał się przytrzymać. Rozczapierzył szeroko palce w rękawicach, chcąc zgarnąć śnieg i namacać twardą powierzchnię pod spodem. Zacisnął je kurczowo...

Głosy Rosjan. Żołnierze rozmawiający półgłosem o swoim położeniu, o rozkazach, dowódcach. Musieli przebywać tu od dłuższego czasu, gdyż zaczynała im już doskwierać beczyność – coś mu podpowiadało, że mieli rozkaz obserwować, lecz nie podejmować działań – ich dowódca miał stopień majora. Mogło ich być tuzin, dwa tuziny, może trzy...

Odwrócił się, przywierając plecami do pnia. Wydobywające się z jego ust obłoczki pary były dobrze widoczne, nim porwał je wiatr. Oddech zdradzał jego obecność – gdzie oni mogli być? Wbijał wzrok w ciemność zalegającą między drzewami, rozglądał się w poszukiwaniu śladów na śniegu... wielkie, podobne do rakiet tenisowych jego własne ślady były już słabo widoczne pod śniegiem. Gdzie...?

Nadstawił uszu, ale docierał do niego jedynie świst wiatru. W jakim kierunku? Gdzieś tam? W pobliżu brzegu. Gdzieś między nim a brzegiem jeziora...

Z wyolbrzymioną ostrożnością prześliznął się na drugą stronę pnia. Pochylił się, wbijając wzrok w pędzącą białą ścianę widoczną między drzewami. Wszędzie tylko biel i biel. Nie dostrzegał nic innego poza śniegiem. Nagle coś się poruszyło. Biały pagórek uniósł się nieco, przybierając kształt zgarbionych pleców, po czym osiadł ponownie. Nie słyszał żadnych słów, żadnych głosów.

Kiedy pagórek przestał się poruszać, nie można go już było wyodrębnić spośród zasp, drzew, białego piekła. Gunnar wzdrygnął się.

Co robić, co robić? Był nie uzbrojony. Ponownie odwrócił się plecami do drzewa. Może minął już któregoś z nich? Czyżby był otoczony i nie miał o tym pojęcia?

Minęło kilka chwil, zanim był w stanie jasno formułować myśli. Po paru minutach oderwał się od drzewa i szybko, zgarbiony i czujny, ruszył tą samą drogą, którą przyszedł. Słyszał własny oddech i łomotanie pulsu w uszach; wyobrażał sobie pościg. Przed wyjściem w przecinkę skręcił w prawo, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że Rosjanie nie odkryli dwóch helikopterów, zatem jego ślady nie mogą nikogo do nich zaprowadzić...

Dotarł do brzegu. Obejrzał się – jego ślady szybko ginęły pod śniegiem. Śmigłowce były chyba na razie bezpieczne. Teraz, kiedy stanął przed pędzącą ścianą nawałnicy, poczuł dreszcz chłodu i strachu. Zmierzając w stronę helikopterów przeciął jezioro niecałą godzinę temu, ale teraz...

Miał wrażenie, że powoli, groteskowo wychodzi spośród drzew i zanurza się w zupełnie odmienne, obce środowisko. Ściana wchłonęła go, osłepiła i pozbawiła oddechu. Naciągnął kaptur głębiej na oczy, po czym otoczył ramionami głowę, jakby uciekał przed ogniem. Czuł się gnębiony fizycznie i okładany pięściami, siedem lub osiem razy tracił równowagę. Kiedy padał na lód, czy też w niewielkie, dryfujące zasy pyłne, wiatr włókł go i popychał; nadymał mu kurtkę jak balon, by łatwiej było ciągnąć go na plecach czy też na brzuchu po lodzie. Gunnar był dogłębnie, śmiertelnie przerażony – z powodu Rosjan, z powodu wielkiej odległości, jaką musiał pokonać, z powodu całkowitego wyizolowania, które odczuwał wśród tego wiatru i pędzącego śniegu. Był zagubiony, kompletnie zagubiony.

Usiadł na oczyszczonym przez wiatr spłachetku lodu i pochylił się nad kompasem. To tylko kilka setek metrów, metrów, setek metrów, setek – kilka setek metrów, kilka setek metrów, do brzegu. Dźwignął się na czworaka, zrzucił rakietki śnieżne i zaczął pełznąć.

Trafił na niską oblodzoną zaspę śniegu, zaczął się wspinać, aż stanął na nogach, nisko pochylony. Z olbrzymim wysiłkiem, zmagając się z wiatrem, który niczym napastnik, jak boduczujący przeciwnik na taflach hokejowej natarł na niego z boku; wyprostował się...

Ruszył biegiem. Ślizgał się, potykał i zataczał. Przeciwnik hokejowy. W myślach zredukował wiatr do czegoś, co znał, z czym mógł walczyć. Chwiał się, jakby odbijał od bandy, i raz za razem nacierał na przeciwników. Tamci

także chwiali się, podcinali go, parł jednak do przodu, osłaniając ramionami głowę, z kapturem naciągniętym na zmartwiałą twarz, wargami zastygłymi w bolesnym grymasie. Raz za razem ponawiali ataki, lecz on szedł dalej. Przewrócił się, podniósł, potem ugrzązł w sykim śniegu, pośliznął na odkrytym lodzie – zdawał sobie sprawę, że jest spychany, niczym drobny jacht, półkolistym kursem w poprzek jeziora.

Nagle trafił na brzeg. Wdrapał się na stromiznę i padł na ziemię. Do jego uszu dotarł bardzo odległy jazgot piły łańcuchowej. Udało mu się. Szybko, zanim opuścił go poczucie dumy, wpełznął na czworaka między drzewa, jak pies brodzący w głębokim śniegu. Zapierając się dłońmi o pień drzewa stanął i przywarł do niego – do twardej, nieruchomej, ośnieżonej powierzchni. Dygotał całą z wysiłku. Wreszcie odwrócił się plecami do drzewa.

Jezu Chryste! Jezu, Jezu...

Słowa kołatały się w jego umyśle jak refren pieśni. W końcu uspokoił oddech, uciszył go. Nadstawił uszu. Odgłos piły umilkł, po chwili rozległ się trzask i głuchy huk padającego na ziemię drzewa. Ruszył w tamtym kierunku, odruchowo kiwając głową ludziom obcinającym gałęzie ze zwalonego drzewa. Jeden z nich – czyżby drugi pilot śmigłowca? – pomachał mu ręką. Gunnar odpowiedział na pozdrowienie.

Przypieszył kroku, kierując się wzdłuż brzegu ku głównej przecince i Waterfordowi, nadal jednak nie wychodził spod osłony stojących drzew. Zapomniał o swojej krótkofalówce. Przedzieranie się przez śnieżycę na jeziorze jakimś sposobem wyprało go ze świadomości zdobyczy techniki, możliwości uczynienia czegoś innego niż przekazanie komuś wiadomości twarzą w twarz.

Waterford rozmawiał z Buckholzem. W tyle stał Firefox, na tyle osłonięty i zamaskowany, na ile pozwalały warunki. Ludzie kręcili się wokół niego, leżeli płasko na kadłubie, kucali pod spodem. Gunnar uświadomił sobie, że odsłonięta przecinka znajduje się na wprost obserwujących ich oczu. Obejrzał się. Nic. Jedyne biała ruchoma ściana u wylotu przecinki. Czy widzieli...?

Musieli widzieć...

– Majorze Waterford! – zawołał, ponieważświe zdając sobie sprawę, jak śmiesznie słabo brzmi jego głos. Niczym echo, wracające z minutowym opóźnieniem. Odkasznął. – Majorze Waterford! – krzyknął głośnie, przyspieszając kroku. Zaalarmowany Waterford odwrócił się błyskawicznie w jego stronę. Nawet rysy Buckholza odzwierciedlały lęk, który musieli wyczytać z jego twarzy.

- Co się stało? Coś z helikopterami? – zapytał pospiesznie Waterford.
- Nie, nie – rzucił szybko Gunnar. Poprzez wycie wiatru usłyszał głośne przekleństwa Moresby'ego.
- O co więc chodzi?
- Gunnar bezwiednie wskazał ręką brzeg jeziora, po czym przeraził się, jakby Rosjanie mogli go zobaczyć. Opuścił ją szybko, lecz Buckholz i Waterford już wpatrywali się w zasłone śniegu, we wskazanym przez niego kierunku.
- Rosjanie...
- Co?
- Rosyjscy żołnierze. Nie wiem, co to za oddział... Słyszałem tylko dwa głosy, widziałem sylwetkę jednego z nich...
- Gdzie?
- Na drugim brzegu... – Wszyscy trzej odwrócili się teraz twarzami ku niewidocznemu, zachodniemu krańcowi jeziora. – Na brzegu. Muszą być...
- Obserwują nas? Na pewno. – Z twarzy Waterforda błyskawicznie zniknęło zdumienie, zastąpione posępnym grymasem zamyślenia. – Ilu ich jest?
- Nie wiem.
- Nie rozglądałeś się?
- Pomyślałem, że powinienem wrócić jak najszybciej..
- Cholera! Niech to szlag!
- Musimy wiedzieć, ilu ich jest – wtrącił Buckholz.
- Musimy ich wyeliminować – odparł Waterford.
- Czemu...?
- Pomyśl! Gdyby było ich wystarczająco wielu, siedzieliby nam już na karkach. Nie, to musi być nieliczny oddział. Grupa zwiadowcza, trzymająca nas na oku.
- Skąd mogli się tu wziąć?
- Z tych pieprzonych śmigłowców, które zdążyły przekroczyć granicę, nim pogoda znów się pogorszyła! Musieli poruszać się wstecz po śladach Ganta i znaleźli nas! Na pewno mają radio i na pewno powiadomili już Moskwę.
- Czy mogli nas zobaczyć?
- Musieli zobaczyć! Chryste, chyba nie myślisz, że siedzą tam tylko dlatęgo, że pada śnieg i nie podoba im się pogoda? – Waterford gapił się na Buckholza. – Popędź Moresby'ego i jego ludzi, by uwijali się najszybciej, jak mogą. Nie, jeszcze szybciej. Jeśli Moskwa już wie, to znaczy, że wpadną do nas na

herbatkę, kiedy tylko nadejdzie zapowiadane rozpozogodzenie. Och, cholera...!

– A ty?

– Mam zamiar przekonać się, kto tam siedzi. I zaprosić ich tu na szybką partyjkę brydża. Gunnar, idziesz ze mną!

Gunnar obejrzał się na zaslonę pędzącego śniegu, po czym w milczeniu skinął głową w stronę pleców Waterforda. Major pospiesznie wydawał już ciche rozkazy przez krótkofalówkę, zbierając komandosów i oddział SBS. Gunnar podreptał szybko jego śladem.

Buckholz ruszył w głąb przecinki ku złudnym osłonom ocalałej siatki maskującej i mającym chronić przed wiatrem rozpiętym płachtom brezentu. Jak na scenie – pomyślał. Reflektory, ludzie, rekwizyty i dekoracje. Teraz, w dodatku, mieli nawet widownię.

Plomienie spawarek rozbłyskiwały po obu stronach kadłuba – naprawiano uszkodzenia powstałe w czasie walki powietrznej z drugim Firefoxem; pod podziurawionymi osłonami znaleźli przebite przewody paliwowe, dzięki czemu właśnie samolot znalazł się tutaj. Moresby stał do połowy wynurzony z kabiny, niczym dyrygent w białej kurtce, prowadzący bezgłośnie orkiestrę. Ruchy jego ramion przywodziły na myśl semafony albo sygnalizację proszącą o pomoc.

Nie dadzą rady – pomyślał Buckholz. W żaden sposób nie dadzą rady. Tym bardziej że Rosjanie już wiedzą o wszystkim.

Aubrey obserwował przez okno sunącą falami śnieżycę. Wiatr, któremu kierunek narzucał układ fiordów i pasm górskich, to ciskał śniegiem w chatę, to znów przycichał niemal całkowicie. Momentami widoczne było nawet miasteczko Kirkenes, posadowione na wysokim brzegu Langfjordu, po drugiej stronie którego znajdowało się lotnisko. Widać było nawet podnóża szczytów Skogeraya i szare, pofalowane wody Korsfjordu. Potem przez długie, posępne minuty nie było widać nic poza śniegiem okrywającym grubą warstwę trawę i połyskującym na pasie startowym. Przed jego oczyma przesunął się żółty pług śnieżny, na bieżąco oczyszczający pas startowy i szykujący lądowisko dla Harriera.

Aubrey nie był już nawet pewien, czy Gant przybędzie, czy pojawi się w tym pokoju obok niego, Curtina i radiooperatora. Odwrócił się od okna i omiół wzrokiem porozrzucaną pościel na łóżkach polowych, w których spędzili część tej długiej nocy. Podszedł do stołu, na którym piętrzyły się stosy papierów. Pod wielkim przyciskiem, obok map, tabel i innych dowodów ich desperackich poczynań, spoczywały kartki z rozszyfrowanymi meldunkami – wszystkimi,

jakie otrzymał od czasu założenia kwatery w Kirkenes. Ostrożnym ruchem podniósł przycisk do papieru. Dwa ostatnie meldunki, jeden od Eastoego, a drugi od Buckholza, były co najmniej niepomysłne. Zmusił się jednak, by przeczytać je raz jeszcze, jakby chciał nałożyć sobie karę za pychę i popełnione błędy. Upokorzyć się rozszyfrowywaniem meldunków.

Eastoe donosił o znacznych, mimo fatalnej pogody, ruchach wojsk wzdłuż granicy sowieckiej z Finlandią, na wysokości południowych brzegów jeziora Inari. Buckholz zaś potwierdzał, że na zachodnim brzegu jeziora pojawił się oddział zwiadowczy, który zidentyfikowali jako rosyjski. Waterford wyruszył z grupą komandosów, by ich pochwycić. Aubrey czekał z niecierpliwością na meldunek o wynikach tej interwencji.

Nie, stwierdził w duchu. Nie było już na co czekać. Domyślał się już, jakie będą efekty. Oddział Rosjan odkrył położenie Firefoxa, odkrył, iż wydobyto go z jeziora – w efekcie utracili wszelką przewagę. On i człowiek dowodzący ich operacją z Moskwy startowali teraz z takich samych pozycji. Dokładnie takich samych.

Jego wściekłość i wyrzuty sumienia już minęły, zostało po nich jedynie zmęczenie, wycieńczenie. Jeśli okienko w śnieżycy w ogóle pojawi się w rejonie jeziora, wtedy pojawi się także w obszarze, gdzie zbierali swe siły Rosjanie, zaledwie trzydzieści minut później. Trzydzieści minut...

To śmieszne. Został pokonany. Kiedy Buckholz kazał mu podjąć decyzję, powinien był pogodzić się z porażką, zapomnieć o grymasach, wściekłości oraz zjadliwej ironii i w ten czy inny sposób pogodzić się z fiaskiem. Powinien rozkazać Buckholzowi wyciągnąć najcenniejsze układy z kabiny i kadłuba, po czym spróbować wywieźć je na pokładach helikopterów Lynx. Tak, powinien był to zrobić. Chinook nie miał szans dotrzeć z Bardufoss nad jezioro przed Rosjanami. Cała grupa zostanie otoczona, wzięta do niewoli, choć prawdopodobnie nic im się nie stanie. Powinien wydać rozkaz niestawiania oporu.

A może powinien także rozkazać Waterfordowi, by nie angażował się w walkę z oddziałem zwiadowczym?

Było już za późno.

No cóż, muszą ratować, co się da. W każdym razie przynajmniej część tajemnic Miga-31.

– Jest już! Podchodzi do lądowania! – oznajmił Curtin z drugiego końca pokoju. Obaj z radiooperatorem mieli na głowach hełmofony. Nasłuchiwali rozmów między Thorne'em, pilotem Harriera, a kontrolą lotów w Kirkenes. Instynktownie, jak człowiek otwierający drzwi własnego domu i stwierdzający, że dokonano włamania, Aubrey popatrzył za okno. Skogeroya, ledwo widoczne,

miasto skryte w zadymce. Szalejąca śnieżycą...

Chciał wykrzyknąć: Nie! Niech nie ryzykują teraz!

Nie odezwał się jednak, tylko skinął głową Curtinowi, który spoglądał na niego dziwnym wzrokiem. Uważając na przewód hełmofonu, Amerykanin ruszył w stronę okna. Radiooperator także obrócił się na stołku, by móc coś widzieć. Aubrey położył z powrotem na stole kartki z meldunkami i przygniótł je przyciskiem do papieru. Stał obok Curtina.

Harrier pojawił się nie wiadomo kiedy jako ciemny punkcik na tle mokrych, szarych szczytów górskich. Widzieli go przez moment, lecz zaraz ponownie pochłonęła go śnieżycą, przemknęło tylko stadko walczących z wiatrem mew. Kierował się jednak w stronę lotniska, ku jednemu pasowi startowemu, prosto na nich. W tyle zamieć jakby ruszyła w pościg, otulając białym całunem góry i szare wody Korsfjordu. Do Aubreya docierała przytłumiona paplanina głosów, wydobywająca się ze zsuniętego częściowo hełmofonu Curtina. Nie chciał tego słuchać, odsunął się w bok. Zaciśnął pięści, czuł, jak napinają się wszystkie mięśnie.

Samolot wyskoczył z białego tumanu unoszącego się nad fiordem. Harrier nie przedstawiał już sobą czarnego punkcika, można było dostrzec jego skrzydła. Sunął prosto... nagle zatańczył groźnie, równie lekki i bezbronny, jak poprzednio spychane przez wiatr mewy.

Curtin głośno wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby. W tym niesamowitym, świszczącym dźwięku wyrażał się niepokój. Aubrey chciał mu już powiedzieć, żeby przestał, dla niego było to coś równie nieprzyjemnego, jak zgrzytanie paznokciami po tablicy w szkole. Harrier rósł w oczach, pędził wprost na nich. Pas startowy strzelał w dal niczym szary mokry palec, wyciągający się w kierunku przybywającego samolotu i ścigającej go zamieci. Skrzydła znów niepewnie zahuśtały w powietrzu.

Curtin ponownie syknął przez zęby. W półmroku światła pasa startowego połyskiwały niewyraźnie. Nie było nic poza Harrierem, zawieszonym na tle nadciągającej ciemności. Samolot zaczął nagle zniżać lot, jakby wręcz spadał ku początkowi pasa startowego. Dotknął go, podskoczył w górę, wreszcie potoczył się po ziemi i zaraz zniknął im z oczu. Śnieżycą dopadła Harriera, pochłonęła go i przesłoniła całkowicie widoczność.

– Wszystko w porządku! Udało się! – wykrzyknął Curtin. – Udało się... Właśnie hamuje, tak, wszystko w porządku! Chryste! – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Na zewnątrz sadzawki

Waterford syknął głośno przez zęby. Brooke, leżący obok niego na szczycie wzniesienia, czekał spokojnie, aż major powie, co takiego ujrzał przez wizjer termiczny.

Wodził nim ciągle po leżącym w dole terenie, wciskając twarz w zakrzywioną, szarą obudowę i zaciskając dłoń w rękawicy na pistoletowym uchwycie. W końcu z wyrazem satysfakcji na twarzy obrócił się na plecy.

– Chcesz popatrzeć?

– Proszę lepiej opowiedzieć – odparł Brooke.

– Naliczyłem ich dwunastu... Przez tę zabawkę można nawet dostrzec soki krążące wewnątrz drzew, są cieplejsze niż kora. – Brooke uśmiechnął się. – Szkoda tylko, że nie można dostrzec, jak są uzbrojeni.

Ominęli południowy kraniec jeziora, trzymając się dość daleko od brzegu, a następnie skręcili i wspięli się na szczyt garbu, oddzielającego dwa jeziora. Waterford ze swoimi ludźmi znajdowali się teraz wyżej i na tyłach oddziału Rosjan. Na otaczających ich drzewach nie było już śniegu, wiatr hulał między stłoczonymi pniami, unosząc tumany poziomo nad ziemią.

Nie było mowy, by zauważyć tamtych bez pomocy wizjera termicznego, umożliwiającego – przy maksymalnej czułości i zawężeniu pola obserwacji – rozpoznanie emitowanego przez ciało ludzkie ciepła z odległości tysiąca metrów.

– Będziemy musieli podejść bliżej – dodał Waterford wyraźnie bez entuzjazmu. – Tylko ty i ja. Przekaż ludziom, by zostali na miejscu. Zaczekam na ciebie, złociutki.

Brooke zanurkował w półmrok pędzącego śniegu, chyląc się tuż poniżej szczytu garbu i zaczął przemykać od drzewa do drzewa. Znajdowali się dwieście metrów od brzegu jeziora. Widzialność sięgała najwyżej pięćdziesięciu metrów. Brooke zatrzymał się na chwilę, przekazał kilka słów pierwszej dwuosobowej drużynie komandosów z SBS, i zaraz zniknął w zamieci.

Granatnik – pomyślał. Albo moździerz. Albo chociażby wyrzutnia raketowa RPG-7. Jeśli dysponowali jakąś tego typu bronią, w dodatku wyposażoną w celownik laserowy, wtedy przy pierwszych oznakach kłopotów mogli zamienić Firefoxa w kupę złomu. Ich uzbrojenie było ważniejsze od liczebności, od stanu ich wiedzy, a nawet nadajnika, za pomocą którego porozumiewali się z Moskwą.

Czekał siedem minut, zanim dostrzegł Brooke'a wyłaniającego się ze śnieżnego labiryntu jodeł, pochylonego nisko i biegnącego ku niemu. Położył się na śniegu obok Waterforda.

– W porządku?

– Tak. Sierżant Dawson też namierzył naszych przyjaciół przez drugi wizjer. Oczywiście naliczył ich trzynastu. – Brooke uśmiechnął się. Wciąż jeszcze oddychał szybko. – Dają nam piętnaście minut, nie więcej. Dawson zaczął już przekazywać pozostałym pozycje Rosjan. Powiedziałem mu, że chcemy mieć żywego radiooperatora, jeśli to będzie możliwe. Dobrze?

Waterford skinął głową. – Mniej więcej. Będzie bardziej skłonny do rozmowy niż oficer czy sierżanci. Dobra, ruszamy.

Uniośł głowę i raz jeszcze przytknął do oczu wizjer termiczny. Usatysfakcjonowany przerzucił urządzenie na plecy i przesunął z piersi pod rękę bezłuskowy karabinek Hecklera i Kocha. Zacisnął na jego brzydkiej, niemal bezkształtnej kolbie obie dłonie, zsunął się ze szczytu i ruszył w dół. Brooke został kilka kroków z tyłu, po jego lewej stronie. Przemykali od drzewa do drzewa najszybciej i najciszej, jak potrafili. Waterford odliczał metry przebytej w kierunku brzegu drogi, czekając zarazem na chwilowe przycichnięcie zamieci. Dwukrotnie sprawdzał teren w przodzie przez wizjer termiczny – dziwne, ognikopodobne, pstrokate duszki, tańczące, falujące i zmieniające kształty formy.

Jego uwagę przyciągnęła niewielka grupka stojących obok siebie postaci, oddalona jednak od środka oddziału. Z pewnością nie gromadzili się wokół piecyka do podgrzewania kawy lub herbaty – namierzył go już wcześniej na lewym skrzydle, o pięćdziesiąt metrów w bok od tej grupy. Mógł się tam znajdować nadajnik radiowy. Każde źródło ciepła, każda strużka pary, grzejnik

czy zapalony papieros, w mroźnym powietrzu tworzyły wyraźne obrazy. Jednak pośrodku grupy, która przyciągnęła jego uwagę, nie zauważył niczego.

Waterford sądził, że gdyby owe trzy rozedrgane widmowe postacie otaczały rozłożony, przygotowany do strzału granatnik czy moździerz, zauważyłby go przez wizjer. Jeśli posiadali taką broń, należałoby ją bezwzględnie zniszczyć; zastrzelić obsługę.

Ruchem ręki kazał Brooke'owi iść dalej, wskazując właściwy kierunek. Po chwili ruszył za nim. Przebyli jeszcze w przybliżeniu sto metrów. Jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt metrów dalej mógłby ich już dostrzec, ale sam także byłby widoczny. W przodzie Brooke posuwał się ze zdwojoną czujnością. W jego ruchach, w sposobie unoszenia i stawiania nóg, uchwycie broni i pochyleniu pleców, było coś komicznego. Złodziej z kreskówek. Waterford trzymał się dokładnie jego śladów. Brooke nagle zatrzymał się i zanurkował za pień jodły, unosząc w górę broń i przekrzywiając głowę, by ostrzec Waterforda. Ten przywarł do pnia najbliższego drzewa.

Stojące niżej na pochyłości jodły pokryte były grubą warstwą śniegu. Wiatr nie był tu tak gwałtowny i porywisty. Przy każdym wydechu obłoczek pary sunął prosto w górę przez dobrą sekundę, zanim porwał go wiatr. Ostrożnie wyjrzał zza pnia. Brooke dał mu znać, że może podejść. Przeskoczył kilka metrów dzielącej ich przestrzeni.

– Co jest?

– Śmiech przy herbatce – odparł Brooke. – Nie słyszy pan? – Waterford pokręcił głową. – Jakiś trik wiatru doniósł do mnie odgłosy. Przyglądałem się i dostrzegłem co najmniej jedną postać. Tam. – Wskazał kolbą swego karabinku Armalite w lewo, dalej w kierunku brzegu. Waterford wychylił głowę i zapatrzył się w mięką, dryfującą zasłonę odbijającego światło śniegu. Poruszyło się coś zdecydowanie mniej wyrazistego od widmowych sylwetek, które dostrzegał przez wizjer. Znów uniósł go do oczu. Tak, dwóch... nie, trzech żołnierzy raczających się herbatą. Wyraźnie dostrzegał między ludźmi obraz piecyka. Kubki z herbatą czy kawą migotały niczym falujące powietrze nad rozżarzoną węglem. Niebieskie, czerwone, żółte. Przesunął wizjer. Pojedyncza postać, niemal na wprost przed nimi, potem dwóch następnych, wreszcie trzech otaczających pustą, zimną przestrzeń. Dalej niewyraźne zarysy bardziej oddalonych postaci. Jeden z żołnierzy poruszał się, przybliżał do nich. Prawdopodobnie oficer.

– Na prawo – rzekł Waterford. – Widzisz coś? Tam... – Wskazał ręką w kierunku postaci. Brooke wychylił się, a po chwili pokręcił głową. – W porządku. Podejdę bliżej i przekonam się, „Co zobaczył klucznik”. Ruszysz za mną, kiedy dam ci znać. – Popatrzył jeszcze raz na zbliżającego się człowieka, potem na zgrupowanie trzech postaci, wreszcie wyszedł zza drzewa. Dzieliło ich jakieś dziewięćdziesiąt metrów, nie więcej. Gdyby śnieżyca przycichła na moment, powinien ich zobaczyć. Pochylił się i ruszył biegiem, skacząc od drzewa do drzewa, nasłuchując przy każdym pniu, czy nie rozlegną się hałasy. Dotarł do niego cichy śmiech od strony pijącej herbatę grupy, potem stłumione pokaskiwanie w rękawicę. Popatrzył na idącego mężczyznę. Był znacznie bliżej, poruszał się nadal, chyba sprawdzał stanowiska. Oficer. Zatrzymał się przy grupce, widmowa sylwetka pochyliła się nad czymś...

To musiało być tam. Wyrzutnia rakiet lub granatnik, bądź też moździerz. Laserowy celownik. Żegnaj, Migu-31. Gdyby nie przypadek, gdyby wypadki potoczyły się nieco inaczej, tamci mieli możliwość zapobiec przeniesieniu stąd samolotu. Czyżby doleciały go ich głosy, kiedy odwracał się, by dać znać Brooke'owi...?

Nie, cisza. Popatrzył przez wizjer w tył, w stronę wzniesienia, omiółł jego szczyt i znalazł ognistą sylwetkę kłęczącego sierżanta Dawsona, obserwującego teren przez drugi wizjer. Dawson powinien przyglądać się im, powinien dostrzec pierwsze strzały. Jaskrawe, ogniste smugi, oddzielające się od jednej płomiennej sylwetki i zmierzające ku drugiej. To dziwne, pomyślał, jak wyglądałby obraz zabitego człowieka, stygnącego po jakimś czasie ciała...

Brooke wyteżył wzrok i słuch. Pokręcił głową.

– Teraz jest ich czterech. Nie dalej jak siedemdziesiąt metrów. Spod następnego drzewa powinniśmy ich dostrzec. Gotów? – Brooke potwierdził ruchem głowy. Przeskoczyli do następnej jodły, stojącej jakieś dziesięć metrów dalej. Brooke wyjrzał ponownie i teraz energicznie pokiwał głową.

– Co tam jest? Czy widzisz, co oni tam mają?

Brooke milczał przez jakiś czas, wpatrując się przez swoją krótką, pękatą lornetkę PPE. Warunki oświetlenia zmuszały do jej użycia, chociaż bardziej przydatna była jako noktowizor. Opuścił ją po chwili i rzekł: – To wygląda na którąś z ich trzydziestomilimetrowych zabawek typu AGS.

– Skuteczny zasięg: osiemset metrów. Wystarczający. Coś jeszcze?

– Celownik laserowy, jestem prawie pewien.
– Jasne. Musimy ich wszystkich wyeliminować. Kto wie, może nawet uda się wziąć resztę żywcem, jeśli załatwimy oficera. Ty... zajmij pozycję z tamtej strony, ja podejść ich od tej. Czekaj na mój pierwszy strzał, zanim otworzysz ogień.

– Dobra.

Brooke ruszył natychmiast, posuwając się skokami od drzewa do drzewa. Oddalał się w bok od niego, zbliżając zarazem do brzegu jeziora. Kiedy zmienił się w ledwie widoczny cień, Waterford uniósł do oczu wizjer. Sylwetka Brooke'a płonęła jaskrawymi kolorami. Przesunął wizjer. Tak, Brooke znajdował się już wystarczająco blisko. Odszedł od niego w prawo o jakieś pięćdziesiąt metrów, aż znalazł dla siebie odpowiednie stanowisko. Waterford stwierdził, że kiedy tylko skończą strzelać, powinien ruszyć biegiem do stanowiska radiooperatora. Jakies trzydzieści czy czterdzieści metrów stąd. Sprawdził używając wizjera. Tak, nie więcej niż czterdzieści. Szybki bieg. Osiem do dziewięciu sekund. Najwyżej dziesięć. He rosyjskich słów można wypowiedzieć w ciągu dziesięciu sekund?

Popatrzył jeszcze raz na grupkę skupioną wokół tego, co teraz już sam mógł rozpoznać jako granatnik AGS, wsparty na trójnogu, z przytwierdzonym do lufy okrągłym bębniem, przypominającym wielką szpulę filmu. Celownik laserowy umieszczony był na szczycie lufy. Waterford nie miał wątpliwości, że granatnik ustawiono tak, by pociski spadły na przecinkę, w której stał Firefox.

Oficer podniósł się, wypowiadając ostatnie uwagi. Ktoś zaśmiał się cicho pośród zawodzenia wiatru. Oficer miał zamiar oddalić się. Waterford ścisnął zeberkowaną plastikową kolbę karabinku i wycelował w jego plecy. Przełączył na celownik optyczny, ustawił dźwigenkę na trójpociskowe serie. W magazynku znajdowało się pięćdziesiąt bezłuskowych, wielościennych pocisków. Nabrał głęboko powietrza i wstrzymał oddech. Oficer poruszył się szybko, wyprostował jak obudzony w środku nocy i sięgnął dłonią do biodra. Jeden z pozostałych żołnierzy spoglądał w górę na niego. To był właściwy moment; Waterford naciśnął spust karabinu.

Oficer padł na granatnik AGS, niemal odwracając go wylotem lufy do dołu. Waterford poczuł bardzo delikatne i miękkie szarpnięcie broni. Tamten dostał wszystkimi trzema pociskami serii, odpalonymi w odstępach dziewięćdziesięciu mikrosekund. Waterford wycelował w żołnierza spoglądającego w jego stronę,

który nie zdążył jeszcze obrócić głowy ku oficerowi padającemu na granatnik. Ponownie nacisnął spust. Twarz Rosjanina zniknęła z pola widzenia. Usłyszał, jak armalite Brooke'a zaczyna strzelać seriami, odwrócił się i ruszył biegiem.

Radiooperator podnosił się właśnie na nogi i spoglądał na biegnącego w jego kierunku człowieka. Cztery sekundy. Tamten pochylił się błyskawicznie nad radiostacją, sięgając do przełączników i kręcąc gałkami. Waterford zatrzymał się dwadzieścia metrów od niego, przerzucił dźwigienkę na ogień automatyczny i uniósł karabinek G11. Pozostałe czterdzieści cztery pociski wyskoczyły z lufy krótką, hałaśliwą lawiną. Żołnierz i radiostacja zniknęli w chmurze śniegu, człowiek poderwał się na nogi i próbował odskoczyć w bok, kiedy z nadajnika została kupa złomu.

W dzwoniącej ciszy, jaka nastąpiła po opróżnieniu magazynka, Waterford zaklął głośno. Dwadzieścia metrów dalej i człowiek żyłby nadal. Włączył już radiostację, żeby poinformować Moskwę.

– Cholera.

Potrzebny im był jeden żywy Rosjanin.

Umilkła też broń Brooke'a. Dawson powinien już sprowadzać resztę oddziału SBS biegiem w dół zbocza. Waterford wsunął się za pień drzewa i czekał. Potrzebny im był jeden żywy Rosjanin, ale tylko jeden.

– Zaczęło się – oświadczył Aubrey ponurym głosem, ściągając hełmofon i odwracając się do Ganta i Curtina. – Waterford melduje o czterech wziętych do niewoli, reszta zginęła. Strzelanina już się zaczęła.

– Zaczęła się już kilka dni temu! – rzucił Gant. Wciąż ubrany w kombinezon ciśnieniowy siedział na jednym z łóżek polowych. Thorne leżał na sąsiednim łóżku z nosem utkwionym w jakiejś powieści, czytał. Zdawał się nie zwracać uwagi na deklamacje Aubreya, ani na wzbierającą falami wymianę wrażeń między Aubreym i Gantem. – Kilka dni temu – powtórzył Gant. – Zabili nawet Annę.

Aubrey rzucił ku niemu aż przesadnie gromiące spojrzenie. – Zdążyłeś już w dość elokwentny sposób przedstawić swój punkt widzenia dotyczący Anny – stwierdził kwaśno.

– Do diabła z tobą, Aubrey! Niech cię cholera! Śmierć Anny była tak samo bezsensowna, jak śmierć tych głupich łajdaków, którzy szpiegowali twoich

ludzi nad jeziorem. Po prostu śmierć. Nic więcej. – Strzelił palcami. – Nic więcej. I po co? Dlaczego nie powiedziałeś tym patałachom, że rezygnujesz ze swojego planu, zanim zostali zabici? Przynajmniej wiedzieliby, za co umierają!

– Zamknij się, Gant...!

– Nie zamknę się, do diabła! – Gant zerwał się na nogi, jakby chciał udeżyć Aubreya. Curtin, siedzący w drugim końcu pokoju, w pobliżu pulpitu radiooperatora, obrzucił go uważnym, analitycznym spojrzeniem.

– Nic przecież nie mogę zrobić!

– Więc trzeba było w ogóle się w to nie pakować.

– Ja... nie mogę dopuścić...

– Bo nie mógłbyś z tym żyć.

– Cholera, przecież próbowałem... próbowałem... – Aubrey odwrócił się plecami i podszedł do okna. Widać było podnóże gór Skogeraya. Wiatr targał mewami niczym skrawkami papieru nad szarymi wodami fiordu. Kirkenes przyczało się na wysokim brzegu. To tylko chwilowa poprawa widoczności, a nie roz pogodzenie, które wciąż zapowiadały prognozy na późne popołudnie. Tak, zapowiadały, o tym samym czasie. Ostatnie doniesienia twierdziły, że przerwa w zamieci może potrwać nawet godzinę. Samolot zdążyłby dolecieć. – Bez sensu – oznajmił w stronę pokoju, nie odwracając się od okna. Nagle, jak gdyby został zobowiązany do udzielenia wyjaśnień, stanął twarzą w twarz z Gantem. Rozdzielał ich tylko stół zavalony meldunkami, mapami i tabelami.

– Ja... Te wypadki wymknęły się spod kontroli, Mitchell. – Gant parsknął na dźwięk swego imienia. – Pierwotna operacja przebiegła zgodnie z planem, tak, włączając nawet nieszczęśliwą śmierć kilku ludzi. Nikogo nie zmuszano do czegokolwiek... Ale te wydarzenia, w ostatnich dniach, rozgrywają się poza sadzawką. Rozumiesz? Wszystkie działania wywiadu mają miejsce w obrzeżonej kamieniami sadzawce. W tym przypadku komandosi zostali nagłym podmuchem zamieci wyrzuceni z tego ograniczonego światka. Nie mogę już nic zrobić. Jest mi naprawdę przykro z powodu śmierci tej kobiety, ale nie ja ją spowodowałem. Owszem, była zmuszona szantażem do udzielenia ci pomocy, miała jednak, zgodnie z moimi obietnicami, zostać uwolniona od naszych dalszych żądań i zabezpieczona przed swoimi. Przekonałem Buckholza, by dali jej spokój. Mogłaby wrócić do swojego kochanka, tego głupiego, tragicznego młodego człowieka, który stał się rzeczywistą przyczyną jej śmierci!

Urwał, jakby porażony błagalnym tonem własnego głosu. Nienawidził tego typu spowiedzi, ale został do tego zmuszony nie tyle oskarżeniami Ganta, ile powracającym własnym poczuciem winy. Odzywało się chłodem w jego piersi i przepełniało myśli. W granicach obrzeżonej kamieniami sadzawki istniało tylko jedno usprawiedliwienie – sukces. Ale wypadki wymknęły mu się spod kontroli, nie potrafił skroić ich do wymiarów działań wywiadu. Żołnierze, sprzęt, harmonogramy, warunki atmosferyczne, naprawy, sama lokalizacja Firefoxa – wszystko sprzymierzyło się, by rwącym strumieniem wtargnąć do cichej sadzawki i porwać ich w nieznanne. Teraz mógł co najwyżej przyznać się do porażki, spakować i wyjechać.

– Niepotrzebne mi są pańskie lekcje poczucia winy, majorze – rzekł, ku własnemu zaskoczeniu, spokojnym głosem.

– Jestem zdumiony.

– Nic więcej nie możemy uczynić. Zgadzam się z sugestiami Waterforda. – Sięgnął do stosu papierów na stole i zaczął je przerzucać. – Curtin, jeśli możesz – mruknął, gdy zaś oficer amerykańskiej marynarki zbliżył się do niego, mówił dalej: – Zatem wszystko wskazuje na to, że zbyt krótka przerwa w śnieżycy uniemożliwi wykonanie przelotu Chinookiem z Bardufoss, tam i z powrotem. Musimy więc wykorzystać dwa helikoptery Lynx. Trzeba przekazać Moresby'emu, żeby ratował, co się da; niech sporządzi według własnego rozoznania listę części i wymontowywanych systemów pokładowych. Wszystko trzeba załadować na śmigłowce i wywieźć stamtąd, kiedy tylko poprawi się pogoda. Będą mieli chyba nawet mniej niż pół godziny do przybycia pierwszych oddziałów Rosjan, prawdopodobnie w dużej sile... – Jego dłoń przesunęła się i spoczęła na mapie. Było to pospieszne, zdecydowane i fałszywe, zdawał sobie z tego sprawę. Pozorowane działanie. Odwrót. – Nasi ludzie, ci, którzy nie zmieszczą się na pokładach dwóch helikopterów, muszą wycofywać się w kierunku najbliższego odcinka granicy norweskiej; tutaj, na północny zachód. Można powierzyć Waterfordowi organizację tego przemarszu...

Uniósł wzrok. Cień Ganta padał na mapę. Knykcie jego zaciśniętych pięści były pobielale, kiedy oparł się na nich. Wykrzywiona pośepnie twarz wyrażała złość, niesprecyzowaną wściekłość, której Aubrey nie był w stanie załagodzić.

– Tak? – zapytał Aubrey nieco drżącym głosem.

– Wyślij mnie tam – rzekł Gant. Nie spuszczał z niego wzroku, nie mruknął nawet. Z jego policzków odpłynęła krew.

Aubrey pokręcił głową, siląc się na miły uśmiech, mający na celu zarówno wyrażenie sprzeciwu, jak i uspokojenie Amerykanina. – Nie... – zaczął.

– Wyślij mnie tam.

– To niemożliwe, Mitchell. Absolutnie niemożliwe... – Próbował się uśmiechać, ale bez widocznego rezultatu. Thorne odłożył książkę i usiadł, opierając się o poduszkę, niczym inwalida. Aubrey wyczuł, że stojący obok niego Curtin wahał się z zajęciem stanowiska.

– Wyślij mnie tam.

– Nie mogę ryzykować...

– To znaczy, że jestem ci tu potrzebny?

– Tak jak zawsze.

– Wątpię. Pozwól mi lecieć Harrierem. Thorne może pilotować. Albo polecę sam, jeśli boisz się niepotrzebnie stracić człowieka... Jeśli nie dam rady wystartować tym przeklętym samolotem, zanim pojawią się Rosjanie, wtedy wrócę Harrierem... Posłuchaj, Aubrey. Mogę powiedzieć im, które układy należy wymontować, które systemy są najcenniejsze. Tylko ja mogę to zrobić!

– Starszy oficer techniczny jest również zdolny ocenić...

– Niech cię piekło pochłonie, Aubrey! – Gwałtownie uderzył pięścią w stół. Przycisk do papieru, spoczywający na stosiku meldunków, podskoczył i zsunął się na bok. Gant spojrział na zegarek. – Masz niecałe dwie godziny na podjęcie decyzji. Mogę być na miejscu po pięciu czy sześciu minutach lotu. To daje mi dwadzieścia minut, może nawet nieco więcej, zanim Rosjanie będą mogli wzbic się w powietrze. Powiedz im, żeby przyszykowali samolot albo przynajmniej spróbowali tego dokonać. Powiedz im, że przylecę.

– Jeśli będą czekali, nie zdążą wymontować...

– Czy tylko tego pragniesz? Szczątków i okruchów? Czy o to chodzi twoim przełożonym? Z Waszyngtonu? Z Londynu? Oni chcą mieć samolot. Chcą mieć wszystko, łącznie z jajami. Nie chcą szczątków i okruchów, pragną mieć ten przeklęty samolot w całości!

– Nie mogę ryzykować...

– Tylko spróbuj. To będzie łatwiejsze, niż przypuszczasz. Nie wkładasz głowy w stryczek. Spytaj się ich, czy dadzą radę przygotować samolot. Powiedz, że przylecę.

– Mitchell, to jest tylko maszyna.

– Zawsze była, a teraz jest już za późno, by sobie o tym przypominać. – Utkwił wzrok w oczach Aubrey a i ściszył głos. – Baranowicz, Fenton, Siemięłowski,

Kreszyn, Paweł... i Anna – szepnął.

Aubrey pobladł. Kątem oka dostrzegł szybki gest Curtina, pragnącego uciszyć Ganta. Ale twarz Amerykanina pozostała bez wyrazu.

– Jak śmiesz... – syknął Aubrey.

– Zrób to, Aubrey. Wystarczy jedno słowo. Sam powiedziałaś, że jesteśmy poza twoją drogocenną sadzawką obrzeżoną kamieniami. Wystarczy jedno słowo. Niech przygotują dla mnie samolot do lotu.

Przez dłuższy czas Aubrey wpatrywał się w oczy Ganta. W końcu energicznie obrócił się na pięcie i rzucił do radiooperatora: – Połącz mnie z „Rybakiem”. Chcę mieć aktualny meldunek o stanie samolotu. Natychmiast!

– Obawiam się, towarzyszu przewodniczący, że musimy założyć, iż wasza grupa zwiadowcza została zaskoczona i pokonana. Krótko mówiąc, oznacza to, iż oni wiedzą, że my wiemy. Jesteśmy nawzajem świadomi własnych pozycji. – Władimirow zapiął palto i ruszył w dół po schodach Pałacu Zjazdów. Andropow, w znakomicie skrojonym wełnianym palcie produkcji włoskiej, siedł obok niego. – Trudno przewidzieć, jaka pogoda panuje tam obecnie – dodał Władimirow, zmieniając temat rozmowy.

– Co? – mruknął Andropow, wpatrując się w czubki swoich kosztownych butów, osłoniętych gumowymi półkaloszami. Zmarznięty śnieg skrzypiał pod stopami Władimirowa. Andropow uniósł w końcu wzrok na generała. – Co powiedzieliście?

– O pogodzie w Laponii – odparł Władimirow ze zniecierpliwieniem. Był zły na Andropowa, choć od kilku minut odczuwał wyraźną ulgę z powodu opuszczenia klaustrofobicznego, oszklonego, podziemnego pomieszczenia kontrolnego.

– Ach tak.

Myśli Andropowa błędziły w politycznych układach przyszłości; tamten rozważał konsekwencje porażki, podczas gdy on smakował swój drobny, zawodowy sukces. Schwytanie czy też wybicie oddziału zwiadowczego miało teraz niewielkie znaczenie. Wszystko zależało od warunków atmosferycznych panujących nad jeziorem i wzdłuż granicy; pogoda dyktowała harmonogram i kolejność działań.

Strategia i taktyka nie satysfakcjonowały, nawet nie interesowały Andropowa. Pogrążał się w rozważaniach nad sposobem, w jaki dowolne zakończenie akcji, nie będące na pewno całkowitym sukcesem, może zostać wykorzystane

przeciwno niemu, użyte do pokrzyżowania jego planów związanych nie tylko z samym Politbiurem. Dla Andropowa obecna pogoda nie była ograniczeniem, lecz więzieniem, wizją porażki.

– Krótkie przejaśnienie, którego spodziewamy się... – Władimirow odsunął rękaw i spojrzął na złoty zegarek – ...za niecałe dwie godziny, dotrze do wysuniętych jednostek Niezależnych Sił Lotnictwa mniej więcej w trzydzieści dwie minuty po tym, jak rozpogodzi się nad jeziorem. Przy odrobinie szczęścia helikoptery będą mogły wystartować w dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem minut po ucichnięciu zamieci w rejonie jeziora. Przy maksymalnej w tych warunkach szybkości powinni znaleźć się na miejscu nie później niż po dwudziestu minutach. – Uniósł w górę osłoniętą rękawiczką dłoń, jakby chciał ocenić przeświecające, błękitne niebo, powoli wędrujące wysoko chmury, mroźne, lecz czyste powietrze. Albo też masywne, zbite budowle Kremla, otaczające betonową ścieżkę, po której szli. – Oznacza to, że będą mieli niespełna czterdzieści pięć minut lepszej pogody, zanim przybędą nasze oddziały...

– Czterdzieści pięć minut – powtórzył zamyślony Andropow.

– Ganta tam nie ma, nie może tam być. Żadna maszyna nie mogłaby wystartować ani lądować. Prawdopodobnie znajduje się w Kirkenes. Natłok zaszyfrowanych przekazów sugeruje, że jest tam Aubrey. Domyślam się, że założył pewnego rodzaju tymczasowe centrum kontroli... Gantowi dotarcie nad jezioro helikopterem czy samolotem może zająć piętnaście minut. Zostanie mu zatem trzydzieści minut lub mniej... Mig-31 nie może być w pełni przygotowany do lotu w chwili jego przybycia... Nie dadzą rady wykorzystać jeziora jako pasa startowego bez uprzednich przygotowań. Nawet gdyby Mig był zatankowany, uzbrojony i sprawdzony w chwili jego przylotu, i tak będzie musiał czekać. – Zatrzymał się i odwrócił do Andropowa. Za przewodniczącym KGB na tle nieba majaczyła kopia Świętej Trójcy, zwieńczona gigantyczną czerwoną gwiazdą. – Czy rozumiecie? Mamy go. Mamy pilota i samolot w naszych rękach.

Andropow poprawił okulary. – Mam wrażenie, że już zbyt często słyszałem ten okrzyk – odparł stanowczo. – Sądzę, że macie jakiś plan rezerwowy, generale?

– Rezerwowy?

– Na wypadek porażki. – Wydłużoną, ściągniętą twarzą Andropowa pokrywała bladeść.

– Ach tak. – Władimirow poczuł się zbesztany, niemal winny; jakby

podjął jakieś niezbyt dobrze zakonspirowane działania przeciwko przyjaciółom. – Oczywiście – odparł szorstko. – Eskadry przygraniczne będą czekały w powietrzu. Myśliwce przechwytyjące „Wilczego Stada” z Półwyspu Kolskiego wystartują, kiedy tylko rozpozgodzenie pozwoli im na to. To jest rezerwowa linia obrony.

– Czy nadal sądzicie, że uda się wam przejąć nie uszkodzonego Miga-31?

– Czemu nie? Nie podzielam zdania, że jego zniszczenie powinno być naszym naczelnym zadaniem.

– Finowie zrobią wszystko, by znaleźć się na miejscu, kiedy tylko minie wyznaczony termin – dodał ociężałe Andropow.

– Jeśli dotrą na miejsce i znajdą samolot, będą musieli zwrócić go nam. Dopóki znajduje się tarę, gdzie jest, pozostaje naszą własnością. To oczywiste.

– Dopóki znajduje się tam, gdzie jest.

– Będziemy musieli coś wymyślić, żeby tam pozostał – odparł Władimirow. Brak snu, ciągła koncentracja i nieustające napięcie dawały o sobie znać. Potarł czoło. Dotknięcie palcami krawędzi czapki przypomniało mu o jego naramiennikach, palcie, przypiętych do piersi metalowych orderach. Te skojarzenia ożywiły go, wzmocniły poczucie własnej wyższości nad kroczącym u jego boku ambitnym politykiem. – Wykonaliśmy symulację komputerową czasochłonności niezbędnych napraw, osuszania, wymiany części i przygotowania samolotu... Wszystko wskazuje na to, że dysponując nielicznym sprzętem, musieliby skończyć na długo po upływie wyznaczonego limitu czasu. Oni nie mogą wystartować Migiem-31, Andropow. Nie zdążą go przygotować.

– Taką macie nadzieję.

– Wierzę w to.

– Mhm. – Andropow obrócił się, jakby omiatał kamerą mury, wieże i budynki Kremla. Ufortyfikowany obóz pośród dziczy – pomyślał Władimirow. Nie potrafił pozbyć się pogardy dla Andropowa i tego wszystkiego, co reprezentował. Za osłoną murów, ogarnięty lękiem przed dzikimi plemionami za palisadą – kontynuował poprzednią myśl. Nie, oni nie należeli...

– Widziałem naszego znamienitego sekretarza generalnego, spoglądającego w tę stronę – mruknął Andropow i uśmiechnął się krzywo na widok szybkiego obrotu głowy Władimirowa i lekkiego drżenia jego warg. Niechęć do własnej słabości odmalowała się na twarzy generała. – Widzicie, nie możecie znaleźć się ponad tym wszystkim – dodał Andropow.

Władimirow miał wrażenie, że radziecki przywódca obserwował ich z okna swego gabinetu i wybiegł szybko, jakby chciał przyłapać ich na konspiracji czy też na zwykłym potknięciu. Wetknął niedbale na głowę filcowy kapelusz, a palto z astrachańskim kołnierzem jedynie narzucił na ramiona; za nim pospiesznie maszerowało dwóch goryli. Obaj ruszyli śmiało na spotkanie radzieckiego przywódcy, przybierając odpowiedni wyraz twarzy i przygotowując odpowiedzi.

– Co się dzieje? – zapytał ostro sekretarz generalny, spoglądając im kolejno w twarze. Strażnicy zwolnili kroku. – Dzwonię do centrum dowodzenia tylko po to, by powiedziano mi, że wyszłście na spacer!

– Podjęliśmy już decyzję, opracowaliśmy cały plan – odparł spokojnie Andropow, wskazując palcem Władimirowa. Wyglądało na to, że sekretarz generalny zawarł błyskawiczny pakt z przewodniczącym KGB. Z groźnym wyrazem twarzy zwrócił się do Władimirowa, gotów w każdej chwili wybuchnąć.

– A więc, generale?

– Towarzysz przewodniczący i ja podjęliśmy decyzję, towarzyszu sekretarzu generalny. Zamierzaliśmy właśnie poinformować was osobiście.

W szklach Andropowa odbił się promień słońca. Przypominał namiastkę uśmiechu, drobny sygnał gratulacyjny. – Tak – potwierdził. – Chociaż różnymi się w ocenie niektórych szczegółów.

– Ja wam powiem, co się stanie – oznajmił radziecki przywódca, ruszając dalej chodnikiem. Stawiał nogi ostrożnie, czekając zarazem, by wyrównali z nim krok i poszli po obu jego bokach. Władimirow przez chwilę stał z zaciśniętymi pięściami, po czym dogonił tamtych. Andropow szedł krok w krok z sekretarzem po jego lewej stronie.

– Oczywiście, wasza opinia będzie niezwykle cenna... – zaczął Andropow.

– Wy będziecie słuchać moich rozkazów.

– Towarzyszu sekretarzu, muszę zauważyć, że nie jesteście...

Błyski w oczach sekretarza generalnego zamknęły usta Władimirowowi. Oczekiwał, że teraz zaczną się sypać pogróżki.

– Rozkazów! Czyżbyście naprawdę chcieli, żebym zbierał ministrów, wiceministrów, całą Radę Wojskową, Sztab Generalny, Dowództwo Układu Warszawskiego, członków Politbiura, czyli połowę Komitetu Centralnego, wystarczającą, żeby utworzyć kworum...? – Radziecki przywódca wymachiwał rękoma w powietrzu, jak gdyby zaklinając swych popleczników. – Wszyscy powiedzą wam, że mam rację, zanim jeszcze otworzę usta! Czy tego właśnie chcecie,

Władimirow? Jaki dowód jest wam potrzebny, byście uwierzyli, że wszystko to, cała ta sprawa, przestanie istnieć pod moją kontrolą? Pozwoliłem wam prowadzić. Teraz macie słuchać moich rozkazów. Czy rozumiecie?

Władimirow zapatrzył się na filcowy kapelusz, sunący na tle soboru Archaniola oraz wielkiej dzwonnicy Iwana Groźnego. Starał się panować nad wyrazem swej twarzy, powstrzymać wargi przed ułożeniem się w grymas przerażenia i pogardy, opanować krew uderzającą do policzków pod wpływem złości i wstydu. W końcu, unikając wzroku radzieckiego przywódcy, sztywno skinął głową. – Rozumiem, towarzyszu sekretarzu generalny.

– To dobrze. – Chmury przesuwwały się powoli ponad filcowym kapeluszem, w tyle za dzwonnica i kopułami soboru. Na chwilę znaleźli się w cieniu, lecz zaraz ponownie wyjrzało nie dające ciepła słońce. – To dobrze.

– Co życycie sobie, byśmy zrobili? – zapytał Władimirow. Dopiero teraz zrozumiał, że sekretarz generalny musiał konsultować się z członkami Sztabu Generalnego i Rady Wojskowej. Był pewny siebie, miał przygotowany plan. Osiągnięto więc jakieś porozumienie.

– Macie jeszcze tylko jedną próbę... tylko jedną, by przechwycić Miga-31. Jeśli się nie uda, samolot musi zostać zniszczony tam, gdzie się znajduje. Czy to jasne?

Władimirow smutno skinął głową. Sekretarz generalny musiał znaleźć poparcie dla tej decyzji. Stracone biliony, stracone produkty najwyższej technologii, poświęcone istnienia ludzkie nie miały żadnego znaczenia. Przede wszystkim bezpieczeństwo. Sztab Generalny i Rada musiały pogodzić się z polityką zniszczenia. Lepiej nikt, niż Amerykanie. Oczywiście, wcześniej już zagwarantował, że prace nad projektem będą kontynuowane, że nie zostaną obcięte fundusze. W zamian Sztab Generalny musiał się zgodzić, że nikt nie ponosi odpowiedzialności za kradzież Miga. Mieli zaczynać od początku, zapomniawszy o incydencie.

Władimirow zaciął zastanawiać się, kto mógł trzymać jego stronę. Na pewno minister obrony, Kutuzow. Kto jeszcze? Widocznie miał jeszcze jakichś wpływowych sprzymierzeńców, w przeciwnym razie nie otrzymałby pozwolenia na jeszcze jedną próbę odzyskania samolotu. Ktoś mógł przecież wydać rozkaz zrzucenia jednej małej, ale silnej bomby, czy też odpalenia stacjonarnej rakiety...

Nagle ujrzał pułapkę otwierającą mu się pod nogami. Jej wizja nadszła niczym ciemne chmury przesuwające się nad kopułami soboru. Spodziewano się jego porażki. Miał zostać zdegradowany i przeniesiony. Sekretarz generalny

– a możliwe, że także Andropow – chcieli zemścić się na niesubordynowanym oficerze. Ostrzeżenie dla pozostałych. Spuścił oczy i napotkał spojrzenie rażającego przywódcy. Zrozumiał, że to ostatnie podejrzenie było prawdziwe. Ten człowiek pragnął jego głowy.

Zbierając w sobie całą brawurę powiedział: – Jedna szansa, towarzyszu sekretarzu generalny? Postaram się ją wykorzystać, rzecz jasna. Przejmiemy samolot i naszego przyjaciela, Amerykanina!

Momat skrzypiał na zmarzniętym śniegu. Wielkie bele tworzywa rozwijano wzdłuż oczyszczanego z drzew brzegu. Pnie i gałęzie pocięto, pniaki i korzenie wykarczowano, uzyskując odkryty, płaski teren, sięgający aż do tego miejsca, gdzie gruby lód na jeziorze był w stanie utrzymać ciężar Firefoxa. Przenośna ścieżka zakrywała poślizbione koleinami blocko, doły po wyrębie, zmrożony śnieg.

Buckholz stał na brzegu, zwrócony tyłem do pokrywającej się na powierzchni lodem, gęstej niczym zupa wody, skąd wydobyli samolot. Słyszał skrzypienie momatu i ten dźwięk rozstrajał go. Na tę odległość nie powinien go słyszeć. Wiatr musiał osłabnąć. Zwrócił się twarzą ku niemu i niemal natychmiast poczuł ukłucia na policzkach. A jednak słyszał skrzypienie momatu, słyszał wyraźniej terkot piły łańcuchowej, docierały nawet do niego głosy techników i inżynierów skupionych wokół samolotu. Nie powinno być niczego poza zawodzeniem wiatru. Odsunął mankiet futrzanej kurtki i spojrzał na zegarek. Zgodnie z ostatnimi prognozami mieli jeszcze godzinę.

Pas startowy – pomyślał. Pas startowy. Powinien kazać Moresby'emu to sprawdzić. Potrzebowali wstęgi odkrytego lodu o długości ponad tysiąca dwustu metrów, a Bóg jeden raczył wiedzieć, jak wygląda powierzchnia jeziora. Miał przed oczyma wizję Gunnara pełzającego, potykającego się i padającego wśród niewysokich zasp naniesionego i zamarzniętego śniegu. Samolot nie będzie w stanie uzyskać odpowiedniej prędkości, utrzymać kierunku czy nawet zachować w całości podwozia, jeśli trafi po drodze na zbyt liczne i twarde nierówności...

Ruszył w stronę Firefoxa. Miał wrażenie, że wkracza do ogrzanego, znanego mu pomieszczenia. Ładowano właśnie amunicję działka pokładowego w wielkim bębnie, mocowanym w tyle kabiny. Dwa pociski AA-6 wisiały już pod skrzydłami. Sama amunicja była produkcji NATO, dobrano jednak kaliber pocisków oraz sposób mocowania bębna do działka, w które wyposażono Miga-31. Dwie rakiety stanowiły ich zdobycz – stwierdził w duchu Buckholz. Ocalono

je z Miga, który rozbił się na Varanger-Halvoya, kiedy pilot, z ogniem na pokładzie wywołanym zwarcieniem, próbował wrócić do bazy na Półwyspie Kolskim i poniósł śmierć na miejscu. Szczątki samolotu wraz z ciałem pilota zwrócono Rosjanom, natomiast rakiety znalazły się w Eskadrze Wsparcia Taktycznego RAAF w Bardufoss.

Pod Firefoxem leżała podpora z surowego pnia drzewa oraz czarny pływak ze spuszczonego powietrzem. Wykorzystano je do uniesienia w górę samolotu i sprawdzenia stanu podwozia. Z jednej strony stały dmuchawy termiczne, oczekujące na ponowne wykorzystanie. Większą część kadłuba Miga przed rozpoczęciem operacji okryto prowizorycznym pokrowcem, pod który wdmuchiowano osuszające gorące powietrze. Teraz osłonięte były jeszcze wloty powietrza silników. Zaledwie kilka minut temu jeden z techników zakończył swą powolną, monotonną wędrówkę dookoła samolotu z małą, przenośną dmuchawą, której zadaniem było osuszenie każdego zawiasu, kłapy i rygla w samolocie.

Osłony załatano w tych miejscach, gdzie widniały otwory po kulach. Naprawiono przewody paliwowe. Załadowano na pokład tlen. Z punktu widzenia Buckholza samolot wyglądał jak bardzo kosztowny model. Jakimś sposobem nie umiał wyobrazić sobie tej maszyny w powietrzu. Owszem, wyglądał złowieszczo i groźnie, na swój sposób był piękny. Lecz on miał wrażenie, że to tylko kopia, makieta. Nie potrafił uwierzyć, że układy awioniczne, hydraulika, przyrządy pokładowe, same silniki, a nawet kłapy czy stery będą działały. Ponad siedem godzin po zrzucie, po rozpoczęciu prac nad Firefoxem, Buckholz wciąż nie mógł uwierzyć.

Pomachał ręką do Moresby'ego, który jakby z ociąganiem odrywał się od rozmowy z dwoma inżynierami ze swojego zespołu. Anglik pospieszenie pokonał dzielącą ich odległość.

– O co chodzi, Buckholz? – rzucił, oglądając się przez ramię na samolot. – Chyba nie masz teraz ochoty na jakieś delikatne przepytывanie, co?

– Nie. – Odwrócił się twarzą w stronę ośnieżonego jeziora. Spostrzegł, że widzialność wzrasta. Dostrzegał połacie gołego lodu, garby śnieżne i zaspę, ciągnące się w dal od brzegu. – Pas startowy – wyjaśnił.

– Ach, tak. Myślałem już o tym. – Moresby raz jeszcze obejrzał się na samolot i zawołał: – Nie chcę, żebyście sprawdzali tego radia, dopóki cała reszta nie będzie gotowa! – Jeden z dwóch mężczyzn, z którymi uprzednio rozmawiał, uniósł rękę w górę na znak zgody. – Nie wiem, czy ci pieprzeni Rosjanie nie prowadzą nasłuchu. Nawet jeśli wiedzą, gdzie jesteśmy, nie chcę, by wiedzieli

cokolwiek ponad to... Mogliby w ten sposób pomyśleć, że nie wierzymy w sukces! – Jego uśmiech przypominał grymas bólu. – Chodźmy, rzucimy okiem na ten pas startowy!

Weszli na lód, kuląc się od wiatru i niesionego śniegu.

– Tysiąc dwieście metrów... lepiej dać mu trochę więcej... – mruknął Moresby zapatrzony w kompas. Niemal odruchowo zmienił kierunek marszu. – Tutaj zakręt... Aha, odsłonięty lód. Zaznaczymy kierunek farbą. – Wyciągnął z kieszeni kurtki pojemnik ciśnieniowy i czerwoną farbą w aerozolu wymalował na lodzie łagodny łuk. – Proszę, jak pięknie. – Ruszył dalej miarowym krokiem, oddalając się od Buckholza na północ, wzdłuż osi jeziora. Buckholz dogonił go szybko i poszli razem, zasłaniając twarze od wiatru. Na oczy naciągnęli gogle.

– Jak leci? – odezwał się po pewnym czasie Buckholz. Moresby liczył pod nosem. Mniej więcej co sto kroków znaczył śnieg lub odkryty lód paskiem czerwonej farby.

– Dziękuję, żona zdrowa. Wybieramy się w tym roku do Wenecji... chociaż niezbyt mnie to pociąga.

– Cholera! Pytałem o samolot.

– Ach, tak. I źle, i dobrze. I tak, i nie.

– Rozumiem.

– Nie będzie gotów do lotu za godzinę, a nawet za dwie godziny – oświadczył Moresby. – Chyba że stanie się cud.

– Do diabła! Co jest nie w porządku?

Moresby znów prysnął farbą na odsłonięty lód, a następnie pochylił się nad zaspą śnieżną i zaczął w niej kopać. Miała nie więcej niż czterdzieści centymetrów wysokości. – Mhm – mruknął. – Niektóre z tych garbów trzeba będzie wyrównać. Gorące powietrze powinno załatwić sprawę. Resztę zdmuchniemy zstępującym ciągiem.

– Zstępującym ciągiem?

– Mamy dwa helikoptery, starszku. Jeśli przelecą tam i z powrotem wzdłuż tego waszego pasa startowego, zdmuchną z powierzchni lodu większość śniegu. Pozostałe, przymarzniałe zasypy będziemy musieli roztopić! Chodźmy, pójdziemy dalej.

– Co jest nie w porządku z samolotem?

– Och... Słuchaj, Buckholz, muszę ci zrelacjonować wszystko ze szczegółami, od dziobu do ogona, tak jak to wygląda. Może wtedy zrozumiesz problem. A ten problem jest teraz jeszcze większy, ponieważ Rosjanie wiedzą, gdzie jesteśmy i czym się zajmujemy... Przede wszystkim nie sądzę, tak jak wy, że wystarczy mały skok przy zanikomej prędkości do Norwegii!

– Możliwe. Miałem po prostu nadzieję...

– Nieważne, stało się. Tatuś i cała reszta rodziny będą nadal pracować. Samolot musi być sprawny, musi osiągnąć swą maksymalną prędkość i pułap, musi być zdolny do walki, dysponować siłą ognia. Tak samo jak wtedy, kiedy wyszedł z fabryki. A do osiągnięcia tego stanu potrzebowalibyśmy znacznie więcej czasu!

– Czy to możliwe?

– Nie, w każdym razie nie tutaj. Posłuchaj... – Naznaczył farbą zaspę śnieżną. – To już dziewięćset metrów. Cały samolot został osuszony... sterowane powietrzem instrumenty i systemy wspomaganie są sprawne... hydraulika i przyrządy pokładowe w porządku... Nie chcemy nawet próbować zająć się systemami antyradarowymi i sterowaniem myślowym, nie wiemy, jak działają. Sprawdziliśmy styki, przełączniki, okablowanie, na wypadek zwarcia czy uszkodzenia... – Maszerowali cały czas pośród niesionego wiatrem śniegu. Widzialność okresowo poprawiała się do siedemdziesięciu czy nawet osiemdziesięciu metrów, a następnie gwałtownie spadała. Moresby mówił dalej: – Załatanie dziur po kulach było stosunkowo proste, podobnie jak usunięcie wody ze zbiorników paliwa. Radar i pozostałe układy awioniczne w sekcji dziobowej... no cóż, zrobiliśmy co w naszej mocy. Sprawdziliśmy wszystko, wymieniliśmy niemal każde łącze wielostykowe, a także część przewodów, wyglądających niezbyt pewnie... w zasadzie to wszystko, co mogliśmy zrobić w tych warunkach. Nie mając instrukcji serwisowej! – Moresby uśmiechnął się, wymalował kolejny czerwony pasek, zatrzymał się na chwilę i pogrzebał butem w niewysokim garbie śnieżnym, przecinającym ich drogę, wreszcie ruszył dalej. – Układy ręcznego sterowania uzbrojeniem wydają się w porządku. Wasz pilot będzie mógł strzelać. Jednak w części ogonowej zainstalowaliśmy ładunki inne od tych, które stosowali Rosjanie, ale chyba będą skuteczne. O ile zmieszczą się między listwami wyrzutnika, a zapłon je odpali, rzecz jasna, wtedy efekt może być wystarczający, by oszukać pociski naprowadzane podczzerwienią.

Umilkł na chwilę.

– Nadal jednak twierdzisz, że samolot nie będzie gotowy? – wtrącił Buckholz.

Moresby po raz kolejny rozpylił farbę i oznajmił: – Tysiąc dwieście metrów. Gdzie jesteśmy? – Zapatrzył się pod gnany wiatrem śnieg. – Mhm, widzialność: pięćdziesiąt metrów. Podejdźmy dalej i zobaczmy, ile dzieli nas od północnego brzegu i linii drzew! – Uszli kawałek drogi, zanim Moresby wreszcie odpowiedział na pytanie Buckholza: – Nie, nie będzie przygotowany. Po pierwsze,

trzeba go jeszcze zatankować. Radio, układy elektryczne, silniki: to wszystko trzeba przetestować. Nie sprawdziliśmy jeszcze połowy przyrządów pokładowych. Nie dałbym tej maszynie atestu wcześniej niż jutro wieczorem. – Zatrzymał się. – Ach, tu jesteśmy. Prawie tysiąc trzysta pięćdziesiąt metrów. Będzie musiał mieć trochę szczęścia.

– Jak długo trwałoby wymontowanie najważniejszych urządzeń z samolotu?

– Minimum dwie godziny.

– To znaczy...

– Jesteśmy zobowiązani, tak czy inaczej. Gdy tylko nastąpi rozpozgodzenie, wasz człowiek będzie musiał wystartować, w przeciwnym razie wysadzimy wszystko w powietrze, nawet nie ratując systemów anty radarowych i sterowania myślowego. Sformułowałem to najłagodniej jak potrafiłem.

Buckholz popatrzył na drzewa pochylające się nad łukowato wygiętym brzegiem jeziora. Były przez chwilę dobrze widoczne, lecz zaraz ponownie zniknęły w śnieżnej mgle. Pogoda poprawiała się... Padał mniejszy śnieg, chociaż wiatr, jak się zdawało, nie stracił na sile.

– Czy możemy oczyścić ten pas startowy?

– Och tak, tak sądzę. Chyba nawet bez specjalnych kłopotów, jeśli wykorzystamy nasze dwa helikoptery, oraz dmuchawy termiczne do stopienia tych zwariowanych pagórków. Łód pod spodem jest w porządku. Jeśli to dobry pilot, da sobie radę... – Moresby zadarł głowę w niebo. Poprzez przerzedzającą się śnieżycę widać było ciężkie, szare chmury. – Teraz, kiedy już wiedzą, jakie powitanie zgotują tam, w/ górze, o ile uda mu się wystartować? Nie dałbym tej maszynie żadnych szans w spotkaniu ze Spitfire'em, a co mówić o Migu-25!

– Tak, Moresby, rozumiem. Tak, tak, podjąłem taką decyzję. Dziękuję. Będę w kontakcie.

Aubrey odszedł od pulpitu w stronę Curtina, całkowicie ignorując Ganta, który wyglądał przez okno na wyłaniający się znów widok gór i fiordów.

– Jakie wiadomości, sir? – zapytał Curtin.

Aubrey machnął ręką, sygnalizując niepewność. – Moresby uważa, że powinniśmy demontować, a nie próbować przelotu – rzekł. – Co nowego od Eastoego i z Przylądka Północnego?

– Stacja z Przylądka Północnego obserwuje ruchy wojsk. Donoszą, że co najmniej jeden z desantowych helikopterów transportowych rozbił się przy lądowaniu. Brak szczegółów. To zdarzyło się w Niklu, który, jak wszystko wskazuje, jest ich punktem zbornym.

– Mhm. Jak oceniają aktualne siły?

Curtin wzruszył ramionami. – Tutaj możemy już tylko zgadywać. Chyba nieco ponad stu komandosów... tak wynika z kalkulacji czasu od chwili wykrycia nas, dotychczasowych warunków atmosferycznych oraz rozmieszczenia jednostek Niezależnych Sił Lotnictwa... chyba wymieniłem wszystko. Ale to tylko ostrożna ocena, sir.

– Stu komandosów. Rozumiem.

– Do tego broń pokładowa. Nasi ludzie nie dysponują Blowpipe'em ani podobną wyrzutnią. Będą stanowili odkryty cel dla broni pokładowej. Podobnie jak Firefox.

– Wiem o tym...! – ryknął Aubrey, lecz szybko dodał: – Przepraszam. Mów dalej.

– Eastoe cały czas melduje o ruchach wojsk. Jest im bardzo trudno... dlatego rozbili się helikopterem. To ich nauczy nieco ostrożności, sir, jeśli nie więcej. Przerzucają także oddziały samochodami. Trudno tu o jakieś szacunki. Można chyba jednak bezpiecznie założyć, że...

– Lecz, jak do tej pory, niczego nie przerzucili przez granicę? Niczego?

Curtin pokręcił głową. – Nie zauważono...

– Ale nikt nie jest pewien?

– Nie.

– Co zatem?

– Wygląda na to, jakby szykowali się do jednego dużego przerzutu. Setka albo więcej ludzi, może dwa lub trzy silnie uzbrojone śmigłowce, nie licząc helikopterów transportowych...

– Aktywność w bazach na Półwyspie Kolskim?

– Silna. Żadnych lotów, pogoda nie pozwala na to, przynajmniej na razie. Do najbardziej wysuniętej bazy w Pieczendze rozpogodzenie dotrze niedługo po tym, jak ogarnie nas. Chyba wiadomo, co się wówczas stanie. – Curtin nagle oderwał się od szczegółów i powiedział: – Oni wiedzą wszystko, Mr Aubrey. Muszą także wiedzieć o nim – dodał, wskazując głową w stronę Ganta. – Wiedzą również, co zamierzamy uczynić z Nessie nad jeziorem... To jest wyścig, sir. A my nie możemy go wygrać. Jeżeli mają jedynie zamiar zniszczyć Firefoxa, będą mieli na to mnóstwo czasu.

– Jeśli mają tylko taki zamiar – powtórzył Aubrey, jednak po jego minie widać było wyraźnie, że w głębi duszy zgadza się z argumentami Curtina. Spojrzała na plecy Ganta, po czym znów przeniósł wzrok na Curtina. Pokręcił głową, bardziej chcąc wyrazić swe wątpliwości, niż czemukolwiek zaprzeczyć. – Wkrótce ma się rozpogodzić, Curtin. Na podjęcie decyzji mam dziesięć minut,

może nieco więcej. To... trudna decyzja... – Ścisnął dolną wargę między kciukiem i palcem wskazującym, drugą dłonią obejmując łokieć zgiętej ręki. – Bardzo trudna – mruknął. – Powinniśmy mieć godzinę, może nieco mniej, stosunkowo dobrej pogody... później w żaden sposób nie będzie można wystartować. Przez połowę tego czasu nic nam nie grozi, ponieważ Rosjanie nie będą jeszcze mogli wzbic się w powietrze. Potem jakieś dziesięć czy piętnaście minut do przybycia ich pierwszych oddziałów. Trzy kwadranse. A Moresby przysięga, że samolot nie będzie gotowy... – Uniósł wzrok. – Choć w pewnym sensie już jest gotowy, zdolny do przelotu na niskim pułapie, z prędkością poddźwiękową, trzystudwudziestokilometrowej trasy do Bardufoss. Moresby nie gwarantuje niczego ponad to... Co gorsza, nie jest pewien, czy system antyradarowy będzie działał, a jeśli tak, to czy nie zawiedzie podczas lotu.

Curtin potakująco skinął głową. Po chwili rzekł cicho: – Możliwe, że wysłałby go pan na przelot samolotem, zdolnym w każdej chwili do odmówienia posłuszeństwa, nie reagującym na działania pilota, nie dysponującym szybkością do ucieczki... i do tego widocznym na ekranie każdego radaru, czy to naziemnego, czy na pokładzie samolotu; widocznym z odległości setek kilometrów. To ryzykowne, Mr Aubrey. To bardzo ryzykowne!

- Sądzisz, że wysłałbym go na śmierć?
- Chyba tak.
- To znaczy, że nie mogę go o to prosić, prawda?
- Nie. Myślę, że nie może pan.

Drzwi chaty otworzyły się. Do środka wpadło zawrodozenie wiatru, który jakby wepchnął Thorne'a do pokoju. Kiedy tylko zamknął drzwi, powiedział: – Już teraz można startować. Za dwie minuty będzie jeszcze lepiej. Jaka decyzja, sir?

Powietrze było ciężkie od zapachu parafiny. Niebieskawy dym kłębił się pod niskim sufitem. Gant odwrócił się od okna. Podszedł do najbliższego łóżka połowego i sięgnął po swój hełmofon.

- Obawiam się... – zaczął Aubrey.
- Ja także – wtrącił Gant, stając na wprost niego. Jego postawa stanowiła wyzwanie.
- Chciałem powiedzieć...
- Wiem, co chciałeś powiedzieć. To już nie ma znaczenia.
- Mitchell, posłuchaj mnie, proszę. Nie możemy cię zmusić, żebyś to uczynił... W rzeczywistości zaczynam wierzyć, że nie powinieneś nawet próbować. Czas... nasz czas się już kończy. Nie masz szans przeżycia, nawet jeśli uda ci się wystartować. Sam wiesz o tym.

– Możliwe. – Twarz Ganta pozostała obojętna. – Nie mogę pozwolić, by wszystko poszło na marne, Aubrey. Nie obchodzi mnie, po co to robiliśmy ani czy było to cokolwiek warte. Ale zginęli ludzie i przynajmniej im jestem to winien. – Energicznie wcisnął hełmofon pod pachę. – Życz mi szczęścia.

Aubrey skinął głową, lecz nie odezwał się. – Powodzenia, Mitchell – rzekł Curtin. – Życzę ci wiele szczęścia.

– Dzięki.

Drzwi zamknęły się za Gantem. Aubrey milczał. Na ścianie chaty wisiał zegar – stary, pozbawiony szkła zegar elektryczny o dwóch grubych czarnych wskazówkach i cienkim czerwonym sekundniku. Aubrey utkwiał w nim wzrok. Zegar zaczął odliczać czas ostatniej fazy operacji – czas Ganta. Sekundnik minął dwunastkę, rozpoczęła się nowa minuta.

Tylko godzina – pomyślał Aubrey. Za godzinę będzie po wszystkim. Po wszystkim...

14.

Wir

Harrier pojawił się jako huczący punkcik, potem zmienił w mglisty, niewyraźny kształt na tle ciężkich chmur – jak sokół szykujący się do nurkowania. Waterford wyobrażał sobie, co dostrzeże pilot. Bezkresna biel; nie zadrukowana kartka. Ledwie widoczne, sterczące drzewa, ogradzające dokoła jezioro. Bezkształtny, wręcz bezpostaciowy krajobraz.

Samolot rósł w oczach, powoli zniżał lot. Znaki rozpoznawcze RAF, barwy maskujące, szary, wydłużony jak u rekina brzuch. Dwie golenie podwozia, umieszczone niemal pod czubkami skrzydeł, symbolizujące dziecięce pojęcie stabilności, wysuwały się na spotkanie z lodem. Samolot zakołysał się. Sześćdziesiąt metrów, pięćdziesiąt...

Teraz Gant oraz pilot mogli już widzieć twarze ludzi; zaczęli rozróżniać zasy i nierówności tafli lodowej oraz niesiony wiatrem śnieg. A także namalowane przez Moresby'ego czerwoną farbą pasy.

Waterford dostrzegł kołysanie skrzydłami – nie ucichły jeszcze do końca wiatr uniemożliwiał łagodne schodzenie. Kłęby śniegu przesuwaly się nad taflą, unosily w coraz bardziej przejrzystym powietrzu. Piętnaście metrów. Pomyślał przez chwilę, że pilot zaniecha próby lądowania i uniesie się w górę, jakby w kominie powietrznym, aż z powrotem osiągnie bezpieczną wysokość. Lecz Harrier opadał dalej. Niepewnie, jakby z ociąganiem...

Widok z dzieciństwa; nurkowanie sokoła, a następnie ciężkie, powolne wznoszenie z wysokiej trawy; pod nim wierzgający dziko królik, mocno trzymany w szponach. Lewe koło Harriera zetknęło się z lodem chwilę wcześniej niż prawe. Wreszcie z głośnym stuknięciem opadło przednie koło. Kilku, może sześciu, mężczyzn zaczęło bić brawo. Inni pobiegli, by zabezpieczyć

samolot przed kolejnymi zrywami śnieżycy.

– Przyleciał – odezwał się Buckholz do Waterforda, chcąc rozładować napięcie.

– Kto? Superman? – Waterford obejrzał się na Firefoxa i ponownie popatrzył na jezioro. Ludzie wspinali się już po drabince do kabiny. – Tak – dodał ciszej. – Biedny, pieprzony superman. Jak Aubreyowi udaje się ich ogłupiać?

– Nas także masz na myśli? – spytał Buckholz, uśmiechając się. Nie czekając na odpowiedź zszedł na lód i uniósł ręce w górę, by dać znać Gantowi, który właśnie ściągał hełmofon.

– Nas także – przyznał Waterford.

Buckholz powitał Ganta szeroko otwartymi ramionami.

– Buckholz!

– Mitchell! Jakże się cieszę, że cię widzę, chłopcze!

– Później. – Gant spoglądał już nad ramieniem Buckholza w stronę Firefoxa. Na jego kombinezonie ciśnieniowym topniały płatki śniegu. Wiatr zawodził cienkim, piskliwym głosikiem. – Czy jest gotowy? – zapytał.

– Nie...

– A więc szykujmy go, Buckholz! – rzucił Gant.

– Zaczekaj chwilę, Gant...

– Później. – Szybko minął Buckholza oraz Waterforda i podszedł do samolotu. Przed nim, jakby chciał mu stanąć na drodze, wyrósł Moresby. Inżynierowie i technicy z jego grupy wciąż kręcili się dokoła kadłuba i skrzydeł, kucali pod brzuchem. Terkotał przenośny generator, którego używali do kontrolowania układów elektronicznych samolotu. Gant stanął przed Moresbym, jak gdyby chciał oddać tamtemu należny respekt i szacunek. – Moresby? – zapytał.

– Tak, chłopcze. A teraz chodź szybko do kabiny, powiesz mi jak to wygląda. Czeką cię mnóstwo roboty w ciągu najbliższej półgodziny. – Zostało to powiedziane swobodnym tonem, lecz Gant zauważył malujące się na twarzy Moresby'ego zaszępienie i niepewność.

– Buckholz stwierdził, że samolot nie jest jeszcze gotowy – rzekł.

– Niestety, proszę pana, dziś przez naszą stację przeszło wiele samochodów.

– Ile jeszcze jest do zrobienia?

– Musisz posprawdzać wszystko do końca. Czekają nas jeszcze tankowanie... chociaż nie potrwa długo. Nie polecisz przecież daleko.

– Czym dysponujecie?

– Pompą wózkową, trochę powolną, jak sądzę.

- Napełniajcie zbiorniki.
- Potrzebujesz tylko tyle paliwa, by wykonać krótki przelot...

Gant stawiał już stopę na drabince wiodącej do kabiny, odwrócił się i kciukiem wskazał chmury, – Wiesz dobrze, że będą tam na mnie czekali. Napełniajcie zbiorniki.

– Masz rację, Gant, a zarazem mylisz się. Nie daję żadnych gwarancji tej maszynie... – Urwał i zbliżył twarz w stronę Ganta, jakby chciał przekazać mu jakiś sekret. Po chwili dodał: – Nie mogę nawet dać gwarancji, że pokona te kilkaset kilometrów do Bardufoss.

Wszystko może się zdarzyć... – Uniósł dłoń, dostrzegłszy, że Gant chce mu przerwać. – Posłuchaj mnie, Gant. Proszę, posłuchaj uważnie. Kiedy samolot znajdował się pod wodą, mogło nastąpić dowolne uszkodzenie jednej lub wielu jego części. Na oko wszystko jest w porządku, sprawdzamy go. Ale w trudnych warunkach, w warunkach bojowych... – Urwał ponownie, chcąc zwiększyć efekt swojej wypowiedzi. – Ty możesz nie pęknąć w warunkach bojowych, Gant, ale nie mam odwagi stwierdzić, że to samo i w takim samym stopniu odnosi się do Firefoxa. Czy rozumiesz mnie?

Gant spoglądał na niego, wreszcie odwrócił się i wspiął po drabince. Przerzucił nogi przez burtę kabiny i usiadł w fotelu pilota. Po chwili, kiedy spojrział w dół na Moresby'ego, jego twarz była skupiona i blada.

– Rozumiem, Moresby – rzekł. – Rozumiem wszystko. Może się rozwalić, rozsypać na kawałki w każdej chwili. Oczywiście, nie jesteś niczego pewien, nie możesz powiedzieć... – Urwał i wbił wzrok w znajdującą się przed nim tablicę przyrządów. Sięgnął dłońmi do drążka sterowniczego. – Ile czasu zajmie wam napełnianie zbiorników paliwa? – zapytał w końcu oschłym, profesjonalnym tonem.

- Trzydzieści do czterdziestu minut.
- Chcę zatem, żebyście wyciągnęli go na lód. Teraz.
- Co...?

Gant parsknął. – Jeżeli nie będzie stał na końcu pasa startowego kiedy tamci przybędą, na pewno stracimy jakiegokolwiek szanse. Przeholujcie go na lód.

– Jasne – odparł nie zrażony Moresby. – W porządku. Trzymaj się. – Odszedł, podniesionym głosem wydając polecenia inżynierom i technikom ze swej grupy.

Gant siedział w fotelu pilota. Drżenie dłoni ustępowało. Nie miał się czego bać. Wyczekiwanie. Ostrzeżenia Moresby'ego nie wywarły na nim żadnego wrażenia, poza chwilowym rozdrażnieniem. Teraz odczuwał niecierpliwe pragnienie wyruszenia w drogę. Rodziła się w nim buta drapieżnego ptaka.

Krzątania dokoła znaczyła tylko tyle, że samolot znów zostanie oddany pod jego kontrolę. Obraz Anny oddalał się, znikał w długiej, zwężającej się perspektywie. Towarzyszyły jej inne twarze – zarówno martwych jak i żywych osób.

Usłyszał, jak ożywa silnik ciągnika gąsienicowego. Jaskrawożółty pojazd sapiąc zaczął toczyć się wzdłuż brzegu ku niemu, mnąc gąsienicami poskrzypujący momat. Pełen respektu podkradł się do samolotu, a sztywny hol przymocowano do goleni podwozia pod dziobem Firefoxa. Gant pokazał wystawiony w górę kciuk, kierowca ciągnika odpowiedział takim samym gestem, z komina holownika wyleciał kłęb dymu i Amerykanin poczuł, że cały kadłub przebiega drzenie. Z początku powoli, Firefox zaczął toczyć się do tyłu. Gant zapatrzył się w lusterko wsteczne, jakby ustawiał samochód tyłem na parkingu. Z głośnym, skrzypiącym protestem samolot kołował po momatowej ścieżce.

Buckholz stał, obserwując drogę Firefoxa. Inni ludzie także oderwali się od swoich zajęć. W nienaturalny sposób samolot kołował do tyłu. W pewnym momencie chciał zaprotestować przeciwko wytaczaniu maszyny, jednak szybko zrozumiał, że kamuflaż nie jest już potrzebny, że drzewa nie osłonią go przed granatami i raketami. Gantowi potrzebna była każda sekunda, a nawet ułamek sekundy przewagi.

Samolot powoli wtoczył się na lód, zjeżdżając po pochyłości skarpy, z ociąganiem stając na poziomej tafli, okrytej ostatnimi metrami przenośnej ścieżki. Ciągnik spychał go dalej, aż Firefox zjechał z momatu, wreszcie szerokim półkolem obrócił go dziobem w kierunku północnym, wzdłuż osi jeziora. Śnieg niemal przestał już padać i Buckholz mógł widzieć na odległość kilkuset metrów, gdzie szarawe, mroźne powietrze tworzyło sfałdowaną firankę przesłaniającą dalszy krajobraz. Domyślał się, że ze swojej kabiny Gant może ogarnąć wzrokiem nie więcej, jak trzecią część długiego, niezbędnego mu, lodowego pasa startowego.

Podszedł szybko do Firefoxa. Ludzie wrócili do pracy, komandosi zajęli swe pozycje po bokach samolotu. Przyszło mu na myśl, że stanowili bardziej gwardię honorową niż poważne siły obronne.

Ludzie pod nadzorem kapitana Królewskiej Inżynierii zaczęli usuwać zasy i zmarznęte garby śniegu wokół samolotu. Jak gromadka dzieci oczyszczająca dojście do domu albo odśnieżająca dla ojca podjazd prowadzący od garażu do głównej ulicy.

Gant przyglądał się im z góry.

- Chcesz, żebyśmy oczyścili już pas startowy?
- Im wcześniej, tym lepiej.

– Zajmę się tym. – Buckholz odwrócił się, po czym jeszcze raz obejrzał na Ganta. – Nie musisz tego robić, wiesz o tym. To dość poważne ryzyko. – Gant nie odpowiedział. Buckholz cofnął się i oparł dłoń o bok kadłuba poniżej kabiny. – Moresby musiał powiedzieć ci o ryzyku wiążącym się z lotem. Chcę ci tylko przypomnieć, Mitchell, że nie musisz się w to pakować.

Gant popatrzył na niego z góry. W jego minie było coś niepokojąco obcego, aroganckiego. – Odwal się z tą gadką, Buckholz, dobra? – rzucił, a po chwili dodał cieplejszym, spokojniejszym tonem: – I... dziękuję.

– W porządku. Nie chciałbym tylko, żebyś kłął na mnie, kiedy to draństwo spadnie z nieba jak czarny kamień.

– Obiecuję.

Buckholz machnął ręką, po czym odpiął krótkofalówkę od klapy kurtki.

– Halo, Gunnar! Gunnar?

– Słyszę pana, Mr Buckholz. – W mroźnym powietrzu głos Gunnara wydawał się skrzekliwy. – Proszę mówić.

– Biercie się za odśnieżanie. Ktoś tu chciałby, żeby wszystko było gotowe na czas – rzekł uśmiechnięty lekko Buckholz. Odwrócił się i popatrzył na odległy brzeg jeziora – mglistą, niewyraźną linię. Drzewa wyłaniały się z gęstego powietrza niczym filary zrujnowanego nabrzeża. Dość wyraźnie usłyszał, jak zaczynają się obracać wirniki dwóch helikopterów – czekał, aż wyłonią się z szarawej, brudnej mgiełki.

Gant patrzył, jak technicy Moresby'ego staczają po pochyłości brzegu wózkową pompę. Dwa pojemniki paliwa przetaczano z trudem po lodzie w kierunku samolotu. Jeden z nich połączono wężem z końcówką wlewu paliwa samolotu. Gant czekał, niemal drżąc z niecierpliwości w swoim fotelu, aż wreszcie rozbrzmiał uspokajający terkot pracującej pompy. Moresby przyglądał się całej operacji z nieodmiennie pośepnym wyrazem twarzy. Paliwo zaczęło płynąć do lewego zbiornika.

Moresby pospieszenie podszedł po lodzie do samolotu, wspiął się na drabinę, wystawiając głowę ponad burtę kabiny i popatrzył w dół na Ganta. Ten uruchomił stoper na głównej tablicy przyrządów. Sekundnik ruszył zrywami. Moresby spojrzał na swój stoper, zawieszony na szyi.

– W porządku – powiedział. – Zginamy nasze karki od prawie ośmiu godzin, chłopcze. Zobaczmy teraz, jak szybko ty sobie poradzisz, dobra?

Gant spojrzął prosto w oczy starszego oficera technicznego i skinął głową. – Dobra, Moresby. Zaczynajmy.

- Tylko nie włączaj zapłonu, dopóki pompujemy paliwo, jasne?
- Pewnie. A gdybym chciał tankować na gorąco...?

Moresby jęknął. – Nie rób tego, chyba że będziesz musiał. – Uniósł oczy w górę, po czym dodał: – Minęło szesnaście minut i dwanaście, trzynaście sekund od twojego startu z Kirkenes. Zabierzmy się lepiej do roboty, staruszk. Dobra? Sprawdzaliśmy wszystko, co można... Rozpoznasz, czy odczyty są prawidłowe. – Moresby spojrzął w dół, wzdłuż drabinki pilota, i nie odzywał się, dopóki nie został podtoczony do boku samolotu i podłączony do sieci elektrycznej Firefoxa przenośny zasilacz. Wreszcie powiedział: – W porządku. Wykonaj całą przedstartową procedurę, kontrolę kołowania i startu, co tylko dasz radę. Ja będę notował.

Gant zawahał się, jakby smakując tę chwilę. Nagle jego dłonie wpadły w rytm. Włączył zasilanie układów elektronicznych, natychmiast rozległo się głośne brzęczenie, przechodzące stopniowo w wysoki pisk.

– Dobrze. Instrumenty żyroskopowe poszły w ruch – mruknął Moresby. – Ciśnienie układów awaryjnych w normie. Sprawdź... wskaźniki kontroli lotu. W stanie spoczynkowym i w ruchu...

Kciuk Ganta ześliznął się z dźwigni sterowania silnikami, pchnął drążek w dół. – Sześćdziesiąt stopni, i tyle pokazuje – oświadczył, kiedy kłapy opadły.

Podniósł kłapy z powrotem i wierzchem nadgarstka lewej dłoni trącił inną dźwignię. Hamulce aerodynamiczne wysunęły się z cichym zgrzytem, a cały kadłub przebiegło lekkie drżenie. Czekał. Moresby wyczuwał jego niepokój i zniecierpliwienie. Spojrzął ponad głowę Ganta na dwa Lynxy, które wzniosły się ponad drzewa na przeciwległym brzegu i zaczęły sunąć nad lodem w ich kierunku na wysokości mniej więcej pięćdziesięciu metrów. Gant także odwrócił głowę.

Pochyliły się na boki, zahustały, zawisły niedaleko Firefoxa, po czym zaczęły powoli opadać niczym grube czarne pająki zawieszzone na niewidocznych niciach. Śmigłowiec Gunnara jako pierwszy ruszył do lotu wzdłuż jeziora. Wokół nich zstępujący ciąg powietrza wyrzucał w górę i unosił na boki śnieg, jak chmury pyłu porwane koszącym, pędzącym nad ziemią wiatrem. Kiedy zadymka rozwiała się, na odsłoniętych połaciach gładkiego lodu pozostały jedynie przymy zmarzniętego śniegu.

- To nawet działa – oznajmił Moresby.
- Sprawdzam sygnalizację optyczną i lampki awaryjne – powiedział Gant.

Włączył przełączniki na pulpicie. Terkot helikopterów niósł się głośnym echem po całym jeziorze. Żołnierze z Królewskiej Inżynierii rozbijali już i stąpali za pomocą łopat i dmuchaw termicznych niskie, ostro zakończone pryzmy zamarznętego śniegu. Zauważył, że większość z nich była zaznaczona czymś, co wyglądało na czerwoną farbę.

Światelka kontrolne na pulpicie zamigotały we właściwej sekwencji. Po chwili Gant rzekł: – Kontrola antyprzeciążeniowa włączona... i sprawdzona.

– Zajmij się radiostacją – podpowiedział Moresby. – Wybierz sowiecki kanał taktyczny. Posłuchamy, co porabiają nasi przyjaciele. Tylko nie uruchamiaj nadajnika.

– Jasne. Jaki mamy dziś dzień?

– Czwartek.

Gant wyciągnął niewielką kartę z uchwyty na skrzynce radiostacji. Musiał zaprogramować odpowiedni kod sekwencyjny, by ustawić radio na tajny sowiecki kanał taktyczny, jako że sposób przerzucania częstotliwości zmieniany był każdego dnia.

– Gotowe – rzekł.

Włączył radio, a następnie wciągnął rosyjski hełmofon na głowę. Wsunął wtyczki przewodów łączności i sterowania myślowego w odpowiednie gniazdka z boku fotela. Wreszcie włączył selektor fal, zaprogramował kod sekwencyjny i niemal natychmiast zapłonęły dwa czerwone oczka, migocząc w trakcie poszukiwania zmieniających się częstotliwości. Moresby patrzył uważnie na niego. Skupił się na rozbrzmiewających w słuchawkach, skrzekliwych głosach. Wrzało jak w ulu... czekał, prawie wstrzymawszy oddech. Stoper wskazywał, że minęło już osiemnaście minut. W powietrzu panował jeszcze spokój. Jednakże wszystko stało w pełnej gotowości, zatankowane, czekając jedynie na rozkaz startu. Powtarzane współrzędne lokalizacji jeziora, wskazówki taktyczne, kolejność startów, pułapy i rejony działania poszczególnych eskadr...

Włączył radio. – W porządku – oświadczył. Ale to nie była prawda. Poczł nagle przyplływ odrętwienia, niechęć do dalszego działania. Będą na niego czekać. Dziesięciu albo piętnastu pilotów, przygotowanych na to, że dostrzegą go jedynie na ekranach podczerwieni; czekających wzdłuż określonych, wytyczonych tras, jak gdyby rozpinających między sobą sieć i gotowych pochwyć go, kiedy tylko szperacze wyłowią gorącą smugę spalin podczas jego startu z powierzchni jeziora.

Kłęby śniegu rozwiewały się. Roztapiano i niwelowano garby śnieżne i zasy. Dwa helikoptery Lynx zmieniły się w dalekie, nierzeczywiste, czarne punkciki przy odległym brzegu jeziora.

Nie miał żadnych szans.

Ale nie było też innego wyjścia. Przełknął ślinę i odezwał się zachrypniętym głosem: – Co mówiłeś?

– Pytałem cię o antyradar i sterowanie myślowe. Nie wiemy, jak to działa, dlatego nie mogliśmy sprawdzić, czy wszystko funkcjonuje normalnie. Czy jest na pulpicie jakaś kontrola systemu antyradarowego?

Gant pokręcił głową. – Nic elektrycznego czy mechanicznego, nic do sprawdzania. – Spojrzał na Moresby'ego. – Nie wiem...

Dwa śmigłowce ponownie zanurzyły się w zadymce, wędrującej powoli nad taflą tym razem w ich stronę.

– Cholera – mruknął Moresby. Nagle klasnął energicznie osłoniętymi rękawicami dłońmi. – Mam! – Pochylił głowę, zbliżając usta do mikrofonu krótkofalówki. – Thorne! Thorne? – zawołał natarczywym, zręczącym głosem. Gant spojrział w kierunku Harriera. Dojrzał, jak Thorne macha ręką w odpowiedzi.

– Słucham, sir – odezwał się formalnym tonem.

– Bądź dobrym kolegą i spójrz, czy możesz nas dostrzec, dobra? – odezwał się Moresby z wyszukaną grzecznością. – Na ekranie radaru, oczywiście.

– Ale...

– Bez żadnych ale. Zrób to, mój chłopcze.

– Tak jest, sir.

– W tym czasie możesz sprawdzić hermetyzację i klimatyzację – Moresby zwrócił się do Ganta.

– Dobra. – Moresby zszedł z drabinki i Gant opuścił osłonę kabiny. Usłyszał, że Moresby wsuwa łącze do zewnętrznego gniazdka łączności, by mogli się porozumiewać. Zamknął osłonę. Był odizolowany we wnętrzu Firefoxa. Podłączył maskę do wylotu tlenu. Połączenie było szczelne, ciśnienie zadowalające. Pozostało mu sprawdzić jedynie system alarmowy dekompresji, ponieważ hermetyczność kabiny można było skontrolować tylko na odpowiedniej wysokości. Wszystkie lampki zabłyśły zgodnie, kiedy włączył układ. Nie mógł sprawdzić ogrzewania i odmgławiania, dopóki nie uruchomi silników. Znowu skontrolował jedynie lampki kontrolne. Wszystkie paliły się. – Sprawdzone – powiedział.

– Świetnie. Poczekaj teraz minutkę, aż zdejmemy rakiety, będziesz mógł

wtedy sprawdzić system myślowego sterowania. Mogę jednak dać słowo... – Gant poczuł dwa wstrząsy, kiedy pociski AA-6 zostały zdjęte z uchwytów pod skrzydłami. Za osłoną kabiny pojawiła się nagle twarz Moresby'ego, przed którą wyrósł uniesiony w górę kciuk. Gant skupił się i w myślach wydał po rosyjsku komendę odpalenia rakiety po lewej. Szereg światełek zapłonął na pulpicie. Policzył je, przypomniał sobie instrukcję. Wyglądało na to, że wszystko działa.

Otworzył osłonę kabiny. – W porządku – rzekł, ścigając helmofon.

– Dobra. Podwieście z powrotem pociski w uchwytach! – zawołał na dół do techników. – Jak układy podtrzymywania życia?

– W porządku.

– Mówi Thorne, sir – rozległ się głos z krótkofalówki Moresby'ego.

Gant zacisnął dłoń na krawędzi burty.

– I co? – spytał Moresby.

– Trudno powiedzieć, sir. Odbijający obiekt na odbijającej tafli lodu pośród zakłóceń powierzchniowych...

– No więc? – wtrącił Moresby posępnym tonem.

– Nie powinienem czegokolwiek wyłapywać, prawda, sir?

– Nie – rzucił ociężale Gant.

– Jednak... Mam obraz na ekranie, sir. Odbicie... Firefoxa. Podejrzewam, że w górze, na radiolokatorze celów ruchomych miałbym bardzo wyraźny sygnał... Przykro mi, sir.

Moresby spojrział na Ganta. – A więc jednak... – Gant poczuł dreszcz przenikający jego ciało. – Wszystko do dupy! – wrzasnął Moresby. – Antyradar jest uszkodzony, nie działa! Będziesz jak kaczka pośród stada myśliwych, kiedy tylko wystartujesz!

– Ale...

– Żadnych ale! Nie mogę tego naprawić, nie wiem, jak działa!

Aubrey odwrócił się od pulpitu łączności. Eastoe, nadsyłający meldunki o wszelkiego rodzaju ruchach wojsk wzdłuż granicy, zwłaszcza w okolicach Niklu i najbliższych bazach myśliwców na Półwyspie Kolskim, przekazał także Aubreyowi wiadomość o odkryciu przez Moresby'ego defektu systemu antyradarowego.

Curtin stwierdził, że twarz Aubreya przybrała kolor popielaty. Nie wiedział, co ma powiedzieć Anglikowi. Odetchnął z ulgą, kiedy Aubrey pomaszerował w stronę najdalszego kąta pokoju. Jak gdyby chciał się schować. Ale widocznie

tamten róg nie przyjął go, gdyż po chwili cofnął się. Kiedy spojrzął mu w twarz, na jego obliczu widniał wyraz determinacji.

– Thorne musi go stamtąd zabrać! – rzekł, zbliżając się z powrotem do pulpitu. Popatrzył na zegar. Dwadzieścia trzy minuty od czasu, kiedy zaczęło się przejaśniać. Okienko w zamieci musiało być już blisko oddziałów rosyjskich, zgromadzonych w Niklu.

Rozpogodzenie dotrze do baz myśliwców przechwytyjących na Półwyspie Kolskim nieco później niż do Niklu, mimo wszystko w ciągu najbliższych minut pierwsze helikoptery wzniosą się w powietrze z doborowymi oddziałami komandosów na pokładzie. W niecałe dwadzieścia minut przy maksymalnej prędkości powinni dotrzeć do jeziora. W sumie mniej niż pół godziny – później nie będzie już żadnych szans ratunku dla Ganta. Co mogli uratować z przyrządów pokładowych w tak krótkim czasie, zanim samolot nie zostanie doszczętnie zniszczony...?

Musieli też wycofać ludzi.

Waterford powinien zająć się organizacją przemarszu do jakiegoś wyznaczonego punktu, skąd będzie można ich zabrać, jak tylko poprawi się pogoda. Najważniejsi ludzie i sprzęt powinni odlecieć dwoma śmigłowcami Lynx...

– Musi go stamtąd natychmiast zabrać – powtórzył, krzywiąc się. – Połącz mnie zaraz z „Rybakiem”.

Radiooperator obrócił się na stołku w stronę mniejszej radiostacji, którą wykorzystywali do utrzymania łączności z grupą nad jeziorem. Powtórzył sygnał wywoławczy Buckholza i otrzymał odpowiedź. Aubrey mruczał coś i łaził niecierpliwie w czasie gdy wzywano Buckholza do stanowiska łączności. Kiedy tylko rozbrzmiał głos Amerykanina, Aubrey trzęsącą się dłonią chwycił mikrofon.

– „Rybak”! – rzekł, po chwili jednak, zrozumiałwszy bezsensowność pseudonimów, poprawił się: – Charles! Zabierajcie stamtąd Ganta, natychmiast. Thorne ma go jak najszybciej dostarczyć tutaj.

– Chodzi ci o antyradar? – zapytał Buckholz. – Posłuchaj, Kenneth. Zostało nam jeszcze jakieś dwadzieścia minut... I tak nie mamy innego wyjścia. On musi wystartować tym samolotem...!

– Z niesprawnym systemem antyradarowym nie ma najmniejszych szans...

Zbłąkany promień słońca wpadł nagle do pokoju, oświetlając tańczące drobiny kurzu, jakby odzwierciedlające wzburzenie Aubreya. Zniknął równie niespodzianie.

– Co z oddziałami w helikopterach? – zapytał Buckholz.

– Nie ruszyli jeszcze. Charles, rozkaż mu, by uciekał stamtąd. Ratujcie, co się da. Niech Waterford zorganizuje załadunek obu Lynxów... i odwrót. Charles, czy mnie słyszysz?

Zamiast głosu Buckholza Aubrey usłyszał Ganta. Jego słowa dobiegały jak-by z oddali.

– Nic z tego, Aubrey. Nic z tego.

– Mitchell, proszę, posłuchaj mnie...

– Słyszę. Antyradar nie robi już żadnej różnicy.

– Nie macie czasu...!

Gant rozmawiał przez chwilę z kimś innym, prawdopodobnie z Moresbym. Aubrey nastawił ucha, by wyłować słowa. – Tankujcie na gorąco... do diabła, musi być! Tankujcie na gorąco...

– Jezu! – jęknął Curtin. Nawet radiooperator wyglądał na stropionego.

– Co...? – zaczął Aubrey.

– Tankowanie przy włączonych silnikach. Ma zamiar uruchomić silniki, gdy oni nie skończyli jeszcze pompować paliwa. Jeden błąd i...

– Charles! Powstrzymaj go! – rzucił Aubrey.

– Dlaczego? – rozległa się odpowiedź Ganta. – Jakie to ma znaczenie, kto wysadzi samolot w powietrze: ja, ty, Buckholz czy Rosjanie?

– Daj mi porozmawiać z Moresbym.

– Nie. Nie ma czasu. Jest bardzo zajęty.

Radiooperator zaczął szybko notować coś na kartce. Curtin przycisnęła jedną słuchawkę do ucha i kiwał głową, nasłuchując. Wreszcie powiedział: – Trzy ciężkie helikoptery transportowe wystartowały właśnie z Niklu. Przekroczyły już granicę. Gantowi zostało niecałe dwadzieścia minut.

– Charles! Oni są już w drodze.

– Trzy mniejsze śmigłowce, prawdopodobnie silnie uzbrojone – kontynuował Curtin. – Jeden z nich porusza się szybciej niż pozostałe. Chyba nieuzbrojony i bez desantu. Rozpoznanie.

– Charles, wydaj mu rozkaz. Powiedz, że przerywamy misję!

– Warunki atmosferyczne nad bazą lotniczą w Piecenzde będą wystarczająco dobre do startu samolotów za siedem lub osiem minut.

– Charles – rzekł Aubrey bezbarwnym głosem. Jego twarz była biała, z zaciśniętych warg odplynęła krew. – Gantowi zostało niecałe dwadzieścia minut. Piecenzę dzieli od was zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów. Foxbat jest w

stanie pokonać ten dystans w...? – Spojrzał na Curtina.

– Jakies siedem, osiem minut, przy niepełnym ciągu... – Pomachał dłonią, żeby zaznaczyć, że są to bardzo przybliżone dane.

– Od chwili, gdy rozpogodzenie dotrze nad którąś z tych pierwszolinowych baz, Gantowi zostanie nie więcej niż siedem minut. Nawet gdyby mógł wystartować za dziesięć minut, nie ma szans umknąć uwadze sowieckich myśliwców. Będą po prostu czekali na niego. Czy rozumiesz mnie? Over.

– Wszystko za późno, Kenneth. Nie mamy nawet czasu, by wyciągnąć ze środka najbardziej wartościowe wyposażenie.

– Nie możemy stracić Ganta...

– Tylko w ten sposób mamy szansę...

– Nie mamy żadnych szans!

– Nie jestem upoważniony do tego, by wydać mu rozkaz zaprzestania akcji, Kenneth.

– Czas kontaktu wysuniętego śmigłowca z jeziorem: trzynaście minut.

– Kiedy zobaczą samolot na lodzie – Aubrey zwrócił się do Curtina – i oczyszczony ze śniegu pas startowy, co wtedy uczynią?

– Najpierw strzelać, potem pertraktować!

– Właśnie tak. Charles, proszę, wykonaj moje polecenie. Nalegam, by natychmiast zabrać stamtąd Ganta Harrierem. Potem zniszczcie samolot!

– My także odbieramy meldunki Eastoego. Zwiadowczy Mi powinien zjawić się tutaj za dwanaście minut. Tyle czasu potrzebujemy...

– Nie!

– Tak, do cholery! Mamy zamiar pokazać im ten jeden jedyny numer. A teraz jestem zajęty, Kenneth. Wyłączam się.

Aubrey stał nadal z mikrofonem w dłoni. Popatrzył na niego z niedowierzaniem, po czym odrzucił, jakby został porażony ładunkiem elektrycznym. Odmaszerował od pulpitu w stronę okna.

Chmury ponownie zbierały się już za wierzchołkami gór, na północy i zachodzie. Zapadał zmierzch. Pojawiły się pojedyncze płatki śniegu. Za oknem przeszedł norweski wartownik.

Aubrey wiedział, że przegrał. Jego ostatni desperacki rzut kostką kosztował w efekcie życie Ganta. Stracił zarówno samolot, jak i pilota. Przyczynił się do śmierci ludzi – Gant był tylko jego ostatnią ofiarą. Nie mógł już nic zrobić, by przeciwdziałać konsekwencjom własnych poczynań. Absolutnie nic.

– Czas przybycia wysuniętego śmigłowca: dziesięć minut – recytował Curtin – głównych sił, jedenaście minut czterdzieści. Pogoda poprawia się nad Pieczengą. Umożliwi start za jakieś cztery minuty, może nawet mniej. Eastoe odbiera coraz silniejsze sygnały na ekranie podczerwonym. Według niego kołują na pas startowy.

Są w stanie stworzyć dach z samolotów nad całym jeziorem, by przechwycić Firefoxa. Bez antyradaru nie ma żadnej możliwości ucieczki dla Ganta.

– Co? – usłyszał okrzyk Curtina, jakby tamten nagle dostał zadyszki. – Powtórz!

Aubrey odwrócił się od okna. – Co się stało? – spytał zmęczonym głosem.

Curtin uniósł dłoń w górę, po chwili odłożył hełmofon i spojrzał na Aubreya. Jego zmarszczone czoło symbolizowało klęskę. – Jeszcze jedna radosna wiadomość – rzekł. – Z Bardufoss. Pogoda u nich zaczyna się załamywać. Przepuszczają, że za kilka minut rozszaleje się zamieć. Nawet jeśli wystartuje, nie będzie miał gdzie wylądować.

– Czas przylotu prowadzącego śmigłowca: sześć minut... sił głównych: osiem minut.

Radiooperator przekazywał odbierane informacje Gantowi przez krótkofalówkę Moresby'ego, zawieszoną na krawędzi burty. Gant wzruszył ramionami, czując w całym ciele nerwowe napięcie wywołane pośpiechem. Przerzucił włączniki zapłonu i sięgnął do zaworów przepływu paliwa...

Z niedowierzaniem zapatrzył się na płonącą purpurą lampkę, po lewej stronie głównego pulpitu, tuż pod uszczelką osłony kabiny.

– Na miłość boską! Myślałem, że ten samolot został sprawdzony! – wybuchnął.

Przed dziobem widzialność zaczynała powoli spadać. Rozpogodzenie trwało krócej, niż zapowiadano. Odległy brzeg jeziora był już ledwie widoczny, przedstawiał sobą bardziej nieregularność gęstego powietrza niż rzeczywisty krajobraz. Dwa śmigłowce Lynx zakończyły oczyszczanie pasa startowego. Czekają teraz spokojnie, u boku Harriera, aż drużyny z łopatami i dmuchawami dokończą dzieła.

– Bo był – odparł ponuro Moresby. Spojrzał w dół na techników otaczających Firefoxa. – Pali się lampka rozdzielacza! – zawołał. – Wlot lewego silnika. Sprawdźcie to zaraz! Ruszać się, kutasy! Zaklinowała się dźwignia ssania, albo coś w tym rodzaju! Sprawdźcie to biegiem!

– Jak mogłem to przeoczyć? – spytał Gant, wpatrując się w sygnalizator. – Nie zauważyłem tej cholerne lampki!

– Podobnie jak ja, Gant. Też nie zauważyłem. – Moresby odchylił się na drabinie, zaciskając dłoń na krawędzi burty, i przekrzywił głowę, żeby dostrzec, co robią technicy. – No i co?! – zawołał. Przez krótkofalówkę Gant nasłuchiwał dyspozycji, jakie Waterford wydawał komandosom. Brooke i jego oddział z SBS zajęli stanowiska na południowo-wschodnim brzegu jeziora, natomiast komandosi zrzućeni na spadochronach z Herculesa znajdowali się na przeciwnym brzegu, tam, gdzie odkryli zwiad Rosjan.

– Nic nie ma, sir. Dźwignia jest w porządku.

– Więc dłaczego, do diabła, ten sygnalizator uaktywnił się dopiero po włączeniu zapłonników? Nie mam pojęcia! – Moresby parsknął z wyrzutem, wpatrując się w Ganta. Mróz zaczynał osiadać na jego wąsach na skutek przyspieszonego oddechu. Gant poczuł, jak serce przyspiesza rytm. W żołądku miał bryłę lodu, na pozbawionych powietrza piersiach spoczywał ciężar – czuł, jakby w klatce piersiowej miał za mało miejsca na serce i płuca. – Gdybyśmy sprawdzili ten pieprzony pomocniczy zespół napędowy wcześniej, skutek byłby taki sam, a nie byłoby tej paniki. No już!

– Czas przybycia wysuniętego śmigłowca: trzy minuty, pięćdziesiąt.

– Cholera – syknął Moresby.

– Sir, znaleźliśmy...

– Co takiego?

– ETA: trzy minuty.

– Kawalek blachy, jakby osmalonej... pofałdowanej jak tektura, sir. Klinuje drzwiczki. Musimy to ostrożnie...

– Do diabła z ostrożnością! – Spojrzał na Ganta. – Jakiś szczątek któregoś z twoich przeciwników, staruszku – rzekł, niezbyt udanie siłąc się na swobodę. Gant tylko skinął głową.

– Dajcie mi aktualny komunikat o pogodzie w Bardufoss – powiedział do krótkofalówki.

– Tak jest, sir.

– Wierzę, na Boga, że nie będzie gorzej, niż jest – mruknął Moresby. – Gdybyś nie mógł tam wylądować, nie ręczę za ten pojazd na dłuższej trasie!

– Trzysta pięćdziesiąt kilometrów... Sądziś, że będę już bezpieczny trzy-sta pięćdziesiąt kilometrów dalej?

- To już Norwegia, starszku...
- Co z tego?

Moresby przeciągnął palcem po wąsach. Z lewej strony, z tyłu, doleciały ich zgrzyty i chroboty wyciąganego i zginanego metalu. Gant wzdygnął się.

- Ostrożnie, do cholery! – wrzasnął Moresby.
- Czas przybycia prowadzącego śmigłowca: dwie minuty czterdzieści – oznajmił radiooperator.
- Gdzie ten komunikat o pogodzie?
- Już idzie, sir...

Gant słyszał przez krótkofalówkę głos Buckholza, organizującego rozmieszczenie w dwóch śmigłowcach Lynx norweskiego personelu zaangażowanego do tej operacji. Najpierw kobiety, dzieci i sprzymierzeńcy – pomyślał z gorzką ironią. Rozbrzmiewające nieustannie przez radio polecenia Waterforda przerodziły się w stłumione tło dźwiękowe, widocznie zapomniał wyłączyć swą krótkofalówkę. Trzy wielkie Mi, lecące za wysuniętym, nieuzbrojonym helikopterm zwiadowczym i osłaniane przez dwa silnie uzbrojone śmigłowce, mogły zabrać na pokład od czterdziestu do pięćdziesięciu ludzi każdy. Nieco mniej, jeśli oddziały wyposażone były w ciężką broń lub lekkie pojazdy. Waterford nie miał zamiaru uczynić pierwszego posunięcia, nawet w celu osłony Firefoxa. Musiał zatem wystartować samolotem...! Gdyby udało mu się to, ludzie Waterforda wtopiliby się w teren, unikając jakiegokolwiek kontaktu z oddziałami rosyjskimi.

- Muszę zabrać stąd samolot – powtórzył na głos.
- Komunikat o pogodzie, sir...
- Tak?
- Zamykają lotnisko w Bardufoss za pięć minut, sir. Twierdzą, że za dziesięć minut nic nie da rady tam wylądować.
- W porządku – odparł cicho Gant spiętym głosem. Na moment zacisnął powieki. Kiedy je otworzył, ujrzał, że Moresby przygląda mu się.
- Zatem dokąd, chłopcze? Dokąd zabierzesz samolot, jeśli już uda ci się wzbić w powietrze? – W jego tonie nie było sarkazmu, a tylko tchnienie porażki.
- Jeśli będę musiał, pokonam całą drogę.
- Co?
- Słyszałeś. Całą pieprzoną drogę, człowieku! Do Anglii albo do piekła! – Próbował zdobyć się na uśmiech.
- Odradzałbym ci to, Gant. Cokolwiek, albo wszystko może odmówić

posłuszeństwa. Spróbuj wylądować w Bardufoss, mówię zupełnie poważnie...

- ETA wysuniętego śmigłowca: jedna minuta.
- Na miłość boską, patafacy, pospieszcie się! – ryknął Moresby.
- Staramy się usunąć to bardzo ostrożnie, żeby uniknąć dalszych zniszczeń, sir. Naprawdę zaklinowało się bardzo mocno.
- Więc potnijcie to cholerstwo na mniejsze kawałki!
- Będziecie mieli dwie minuty, może nawet mniej; przyhamują trochę, dopóki śmigłowiec zwiadowczy nie wykona odpowiednich namiarów – oświadczył Gant.
- Nie mów mi...
- Możliwe, że nadal mamy szanse na zdobycie mniej czy bardziej sprawnego samolotu...
- Tak myślisz?
- To zależy od jednej rzeczy – odparł Gant. – Kto obecnie dowodzi operacją. Jeśli jest to nadal Władimirow, będzie sądził, że ma jakieś szanse. Jeśli zaś któryś z polityków, to możemy się od razu pożegnać! Odstrzelą nam dupy przy pierwszej sposobności!
- Już idzie, sir... w porządku, wyciągnęliśmy, sir!
- ETA, trzydzieści sekund...
- Tankujcie na gorąco – rzucił Gant Moresby'emu, włączając z powrotem obwody elektryczne. Lampka zgasła. – Dzięki Bogu – westchnął.
- Tankować na gorąco?
- Nie ma innego wyjścia. Chcę być gotów do startu, kiedy wybiorę właściwy moment.
- Ile chcesz mieć paliwa w zbiornikach?
- Na razie jest sześćdziesiąt procent pojemności. – Gant pokręcił głową. – Po prostu tankujcie dalej.

Gant popatrzył w niebo, odchyliwszy się trochę w fotelu. Uniósł rękę do góry, jakby chciał osłonić oczy lub zakryć twarz. Słyszał już terkot wirników helikoptera.

Ludzie, poruszający się po tafli lodowej w stronę dwóch śmigłowców, przystawali i zadzierali głowy do góry. Widzialność malała, powietrze było gęste jak firanka. Odległy brzeg jeziora przesłaniała już mgielka. Zaczynał sypać śnieg; wielkie płatki wdzierały się do wnętrza kabiny, osiadały mu na ramionach. Ponownie naciągnął hełmofon, podłączył doprowadzenie tlenu, wtyczkę przewodu sterowania myślowego wcisnął do gniazdk.

Nad przecinką pojawił się brzydki, przypominający przysadzistego żuka

Mi-24 – prawdopodobnie nieuzbrojony w celu zwiększenia jego szybkości. Gant przeklinał brak pocisków typu Blowpipe. Zresztą, nawet gdyby dysponowali nimi, wątpił, żeby Waterford pierwszy otworzył ogień.

Mi przesunął się nad jeziorem, nad dwoma śmigłowcami Lynx i nieuzbrojonym Harrierem. Gant dojrzał głowę Thorne'a w hełmofonie, unoszącą się w górę, w jego stronę. Wreszcie helikopter przeleciał nad Firefoxem, jakby drwił sobie z niego.

Moresby głośno instruował techników. – Tankowanie na gorąco. Chyba pamiętacie ostatnie zajęcia? Macie okazję sprawdzić teorię w praktyce! Przytoczcie jeden z pojemników z paliwem w poblizze skrzydła, tę pompę także... Niech wszyscy odsuną się sprzed wlotów powietrza i od dysz wylotowych. Ustawcie łukiem ludzi z gaśnicami... – Spojrzał na Ganta, ale nie odezwał się do niego. – ...po obu stronach samolotu. I zachowajcie czujność! – Odwrócił się do Ganta. – Będziemy w kontakcie przez łącze na zewnątrz samolotu. Postaram się trzymać jak najdalej, dziękuję bardzo. Utrzymuj najmniejszą moc silników, tyle tylko, byś podtrzymał działanie generatorów... – Gant potwierdził skinieniem głowy. – Dobrze.

Popatrzył, jak technicy podtaczają jeden z wielkich gumowych pojemników paliwa w stronę samolotu, prostopadle do osi skrzydła. Słyszał, jak łączyli zbiornik węzłem z wlewem paliwa. Po chwili wycofali się szybko. Moresby, stojący jakieś dwanaście metrów od samolotu, dał mu znać, że może uruchamiać silniki. Terkot krążącego w górze Mi nasilał się, jakby przygniatał ich do ziemi. Helikopter krążył nad jeziorem od dwudziestu sekund, może pół minuty. Główne siły znajdowały się już tylko o minutę drogi od nich. Kiedy zobaczą zapłon silników, po uprzednim dołączeniu drugiej pompy paliwowej, domyśla się, że tankuje na gorąco, chcąc przyspieszyć przygotowania do startu. Czy wciąż będą czekali po przekazaniu meldunku, czy też rozpoczną atak...?

Nie mógł liczyć na więcej czasu, bez względu na to, kto dowodził akcją. Firefox stanowił nieruchomy cel, którego nie byli w stanie uratować. Włączył główny kontakt zasilania, wduśił przycisk startera i odkręcił zawór wysokiego ciśnienia.

Z tyłu, mniej więcej w połowie długości kadłuba, rozległa się podwójna eksplozja, jak równoczesny strzał z obu luf dubeltówki. W lusterku dostrzegł dwa kłęby czarnego dymu unoszące się w powietrzu. Rozległ się narastający powoli huk turbin. Włączył nadciśnieniową pompę paliwową i pchnął dźwignie sterowania do przodu. Strzałka obrotomierza powędrowała na dwadzieścia osiem

procent mocy. Ściągnął dźwignie z powrotem tak daleko, na ile starczyło mu odwagi, i zablokował je. Oba gigantyczne silniki turbodrutowe Tumańskiego huczały miarowo. Uśmiechnął się z ulgą. Moresby ruchami dłoni nakazywał swoim ludziom kontynuować tankowanie.

– Dzięki Bogu – rozbrzmiał jego głos w słuchawkach.

W pewnej odległości od Firefoxa, u wylotu przecinki, pojawił się Waterford. Skierował w górę swój deskowaty karabinek i wystrzelił kilka trójpociskowych serii w kierunku zawieszonoego, dryfującego powoli Mi. Śmigłowiec natychmiast skoczył nad drzewa. Waterford odezwał się do mikrofonu Moresby'ego: – Zastrani turyści! – A po chwili dodał: – W porządku, Gant. Oni tu wrócą całą zgrają najdalej za kilka minut... Co zrobią, zależy w głównej mierze od tego, co ty zrobisz. Powodzenia. – Błyskawicznie odszedł, powtarzając dyspozycje dla swoich komandosów.

Gant spojrzał na węże paliwowe. Kiedy powinien kazać im zatrzymać pompy? Kiedy ma przestać ryzykować tankowanie na gorąco? Jak duży zapas paliwa będzie mu potrzebny?

Zapomniał o rozgrywających się dookoła wydarzeniach. Przebiegł wzrokiem wskaźniki i tablice przyrządów, sprawdził główny pulpit oraz konsolę z lewej strony. Poruszył orczykiem i klapami. Sztywne, jakby bardziej odporne niż poprzednio, ale powinny działać. Nagle usłyszał głos radiooperatora.

– Rozpogodzenie dotarło do Pieczengi. Dwie eskadry myśliwców przechwytyjących w powietrzu. ETA – sześć minut.

Spojrzał w górę. Widzialność wynosiła siedemset, może siedemset pięćdziesiąt metrów. Miał nabierać szybkości w kierunku zgęstniałego powietrza, przypominającego mgłę, tyle że wyraźnie szarawą i powoli opadającą. Śnieg gęstniał. Tylko wiatr przycichł. Jeden z Lynxów wzbił się w powietrze i niemal natychmiast pochłonęła go chmura. Drugi Lynx dryfował w kierunku Firefoxa, czekając, by zabrać na pokład techników Moresby'ego.

– W porządku. To już wszyscy z wyjątkiem twoich ludzi, Moresby – usłyszał wypowiedź Buckholza. Zauważył go niedaleko stanowiska łączności. Wirniki Lynxa obracały się coraz niżej. – Możemy zostawić naszych czterech więźniów związanych tam, gdzie są. Ich kumple zjawią się tu niebawem. Ruszamy więc...?

Moresby skinął głową. – Dziękuję, Mr Buckholz. Ładujemy się za kilka chwil. – Po czym zwrócił się do Ganta: – Rozdzielili się na dwie grupy, jedna na południe od nas, druga na wschód, jak podpowiada Waterford. Ale śmigłowce

uzbrojone wciąż znajdują się w powietrzu. Widocznie czekają na rozkazy.

Gant sprawdził paliwomierze i pokręcił głową. – Jeszcze nie – powiedział. – Powiem wam, kiedy skończyć. – Na twarzy Moresby'ego malowało się zmęczenie i złość, a nawet cień strachu.

– Te cholerne uzbrojone śmigłowce – mruknął.

– Gant? – Usłyszał głos w słuchawce. – Gant, mówi Thorne. Mam pewien pomysł...

– Jaki?

– Podwójny start. Pozwól, że wystartuję pierwszy... Może uda mi się ściągnąć przynajmniej część na siebie.

– Co robią uzbrojone śmigłowce?

– Czekają. Zgadzasz się?

Gant włączył radar. Na ekranie, pośród burzy zakłóceń spowodowanych pogarszającą się pogodą, dostrzegł dwa duże, jaskrawe zgęstki światła, położone blisko siebie. Odległe od nich o cztery do pięciu kilometrów. Przy samej krawędzi ekranu widniały znacznie bledsze, bardziej oddalone punkciki, ale nie zwrócił na nie uwagi. Dzieliło ich nadal co najmniej pięć minut lotu.

– Świetny pomysł, ale dziękuję, nie. Oni dobrze wiedzą, kto jest kim. Ruszaj teraz, zanim otrzymają swoje rozkazy. Powodzenia.

Pod Harrierem wykwitły drobne chmury śniegu, które po chwili zmieniły się w zadymkę, kiedy samolot zaczął się wznosić na zstępującym ciągu silników. Harrier zakotłosał się, rozbłyły światła pod jego skrzydłami i kadłubem; ich blask przypominał o zapadającym zmierzchu. Samolot obrócił się w powietrzu jak niezgrabny tancerz, a następnie ciąg silników został skierowany poziomo. Harrier wsunął się pod zasłonę padającego śniegu i zniknął.

Gunnar, pilotujący drugiego Lynxa, spoglądał za znikającym Harrierem chciwym wzrokiem. Teraz ponownie zwrócił uwagę na Firefoxa. Gant spostrzegł, jak odwraca głowę. Był już teraz jedynym Norwegiem – czekał na ostatnią grupę techników. Wokół jeziora znajdowało się czterdziestu pięciu komandosów, dobrze ukrytych, z wyjątkiem ubranego na biało Waterforda, stojącego obok rozpiętego brezentu, osłaniającego radiostację satelitarną i jej operatora. Wiedział, że tamci czekają na start samolotu, by natychmiast zniknąć w lesie i szybko pomaszerować małymi grupkami w stronę granicy norweskiej.

Jezioro wydało mu się nagle ciche i opustoszałe. Chciał w tej chwili przebrać tankowanie, pozwolić odlecieć technikom, uwolnić Moresby'ego. Wystar-tować...

Dwa jaskrawe punkty świetlne na radarze, blisko siebie; inne, bledsze kropki, przybliżające się systematycznie, wysoko nad chmurami. Za kilka minut znajdą się ponad nim, jak stado drapieżnych ptaków. Starcie było nieuniknione.

Popatrzył na paliwomierze. Przeniósł wzrok w dół, na Moresby'ego. Dwie plamki na ekranie radaru nadal tkwiły nieruchomo.

– Wysunięte oddziały meldują o braku kontaktu, towarzyszu generale.

Władimirow nasłuchiwał z głową pochyloną delikatnie na jedno ramię. Zaczynały napływać meldunki od grup desantowych, wysadzonych na południe i wschód od jeziora. Oddziały brytyjskie musiały wycofywać się, widocznie otrzymały rozkaz nienawiązywania walki. Teraz tylko szybki skok, zaskakujący manewr okrążający wzdłuż całego, porośniętego lasem południowego krańca jeziora, a wówczas może uda im się przechwycić nie uszkodzony samolot...

Dwa, silnie uzbrojone Mi-24 otrzymały rozkaz pozostać na pozycjach, mimo iż z helikoptera rozpoznawczego nadeszła wiadomość, że Gant uruchomił silniki Miga-31, natomiast Harrier oraz jeden ze śmigłowców Lynx odleciały. Jeszcze zaledwie kilka chwil. Teraz muszą ruszyć do przodu...!

Trzymał w dłoni mikrofon, przygotowany do przekazania rozkazów. Zaczął już składać wargi, żeby wypowiedzieć pierwsze słowo, zbierał ślinę w wyschniętych ustach...

Zaskoczyła go dłoń sekretarza generalnego, która ciężko opadła na jego rękę. Odwrócił się od pulpitu łączności. Radziecki przywódca stał na tle świetlnej mapy. Ukazana na niej sytuacja wyglądała jak akt oskarżenia.

– Co macie zamiar zrobić, generale Władimirow?

– Ja... chciałem rozkazać naszym oddziałom, by jak najszybciej przedostały się nad jezioro... – zaczął.

Na topornym obliczu sekretarza generalnego malowała się pogarda. – Nie – rzucił cicho, po czym dodał głośniejszym głosem: – Nie! Wasz czas się skończył, generale Władimirow! Skończył! Nie ma już dla was czasu. Wy... jesteście odesłani!

W długiej galerii zapadła pełna napięcia, przytłaczająca cisza. Andropow odwrócił się. Nikt nie patrzył w stronę Władimirowa, ten wiedział jednak, że postawa całego personelu i absolutny bezruch oznaczają, iż wszyscy zamienili się w słuch.

- Jak mam rozumieć...?
- Macie rozumieć, że jesteście odesłani, Władimirow. Macie się stąd wynosić.
- Ale...
- Wynocha! Oddajcie mi mikrofon... – Przez krótką chwilę siłowali się o niego, jak dwoje dzieci wrywających sobie zabawkę. W końcu Władimirow niechętnie, jak skazaniec, rozluźnił uścisk. Sekretarz generalny odchrząknął i powiedział po prostu: – Dowódca śmigłowców, macie natychmiast rozpocząć atak. Zniszczyć pas startowy, zniszczyć Miga! Czy rozumiecie mój rozkaz? Zniszczyć!

Buckholz bez przerwy zerkał w bok na Moresby'ego. Na ziemi postawił sporych rozmiarów teczkę. Wyglądał jak podróżny gotów do odjazdu.

– Mitchell! – rzekł do mikrofonu Moresby'ego. – Wynosmy się stąd, do diabła! Wszyscy! – Pomachał ręką, pokazując na wschód w niedwuznacznym geście. Gant spojrział na radar...

Zauważył, że dwa punkty świetlne, w zwartej formacji, ruszyły do przodu. Z dużą szybkością.

Uniósł dłoń na znak zgody. Moresby natychmiast rzucił się w stronę pojemnika z paliwem i wyłączył pompę. Energicznym ruchem wyszarpnął z gniazdka przewód łączności naziemnej. Kiedy umilkła pompa i dał się słyszeć odległy terkot wirników nadlatujących śmigłowców, Gant opuścił osłonę kabiny, sprawdził pasy bezpieczeństwa, podłączył doprowadzenie tlenu, skontrolował urządzenie antyprzeciążeniowe swojego kombinezону i wcisnął przycisk testowania. Spojrział na paliwomierze. Na lodzie została tylko porzucona pompa i pusty pojemnik po paliwie, przypominający gigantyczną oponę rozbitego samolotu. Dojrzał wreszcie Buckholza, Moresby'ego i techników, biegnących po tafli jeziora w stronę otwartych drzwi śmigłowca Gunnara. Wskakiwali w pośpiechu.

Sprawdził jeszcze wskaźniki temperatury i ciśnienia. Plamki na radarze pędziły poprzez chaos zakłóceń powierzchniowych ku centrum ekranu, by go dopaść. Pas startowy – pomyślał. Najpierw zniszczą pas startowy, potem samolot. Firefox rwał się do przodu, stojąc na hamulcach. Pchnął dźwignie sterowania silnikami jeszcze dalej, zaczął chwilę, dostrzegł sylwetki dwóch helikopterów – wznoszącego się i sunącego skosem w kierunku zachodniego brzegu

jeziora i śnieżnej mgielki Lynxa, oraz pierwszego uzbrojonego Mi, jakieś sto metrów za nim, ponad linią drzew. Wyzwanie.

Zwolnił hamulce. Firefox skoczył do przodu niczym pies zbyt długo przytrzymywany na smyczy. Popędził wzdłuż gładkiego, lodowego pasa startowego. Widzialność: mniej więcej sześćset metrów – wiatr znów zaczynał gnać po jeziorze tumany śniegu. Włączył wycieraczki. Popchnął dźwignie do końca i poczuł, jak moc silników Tumańskiego wbija go w oparcie fotela. Dziób samolotu coraz szybciej przesuwiał się nad taflą. Spod szczątkowych skrzydeł Mi-24 bluznęły strugi ognia, wokół pędzącego Firefoxa śnieg i lód strzeliły fontannami.

Wycieraczki oczyściły przednią szybę. Dostrzegł w lusterku kruszący się lód, czarne linie pęknięć wywołanych odpaloną rakieta pognaty za nim, ale straciły impet i zostały w tyle.

Nagle podniecenie, wręcz zachwył. Szybkościomierz pokazywał 220 kilometrów na godzinę. Wciąż jeszcze nie dostrzegał przeciwnego krańca jeziora. Samolot trząsł się, koła przeskakiwały przez zasy i garby śnieżne. Boleśnie szczekał zębami, zacisnął dygoczącą dłoń na drążku sterowym. Dwieście sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Trzęsło coraz mocniej, samolot podskakiwał na każdej, najmniejszej nawet nierówności lodu. Wystarczy jedna przeoczona zaspą – pomyślał; starał się zapomnieć o tej wizji, lecz wracała uporczywie – w każdej chwili może się urwać goleń...

270, 275...

Zaczął ściągać drążek do siebie, powoli unosić dziób Firefoxa. W lusterku ponownie dostrzegł sylwetkę Mi, ruszającego za nim w pogoń. Spod gondoli tamtego wystrzeliły strumienie ognia; rakiety. Trafiły w lód za nim, po bokach, w przodzie. Znalazł się w kłębowisku ognia, pomieszanego z kipiącym śniegiem i lodem. Coś zabębniło o kadłub. Olbrzymia wyrwa w tafli z prawej strony; pęknięcia sięgające ku niemu ze straszliwą szybkością – zostawił je nagle za sobą. W lusterku nie widział już zupełnie nic poza białą kipiela.

290 kilometrów na godzinę.

Nagle ujrzał drugiego Mi, na wprost przed nim, na tle skarpy brzegowej; drzewa jak zaostrome ołówki celujące w szarobiałe niebo. Mi nie poruszał się, tkwił nieruchomo. Przed oczyma miał tylko brzeg jeziora i helikopter.

Wisiał prosto na jego kursie. Firefox był już w powietrzu, przekroczył szybkość 300 kilometrów na godzinę. Mi zajmował pozycję – przed chwilą

przesunął się delikatnie – wprost na drodze jego wznoszenia. Rósł w oczach; niezwykle, czarny żuk wiszący w powietrzu.

Pociągnął do siebie drążek. Oblewał się cały potem, przeciążenie ściągnęło mu wargi do tyłu, zacisnął zęby. Dziób Firefoxa powędrował w górę, zaczynał mierzyć w chmury.

Mi ruszył do przodu, chcąc przeciąć mu drogę, gotów popełnić samobójstwo. Pociski uzbrojone. Ściągał drążek aż do swojej piersi. Firefox zdawał się stać pionowo na słupie spalin i chwiejnie wzbijać w powietrze, jakby startował z bagniska, a nie z zamarznętego jeziora. Olbrzymi Mi przesłaniał całą widoczność. Gant wciągnął podwozie, gdyż helikopter pędził wprost na niego, jakby miał za chwilę otworzyć paszczę rekina i ugryźć brzuch Firefoxa. Wpadł w wiszące nisko chmury. Mi zniknął; została jedynie biała plamka na ekranie radaru. Przez chwilę pędził za nim podczerwony warkocz rakiety, lecz szybko został w tyle. Pocisk nie dysponował odpowiednią mocą, by wznosić się tak szybko jak on; widocznie była to rakietka sterowana przewodowo, przeznaczona do zwalczania celów naziemnych.

Był na pułapie 3000 metrów, wznosił się z szybkością 150 metrów na sekundę. Samolot trząsał się i dygotał, jak ciało przemarznętego człowieka wystawione na jeszcze większy chłód. Na zewnątrz szalała burza z piorunami. Jego palce zaciśnięte na drążku przejmowało drżenie. Dźwignie znajdowały się w skrajnym położeniu, poza zapadką, poza punktem przegrzewania. Wskazania machometru zwiększały się szybko: 0,8 Ma, 0,9, 1,0, 1,2 Ma...

3350 metrów. Spojrzał na radar. Trzy jaskrawe punkty przesuwają się ku centrum ekranu. Zażądał od komputera wyświetlenia czasu kontaktu i niemal natychmiast zapłonęły cyferki. Dwadzieścia sekund. Czekali na pułapie 15000 metrów i mogli go widzieć na ekranach radarów...

Powinien wyskoczyć ponad warstwę chmur na pułapie 7500 metrów i znaleźć się na tle czystego, błękitnego nieba – prosto pod czekającymi myśliwcami przechwytyjącymi. Następne, nieco bledsze punkciki widniały przy krawędzi ekranu. Dygotał jeszcze cały od napięcia. O włos uniknął kolizji. Gdyby próbował skierować Firefoxa pod brzuchem Mi, z pewnością zaryłyby się w zalesiony brzeg i eksplodował...

Starł odżegnać się od przeszłości.

Nie myśl o tym, nie myśl o tym – powtarzał na okrągło w myślach. Nie myśl o tym...

Ściągnął z powrotem dźwignie gazu i obrzucił wzrokiem tablice przyrządów.

Żadnych światełek awaryjnych. Przepływomierze, obrotomierze, radar, awionika, nawigator inercyjny, systemy uzbrojenia. Samolot funkcjonował. To znów był samolot, a nie wrak.

Wysokość: 5500 metrów, ciągle wznoszenie. Szare chmury kłębiły się i przesuwwały na zewnątrz kabiny. Jaskrawe białe plamki na ekranie były coraz bliżej. Czas kontaktu: dziesięć sekund.

Antyradar nie działa, mogą cię widzieć – przypomniał sobie w duchu.

Trzeba o tym pamiętać...

Migi były zbyt blisko, by można minąć je przy szybkim wznoszeniu. Rakiety przygotowane, sterowane podczerwinią – znajdą go, nawet jeśli macierzyste myśliwce nie będą go mogły namierzyć. Sześć samolotów, coraz bliżej. Wszyscy widzieli go na radarach. Z pewnością zameldowali już o tym fakcie, musieli domyślić się awarii systemu antyradarowego. Adrenalina przyspieszała krążenie. Wiedzieli już. Mieli przed sobą łatwe zadanie, trzeba było tylko wykonać egzekucję...

Uciekać.

Zakłócenia od powierzchni...

Nurkować.

Kurs na Bardufoss.

6500 metrów. Czas kontaktu: sześć sekund. Gorączkowo wprowadził współrzędne do nawigatora inercyjnego i zaczął zmieniać kurs. Ukryć się – zakłócenia powierzchniowe. Oszukać ich radary. Pięć sekund, cztery i pół, trzy.

Dostrzegł rozbłyski na ekranie podczerwieni. Rakieta wyrwała z prędkością 3 Ma, za nią druga, trzecia. Pochylił samolot na bok i wprowadził w strome nurkowanie, skręcił w beczkę, tak że wielka, ciężka, szara chmura znalazła się ponad kabiną. Wyszedł z beczki; dziób Firefoxa prześlizgiwał się przez chmurę, wskazania wysokościomierza gwałtownie malały. Gorące strumienie gazów wylotowych rakiet wciąż pędziły ku niemu po ekranie. Białe plamki w tyle także zmieniły kurs i leciały za nim w dół.

Raz jeszcze skręcił gwałtownie, czując, jak przeciążenie zgniata go boleśnie. Kombinezon, który miał na sobie, nie dopasowany ani do jego wymiarów, ani do możliwości samolotu, opornie reagował na zmiany. Pękała mu głowa, na chwilę wzrok przesłoniła mgła. 3000 metrów. Rakiety poszły innym kursem, opadały ku ziemi, straciwszy podczerwony trop jego silników. Efekty szaleńczych manewrów powoli zanikały w jego ciele. Wprowadził samolot w mniej strome nurkowanie. Trzy znajdujące się najbliżej białe plamki wciąż go ściagały.

1500 metrów. Powoli, łagodnie zaczął wychodzić z lotu nurkowego. 1200 metrów. 1000 metrów – Firefox wyrównywał lot. Siedemset pięćdziesiąt, sześćset, czterysta pięćdziesiąt. Przeszedł w lot poziomy. Włączył radar śledzący ukształtowanie terenu, a następnie autopilota. Nawigator inercyjny natychmiast skorygował kurs samolotu, kierując go w stronę Bardufoss. Odczyty wskazywały, że znajduje się już w przestrzeni powietrznej Norwegii. Gdzieś ponad Finnmarkiem, na wysokości Porsangerfjordu.

Rosjanie także znajdowali się w norweskiej przestrzeni powietrznej.

Firefox zakręcał, przechylał się – leciał niczym dziryt pomiędzy niewidocznymi wierzchołkami gór. Gant miał wrażenie, że spogląda na szary, wygaszony ekran poprzez zasłonę śniegu, rozcinaną pędem samolotu. Nie widział nic. Wyczuwał jednak, że dookoła muszą się wyłaniać, sączyć niczym gaz góry Finnmarku – masywne, nieustępliwe zapory. Tworzyły labirynt, przez który przeprowadzały go TFR i autopilot. Był jak biegacz balansujący nad zdradliwym gruntem – jeszcze pędził przed siebie z rozrzuconymi ramionami, jeszcze trzymał się prosto, niepewnie stawiając stopy. TFR i autopilot. Utrzymały go przy życiu. Czuł także nieustanne, nerwowe dreszcze przenikające cały kadłub w miarę przedzierania się przez zamieć. Miał wrażenie, że odczuwa coraz bardziej dotkliwy chłód, że to jego ciało ogarnia gwałtowne dygotanie.

Trzy rosyjskie myśliwce przechwytyjące podążyły jego śladem, lecz powoli zostawały w tyle. Mogły to być Migi-25 albo nawet Migi-27. Na pewno nie były to Firefoxy. Przeszkadzały im zakłócenia od powierzchni – ścigali go, lecąc ponad szczytami gór, zatem piloci musieli wykazać się wysokimi umiejętnościami. Przy każdej zmianie kursu zwiększał swą przewagę nad nimi. Spojrzał na mapę, którą trzymał na kolanach. Ponad górami wznoszącymi się na wschód od Lyngenfjordu – znajdował się chyba gdzieś w tej dolinie – końcówki skrzydła dygotały w miarę nie kończących się skrętów w niespokojnym powietrzu, w rytm zakrętów doliny...

Sto pięćdziesiąt kilometrów od Bardufoss.

Firefox pochylił się gwałtownie, niemal wszedł w beczkę, i zaraz zmienił kurs, trzymając się doliny, następnie wystrzelił w górę, przeskakując nad niewidocznym grzbietem i znów zniżył lot w miarę obniżania się terenu. Skalne ściany wznoszące się po obu stronach wydłużonego, czarnego kadłuba. Nie mógł odegnać z myśli wyimaginowanego krajobrazu czy powstrzymać się od śledzenia kursu na mapie. Zdawał sobie sprawę, że to normalna reakcja nerwowa; odprężenie po stresie – po Migach, które coraz bardziej zostawały w tyle, po śmigłowcu Mi, przesłaniającym cały widok, po szybkim wznoszeniu, a nawet

po chwilach poprzedzających start.

Zbliżał się do Bardufoss. Jeśli pogoda znów uległa pogorszeniu, jeśli dął silny wiatr i widzialność spadła do zera, nie miał najmniejszych szans na lądowanie pośród szalejącej zamieci.

Nieskładne myśli przelewały się podobnie do obrazów na ekranie TFR – smug, plam i rozbłysków, za pomocą których radar ukształtowania terenu przedstawiał góry, urwiska i doliny...

Ekran TFR zgasł nagle, zrobił się szary, pusty. Samolot był właśnie w trakcie ostrego skreću ponad doliną...

Nie było czasu! Rząd lampek ostrzegawczych zamigotał na pulpicie autopilota, po czym rozbłysnął czerwienią. Nie było czasu...

Firefox jakby zawisł. Szary ekran, szara przestrzeń na zewnątrz pleksiglasowej osłony kabiny. Pozbawiony instrukcji autopilota; drążek sterowy przestał się poruszać, umilkły zmiany rytmu silników, nie zmieniał się kąt pochylenia w skręcie. Silniki Tumańskiego pchały go w stronę terenu, którego nie mógł dojrzeć; wprost na...

Z całą mocą odczuwał szalejącą na zewnątrz zamieć. Kadłub zatrzęsł się mocniej, jakby w przewidywaniu zderzenia. W wyobraźni słyszał wycie wiatru, czuł, że podczas zderzenia zostałby wyrzucony z kabiny i wtedy usłyszałby świst wichury – zanim...

Wahał się ciągle, jego palce zakrzywiały się jak szpony. Musiał wybrać, lecz nie potrafił. Firefox nadal leciał po ostrym łuku, autopilot zainicjował zmianę kursu zgodnie ze wskazaniem TFR. Dokąd...?

Dolina! W górę...

Wyrównał lot, pchnął dźwignie sterowania silnikami do przodu, wyłączył autopilota wciskając przycisk w drążku sterowym, a następnie pociągnął go do siebie. Szara ściana przed dziobem, nic, zupełnie nic...

Dziób uniósł się w górę, Firefox zaczął wznoszenie. 1200 metrów. 1350, 1500...

Znajdował się już ponad górami. Pot ściekał mu po rękach. Maski zarosła. Na ekranie radaru Migi jakby wyrwały do przodu, przesunęły się od dolnej krawędzi bliżej środka. Teraz widzieli go już wyraźnie jak cel na strzelnicy. Ganta przeszył dreszcz; zaciskając kurczowo dłoń na drążku, wyrównał lot na pułapie 1800 metrów. Zmusił się, by poszukać wzrokiem na mapie drobnych cyferek opisujących wysokość szczytów. Pospieszenie znów pociągnął drążek do siebie; musiał wznieść się na wysokość 2400 metrów najszybciej jak tylko mógł. Wreszcie na pewno znalazł się nad górami, szczyty nie stanowiły już dla niego zagrożenia.

Migi przybliżyły się. Zaprogramował wskazania komputera. Czas kontaktu: czternaście sekund. Zwiększył ciąg silników, dopóki machometr nie pokazał prędkości ponad 2 Ma. Leciał na ślepo.

Włączył odbiornik UHF. Za kilka minut powinien znaleźć się nad Bardufoss. Musiał wiedzieć.

– Kontrola w Bardufoss. Tu Firefox. Over. – Wyteżył słuch.

Sprawdził częstotliwość. Słuchał. Odbiornik UHF był włączony, powinien działać. – Kontrola w Bardufoss. Bardufoss, odezwiij się. Tu Firefox. Over.

Migi jakby zatrzymały się, zostawały w tyle, były już niemal przy krawędzi ekranu. Wiedział, że tamci także nasłuchują. Próbował nawiązać łączność na kanale otwartym. Czekali. Wzdrygnął się. Rosjanie czekali, aż zacznie zniżać lot, zwolni, obnaży się im bezbronny przy schodzeniu do lądowania.

Z odbiornika UHF płynęły trzaski. Przemówił do niego jakiś bardzo odległy głos z silnym skandynawskim akcentem. Błyskawicznie chwycił drążek, jakby usłyszał rosyjskie słowa. Rozpoznał jednak nazwę „Bardufoss”.

– Proszę powtórzyć, Bardufoss. Proszę powtórzyć. Czekam na instrukcje lądowania. Over.

Czekał. Samolot pędził z prędkością 2 Ma. Cyfry na wyświetlaczu nawigatora inercyjnego wskazywały, że od Bardufoss dzieli go sto kilometrów. Zwrócił uwagę na turbulencję powietrza na zewnątrz samolotu, jakby było to ostrzeżenie dla niego.

– ...jest zamknięte, powtarzam, zamknięte. – Usłyszał. – Pułap chmur: piętnaście metrów. Silna śnieżycyca. Widzialność na pasie: dwadzieścia metrów. Boczny wiatr, pod kątem osiemdziesięciu stopni, z prędkością 23 metrów na sekundę. – A po chwili nieco cieplejszym tonem: – Przykro mi, Firefox, ale lądowanie w Bardufoss jest niemożliwe. Mamy silną zamieć...

Tamci również musieli to słyszeć.

– Dziękuję, Bardufoss.

– Powo... – Wyłączył odbiornik, przechodząc od razu na sowiecki kanał taktyczny. Natychmiast usłyszał krzyżujące się rosyjskie słowa, niemal radosne: potwierdzenie, prośba o instrukcje, decyzja, wskazania taktyczne...

Migi znów ruszyły w kierunku środka ekranu. Jak oniemiały wpatrywał się w pędzące za nim punkciki. Poruszały się z prędkością większą od 2 Ma, zbliżały się szybko.

Został uwięziony przez zamieć. Kolejne sowieckie myśliwce przechwytyjące zaczęły pojawiać się przy dolnej krawędzi ekranu. Ale te trzy, szybko

doganiające go – czas do odpalenia rakiet: siedem sekund – wiedziały, że ma odciętą drogę lądowania. Pędziły, by go zabić. Zwlekał jeszcze, spodziewając się w każdej chwili jaskrawych rozbłysków na ekranie podczerwieni, oznaczających start w jego kierunku pierwszych rakiet. Nie...

Przesunął powoli dłonie, jak gdyby pieścił drążek sterowy. Szukał, musiał znaleźć, musiał...

Znalazł. Pragnienie. Konieczność ucieczki. Znalazł wyjście. Przełamał czar.

Jęknął na głos. Unosząc głowę, pociągnął jednocześnie drążek na siebie i pchnął dźwignie do przodu. Firefox zadarł dziób, chwiejąc się lekko wśród narastającej turbulencji. Zignorował to, przestała go obchodzić pogarszająca się pogoda na zewnątrz – nie chciał dopuścić do siebie, nie umiał pogodzić się z tym, że lotnisko w Bardufoss mogło być zamknięte.

Machometr przekroczył cyfrę 2, przesunął się szybko: 2,2, 2,3, 2,7... Wysokościomierz powędrował powyżej 4500 metrów, potem 5000. Migi zmieniły kurs, próbując go jeszcze dogonić. Firefox wystrzelił w górę.

Wyrwał się z objęć burzy, z ciężkich od śniegu chmur na wysokości niemal 8000 metrów. Ponad nim rozbłysło oślepiająco błękitne niebo. W lusterku ujrzął skłębiony, nie kończący się dywan chmur. Słońce wisiało nisko na zachodzie. Minął pułap 12000 metrów, potem 15000...

Pierwszy z sowieckich myślicców wypadł z chmur – połyskujący nisko w dole punkcik; biała plamka nie opodał dolnej krawędzi ekranu. Po chwili dostrzegł w lusterku drugi, dołączający do tamtego błyszczący punkcik; zaraz pojawił się trzeci.

Gant wyrównał lot Firefoxa na wysokości 21000 metrów, lecz przyspieszał dalej. Wskazania machometru przekroczyły 4,5. Połyskujące plamki zniknęły z ekranu radaru. Nad Lofotami także wisiała nieprzerwana warstwa chmur. Minął koło podbiegunowe. Leniwie wsłuchiwał się w zamierający szczebiot głosów na paśmie UHF. Za kilka minut powinien przestawić radio na częstotliwość podstawowego tajnego kanału NATO. Musiał skorzystać z kanału taktycznego, by prawidłowo zidentyfikowano go w dowództwie RAF i zezwolono na lądowanie w Scampton, które stanowiło cel jego lotu. Zmienił kurs, żeby zapewnić sobie możliwość dostrzeżenia Szetlandów, leżących 800 kilometrów na południe – osiem minut lotu. Uśmiechnął się. Był iskrą, meteorem, pędzącym o tysiąc pięćset kilometrów na godzinę, szybciej od jakiegokolwiek innego samolotu na świecie. W ciągu siedmiu minut powinien znaleźć się nad przeciwnym brzegiem

Morza Północnego; powinien dostrzec Szetlandy. 5,1 Ma. Prawie 6200 kilometrów na godzinę.

Po wszystkim. Poczł przyptłw radości. Radio umilkł. Usłyszł jeszcze... Co to było? Rostock? Cóż to mogł oznaczć...? To bez znaczenia. Ekran radaru czysty. Pusto. Był zupełnie sam. Sowieckie głsy przycichły i zamilkły.

Anna...

Nie. Delikatnie odsunął od siebie tę wizję. Inne twarze stały się jeszcze mniej wyraźnymi odbiciami. Nie powinny go już nawiedzać. Żył. Znajdował się w Firefoksie. Uciekł...

Spojrzał w dół poprzez wyrwę w chmurach. Leciał wysoko ponad Morzem Północnym, o wiele za wysoko, by dostrzec ognie platform wiertniczych. Coraz częściej trafiały się dziury w powłoce chmur. Był zawieszony ponad płaską, stąd sprawiającą wrażenie spokojnej powierzchnią morza. Sromotny; samotny. Nie, samotny musiało oznaczać tylko to – samotny. Nie: sromotny...

Powinno znaleźć się nad Szetlandami w ciągu niespełna trzech minut. Czas przestawić radio na kanał taktyczny NATO – tak niewiele brakowało, by zestrzelili go...

Rostock? Kto to był Rostock...?

Sprawdził paliwomierze. Wysokościomierz, radar, machometr...

Ekran radaru pusty...

Czuł się oszołomiony. Sięgnął ręką, żeby przestroić odbiornik UHF. Samotny; sromotnie samotny. Pędził z szybkością 6200 kilometrów na godzinę.

Rostock...?

Pusty ekran radaru... Rozbłysk...?

Pochylił się do przodu. Zaczynał odczuwać zawroty głowy, szalone podniecenie. Przetarł oczy, chcąc odzyskać jasność widzenia. Błyszczący punkcik na... tablicy przyrządów...? W głowie mu wirowało. Dziób Firefoxa pochylił się, samolot zaczął nurkować. Jeszcze mocniej oparł się na drążku sterowym, kurczowo przyciągnął go do piersi, nie był jednak świadom, jak silnie jego pochylone ciało napiera na niego. Nie widział dobrze, przybliżał twarz do tablicy przyrządów. Miał mgłę przed oczyma. Tulił drążek sterowy do siebie jak pijak gwałtownie potrzebujący oparcia. Kiedy dziób Firefoxa pochylił się ku ziemi, stromizna nurkowania kontrolowana była jedynie przez kurczowo ściągającą drążek jedną dłoń oraz pasy mocujące, które ograniczały silniejsze wychylenie ciała do przodu.

Rostock...?

Władimirow pytał go, co to znaczy. Bili go, ale nie czuł nic. Tylko odrętwienie. Kojące odrętwienie. Narkotyki... Przypomniatł sobie sylwetkę ojca, powłóczącego nogami w stronę budynku przy... przy... Prospekcie Mira? Tak, przy Prospekcie Mira...

Słyszał głosy, rosyjskie słowa. Zmienić kanał. Nic nie rozumiał – kto to był Rostock?

Błyszczący punkcik na... tablicy przyrządów? Punkcik...?

Nic nie rozumiał. Firefox zaczynał spadać ku ziemi. Nie widział, jak w okienku wysokościomierza cyfry przesuwają się coraz szybciej. Pochylał się ku pulpitowi. Dźwignie były nadal ustawione niemal w krańcowym położeniu.

Dostrzegł punkty – rozbłyski, a nie plamki świetlne. Po prawej i lewej stronie ekranu. Otaczały go. Rostock...? Niemal dotykał już hełmofonem tablicy, pochylał nisko twarz nad ekranem radaru. Białe rozbłyski, pędzące ku niemu.

9000 metrów, 7500, 6500... Wskazania wysokościomierza zmieniały się nie zauważone.

Gant chwiejnie uniósł głowę, a następnie dłoń. Macał na ślepo po tablicy. Firefox podskoczył, kiedy ścisnął mocniej drążek sterowy, by mieć lepszy punkt podparcia. Dziób uniósł się nieco, ale drążek stawiał mu niezwykle opór. Traktował go teraz jak stabilną, umocowaną na sztywno podporę, której mógł się chwycić. Próbował przejrzeć na oczy. Radar zapełnił się sunącymi ku centrum ekranu rozbłyskami, zlewającymi się w jaskrawą smugę światła. Rozblyskujące plamki...? Rostock, Rostock...? Co to mogło znaczyć? Rozblyski...

Dotknął dłonią świecących plamek, usiłował je policzyć. Próbował sobie przypomnieć. Coś ważnego, takiego jak Rostock. Musiał znaleźć odpowiedź na to pytanie, był przecież doświadczonym...

Sięgnął do przełącznika i nacisnął go konwulsyjnym rzutem całego ciała. Wreszcie wyprostował się ociężale, nadal kurczowo ściskając drążek, świadom wreszcie przytwierdzających go do fotela pasów mocujących. Kiedy uniósł głowę ponad krawędź burty, dostrzegł wysokie, spienione fale niespokojnego morza. Pod samolotem i po obu stronach płonęły ognie, ostrzegawcze ognie...

Ujrzał sylwetkę wietnamskiej dziewczynki roztopiającą się w płomieniach. Zobaczył twarz Anny z niebieskawą dziurką pośrodku czoła. Ręce przenikał ból, jak gdyby wysiłek utrzymywania drążka sterowego miał spowodować wywanie ich ze stawów.

Dziewczynka, Anna on sam...

– Nie... ty bydlaku...!

Walczył z drążkiem, starając się ze wszystkich sił przyciągnąć go do siebie.

Przesunął dźwignie sterowania do tyłu i raz jeszcze uwiesił się na drążku. Teraz poszło nieco łatwiej. Jego płuca wreszcie zaczerpnęły tlenu z zapasowych butli. Wskazania wysokościomierza zmieniały się coraz wolniej, odczyty machometru malały. Samolot zaczął wyrównywać lot. Nadal walczył z drążkiem, ciągnąc go do siebie. Ujrzał rozkołysaną jeszcze linię horyzontu, fale przewalały się nie dalej jak trzysta metrów pod brzuchem samolotu. Płomienie platform wiertniczych pędziły ku niemu. W słuchawkach hełmofonu rozbrzmiewały głosy, padały rosyjskie słowa...

Gorączkowo przestawił odbiornik UHF. Wreszcie usłyszał ich...

Rostock. Mówili po angielsku, z angielskim akcentem. Płatanina angielskich słów.

Przeskoczył nad platformą wiertniczą, potem nad drugą, trzecią. Nad spienionymi, sztormowymi falami kłębił się śnieg, ale w powłoce chmur widniały jaśniejsze wyrwy. Strzępy obłoków sięgały, by go pochwycić, lecz Firefox bez trudu rozcinał je...

Przejaśniało mu w głowie. Leciał z prędkością mniejszą niż sześćset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, na wysokości 360 metrów, ponad Morzem Północnym, kierując się w stronę Szetlandów.

Nadal wciągał głęboko w płuca tlen z zapasowych butli. Samolot znowu próbował go zabić. Zdradził go. Lampka ostrzegawcza zapaliła się zbyt późno, żeby był w stanie rozpoznać sygnał. Brak tlenu spowodował zawroty głowy, doprowadził do oszołomienia, zanim cokolwiek zauważył. Serce waliło mu jak młotem, puls tętnił w uszach. W słuchawkach hełmofonu rozbrzmiewały angielskie głosy, padały słowa gratulacji. Przełączył się ponownie na kanał sowiecki.

Rostock; wywoływali Rostock. Baza lotnictwa – przypomniał sobie. Chyba najbliższej położona pierwszoliniowa baza lotnicza na kursie myśliwców przechwytyjących. Wschodnie Niemcy. Kilka eskadr Migów-25 z doborowej Szesnastej Frontowej Armii Lotnictwa zostało wysłanych, by go zniszczyć. Ale wcześniej przechwycił go RAF. Stanowił łatwy cel. Możliwe nawet, że już znajdowali się gdzieś z tyłu, obserwowali jego nurkowanie ku powierzchni morza. Firefox wykonał dla nich swoje zadanie.

Opadł na oparcie fotela. Łajdak. Po obu jego bokach pojawiły się samoloty. Pomachały skrzydłami, nieśmiało prezentując swoje oznaczenia RAF. Jeden z pilotów, ten po prawej stronie, uniósł w górę wyprostowany kciuk. Sukces, gratulacje – coś w tym rodzaju. Dalej za sylwetką myśliwca Tornado, Gant dostrzegł wyłaniające się z morza, ciemne zarysy wybrzeża Szetlandów.

Z ociąganiem przestroił odbiornik UHF na tajny kanał taktyczny NATO.

Przez chwilę trwał jeszcze natłok angielskich głosów, po czym jeden z nich uciszył pozostałe, chcąc nawiązać z nim kontakt. Spojrzał na prawo. Pilot myśliwca żywiotowo pokazywał mu coś dłonią. Domagali się, by odpowiedział, by włączył radio...

Gant nie przejął się tym. Żył. Był bezpieczny. Miał jeszcze czas na nawiązanie łączności. Serce uspokajało się, puls przycichał, ustępując miejsca świadomości. Łajdak. To samolot był łajdakiem.

Ale już dosyć.

– Proszę mówić, kapitanie – odezwał się w końcu, przyjmując wygodniejszą pozycję w fotelu. – Tu Firefox. Odbieram pana czysto i wyraźnie. Proszę mówić. Over.

– Major Gant? Gratulacje, majorze. Co się wydarzyło, sir? Co się z panem stało? Over.

– Przeżyłem – odparł Gant. – A teraz zabierzcie mnie do domu.

Na wysokości 365 metrów, z szybkością 620 kilometrów na godzinę, Mig-31, któremu NATO nadało kodową nazwę „Firefox”, leciał w kierunku wybrzeży Szkocji, eskortowany przez sześć myśliwców Tornado z Lotnictwa Szturmowego RAF. Były to jedyne samoloty, które widział na ekranie swego radaru.

Szare, wzburzone morze przesuwano się pod brzuchem samolotu. Zabłąkany promień słońca wpadł do kabiny. Dopiero teraz Gant pozwolił sobie na uśmiech sukcesu.

Spis treści

Część pierwsza – Pilot	11
1. Lądowanie	13
2. Głębia	49
3. Ucieczka	75
4. Zwrot	95
5. Więzy	115
Część druga – Agent	143
6. Echa w tunelu	145
7. Narodziny zbrodni	171
8. Nieznajomi	202
9. W drodze	231
10. „Nessie”	256
11. Przekroczenie granicy	283
Część trzecia – Samolot	317
12. Przez okno	319
13. Na zewnątrz sadzawki	345
14. Wir	367